

Wolność i Solidarność

STUDIA Z DZIEJÓW OPOZYCJI WOBEC KOMUNIZMU I DYKTATURY

Wolność i Solidarność
Studia z dziejów opozycji wobec komunizmu i dyktatury

ISSN: 2082-6826

Rada Naukowo-Programowa:

Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Paweł Golak, Aleksander Hall, Jerzy Holzer, Violetta Kmiecik,
Ireneusz Krzemiński, Andrzej Paczkowski, Wojciech Polak (przewodniczący),
Aleksander Smolar, Edmund Wnuk-Lipiński

Redakcja:

Andrzej Kaczyński, Jakub Kufel (sekretarz), Jan Skórzyński (redaktor naczelny),
Małgorzata Strasz

Wydawca:



Adres Wydawcy:

Europejskie Centrum Solidarności
ul. Doki 1, 80-958 Gdańsk
tel. (058) 767 79 71, fax (058) 767 79 78
e-mail: ecs@ecs.gda.pl

Projekt graficzny i skład: Piotr Białas / www.tatastudio.pl

Korekta: Małgorzata Strasz

Druk i oprawa: Zakład Poligraficzny NORMEX

Nakład: 1000 egzemplarzy

SPIIS TREŚCI

4 OD REDAKTORA

ŚWIADECTWA

6 AUNG SAN SUU KYI Wykłady o wolności i oporze

16 SYLWETKI: AUNG SAN SUU KYI

STUDIA

18 JACK A. GOLDSTONE Zrozumieć arabskie rewolucje

25 JAN SKÓRZYŃSKI Życie na podsłuchu

39 ANDRZEJ FRISZKE Korowcy, eksperci i reszta.
Spory o kształt Solidarności jesienią 1980

65 JAN OLASZEK „Tygodnik Mazowsze” – głos
podziemnej Solidarności 1982–1989

86 PAWEŁ SOWIŃSKI Ballada o podziemnych
kolporterach

101 ARTUR KUBAJ Szczecin 1988

EUROPA DYSYDENTÓW

118 ANDRÁS BOZÓKI Opozycja demokratyczna
na Węgrzech: dyskusje programowe

136 MAREK PERNAŁ Panorama opozycji
czechosłowackiej 1968–1989

148 KARTA 77

OPOZYCJA NA ŻYWO

155 ADAM MICHNIK Polskie myszki i radziecki kot

STAN WOJENNY

178 BRONISŁAW GEREMEK: LIST DO GENERAŁA
JARUZELSKIEGO

SOLIDARNOŚĆ W PODZIEMIU

180 WIKTOR KULERSKI Bardzo długi spacer z psem

XX LAT TEMU – KONIEC ZSRR

196 SŁAWOMIR POPOWSKI Jak upadało imperium

EX LIBRIS

223 EDMUND WNUK-LIPIŃSKI Solidarność
– między rzeczywistością a utopią

227 PAWEŁ SOWIŃSKI Kronika Solidarności

232 ANDRZEJ KACZYŃSKI Zapisani w historii

241 TOMASZ WIŚCICKI Prawdziwy opór i pozorna
konformizacja

245 JAN OLASZEK Drugi obieg pod lupą

248 ANNA MARIA MYDLARSKA Polska transformacja:
sukces czy katastrofa?

OD REDAKTORA

„Odpowiedzialność za respektowanie praw człowieka i swobód demokratycznych spoczywa, rzecz jasna, przede wszystkim na władzy politycznej i państwowej. Ale również każdy z nas dźwiga swoją część odpowiedzialności za sytuację w kraju...” – pisali twórcy Karty 77. Kierując się tym przekonaniem, 35 lat temu grupa obywateli ogłosiła najważniejszy dokument czechosłowackiej opozycji demokratycznej. Jednym z autorów Karty i jej pierwszych rzeczników był Václav Havel, dramaturg i eseista, obsadzony przez historię najpierw w roli dysydenta i więźnia politycznego, a później polityka i prezydenta, który w głębi duszy pozostał przede wszystkim moralistą. Dzieje czechosłowackiej opozycji, w której Havel był postacią kluczową, przedstawia w tym numerze „Wolności i Solidarności” Marek Pernal. W tym samym dziale – *Europa dysydentów* – András Bozóki opisuje debaty ideowe węgierskich środowisk niezależnych w latach osiemdziesiątych.

Do Václava Havla i jego wezwania do życia w prawdzie odwołuje się dziś Aung San Suu Kyi. Ona i jej współtowarzysze z birmańskiej Narodowej Ligi na rzecz Demokracji próbują żyć w swoim zniewolonym kraju jak ludzie wolni. W 2010 r. laureatka pokojowej Nagrody Nobla została uwolniona z aresztu domowego, w którym spędziła piętnaście lat. Wojskowa dyktatura wypuściła też z więzień grupę działaczy NLD. Czy władający Birmą od pół wieku generałowie zdecydują się na kompromis z ruchem demokratycznym i stopniową liberalizację? Czy członkowie opozycji zamienią cele więzienne na miejsca w parlamencie? W słowach Aung San Suu Kyi, której dwa wykłady zamieszczamy, nie ma łatwego optymizmu. Jest jednak przekonanie, że niezależnie od okoliczności zadaniem dysydentów pozostaje obrona prawa człowieka do życia w wolności i prawdzie.

Źródłem nadziei na to, że ta postawa może doprowadzić do zmian demokratycznych, jest historia środkowoeuropejskich ruchów wolnościowych. Na nowo nadzieje te obudziła arabska wiosna 2011 r. Aung San Suu Kyi odwołuje się do rewolucji w Tunezji i Egipcie. Jack Goldstone w artykule *Zrozumieć arabskie rewolucje* analizuje przyczyny upadku dyktatorów w tych i innych krajach. Natomiast schyłek największego totalitarnego imperium, które rozpadło się dwadzieścia lat temu, przypomina Sławomir Popowski. Jako wieloletni korespondent polskiej prasy w Moskwie na własne oczy obserwował rozpoczęty przez Michaiła Gorbaczowa proces naprawy realnego komunizmu, który zakończył się likwidacją tego systemu zarówno w ZSRR, jak w in-

nych krajach bloku sowieckiego. Dzisiejsza Rosja jest wciąż odległa od norm liberalnej demokracji, ale zakres wolności jest w niej znacznie większy niż w Związku Radzieckim. Według Władimira Putina upadek ZSRR był największą katastrofą geopolityczną XX wieku. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Dla Polaków i innych narodów oddzielonych przez blisko pięćdziesiąt lat od reszty Europy żelazną kurtyną koniec sowieckiego imperium oznaczał początek powrotu na Zachód – do świata wolnego rynku, swobód obywatelskich i rządów prawa.

Dla wyzwolenia środkowo-wschodniej części kontynentu spod władzy Moskwy i jej satelitów równie ważne – jeśli nie ważniejsze – jak Gorbaczowska pierestrojka były demokratyczne ruchy opozycyjne, które podważyły legitymizację władzy komunistów, organizując społeczeństwa do walki o wolność i budując alternatywny program. Tę rolę w największym stopniu wypełniła polska Solidarność. O pierwszych tygodniach tworzenia niezależnego związku i sporach o jego oblicze pisze w swoim studium Andrzej Friszke. Wiktor Kulski, jeden z przywódców mazowieckiej Solidarności, opowiada o początkach stanu wojennego i budowaniu podziemia w 1982 r. Jan Olszák przedstawia monografię najważniejszego pisma podziemnego – „Tygodnika Mazowsze”, a Artur Kubaj daje obraz Solidarności szczecińskiej w okresie strajków 1988 r., które otworzyły drogę do rozmów Okrągłego Stołu.

W cyklu *Opozycja na żywo* publikujemy stenogram spotkania Adama Michnika w klubie Hutnik w Częstochowie w lutym 1981 r. Relacja z tego wieczoru, w której polityczne analizy przeplatają się z dowcipami i wspomnieniem o lekturze dzieł zebranych Lenina w więzieniu w Sztumie, dobrze oddaje atmosferę polskiej pokojowej rewolucji. „Trybuna Ludu» napisała, że ze wszyst-

kiego w świecie najbardziej lubię piękne kobiety, wolność i drogie alkohole. Jest to jedyna prawdziwa informacja w tym utworze” – kpił Michnik z organu rządzącej partii, który starał się uczynić zeń wroga publicznego. Tej swobodnej postawie towarzyszyła jednak świadomość obecności za polską granicą radzieckich tanków, które mogą przerwać nadwiślański karnawał. Zakończyły go jednak polskie czołgi skierowane przeciwko zbuntowanemu narodowi przez szefa armii, premiera i I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR w jednej osobie – Wojciecha Jaruzelskiego. 13 grudnia 1981 r. do obozów internowania trafili pospół robotnicy i inżynierowie, studenci i profesorowie. Gdy sam zostałem przywieziony tej nocy do więzienia w Białolecie, spotkałem tam m.in. swego promotora z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego Jerzego Holzera. Naszym więziennym starostą obraliśmy innego historyka – Bronisława Geremka. Jego list do gen. Jaruzelskiego, który publikujemy w niniejszym numerze „Wolności i Sprawiedliwości”, został napisany z tytułu pełnienia tej funkcji.

W dziale *Ex libris* Edmund Wnuk-Lipiński przedstawia dwie fundamentalne prace socjologiczne o Solidarności – Jadwigi Staniszkis *Samoorganizując się rewolucję* i Alaina Touraine’a *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981 – wznowione w ubiegłym roku* (książka prof. Staniszkis wydana po raz pierwszy po polsku!) przez Europejskie Centrum Solidarności. Wydarzeniem wydawniczym lat 2010 i 2011 była również wielotomowa historia NSZZ Solidarność przygotowana przez Instytut Pamięci Narodowej. Próbę oceny tego historiograficznego przedsięwzięcia podejmują Andrzej Kaczyński, Paweł Sowiński i Tomasz Wiścicki.

Jan Skórzyński

ŚWIADECTWA

WYKŁADY O WOLNOŚCI I OPORZE

I. O wolności

AUNG SAN SUU KYI

To, że mogę teraz mówić do was za pośrednictwem BBC, wiele dla mnie znaczy¹. Znaczy to, że znów jestem oficjalnie wolna. Kiedy wolność mi odebrano, oficjalnie zamykając w areszcie domowym, radio BBC mówiło do mnie, a ja słuchałam. To była swego rodzaju wolność – dostęp do umysłów innych. To oczywiście nie to samo, co kontakt osobisty, ale była to jakaś forma styczności z innymi. Możliwość nawiązania kontaktu z ludźmi, z którymi chcielibyśmy dzielić się myślami, nadziejami, śmiechem – czasem nawet gniew i oburzenie są naszym prawem, którego innym nie wolno pogwałcić. Choć nie mogę być dziś z wami fizycznie, jestem ogromnie wdzięczna za tę możliwość skorzystania z prawa do kontaktu z innymi, podzielenia się moimi przemyśleniami o tym, czym jest wolność dla mnie i dla innych ludzi na całym świecie będących w stanie, który nazywam niewolnością.

Zrządzeniem losu, zapowiedzią, a może jednym i drugim, pierwszą autobiografią, którą przeczytałam, była *Siedmioletnia samotność* autorstwa Węgierki, która podczas czystek z początku lat pięćdziesiątych znalazła się w niewłaściwej frakcji partyjnej. Jako trzynastolatkę zafascynowała mnie determinacja i pomysłowość, z jaką ta kobieta umiała zachować bystrość umysłu i hart ducha przez lata, kiedy widywała tylko tych, którzy dzień po dniu próbowali ją złamać. Jest jednym z podstawowych warunków, aby ci, którzy chcą być dysydentami i chcą wytrwać w tym postanowieniu, umieli radzić sobie sami. Takie jest naprawdę w ogromnej mierze życie dysydenta.

Kto wybiera świadomie tak trudne życie? Max Weber wskazał trzy główne cechy polityka, jakimi są pasja, poczucie odpowiedzialności i świadomość proporcji. Pasję opisał jako żarliwe zaangażowanie w sprawę, najważniejsze dla tych, którzy uprawiają najniebezpieczniejszą politykę – politykę protestu. Pasję tę musi mieć każdy, kto głośno bądź po cichu postanawia żyć inaczej niż reszta współobywateli, kto wkracza w inny, rządzący się własnymi niepisanymi prawami, niebezpieczny świat. Świat dysydentów.

¹ Aung San Suu Kyi nagrała oba wykłady dla BBC Radio 4 w swoim domu w Rangunie. Zostały one wyemitowane 28 VI i 5 VII 2011. Opublikowano je w języku angielskim na stronie www.bbc.co.uk/reithlectures (red.).



Jego dziwni mieszkańcy nie wyróżniają się niczym szczególnym. Odwiedźcie w robocze dni lokal Narodowej Ligi na rzecz Demokracji – nasze nędzne, byle jakie, rozpadające się schronienie dla twardzieli. Nazywano je oborą i stajnią NLD – nie obrażamy się, bo mówiono to zwykle z przyjaznym uśmiechem, często z podziwem. I czy nie w stajence zaczął się jeden z najbardziej wpływowych ruchów na świecie?

W naszej nędznej siedzibie spotkacie zwyczajnych ludzi. Starszy, artystycznie rozczochrany pan to stary dziennikarz. Także wybitny opozycjonista – po dwudziestu latach więzienia napisał książkę o swoich strasznych doświadczeniach: *Czy to jest piekło człowieka?*. Nosi zawsze niebieską więzienną koszulę, żeby przypominać, że w birmańskich więzieniach nadal przetrzymywane są tysiące więźniów sumienia. Schludna kobieta w okularach, bez cienia cierpienia i troski na twarzy jest lekarką, siedziała dziewięć lat. Odkąd wyszła trzy lata temu, uczestniczy w programach socjalnych i humanitarnych naszej partii. Jest też u nas parę uroczych osiemdziesięcioletnich pań, przychodzą stale od 1997 r., kiedy przewaliła się fala represji, tsunami, które posłało do więzień tylu naszych demokratycznych towarzyszy. Na jednym z partyjnych zebrań wezwałam żony, dzieci i rodziców aresztowanych, by wsparli sprawę i pokazali juncie, że nas nie pokona i że ci, którzy są jeszcze na wolności, poniosą sztandar tych, którym wolność odebrano. Sztandar poniosły m.in. uroczne starsze panie. I nadal niosą go nieustępliwie.

W lokalu NLD spotkacie kobiety i mężczyzn, o których Birmańczycy powiedzieliby, że są w sile wieku, tzn. po czterdziestce. Przystępując do Narodowej Ligi na rzecz Demokracji, mieli po dwadzieścia parę lat, a nawet mniej, mieli młode twarze i gorejące, wierne sprawie oczy. Teraz są spokojniejsi, dojrzalsi, bardziej zdeterminowani, a ich żarliwość wysubtelniała po przejściach. Nie pytamy, czy siedzieli w więzieniu, pytamy, ile razy.

Są też ludzie młodzi, ale nie nazbyt młodzi, by doświadczyć przesłuchania i aresztu. Twarze

rozjaśnia im nadzieja, ale nadzieja trzeźwa, bez rumienia złudzeń. Wiedzą, w co się wdali. Z całą świadomością rzucili wyzwanie przyszłości. Ich bronią jest wiara, ich zbroją żarliwa pasja – nasza pasja. Czym jest ta pasja? Jakiej sprawie służymy z zaangażowaniem, które każe nam porzucić wygody zwyczajnego życia? Zgodnie z tym, co Václav Havel nazwał głównym zadaniem dysydentów, poświęciliśmy się obronie prawa osoby ludzkiej do wolności i życia w prawdzie. Innymi słowy, naszą pasją jest wolność.

Pasja to też męka, chciałabym więc stwierdzić, że zarówno w kontekście politycznym, jak i religijnym oznacza ona cierpienie z wyboru – to świadoma decyzja, by przyjąć kielich, który chcemy oddalić. Niełatwo nam ją podjąć – nie lubimy cierpieć, nie jesteśmy masochistami. Wybieramy cierpienie tylko dlatego, że wysoko cenimy, czasem wbrew sobie, przedmiot naszej pasji.

5 maja 2003 r. auta członków i sympatyków NLD towarzyszących mi w kampanijnej podróży do Dabadżin w północnej Birmie zostały otoczone i zaatakowane przez nieznanych sprawców, działających, jak przypuszczamy, na zlecenie junty. Nadal nic nie wiadomo o napastnikach, jednak my, ofiary, trafiliśmy do aresztu. Ja trafiłam do owianego złą sławą więzienia w Insein, gdzie trzymano mnie w odosobnieniu w dość dobrych – co muszę przyznać – warunkach, w domku oddalonym od kwater reszty więźniów.

Podczas porannej gimnastyki – dobra kondycja to jeden z pierwszych obowiązków więźnia politycznego – przytapałam się na myśli, że to nie ja, bo ja nie umiałabym być taka spokojna. Zwinęłabym się bezsilnie w łóżku przerażona losem aresztowanych towarzyszy. Ilu pobito, ilu zabrano cholera wie gdzie, ilu nie żyje? Co z resztą NLD? Umierałabym z niepokoju i niepewności. To nie ja gimnastykuję się tu teraz sumienie jak jakaś fanatyczka siłowni. Nie pamiętałam wtedy strof Anny Achmatowej: „Nie, to nie ja – to ktoś inny cierpi. / Ja nie mogłabym tak, a to, co się zdarzyło / Niech czarne sukna zakry-

ją”². *Requiem* wróciło do mnie dużo później, w areszcie domowym. W chwili przypomnienia poczułam z niemal fizyczną siłą więź łączącą nas, którzy wtedy, gdy najbardziej trzeba nam było siły i odporności, liczyć mogliśmy na siebie samych.

Poezja łączy – nie zna granic przestrzeni ani czasu. U Win Tin – to ten w niebieskiej więziennej koszuli – podczas długiej sesji przesłuchań, którym go poddano, wspierał się wierszem *Invictus* Williama Ernesta Henleya. Wiersz ten inspirował mojego ojca i ówczesnych Birmańczyków do walki o niepodległość, jak inspirował tych, którzy walczyli o wolność w innych czasach i miejscach. Walka i cierpienie, uniesione dumnie skrwawione czoło, a nawet śmierć – wszystko w imię wolności.

Czym jest wolność, której tak żarliwie pragniemy? Nasi najżarliwsi dysydenci nie interesują się zbyt akademicką teorią. Gdyby mieli wytłumaczyć, co znaczy dla nich to słowo, wyrecytowaliby pewnie listę spraw najbardziej leżących im na sercu: żeby nie było już więźniów politycznych, żeby była wolność słowa i stowarzyszeń, żebyśmy mogli wybierać ustrój, jakiego sobie życzymy – najogólniej, żebyśmy mogli robić to, na co mamy ochotę. Może to brzmieć naiwnie, nawet niebezpiecznie naiwnie, ale odnosi się do wolności konkretnej, czegoś, co zdobywa się praktycznym działaniem, a nie pojęcia dającego się uchwycić wskutek rozumowania filozoficznego.

Zwolnioną z aresztu domowego pytano mnie, jak to jest być wolną. Odpowiadałam, że nie czuję różnicy, bo w duchu zawsze byłam wolna. Mówiłam o wewnętrznej wolności, która wypływa z podążania drogą harmonii z własnym sumieniem. Isaiah Berlin ostrzegał przed zagrożeniami uwewnętrznienia wolności. Pisał: „Duchową wolność, podobnie jak moralne zwycięstwo, trzeba odróżniać od bardziej fundamentalnego sensu wolności i utartego znaczenia zwycięstwa, inaczej istnieje niebezpieczeństwo pomieszania pojęć w teo-

rii i usprawiedliwiania ciemnienia w praktyce – w imię wolności”³.

Grozi nam niewątpliwie to, że zadowolwszy się wolnością duchową jako substytutem innych rodzajów wolności, popadniemy w bierność i rezygnację. Ale poczucie wolności wewnętrznej wzmacniać może dążenie do bardziej fundamentalnej wolności zewnętrznej, do zaprowadzenia praw człowieka i rządów prawa. Buddyzm naucza, że ostatecznym wyzwoleniem jest wyzwolenie z wszelkich pragnień. Można stąd wnioskować, że nauki Buddy wrogie są ruchom wolnościowym, dla których wolność to prawa człowieka i reformy polityczne. Zważmy jednak, że birmańscy mnisi buddyjscy uczestniczący w 2007 r. w *metta*, marszu miłującej dobroci, protestowali przeciwko drastycznym podwyżkom cen paliw prowadzącym do kolosalnego skoku cen żywności. Wykorzystali swój autorytet duchowy, by upomnieć się o podstawowe prawo człowieka do ogólnodostępnej żywności. Wiara w wolność duchową nie oznacza obojętności na praktyczny wymiar podstawowych praw i swobód uznawanych powszechnie za niezbędne do tego, by ludzie mogli żyć po ludzku.

Podstawowym prawem człowieka, które wysoko cenię, jest wolność od strachu. Od samych początków ruchu demokratycznego w Birmie musieliśmy walczyć z obezwładniającym uczuciem lęku przenikającym nasze społeczeństwo. Obcokrajowcy szybko zauważają, że Birmańczycy są ciepli i gościnni. Dodają ze smutkiem, że boją się poruszać tematy polityczne. Strach jest pierwszym wrogiem, któremu musimy stawić czoła, gdy przystępujemy do walki o wolność, i często towarzyszy nam do końca. Strachu nie musimy zupełnie się wyzbywać. Wystarczy tylko tyle, byśmy mogli dalej działać, bo działanie mimo strachu wymaga ogromnej odwagi.

„Nie, nie boję się. Po roku wdychania nocami więziennego powietrza uciekam w smutek, by tak

² Przekład Seweryna Pollaka i Eugenii Siemaszkiewicz (red.).

³ I. Berlin, *Wstęp* [w:] *Cztery eseje o wolności*, tłum. D. Lachowska, Warszawa 1994, s. 35 (red.).

nazwać tę ucieczkę. Nieprawda. Boję się, Kochany, ale udawaj, że tego nie widzisz”. Dzielnosc Iriny Ratuszyńskiej to codzienny los dysydentów. Udają, że się nie boją, wypełniając codzienne obowiązki, udają, że nie widzą, że inni też udają. To nie jest hipokryzja. To odwaga, którą trzeba świadomie podtrzymywać z dnia na dzień, z chwili na chwilę. Na tym polega walka o wolność, którą musimy toczyć, aż nadejdzie czas, gdy zyskamy prawo do wolności od strachu, jaki budzi okrucieństwo i niesprawiedliwość. Achmatowa i Ratuszyńska były Rosjankami. Henley był Anglikiem. Ale walka przeciw opresji i żarliwe pragnienie, by być panem swego losu, kapitanem swej duszy, jest wspólna wszystkim rasom.

O ogólnoludzkim pragnieniu wolności przypomniły nam poruszające wydarzenia na Bliskim Wschodzie. Birmańczycy jak wszyscy śledzili je podekscytowani. Jesteśmy nimi szczególnie zainteresowani z uwagi na wyraźne podobieństwa między tunezyjską rewolucją w grudniu 2010 r. a naszą rewoltą w 1988 r. Obie zaczęły się od drobnych, na pozór nieistotnych incydentów. Nieznany tunezyjski sprzedawca owoców pokazał, jak ważne są podstawowe prawa człowieka. Jeden skromny człowiek uprzytomnił światu, że jego ludzkie prawo do godności jest dla niego cenniejsze niż życie. Iskra roznieciła rewolucję. W ranguińskiej herbaciarni wybuchła kłótnia między studentami i miejscowymi, według studentów rozstrzygnięta przez policję niesprawiedliwie. Wybuchły demonstracje, w których zginął student Phone Maw. To była iskra, która wzniciła w całym kraju protesty przeciwko dyktaturze Partii Socjalistycznego Programu Birmy.

Przyjaciółka powiedziała mi pewnego razu, że przysłowiowe żdźbło, które przebrało miarę na grzbiecie wielbłąda, stało się nie do zniesienia wtedy, gdy zobaczył się on w lustrze. Pomyślał, że ciężar, który niesie, jest nie do przyjęcia, załamał się, odmówił niesienia uciążliwego ładunku. W Tunezji i Birmie lustrem tym była śmierć dwóch młodych mężczyzn – ludzie zobaczyli

w nim nieznośny ciężar niesprawiedliwości i ucisku. To naturalne, że młodzi tęsknią za wolnością. Pragnienie, by rozpostrzeć młode skrzydła, jest tyleż silne, co instynktowne. Nie jest dla nas w Birmie zaskoczeniem, że awangardą rewolucji była tunezyjska młodzież. Nie jest też zaskoczeniem, że wśród żądających prawa do decydowania o własnym losie wyróżnił się młody raper.

W Birmie raperzy są trzonem Fali Pokolenia, nieformalnej organizacji walczącej o demokrację i prawa człowieka. Wielu trafiło do więzień po „szafranowej rewolucji” mnichów, około piętnastu nadal w nich siedzi. Birmańskie władze, podobnie jak obalony właśnie tunezyjski rząd, nie lubią żywej, niekonwencjonalnej młodzieży. Widzą w niej zagrożenie dla porządku, który narzuciły naszemu krajowi. W oczach tych, którzy wierzą w wolność, młodzi raperzy są przyszłością nieskrępowaną więzami przesądów, arbitralnej władzy, przepisów, ucisku i niesprawiedliwości.

Podobieństwa między Tunezją i Birmą łączą na całym świecie ludzi żądających wolności. Są też różnice, które spowodowały tak odmienne skutki obu rewolucji. Pierwsza była taka, że tunezyjscy żołnierze nie strzelali do współplemieńców, a birmańscy tak. Druga, na dłuższą metę ważniejsza, była taka, że rewolucja tunezyjska skorzystała w ogromnym stopniu z dobrodziejstw rewolucji komunikacyjnej. Dzięki niej mogła lepiej organizować się i koordynować posunięcia, a także zwrócić na siebie uwagę światowej opinii publicznej. O każdej śmierci – nawet o każdej odniesionej ranie – świat dowiadywał się w parę minut. Rewolucjoniści libijscy, syryjscy, a teraz jemeńscy informowali na bieżąco światową publiczność o zbrodniach reżimów. Zdjęcie trzynastoletniego, zamęczonego na śmierć syryjskiego chłopca wzbudziło powszechne oburzenie, zmuszając polityków do publicznego potępienia reżimu w Syrii. Komunikacja to kontakt, a w przypadku bliskowschodnich rewolucji to kontakt bez ograniczeń.

Czy zazdrościmy Tunezyjczykom i Egipcjanom? Tak, zazdrościmy im szybkiej, pokojowej transfor-

macji. Ale nad zazdrością przeważa solidarność i świeży entuzjazm wobec tego, co jest wspólną sprawą wszystkich kobiet i mężczyzn ceniących ludzką godność i wolność. Dążąc do wolności, uczymy się być wolni. Wiara w wolność kierować ma naszym działaniem. Na tym polega życie w prawdzie, o którym mówił Václav Havel. Spełniamy nasze obowiązki z wolnej, nieprzymuszonej woli mimo niebezpieczeństw, na jakie się narażamy, próbując żyć w zniewolonym kraju jak wolni ludzie. Korzystamy z wolności wyboru, wybierając słuszną wedle nas drogę, nawet jeśli prowadzi to do ograniczenia innych naszych wolności, bo wierzymy, że wolność rodzi jeszcze więcej wolności. Stare kobiety i młodzi mężczyźni, którzy pracują za darmo w lokalu NLD, korzystają z prawa wyboru trudnej drogi do wolności. Mówiąc teraz do was, ja też korzystam z mojego prawa do swobodnego porozumiewania się i już samo to sprawia, że czuję się znacznie bardziej wolna.

Zgodnie z wizją Maxa Webera polityki jako powołania – nasz sprzeciw to powołanie. Podejmujemy dysydencką działalność w imię wolności, gotowi próbować raz po raz z zaangażowaniem, poczuciem odpowiedzialności i zachowaniem proporcji osiągnąć coś, co niektórym wydaje się niemożliwe. Walczymy z otwartymi oczami o urzeczywistnienie naszego marzenia o wolności.

Zakończę ten wykład moją ulubioną strofą Kiplinga, dziękując wielce Timothy'emu Gartonowi Ashowi, który zwrócił mi na nią uwagę. „Cesarzowi samemu nie ustąpiłbym miejsca, / Królom z drogi nie zeszedłbym precz, / Przed Zwierzchnikiem Kościoła nie uchyliłbym czoła! / Ale teraz – to inna wszak rzecz! / Nie chcę walczyć przeciwko napowietrznym Potęgom / – Przejsz mu dajcie, odzwierni gwardziści! / Most zwodzony niech spadnie: boć tu nami On władnie, / Ów marzyciel, co w prawdę sen ziści!”⁴.

II. O sprzeciwie

Kiedy z wielkim wahaniem zdecydowałam się na wykłady BBC im. Johna Reitha⁵, powodem była prosta chęć odkrycia, kim jesteśmy. Przez „my” rozumiem Narodową Ligę na rzecz Demokracji, NLD, jak też inne ugrupowania i osoby zaangażowane w birmańską kampanię na rzecz demokracji. O demokrację walczyliśmy od ponad dwudziestu lat, więc uznacie, że powinniśmy dobrze wiedzieć, kim jesteśmy. Tak, wiemy to, ale tylko do pewnego stopnia. Łatwo powiedzieć, że się należy do jakiejś partii, np. do NLD lub innej, ale potem sprawy się komplikują.

Uświadomiłam to sobie jasno w listopadzie zeszłego roku (2010), kiedy zwolniono mnie z trzeciego aresztu domowego. Należy się państwu wyjaśnienie. Wiele się zdarzyło, kiedy przebywałam w odosobnieniu, odcięta od świata zewnętrznego. Dwa godne szczególnej uwagi i – rzekłabym – niefortunne wydarzenia w Birmie to referendum w 2008 r. i wybory powszechne minionego listopada. Referendum miało udowodnić – taką przynajmniej miała nadzieję rządząca junta wojskowa – że ponad 90 proc. głosujących popiera nową konstytucję, konstytucję, która dawała wojsku prawo do przejęcia wszystkich uprawnień rządu, gdyby tylko uznało, że wymaga tego dobro narodu. Pierwsze od blisko dwudziestu lat wybory powszechne miały odbyć się zgodnie z tym, co generałowie dość śmiesznie nazwali „mapą drogową zdyscyplinowanej demokracji”.

I tu zaczynają się problemy. Aby uczestniczyć w wyborach, nowe partie musiały zarejestrować się w komisji wyborczej wraz ze starymi, które rejestrowały się jeszcze w 1988 r. Musiały zobowiązać się do przestrzegania konstytucji sprzed dwóch lat, a także usunąć ze swych szeregów wszystkie osoby odbywające karę więzienia, w tym odwołu-

⁴ R. Kipling, *Kim*, tłum. J. Birkenmajer, Poznań 1926 (red.).

⁵ Cykl corocznych wykładów radiowych emitowanych od 1948 r., prowadzonych przez ważne osobistości (red.).

jące się od wyroków. Dotyczyło to i mnie – gdyby NLD chciała się zarejestrować, musiałaby mnie wyrzucić. Prawa do bycia partią polityczną postanowiła dochodzić w sądzie, choć dobrze wiedzieliśmy, że birmańskie sądy nie są niezawisłe. Kiedy w zeszłym roku, ledwie dwa dni po wyborach, opuściłam areszt domowy, zasypano mnie gradem pytań. Czy Narodowa Liga na rzecz Demokracji jest organizacją nielegalną? Jak widzę rolę naszej partii, kiedy pojawiła się oficjalna, nieobejmująca nas opozycja? (skądinąd to parę partii dysponujących niespełna 15 proc. deputowanych do Zgromadzenia Narodowego).

Na pierwsze pytanie odpowiedź była prosta – nie jesteśmy organizacją nielegalną, nie naruszyliśmy żadnych przepisów skutkujących delegalizacją. Drugie pytanie – o rolę naszej partii – było trudniejsze, bo jej położenie stało się mniej jasne po wyborach 1990 r., w których zdobyła ona ponad cztery piąte głosów, czym zaszokowała rządzącą Państwową Radę Odbudowy Prawa i Porządku, bo taka była wtedy oficjalna nazwa birmańskiej junty wojskowej. Dodam, że przez lata militarnego reżimu powstał bogaty słownik orwellowskich terminów.

Są kraje, w których fałszuje się lub zawłaszcza wybory albo wybucha wojna o ich wyniki, ale Birma jest z pewnością jedynym, w którym wynik głosowania został oficjalnie uznany w rządowej gazecie, po czym nie stało się nic. Mimo obietnic junty, że po wyborach odpowiedzialność za rządy zostanie przekazana zwycięzcom, a wojsko wróci do koszar, nie zrobiono nic, by umożliwić zwycięskiej partii i wybranym posłom sprawowanie normalnych funkcji. Najwidoczniejszym skutkiem wyborów 1990 r. były systematyczne represje, spadające na wszystkie partie i organizacje, formalne i nieformalne, a także na osoby uporczywie domagające się spełnienia żądań birmańskiego narodu, który chce demokracji.

Wygraliśmy, ale te wybory były początkiem chudych lat NLD. Partia podejmowała usilne próby przetrwania – tylko tyle. Zewnętrzni obserwa-

rzy mogli to uznać za początek końca. Minął zaledwie rok, nim przewodniczący U Tin Oo i inni czołowi przywódcy partii zostali uwięzieni, a ja trafiłam do aresztu domowego. Kiedy po sześciu latach zwolniono U Tin Oo i mnie, stwierdziliśmy, że wielu naszych najlepszych działaczy nadal jest za kratami, wyemigrowało lub zmarło, niektórzy w więzieniu. Inni podupadli na zdrowiu po latach spędzonych w trudnych więziennych warunkach, bez minimum opieki zdrowotnej. Partia była zmuszona zamknąć większość lokali. Naszą działalność drastycznie ograniczały liczne przepisy i regulacje, a każdy nasz ruch śledził bacznie wszechobecny wywiad wojskowy. WW – „wuwu”, jak mówili z ponurą poufałością niektórzy – mógł zabrać każdego z nas o dowolnej porze (oni woleli środek nocy) pod dowolnym zmyślnym zarzutem. Jednak mimo ciągłych prześladowań nadal, inaczej niż dziś, pozostawaliśmy legalną partią polityczną, którą zaczęto nawet nazywać „opozycją”. Byliśmy więc opozycją, ale nieoficjalnie. Czy powinniśmy uznać, że nią jesteśmy, skoro przeciwstawiamy się rządowi, wszystko jedno – legalnemu czy nie?

W 1997 r. Państwowa Rada Odbudowy Prawa i Porządku zmieniła nazwę na Państwową Radę Pokoju i Rozwoju. Junta poszła za radą astrologów, którzy powiedzieli, że to konieczne, by zażegnać groźbę przewrotu, choć może znudziły się jej dowcipy z angielskiego skrótu SLORC (State Law and Order Restoration Council), który pachniał nieprzyjemnie sztucznymi organizacjami jak SMASH. Tego nie dowiemy się nigdy. Zgodnie z oficjalnym wyjaśnieniem nowa nazwa odpowiadać miała nowym, szerszym i ambitniejszym zadaniom junty, która ponoć zrealizowała już deklarowany cel, czyli zaprowadzenie prawa i porządku. Nie odbiega to nawet daleko od prawdy, bo prawo i porządek to po birmańsku tyle co spokój, zastraszenie, zdławienie, przyniesienie.

Prawo i porządek w reżimowym wydaniu budziły nasz zdecydowany sprzeciw – społeczeństwo spokojne, zastraszone, zdławione i przyniesione

było całkowitym przeciwieństwem tego, do czego dążyliśmy. NLD nabierała twardszych konturów, kiedy stanęliśmy wobec wyzwań niesionych przez walkę o przetrwanie w formie organizacji politycznej pod rządami wojskowej dyktatury. Poszukiwaliśmy idei i inspiracji w naszej kulturze i historii, w rewolucyjnych zmaganiach innych krajów, w myśli filozofów, w opiniach obserwatorów, uczonych i naszych przeciwników, w radach naszych zwolenników i przyjaciół. Musieliśmy wypracować możliwie skuteczne metody i formy działania w warunkach narzuconych nam przez juntę, starając się zarazem rozszerzać granice naszych możliwości. Ale nie mogliśmy, rzecz jasna, pełnić funkcji normalnej partii opozycyjnej.

W miarę nasilania się represji ci z nas, którzy działali w NLD, czuli, że w istocie rzeczy oddalamy się coraz bardziej od formuły konwencjonalnej opozycji. Byliśmy uznaną partią polityczną, cieszącą się największym poparciem w kraju i za granicą, z czym wiązał się ciężar odpowiedzialności. Jednak nie mieliśmy żadnych przywilejów przysługujących takiej partii w normalnych demokracjach i niemal żadnych elementarnych uprawnień legalnej organizacji politycznej. Byliśmy naraz czymś więcej i czymś mniej niż zwykła opozycja.

W jednym z pierwszych przemówień wygłoszonych w 1988 r. powiedziałam, że rozpoczynamy drugą batalię o niepodległość. Pierwsza, w połowie ubiegłego stulecia, dała nam wolność od rządów kolonialnych. Mieliśmy nadzieję, że druga uwolni nas od dyktatury wojskowej.

Doniosła rola, jaką w demonstracjach 1988 r. odegrali studenci, przypomina o tamtych studentach, którzy w latach trzydziestych wyszli na ulice, domagając się niepodległości i porwali za sobą kraj. Niektórzy stali się znanymi osobistościami, weszli do niepodległościowego rządu i byli przywódcami partyjnymi, aż zmiotł ich ze sceny politycznej zamach wojskowy 1962 r. Wielu tych weteranów walk o niepodległość szybko przystąpiło do ruchu na rzecz demokracji, stało się łącznikami między dawną a nową walką. Jednak dzieli

ich wiele różnic – najbardziej oczywista jest ta, że o ile nasi rodzice walczyli z władzą obcą, o tyle my starliśmy się z przeciwnikiem z tego samego narodu, tej samej rasy, religii i koloru skóry. Inna różnica, której wagę rzadko się dostrzega, polega na tym, że kolonialisci sprawowali rządy autorytarne, ale znacznie mniej totalitarne niż junta utrzymująca władzę od 1988 r.

Znana pisarka, która związała się z ruchem niepodległościowym jako studentka, a podczas japońskiej okupacji działała w podziemnym ruchu oporu, powiedziała mi w 1989 r., że w jej ocenie wyzwania, przed jakimi my stoimy, są znacznie większe od tych, z jakimi musieli zmierzyć się ona i jej towarzysze. Przed drugą wojną światową i w późniejszym okresie rządy prawa chroniły ruch niepodległościowy przed surowością brytyjskiej administracji. Kiedy kraj ogarnęła wojna i weszły wojska japońskie, nowo utworzona, dowodzona przez mojego ojca birmańska armia odgrywała rolę bufora między ruchem oporu a najgorszym elementem sił okupacyjnych. Poszukując idei i pomysłów taktycznych, które pomogłyby nam w walce, czerpaliśmy inspirację z sukcesu naszych ojców, ale nie mogliśmy ograniczyć się do własnej historii. Musieliśmy wyjść poza doświadczenia kolonialne.

Reżim tymczasem wołał trzymać się kurczowo przeszłości, zrzucał na kolonializm wszystkie bolączki narodu i oskarżał NLD o wspieranie neokolonializmu. Szukając w świecie idei i inspiracji, zwróciliśmy się w naturalny sposób ku naszemu bliskiemu sąsiadowi, Indiom. Przyjrzelśmy się taktyce i strategiom tamtejszego ruchu niepodległościowego, a także przemysłeniom i filozofii jego przywódców, szukając ważnych i użytecznych dla nas elementów.

Nauki Gandhiego o obywatelskim oporze *non violence* i sposoby, jakimi wcielał on w życie swoje teorie, weszły do praktycznego podręcznika tych wszystkich, którzy chcieli pokojowymi metodami obalać rządy autorytarne. Pociągała mnie metoda *non violence*, ale nie ze względów moralnych, jak

sądzą niektórzy. Chodziło mi o praktyczne względy polityczne. Rzecz nie sprowadza się do różnych pragmatycznych lub mieszanym interpretacji *non violence*, ruchu *satjagrahy* Mahatmy Gandhiego czy ruchu obywatelskiego Martina Luthera Kinga. Moje podejście opiera się na prostym przekonaniu, że musimy położyć kres tradycji siłowej zmiany rządów – tradycji, która stała się ciągłym utrapieniem birmańskiej polityki.

Kiedy w 1988 r. wojsko zdławiło powstanie, strzelając bez pohamowania i na oślep do nieuzbrojonych demonstrantów, setki studentów i innych działaczy uciekły przez granicę do Tajlandii. Wielu przekonanych, że – parafrazując – tych, co karabinem wojują, tylko karabin pokona, postanowiło sformować studenckie oddziały do walki o demokrację. Nigdy nie potępiałam i nie potępię drogi, którą obrali, bo mieli aż nadto argumentów dowodzących, że tylko zbrojne powstanie może obalić represyjne rządy. Ja drogę tę odrzuciłam, gdyż nie sądzę, by wiodła tam, dokąd chciałabym, żeby zmierzał mój naród.

O tych, którzy chwytają za broń, by uwolnić się od niesprawiedliwej dominacji, mówi się, że walczą o wolność. Mogą w imię patriotyzmu czy ideologii walczyć za kraj lub naród albo w imię równości i praw człowieka za tych, których łączy rasa lub wyznanie. Wszyscy oni walczą o wolność.

Kto nie strzela, tego nazywają działaczem. To ogólne określenie tych, którzy walczą o sprawy polityczne – działacze praw obywatelskich, działacze antyapartheidowi, działacze praw człowieka, działacze demokratyczni. Czy my, którzy ciągle mówimy o prawach człowieka i demokracji, należymy do tych dwóch ostatnich kategorii? Nazwać tych z nas, którzyśmy zaangażowali się w ruch na rzecz demokracji, działaczami demokratycznymi byłoby trafnym, ale za wąskim określeniem istoty naszej działalności. Politolog, który porównywał Indonezję Suharto z Birmą pod rządami dyktatury wojskowej, zauważył, że u nas wojsko „dokonało zamachu na całą cywilną politykę”. Wniosek z tej trafnej obserwacji jest taki, że za-

danie NLD nie sprowadza się do udziału w polityce – musimy odbudować struktury społeczne, w których cywile mieliby zapewnione należne im miejsce.

Nie chodziło nam jak opozycyjnym partiom o to, żeby jeden rząd zastąpić drugim. Nie chodziło nam też, jak można by oczekiwać po działaczach, o konkretne zmiany w ramach systemu. Żyliśmy i pracowaliśmy dla sprawy, która ogarniała ogół aspiracji naszego narodu, nie tak znowu różnych od aspiracji innych. Mimo usilnych prób reżimu odizolowania nas od reszty świata nigdy nie czuliśmy się w naszej walce osamotnieni. Nie czuliśmy się osamotnieni, bo z autorytaryzmem i uciskiem walczy ponad politycznymi i kulturowymi podziałami cała ludzkość.

Przez lata domowego aresztu radio – ten mój łącznik z wielkim, wspaniałym światem – pozwalało mi podróżować po nim tak łatwo jak po własnej ulicy. Z radia dowiedziałam się o akcjach NLD pod moim domem, o upadku muru berlińskiego, o rozpadzie bloku wschodniego, o konstytucyjnych przemianach w Chile, o postępach demokratyzacji w Korei Południowej, o klęsce apartheidu w RPA. Od rodziny dostawałam co pewien czas książki – pisma Václava Havla, wspomnienia Andrieja Sacharowa, biografie Nelsona i Winnie Mandelów, eseistykę Timothy’ego Gartona Asha. Południowa Afryka, Południowa Ameryka, Azja – gdziekolwiek żądano sprawiedliwości i wolności, tam byli nasi przyjaciele i sojusznicy.

Po uwolnieniu z aresztu domowego korzystałam z każdej okazji, by mówić Birmańczykom o odwadze i cierpieniach czarnych obywateli RPA, o życiu w prawdzie, o sile bezsilnych, o tym, czego możemy nauczyć się od tych wszystkich, dla których walka była ich życiem, tak jak naszym życiem jest nasza walka.

Nazwano mnie dysydentką – może dlatego, że tyle mówiłam o wschodnioeuropejskiej opozycji demokratycznej. Václav Havel zdawał się nie lubić tego określenia, nadanego jemu i innym obrońcom praw człowieka w Czechosłowacji przez za-

chodnich dziennikarzy. Wyjaśnił szczegółowo, co znaczy być dysydentem i czym jest ruch dysydencji w kontekście tego, co dzieje się w jego kraju. Za główne zadanie ruchu uznał służenie prawdzie – służenie temu, co jest prawdziwym celem życia – i to, że powinien on bronić prawa osoby ludzkiej, kobiety i mężczyzny, do życia w wolności i prawdzie. Na tym polega obrona praw człowieka i nasza walka o poszanowanie prawa. Dobrze oddaje to

sens tego, co robiliśmy przez lata jako NLD, więc z przyjemnością zgadzam się na nazwanie nas dysydentami. Oficjalny status naszej partii w oczach władz mało nas interesuje, bo nasze główne dysydenckie zadanie jest niezmiennie od lat, tak jak od lat niezmiennie pozostają powody, dla których jesteśmy dysydentami.

Tłum. Sergiusz Kowalski

SYLWETKI

AUNG SAN SUU KYI

Ojciec pani Suu Kyi, generał Aung San był jednym z przywódców walki o uwolnienie Birmy spod zależności kolonialnej. W 1947 r., na progu niepodległości, został zamordowany. Kraj pogrążył się w wojnie domowej, co utorowało drogę do władzy wojskowym. W 1962 r. w wyniku zamachu stanu rządy przejął gen. Ne Win, ogłaszając „birmańską drogę do socjalizmu”. Swobody obywatelskie stały się fikcją, cały biznes, handel i przemysł znalazły się pod kontrolą państwa, zagraniczne przedsiębiorstwa znacjonalizowano. Jedną trzecią budżetu pochłaniała armia walcząca z mniejszościami etnicznymi oraz komunistyczną partyzantką popieraną przez Chiny. Birma stała się jednym z najbiedniejszych krajów świata.

Gdy Ne Win ustąpił w 1988 r., wybuchła rewolta przeciwko dyktaturze. Podczas masowych demonstracji 8 sierpnia zginęło około 3 tys. ludzi, ale generałowie zgodzili się na przeprowadzenie pluralistycznych wyborów parlamentarnych. Na czele założonej kilka tygodni później Narodowej Ligi na rzecz Demokracji stanęła Aung San Suu Kyi.

Niewiele wskazywało, że córka narodowego bohatera Aunga Sana pójdzie w ślady ojca. Urodzona w 1945 r. opuściła kraj ojczysty jako czternastoletnia dziewczynka – wyjechała z matką, która została ambasadorem w Indiach. Następne kilkadziesiąt lat spędziła za granicą, głównie w Wielkiej Brytanii. Studiowała w Oksfordzie, doktorat z orientalistyki uzyskała na Uniwersytecie Londyńskim. Jej angielski mąż Michael Aris był znawcą kultury tybetańskiej. Zostawiła go wraz z dwoma synami w Anglii, gdy pojechała w 1988 r. do Birmy, by opiekować się chorą matką. Na scenie publicznej pojawiła się w końcu sierpnia tr., gdy stojąc pod portretem swego ojca podczas półmilionowej manifestacji w Rangunie, wezwała do drugiej kampanii na rzecz niepodległości i wprowadzenia rządów demokratycznych.

Nie wróciła już do Londynu. W następnym roku została uwięziona w areszcie domowym. Władze oferowały jej wolność w zamian za opuszczenie kraju, ale odmówiła. Choć przywódczyni ruchu nie mogła brać udziału w kampanii, NLD jako główna siła opozycyjna wygrała w 1990 r. wybory, zdobywając 59 proc. głosów i 80 proc. miejsc w parlamencie. Armia nie uznała jednak wyników i unieważniła głosowanie. Ruch demokratyczny zduszono za pomocą brutalnych represji, tysiące ludzi znalazło się w więzieniach i obozach pracy. Przebywająca w areszcie pani Suu Kyi stała

się symbolem walki o prawa obywatelskie – bez przemocy. W 1990 r. Parlament Europejski przyznał jej Nagrodę Sacharowa, w roku następnym otrzymała pokojową Nagrodę Nobla, którą odebrali w jej imieniu synowie. Pieniądze – ponad milion dolarów – przeznaczyła, tak jak Lech Wałęsa, na fundację na rzecz zdrowia i edukacji Birmańczyków.

Nie chciała wyjechać z kraju w obawie, że nie zostanie wpuszczona z powrotem. Jej mężowi, który zachorował na raka, władze nie pozwoliły przyjechać do Rangun. Zmarł w Anglii w 1999 r. W krótkich okresach wolności Aung San Suu Kyi próbowała wznowić działalność opozycyjną, podróżując po kraju, ale była atakowana przez wynajętych zbirów. Gdy we wrześniu 2007 r. Birmę objęła fala protestów z udziałem studentów i mnichów buddyjskich, mogła tylko bezsilnie obserwować, jak reżim tłumi kolejną społeczną rewoltę. W sumie w areszcie domowym spędziła 15 z 21 ostatnich lat. Zwolniono ją w listopadzie 2010 r., po zmianie konstytucji i przedstawianych jako krok w stronę demokratyzacji wyborach do parlamentu. NLD nie wzięła w nich udziału. Rządowa gazeta „Nowe Światło Myanmaru” (nazwa nadana Birmie przez reżim wojskowy) ogłosiła, że pani Aung San została ułaskawiona „za dobre sprawowanie” w czasie odbywania kary.

Dom, w którym Suu Kyi spędziła lata aresztu, państwo ofiarowało kiedyś jej rodzinie w uznaniu zasług jej ojca. W grudniu 2011 r. przyjechała w nim Hillary Clinton, sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych, która przyjechała do Rangun, aby na-

mawiać rządzących (teraz w cywilu) generałów do dalszych ustępstw. Odwilż objęła złagodzenie cenzury, wypuszczenie części spośród kilku tysięcy więźniów politycznych, zgodę na tworzenie związków zawodowych. W ubiegłym roku „the Lady”, jak panią Aung San nazywają rodacy, spotkała się z prezydentem Theinem Seinem, który czyni gesty otwarcia w stronę opozycji. Dyplomacja amerykańska i inni zachodni obserwatorzy widzą szanse na podjęcie ograniczonych reform, co jest warunkiem koniecznym zniesienia sankcji międzynarodowych. Jednak najważniejsza kwestia – antydemokratyczna konstytucja oddająca armii i jej reprezentacji w parlamencie ostatnie słowo w sprawach państwa – pozostaje zamknięta.

Narodowa Liga na rzecz Demokracji nie uznała nowej konstytucji i zbojkotowała wybory w 2010 r. „Czasami parodia demokracji jest bardziej niebezpieczna niż niczym nieskrywana dyktatura, bo daje ludziom pretekst do bierności” – mówiła dziennikowi „The Financial Times” przywódczyni NLD rok temu. Teraz jednak uznała, że należy wykorzystać nawet minimalną szansę na dialog i zdecydowała się stanąć do wyborów uzupełniających. Decyzja ta spotkała się z krytyką radykalnych opozycjonistów jako przedwczesna i otwierająca reżimowi drogę do legitymizacji. Przed birmańskim ruchem demokratycznym – tak jak przed Solidarnością w latach 1988–1989 – stoi wybór pomiędzy integralnym oporem wobec dyktatury a próbami znalezienia kompromisu.

Jan Skórzyński

ZROZUMIEĆ ARABSKIE REWOLUCJE

JACK A. GOLDSTONE

socjolog i politolog amerykański,
wykłada na George Mason University.

Autor i współautor wielu książek,
m.in. *Revolution and Rebellion in the*

Early Modern World (1991),

Revolutions of the Late Twentieth

Century (1991), *Why Europe?*

The Rise of the West in

World History, 1500–1850 (2009).

Rewolucyjna fala, która przetoczyła się przez Bliski Wschód, jest uderzająco podobna do minionych wstrząsów politycznych¹. Tak jak w 1848 r. w Europie, wzrost cen żywności i wysokie bezrobocie wywołały protesty społeczne od Maroka po Oman. Tak jak w 1989 r. w Europie Wschodniej i Związku Radzieckim, frustracja, jaką rozdził zamknięty, skorumpowany i obojętny na ludzkie potrzeby system polityczny, doprowadziła do dezercji wysokich urzędników i upadku silnych reżimów w Tunezji i Egipcie, a wkrótce² może też w Libii. A jednak lata 1848 i 1989 nie są dla wydarzeń minionej zimy dobrą analogią. Rewolucje 1848 r. dążyły do obalenia tradycyjnych monarchii, a 1989 r. – rządów komunistycznych. Rewolucje 2011 r. walczyły z czymś zupełnie innym – z dyktaturami „sultańskimi”. Reżimy te sprawiają często wrażenie niewzruszonych, a w rzeczywistości są bardzo słabe, gdyż osłabiają je ich własne strategie utrzymania władzy. Choć masowe protesty wstrząsnęły niemal całym Bliskim Wschodem, nie przypadkiem rewolucje, które dotychczas zwyciężyły – w Tunezji i Egipcie – uderzały we współczesnych sultanów.

Zwycięstwo rewolucji wymaga zbiegu wielu czynników. Panować musi powszechne poczucie, że rządy, nieuleczalnie niesprawiedliwe i nieudolne, stanowią zagrożenie dla przyszłości kraju. Nieutożsamiające się już z państwem elity, zwłaszcza wojskowe, muszą stracić chęć do jego obrony. Musi dojść do mobilizacji szerokich rzesz społeczeństwa, w tym grup etnicznych, religijnych i klas społeczno-ekonomicznych. Wreszcie, obce mocarstwa muszą powstrzymać się od interwencji w obronie reżimu lub powstrzymać reżim przed dalszą eskalacją siły w obronie własnej.

Rewolucje rzadko zwyciężają, bo rzadko dochodzi do połączenia się wszystkich tych czynników. Jest tak zwłaszcza w tradycyjnych monarchiach i państwach monopartyjnych, których przywódcy często zyskują społeczne poparcie, żądając uszanowania korony lub odwołując się do uczuć nacjonalistycznych. Aby zdradziły je elity czerpiące z tych rządów korzyść, muszą radykalnie zmienić się okoliczności lub ideologia rządzących. W niemal wszystkich przypadkach trudno o szeroką mobilizację społeczną, która wymaga pogodzenia rozbieżnych interesów biedoty miejskiej i więj-

¹ Artykuł publikujemy za „Foreign Affairs”, maj–czerwiec 2011, s. 8–16 (red.).

² Tekst pisany był przed obaleniem reżimu Muammara Kaddafiego (red.).

skiej, klas średnich, studentów, pracowników wykwalifikowanych, różnych grup etnicznych i religijnych. W historii pełno jest szybko stłumionych ruchów studenckich, strajków robotniczych i powstań chłopskich – z powodu niezdolności do sformowania koalicji ich zasięg ograniczał się do jednej grupy społecznej. Interweniowały też często inne kraje, pragnące wesprzeć rządzących z troski o utrzymanie ładu międzynarodowego.

Jednak są też inne dyktatury, zwykle bardziej kruche i rzadko żyjące dłużej niż jedno pokolenie – to reżimy sułtańskie. Rodzą się one, gdy przywódca kraju poszerza swą władzę kosztem instytucji ustrojowych. Dyktatorzy ci nie odwołują się do żadnej ideologii i nie mają innych celów poza utrzymaniem władzy. Mogą zachować niektóre formalne elementy demokracji – wybory, partie, parlament czy konstytucję, ale rządzą ponad nimi, umieszczając w kluczowych miejscach swoich ludzi i wprowadzając co pewien czas stan wyjątkowy, usprawiedliwiany zewnętrznym bądź wewnętrznym zagrożeniem.

Gromadzą oni zwykle po cichu wielkie fortuny, za które kupują lojalność stronników i karzą opornych. Ponieważ potrzebują środków do napędzania maszyny klientelizmu, najczęściej wspierają rozwój gospodarczy, uprzemysłowienie, eksport i edukację. Nawiązują też stosunki z zagranicą, obiecując stabilizację w zamian za pomoc i inwestycje. Do kraju napływają bogactwa, ale większość z nich trafia do sułtana i jego stronników.

Sułtan nowego typu kontroluje wojsko na zasadzie „dziel i rządź”. Siły bezpieczeństwa dzieli zwykle na wiele formacji (wojska lądowe, powietrzne, policja, wywiad), z których każda podlega mu bezpośrednio. Trzyma w ręku nici kontaktów między dowództwami, między wojskiem i instytucjami cywilnymi, a także z zagranicą, co czyni go niezastąpionym w koordynacji sił bezpieczeństwa i zawiadywania strumieniem zagranicznej pomocy i inwestycji. Zwykle nie mianuje następcy, by podsycać lęk przed odcięciem pomocy i dezorganizacją polityczną, kiedy go zabraknie.

Sułtan dba o utrzymanie mas w stanie apolityczności i niezorganizowania, kontrolując wybory i partie polityczne; kupuje też elektorat, dotując kluczowe dobra, takie jak energia elektryczna, benzyna i żywność. W połączeniu z inwigilacją, cenzurą i zastraszaniem przeciwników zapewnia to zwykle bierność zatamizowanego społeczeństwa.

Realizując ten schemat, doświadczeni polityczni sułtani całego świata trzymają w ręku ogromne bogactwa i skoncentrowaną władzę. Do najślawniejszych w najnowszych dziejach należeli Porfirio Díaz w Meksyku, szach Mohammad Reza Pahlawi w Iranie, dynastia Somoźów w Nikaragui, dynastia Duvalier na Haiti, Ferdynand Marcos na Filipinach i Suharto w Indonezji.

Ale jak przekonali się wszyscy dawni i jak przekonuje się nowe pokolenie sułtanów na Bliskim Wschodzie – Baszar al-Assad w Syrii, Omar al-Baszir w Sudanie, Zine el-Abidine ben Ali w Tunezji, Hosni Mubarak w Egipcie, Muammar Kaddafi w Libii i Ali Abdullah Salah w Jemenie – zbyt skoncentrowaną władzę czasem trudno utrzymać.

Papierowe tygrysy

Mimo tych służących przetrwaniu zabiegów w sułtańskie dyktatury wpisana jest naturalna, z czasem coraz wyraźniejsza słabość. Sułtani muszą dbać o równowagę między własnym zyskiem a nagrodą dla elit; jeśli zajmą się sobą i przestaną dbać o elity, zniknie główna motywacja zapewniająca ich współpracę. Kiedy czują się mocniejsi i niezastąpieni, korupcja jest coraz bezczelniejsza, zawęża się do wewnętrznego kręgu dyktatora. Monopolizując zagraniczną pomoc i inwestycje lub dopuszczając do zbyt bliskiego zbliżenia z niepopularnymi mocarstwami, sułtan może zrazić do siebie elity i inne grupy społeczne.

Wraz z rozwojem gospodarczym i postępami edukacji pod sułtańską dyktaturą rośnie odsetek ludzi z wyższymi aspiracjami, którym bardziej przeszkadzają ingerencje policji, inwigilacja

i nadużycia władzy. Gdy liczba ludności szybko wzrasta, ale większość zdobytcy ekonomicznych zagarniana jest przez elitę, rosną też nierówności i bezrobocie. Wzrost kosztów dotacji i innych programów, dzięki którym reżim kupuje sobie obywateli, sprawia, że coraz trudniej trzymać ich z dala od polityki. Kiedy wybuchają protesty, sułtan może obiecać reformy lub rozszerzyć świadczenia – tak jak Marcos na Filipinach w 1984 r., by udaremnić eskalację niezadowolenia społecznego. Jak jednak przekonał się dwa lata później, gdy ludzie zaczynają się głośno domagać ukrócenia sułtańskich rządów, przestają im wystarczać ochłapy rzucane przez reżim.

Sułtańskie reżimy słabną, gdy władca się starzeje i powstaje problem sukcesji. Sułtani potrafią czasem przekazać rządy młodszemu członkowi rodziny. Możliwe jest to tylko wówczas, gdy rząd jest skuteczny i zachowuje poparcie elity (jak w 2000 r. w Syrii, gdzie prezydent Hafez al-Assad przekazał władzę synowi, Baszarowi) albo zyska wsparcie innego kraju (jak w 1941 r. w Iranie, gdy Zachód pomógł szachowi Rezie przekazać rządy synowi, Mohammadowi Rezie Pahlawiemu). Jeżeli skorpumpowany reżim zdąży zrazić do siebie elitę, mogą one zwrócić się przeciwko niemu i starać się nie dopuścić do sukcesji, próbując odzyskać kontrolę nad państwem (jak pod koniec lat dziewięćdziesiątych w Indonezji, gdy azjatycki kryzys finansowy podkopał klientelistyczny system Suharto).

W bezkonfliktowym przekazaniu władzy przeszkadza też niezastępowalność sułtana. Większość ministrów i wysokich urzędników zbyt jest identyfikowana z przywódcą, by przetrwać jego upadek. Zawiodła np. próba uniknięcia rewolucji, którą szach podjął w 1978 r., gdy zamiast siebie postawił na czele rządu premiera Szapura Bachtia; rok później upadł jego reżim. Takie posunięcia nie zaspokajają ani rozbudzonych mas dążących do głębokich przemian ekonomiczno-politycznych, ani elit zawodowych, które wyszły na ulice miast, by domagać się udziału w rządach.

Są wreszcie siły bezpieczeństwa. Rozdzielając struktury dowodzenia, sułtan może zmniejszyć zagrożenie z ich strony. Jednak kiedy już dojdzie do buntu, wskutek tej strategii łatwiej im przejść na stronę buntowników. Rozdział dowództw prowadzi do rozłamów, a jako że za reżimem nie stoi żadna atrakcyjna ideologia ani niezależne instytucje, wojsko ma słabsze motywacje do tłumienia protestu. Dowódcy mogą uznać, że zmiana reżimu lepiej posłuży interesom kraju. Kiedy część armii wymówi posłuszeństwo – jak za Díazą, szacha irańskiego, Marcosa i Suharto – rząd upada z oszałamiającą szybkością. W końcu otumaniony władca, ciągle przekonany, że jest niezastąpiony, budzi się nagle izolowany i samotny.

Słabość sułtana widać często z perspektywy czasu. Łatwo wskazać kraje autorytarne nękanie korupcją i bezrobociem, to natomiast, w jakiej mierze elity były przeciwne reżimowi, a armia skłonna do wymówienia posłuszeństwa, widać dopiero wtedy, gdy wybuchną masowe protesty. Elity i wojskowi mają przecież wszelkie powody, by do ostatniej chwili skrywać swoje prawdziwe uczucia, a nie sposób przewidzieć, co sprowokuje naprawdę masową mobilizację. Gwałtowny upadek reżimów sułtańskich jest więc często zaskoczeniem.

Czasem wojsko nie od razu przechodzi na stronę rebelii. Na przykład w latach siedemdziesiątych w Nikaragui Anastasio Somoza Debayle wysyłał do walki z buntownikami lojalne oddziały Gwardii Narodowej. Ale rzadko trwa dłużej także ten reżim, który może liczyć na lojalne wojska. Po prostu upada później, co łączy się z większym rozlewem krwi, a nawet wojną domową. Sukces Somozy w 1975 r. był krótkotrwały – eskalacja okrucieństwa i korupcji spowodowała w następnych latach narastający bunt. Po kilku zaciętych bitwach dotąd lojalne oddziały zaczęły dezertować, a sam dyktator w 1979 r. uciekł z kraju.

Zmienić sytuację może też presja międzynarodowa. Ostateczny cios rządowi Marcosa zadały Stany Zjednoczone, cofając wszelkie poparcie po jego „zwycięstwie” w wyborach prezydenckich w 1986 r.

Kiedy odwrócili się od niego Amerykanie, wycofali się też pozostali zwolennicy, a wtedy pokojowa „rewolucja różańcowa” zmusiła go do emigracji.

Socjalna katastrofa

Rewolucje na Bliskim Wschodzie wieszczą upadek coraz bardziej skorumpowanych reżimów sułtańskich. W minionych latach region odnotował wzrost gospodarczy, ale zyski ominęły większość społeczeństwa i spłynęły do kieszeni nielicznych bogatych. Mubarak z rodziną zgromadził ponoć fortunę wartą 40–70 mld dolarów, a 39 wysokich urzędników i przedsiębiorców z otoczenia jego syna Gamala dorobiło się po miliardzie. Jak doniósł portal Wikileaks, w 2008 r. amerykański dyplomata depeszcował z Tunezji z ostrzeżeniem, że korupcja sięga szczytu, rodzina ben Alego stała się tak pazerna, że ustały inwestycje, nie powstają nowe miejsca pracy, a ostentacja rodziny rządzącej budzi powszechne oburzenie.

Szybko rosnące i urbanizujące się populacje Bliskiego Wschodu ucierpiały wskutek niskich płac i wzrostu cen żywności, tylko w 2010 r. ocenianego przez FAO na 32 proc. Jednak nie drożyzna ani gospodarcza stagnacja wywołują rewolucje, tylko utrzymująca się powszechna i beznadziejna nędza pośród coraz bardziej ostentacyjnego bogactwa. Przyczyną niezadowolenia było też wysokie bezrobocie, wynikające po części z szybkiego przyrostu w świecie arabskim populacji młodzieży. Odsetek młodych w wieku 15–29 lat wśród ogółu ludności powyżej piętnastego roku życia waha się od 38 proc. w Bahrajnie i Tunezji do ponad 50 proc. w Jemenie (w porównaniu do 26 proc. w Stanach Zjednoczonych). Odsetek młodzieży w krajach Bliskiego Wschodu jest szczególnie wysoki, a jej liczebność rosła gwałtownie w krótkim czasie. Od 1990 r. populacja młodzieży w wieku 15–29 lat wzrosła o 50 proc. w Libii i Tunezji, o 65 proc. w Egipcie i o 125 proc. w Jemenie.

Dzięki modernizacyjnej polityce sułtańskich rządów w tych krajach wielu młodych ludzi,

zwłaszcza w ostatnich latach, zapisało się na uniwersytety. W ostatnich dziesięcioleciach nabór na uczelnie gwałtownie wzrósł w całym regionie – trzykrotnie w Tunezji, czterokrotnie w Egipcie, pięciokrotnie w Libii. Zadaniu tworzenia w równym tempie miejsc pracy nie podołałby jednak żaden kraj. Dla rządów sułtańskich był to szczególnie trudny problem. W ramach strategii kupowania poparcia ben Ali i Mubarak od dawna subsydiowali robotników i rodziny za pomocą takich programów jak tunezyjski Narodowy Fundusz Zatrudnienia, który organizował szkolenia dla robotników, tworzył miejsca pracy i udzielał pożyczek, czy egipska polityka gwarantowanego zatrudnienia absolwentów uczelni. Jednak w minionej dekadzie, redukując wydatki, wycofywano się stopniowo z programów bezpieczeństwa socjalnego. Kształcenie zawodowe pozostawało na niskim poziomie, a dostęp do państwowych czy nawet prywatnych miejsc pracy podlegał ścisłej kontroli reżimu. Doprowadziło to do ogromnego bezrobocia wśród młodzieży na całym Bliskim Wschodzie – w 2009 r. wynosiło ono średnio 23 proc., czyli dwa razy więcej niż średnia światowa. Jeszcze gorzej kształtowały się wskaźniki bezrobocia wśród osób wykształconych – w Egipcie absolwent uczelni ma dziesięć razy mniejszą szansę na pracę niż osoba z wykształceniem podstawowym.

W wielu krajach rozwijających się część bezrobotnych wchłania szara strefa. Jednak bliskowschodni sułtani utrudnili i to. Przypomnijmy, że rozruchy w Tunezji wybuchły po samospaleniu 26-letniego Mohameda Bouaziziego, któremu policja skonfiskowała stragan z owocami. Wykształcona młodzież tunezyjska i egipska oraz robotnicy od lat protestowali lub strajkowali na mniejszą skalę, by zwrócić uwagę na wysokie bezrobocie, niskie płace, policyjne represje i korupcję urzędników. Tym razem ich protesty złączyły się w jeden nurt, ogarniający też inne warstwy społeczne.

Wojskowych coraz bardziej raziła pazerność i bezwstydną korupcja rządzących. Ben Ali i Mubarak wyszli z szeregów oficerów zawodowych,

a Egiptem byli wojskowi rządzili od 1952 r. Jednak w obu krajach status sił zbrojnych wyraźnie się pogarszał. Egipscy oficerowie kontrolowali część lokalnego biznesu, ale czuli żywiołową niechęć do Gamala Mubaraka, namaszczonego następcę Hosniego. Jako bankier wołał on budować wpływy przy pomocy biznesu i politycznych zauszników niż wojska, a związani z nim ludzie czerpali ogromne zyski z państwowych monopolii i umów z kontrahentami zagranicznymi. W Tunezji ben Ali trzymał wojsko na dystans, dbając, by nie nabrało ambicji politycznych. Jednak pozwolił żonie i jej krewnym wydusić pieniądze z przedsiębiorców tunezyjskich i pobudować nadmorskie rezydencje. W obu krajach urazy żywione przez wojskowych zniechęcały ich do rozprawy z demonstrantami – oficerowie i żołnierze nie chcieli zabijać rodaków, by ocalić rządy rodzin i faworytów ben Alego i Mubaraka.

W Libii podobnie – dezercja części armii doprowadziła do szybkiej utraty przez Kaddafiego znacznych terytoriów. Kiedy to piszę, chronią go jeszcze najemnicy i sprzyjają zobowiązania plemienne³. W Jemenie prezydent Salah ledwie utrzymuje się na powierzchni dzięki pomocy Stanów Zjednoczonych udzielanej w zamian za zwalczanie islamistycznych terrorystów i dzięki plemiennym waśniom wśród jego przeciwników. Ale jeśli opozycja się zjednoczy, do czego, jak się wydaje, właśnie dochodzi, a Stany Zjednoczone stracą ochotę na wspieranie jego coraz surowszego reżimu, Salah może okazać się kolejnym obalonym sułtanem⁴.

Granice rewolucji

Kiedy to piszę, w innych sułtanatach regionu, Sudanie i Syrii, nie doszło jeszcze do protestów

na szerszą skalę. Jednak korupcja reżimu Baszira i koncentracja bogactwa w Chartumie osiągnęły zupełnie bezwstydne rozmiary. Jedno z historycznych uzasadnień jego rządów – jedność Sudanu pod kontrolą północy – znikło w styczniu 2011 r., po przegłosowaniu przez południowy Sudan niepodległości. W Syrii Assad utrzymał na razie poparcie nacjonalistów dzięki twardej polityce wobec Izraela i Libanu. Realizuje szerokie państwowe programy zatrudnienia, przez dziesięciolecia tłumiące aktywność Syryjczyków, ale brak mu dostatecznej bazy społecznej; jest zależny od wąskiej elity, której korupcja ma coraz gorszą sławę. Trudno powiedzieć, do jakiego stopnia elity i wojsko są wierne Baszirowi i Assadowi, ale oba reżimy są najpewniej słabsze niż się wydaje i gdy dojdzie do masowych protestów, mogą szybko upaść⁵.

Łatwiej utrzymać władzę monarchom. Nie dlatego, że nikt nie żąda tam zmian. Maroko, Jordania, Oman i królestwa Zatoki Perskiej stoją przed takimi samymi wyzwaniami demograficznymi, edukacyjnymi i gospodarczymi jak reżimy sułtańskie i by im sprostać, muszą dokonać reform. Jednak współczesne monarchie mają jedną wielką przewagę – jest nią elastyczność struktur politycznych. Królowie mogą sprawować w szerokim zakresie władzę wykonawczą, cedując władzę ustawodawczą na obieralne parlamenty. Gdy dochodzi do niepokojów, tłumy skłonne są żądać nie zniesienia monarchii, tylko lepszych ustaw. Daje to władcy większe możliwości manewru przy zaprowadzaniu porządku. Na przykład w obliczu protestów w 1848 r. monarchie niemieckie i włoskie rozszerzyły swobody konstytucyjne, okroili absolutną władzę królewską i zaakceptowały obieralne legislatury jako cenę za oddalenie groźby eskalowania rewolucji.

³ Reżim Kaddafiego upadł ostatecznie w sierpniu 2011 r., a jego przywódca został zabity 20 października (red.).

⁴ W listopadzie 2011 r. prezydent Salah zawarł porozumienie z opozycją, na mocy którego ma stopniowo oddać władzę w zamian za immunitet dla siebie i swojej ekipy (red.).

⁵ W Syrii antyreżimowe protesty na coraz większą skalę zaczęły się w marcu 2011 r. (red.).

W monarchiach objęcie tronu przez dziedzica może przynieść zmiany i reformy, a nie upadek całego systemu. Prawowita zmiana władcy bywa pożądana; nie budzi lęku jak w typowych republikach sułtańskich. W 1999 r. marokańska opinia publiczna powitała wstąpienie na tron króla Mohammeda VI z wielką nadzieją na zmiany. I rzeczywiście – Mohammed wdrożył śledztwo w sprawie niektórych bezprawnych działań administracji w minionym okresie i wzmocnił nieco prawa kobiet. Uciszył protesty obietnicą szerokiej reformy konstytucjonalnej. Władcy Bahrajnu, Jordanii, Kuwejtu, Maroka, Omanu i Arabii Saudyjskiej mogą utrzymać tron, jeśli będą gotowi podzielić się władzą z obranymi urzędnikami albo przekazać ją młodszemu członkowi rodziny, którzy zapowiedzą głębokie reformy.

Krajem, który w najbliższej przyszłości uniknie chyba poważniejszych zmian, jest Iran. Panuje tam reżim sułtański, jednak pod wieloma względami odmienny – w odróżnieniu od reszty krajów regionu ajatollahowie głoszą antyzachodnią ideologię szyizmu i perski nacjonalizm, cieszący się znacznym poparciem ogółu. Czyni to z Iranu raczej dysponujące szeroką bazą społeczną państwo partyjne. Państwem kieruje nie jeden człowiek, ale zespół silnych przywódców – najwyższy duchowy przywódca Ali Chamenei, prezydent Mahmud Ahmadineżad i przewodniczący parlamentu Ali Laridżani. Nie ma więc jednego, skorumpowanego i nieudolnego sułtana, na którym można skupić złość. Wreszcie, irański reżim ma poparcie silnie powiązanej z rządem, ideologicznej milicji Basidż i Strażników Rewolucji. Nikłe są nadzieje na ich dezercję w przypadku masowych protestów.

Po rewolucjach

Ci, którzy liczą na szybkie zaprowadzenie w Tunezji i Egipcie stabilnych demokracji, pewnie się rozczarują. Rewolucje są początkiem długiego procesu. Nawet po pokojowej rewolucji trzeba zwykle pięciu lat na konsolidację jakichkolwiek sta-

bilnych rządów. Jeśli dojdzie do wojny domowej lub kontrrewolucji (co chyba dzieje się w Libii), rekonstrukcja potrwa jeszcze dłużej.

Kiedy kończy się rewolucyjny miesiąc miodowy, wychodzą na jaw podziały w opozycji. Pierwszym, oczywistym krokiem jest rozpisanie wyborów, ale już kampania wyborcza i pierwsze decyzje nowej legislatury stają się okazją do dyskusji o podatkach i budżecie państwa, o korupcji, polityce zagranicznej, roli armii, uprawnieniach prezydenta, o polityce państwa w dziedzinie prawa i praktyk religijnych, o prawach mniejszości itp. Żąarta walka o władzę między konserwatystami, populistami, islamistami oraz zwolennikami modernizacji i reform w Tunezji, Egipcie i może Libii zapowiada długi okres kolejnych zmian u sterów i politycznych zwrotów – jak po rewolucjach na Filipinach i w wielu krajach Europy Wschodniej.

Część rządów zachodnich, które od dawna popierały ben Alego i Mubaraka jako zaporę przeciw napierającej fali radykalnego islamu, boi się teraz islamistów szykujących się do przejęcia władzy. Bracia Muzułmańscy, którzy są w Egipcie najlepiej zorganizowanym ugrupowaniem opozycyjnym, mają duże szanse w wolnych wyborach, zwłaszcza rozpisanych szybko, zanim zorganizują się inne partie. Jednak historia rewolucji w krajach rządzonych przez reżimy sułtańskie łagodzi nieco te obawy. Żadnego sułtana obalonego w ostatnich trzydziestu latach – m.in. na Haiti i Filipinach, w Rumunii, Zairze, Indonezji, Gruzji i Kirgistanie – nie zastąpił rząd ideologów czy radykałów. Produktem końcowym była zawsze demokracja – ułomna, często skorumpowana i podatna na autorytarne pokusy, ale nie agresywna ani ekstremistyczna.

Oznacza to istotny zwrot w historii świata. W latach 1949–1979 każda rewolucja wymierzona w sułtański reżim – w Chinach, na Kubie, w Wietnamie, Kambodży, Iranie i Nikaragui – kończyła się przejściem władzy przez komunistów lub islamistów. Podówczas większość intelektualistów w krajach rozwijających się wolała komunistyczną rewolucję od państwa kapitalistycznego. W Iranie

zaś chęć uniknięcia tak kapitalizmu, jak i komunizmu oraz rosnąca popularność modelu tradycyjnej dominacji kleru szyickiego zaowocowały żądaniem wprowadzenia rządów islamistycznych. Jednak od lat osiemdziesiątych modele komunistyczny i islamistyczny straciły bardzo na atrakcyjności. Uważa się powszechnie, że nie zrealizowały one obu podstawowych celów wszystkich niedawnych antysułtańskich rewolucji, jakimi są wzrost gospodarczy i odpowiedzialność rządzących przed rządzonymi.

Ponieważ wysokie bezrobocie przyspiesza zmianę rządów, w Stanach Zjednoczonych odezwały się głosy sugerujące nowy plan Marshalla, który ustabilizowałby region bliskowschodni. Jednak w 1945 r. Europa miała za sobą demokratyczne tradycje i zniszczoną, wymagającą odbudowy infrastrukturę, natomiast dziś Tunezja i Egipt mają nienaruszone gospodarki, mogą poszczycić się znakomitą stopą wzrostu, lecz muszą budować od podstaw demokratyczne instytucje. Pompowanie pieniędzy w te kraje w sytuacji, gdy nie powstały jeszcze demokratyczne rządy, napędzi tylko korupcję i utrudni postępy demokracji.

Co więcej, Stany Zjednoczone i inne kraje Zachodu nie cieszą się na Bliskim Wschodzie zaufaniem, bo od dawna popierały dyktatury sułtańskie. Podejrzenia wzbudzi każda próba wykorzystania pomocy do wsparcia konkretnych ugrupowań czy wpływania na wynik wyborów. Od świata rewolucjonistów oczekują wyraźnego wsparcia procesu demokratyzacji, gotowości zaakceptowania wszystkich, którzy przestrzegają demokratycznych reguł gry, i przychylnych reakcji na każdą prośbę o pomoc w budowaniu instytucji ustrojowych.

Największym ryzykiem, przed jakim stoją dziś Tunezja i Egipt, jest kontrrewolucja w wykonaniu zachowawczego odłamu armii – grupy, która często sięgała po władzę po odsunięciu sułtana. Tak było w Meksyku po obaleniu Díaza, na Haiti po odejściu Jean-Claude’a Duvaliera i na Filipinach po upadku Marcosa. A kiedy Indonezyjczycy pozbyli władzy Suharto, wojskowi siłą rozprawili się

z ruchem wyzwolenia okupowanego przez ich kraj od 1975 r. Timoru Wschodniego.

Próby kontrrewolucji w ostatnich dekadach (m.in. na Filipinach w latach 1987–1988 i na Haiti w 2004 r.) ponosiły z reguły fiasko. Nie doprowadziły do zaprzepaszczenia demokratycznych zdobyczy ani nie rzuciły postsułtańskich krajów w ramiona ekstremistów – religijnych czy innych. Jednak osłabiają one młode demokracje, odciągając je od wprowadzania w życie tak potrzebnych reform. Mogą też prowokować reakcje radykalne.

Jeżeli w Tunezji i Egipcie wojskowi spróbują przejąć władzę lub uniemożliwić islamistom dostęp do sceny politycznej, jeżeli bliskowschodnie monarchie spróbują zamykać system za pomocą represji, a nie otwierać go za pomocą reform, umocnią tylko siły radykalne. Przykładem jest dążąca do konstytucyjnych reform opozycja w Bahrajnie, która na wymierzone w nią działania saudyjskie odpowiedziała wezwaniem do obalenia monarchii zamiast żądaniem jej zreformowania. Hasłem dnia powinna być otwartość dla wszystkich.

Innym poważnym zagrożeniem dla bliskowschodnich demokracji jest wojna. Rządy rewolucyjne utwardzały się i radykalizowały w reakcji na konflikt międzynarodowy. Nie upadek Bastylii, ale wojna z Austrią była tym, co podczas rewolucji francuskiej dało władzę jakobinom. Wojna z Irakiem stała się dla ajatollaha Chomeiniego okazją do wypędzenia umiarkowanych zwolenników świeckiego państwa. W scenariuszu pozwalającym radykałom przejąć kontrolę nad bliskowschodnimi rewolucjami obawy Izraela i prowokacje Palestyńczyków prowadzą do eskalacji napięcia na linii Egipt – Izrael i wybuchu nowej wojny.

A jednak są powody do optymizmu. Przed 2011 r. Bliski Wschód wyróżniał się na mapach świata jako jedyny region *de facto* pozbawiony demokracji. Wydaje się, że rewolucje w Tunezji i Egipcie zmieniły ten obraz. Bez względu na końcowy efekt można powiedzieć jedno: rządy sułtanów dobiegły kresu.

Thum. Sergiusz Kowalski

ŻYCIE NA PODSŁUCHU

Każdy, kto przystępował do opozycji demokratycznej, musiał się liczyć z tym, że będzie stale śledzony, jego telefon i mieszkanie zostaną nafaszerowane urządzeniami podsłuchowymi, a pierwszym czytelnikiem jego listów będzie policjant. Niepokorni lat siedemdziesiątych nie dali się jednak zepchnąć w izolację ani sprowadzić do roli wiecznie tropionych „figurantów”. Większość czasu pochłaniała im opozycyjna harówka – bez komputerów, faksów i telefonów komórkowych zorganizowanie każdego spotkania, uzgodnienie każdego oświadczenia wymagało wielkiego zachodu. Prywatnych samochodów w środowisku Komitetu Obrony Robotników było bardzo mało, więc zwykła podróż z jednego miasta do drugiego, nie mówiąc już o transporcie bibuły, była sporym przedsięwzięciem. Trudno wręcz zrozumieć, jak owe kilkaset osób zaangażowanych na stałe w działalność opozycyjną dawało sobie radę z ogromem pracy, jakiej wymagała pomoc dla represjonowanych, wydawanie niezależnych publikacji i organizowanie całego ruchu. Często z trudem wiążąc koniec z końcem, pomiędzy jednym aresztem a drugim potrafili jeszcze wieść bujne życie towarzyskie, spotykać się na wieczorach literackich, prowadzić intelektualne debaty i spory ideowe.

W salonie i w kuchni

Na początku września 1977 r. na opozycyjnej mapie Warszawy pojawiło się miejsce, w którym polityczny nonkonformizm można było połączyć ze snobizmem towarzyskim. Wnucze Melchiora Wańkowicza Annie Erdman i jej mężowi Tadeuszowi Walendowskiemu udało się stworzyć prawdziwy salon kultury niezależnej, w którym wypadało się pokazać zarówno dysydemtom, jak i osobom z kulturalnego establishmentu. Przez dwa lata, do czasu wyjazdu gospodarzy do Stanów Zjednoczonych we wrześniu 1979 r., w dawnym mieszkaniu Wańkowicza u zbiegu ulic Puławskiej i Rakowieckiej w co drugą środę odbywały się wieczory literackie i dyskusje. Pierwszym gościem salonu Walendowskich był pisarz Marek Nowakowski, członek redakcji niezależnego kwartalnika liteackiego „Zapis”¹. Następnym – Tadeusz Konwicki, którego

JAN SKÓRZYŃSKI

dr, historyk i dziennikarz, w latach 1989–1990 kierownik działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, 2000–2006 zastępca redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej” i szef dodatku „Plus-Minus”. Wydał m.in. *Kalendarium Solidarności 1980–89* (wraz z Markiem Pernalem, 1990), *Ugoda i rewolucja. Władza i opozycja 1985–1989* (1995), *Od Solidarności do wolności* (2005), *Rewolucja Okrągłego Stołu* (2009, nominowana do nagrody im. Kazimierza Moczarskiego), *Zadra. Biografia Lecha Wałęsy* (2010); redaktor naczelny wydawnictwa *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*, t. 1–3 (2000, 2002, 2006). Obecnie przygotowuje monografię Komitetu Obrony Robotników.

¹ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 01224/1948, Meldunek operacyjny, 8 IX 1977, k. 43.

powieść *Kompleks polski* wypełniła trzeci numer „Zapisu”. Doszło wówczas do ostrej dyskusji między pisarzem a Jackiem Kuroniem, zarzucającym mu zbyt dużą ostrożność i „brak radykalizmu patriotycznego” – wspomina Konwicki². Efektem tego sporu była kolejna, napisana już z myślą o obiegu niezależnym i politycznie ostrzejsza powieść *Mała apokalipsa*.

Wieczory u Walendowskich szybko zdobyły renomę. Salon stał się miejscem prezentacji twórczości artystycznej wysokiej próby i nieskrępowanej wymiany myśli. Halina Mikołajska recytowała tu wiersze Stanisława Barańczaka, Janusz Szpotański czytał własny poemat *Caryca* o Leonidzie Breżniewie, wieczory autorskie mieli młodzi poeci Ryszard Krynicki, Lech Dymarski i Zdzisław Jaskuła, śpiewali Jacek Kaczmarski, Jan Kelus i Jacek Kleyff. Tutaj Piotr Wierzbicki czytał swój *Traktat o gnidach* – „bardzo kontrowersyjnie przyjęty przez zgromadzonych”, jak odnotowano w „Zapisie”. Poglądy grupy „Bratniaka” prezentował Aleksander Hall, o kręgu młodych katolików z lubelskiego pisma „Spotkania” mówił Janusz Krupski, Mirosław Chojecki przedstawiał dorobek NOW-ej. Na innych spotkaniach gościli: Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Kazimierz Orłoś, Stanisław Stomma, Jan Józef Szczepański, Witold Sułkowski z „Pulsu”, Wiktor Woroszyński³.

U Walendowskich gromadził się kwiat opozycji, zwłaszcza ze środowiska KOR, ale nie tylko – przychodzili tu niezależni wydawcy i ich autorzy, wykładowcy latającego uniwersytetu i ich studenci, koneserzy literatury i salonowi bywalcy. A także wiele urodziwych kobiet. Można tu było poznać Adama Michnika, porozmawiać z Marianem Brandysem, posłuchać opozycyjnych plotek i zaopatrzyć się w najnowsze publikacje niezależne. Służba Bezpieczeństwa była bezradna. Czaiła się wokół domu, próbowała czasem zniechęcić gości, ale do mieszkania nigdy nie wkroczyła, zapewne z uwagi

na amerykańskie obywatelstwo Anny Erdman. Mogła jednak wysłać swoich ludzi.

8 lutego 1978 r. na Puławskiej odbył się wieczór „Zapisu” z okazji pierwszej rocznicy pisma. Duże mieszkanie na piątym piętrze bez windy wypełnił tłum gości. Jeden z nich, Kazimierz Koźniewski, pisarz i dziennikarz „Polityki”, był wieloletnim współpracownikiem SB, której między innymi dostarczał kolejne numery „Zapisu”, kupowane u Woroszyńskiego. Dla bezpieczeństwa sporządził interesującą relację z tego spotkania. „Przybyło 120–150 osób – donosił Koźniewski, używający pseudonimu „33”. – W zasadzie wszyscy zgromadzili się w jednym pokoju, siedząc, głowa obok głowy, w ogromnej ciasnocie na podłodze i na kilku rozłożonych materacach. Kilka krzeseł, jakieś dwa, trzy foteliki. Z małymi wyjątkami wszyscy się znali i panowała atmosfera spotkania towarzyskiego najbliższych znajomych. W znakomitej większości byli to ludzie młodzi, dwudziesto-, trzydziestoletni, starszych bardzo niewiele, najstarsi – siwi – zupełnie wyjątkowo: kilka takich osób. Ci młodzi to przeważnie studenci, i to z różnych miast, młodzi naukowcy. Bardzo dużo kobiet i dziewcząt. Ilość osób w trochę starszym wieku – chyba nie przekraczała 20. Wśród nich byli: Wiktor Woroszyński z żoną, Andrzej Kijowski z żoną, Jacek Bocheński, Marian Brandys, Irena i Tadeusz Byrscy, Jacek Kuroń, Anka Kowalska, Jerzy Markuszewski (reżyser), Agnieszka Andrzejewska, Jan Walc, Stanisław Barańczak, Barbara Toruńczyk, Jerzy Narbutt. [...] Sprzedawano egzemplarze książkowego wydania powieści Tadeusza Konwickiego *Kompleks polski* – niektórzy kupowali i po 5–6 egzemplarzy. Sprzedawano również, po 40 zł, nowo wydany w »N« [NOW-ej] tom wierszy Stanisława Barańczaka *Ja wiem, że to niesłuszne*. Wszystkie egzemplarze obu książek zostały sprzedane”.

Po ósmej wieczór gospodarz otworzył debatę na temat „Zapisu”, którą rozpoczęli Barańczak i Le-

² A. Bikont, J. Szczęsna, *Ania i Tadeusz w miejscu historycznym*, „Gazeta Wyborcza”, 25–26 VI 2005.

³ AIPN, 0204/1405, t. 6, Meldunek operacyjny, [luty 1978], k. 115–116.

sław Maleszka (ten drugi wygłosił długie i „bardzo zawile przemówienie”). Koźniewski rozczarowany był dyskusją, która „zaczynała się z oporem, toczyła leniwie i była bardzo nudna, a co najciekawsze, poza akcentami skierowanymi przeciw cenzurze – pozbawiona jakichkolwiek politycznych, aktualnych momentów”. O wpół do jedenastej Walendowski zamknął zebranie, zapraszając „na jakiś mały poczęstunek, przygotowany – jakieś zimne sery, bułki, coś tam innego – w kuchni. Zebrani zaczęli wychodzić. W kuchni krzątało się już tylko małe grono młodych, związanych ze sobą towarzysko”⁴.

Agent „33” nie był ani intelektualnie, ani kulinarnie usatysfakcjonowany (choć mocodawcy z SB, z którymi uzgodnił swoją wizytę w salonie, wysoko oceniali jego usługi). Jego wrażenia możemy skonfrontować z relacją Mariana Brandysa z tego samego wieczoru. „Wymuskany porządek salonów Wańkowiczowskich ustąpił miejsca studencko-artystycznemu bałaganowi – pisze w *Dzienniku* Brandys, który niegdyś często bywał u Wańkowicza. – Trudno by było inaczej. Na wieczorach u Walendowskich zbiera się do dwustu osób. Goście witani są w przedpokoju przez gospodarzy (Melo⁵ raczył tu gości swoją litewską nalewką). Tylko dla najstarszych, najbardziej szanowanych ustawia się pod ścianami kilka krzeseł. Reszta lokuje się na podłodze. Pośrodku magnetofon z mikrofonem. Obsługuje go Janek Kelus, ulubiony pieśniarz opozycji. Zebranie otwiera Tadeusz Walendowski z młodszym dzieckiem na rękę. Drugie dziecko wydziera się w sąsiednim pokoju. Ania Walendowska biegnie je uspokajać. Wśród siedzących na podłodze przeciska się z trudem płowy kundel. Gładzi go w roztargnieniu poważny, brodaty Staś Barańczak, który przygotowuje się właśnie do wygłoszenia sprawozdania z rocznej działalności »Zapisu«. Absolutna większość

zebranych to ludzie zupełnie młodzi, wśród nich dużo ładnych dziewcząt.

Cudowna atmosfera – rozkoszuje się siedzący obok mnie Kazio Koźniewski – połączenie zebrania konspiracyjnego z 1942 roku z zebraniem harcerskim w wysokogórskim schronisku. Koźniewski zna się na tych rzeczach. Najpiękniejszy okres swego życia zbiegł mu na konspiracji i na pracy w harcerstwie.

W zatłoczonych, dusznych pokojach powańkowiczowskiego mieszkania oddycha się teraz lekko i ożywczo jak w wysokich górach. Zebrani tutaj młodzi brodacze ze swymi ładnymi żonami i przyjaciółkami – którzy wyrzekli się wszelkich ułatwień życiowych, aby walczyć z kłamstwem i nikczemnością – to najpiękniejsza i najbardziej wartościowa część narodu polskiego”⁶.

Nieco egzaltowany zachwyt Brandysa i zawistna niechęć Koźniewskiego – oto dwa bieguny stosunku polskiej inteligencji do opozycji korowskiej. Dysponujemy relacją z jeszcze innego wieczoru u Walendowskich – 4 kwietnia 1979 r., z Jackiem Kuroniem w roli głównej. Złożyła ją agentka SB „Elżbieta”. W dokładność tego donosu można wątpić – jest to obraz opozycji w oczach warszawskiej plotkarki, słabo zorientowanej w sprawach KOR (nie wie, kto to jest ksiądz Zieja). Warto go jednak przytoczyć, gdyż żywo oddaje atmosferę spotkania i styl bycia niepokornych.

„Po wyjściu od Krysi pojechałam na salon do Walendowskiego – mówiła swojemu esbekowi „Elżbieta”. – Od razu, jak weszłam, przywitał mnie Adam Michnik. Był bardzo zły, potem rozmawiałam z Wojtkiem Arkuszewskim. Adam podszedł do niego i powiedział, że chce z nim zamienić dwa słowa. Wyszli na balkon. Za chwilę wrócili. Adam był podniecony. Powiedział, że niech Wojtek mu zejdzie z oczu, bo nie odpowiada za siebie. Wojtek powiedział, że zakomunikował, że odchodzi

⁴ AIPN, 002082/387, t. 2, Informacja operacyjna, 9 II 1978, k. 223–228.

⁵ Czyli Melchior Wańkowicz.

⁶ M. Brandys, *Dziennik* 1978, Warszawa 1997, s. 43–44.

z KOR-u. Powody są trzy: po pierwsze – Mirek [Chojecki] odchodzi z NOW-ej, jako powód podaje chęć opieki nad synem, ale widać, że korowcy coś mu zrobili. Mirek jest bardzo ambitny, więc rzeczywiście coś musiało być. II – skreślili z listy sygnatariuszy KOR-u jakiegoś Ziębę, a wpisali kogoś innego bez porozumienia. III – piszą jakieś listy do działaczy partyjnych, co jest poniżeniem się, jakieś dyskusje z byle kim, jak dyskutować, to z władzą. Dlatego Adam był taki wściekły. [...] Ktoś mnie odwołał. Wychodziłam do kuchni i wszedł Jacek Kuroń. Przywitał mnie bardzo serdecznie, stwierdziliśmy, że bardzo dawno nie widzieliśmy się, Jacek powiedział, że szedł z sercem w gardle, że znowu będą bili. Ma już lęki na ten temat [dwa tygodnie wcześniej pobito jego żonę i syna na wykładzie TKN – J.S.]. Potem rozpoczął wykład. Na sali było ok. 120 osób, zaduch, gorąco. Z dwóch stron rozlegały się tłumaczenia: Węgrowi tłumaczono na rosyjski, Ania Dodziuk przyprowadziła jakąś dziewczynę, tłumaczyła jej na angielski [...]. Gros przedstawicieli opozycji przebywało jednak bądź w korytarzu, bądź w kuchni: Adam, [Jan] Lityński, [Wiesław] Kęcik, [...] [Jacek] Bierezin, [Anka] Kowalska. Naśmiewali się z Jacka [...], nazywali go Kurą Mądrąłą, śmieli się z jego koncepcji. Potem, kiedy po przerwie zaczęła się dyskusja, na początku byli – po czym znowu przenieśli się do kuchni. Był to ewidentny dowód lekceważenia. W kuchni Kęcik pisał coś na kartce, zwrócił uwagę Bierezinowi, żeby przestał już kłąć, bo zapomni się i »przybluzga« przy chłopakach [raczej: chłopach – J.S.]. Bierezin śmiał się, że byłoby to takie »swojskie«.

Gorzej „Elżbiecie” poszło streszczenie wykładu Kuronia. Na koniec podała didaskalia. „Spotka-

nie zaczęło się o 20.15, skończyło się o 22.50. W przerwie sprzedawano wydawnictwa – *Folwark zwierzęcy* w cenie 80 zł, w ilości 25 egz., Czapskiego – *Wspomnienia starobielskie* – za 45 zł, szt[uk] ok. 30, »Bratniaka« – 10 egz. Sprzedawały dwie dziewczyny – jedna ta co zwykle i jeszcze jedna – z włosami koloru ciemnoblonde, zaplecionymi w dużo warkoczyków, ubrana w takie jakieś »łaszkii«. Ze znajomych byli: Halina Mikołajska, Ania Dodziuk, Marek Kęsy, Tereska Bochwic, Marek Drabikowski, Gienek Lipszyc, Piotr Wierzbicki, Wiktor Nagórski i dużo młodzieży”⁷.

„Puls” Łodzi

Artystyczno-literacki salon opozycji funkcjonował również w Łodzi, miał tutaj nazwę Niezależnego Klubu Dyskusyjnego. Został powołany 29 października 1977 r. przez grono niepokornej łódzkiej inteligencji. W deklaracji zapowiadano seminaria, dyskusje i lektury z zakresu historii, prawa, historii myśli politycznej, socjologii, literatury i ekonomii, pochodzące z wszelkich dostępnych źródeł, „bez względu na to, czy mają pieczęć cenzury”⁸. Władze miasta, do których się zgłoszono, zakazały działalności klubu, ale spotkania odbywały się u Piotra Amsterdamskiego, Zdzisława Jaskuły i Witolda Sułkowskiego. Już w pierwszych miesiącach klub zorganizował dyskusje ze Stanisławem Barańczakiem, Wojciechem Onyszkiewiczem z „Robotnika” oraz Antonim Macierewiczem i Piotrem Naimskim z „Głosu”. Na spotkania autorskie przyjeżdżali do Łodzi Szpotański i Kelus, w lutym 1978 r. podczas wieczoru poświęconego Czesławowi Miłoszowi jego poezję recytował Maciej Rayzacher. Kuroń i Michnik prowadzili seminaria⁹.

⁷ AIPN, 0204/1417, t. 9, Wyciąg z informacji operacyjnej TW „Elżbiety” z 5 IV 1979, k. 27–28.

⁸ Deklarację Niezależnego Klubu Dyskusyjnego podpisało siedemnaście osób, m.in. Piotr Amsterdamski, Jacek Bierezin, Tomasz Filipczak, Paweł Spodenkiewicz, Ewa Sułkowska-Bierezin, Witold Sułkowski, Józef Śreniowski (*Dokumenty Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”*, oprac. A. Jastrzębski, Warszawa – Londyn 1994, s. 222).

⁹ Kryptonim „Pegaz”. *Służba Bezpieczeństwa wobec Towarzystwa Kursów Naukowych 1978–1980*, oprac. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2008, s. 108; L. Próchniak, *Niezależny Klub Dyskusyjny*, www.encyklopedia-solidarnosci.pl; R. Terlecki, *Uniwersytet Łatający i Towarzystwo Kursów Naukowych 1977–1981*, Kraków – Rzeszów 2000, s. 33.

Życie intelektualne mieszało się z towarzyskim, koncentrując się w kilku domach prywatnych. „Łódzki KOR spotykał się nie tylko u doc. [Bronisławy] Lipskiej, ale także u Zosi i Włodka Gromców oraz u Wojtka Jeśmana i Bożeny Słowińskiej. Bierezinowie, podobnie jak Sułkowscy, urządzali głównie imprezy o charakterze towarzyskim. Klasę dla siebie stanowili, zresztą nie tylko pod tym względem, salon Sławy i Zdzisia Jaskułów” – wspomina współpracownik KOR Paweł Spodenkiewicz¹⁰.

Najciekawszym dokonaniem łódzkiej kultury alternatywnej stało się pismo „Puls”, którego pierwszy numer wyszedł w październiku 1977 r. Twórcami pisma byli młodzi poeci i pisarze: Jacek Bierezin, Tomasz Filipczak, Witold Sułkowski, Ewa Sułkowska-Bierezin i Bartosz Pietrzak, blisko współpracowali Zdzisław Jaskuła, Tadeusz Walendowski, Leszek Szaruga, Janusz Anderman i Antoni Pawlak. Cały ten krąg był mocno zaangażowany w akcje korowskie; Bierezin, Sułkowski, Pietrzak i Sułkowska-Bierezin podpisali *Deklarację Ruchu Demokratycznego*. Nieregularny, jak podkreślano w podtytule, łódzki kwartalnik literacki drukowała w Warszawie NOW-a w nakładzie 1–2 tys. egzemplarzy.

„Puls” szybko zajął osobne miejsce na mapie kultury niezależnej. Od „Zapisu” różnił się swobodnym podejściem do świętości polskiego życia literackiego. Nie wahano się krytykować autorytetów ani podważać ustalonej w stolicy hierarchii, chętnie publikowano artystyczną awangardę, przełamując polityczne i obyczajowe tabu. „Puls” chciał być „normalnym pismem w nienormalnym kraju” – wspomina Filipczak. „Programowo ignorowaliśmy istnienie cenzury, każdej – nie tylko politycznej. [...] Dostrzegaliśmy bezmiar absurdu

po stronie władzy, ale również całkiem spore jego pokłady po stronie opozycji. Poza tym uwielbialiśmy prowokacje i potrafililiśmy się śmiać, także z siebie. To nie przypadek, że pierwszą pozycją w Bibliotece »Pulsu« była *Moskwa-Pietuszki* Jerofiejewa – wybitne dzieło literackie, które łapie czytelnika za jaja, ale nie pogrąża go w rozpacz jak *Archipelag GUŁag*”¹¹. Relacje z warszawskim parnasem literackim zgrupowanym wokół „Zapisu” nie były łatwe. Występował w nich motyw pokoleniowego buntu – opowiada Jaskuła – „sprzeciwu wobec dyktatu literackich mandarynów. [...] Pomimo iż bardzo tych ludzi szanowaliśmy”¹². Stosunków nie poprawiła wizyta Ludwika Dorna, który pojawił się w Łodzi z żądaniem zaprzestania wydawania „Pulsu” jako szkodliwej konkurencji dla „Zapisu”¹³.

Łódzkie pismo nie dało się nagiąć do warszawskiej, nieco koturnowej normy – zachowało własny styl i wewnątrzopozycyjną niepokorność. Chętniej niż inne tytuły korowskie, a zwłaszcza nader poważny „Zapis”, posługiwało się drwiną i żartem dla pokazania groteskowej rzeczywistości „realnego socjalizmu”. Nie unikało też jednak tematów serio. Na jego łamach odbyła się jedna z ciekawszych dyskusji na temat odpowiedzialności za budowę dyktatury. W tekście *Intelektualiści i komunizm w Polsce po roku 1945* Adam Michnik prezentował racje twórców, którzy poparli nowy reżim, widząc w nim alternatywę dla przedwojennego modelu społeczno-gospodarczego i antidotum na endeczką chorobę nacjonalizmu¹⁴. Polemizowali z nim Witold Sułkowski i Leszek Szaruga surowiej oceniający zaangażowanie w stalinizm czołówki polskich literatów¹⁵. Redaktorzy „Pulsu” chcieli nawet wydać antologię poezji socrealistycznej z udziałem

¹⁰ P. Spodenkiewicz, *Byliśmy jednak w zdecydowanej mniejszości* [w:] *Niezależność najwięcej kosztuje. Relacje uczestników opozycji demokratycznej w Łodzi 1976–1980*, oprac. L. Próchniak, S.N. Nowinowski, M. Filip, Łódź 2008, s. 169.

¹¹ T. Filipczak, *A my w Tango milonga* [w:] *ibidem*, s. 54.

¹² Z. Jaskuła, *To był najciekawszy okres naszej opozycji* [w:] *ibidem*, s. 100.

¹³ P. Spodenkiewicz, *Byliśmy jednak w zdecydowanej mniejszości...*, s. 167.

¹⁴ „Puls” 1978/1979, nr 4/5, s. 22–29.

¹⁵ „Puls” 1979, nr 6.

autorów ze środowiska opozycyjnego, takich jak Wiktor Woroszyński, co wzbudziło oburzenie w Warszawie. Jednak swoją nagrodę przyznali Marianowi Brandysowi za wydaną oficjalnie epopeję historyczną *Koniec świata szwoleżerów*.

Partyjne i opozycyjne świętości na równi wyśmiewał Jacek Bierezin w stałym felietonie *Żył*. Z okazji Nowego Roku 1979 poeta życzył: „Janowi Dobraczyńskiemu – Nagrody Nobla dla nonkonformistów, Sejmowi PRL – posłów, Redakcji »Polityki« – mniej polityki, a bardziej po prostu, Wojciechowi Ziemińskiemu – *Virtuti Militari*”; „Jackowi Kuroniowi, Ojcu Chrzestnemu – mniej kryminału, więcej kryminałów, samorządów, komitetów strajkowych, rad robotniczych, wolnych związków zawodowych, czasu na poprawę stylu”; „Bogusławie Blajfer – wielu zatrzymań i głódówek”; „Antoniemu Macierewiczowi, iberyście – partyzantki miejskiej na miejscu”; „Adamowi Michnikowi – bruderszaftów z laureatami Nagrody Nobla, z którymi nie jest jeszcze »na ty«”; „redakcji »Głosu« – rewizjonistów, redakcji »Robotnika« – Piłsudskiego, redakcji »Zapisu« – Akademii Literatury lub Umiejętności”; „Zofii i Zbigniewowi Romaszewskim oraz współpracownikom Biura Interwencyjnego KSS KOR – skutecznej obrony funkcjonariuszy MO i SB przed nadużyciami władz (gdy nadejdzie czas zapłaty i sędziami będziem my)”¹⁶.

Opozycji dzień powszedni

„Maciej i Jacuś:

Wyprowadzać Fisię (2–3 razy dziennie).

Karmić.

Podlać u mnie kwiatki co 2. dzień (również takie, które stoją na szafkach kuchennych).

[...]

Odnaleźć »Puls« nr 1 i schować – jest to egzemplarz dla prof. Lipińskiego”¹⁷.

Polecenia dla syna i męża zapisane przez Grażynę (zwaną Gajką) Kuroniową w styczniu 1978 r. pokazują, że w wirze spraw publicznych w korowskich rodzinach dopominało się o swoje prawa także normalne życie, w którym wyprowadzenie psa czy podlanie kwiatów było równie ważne jak numer niezależnego czasopisma. W ogarniętych opozycyjną gorączką domach działaczy Komitetu Samoobrony Społecznej KOR próbowano zachować rytm choćby częściowo normalnej codzienności. Koniec końców sprawy publiczne zawsze jednak wygrywały z prywatnymi – zwłaszcza w domu Kuroniów, który pełnił rolę korowskiej kwatery głównej. Toteż gdy Gajka i Jacek wyjeżdżali na krótki urlop w góry, zostawiając swego nastoletniego syna na gospodarstwie, ich rodzicielskie zalecenia pozostawione w „dzienniku pokładowym” dotyczyły wyłącznie spraw opozycji:

„Sprawy dla Maciusia:

Wszystkie informacje przekazywać pani Ance Kowalskiej, tel. [...], interwencje do pp. Romaszewskich, tel. [...].

[...]

Zanieść materiały Puchatkowi [Wacławowi Zawadzkiemu].

Daj kopertę [Andrzejowi] Celińskiemu.

Pożycz ks. Henrykowi Szarejce *Zasady ideowe* (odbierz od dziadków i pilnuj).

Wracamy w czwartek 26 bm. »Tatrami«”¹⁸.

Korowskie mieszkania miały drzwi stale otwarte – dla przyjaciół i dla wrogów. Służyły jako miejsca politycznych porad i niezależnych wykładów, magazyny bibuły, niekiedy tajne drukarnie, punkty kontaktowe. Obserwowane przez policję, oplecione kablami podsłuchów, stale były narażone na rewizje i najścia stróżów porządku. Niewiele mniej uciążliwe mogły być nagłe odwiedziny kolegów czy współpracowników. Opozycyjne zaangażowanie wiązało się z prowadzeniem domu cał-

¹⁶ „Puls” 1978/1979, nr 4/5, s. 155.

¹⁷ Archiwum Ośrodka Karta (AOK), Kolekcja Jacka Kuronia, „Dziennik pokładowy”, styczeń 1978.

¹⁸ *Ibidem*.

kowicie otwartego, z ludźmi, którzy „przychodzą o zupełnie dzikich porach, i z tym, że nie jesteś w stanie zaplanować niczego na tydzień naprzód” – opowiadał Andrzej Rosner¹⁹. Archetypem dysydenckiego domu, czynnego przez 24 godziny na dobę, odwiedzanego bez przerwy zarówno przez opozycję, jak przez policję, było mieszkanie Kurońów przy ulicy Mickiewicza na Żoliborzu. „Jacek miał w sobie jakąś ogromną pozytywną energię, masę pomysłów – wspomina Bogdan Borusewicz. – Przyciągał ludzi. Nocowałem na ogół u Antka Macierewicza, który mieszkał niedaleko, ale raniem jechałem do Kurońów, nie tylko w sprawach »służbowych«, ale i na obiad, bo Grażyna Kurońowa świetnie gotowała i zawsze karmiła tych, którzy przyjeżdżali spoza Warszawy”²⁰.

Życie na Mickiewicza podporządkowane było całkowicie potrzebom opozycji. Tutaj wpadali ludzie z ruchu korowskiego z całego kraju, dziennikarze zagraniczni przychodzili po informacje, stąd Kuroń przekazywał codziennie wiadomości do Paryża i Londynu, tutaj też odbywały się jego wykłady w ramach Towarzystwa Kursów Naukowych. Dzwoniący bez przerwy telefon, którego numer – 39 39 64 – znał każdy opozycjonista, przynosił wieści o prześladowaniach i nowych inicjatywach niezależnych. Pełno było bibuły, rozmaitych dokumentów KOR i maszynopisów artykułów gospodarza; co jakiś czas padały one łupem bezpieki podczas kolejnej rewizji.

Wszystkie rozmowy Jacka Kurońa i jego gości były nagrywane przez policję. Kuroń się tym nie przejmował. Pół żartem, pół serio mówił, że korzystać jest obopólna – władze mają informacje

praktycznie o wszystkim, a on nie musi jeździć po znajomych, gdy chce zadzwonić²¹. Więcej pożytku odnosiła z tego jednak opozycja. Wiedza o działaniach niezależnych nie na wiele się przydawała wobec strategii jawności i polityki ograniczonych represji. Kurońowi nie odebrano telefonu ani nie blokowano rozmów zagranicznych, więc korzystał z tego bez ograniczeń, nie zważając na słuchaczy z SB. Podobny stosunek do policyjnych uszu mieli inni działacze opozycji. Czy nie przypuszcza pan, że ma w mieszkaniu podsłuch? – zapytał holenderski dziennikarz Jana Józefa Lipskiego w marcu 1977 r. Lipski spokojnie odparł, że „ma poważne powody, by sądzić, że jest podsłuchiwany”²². Ich rozmowa też jest prawdopodobnie podsłuchiwana (w rzeczy samej była), jednak go to nie przeraża, bo KOR działa jawnie. „Jeśli wszyscy w Polsce zaczęli otwarcie mówić to, co myślą, to w tym kraju zacznie się dziać lepiej”²³.

Pozostali korowcy też zdawali sobie sprawę, że są podsłuchiwani, jednak nauczyli się z tym żyć. U Romaszewskich urządzenia podsłuchowe zainstalowano w lutym 1978 r.²⁴ „Podsłuchy były wygodne, bo można było dzięki nim porozumiewać się z bezpieką, i to nie wychodząc z domu – wspomina Zofia. – Interweniowaliśmy w ten sposób w sprawie pewnego pastora. Aresztowali go za to, że przewoził do ZSRR Biblię w języku rosyjskim. Opowiedzieliśmy szczegółowo przez telefon, do jakich międzynarodowych instytucji zwrócimy się w tej sprawie. Poskutkowało. Na trzeci dzień pastor był już wolny”. „Mielśmy też z SB inne wyгоды – mówi Zbigniew. – Wtedy wcale niełatwo było o taksówkę. A my mogliśmy być pewni, że ilekroć

¹⁹ Relacja Andrzeja Rosnera, 1981 [w:] *Niepokorni. Rozmowy o Komitecie Obrony Robotników. Relacje członków i współpracowników Komitetu Obrony Robotników zebrane w 1981 roku przez Andrzeja Friszke i Andrzeja Paczkowskiego*, Kraków 2008, s. 553–554.

²⁰ „Dziennik Bałtycki”, 15 IX 2006.

²¹ AIPN, mkf. 01224/1948, t. 30, Meldunek operacyjny, 26 X 1978, k. 81.

²² Już w 1974 r. SB zainstalowała podsłuch w mieszkaniu Lipskiego i zaczęła kontrolować jego korespondencję (AIPN, 0204/1421, t. 4, Kierunkowy plan przedsięwzięć operacyjnych do sprawy operacyjnego rozpracowania dotyczącej Jana Józefa Lipskiego, 9 X 1974, k. 23–30).

²³ AIPN, 0204/1421, t. 6, Meldunek operacyjny, 2 III 1977, k. 104.

²⁴ *Kryptonim „Gracze”. Służba Bezpieczeństwa wobec Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” 1976–1981*, oprac. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 639.

wyjdziemy z domu, na rogu będzie stała wolna taksówka. I owszem, korzystaliśmy z tego, że bezpieka zaopatrywała nas w środki transportu”.

Urządzenia policyjne były jednak, jak to w socjalizmie, dość zawodne. Wiadomo, że najciekawsze rozmowy odbywają się w przedpokoju, więc jeden mikrofon wsadzili we framugę przy naszych drzwiach wyjściowych – opowiada Romaszewska. Wszelako podsłuch się popsuł. „Nieźnośnie piszczał. Staraliśmy się wypróbować metodą dać im znać, żeby to naprawili albo zabrali. Ale tym razem nie zostaliśmy wysłuchani...”²⁵. Na początku grudnia 1977 r. podsłuch w swoim mieszkaniu odkrył Sergiusz Kowalski. Był dość nieudolnie założony – ze ściany wystawała plastikowa rurka, w której tkwił mikrofon. Kowalski zaprezentował to dziennikarzom i zgłosił w prokuraturze, załączając rysunki²⁶. „Wczoraj w mieszkaniu współpracownika KOR-u i warszawskiego SKS-u Sergiusza Kowalskiego – w obecności zaproszonych w tym czasie korespondentów zagranicznych agencji prasowych – ujawniono zainstalowane w ścianach urządzenie podsłuchowe. Może wszyscy powinniśmy ujawnić zawartość naszych ścian?” – odnotował nieco filozoficznie Marian Brandys²⁷.

Podsłuch u siebie znalazł również Jacek Bierezin. Opisał to w skardze do prokuratury. „Dnia 11 kwietnia [1978 r.] około godz. 12.00, zakładając wentylator kanałowy w jednym z pokoi w swoim mieszkaniu na ulicy Astronautów w Łodzi, odkryłem dwa mikrofony podsłuchowe ze wzmacniaczami wiszące za kratką kanału wentylacyjnego. Świadcami tego odkrycia byli moja żona Ewa oraz mój kolega Krzysztof Woźniak. Ponieważ oboje są inżynierami elektrykami, nie było żadnych wątpliwości co do rodzaju i jakości zainstalowanego tam sprzętu. [...] O fakcie tym zawiadomiłem tele-

fonicznie kilku przyjaciół, a około godziny 13.30 ucieliśmy kabel z mikrofonami. W godzinę później pod moim domem pojawiły się dwa samochody z milicjantami i cywilami w waciakach, którzy wchodzili do sąsiedniej klatki, a o godzinie 14.45 wkroczyło do mojego małego mieszkania aż siedmiu funkcjonariuszy SB i MO z nakazem rewizji podpisanym przez naczelnika Wydziału Dochodzeniowego Komendy Dzielnicowej Łódź-Polesie. Nakaz rewizji mówił o poszukiwaniu »przedmiotów pochodzących z przestępstwa«, a jeden z funkcjonariuszy oświadczył mi, że będą oni szukać mydeł i długopisów, co można by potraktować jak niezły milicyjny dowcip, gdyby nie fakt, że nie zabrano mi żadnego mydła ani długopisu, mimo że w domu było około pięciu mydeł i dziesięciu długopisów”²⁸. Rewizja trwała do ósmej wieczór. Zniknęły mikrofony, a także 48 innych przedmiotów, w tym książki, czasopisma niezależne, prywatne notatki i rękopisy poety, maszyna do pisania, papier maszynowy i taśmy magnetofonowe. Przeszukanie, a później przesłuchanie Bierezina przeprowadzono pod pretekstem, że jest podejrzany o udział we włamaniu do kiosku Ruchu przy ulicy Obrońców Stalingradu.

Bierezinowie niedługo przedtem nagle dostali mieszkanie. Po kwietniowej rewizji stało się jasne, skąd się wzięła niespodziewana łaskawość administracji – w specjalnie przygotowanym dla „elementów antysocjalistycznych” lokalu zainstalowano urządzenie podsłuchowe. „Świadomość, że bez przerwy nas podsłuchiowano, była bardzo ciężkim przeżyciem – wspomina Ewa Sułkowska-Bierezin. – Zdaliśmy sobie sprawę, że SB świetnie orientuje się w najbardziej osobistych sprawach ludzi, którzy na Astronautów bywali, nocowali, zwierzali się, a niekiedy nawet paliliśmy trawkę...”²⁹. Cenę,

²⁵ *Kilka chwil, kilka dni, kilka lat. Z Zofią i Zbigniewem Romaszewskimi rozmawia Andrzej Kaczyński*, „Rzeczpospolita” – „Plus Minus”, 23–24 IX 2006.

²⁶ AIPN, 0204/1405, t. 10, Protokół przesłuchania świadka, 28 IV 1978, k. 246–253.

²⁷ M. Brandys, *Dziennik 1978...*, s. 23.

²⁸ AOK, Dokumenty KSS KOR, 1978, AOIV/4.3, Skarga Jacka Bierezina do Prokuratury Wojewódzkiej m. Łodzi, 1 V 1978.

²⁹ E. Sułkowska-Bierezin, *Po prostu lubiliśmy to robić [w:] Niezależność najwięcej kosztuje...*, s. 182.

jaką korowcy płacili za jawność swoich działań publicznych, stanowił całkowity brak prywatności, poczucie, że wszystko, co się mówi i robi, może być wykorzystane przez policję.

Uczestnik ruchu opozycyjnego stawał się obiektem wielorakiej obserwacji. Chodziła za nim policja, śledziła jego kontakty i przyjaźnie, wypytywała sąsiadów. Efekty tych indagacji były różne. Niektórzy nie chcieli rozmawiać z bezpieką, inni chętnie udzielali informacji, choć nie zawsze takich, jakich się spodziewano. Jeden z funkcjonariuszy SB zapisał opinie o Dariuszu Kupieckim zebrane u jego sąsiadów. To bardzo dobry chłopak, „spokojny, inteligentny i uczynny, uczył się b[ar]dzo dobrze, zarówno w szkole podstawowej, średniej, jak i na UW” – mówiła pani Danuta L. „Nigdy nie widziano go pijanego, zawsze jest bardzo grzeczny. Właścicielka domu i jej mąż wiedzą, że D[ariusz] Kupiecki należy do KOR-u i bardzo nad tym oboje ubolewają, bo bardzo go lubią, p[ani] L. to nawet płakała podczas rozmowy ze mną – zapisał policjant. – Prosiła mnie nawet, żeby porozmawiać z nim i wpłynąć na niego, żeby przerwał tę działalność i »szkoda go, aby się zadawał z tą bandą KOR-u, bo oni go wykorzystują« (to były jej słowa). Jej mąż stwierdził, że do KOR-u wciągnął go kolega ze szkoły (Żyd z Francji) imieniem Luis, który rozrabiał w Radomiu, nazwiska nie pamiętają”. Równie dobrego zdania o Kupieckim była druga sąsiadka. Ta wszakże nie dodała antysemickich uwag³⁰.

Na dołku

„To były upiorne czasy – wspomina Henryk Wujec. – Człowiek był ciągle narażony i drżał, że ktoś idzie po schodach o szóstej rano i to nie jest na pewno mleczarz, bo tych stukotów na schodach było za wiele. To powodowało straszliwe napięcia

rodzinne i odbijało się negatywnie na życiu naszych dzieci”³¹.

Dzwonek o szóstej najczęściej oznaczał rewizję. Do domu wkraczało wówczas od kilku do kilkunastu milicjantów i tajniaków z prokuratorskim nakazem lub (najczęściej) bez. Gospodarz miał prawo przywołać świadka przesłuchania; często stawał się nim zamieszkały nieopodal kolega z opozycji. Funkcjonariusze najpierw grzecznie prosili o dobrowolne wydanie bibuły, a w przypadku odmowy przystępowali do gruntownego przetrząsania mieszkania, co mogło trwać wiele godzin. W Warszawie odbywało się to zazwyczaj z zachowaniem pewnych form. Bardziej obcesowo, a nawet brutalnie SB zachowywała się poza stolicą. Konfiskowano wszystkie znalezione wydawnictwa niezależne, książki wydane na emigracji lub obcojęzyczne, najrozmaitsze rękopisy, dokumenty, prywatne notatki, listy, a nawet prace naukowe. Zawsze zabierano maszyny do pisania – „przedmioty mogące służyć do celów przestępczych”. Chodziło oczywiście o utrudnienie prac redakcyjnych, przepisywania opozycyjnych tekstów itp. Po zakończeniu rewizji przystępowano do spisywania protokołu, co było niewiele mniej czasochłonne. Zazwyczaj czynił to ręcznie, z widocznym wysiłkiem i brakiem entuzjazmu dla tej papierkowej roboty, towarzyszący esbekom milicjant. Protokół podpisany przez gospodarza i świadka łądował w teczkę „figuranta”, a książki w magazynie MSW.

Do stałych doświadczeń należał także pobyt w milicyjnym areszcie. Wyciągnięty z domu albo złapany na ulicy, zatrzymany podczas opozycyjnego zebrania lub pochwycony na dworcu w trakcie podróży „figurant” trafiał do celi jednego z komisariatów Milicji Obywatelskiej. Wszystkich traktowano tak samo – bez względu na wiek i płeć człowiek stawał się na dwie doby więźniem. W istocie było to rodzajem kary; miało niepokornemu oby-

³⁰ AIPN, 0258/131, t. 2, Notatka służbowa, 29 VII 1978, k. 38–39.

³¹ *Co nam zostało z tych lat... Opozycja polityczna 1976–1980 z dzisiejszej perspektywy*, red. J. Eisler, Warszawa 2003, s. 78.

watelowi wybić z głowy stawianie się władzy lub przynajmniej mu dokuczyć i maksymalnie go wyścieńczyć, no i pokazać wszechmoc Służby Bezpieczeństwa. Aresztant nie miał kontaktu z rodziną, o adwokacie mógł tylko pomarzyć. Zabierano mu wszystkie opozycyjne materiały, inne teksty, notatki czy książki, a także dowód osobisty, portfel i zegarek. Musiał też oddać „sznurowadełka”, „paseczek” i „krawacik”, jak mówił dyżurny sierżant bądź plutonowy. Potem wędrował na tzw. dołek, jak w więziennym slangu określano mieszczący się w piwnicy areszt. Były to zazwyczaj kilkuosobowe, prymitywne, pozbawione elementarnych wygód cele, wyposażone jedynie w zbitą z desek platformę, na której można było próbować zasnąć. Utrudniali to hałaśliwi współtowarzysze niedoli – pijacy, chuligani i handlarze walutą. Ich stosunek do politycznych był jednak najczęściej neutralny, a nierzadko nawet życzliwy.

Trwający przepisowe czterdzieści osiem godzin lub nieco krócej areszt oznaczał dwa dni wyjęte z życia, bez snu i możliwości umycia się, spędzone w towarzystwie typów spod ciemnej gwiazdy. Na śniadanie serwowano kawałek chleba i napój, który miał przypominać kawę zbożową. Obiad dawał się przełknąć z najwyższym trudem. Pobyt „na dołku” był szczególnie dotkliwy dla kobiet, którym bardziej doskwierały nędzne warunki bytowe, brak podstawowej higieny i kompania prostytutek. Zatrzymaniu towarzyszyło często przesłuchanie, choć niewiele mogło z niego wyniknąć, gdyż opozycjoniści stosowali zasadę odmowy odpowiedzi.

Do rekordzistów pod względem zaliczonych aresztów należał Mirosław Chojecki. W ciągu niemal czterech korowskich lat zatrzymywano go 44 razy, w aresztach przesiedział – jak obliczył – około pięciu miesięcy (wliczając to dwa miesiące w 1977 r.). „Przeprowadzono w moim mieszkaniu 15 przeszukań, co daje średnio 1 rewizję kwar-

talnie. Rewizji osobistej poddano mnie około 80 razy, czyli średnio co 2 tygodnie” – pisał w liście do Sejmu PRL w marcu 1980 r. „W wyniku przeszukań zabrano m.in. 3 puszki konserw mięsnych, tusz kreslarski, maszynę do pisania, słoik z przyprawą curry, taśmę samoprzylepną, wycinki z bieżącej prasy krajowej (»Życie Warszawy«, »Trybuna Ludu«), nienagrane taśmy magnetofonowe, taśmy magnetofonowe z muzyką jazzową (Oskar Peterson, Keith Jarrett, Miles Davis), pieniądze (około 6000 zł), podręcznik programowania maszyn cyfrowych w języku Fortran, torbę podróżną, nożyczki, kartki czystego papieru, zawartość kosza na śmieci itd., razem około 500 pozycji, wśród których znalazły się wydawnictwa bezdebitowe, notatki prac naukowych itd.”³². Dziesięć dni po wysłaniu tego listu znów znalazł się w areszcie. Do opozycyjnego *curriculum vitae* mógł doliczyć kolejne półtora miesiąca w celi.

Każdy, kto się decydował na działalność niezależną, musiał być przygotowany na to, że stanie się obywatelem drugiej kategorii. Do najczęstszych sankcji należały zakaz wyjazdów za granicę i wyrzucenie z pracy. Odstraszało to wiele osób od aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa. W przypadku korowców miało często efekt odwrotny. To, że znaleźliśmy się bardzo szybko na marginesie, było w pewnym sensie naszą siłą – wspomina Seweryn Blumsztajn. – Nie mieli nam co odebrać, nikt z nas nie marzył już o karierze, paszportu i tak by nam nie dali, więc właściwie byli wobec nas bezsilni³³.

Dla dotkniętych utratą pracy było to bardzo trudne doświadczenie, ale władzom *per saldo* się nie opłacało. Wypychanie kolejnych niepokornych na przymusowe bezrobocie sprzyjało rozwojowi życia nieoficjalnego. Powstało bowiem dzięki temu grono ludzi, którzy mogli całkowicie poświęcić się działalności opozycyjnej. Utrzymywali się oni z rozmaitych prac dorywczych, potem

³² Dokumenty Komitetu..., s. 499–500.

³³ Co nam zostało z tych lat..., s. 48.

znaleźli zatrudnienie w niezależnym obiegu wydawniczym. Fundusz Samoobrony Społecznej za pośrednictwem Biura Interwencyjnego KSS KOR wypłacał pozbawionym pracy działaczom zasiłki i odszkodowania.

W rodzinie Kuroniów stałą pracę – jako psycholog w poradni zawodowo-wychowawczej – miała tylko Gajka. Jacek zarabiał od czasu do czasu publikacjami za granicą, ale to z trudem wystarczało na życie. Nierzadko brakowało „do pierwszego”. Na jednym ze spotkań komisji redakcyjnej w kwietniu 1978 r. Kuroń mówił kolegom, że ma nóż na gardle i rodzina mu umrze z głodu, więc prosi o pożyczkę 4,5 tys. złotych³⁴. W 1979 r. na brak pieniędzy narzekał z kolei w rozmowie z Kuroniem Wiesław Kęcik. Gdy teściowa i znajomi pytają, z czego się utrzymuje, nic nie mówi, bo nie chce przyznać, że dostaje zasiłek od Biura Interwencyjnego. Kuroń poradził mu, aby pisał artykuły³⁵.

Normalna działalność zawodowa z trudem dawała się pogodzić z niespokojnym rytmem życia działaczy KOR. Antoni Macierewicz nigdy nie ukończył doktoratu z historii Peru. Adam Michnik nawet nie próbował podejmować pracy naukowej jako historyk – było pewne, że żadna instytucja go nie zatrudni. Zarabiał, piszac artykuły do prasy zachodniej, dostawał także honoraria za przekłady książki *Kościół, lewica, dialog*. Mirosław Chojecki stał się wydawcą, gdy wyrzucono go z pracy w Instytucie Badań Jądrowych, gdzie zamierzał robić karierę naukową. Wojciech Onyszkiewicz sam porzucił pracę zawodową, skupiając się na działalności opozycyjnej. Zbigniew Romaszewski rozpoczął w 1976 r. doktorat z fizyki ukończył dopiero po wielu latach. Wojciecha Fałkowskiego najpierw wyrzucono z liceum im. Reytana, gdzie pracował jako nauczyciel, a potem pozbawiono zajęć na uniwersytecie. Z posady asystenta

na Uniwersytecie Warszawskim wyrzucono także Wojciecha Ostrowskiego. Pracę w bibliotece straciła Małgorzata Naimska, żona Piotra. Córką Jana Józefa Lipskiego nie została przyjęta na studia, takie same kłopoty miał syn Jacka Kuronia. Jerzy Markuszewski dostał wypowiedzenie z Teatru Łódzkiego, Bogdan Kosiński z Wytwórni Filmów Dokumentalnych, a Piotr Wierzbiński z redakcji tygodnika „Literatura”. Za działalność opozycyjną Wojciech Malicki wyleciał z Instytutu Badań Jądrowych PAN, a Ewa Ligocka z uniwersytetu³⁶. Pracę stracili łódzcy współpracownicy KOR Helena Gromiec (w Wydawnictwie Łódzkim) i jej mąż Włodzimierz (na uniwersytecie)³⁷.

Bezpieka dbała, by jej podopieczni nie mogli znaleźć innej posady. Zablokowała np. zatrudnienie Ostrowskiego w Instytucie Finansów. „Podjęcie pracy przez Wojciecha Ostrowskiego w charakterze pracownika naukowo-badawczego jest niewskazane, gdyż pracownicy tego rodzaju mają nienormowany czas pracy, nie obowiązuje ich dyscyplina pracy, tylko realizacja zadań naukowych – tłumaczyło MSW. – Pozwoliłoby to W. Ostrowskiemu być zaangażowanym tak jak obecnie w działalność środowiska opozycji politycznej. Wydaje się, że korzystniejszym jest z punktu widzenia zabezpieczenia operacyjnego figuranta, jak i utrudnienia prowadzenia działalności opozycyjnej, gdyby W. Ostrowski pracował w instytucji państwowej lub spółdzielczej, gdzie obowiązuje dyscyplina pracy, a więc praca na miejscu przez pełne 8 godzin”³⁸. „Figurant” miał siedzieć przy biurku, a nie włóczyć się po bibliotekach, załatwiając przy okazji sprawy korowskie. Służba Bezpieczeństwa ingerowała też w plany wydawnicze opozycjonistów, nawet jeżeli nie miały nic wspólnego z kontestacją polityczną. Wskutek policyjnej interwencji wstrzymano publikowanie przez Wydawnictwo Literackie książki

³⁴ AIPN, 0204/1405, t. 6, Meldunek operacyjny, [kwiecień 1978], k. 158.

³⁵ AIPN, 0204/1417, t. 36, Meldunek operacyjny, 12 XII 1979, k. 147.

³⁶ *Dokumenty Komitetu...*, s. 157–158; tam też wiele innych szykan wobec sygnatariuszy listów do sejmu i apeli w obronie KOR.

³⁷ *Dokumenty Komitetu...*, s. 176.

³⁸ AIPN, 0204/1949, Notatka służbowa, 23 XI 1977, k. 158.

Jana Józefa Lipskiego poświęconej historii literatury³⁹. To samo dotyczyło wielu pisarzy.

Z czego żyli korowcy wyrzuceni z pracy, pozbawieni możliwości druku w oficjalnych wydawnictwach? Wśród młodzieży opozycyjnej częstym sposobem zarobkowania było malowanie mieszkań – praca ciężka i wyczerpująca, ale można było w tydzień zarobić więcej niż w miesiąc na zwykłej posadzie. Parali się tym np. Seweryn Blumsztajn i Mirosław Chojecki, którzy tworzyli jedną ekipę malarską. Takie usługi organizowała Aleksandra Korewa, zwana Dolly, która zresztą sama znakomicie sobie radziła z pędzlem⁴⁰. Bogusław Sonik malował latem szklarnie u Sobiesława Zasady. Bronisław Wildstein chwycił się nawet takich robót jak rozładowywanie wagonów z węglem.

Odnawianie mieszkań zlecali często sympatycy KOR spośród warszawskiej inteligencji, traktując to jako formę pomocy dla zaangażowanych w opozycję młodych ludzi. Z innymi propozycjami zawodowymi było marnie. Po ukończeniu studiów nie mieliśmy żadnych perspektyw – wspomina Urszula Doroszevska. – Byliśmy bardzo dobrymi studentami, ale mieliśmy „wilczy bilet”. „Było wiadomo, że nas nigdzie w edukacji nie przyjmą. Ale to, co mnie boli do dzisiaj, to to, że nikt mi nie zaproponował ani Lutkowi [Dornowi], ani Jankowi [Ajznerowi], żebyśmy pisali doktoraty. [...] W zasadzie zostaliśmy kompletnie na lodzie. [...] Nie mieliśmy z czego żyć. [...] Owszem, załatwiła nam prace zlecone w PAN-ie Irena Nowakowa, żona prof. Stefana Nowaka. Dostawałam też jakieś ankiety w Akademii Nauk, ale nie na swoje nazwisko”. Umowę podpisała stryjenka Urszuli, Anna Doroszevska. „Przyniosłam, a oni mówią, że nie może być to nazwisko. Piętro niżej mój dziadek

[prof. Witold Doroszewski] pracował od 40 lat. A ja nawet nie jako Urszula, ale jako Anna nie mogę głupich ankiet robić”⁴¹.

Władzom nie udało się jednak utworzyć szczelnego kordonu sanitarnego. Korowcy mogli liczyć na życzliwość wielu osób, choć stosunek do ich działalności był zróżnicowany. Niechętnie patrzyli na nią bynajmniej nie tylko partyjni aktywiści. Do otwartej opozycji z rezerwą podchodzili profesorowie próbujący uprawiać naukę bez ideologii, rzetelni nauczyciele i nastawieni pozytywistycznie społecznicy. Uważali korowców za niebezpiecznych romantyków, szykujących kolejne powstanie. „To, co robiliśmy, nie było czarno-białe – wspomina Onyszkiewicz. – Sprawa była trudna i niejednoznaczna, bo dla mnóstwa pozytywnie zaangażowanych ludzi KOR i to wszystko było jakby naruszeniem reguł współdziałania z władzą i w związku z tym narażaniem ogromnego dorobku. Dla wielu osób to było szaleństwo, które rozwali dorobek KIK-u, uniwersytet rozwali, rozwali harcerstwo. Nas z Piotrkim [Naimskim] wyrzucili [z harcerstwa] najprzyswoitsi w tym harcerstwie ludzie”⁴². Wojciech Fałkowski mówi o pretensjach ze strony kolegów na uczelni, którzy uważali, że swoją korowską działalnością naraża „substancję Uniwersytetu Warszawskiego [...]. Zagrożenie Polski naszą nieodpowiedzialnością także się pojawiało na końcu, w formie mniej lub bardziej zawołowanej”⁴³. Krzysztof Turkowski, współpracownik KOR z Wrocławia, twierdzi, że świat zewnętrzny patrzył na korowców jak na wariatów lub samobójców. „»Sam z nimi nie wygrasz«, »Nie dasz rady«, »To nie ma sensu«, »Ze Związkiem Radzieckim nikt jeszcze nie wygrał na pięści« – to był język otoczenia”⁴⁴.

³⁹ AIPN, 0204/1421, t. 8, Pismo naczelnika Wydziału III KWM0 w Krakowie, 17 XI 1877, k. 139.

⁴⁰ Autor sam pracował w końcu lat siedemdziesiątych w ekipie malarskiej kierowanej przez Dolly Korewę. Jego kolegą z drabiny był m.in. Jan Ajzner. 10 proc. zarobków przekazywało się na KOR.

⁴¹ Relacja Urszuli Doroszevskiej dla Teresy Bochwic, 2006.

⁴² W. Onyszkiewicz, „Jedynka” była dla nas prawdziwą szkołą, „Głos”, 23 IX 2006.

⁴³ Co nam zostało z tych lat..., s. 38.

⁴⁴ A. Grubińska, J. Wawrzyniak, *Buntownicy. Polskie lata 70. i 80.*, Warszawa 2011, s. 167.

„Oprócz niewielu osób większość przechodziła na drugą stronę ulicy, gdy nas widziała – opowiada Liliana Batko. – Mówię nie o studentach, tylko o ludziach starszych. Wszyscy się bali. Ludzie się bali z nami rozmawiać w miejscu publicznym”⁴⁵. O osamotnieniu łódzkich opozycjonistów wspomina Paweł Spodenkiewicz. „W kręgach naukowych nie brakowało wprawdzie ludzi, którzy okazali nam sympatię, a nawet doraźnie pomagali. Niezmiennie rzadko jednak sami angażowali się w działalność opozycyjną. [...] Nawet znany z bezkompromisowości Marek Edelman był wtedy dość ostrożny. Wspierał nas jednak finansowo, sam przychodziłem do niego po pieniądze”⁴⁶. „Byliśmy towarzysko tolerowani jako straceńcy, którzy nie kapują, że nic się nie da zrobić” – opowiada inny współpracownik KOR z Łodzi, Wojciech Hempel⁴⁷. „Strategia bezpieczeństwa polegała w dużej mierze na wytwarzaniu wokół nas próżni – pisze Spodenkiewicz. – Nie zastosowano wobec nas jakichś szczególnych represji. [...] O wiele skuteczniejsze okazało się zepchnięcie nas do opozycyjnego getta, uderzenie w ludzi, z którymi się kontaktowaliśmy. [...] Obawiałem się, że działalność naszego środowiska sprowadzi się do kultuwowania przyjaźni i urządzania we własnym gronie bankietów”⁴⁸.

„Jeśli chodzi o formę działania, klimat czy ducha, to KOR był nam bliski – opowiada Aleksander Gleichgewicht z Wrocławia. – Bo w tym środowisku było wesoło. Można się było wódki napić, amory się odbywały. Było twórczo i ciekawie”⁴⁹. Podczas przyjęć i prywatek zabawa mieszała się z polityką, a ideowym dyskusjom towarzyszyły romanse. U Danuty Stołeckiej z wrocławskiego Studenckie-

go Komitetu Solidarności drukowano i składano bibułę. „Dużą część naszej działalności stanowiło intensywne życie towarzyskie, suto zakrapiane alkoholem – wspomina. – I upijaliśmy się niemało, nierzadko. Po każdym zebraniu SKS trzon zostawał na bankiecie. Jak przyjeżdżał Jacek Kuroń, to też się jakiegoś kielonka obalało, chociaż Jacka nigdy nie widziałam ubzdryngolonego”⁵⁰.

Okazją do zabawy i dyskusji były często imieniny. Organizowano także wydarzenia specjalne. 8 kwietnia 1978 r. opozycyjni towarzysze sztuki drukarskiej urządzili bal u Marzeny i Wiesława Kęcików przy ulicy Gimnastycznej w Warszawie. Bal został wydany przez „Łożę Wolnych Poligrafów Polskich”, jak z powagą meldowała SB. Uczestniczyło w nim ponad sześćdziesiąt osób. Funkcjonariusze mieli długą służbę, gdyż – jak zapisano w raporcie – „bal zakończył się około godz. 5 dnia następnego”⁵¹.

Fikcyjna „Łoża Wolnych Poligrafów” jest przykładem prześmiewczej postawy wobec propagandy szeptanej, widzącej w KOR masoński spisek. Wystrzegano się patosu. Poważnych słów używano jedynie w dokumentach Komitetu. Drwiący ton zachowywano nawet w obliczu policyjnej nagonki. Gdy za rozdawanie ulotek w obronie Błażeja Wyżkowskiego kilku korowców trafiło przed kolegium, przekuli sprawę w wydarzenie towarzyskie, wysyłając do przyjaciół zawiadomienia: „Zapraszamy na rozprawę przeciw Ludwikowi Dornowi, Urszuli Doroszewskiej, Antoniemu Macierewiczowi, Piotrowi Naimskiemu, która odbędzie się dnia 6 lipca 1978 r. przed kolegium ds. wykroczeń przy ul. Nowogrodzkiej 43 róg Poznańskiej. Godz. 12. [...] Prosimy o przybycie wraz z osobami towarzy-

⁴⁵ Wypowiedź z filmu *Nadzieja z bibuły*, scenariusz i reżyseria J. Morawski, Telewizja Polska, 2007.

⁴⁶ P. Spodenkiewicz, *Byliśmy jednak w zdecydowanej mniejszości...*, s. 168.

⁴⁷ W. Hempel, *Gumka od majtek, policjanci i złodzieje* [w:] *Niezależność najwięcej kosztuje...*, s. 81.

⁴⁸ P. Spodenkiewicz, *Byliśmy jednak w zdecydowanej mniejszości...*, s. 170–171.

⁴⁹ A. Grubińska, J. Wawrzyniak, *Buntownicy...*, s. 159.

⁵⁰ *Ibidem*, s. 201.

⁵¹ AIPN, 0204/1405, t. 6, Meldunek operacyjny, [kwiecień 1978], k. 145.

szącymi”⁵². Odzew był spory. W rozprawie Doroszewskiej i Macierewicza, która odbyła się 18 lipca, uczestniczył kwiat opozycji – blisko czterdzieści osób⁵³.

W czerwcu 1980 r. Paweł Bąkowski, Konrad Bieliński, Seweryn Blumsztajn, Grzegorz Boguta, Joanna Szczęsna i Zofia Winawer powołali Komitet Założycielski Klubu Podróżujących po Mapie. Miał

on objąć ludzi, którym władze odebrały możliwość realnych wojaży zagranicznych. „Członkiem Klubu może zostać każdy, kto posiada ważną odmowę paszportu lub pieczętki upoważniające do wyjazdu do KDL-ów [krajów demokracji ludowej – J.S.]” – pisali twórcy klubu z kręgu NOW-ej i „Biuletynu Informacyjnego”⁵⁴. W rozwinięciu działalności przeszkodził im jednak Sierpień ’80.

⁵² AOK, Kolekcja Jakuba Karpińskiego, III/00079.10.

⁵³ AIPN, 0258/291, t. 3, Meldunek operacyjny, 18 VII 1978, k. 14.

⁵⁴ „Biuletyn Informacyjny” 1980, nr 4.

KOROWCY, EKSPERCI I RESZTA. SPORY O KSZTAŁT SOLIDAR- NOŚCI JESIENIĄ 1980

1 września 1980 r. zaczęła się w Polsce nowa epoka. Po raz pierwszy od ponad trzech dziesięcioleci Polacy mogli się organizować poza nadzorem partyjnych sekretarzy. Wszechobecna i wszechmocna władza traciła kontrolę nad obywatelami, choć głębokość tej zmiany nie od razu była oczywista. Opozycyjne środowisko Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, liczące kilkaset osób i dotychczas aktywne na marginesie życia społeczeństwa, znalazło się w centrum wydarzeń.

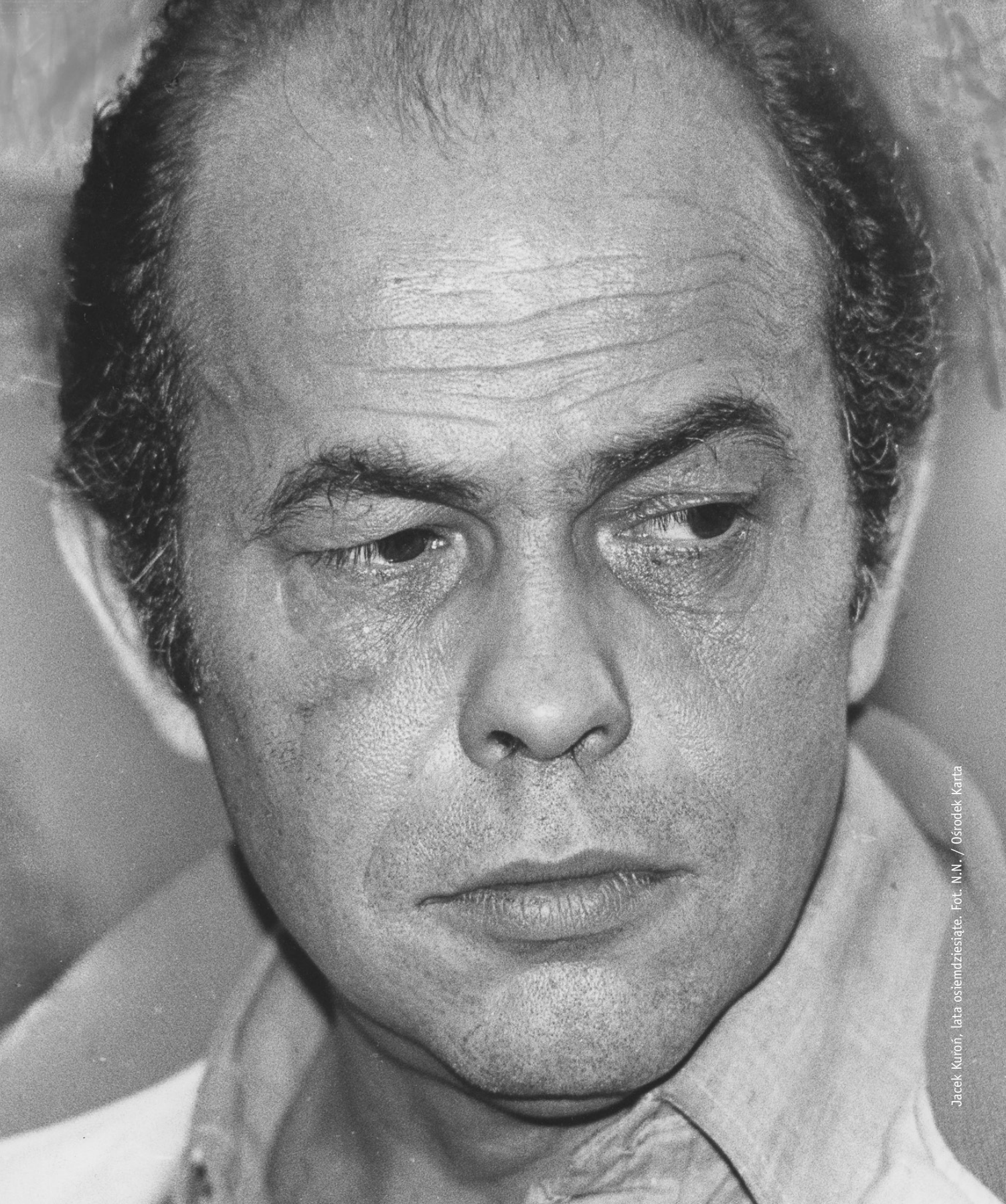
Niemniej na początku września 1980 r. nic jeszcze nie było przesądzone. Komitety PZPR próbowały hamować powstawanie nowych związków zawodowych, dyrektorzy nie chcieli wyrażać zgody na zebrania założycielskie, inicjatorzy Solidarności nie byli pewni swoich praw. Tworzący w swoich zakładach niezależne związki robotnicy oczekiwali pomocy i rady. Zwracali się często do grup opozycyjnych, ale w wielu zakładach i zwłaszcza mniejszych regionach przyjmowali pomoc od dotychczasowych działaczy związkowych niższego szczebla, nieraz członków PZPR, niekiedy szukali kontaktów z lokalnymi ośrodkami Stowarzyszenia PAX.

Od sierpnia formowały się dwa ośrodki nowego ruchu związkowego – Gdańsk i Szczecin. W obu odbył się strajk generalny, powstały międzyzakładowe komitety z wyróżniającymi się liderami, oba podpisały niezależnie od siebie porozumienia z władzami dotyczące m.in. powstania związków zawodowych. Istniały też między nimi ważne różnice. W Szczecinie – gdzie na czele strajku, a następnie nowych związków, stał Marian Jurczyk – lepiej początkowo układały się stosunki z partią, nie współpracowano z działaczami opozycji. Przywódcy gdańskiego strajku natomiast byli mocno związani z przedsięwzięciem opozycją, zwłaszcza z KSS KOR, jak np. sam Wałęsa i jego współpracownicy z Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego.

Prócz tych dwu ośrodków ruchu powstawały następne, czy to po przekształceniu międzyzakładowych komitetów strajkowych w międzyzakładowe komitety założycielskie nowego związku, tak jak we Wrocławiu, Łodzi, Jastrzębiu i Katowicach, czy w wyniku tworzenia regionalnych komitetów założycielskich od początku, w oparciu o wielkie zakłady pracy, tak jak w Warszawie.

ANDRZEJ FRISZKE

prof. dr hab., historyk, profesor w Instytucie Studiów Politycznych PAN, wykładowca w Collegium Civitas, członek redakcji „Więzi”, przewodniczący Stowarzyszenia Archiwum Solidarności, członek Rady Programowej publikacji *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*. W 1981 r. redaktor działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, w latach 1999–2006 członek Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, od 2011 r. Rady IPN. Autor wielu prac z najnowszej historii Polski, m.in.: *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980* (1994), *Oaza na Kopernika. Klub Inteligencji Katolickiej 1956–1989* (1997), *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989* (2003), *Niepokorni. Rozmowy o Komitecie Obrony Robotników* (wspólnie z Andrzejem Paczkowskim, 2008), *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi* (2010), *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności* (2011); redaktor pracy zbiorowej (i autor artykułu w niej) *Solidarność podziemna 1981–1989* (2006).



Jack Kuroń, lata osiemdziesiąte. Fot. N.N. / Ośrodek Karta

Na tym tle Gdańsk jednak się wyróżniał. Siła sierpniowego strajku i jego legenda oddziaływały na cały kraj, poruszały wyobraźnię, budowały wizję tego, czym ma być nowy związek zawodowy. Dzięki opozycyjnym ośrodkom oraz obecnym na strajku dziennikarzom krajowym i zagranicznym wiadomości o panującej tam atmosferze, postawach stoczniowców, a także nazwiska przywódców stały się szeroko znane. Lech Wałęsa stał się nie tylko przywódcą gdańskiego sierpnia, ale i symbolem całego ruchu. Podpisanie porozumienia 31 sierpnia 1980 r. po trwającej przez dwa tygodnie kampanii potępienia strajku, pokazanie tego wydarzenia w telewizji, łącznie z krótkim przemówieniem Wałęsy, było wstrząsem społecznym i pobudziło niezwykłą chęć samoorganizacji. Mimo że prasa polska, radio i telewizja informowały o nowych związkach niezwykle oszczędnie, wieści rozchodziły się szybko dzięki masowo słuchanym zagranicznym rozgłoszom radiowym oraz po prostu z ust do ust.

Zarazem powstawało wiele nowych pytań, na które odpowiedź miały przynieść dalsze wydarzenia. Nie było wiadomo, czy powstanie jedna, czy wiele central związkowych. Czy podpisanie porozumień zamyka okres strajków, czy będą trwały kolejne protesty – o prawo do działania, o podwyżki, o rozwiązanie konkretnych spraw. Ważnym pytaniem było, jak do tworzących się związków mają się ustosunkować ugrupowania opozycji – wchodzić w nie bezpośrednio czy zachować dystans, nie rzucać się w oczy?

Doradca

Jacek Kuroń wspomina, że nazajutrz po opuszczeniu aresztu, czyli 2 września 1980 r., pojechał do Gdańska. Zaraz po wyjściu z pociągu zadzwonił – jak zawsze dotychczas – do Andrzeja Gwiazdy do pracy. Gwiazda był w tym momencie wiceprzewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Założ-

cielskiego Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych. Umówili się w kawiarni, do której poza Gwiazdą przyszli Alina Pieńkowska i Bogdan Lis. Pojechali do Mariusza Muskata, działacza Wolnych Związków Zawodowych, gdzie zastali Annę Walentynowicz, Joannę Dudę-Gwiazdę, Lecha Wałęsę i Krzysztofa Wyszowskiego. Był to niemal w komplecie Komitet Założycielski WZZ i redakcja „Robotnika Wybrzeża” – teraz jako członkowie MKZ mieli zorganizować nowe związki zawodowe. „No to szybko, szybko trzeba coś wymyśleć, bo my tu zginieemy, przepadniemy, jak amen w pacierzu” – zapamiętał Kuroń słowa Wałęsy. I dodawał od siebie: „cały czas zastanawiałem się i byłem przerażony problemami typu przysłowiowej cebuli i kartofli na zimę, a coś dopiero sprawą umów zbiorowych, które wymagają olbrzymiej wiedzy i kompetencji. No i przede wszystkim ten nowy ład społeczny, w którym to wszystko ma się zmieścić”. Dyskutowali i pracowali przez całą noc. Spisano projekt „Aktualnego programu działania NSZZ”.

Związkowcy pojechali do klubu Akwen na zapowiedziane zebranie delegatów zakładów Trójmiasta, a Kuroń udał się na spacer nad morze. „I kiedy już byłem na plaży, nagle uświadomiłem sobie, że wyszedłem z więzienia. Jestem wolny! Wcześniej, gdy prosto spod celi trafiłem na konferencję prasową, potem przyjazd do Gdańska, narady i pisanie, to nie czułem tego, co tak jaskrawie w tej chwili do mnie dotarło. [...] Kupiłem sobie kieliszek koniaku i z tym kieliszkiem wszedłem na molo. Wyjście z więzienia zawsze oszołamia bogactwem świata. Ale tam, oparty o barierkę mola, z koniakiem w ręku, smakowałem błękit wody i nieba jak nigdy dotąd. Nigdy nie miałem takiego powitania wolności”¹.

W rozmowach z gdańskimi związkowcami zapewne wspomniano też strajk i mówiono o komisji ekspertów. Kuroń miał do niej stosunek bardzo krytyczny, czemu dał wyraz jeszcze poprzedniego

¹ J. Kuroń, *Gwiezdny czas. „Wiary i winy” dalszy ciąg*, Londyn 1991, s. 123–124.

dnia w Warszawie w rozmowie z Waldemarem Kuczyńskim. Zarzucił jemu oraz innym ekspertom postawę ugodową. Wedle esbeckiego streszczenia rozmowy padły nawet obraźliwe słowa: „chcieliście to upypkać... wykonaliście ten sam numer, który wykonujecie całe życie”². Poprzedniego dnia, 31 sierpnia, wkrótce po podpisaniu porozumienia gdańskiego Kuczyński zadzwonił do mieszkania Kuroniów i rozmawiał z przebywającą tam Heleną Łuczywo. Powiedział, że chodzi o to, by trzymać się osiągniętego kompromisu i by żadna ze stron nie usiłowała go złamać. Wałęsa był fenomenalny w czasie strajku, ale w normalnych warunkach może funkcjonować znacznie gorzej. Kuczyński i inni eksperci pozostaną na razie w Gdańsku, „gdyż będą potrzebni, aby nastroić MKS do pokojowej działalności. Muszą doprowadzić do tego, aby obydwie strony potrafiły ze sobą współżyć”. Realność podpisanego porozumienia Kuczyński oceniał na 80 proc.³ Podobnie sytuację oceniali inni członkowie komisji ekspertów.

Nie wiadomo, co dokładnie Kuroń zarzucał doradcom MKS. Zapewnie nie chodziło o zapisy porozumienia gdańskiego, gdyż w wywiadach i artykułach, których w tym czasie udzielał, a także w rozmowach zanotowanych przez Służbę Bezpieczeństwa nie ma krytyki zawartego porozumienia. Z pewnością jednak był oburzony na nie dość stanowczą obronę aresztowanych działaczy opozycji, niestawianie tej sprawy jako warunku podpisania porozumienia. Takie zarzuty wobec ekspertów formułowała w tym czasie większość środowiska kórnickiego. Obok tego w pretensjach Kuronia było obecne poczucie rywalizacji i obawa o marginalizację. Eksperci, związani ze środowiskami intelektualnymi dotychczas skupionymi na budowaniu niezależnej oświaty, czynni w Towarzystwie Kursów Naukowych, wysunęli się w sierpniu na pierwszy plan, stali się mózgiem ruchu robotniczego. Ta

gwałtowna zmiana ról musiała Kuronia uwierać, budzić irytację, obawę i zazdrość. Podobnie jak wielu jego współpracowników, którzy przez kilka lat budowali załóżki niezależnego ruchu robotniczego, kształtowali koncepcję walki, wychowywali działaczy, byli akuszerami wielkiego strajku, a teraz znaleźli się z boku. Jadąc do Gdańska, Kuroń nie widział potrzeby wcześniejszej rozmowy z ekspertami – Tadeuszem Mazowieckim, Bronisławem Geremekiem i innymi przebywającymi już w Warszawie, ani nie zamierzał szukać kontaktu z Tadeuszem Kowalikiem, który znajdował się w Gdańsku. Za swoich partnerów uważał przedsięwzięciowych działaczy, którzy teraz kierowali Prezydium MKZ w Gdańsku.

Kuroń wspomina, że po spacerze na moło kazał się zawieźć do MKZ. „Był już wieczór, właściwie nikogo, prócz obradującego prezydium, nie powinno być w biurze. A jednak. Czterech dryblasów w przejściu pilnowało dostępu. Przemocą zatrzymywali – nie wejdziesz i koniec. A wpychający się krzyczeli: to jest demokracja? Jak ja chcę wziąć udział, to wejdę! I dalej pchać się. Jakoś mnie wciągnięto do środka i zaraz na prezydium postawiono moją kandydaturę na doradcę. Ania Walentynowicz wygłosiła płomienne przemówienie. Trochę się zagalopowała i powiedziała coś, co potem zaciążyło na różnych sprawach. Mianowicie, że to nie Lechu, ale ja winienem być przewodniczącym. Zastopowałem ją, ale to przemówienie Ani zostawiło cień. Uchwalono jednogłośnie, że jestem doradcą i wręczono mi kartkę, którą do tej pory uważam za swoje najwyższe odznaczenie. Było napisane w niej, że na mocy porozumień sierpniowych, artykułu któregoś, stwierdza się, że Jacek Kuroń udzielał i udziela pomocy Międzyzakładowemu Komitetowi Założycielskiemu i w związku z tym nie może być represjonowany na mocy tegoż artykułu”⁴.

² Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 2 IX 1980, k. 18.

³ *Ibidem*, Meldunek operacyjny, 1 IX 1980, k. 2.

⁴ J. Kuroń, *Gwiezdny czas...*, s. 124.

Sytuacja była psychologicznie jasna. Dla gdańskich działaczy WZZ Kuroń był przywódcą, nadzrędnym autorytetem. Wchodzili do ruchu parę lat wcześniej, współpracując z KOR i czytając artykuły Kuronia. Zapładniał ich swoimi wizjami, zdolnością przekonywania, otaczał serdecznością, przedzierał się do nich potajemnie w lutym 1980 r. podczas strajku w Elektromontażu, a 14 sierpnia, kiedy wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, zatelefonowali do niego, wiedząc, że wiadomość o proteście nagłośni na cały świat. Zarazem strajk sierpniowy i przebieg rozmów z delegacją rządową, wreszcie podpisane porozumienie uświadamiały im dobitnie, że znaleźli się na nowym etapie. Stali się znani w całej Polsce. Nie zmieniało to poczucia solidarności z Kuroniem, ale zmuszało do stawiania pytań, jakie jest jego miejsce w nowym ruchu związkowym. Inne pytanie wiązało się z oceną zdolności przywódczych Lecha Wałęsy. Jego roli w czasie strajku nikt nie kwestionował, ale wątpliwość, czy poradzi sobie jako przywódca normalnego związku, miał nie tylko Kuczyński. W WZZ liderem był Bogdan Borusewicz, a także Andrzej Gwiazda, który znakomicie sprawdził się jako wiceprzewodniczący MKS w czasie sierpniowego strajku. Był on też naturalną alternatywą dla Wałęsy.

Po latach Wałęsa wspominał: „Próba odsunięcia mnie miała miejsce już po strajku, 3 września, na spotkaniu u Jacka Taylora, w którym uczestniczyli Gwiazdowie, Wyszkowski, Borusewicz i Kuroń. Ktoś powiedział tak: sierżanci wygrali wojnę, teraz jest czas generałów. Sierżant to znaczy Lech Wałęsa”⁵. Według Wyszkowskiego Kuroń „przyjechał do Gdańska z planem dokonania puczu wewnątrz rodzącego się ruchu” i na tym spotkaniu przedstawił „plan puczu”. Miał on polegać na ogłoszeniu Wałęsy agentem SB i w konsekwencji usunięciu

go ze stanowiska przewodniczącego MKZ, odejściu jego członków do pracy zawodowej oraz przekazaniu kierownictwa „aparatu” złożonemu z działaczy związanych z Kuroniem. Wyszkowski wspomina, że na naradzie 3 września stanowczo się temu planowi sprzeciwiał⁶.

Ścisłość relacji Wyszkowskiego budzi zasadnicze wątpliwości. Kuroń jechał do Gdańska wprawdzie nasrożony na ekspertów, ale bez planu jakichś radykalnych działań organizacyjnych. Od podpisania porozumienia minęły zaledwie dwa dni i dominowały pytania, co będzie dalej, jakie sprawy staną się pilne, nie zaś „walka o władzę”. W rozmaitych konfliktach tego czasu Kuroń nigdy nie posługiwał się pomówieniami o współpracę kogoś z SB – nie tylko dlatego, że nie sposób było takich oskarżeń udowodnić.

Nie ma powodu, by sądzić, że już w tym momencie Kuroń był wrogiem Wałęsy, zdeterminowanym do usunięcia go ze stanowiska. Był zbyt doświadczonym politykiem, by wszczynać awanturę o przywództwo z symbolem niezależnego związku (a takim symbolem Wałęsa się stał w chwili podpisania porozumienia i transmitowania tego wydarzenia w telewizji), za dobrze rozumiał realia związku robotniczego, by aspirować do roli jego przewodniczącego, był też świadom, że aparat władzy uważa go za bezwzględного wroga ustroju. Nie ma też wątku „puczu” w materiałach SB, która systematycznie inwigilowała Kuronia, podsłuchiwała jego rozmowy w Warszawie i to, co mówił na zebraniach KSS KOR. Podejrzenia jednak były silniejsze od faktów, wzmacniały je entuzjastyczne wobec Kuronia wypowiedzi Anny Walentynowicz. Podejrzeniom ulegał Wyszkowski, a także chyba Wałęsa, skoro powracają one po latach we wspomnieniach Danuty Wałęsowej⁷.

⁵ Lech Wałęsa. *Jak chcieli zrobić ze mnie esbeka*, rozm. M. Wąs, M. Sterlingow, „Gazeta Wyborcza”, 23 II 2005. O napięciach między Wałęsą a grupą pozostałych działaczy WZZ zob. S. Cenckiewicz, *Anna Solidarność. Życie i działalność Anny Walentynowicz na tle epoki (1929–2010)*, Poznań 2010, s. 169–173.

⁶ K. Wyszkowski, *W odpowiedzi na artykuł Roberta Spałka „Gracje...”*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2004, nr 2 (6), s. 403–404.

⁷ D. Wałęsa, *Marzenia i tajemnice*, Kraków 2011, s. 127.

Wydaje się, że właściwie ocenia wymowę narady Andrzej Gwiazda: „Eliminując merytoryczny sens dyskusji i znaczenie dla działalności Związku, [Wyszkowski] złożył relację karykaturalną [...] Cała narada była luźną dyskusją i nie zapadły na niej żadne decyzje [...] Stronniczość Wyszkowskiego (obawa, że Kuroń doradzi nam coś rozsądnego, co spowoduje, że Mazowiecki utraci pozycję) spowodowała, że nie zapamiętał takich problemów, jak układy zbiorowe, przywileje branżowe, nasze obawy, czy struktura branżowa (rozmowy płacowe z ministerstwami) nie rozbije struktury terytorialnej Związku”⁸. Sam Kuroń pisał o tej naradzie jako o dyskusji nad strukturą związku. Jak wspominał, zebrani byli zgodni, że związek powinien być ciałem kontrolnym w zakładzie, mieć strukturę regionalną, a ponad regionami jedynie jakąś instytucję porozumiewawczą⁹.

Dyskusja była związana z opracowanym przez Kuronia we współpracy z Lechem Kaczyńskim projektem „Aktualnego programu działania niezależnych związków zawodowych”. Prócz spraw bieżących wynikających z zawartego porozumienia, np. rekompensaty wzrostu cen i wprowadzenia dodatku drożyznianego, projekt zawierał koncepcje dotyczące funkcjonowania związku zawodowego w zakładzie pracy oraz relacji między pracownikiem a zakładem pracy. Niezależny związek zawodowy powinien dążyć do zmniejszenia rozpiętości płac, podnoszenia zarobków najgorzej wynagradzanych oraz zmierzać do ustalenia minimum socjalnego, musi zabiegać o przyznanie mu inicjatywy ustawodawczej¹⁰. Pochodząca z de-

mokratycznych wyborów rada zakładowa jako organ samorządu pracowników miała przejąć szereg spraw bieżących oraz być partnerem dla dyrekcji. Niezależny związek zawodowy miał być natomiast organizacją kontrolującą, integrującą członków, a także przygotowującą rozwiązania na przyszłość. Istotą tej koncepcji było odjęcie związkowi zawodowemu wyjątkowo trudnych i uciążliwych spraw bieżących oraz odsunięcie go od bezpośredniego starcia interesów z dyrekcją, co nałożono na radę zakładową. Miała ona silny mandat, pochodzący z wyboru, a w dodatku stały za nią związki zawodowe, w tym nowo zakładane, które mogły wezwać do strajku w razie nieusuwalnego konfliktu. Projekt został przyjęty 3 września na zebraniu MKZ, skupiającego przedstawicieli zakładów Trójmiasta¹¹.

Do Warszawy Kuroń wrócił 4 września rano. Dzieląc się informacjami ze współpracownikami, mówił, że został przewodniczącym drugiej grupy ekspertów, do której weszli też Lech Kaczyński – prawnik związany z Uniwersytetem Gdańskim, współpracownik KSS KOR i WZZ, specjalizujący się w prawie pracy – oraz prof. Edward Lipiński¹². Zgoda Kaczyńskiego na współpracę z Kuroniem w charakterze eksperta została zapewne wyrażona podczas jednego z gdańskich spotkań. Tymczasem wiadomość o przyjęciu przez Kuronia funkcji eksperta z pominięciem dotychczasowej komisji ekspertów dotarła do jej członków¹³. Byli oni oburzeni na to, że Kuroń pojechał do Gdańska bez porozumienia z nimi i dał się wybrać na doradcę, tym samym podważył fakt istnienia dotychczasowej

⁸ S. Cenckiewicz, *Anna Solidarność...*, s. 177.

⁹ J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 125.

¹⁰ *Projekt. Aktualny program działania Niezależnych Związków Zawodowych*, druk powielony, zbiory autora.

¹¹ L. Biernacki, A. Kazański, *NSZZ „Solidarność” Region Gdański* [w:] *NSZZ „Solidarność”*, t. 3, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 31. 7 września Kuroń przedyskutował projekt programu działania Eugeniuszowi Smolarowi (AIPN, 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 10 IX 1980).

¹² AIPN, 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 4 IX 1980, k. 25.

¹³ Komisja ekspertów została powołana przez MKS 24 VIII 1980 w składzie: Tadeusz Mazowiecki (przewodniczący), Bohdan Cywiński, Bronisław Geremek, Tadeusz Kowalik, Waldemar Kuczyński, Andrzej Wielowieyski oraz Jadwiga Staniszkis, która jednak pod koniec strajku opuściła komisję, nie akceptując wynegocjowanego kompromisu. Po zakończeniu strajku komisja działała nadal, pełniła funkcję doradczą wobec organizującego się związku.

komisji i przyczynia się do podziałów. Do Mazowieckiego dotarła też relacja Krzysztofa Wyszковского o zebraniu u Taylora jako zmierzającym do osłabienia, a może i odwołania Wałęsy z funkcji przewodniczącego MKZ. Wszystko to musiało Mazowieckiego, Geremka i innych ekspertów skrajnie zaniepokoić. Dążyli oni do utrwalenia i uporządkowania sytuacji powstałej w wyniku zawartego porozumienia, a więc m.in. umocnienia pozycji Wałęsy jako przewodniczącego nowego związku i zbudowania u jego boku sprawnego zespołu doradców. Ponadto oceniali, że działacze KSS KOR jako szczególnie przez władze znienawidzeni nie powinni się eksponować, by nie prowokować partyjnego betonu. Już sam wyjazd Kuronia do Gdańska uważali za zbędną demonstrację, a przyjęcie funkcji eksperta za tworzenie alternatywnego ośrodka kierowniczego.

Do zasadniczej dyskusji doszło na zebraniu KSS KOR 5 września. Kuroń opowiedział o swojej wizycie w Gdańsku, a podsluchujący zebranie esbecy zapisali najważniejsze jego tezy: „to, co KSS KOR może i powinien robić, zależy od tego, co robi i planuje gdański MKS; przy jego współudziale opracowano doraźny program działań, które należy podjąć, aby zbudować NSZZ; zasugerował, aby w programie działania NSZZ zmniejszono zakres ich [przewidywanych] obowiązków; zaproponował wpisanie na listę ekspertów prof. J[ana] Kielanowskiego i kogoś z hierarchii kościelnej [właśc. bliskiego hierarchii – A.F.]; na listę ekspertów wpisano również i jego; doradził, aby nie ogłaszać listy ekspertów; [...] całą sprawę na Wybrzeżu trzyma w swoich rękach L. Wałęsa, co zdaniem J. Kuronia nie jest najlepszym rozwiązaniem; w aktualnej sytuacji konieczne jest powołanie grupy ekspertów, która odciążałaby z ciężkiej i skomplikowanej pracy robotników z Wybrzeża. Sztab ekspertów ustawiłby sprawę funkcjonowania programu, struktury NSZZ; przewodniczącym grupy

ekspertów powinien być on, ponieważ zna robotników, cieszy się ich zaufaniem i ma doświadczenie w prowadzeniu ruchu prasowego”.

Z zasadniczym sprzeciwem wystąpił Andrzej Celiński, członek KSS KOR i organizator prac Towarzystwa Kursów Naukowych. Celiński negatywnie ocenił zaangażowanie Kuronia w organizowanie nowych związków zawodowych. Jego obecność w ruchu związkowym „może spowodować represje ze strony władz, jak i rozdźwięki w ramach samych komitetów” – twierdził. Zarzucił Kuroniowi, że różnymi inwektywami zraża do KSS KOR ekspertów MKS, obecnie MKZ. „Takie działania J. Kuronia określił jako wielką nieodpowiedzialność polityczną”. Złożył wniosek, by Kuroń zrezygnował z funkcji eksperta i tworzenia drugiej komisji ekspertów. Na koniec zaproponował przyjęcie przez KSS KOR oświadczenia, „iż wszelkie próby wykorzystania organizującego się niezależnego i samorządnego ruchu zawodowego dla działalności politycznej byłyby sprzeczne z treścią zawartą przez strajkujące załogi i rząd umowy i jako takie mogłyby się obrócić przeciwko interesom załóg pracowniczych skupiających się w NSZZ”. Stanowisko Celińskiego poparł prof. Kielanowski, ale pozostali członkowie KSS KOR nie podzielili tych wniosków. Mówiono, że dotychczas KSS KOR nie krępował żadnego ze swych członków w działaniu społecznym¹⁴.

Celiński wyraził stanowisko komisji ekspertów, z którą się utożsamiał. Współpraca w TKN z Mazowieckim i Geremkiem zbliżyła go do ich rozumienia polityki, dzielenia ich racji. Kuroń wspomina, że poszedł do Mazowieckiego, ale rozmowa nic nie dała – „zaciętrzewiłem się i rozstaliśmy się z Tadeuszem skłócenie”¹⁵. O konflikcie z grupą ekspertów opowiedział zachodniemu korespondentowi. „Oświadczył – zanotowała SB na podstawie podsluchu – że MKS powołał go na eksperta, ponieważ jednak nie został on włączony do utworzonego

¹⁴ AIPN, 0204/1405, t. 18, Meldunek operacyjny, 5 IX 1980, k. 120–121.

¹⁵ J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 125–126.

już zespołu, L. Wałęsa zdecydował, że będzie on przewodniczącym zespołu drugiego. W późniejszym czasie dowiedział się, że »rozbija« istniejący komitet ekspertów, powołując drugi zespół. W tej sytuacji spotkał się z T. Mazowieckim celem wyjaśnienia zaistniałego nieporozumienia. T. Mazowiecki wyjaśnił, że wejście figuranta [tj. Kuronia – A.F.] jako »osoby politycznej« do grupy ekspertów może doprowadzić do zerwania porozumienia zawartego z rządem przez MKS. Formułując odpowiedź na pytanie, jaka jest podstawa różnicy zdań pomiędzy ekspertami a KSS KOR, J. Kuroń stwierdził, że cyt.: »ekspersi uważają KSS KOR za bandę awanturników, natomiast korowcy ekspertów, że są gnojami«. Swoją opinię o ekspertach J. Kuroń motywował tym, że skompromitowali się, twierdząc, że żądania o niezależne związki zawodowe są nierealne, tymczasem rzeczywistość okazała się zupełnie inna. W tej sytuacji eksperci, a nie KSS KOR, powinni zrezygnować z dalszej działalności na rzecz niezależnych związków zawodowych¹⁶. Wypowiedź ta ukazuje temperaturę sporu z ekspertami, tak wysoką, że znalezienie kompromisu było na razie niemożliwe.

W sobotę 6 września Kuroń ponownie pojechał do Gdańska. Tam udał się do MKZ, gdzie Wałęsa poprosił go o sporządzenie punktów do rozmowy z prymasem Polski kard. Stefanem Wyszyńskim. Punkty te napisał razem z Lechem Kaczyńskim, po czym wraz z Joanną Dudą-Gwiazdą pojechali na obiad do nowego mieszkania Wałęsy¹⁷.

Spotkanie prymasa z Lechem Wałęsą odbyło się w Warszawie 7 września. Prymas Wyszyński powiedział m.in.: „Wiem, że w Waszym trudzie bardzo Wam zależało na tym, aby nie ujawniła się żadna nienawiść. Okazaliście prawdziwie chrześcijańską postawę, szanując człowieka, jego życie i dobro,

które Naród posiada. [...] Jakże wiele Wam potrzeba ducha pokoju, a może i pokory, ale przede wszystkim rozwagi, roztropności, cierpliwości, szacunku dla każdego człowieka, czy będzie on waszym przyjacielem, czy przeciwnikiem”¹⁸. Dla praktykującego katolika, jakim był Wałęsa, spotkanie z prymasem Wyszyńskim musiało być wielkim przeżyciem, a słowa i napomnienia z pewnością przyjmował z przejęciem, zwłaszcza jeśli dotyczyły konkretów.

Po wspólnym śniadaniu Wałęsa przedstawił swoje dwa punkty. Pierwszy – że strajk jest wygrany, ale gdyby przyrzeczenia nie były wykonywane, jest gotów podjąć strajk na nowo. W drugim przyznawał, że nie ma doświadczenia w organizowaniu związku i oczekuje pomocy, prosi o doradców. „Nie jest łatwo odpowiedzieć – zanotował kardynał. – Może liczyć na pp. T. Mazowieckiego, Wielowieyskiego, Myczkę, prof. Świąćckiego, prof. Kukołowicza. Mogą oni przystąpić w trzech zespołach do pracy redakcyjnej Statutów ZZ. Dla tych spraw ustalamy kontakt: R. Kukołowicz, ks. Jankowski, L. Wałęsa”¹⁹. Przedstawiony przez prymasa zestaw nazwisk obejmował działaczy Klubu Inteligencji Katolickiej oraz dwu mało dotąd znanych Myczkę i Romualda Kukołowicza, pomijał tę część ekspertów z sierpnia, którzy nie byli ludźmi Kościoła, ale też Bohdana Cywińskiego. Zaskakujące, że kardynał nie wymienił Wiesława Chrzastowskiego.

Po powrocie Wałęsy z Warszawy jego stosunki z Kuroniem wyraźnie ochłodziły. Wałęsa powiedział Kuroniowi, by nie przychodził do lokalu MKZ, ale nie odwołał go z funkcji doradcy²⁰. Zapewne wpłynęły na to uwagi prymasa lub jego współpracowników przestrzegające przed Kuroniem jako wyrazicielem postaw radykalnych, które Kościół starał

¹⁶ AIPN, 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 6 IX 1980, k. 36.

¹⁷ J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 126–127.

¹⁸ S. Wyszyński, *Kościół w służbie Narodu*, Rzym 1981, s. 41–42.

¹⁹ P. Raina, *Kardynał Wyszyński i Solidarność*, Warszawa 2005, s. 82–83. Nie wiadomo, czy autor wydrukował pełny zapis słów prymasa dotyczący tej wizyty. Książka jest napisana z perspektywy radykalnego ataku na KOR.

²⁰ J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 128.

się tonować. Znaczenie miała także niechęć części działaczy Prezydium MKZ, którzy nie byli wcześniej związani z KOR i wpływ Kuronia postrzegali jako ograniczenie własnych kompetencji, a zarazem sterowanie związkiem z zewnątrz.

Podejrzenia, że Kuroń chce wszystkim kierować, umacniał artykuł opublikowany w „Der Spiegel” 8 września 1980 r. Autorem był Siegfried Kogelfranz, korespondent tygodnika, który odwiedził Kuronia zaraz po jego wyjściu z więzienia. To nie był wywiad, ale tekst autorski Kogelfranza oparty na rozmowie z Kuroniem. Niektóre zdania Kuronia cytował, lecz wiele innych ocen było albo streszczeniem opinii interlokutora, albo własnych dziennikarza. Kogelfranz portretował Kuronia siedzącego w swym mieszkaniu w koszulce z czerwonym nadrukiem „Solidarność”. „Po tym »zwycięstwie polskich robotników«, mówi Kuroń, następnym zadaniem jest dokonywanie krok po kroku demokratyzacji polskiego społeczeństwa. Oczywiście będzie się chciało utrzymywać w granicach, czołgi Moskwy stoją – »ale granice te będą ruszały się we wszystkich krajach pod sowieckim panowaniem«. I wreszcie Rosjanie także muszą wykazać taki realizm, jakiego dowiódł polski rząd, kiedy nagiął się do żądań strajkujących. A nie miał on żadnego wyboru, gdyż tym razem wystąpiła przeciwko niemu zorganizowana klasa robotnicza”. Te buńczuczne słowa poprzedzały ocenę strajku sierpniowego dokonaną chyba przez dziennikarza, ale łatwo było przypuszczać, że jest ona streszczeniem opowieści Kuronia: „Strajk w Stoczni Lenina starannie przygotowali przebywający tam członkowie i sympatycy KOR [...] Wszystko przebiegało według hasła Kuronia: »zamiast podkładać ogień, zakładajcie komitety«. W Gdańsku KOR-owcy znaleźli także tego robotnika, który stał się znaczącym symbolem strajku [...] Katolik i nacjonalista z przekonania, Lech Wałęsa, który całował na przemian krzyż i polską flagę, nie ma nic wspólnego z komunizmem. [...]

Wałęsa spełniał rolę podporucznika w okopach, jednakże z pewnością nie był on centralą sztabu w strajkowym froncie. Tam siedział »trust Braina« – KOR, który w każdej sytuacji służył komitetowi strajkowemu radą”. Kogelfranz cytował słowa Wałęsy wypowiedziane na koniec strajku: „Kiedy uzyskaliśmy wolne związki zawodowe, możemy uzyskać wszystko”. I podsumowywał: „Dla KOR-u Gdańsk był tylko pierwszym krokiem na »polskiej drodze« – zupełnie nowej, którą dotąd nikt nie kroczył w świecie realnego socjalizmu”²¹.

Artykuł ten odegrał istotną rolę w podnieceniu antykorowskich obaw w partii, a także w Kościele i – jak można przypuszczać – w Moskwie. Wpływał też na sytuację w kierownictwie nowego ruchu związkowego, bo choć mało kto tam potrafił czytać po niemiecku, wiadomość o tekście się rozeszła i wyzwoliła antykorowskie obawy, silnie podsycane atakami w prasie partyjnej.

Przez kilka następnych dni Kuroń mieszkał u Anny Walentynowicz, gdzie powstała jego kwatera działania i doradzania. Przychodzili członkowie Prezydium MKZ, dyskutowano, naradzano się, zbierano wiadomości. Weryfikowano początkowe wyobrażenia i założenia wraz z rozwijaniem się dynamiki ruchu nie tylko na Wybrzeżu, ale i w innych regionach. Oczywiście, zbierano też plotki i opinie o ludziach, wyrażano zachwyt lub krytycyzm, nadzieje i obawy. Kuroń wspominał: „wyglądało to tak: w hotelu Morskim siedział Bronek Geremek i pisał kawałek statutu, brał ten tekst Leszek Kaczyński i siedł 25 metrów do mnie, do mieszkania Ani. Ja nanosiłem swoje uwagi i on odnosił. W takiej sytuacji na przykład moje spostrzeżenie, że nastąpi wzrost radykalizacji, był odczytywany w ten sposób, że ja chcę tej radykalizacji. A notka, że nastąpi wielka presja płacowa, oznacza, że ja chcę tej presji. Co więcej, mój pomysł roli rady zakładowej zinterpretowali eksperci w ten sposób, że związek, który zajmować się będzie sprawami bhp, kolonii letnich, zasiłków

²¹ „Der Spiegel”, 8 IX 1980; cytat za tłumaczeniem z akt śledczych, AIPN, 514/33, t. 8, k. 136–141.

pogrzebowych [...] będzie miał pełno konkretnej, organicznej roboty. Natomiast związek, który miałyby tylko kontrolować i walczyć o wybory, będzie organizacją polityczną”²².

11 września Kuroń wrócił do Warszawy. „Relacjonując swój pobyt w Gdańsku, figurant oświadczył – notował esbek streszczający podsłuch – że na Wybrzeżu jest »pełna wolność«. Studenci żądają autonomii uczelni, a załogi [robotnicze] występują o usuwanie dyrektorów”. W tym samym meldunku dodawano: „Posiadamy informację operacyjną, że Jacek Kuroń wraz z Bogdanem Borusewiczem i innymi współpracownikami KSS KOR z Gdańska podejmuje działania pozbawiające Lecha Wałęsę dotychczasowej funkcji”²³.

Podkreślić należy, że ta ostatnia informacja nie pochodziła z podsłuchu, a w meldunku nie ujawniano źródła. Być może w ten sposób odnotowano relację Wyszowskiego przekazywaną różnym osobom. Brak natomiast w materiałach SB wiadomości o jakiegokolwiek rozmowie Kurońa na temat wymiany Wałęsy na innego lidera. Czy takiej możliwości nie brano pod uwagę? Zapewne brano. W tych gorących dniach wszystkie możliwości zdawały się otwarte. Wałęsa mógł się skompromitować, nie dać sobie rady. Jediną alternatywą personalną w Gdańsku mógł być tylko Andrzej Gwiazda, wiceprzewodniczący Prezydium MKS w czasie sierpniowego strajku, a wówczas wiceprzewodniczący Prezydium MKZ. Był on w tym czasie najbliższym partnerem Kurońa w Gdańsku, znali się od paru lat i dobrze rozumieli. Gwiazda zachowywał dystans do Mazowieckiego i jego grupy ekspertów, był naturalnym liderem środowiska WZZ, mógł czuć sympatię i poparcie środowiska korowskiego w Warszawie. Z pewnością irytowało go gwałtowne wyrośnięcie Wałęsy, budowanie najbliższego otoczenia z ludzi z Ruchu Młodej Polski oraz podatność na sugestie doradców w sutannach. Jednak podejmowanie w tym momencie

walki o władzę w tworzącym się związku prowadziłoby do anarchizacji i rozpadu struktur. Główni liderzy, w tym Kuroń i Gwiazda, doskonale to rozumieli.

Zjazd międzyzakładowych komitetów założycielskich nowych związków został zwołany na 17 września do Gdańska. Z Warszawy pojechała delegacja reprezentująca tworzący się NSZZ Mazowsze ze Zbigniewem Bujakiem na czele. W Gdańsku opowiadano się za tym, by każdy związek regionalny zachował samodzielność i odrębnie występował o rejestrację. Najważniejszym argumentem za takim rozwiązaniem było przekonanie gdańskich przywódców, że wiedzą, czym będzie związek w ich regionie i jaki będzie miał charakter. Towarzyszyła temu obawa, że uzgadnianie różnych kwestii z wieloma regionami doprowadzi do paraliżu. Obawiano się też, choć głośno nie wypadało tak mówić, że różne organizacje regionalne mogą znajdować się pod wpływem partii lub Służby Bezpieczeństwa, a w konsekwencji zmajoryzować ośrodek gdański. „Mielśmy już doświadczenia, jak powstawały komitety strajkowe w niektórych zakładach. Na ugiętych nogach, a praktycznie wyznaczane przez dyrekcję. Obawialiśmy się, że poza 2–3 ośrodkami w kraju, gdzie była opozycja przedsierpniowa, reszta MKZ-etów może być figuranka, po prostu agentura” – wspominał kilka lat potem Gwiazda²⁴.

Większości wyłaniających się przywódców regionalnych nikt nie znał, pozytywny do nich stosunek jako do organizatorów nowych związków był więc zmieszany z nieufnością. Nawet tak wielki ośrodek strajkowy jak Szczecin, kierowany przez Mariana Jurczyka, podpisał porozumienie 30 sierpnia, a więc wyprzedzając Gdańsk i łamiąc solidarność. Organizatorzy związku w Szczecinie mieli dobre stosunki z Komitetem Wojewódzkim PZPR i wicepremierem Kazimierzem Barcikowskim. Władze też preferowały szczecinian. Na Śląsku

²² J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 129.

²³ AIPN, 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 13 IX 1980, k. 50.

²⁴ J. Jankowska, *Portrety niedokończone. Rozmowy z twórcami „Solidarności” 1980–1981*, Warszawa 2003, s. 101–102.

uformowały się dwa wielkie MKZ-ety – w Jastrzębiu i Hucie Katowice. Jastrzębie wyraźnie dystansowało się od Gdańska, a jego lider Jarosław Sienkiewicz, członek PZPR, już wkrótce będzie tworzył przyczółki swojego MKZ daleko poza Śląskiem oraz zacznie otwarcie rywalizować z Wałęsą. W MKZ w Hucie Katowice początkowo najbardziej znaną postacią był Kazimierz Świtoń, działacz opozycyjny, w 1978 r. inicjator WZZ, teraz podkreślający dystans wobec KOR, Warszawy i Gdańska. Na MKZ w Hucie Katowice liczył Leszek Moczulski, szukał w nim oparcia. W Warszawie obok MKZ Mazowsze, gdzie wśród organizatorów wyróżniali się działacze i współpracownicy KSS KOR i KIK, powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty – inteligencja skupiona na uczelniach i w placówkach naukowych pragnęła początkowo tworzyć związek inny niż robotnicy. Perspektywa wielu związków o różnej specyfice i znajdujących się pod różnymi wpływami była więc bardzo realna i stwarzała poważne niebezpieczeństwo bałaganu, rywalizacji, sporów.

Do innych jeszcze argumentów odwoływał się Mazowiecki. Wspominał, że wraz z innymi ekspertami uważał, że monopolistycznej władzy skuteczniej można przeciwstawić organizację bardziej demokratyczną, federacyjną, w której ludzie lepiej będą się mogli uczyć demokracji. Taką też organizację związkową władza łatwiej zaakceptuje²⁵.

Kuroń wspomina, że w Warszawie spotkał Jana Olszewskiego, który wytłumaczył mu, iż koncepcja związków regionalnych jest niesłuszna. „Olszewski kładł nacisk na to, że władze rozpoczną ostre działanie przeciw powstawaniu związków zawodowych i będą próbowały je niszczyć i rozbijać. Jeśli nie będzie to jeden związek, jeden statut i jedna rejestracja, to związek po prostu nie powstanie. To samo powiedział mi Karol Modzelewski [jeden z organizatorów NSZZ we Wrocławiu – A.F.], do-

dając do tego niebłahy powód, jakim jest scentralizowanie dyspozycji w kraju, a więc konieczność kontaktowania się związku z centralnymi władzami politycznymi i gospodarczymi”²⁶.

17 września Kuroń pojechał do Gdańska w towarzystwie Heleny Łuczywo. Na obrady w klubie Ster jednak nie poszedł, bo „obowiązywała jeszcze zasada, że siedzę zamknięty u Ani [Walentynowicz]”. Udał się na Uniwersytet Gdański, gdzie na spotkanie z nim przyszedł tłumy. Przez wiele godzin odpowiadał na zadawane z sali pytania. To spotkanie otwierało cykl dziesiątków podobnych spotkań w całej Polsce, na których Kuroń wykladał racje Solidarności i omawiał sytuację kraju, szkicował perspektywy i kierunki dalszych działań.

Tymczasem w gdańskim klubie Ster spotkało się około dwustu organizatorów związków z trzydziestu miast. Obradowano przez wiele godzin. Gdańszczanie bronili koncepcji związków regionalnych, za czym opowiadali się też Wałęsa i eksperci. Ich opór przełamało przemówienie Jana Olszewskiego, występującego w imieniu MKZ Mazowsze. Przedstawił on koncepcję samodzielnej organizacji podstawowej, mocnego regionu, w strukturze ogólnokrajowej, która miałaby charakter porozumiewawczo-koordynacyjny. Niemniej ta struktura byłaby ogólnokrajowa „i wtedy można by było występować o rejestrację w jednym akcie wspólnie dla całego kraju”. Poparł go Karol Modzelewski, wykazując na podstawie rozporządzenia Rady Państwa o rejestracji nowych związków i artykułów w „Trybunie Ludu”, że władzom zależy na rejestrowaniu związków regionalnych osobno. Jeśli każdy MKZ będzie się osobno rejestrował i powstanie tyle związków, ile jest MKZ-etów – mówił – „to jesteśmy załatwieni. Jesteśmy załatwieni być może czasowo prócz Wybrzeża, ale jeśli my będziemy załatwieni, to załatwione zostanie także

²⁵ *Ibidem*, s. 148.

²⁶ J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 132–133; por. Kryptonim „Klan”. *Służba Bezpieczeństwa wobec NSZZ „Solidarność” w Gdańsku*, t. 1: *Wrzesień 1980 – wrzesień 1981*, wstęp S. Cenckiewicz, wybór i oprac. M. Kruk, R. Żydonik, Gdańsk – Warszawa 2010, s. 151.

Wybrzeże, w ostatniej kolejności, ale niechybnie (oklaski). I dlatego uważam, że nieodzowny – nie: potrzebny, ale nieodzowny – jest nam już teraz jeden ogólnopolski niezależny samorządny związek zawodowy (oklaski). Proszę państwa, ten jeden związek musi mieć jeden statut”.

Modzelewski kontynuował: „rozpylenie na związki lokalne uniemożliwiłoby nam realizację inicjatyw ustawodawczych, występowanie w skali ogólnokrajowej wobec władz państwowych, nadzorowanie ustawy o związkach zawodowych, zawieranie układów branżowych (oklaski) [...] Gdańsk wygrał strajk dla nas wszystkich, ale wygrał go, o czym nie należy zapominać, silnym poparciem strajkowym całej Polski [...] Wybrzeże popełni samobójstwo, jeżeli się od Polski odetnie, od reszty Polski odetnie (oklaski)”. W imieniu organizacji związkowej Wrocławia, Wałbrzycha, z poparciem delegacji Warszawy i Poznania Modzelewski odczytał projekt uchwały o utworzeniu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność, którego organem ogólnokrajowym jest Komisja Krajowa. Ten wniosek został zaakceptowany²⁷.

Zjazd 17 września zamykał pierwszy okres tworzenia się niezależnych związków zawodowych. Decyzja o powstaniu jednej centrali – NSZZ Solidarność – była kluczowa dla dalszego toku zmian w Polsce. Na posiedzeniu Komisji Porozumiewawczej 22 września Tadeusz Mazowiecki zreferował projekt kształtu organizacyjnego związku. Miałby on jedną nazwę – NSZZ Solidarność, obejmowałby zasięgiem działania cały kraj, na jego siedzibę wyznaczono Gdańsk. Miał mieć strukturę federacyjną, łączyć związki regionalne. Do Komisji Krajowej „należy reprezentowanie całego związku tylko wtedy, gdy wchodzi w grę sprawa całego związku wobec władz administracji państwowej, gospodarczej i innych organizacji i instytucji.

Koordynowanie działań regionalnych, tylko koordynowanie, a nie decydowanie”. Ponadto Komisja Krajowa byłaby upoważniona do zawierania układów zbiorowych, ale mogłaby do tego upoważnić sekcje branżowe i zawodowe²⁸.

Kuroń nie kwestionował założeń przyjętego statutu. Podjął nadzwyczajną próbę szukania porozumienia z Mazowieckim. Do Krakowa pojechała Ewa Kulik, by prosić Jacka Woźniakowskiego, redaktora naczelnego wydawnictwa Znak i jednego z seniorów ruchu KIK-ów, o podjęcie się mediacji²⁹. W końcu września ukazał się kolejny numer „Biuletynu Informacyjnego” poświęcony strajkom sierpniowym. W numerze było obszerne kalendarium sierpnia oraz kilka reportaży o strajkach, w tym znakomity reportaż Ewy Milewicz ze Stoczni Gdańskiej, który zresztą przyniósł pewne napięcia z ekspertami, ale był też ich wyrazem. W dyskusji i sporze z autorką Kuroń usiłował przekonać ją do zmian, nie chciał zaostrzenia sporu z ekspertami. Redaktorzy „Biuletynu”, wsparci przez Adama Michnika, oparli się jednak presji.

W tym numerze „Biuletynu” Kuroń wydrukował artykuł pod znamienym tytułem *Co dalej?*. „Wydarzenia, których jesteśmy świadkami, naruszyły podstawy systemu, w którym żyjemy – pisał w pierwszych zdaniach. – Oto podważona została kardynalna zasada funkcjonowania wszelkich instytucji życia społecznego: monopol państwa na organizację, informację i decyzję. Zapoczątkowali ten proces strajkujący robotnicy, wymuszając na władzach zgodę na organizowanie niezależnych związków zawodowych i zarazem związki te organizując. Proszę sobie wyobrazić, że w Polskich Kolejach Państwowych, w których cały ruch podporządkowany jest jednemu, odgórnie ustalonemu rozkładowi jazdy, wprowadzono nagle pewną ilość pociągów kursujących zgodnie z rozkładem jazdy

²⁷ Powstanie KKP. (Posiedzenie delegacji MKZ – 17 IX 1980 w Gdańsku), „Krytyka” 1984, nr 18, s. 71–105. Modzelewski wspomina, że projekt uchwały zredagował z Schulzem z Wałbrzycha, Dymarskim z Poznania, Bujakiem i Chrzanowskim z Warszawy (relacja Karola Modzelewskiego, 2010, w zbiorach autora).

²⁸ Protokół posiedzenia w: www.archol.pl.

²⁹ AIPN, 0248/134, t. 3, k. 56.

ustalonym demokratycznie przez kolejarzy czy pasażerów. Takimi właśnie pociągami są niezależne związki zawodowe w systemie, w którym całe życie społeczne sterowane jest przez państwowo-partyjną centralę". Powstające ruchy społecznej samoorganizacji zmierzają do radykalnego ograniczenia centralnego sterowania i związanego z nim aparatu. „Aby przezwyciężyć dezintegrację, aparat musi albo podporządkować sobie samorządne ruchy społeczne, pozbawiając je autentycznej treści, albo przekształcać system w stronę demokracji i to niezwykle szybko". Wobec zorganizowanego społeczeństwa władza jest bezsilna, nie ma bazy społecznej, do której mogłaby się odwołać. „Może użyć tylko wojska; w istniejącej sytuacji musiałyby to być wojsko obce".

Czy możliwe jest drugie rozwiązanie, przekształcanie systemu w stronę demokracji? Każdy ruch społeczny ma swoją dynamikę i nie można nim dowolnie kierować. Ludzie, przez lata wywłaszczeni ze swoich praw, są teraz potężną siłą, ale jeszcze nie do końca zdali sobie z tego sprawę. Organizują się wokół celów ograniczonych. „Gdyby dziś wysunąć hasła najdalej idące: niepodległości państwowej i demokracji parlamentarnej – co niewątpliwie zgodne jest z aspiracjami Polaków – to hasła takie nie pociągnęłyby za sobą szerokich rzesz społeczeństwa. Wokół takiego programu nie organizowałyby się ruchy, ponieważ w świadomości ogółu program taki jest nierealny". Jeśli jednak ludzie skupią się wokół minimalistycznych nawet celów i zaczną działać, wówczas tworzy się ruch „i każdy jego sukces pomaga artykułować dążenia i cele coraz to bliższe społecznym aspiracji". Widać to było wyraźnie w ewolucji żądań ruchu polskich robotników latem 1980 r. Wysłunięcie dalej idących postulatów, uznanie ich przez masowy ruch za słuszne uniemożliwia cofanie się, poprzestawanie na żądaniach ograniczonych. Im

władza będzie słabsza, tym mniej zdolna do przystosowania swej polityki do sytuacji, tym bardziej też będzie się radykalizował ruch demokratyzacji. Polacy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa sowieckiej interwencji, ale nadużywanie tego argumentu powoduje, że traci on znaczenie. Władze sowieckie „albo zechcą zaakceptować w pewnych granicach demokratyzację Polski, albo wkroczą i to bez względu na to, jakich słów będziemy używać".

„Czas sobie uświadomić, że wkroczyliśmy w etap ruchu masowego i tylko ci, którzy jasno, publicznie precyzują swoje cele i swoje obawy, mogą skutecznie działać. [...] Nadszedł czas publicznego formułowania programów demokratyzacji i równie publicznej dyskusji nad nimi. Nim dojdziemy do uzgodnienia jednego wspólnego programu, musimy zapewne się różnić i chodzi tylko o to, żeby wszyscy mogli zrozumieć, na czym te różnice polegają". Istnieje szansa kierowania ruchami społecznymi w taki sposób, by mogły utrzymać swoje żądania w granicach narodowego bezpieczeństwa. „Demokracja parlamentarna i niepodległość stanowią realizację aspiracji Polaków. Nie możemy dziś postawić takiego zadania i zarazem stawiamy je jako cel perspektywiczny wszystkich działań. Weszliśmy na drogę, z której nie ma odwrotu. Myślę, że dziś ZSRR zgodzi się na opisaną tu oddolną demokratyzację Polski, aby nie być zmuszonym do interwencji zbrojnej. Jutro może się zgodzić na dalsze postępy tej demokratyzacji w zamian za gwarancje dla jego militarnych interesów. Pojutrze... możemy sobie taką prognozę darować. Ważne jest, aby polskie społeczeństwo było gotowe do wykorzystania każdej autentycznej szansy, a to znaczy właśnie zorganizowanie się w niezależnych, samorządnych ruchach"³⁰.

Artykuł ten musiał być kolejnym zgrzytem w stosunkach z ekspertami. Już samo opisanie

³⁰ J. Kuroń, *Co dalej?*, „Biuletyn Informacyjny” 1980, nr 6 (40), przedruk w: J. Kuroń, *Polityka i odpowiedzialność*, Londyn 1984, s. 157–163. Część myśli zawartych w tym artykule Kuroń opublikował w „Robotniku” nr 62 z 23 IX 1980. Oba teksty w: J. Kuroń, *Opozycja. Pisma polityczne 1969–1989*, Warszawa 2010.

kolizji rozkładów jazdy, choć słuszne, można było uznać za zbyt efektowne, działające na wyobraźnię, także wyobraźnię partyjnego betonu i Moskwy. Traktowanie nowych związków jako ruchu społecznego, w istocie ruchu rewolucyjnego, który musi się radykalizować i nad którym nie można w pełni panować, musiało budzić obawy umiarkowanych doradców, ale też histeryczny lęk po stronie władzy. Doradcy starali się przekonywać, że nowe związki zawodowe będą się stabilizować, nie przekroczą ram porozumień sierpniowych, a władza będzie miała szansę wprowadzania stopniowych reform, demokratyzujących system. Wizja Kuronia tworzenia ruchu na rzecz reformy od dołu, pominięcie w jego artykule władz PRL, zapowiedź, że ruch społeczny wkroczy w sferę administracji państwa, brzmiała rewolucyjnie. Kuroń zanegował politykę układów gabinetowych, afirmował natomiast powszechną dyskusję i ustalanie programów w jej wyniku.

Eksperci musieli odpowiedzieć na to, że nie da się skomplikowanych ustaleń osiągnąć bez gabinetowych rozmów i ustaleń, że powszechna dyskusja łatwo może się przeobrazić w popis demagogii. Owszem, powszechna dyskusja jest potrzebna – tego nikt nie negował – ale wszyscy powinni przestrzegać jej ram i ograniczeń, a obok niej potrzebne są kularowe negocjacje i uzgadnianie kompromisów. Zlekceważenie zagrożenia sowiecką interwencją, traktowanie go jako straszaka oceniano jako niesłuszne i niebezpieczne. Stawianie wprost celów ostatecznych, niepodległości i demokracji – jako niepotrzebne drażnienie betonu partyjnego i Moskwy. W opinii umiarkowanych ekspertów Kuroń niepotrzebnie podniecał nastroje, zachęcał do przekraczania kolejnych barier, ale też władzy dostarczał argumentów, że rozpoczęty proces będzie rozsądzał system, a z nowymi związkami nie może być kompromisu.

Wiele obserwacji o podłożu i przejawach konfliktu między ekspertami i Kuroniem zanotował

w swym dzienniku Waldemar Kuczyński, stojący wówczas na rozdrożu między środowiskiem, w którym był od lat sześćdziesiątych, a grupą ekspertów, do której formalnie należał. W połowie września zapisał, że Mazowiecki „stara się zapewnić maksymalny wpływ na nowy ruch środowiskom katolickim, skłaniając je, by pomagały zakładającym związki zawodowe. Chodzi mu o to, aby ruch związkowy działał w ramach porozumienia, jako partner raczej, a nie przeciwnik władz dla zasady. Być może gra rolę także pierwiastek rywalizacji z kręgiem KOR-owskim. [...] Myślę, że środowisko Kuronia i my dążymy do tego samego – by związki były niezależne, ale koncepcje Jacka są ryzykowne, sprzyjają powstaniu związków wrogich władzy, nieskłonnych wchodzić z nią w kompromis, za to skłonnych chwycić ją za gardło i stopniowo dusić”. Zauważał niechęć Mazowieckiego do rozmów z Kuroniem i zadawał pytania: „O co chodzi Mazowieckiemu? Czy o radykalizm Jacka, który uważa za zagrażający państwu, czy również o oczyszczenie pola dla katolików i Kościoła w nowych związkach?”. W perspektywie doświadczeń pierwszych tygodni posierpniowych Kuczyński oceniał: „My chcemy, żeby to szło wolniej, w drodze rozmów i nacisków negocjacyjnych na władze, by związki były głównie związkami. Oni chcą iść szybko, nie unikając ostrych konfrontacji. Tymczasem »Solidarność« ma własne oblicze i własną dynamikę, na którą my z naszymi koncepcjami i sporami możemy wpływać tylko w ograniczonym stopniu. Coraz częściej masywność i potęga tego ruchu milionów ludzi narzuca nam, co robić musimy, możemy, powinniśmy i czego nam robić nie wolno. W rewolucyjnej lawinie swoboda ruchów jest niewielka”³¹.

Z perspektywy kilku lat Kuroń tak oceniał podłoże swego konfliktu z Mazowieckim i ekspertami: „Oni uznali, że Sierpniowe Powstanie zakończyło się i teraz trzeba dokonać wielkiej sztuki wpisania Związku w ten ustrój. Z tego punktu widzenia klienci z pieczętką »wroga socjalizmu«, działający

³¹ W. Kuczyński, *Burza nad Wisłą. Dziennik 1980–1981*, Warszawa 2002, s. 59–60, 62–63, 67, 88.

w związku zawodowym, mogą być groźni. Natomiast ja byłem przekonany, że powstanie się dopiero zaczyna, że będzie następować radykalizacja i oczywiście głównym zadaniem jest wpisanie związku zawodowego w ład społeczny. Ale stanie się to możliwe tylko wtedy, gdy się ten ład istotnie przebuduje. [...] Byłem przekonany, że jestem jednym z nielicznych ludzi w kraju, którzy znają się na ruchu społecznym”³². Tadeusz Mazowiecki natomiast oceniał po latach: „uważałem, że jak ktoś się zdecydował na taką rolę, jaką odgrywał KOR i jaką odgrywał on osobiście przez nadawanie tego [wiadomości o strajkach w lipcu i sierpniu – A.F.] na cały świat, to nie powinien bezpośrednio wchodzić w struktury związkowe w sensie doradzania, wpływania i tak dalej. Powinien być jakby z zewnątrz. Dlatego że w tamtych warunkach musiało to zaważyć politycznie. [...] Druga sprawa, to przy wszystkich walorach, jakie środowisko korowskie ma czy miało, byłem czuły na fakt, że to środowisko ma niesłychanie rozwinięty instynkt interesu grupowego w stosunku do innych. Nieraz się z tym zetknąłem, także w konflikcie w Stoczni związanym ze sposobem załatwienia problemu więźniów politycznych. Kiedy nas posądzano o złe intencje i obmawiano w Warszawie, nie był to element, który skłaniał do łatwości współpracy”³³.

„Siła antysocjalistyczna”

5 września Edward Gierek zapadł na zdrowiu i został zabrany do szpitala. Komitet Centralny PZPR na nowego I sekretarza wybrał Stanisława Kanię. O nowym ruchu związkowym wypowiedział się on kilka dni później podczas wizyty w Katowicach. „Stoimy – stwierdził – na gruncie jedności ruchu zawodowego. Uważamy, że jedność ta jest wielką zdobyczą robotników. Wyrziliśmy jednak zgodę na utworzenie nowych związków, gdyż za tym

opowiadała się część załóg. [...] Inicjatorzy tego postulatu wyraźnie odcięli się także od antysocjalistycznych haseł. Musimy teraz stanowczo walczyć ze wszystkimi, którzy chcieliby deformować tę organizację, prowadzić na pozycje sprzeczne z socjalizmem, z interesami klasy robotniczej”³⁴.

14 września Rada Państwa przyjęła uchwałę o trybie rejestracji nowych związków zawodowych. Trzy dni później „Trybuna Ludu” informowała, że tempo rejestracji będzie zależało od złożonych dokumentów, zwłaszcza statutu. „Sprawą zasadniczą jest tu bowiem stwierdzenie, czy statut uchwalony przez komitet założycielski nie jest sprzeczny z Konstytucją PRL i innymi przepisami prawa”. Jeśli takiej sprzeczności nie będzie, sąd nie może odmówić rejestracji związku. A rejestracja umożliwia podjęcie normalnego działania, m.in. założenie konta w banku³⁵. Artykuł ten ukazał się w dniu, w którym do Gdańska zjeżdżali się organizatorzy nowych związków z wielu miast.

Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR 17 września przyjęto na wniosek Andrzeja Żabińskiego, I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, następujące stanowisko: „hasło NSZZ to hasło wroga, ale akceptowane przez rzeszę pracujących, dlatego treścią naszego stosunku do NSZZ nie może być walka, lecz polityczna jedność na gruncie akceptacji i obrony interesów socjalistycznego państwa, narodu i klasy robotniczej, na gruncie wierności zasadom polityki zagranicznej i sojuszom. Taki model NSZZ trzeba egzekwować”. Sądowi Wojewódzkiemu w Warszawie, w którym mają być rejestrowane związki zawodowe, trzeba „dać wytyczną, że rejestrować się mogą tylko związki zakładowe i branżowe, a regionalne nie”. W propagandzie należy „mocniej oddzielać nurt zdrowej odnowy, wynikającej z robotniczego niezadowolenia, od politycznych graczy. Izolować ich od klasy robotniczej, pokazywać, kim są i do

³² J. Jankowska, *Portrety niedokończone...*, s. 237.

³³ *Ibidem*, s. 151.

³⁴ „Trybuna Ludu”, 10 IX 1980.

³⁵ „Trybuna Ludu”, 17 IX 1980.

czego dążą”. Na tym posiedzeniu Biuro Polityczne „zatwierdziło obiegiem wstępne uwagi do statutu NSZZ (opracowanego przez zespół Wałęsy)”³⁶.

Ta ostatnia wzmianka w połączeniu z uwagą, by nie rejestrować związków regionalnych, wskazuje być może na próbę zablokowania rejestracji związku gdańskiego. Znamienne także, że prasa centralna nie podała wiadomości o zjeździe w Gdańsku przedstawicieli organizacji regionalnych nowych związków i utworzeniu NSZZ Solidarność.

23 września w głównym dzienniku telewizyjnym wyemitowano fragment filmu ukazującego Kuronia w czasie udzielania wywiadu dla zagranicznej telewizji. Z niezbyt dobrze słyszalnych zdań widz musiał wydobyć słowa o wieszaniu i podpalaniu komitetów partyjnych. Następnie pokazano młodą kobietę – Marylę Płońską z Gdańska, która udzielając wywiadu telewizji szwedzkiej, także energicznie wypowiedziała kilka zdań. Komentarz był jednoznaczny: są w kraju ludzie groźni, gotowi podpalić Polskę. Nazajutrz Płońska zadzwoniła do Ewy Kulik, tłumaczyła, że jej wywiad został pocięty i zastanawia się nad oskarżeniem telewizji szwedzkiej. Mówiła o złej atmosferze w Gdańsku – Wałęsa odciął się od KSS KOR, a Joannie Gwiazdowej ostro nakazał, by powiedziała Kuroniowi, żeby przestał wywoływać strajki, bo robi złą robotę³⁷.

Wyemitowanie wywiadu Kuronia było prowokacją. Na początku 1983 r., w czasie przygotowywania procesu przeciw Kuroniowi, w MSW sporządzono transkrypcję wywiadu, którego udzielił 18 sierpnia 1980 r. szwedzkiej telewizji przez telefon. Mówił wówczas: „Sytuacja jest niezwykle groźna, niebezpieczna, poważna. [...] To, co ten naród musi teraz zrobić, to pewnie się nie zdarza, bo chodzi o to, aby zorganizować się przeciw władzy i nie obalić tej władzy.

– Ale nie spodziewasz się, że w pewnym momencie zdecydują się jednak na jakieś posunięcie bardziej radykalne (tzn. władza)?

– Jakie to miałyby być posunięcia radykalne? Ja mam nadzieję, że oni wiedzą, że to, co oni by mogli zrobić radykalnego, musi się skończyć tym, że spłoną komitety, a ich się powiesi. Potem wjadą ruskie czołgi i oczywiście to jest najgorsze dla Polski. To może ich gównem obchodzić, ale oni na szczęście będą przedtem wisieć i mam nadzieję, że oni mają tego świadomość. Ruscy też tu nie chcą wjechać, bo wiedzą, że tu będzie wojna. Polska wojna, straszna dla nas wojna, ale dla nich też”³⁸. Użyte sformułowania były niezręczne, ale ich sens jednoznaczny. Wywiad został udzielony na początku strajku sierpniowego, gdy władze odmawiały rozmów ze strajkującymi. Kuroń przestrzegał władze przed użyciem siły, a Rosjan przed interwencją. Nie wzywał bynajmniej do palenia komitetów i wieszania komunistów, ale audycję tak zredagowano, by widz odebrał takie wrażenie. I by odnosiło się do aktualnej sytuacji, już po podpisaniu porozumień.

Wyemitowanie fragmentów wywiadów w głównym dzienniku telewizyjnym wyglądało groźnie i mogło zapowiadać aresztowanie, analogicznie bowiem postąpiono z Leszkiem Moczulskim. Prezydium gdańskiego MKZ zareagowało więc szybko i stanowczo. 24 września przedstawiciele MKZ-etów przyjechali do stolicy, by złożyć w sądzie wnioski o rejestrację NSZZ Solidarność. Przywieźli ze sobą oświadczenie **Krajowej Komisji Porozumiewawczej**, w którym odnieśli się do „spreparowanych wywiadów” z Płońską i Kuroniem. Wręczyli je wicepremierowi Mieczysławowi Jagielskiemu, który w imieniu władz PRL podpisał porozumienie gdańskie. „Audycja ta jest kolejną próbą dyskredytowania działaczy i osób wspomagających Niezależny Samorządny Związek Zawodowy »Solidar-

³⁶ *Tajne dokumenty Biura Politycznego. PZPR a „Solidarność” 1980–1981*, Londyn 1992, s. 101.

³⁷ AIPN, 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 25 IX 1980, k. 85.

³⁸ AIPN, 514/1, t. 18, Transkrypt datowany Sztokholm, 16 II 1983, k. 336; por. J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 134.

ność». Przypominamy, iż do tych samych metod sięgano, kiedy odmawiano pertraktacji z gdańskim MKS. W taki sam sposób propaganda atakowała strajkujących jeszcze kilka tygodni temu. Komisja Porozumiewawcza NSZZ »Solidarność« oświadcza, że powstanie niezależnych związków zawodowych nie byłoby możliwe bez pomocy ludzi dobrej woli, między innymi bez pomocy niezależnych działaczy demokratycznych, którzy od lat bronili krzywdzonych i prześladowanych. Bronili także ludzi będących teraz wśród nas: Annę Walentynowicz, Lecha Wałęsę, Andrzeja Gwiazdę, Kazimierza Świtonio, Andrzeja Kołodzieja, Alinę Pieńkowską, Jacka Pilchowskiego, kiedy wyrzucono ich z pracy i więziono za działalność na rzecz niezależnych związków zawodowych. Ci, których propaganda określa jako »siły antysocjalistyczne«, od czterech lat głoszą hasła wysuwane dziś w ogólnokrajowej dyskusji nad programem odnowy. Szkalowanie działaczy i osób wspomagających NSZZ traktujemy jako akcję wymierzoną przeciw niezależnym związkom i jako łamanie porozumienia gdańskiego, które poparli robotnicy całej Polski³⁹. Oświadczenie było dobitne i nie pozostawiało wątpliwości, że próba aresztowania Kuronia wywoła radykalną reakcję Solidarności.

Pokazanie w głównych wiadomościach telewizyjnych, oglądanych przez miliony Polaków, wywiadu z Kuronem miało i to znaczenie, że stał się on postacią budzącą powszechne zainteresowanie. Zmuszało działaczy związkowych do opowiedzenia się „za” czy „przeciw” Kuroniowi i KSS KOR. Pytany był o to też Wałęsa na zgromadzeniu, które z udziałem paru tysięcy stoczniovców odbyło się 27 września na terenie Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Na pytanie o KOR i audycję telewizyjną Wałęsa odpowiedział, że „nie był w KOR, ale ci pomogli. Pojedyncze jednostki wykorzystuje się w działalności NSZZ. Wybierają taką osobę, którą

chcą, nikt im nie będzie narzucał, jaką osobę”. Gdy był zwalniany z pracy, wtedy pomagał mu KOR. „Obecnie musimy korzystać z ludzi światłych, także z KOR-u. Obecnie korzystamy z trzech grup ekspertów – jedna kierowana przez Mazowieckiego, druga – kardynała Wyszyńskiego, trzecia tzw. korowska. MKZ wybiera spośród przedłożonych opinii przez te komisje takie rozwiązanie, które mu odpowiada”.

Na pytanie, czy KOR jest antysocjalistyczny, odpowiedział: „w pewnych okresach czasu Władysław Gomułka był też uznawany za antysocjalistę. On zna szereg osób w KOR i wie, że zawsze starali się pomagać robotnikom”. Na temat wyemitowanego w telewizji wywiadu zauważył: „to, co pokazała telewizja, nie jest dowodem, bo można to dowolnie montować, wycinać. Doświadczyłem tego po sobie”. Pytany o możliwość zaproszenia do stoczni przedstawicieli KOR, Wałęsa umiejętnie odmówił: „Nie, nie możemy. Pilniejsze sprawy mamy do załatwienia. Ja mam inną robotę, bo trwają strajki w innych regionach”⁴⁰. Słowa Wałęsy doskonale pokazują jego sposób odpowiadania na trudne polityczne pytania, uchylania się od zarzutów. Była w tych odpowiedziach obecna zarówno obrona KOR i docenienie jego zasług, jak dystansowanie się, odsuwanie podejrzeń, że MKZ realizuje koncepcje korowskie.

Wrogość władz wobec KOR, definiowanie go jako najgroźniejszego przeciwnika miała uzasadnienie. Jeśli uważnie wczytać się w dyskusje o nowym ruchu związkowym toczone w gremiach partyjnych, łatwo zauważyć nadzieję na stopniowe odzyskiwanie przez PZPR inicjatywy, wprowadzanie do struktur związku swoich działaczy, wykorzystywanie braku doświadczenia osób, które garnęły się do nowych związków i obejmowały w nich ważne funkcje. Na drodze odzyskiwania przez partię inicjatywy stawał KOR, rozumiany

³⁹ Maszynopis oświadczenia, w zbiorach autora; por. *Kryptonim „Klan”...*, s. 165.

⁴⁰ Archiwum Akt Nowych (AAN), XIA/1315, Teleks I sekretarza KW PZPR Tadeusza Fiszbacha do Stefana Olszowskiego, 27 IX 1980, k. 48–49.

szeroko, jako ruch ludzi, którzy mają doświadczenie przedsiębiorczej aktywności organizacyjnej i wydawniczej. Ludzie ci znali się, potrafili ze sobą współdziałać i rozpowszechniać informacje, tworzyć ulotki, pisemka, a także przekonywać ustnie. Byli wyczuleni na partyjne manipulacje i potrafili je wskazywać robotnikom. Byli odważniejsi, dawno już bowiem przekroczyli barierę strachu, a zatem precyzyjniej i radykalniej definiowali sytuację i problemy. Jako przyczynę kryzysu ekonomicznego wskazywali istniejący system, nie mieli też złudzeń co do mechanizmów ustroju, wyraźnie zmierzali do zablokowania możliwości wpływu komitetów partyjnych na związek. Mieli też swoją hierarchię autorytetów, wsłuchiwali się zwłaszcza w wypowiedzi Kuronia i zwykle starali się postępować wedle jego zaleceń.

Z tych samych względów drażnili część ludzi tworzących związki. Niektórzy obawiali się korowców. Na tych obawach i poczuciu dystansu wobec „prymusów opozycji” próbowała też grać władza.

Walka o rejestrację

24 września w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie delegacja NSZZ Solidarność złożyła wniosek o rejestrację statutu. Na posiedzeniu Krajowej Komisji Porozumiewawczej 6 października Bronisław Geremek stwierdził, że sąd nie przekazał oficjalnego stanowiska, natomiast wpłynął list od sędziego Zdzisława Kościelniaka. Następnie odczytywał fragmenty owego listu zawierające zastrzeżenia i zarzuty do statutu NSZZ Solidarność. Sędzia kwestionował brak odwołania do punktu porozumienia gdańskiego „zawierającego deklarację MKS co do podstaw i granic politycznego działania związku”. Kwestionował jego ogólnopolski charakter: „KZ [Komitet Założycielski – A.F.] ma prawo wyboru jednego związku lub zrzeszenia w skali Wybrzeża”. Uznawał, że punkt mówiący o prawie do strajku nie może być umieszczony w statu-

cie, gdyż ustawa regulująca prawo do strajku ma dopiero być uchwalona. I tak dalej. Geremek odczytując zastrzeżenia Kościelniaka, odczytywał zarazem projekt odpowiedzi przygotowany przez ekspertów. Na przykład w kwestii prawa do strajku odpowiadano: „Prawo polskie nie zabrania strajku, choć wyraźnie tej materii nie normuje. Rząd PRL ratyfikował konwencje międzynarodowe uznające prawo do strajku [...] Zakaz taki musiałby wynikać z wyraźnego przepisu prawa. W tym stanie wprowadzenie do statutu przepisów związanych ze strajkiem nie jest sprzeczne z prawem”⁴¹. Odpowiedzi ujawniały skomplikowaną materię prawną, niejednoznaczność zarówno ustaw, jak interpretacji porozumień sierpniowych. Ukazywały też niezbędność ekspertów Solidarności, zdolnych do podjęcia polemiki na gruncie analizy obowiązującego prawa.

Spór o interpretację prawa byłby jałowy, gdyby nie argument siły. Do tego argumentu Solidarność odwołała się, przeprowadzając 3 października godzinny ogólnopolski strajk ostrzegawczy. Strajk miał znaczenie przede wszystkim jako sprawdzian zdolności mobilizowania przez Solidarność milionów ludzi w całej Polsce i w tym sensie udał się znakomicie. Władze nie miały wątpliwości, że Solidarność kierowana przez KKP i Lecha Wałęsę ma ogromny posłuch w społeczeństwie i w razie potrzeby może zatrzymać cały kraj.

11 października w warszawskim KIK odbyło się zebranie sygnatariuszy apelu do władz z 20 sierpnia 1980 r., na którym dominowały osoby związane z Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość, TKN i KIK. Zaproszono też ludzi z KOR. Formalnie zebranie poświęcono kulturze w nowych warunkach, ale naturalnie powracano do próby określenia szans i zagrożeń politycznych. Tadeusz Mazowiecki nawiązał do doświadczenia Sierpnia. „Uzyskanie autentycznej reprezentacji zawodowej w Polsce jest wielkim faktem. Trzeba ten fakt wypełnić treścią [...] To, co nastąpiło 31 sierpnia,

⁴¹ Posiedzenie KKP, 6 X 1980, www.archsol.pl; AAN, XIA/1317, Uwagi do statutu NSZZ Solidarność w Gdańsku, k. 293–294.

było wyrazem i fenomenem polskiej dojrzałości. Chodzi o to, by to, co zostało uzyskane, było też utrzymane. Przed nami wielka odpowiedzialność za zdanie tego egzaminu dojrzałości. Kiedyś mówiliśmy, że my, Polacy, jesteśmy skazani na wielkość, teraz musimy powiedzieć, że jesteśmy skazani na dojrzałość". Profesor Edward Lipiński powiedział, że dokonała się społeczna rewolucja przeciw panującemu w Polsce ustrojowi. Zaznaczył, że od dłuższego czasu widzi niepokojące zjawiska w życiu opozycji. Inicjatorzy apelu z 20 sierpnia postanowili nie zwracać się o podpis do członków KOR. „Dlaczego? – pytał profesor i dodawał – Według krążących plotek kardynał Wyszyński miał powiedzieć Wałęsie: tylko nie słuchajcie tych KOR-owców. Nie wie, czy to prawda, ale byłoby to bardzo niepokojące (słowo »niepokojące« mocno akcentuje). Jest zwolennikiem pluralizmu, ale nie ma powodu, by w sprawach kardynalnych – walki o wolność – była taktyka i dzielenie się”.

Karol Modzelewski mówił o potrzebie realizmu dwustronnego – władzy i społeczeństwa, a to oznacza konieczność uznania realiów przez społeczeństwo i przez władzę. Zwracał uwagę, że intelektualiści muszą reprezentować ten dwustronny realizm. „To, co obecnie uzyskujemy, wywalczyła nam siła ruchu robotniczego. Trwałość naszych zdobyczy zależna jest od trwałości i rozwoju ruchu społecznego klasy robotniczej”. W wystąpieniu Jacka Kuronia znalazł się *passus*: „Państwo działało poza prawem, przeto obecnie zaznacza się silne pragnienie praworządności. Lecz to, co się stało, samo w sobie było tworzeniem prawa. Np. »Robotnik«, który krótko przed wybuchem sierpniowym osiągnął nakład 50 tys. egzemplarzy, a następnie »Solidarność« w stoczni. To było tworzenie faktów dokonanych, także prawnych. Możemy narzekać na cenzurę, ale wolnym działaniem trzeba ją znośić, publikując poza cenzurą”. Wystąpienie Kuro-

nia wywołało polemikę Andrzeja Wielowieyskiego, sekretarza KIK i członka komisji ekspertów. Mówił on, że metodą faktów dokonanych nie można zbudować praworządnego państwa. „Mogą być sytuacje, gdy tworzenie faktów dokonanych jest konieczne, lecz są to sytuacje wyjątkowe, skrajne i nie mogą być przyjęte jako metoda tworzenia samorządności społecznej”⁴².

W opozycji Kuroń – Wielowieyski zapisane były dwa główne nurty myślenia o dalszych przemianach. Kuroń stawiał na proces oddolny, tworzenie faktów dokonanych i nowej rzeczywistości politycznej; kluczem do osiągnięcia celu była według niego ogromna aktywność społeczna. Wielowieyski widział przede wszystkim konieczność przebudowania mechanizmów państwa, tworzenia nowego prawa, w którym społeczna aktywność będzie mogła się realizować.

16 października delegacja Krajowej Komisji Porozumiewawczej przybyła do Warszawy na rozmowy w Sądzie Wojewódzkim w kwestii statutu. W rozmowach uczestniczyli Bogdan Lis, Anna Walentynowicz, Zbigniew Bujak, Tadeusz Mazowiecki oraz prawnicy Jan Olszewski i Andrzej Grabiński. W wyniku trwającego pięć godzin przekonywania zredukowano listę spraw spornych. Nie osiągnięto jednak kompromisu w dwóch podstawowych sprawach: wpisania do statutu NSZZ Solidarność punktu porozumienia gdańskiego mówiącego o uznaniu przez związek Konstytucji PRL, w tym kierowniczej roli PZPR w państwie oraz ustalonego systemu sojuszów międzynarodowych. Związkowcy odpowiadali, że uwaga ta dotyczy sfery politycznej, a nie badania zgodności z prawem, zatem nie podlega kontroli sądu. Nie osiągnięto także porozumienia w sprawie zapisów statutu odnoszących się do strajku⁴³.

Relację z rozmów z delegacją Solidarności złożył 17 października na posiedzeniu Biura Poli-

⁴² Skazani na dojrzałość. Protokół z zebrania sygnatariuszy Listu z 20 sierpnia 1980, „Więź” 2000, nr 8 (protokół oparty na notatkach Andrzeja Friszkego); por. W. Kuczyński, *Burza nad Wisłą...*, s. 91–92.

⁴³ AAN, XIA/1320, Sprawa rejestracji NSZZ Solidarność w Gdańsku, k. 118–123; AIPN, 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 17 X 1980, k. 169.

tycznego KC PZPR Jerzy Bafia. Stanisław Kania skomentował sprawę: „odwlekanie rejestracji »Solidarności« powoduje napięcia, jeśli zarejestrujemy statut w obecnym brzmieniu, niepotwierdzający zasad ustrojowych PRL, to to też będzie miało poważne i nieodwracalne skutki”. Za problem uznał „korowską otoczkę”, która pcha ruch w złym kierunku. „Istnieje pilna potrzeba demaskowania jej, izolowania od ruchu politycznie, podjęcia bardziej ostrej ofensywy we wszystkich środkach propagandy”. Biuro Polityczne uznało, że trzeba żądać od Solidarności uznania pryncypiów ustrojowych – tj. powtórzenia odpowiednich punktów porozumienia gdańskiego⁴⁴.

Rozmowy w sądzie były jednym z narzędzi działania, drugim była próba wywarcia nacisku na władze. Tak można było traktować zorganizowany przez przywódców NSZZ Solidarność z Wałęsą na czele objazd miast południowej Polski: Krakowa i Nowej Huty, Tarnowa, Nowego Sącza i Nowego Targu, Katowic i Częstochowy. Na spotkania z Wałęsą przychodziły dziesiątki tysięcy ludzi, wiwatowano na jego cześć, noszono go na rękach. Popularność lidera sierpniowego strajku i przywódcy nowych związków sięgała wówczas zenitu. Był traktowany jak bohater, przywódca, ucieleśnienie nadziei na lepszą przyszłość, symbol wolnej Polski. W czasie spotkań zadawano wiele pytań, także o KOR, atakowany w prasie. Wałęsa odpowiadał zgodnie ze schematem, jaki zastosował w czasie wiecu w Stoczni Gdyńskiej, ale padały też mocniejsze sformułowania. Na przykład Anna Walentynowicz w Warszawie powiedziała dobitnie: „To, że strajk w sierpniu zakończył się sukcesem, to wielka zasługa KOR-u, który nadal szkolony jest przez propagandę komunistyczną. Doświadczenia Grudnia miały wielkie znaczenie, ale bez akcji uświadamiającej KOR-u nie byłoby takiej świadomości społecznej, by dziś

osiągnąć tak wiele, nie płacąc za to ani jedną kroplą krwi”⁴⁵.

Posiedzenie Sądu Wojewódzkiego w sprawie rejestracji NSZZ Solidarność zostało wyznaczone na 24 października. Do sądu przybyła liczna delegacja związku, Wałęsa, doradcy i eksperci prawni. Pod gmachem zgromadziło się parę tysięcy ludzi. Sędzia Kościelniak ogłosił zdumiewające postanowienie. Zarejestrował związek warunkowo, domagając się wpisania do statutu punktu porozumienia mówiącego o przestrzeganiu konstytucji, uznaniu kierowniczej roli partii w państwie i poszanowaniu sojuszy, oraz skreślił punkty dotyczące strajku. Zmiana statutu przez sąd była naruszeniem prawa, ale takie właśnie rozwiązanie zasugerował ekspert prawny kierownictwa PZPR prof. Jerzy Bafia; kierownictwo na taką koncepcję się zgodziło, a Kościelniak ją wykonał⁴⁶. Na konferencji prasowej zwołanej w warszawskich Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg Wałęsa i inni przywódcy Solidarności poinformowali tłumnie przybyłych dziennikarzy z Polski i wielu innych krajów, że zmian w statucie nie akceptują.

Od 26 do 30 października trwał najostrzejszy jak dotąd kryzys w relacjach między władzą a Solidarnością, który mógł mieć daleko idące konsekwencje. Niestety, nie dysponujemy zapisem obrad zebranej w Gdańsku KKP ani odpowiednio szczegółowymi relacjami. 27 października KKP obradowała wspólnie z gdańskim MKZ, co miało symboliczne znaczenie. Gdańscy przywódcy byli liderami sierpniowego strajku i podpisali porozumienie, na mocy którego powstał związek. Mieli więc pozycję moralną ojców założycieli. Reprezentowali też radykalizm i postawę pryncypialną. Decyzję sądu uznawali za bezprawną, takie też sformułowanie znalazło się w przyjętej uchwale. Wzywano premiera rządu PRL do przybycia do

⁴⁴ *Tajne dokumenty...*, s. 131.

⁴⁵ „Niezależność”, 1 XI 1980.

⁴⁶ T. Kozłowski, *Między porozumieniami sierpniowymi a rejestracją NSZZ „Solidarność”*, w druku. Relacja z posiedzenia KKP poprzedzającego wyjazd do sądu i z przebiegu rozprawy zob. W. Kuczyński, *Burza nad Wisłą...*, s. 101–103.

Stoczni Gdańskiej na godzinę dwudziestą naza-
jutrz, 28 października. Było to ultimatum zagro-
żone wydaniem przez KKP zalecenia MKZ-etom, by
przekształciły się w komitety strajkowe. Jeszcze
tego dnia nadeszła odpowiedź premiera, że do
Gdańska przyjechać nie może, ale zaprasza KKP
do Warszawy⁴⁷.

W Gdańsku pojawił się natomiast 28 paździer-
nika wicepremier Jagielski, który jako sygnata-
riusz sierpniowego porozumienia był naturalnym
partnerem do rozmów. Przed przystąpieniem do
nich KKP przyjęła stanowisko dotyczące realizacji
podpisanych porozumień, w tym zwłaszcza dostę-
pu do środków masowego przekazu w wymiarze
jednej godziny raz w tygodniu w radio i telewi-
zji; umożliwienia uruchomienia własnych wydaw-
nictw, które byłyby rozpowszechniane w ogólnym
kolportażu prasy; ogłoszenia, że NSZZ Solidarność
uzyskała osobowość prawną; wprowadzenia kartek
na mięso od 15 grudnia; poprawy zaopatrzenia
rynku; załatwienia spraw rent i emerytur. Realizacja
postulatów miała nastąpić szybko, poda-
wano terminy od trzech dni do trzech tygodni.
Przekazującą tę listę telefonicznie Eugeniuszowi
Smolarowi do Radia Wolna Europa i BBC Ewa Kulik
dodała, że podobno w wojsku poważnie się mówi
o wprowadzeniu stanu wyjątkowego, plotki te
mogą być sterowane albo prawdziwe⁴⁸. Atmosfera
była nerwowa.

Uspokoić nastroje i ograniczyć radykalne reak-
cje starali się w Gdańsku Wałęsa, Mazowiecki i Ku-
roń, tym razem działający zgodnie. Kuroń w swo-
ich wspomnieniach opisał rozmowy i podejmowane
działania. Zaraz po przybyciu do MKZ został za-
proszony przez Mazowieckiego, który powiedział:
„Jacek, co sądzisz, co zrobimy z tym strajkiem?”.
Kuroń proponował, by ogłosić nie strajk, a go-
towość strajkową, czyli „zawiesić ten miecz nad
władzą, ale nie wykonywać”. Mazowiecki się z tym

zgodził. Uznali też wspólnie, że do stoczni wracać
nie należy. Następnie doszło do rozmowy Kuronia
z Wałęsą. W jej trakcie KKP na wniosek gdańskich
działaczy uchwaliła jednak przeniesienie obrad do
stoczni. W czasie dalszych obrad delegaci porozu-
miewali się ze swoimi MKZ-etami, które dawały
instrukcje, czy mają głosować za strajkiem, czy
przeciw niemu. Większość wypowiadała się prze-
ciw strajkowi, szczególnie ci z regionów, „gdzie
partia miała jakieś wpływy”. Kuroń wspominał:
„Sala spierała się ze sobą, a Ania Walentynowicz
cichutko wymknęła się z obrad. Po chwili wróci-
ła i postawiła wniosek, żeby otworzyć okna. Pod
oknami stali w stoczniowych hełmach robotnicy.
Zaczął do nich mówić Wałęsa i mówił pod wpły-
wem tej przeciwstrajkowej większości delegatów,
a pod oknami odpowiedział mu potworny krzyk.
Na co Wałęsa ogłosił przerwę. Wrócił do sali na
trybunę i zaczyna: – Myślę, że oderwaliśmy się
wszyscy od swoich zakładów. Musimy posłuchać,
co mówią ludzie. Ja też przed chwilą jakieś głup-
stwa opowiadałem, ale teraz uważam, że gotowo-
ścią strajkową zagrozić trzeba. Nie możemy im się
dać zjeść jak bułkę z masłem.

Owacja pod oknami. No i sala przegłosowała
pod naciskiem stoczniowców ogłoszenie gotowo-
ści strajkowej”⁴⁹.

W KKP istniały wówczas trzy postawy: kom-
promisowa (najsilniejsza) – przeciwna i strajkowi,
i gotowości strajkowej, centrowa – optująca za
gotowością strajkową, radykalna – zмирzająca do
ogłoszenia strajku i odmowy wyjazdu na rozmowy
do Warszawy. Przeciw tej ostatniej opowiedzieli
się zgodnie Mazowiecki i Kuroń. Ostatecznie po-
stawa radykalna okazała się najsłabsza.

Umiar powziętych decyzji nie satysfakcjonował
wszystkich. Do Ewy Kulik zadzwonił Andrzej Koło-
dziej, członek Prezydium MKZ i przywódca związ-
ku w Stoczni Gdyńskiej. Twierdził, że KKP „nie stoi

⁴⁷ „Robotnik” 1980, nr 67; L. Biernacki, *Kalendarium NSZZ „Solidarność” Region Gdański 1980–1981*, maszynopis.

⁴⁸ AIPN, 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 29 X 1980, k. 160.

⁴⁹ J. Kuroń, *Gwiezdny czas...*, s. 138–140.

na wysokości zadania, Wałęsa się nie sprawdza, popełnia błędy, trzeba go jak najszybciej odsunąć od tych spraw; popełniono błąd przyjeżdżając [na rozmowy] do Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, a nie wprowadzając M[ieczysława] Jagielskiego na teren stoczni”. Kołodziej obawiał się, że zgoda na przyjazd do Warszawy jest uleganiem manewrom władz, a Kania i Pińkowski wyjechali do Moskwy, więc na rozmowach z Solidarnością ich nie będzie. Mówił, że bez zgody KKP „należy ogłosić strajk w MKZ gdańskim i wezwać do strajku cały kraj, tym bardziej że strajkować chcą Warszawa, Gdańsk oraz inne miasta; należy przestać się liczyć ze zdaniem Lecha Wałęsy, należy pozbyć się go; należy doprowadzić – poprzez akcje strajkowe – do tego, że podpisane zostanie z rządem nowe porozumienie, ale już na »innych« warunkach”. Kołodziej „zaskoczony był postawą Kuronia, Borusewicza, Pieńkowskiej oraz grupy ekspertów, uważa, że osoby te ostatnio jakoś zmiękły”⁵⁰.

Kuroń określa Kołodzieja jako bliskiego sobie chłopaka, radykała nad radykały. Píše, że przywódcy sierpniowego strajku mieli poczucie mocy, uważali, że praktycznie wszystko można wywalczyć. „Nacisk stoczni, która zdecydowała o wynikach głosowania KKP, to był nacisk załogi, która wygrała strajk sierpniowy. Załogi ufnej w swoją siłę”. Kuroń w tym czasie najlepiej rozumiał się z Karolem Modzelewskim, który reprezentował MKZ we Wrocławiu. „Obaj uważaliśmy, że trzeba budować związek, ale bez zdecydowanego nacisku na władze komunistyczne to się nie uda. Postawa taka zbliżała nas, a nawet w tym momencie czyniła identycznymi z tworzącym się właśnie w Gdańsku skrzydłem radykałów”. W tym czasie konflikt między Wałęsą a gdańskim prezydium był już widoczny. „Prezydium w ogóle było ostro radykalne, a Wałęsa nie. Prezydium co rusz wpadało w kon-

flikt z doradcami: z Wielowieyskim, Mazowieckim, Geremkiem, a Wałęsa ich bronił. Myślę, że Wałęsa dość szybko zrozumiał, że musi być centrowy, bo jeśli nie, to nie tylko nie będzie przywódcą »Solidarności«, a nawet rozwali ten związek, gdy opowie się za jedną ze stron. I to uważam za rys genialności w tym facecie. Tak, jak nie chciał się odciąć od żadnego ze skrzydeł, tak i ze mnie nie chciał zrezygnować. A przecież był pod naciskiem, i to dużym...”⁵¹.

Gestem Wałęsy wobec Kuronia, niewątpliwie związanym z jego postawą w czasie obrad KKP i łagodzeniem nastroju radykałów, było wpisanie go na listę delegatów KKP na rozmowy z premierem. Gestem Kuronia było skreślenie swego nazwiska na ustalonej liście. „Przekonałem tym gestem kolegów ekspertów, że nie jestem awanturnikiem”⁵². Kuroń w ten sposób udowodniał, że nie myśli o prestiżu, ale stara się o dobro sprawy, osiągnięcie realnych korzyści dla związku. Niewątpliwie też właściwie oceniał wrogość wobec siebie aparatu władzy. Jego obecność na rozmowach została odebrana jako prowokacja i usztywniła przedstawicieli władz. Kilka miesięcy potem wspominał: „Gdybym brał udział w rozmowach, to prawdopodobnie wtedy prasa całego świata ogłosiłaby, że rząd nasz uznaje legalną opozycję. Na to rząd oczywiście pójść nie może”⁵³.

Trwające czternaście godzin rozmowy z premierem Józefem Pińkowskim, wicepremierami Mieczysławem Jagielskim i Tadeuszem Grabskim, ministrem Bafią i innymi członkami rządu przyniosły pewne efekty. Przedstawiciele rządu stwierdzili, że 24 października związek uzyskał osobowość prawną, a odwołanie do Sądu Najwyższego zostanie rozpatrzone do 10 listopada. Zapowiedziano zgodę na wydawanie przez Solidarność ogólnokrajowego tygodnika i ustalenie zasad funkcjonowa-

⁵⁰ AIPN, 0204/1417, t. 40, Meldunek operacyjny, 30 X 1980, k. 189–190.

⁵¹ J. Kuroń, *Gwiazdny czas...*, s. 140–141.

⁵² *Ibidem*, s. 141, 143. Waldemar Kuczyński pisze, że Kuroń wycofał swe nazwisko po rozmowie z Geremkiem, nie chcąc zaostrzyć stosunków z Mazowieckim (W. Kuczyński, *Burza nad Wisłą...*, s. 109).

⁵³ AIPN, 0204/1417, t. 51, Stenogram spotkania Jacka Kuronia z robotnikami Dolmelu we Wrocławiu, 14 III 1981, k. 189.

nia wydawnictwa związkowego. Zgodzono się na zwolnienie z opłat celnych i podatków maszyn poligraficznych przesłanych związkowi z zagranicy. Solidarność miała uzyskać możliwość utworzenia regionalnych pism lub prowadzenia rubryk w prasie wojewódzkiej. W zespole roboczym miano omówić sprawy dotyczące regularnych audycji związkowych w radio i telewizji. Ustalono również, że podwyżki dla branż i zawodów zostaną rozdzielone w porozumieniu z załogami, przy założeniu, że zmniejszy się rozpiętość płac. Odrębne stanowiska zaznaczyły się w kwestii samorządności rolników – rząd opowiadał się za jej rozwijaniem w kółkach rolniczych, Solidarność opowiadała się za nowymi formami zrzeszania się rolników. Nie osiągnięto też porozumienia w sprawie przywrócenia do pracy zwolnionych za udział w strajkach 1970 i 1976 r.

Do wydania wspólnego oświadczenia jednak nie doszło, gdyż w ostatniej chwili strona rządowa zaproponowała komunikat obejmujący jedynie kwestię rejestracji związku, a pominięcie innych tematów rozmów, których Solidarność nie zaakceptowała⁵⁴. Po wyjściu z Urzędu Rady Ministrów delegacja związku przyszła podzielić się wrażeniami i ocenami z pozostałymi członkami KKP. Ustalono, że gotowość strajkowa na 12 listopada nadal obowiązuje. Część delegacji poszła następnie do Kuronia. Tam ustalono, że komunikat o przebiegu rozmów wyda rzecznik prasowy Regionu Mazowsze Janusz Onyszkiewicz⁵⁵. Komunikatu nie ogłosił jednak rząd, zatem zapewnienia i obietnice nie zostały potwierdzone na piśmie.

Wrażenia i oceny premiera były niejednoznaczne. Na posiedzeniu Biura Politycznego 4 listopada Józef Pińkowski mówił, że w czasie spotkania z Solidarnością przedstawiciele rządu przeprowadzili wiele rozmów indywidualnych, które dają nadzieję na rozwarstwienie ruchu i przyciągnięcie jego części do współdziałania. Nurt korowski

takich kontaktów nie szukał. W Solidarności jest też nurt trzeci, warcholski, anarchistyczny. Premier wyciągał stąd wnioski: przyciągać elementy umiarkowane do współdziałania, ale „uderzać w elementy KOR-owskie, wnoszące do ruchu politykę skierowaną przeciw władzy i partii, oraz w elementy warcholskie wnoszące anarchię”⁵⁶.

Kierownictwo PZPR jednak ostrożnie przychyliło się do kompromisu. Członek Biura Politycznego i wicepremier Tadeusz Grabski mówił, iż rozmawiał z Mazowieckim, który stwierdził, że istnieje możliwość wyrażenia zgody przez Solidarność na aneks do statutu zawierający punkty 1–7 porozumienia gdańskiego. Nie ma tylko pewności, czy cała KKP za tym się opowie i czy z taką propozycją zwróci się do sądu. Premier Pińkowski ocenił, że aneks „byłby to rozsądny kompromis”. Podzielił tę ocenę I sekretarz KC Stanisław Kania, ale zarazem podkreślał, że od Solidarności nie można przyjąć mniej, np. deklaracji do protokołu. Nie można zaakceptować też zapisu o prawie do strajku w obecnym brzmieniu. Stefan Olszowski powiedział, że w rozmowie z I sekretarzem partii w Gdańsku Tadeuszem Fiszbachem Wałęsa mówił, że aneks lub preambuła do statutu nie wchodzi w grę. Jeśli Sąd Najwyższy potwierdzi decyzje Sądu Wojewódzkiego, są gotowi do strajku. Alojzy Karkoszka, I sekretarz w Warszawie, powołał się na te słowa i zachęcał do nieustępliwości. Za kontynuowaniem rozmów przez Grabskiego i przyjęciem kompromisu aneksowego wypowiedzieli się Wojciech Jaruzelski i Andrzej Werblan. Na zakończenie Stanisław Kania podsumował, że Solidarności nie chodzi o rejestrację, ale „wykorzystanie jej dla totalnego demonstrowania siły, upokorzenia władzy. Dziś są takie żądania, jutro będą inne. [...] Potrzebna mądra stanowczość”. Zaraz potem dodał, że sytuacja zbliża się do konfrontacji i muszą być do niej dostosowane środki działania.

⁵⁴ „Robotnik” 1980, nr 67.

⁵⁵ Komunikat opublikowała „Niezależność”, 1 XI 1980.

⁵⁶ *Tajne dokumenty...*, s. 158–159.

Trzeba powołać sztab kryzysowy z Olszowskim na czele, który zaproponuje działania na najbliższe dni, potrzebny jest też plan przedsięwzięć MSW⁵⁷.

Być może w odpowiedzi na te słowa nazajutrz zebrało się kierownictwo MSW w pełnym składzie, by zastanowić się nad działaniami w wypadku strajku. Rozpoczął wiceminister Adam Krzysztoporski, powołując się na wspomnianą rozmowę Wałęsy z Fiszbachem. Jeśli decyzja Sądu Najwyższego będzie dla Solidarności niekorzystna, premier powinien „zapowiedzieć wprowadzenie stanu wyjątkowego (choć konstytucja przewiduje tylko stan wojenny)”. W ramach tego stanu konieczne jest przygotowanie zakładów karnych do izolacji 30–40 tys. na wstępie, później może 2–3 razy więcej, unieruchomienie i zabezpieczenie wszelkich środków przekazu, wprowadzenie specjalnych zarządzeń, zatrzymanie określonych osób, zamknięcie granic i izolowanie niektórych cudzoziemców. A także uruchomienie rezerw kadrowych MSW i powołanie kilku roczników do wojska.

W dalszej dyskusji uszczegóławiano plany wprowadzenia stanu wojennego. Minister Mirosław Milewski powiedział, że nawet jeśli do strajku nie dojdzie, należy aresztować kolejnych działaczy Konfederacji Polski Niepodległej. „Ważną i pilną sprawą jest izolacja KOR i jego popleczników”. Milewski proponował, by rozważyć możliwość przeprowadzenia rozmów ostrzegawczych ze środowiskiem KOR, ale wiceministrowie Bogusław Stachura, Władysław Pożoga i Krzysztoporski powiedzieli, że takie rozmowy KOR uznałyby za przejaw słabości. Marian Janicki ocenił, że strajkowi nie da się zapobiec, konfrontacja jest nieuchronna i należy rozważyć możliwość izolowania dużej grupy osób jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. „Jeśli do strajku nie dojdzie, to trzeba będzie kilka dni po 12 XI odczekać i później zdecydowanie uderzyć w KOR”. Również Pożoga mó-

wił, by „podjąć przygotowania do zdecydowanego uderzenia w KOR”. Podzielił tę opinię Stachura. Przed 12 listopada nieodzowne byłyby apele do społeczeństwa, serie rozmów ostrzegawczych, także z udziałem prokuratorów. „Inne działania to szybkie uderzenie w KOR, zakładające, że część osób z tego środowiska się izoluje (np. Kuroń, Macierewicz), a z częścią przeprowadzić poważne rozmowy ostrzegawcze (np. ze Steinsbergową)”.

Dalsza część obrad toczyła się z udziałem przybyłych z Gdańska pułkowników Jerzego Andrzejewskiego i Władysława Jaworskiego. Andrzejewski powiedział, że jeśli do strajku dojdzie, weźmie w nim udział 90 proc. zakładów Wybrzeża. Wałęsa stwierdził, że na żadne kompromisy nie pójdzie. Instrukcja strajkowa nie liczy się z żadną władzą. Milewski zapytał, jakie byłyby konsekwencje aresztowania Andrzeja Gwiazdy za podpisanie instrukcji strajkowej. Usłyszał w odpowiedzi, że zatrzymania i areszty mogą doprowadzić do wyjścia ludzi na ulicę. Na zakończenie Milewski powiedział, że wszystko, co resort zamierza podjąć, zależy od przebiegu rejestracji Solidarności. „Minister podziela pogląd, że niezależnie od uderzeń w KPN – które nie bardzo wychodzą – trzeba będzie uderzyć w KOR, a jeszcze wcześniej wykorzystać wszelkie możliwe środki przeciwdziałające strajkowi, gdyż tylko uderzenie w KOR problemu nie rozwiąże”⁵⁸. Konsekwencją tej narady było postawienie aparatu MSW w stan podwyższonej gotowości⁵⁹.

Wypowiedzi te pokazują, jak krytyczny moment nadchodził i jak wiele zależało od zawarcia kompromisu rejestracyjnego. Gdyby do kompromisu nie doszło i strajk się rozpoczął, zapewne odpowiedzią władz byłoby uruchomienie stanu wojennego. Wszystkie istotne jego elementy przygotowywano dopiero w następnych miesiącach, byłyby to więc konfrontacja obfitująca zapewne

⁵⁷ *Ibidem*, s. 163–165.

⁵⁸ AIPN, 1585/198, Posiedzenie kierownictwa MSW, 8 XI 1980.

⁵⁹ P. Raina, M. Zbrożek, *Operacja „Lato-80”. Preludium stanu wojennego. Dokumenty MSW 1980–1981*, Pelplin 2003, s. 66–70.

w gwałtowne starcia i walki. Czy władze ostatecznie by się do tego posunęły, nie wiadomo, ale poważne ryzyko istniało.

Zapis tej narady pokazuje również, że zasadniczym wrogiem pozostawał KOR i planowano represje przeciw jego działaczom niezależnie od tego, czy strajk się rozpocznie. Zapis narady Biura Politycznego ujawnia też podziały w kierownictwie PZPR na zwolenników konfrontacji (zwykle podkreślali, że do kompromisu nie dojdzie) oraz rzeczników dalszej gry z Solidarnością (ci wskazywali na możliwość kompromisu). I sekretarz KC Stanisław Kania miał postawę chwiejną; wygłaszał ostre opinie, ale nie wykluczał kompromisu, choć zarazem dawał przyzwolenie na przygotowywanie konfrontacji.

Na posiedzeniu Biura Politycznego 8 listopada Grabski poinformował o rozmowie z Mazowieckim i Modzelewskim, która odbyła się tego samego dnia przed południem. „Zadeklarowali gotowość oświadczenia w Sądzie Najwyższym przyjęcia załącznika do statutu, w którym zostaną umieszczone pkt 1–7 porozumienia gdańskiego. Proszą, aby Sąd Najwyższy nie używał sformułowania, że załącznik »stanowi integralną część statutu«”. Kania zaproponował, by przyjąć taki kompromis. W kwestii zapisu w statucie dotyczącego strajku Grabski powiedział: „Sąd Najwyższy nie popełni już błędu sądu wojewódzkiego i niczego nie będzie skreślał ani dopisywał. Może wyrazić zastrzeżenie. Prawo do strajku zagwarantowane jest w porozumieniach”. Sprawę zapisu o strajku zamierzano wyjaśniać w rozmowach z Wałęsą „i jego grupą”. Dalsza dyskusja toczyła się wokół wyników prac zespołu przygotowującego kroki na wypadek strajku generalnego. Wobec ustalonego kompromisu dyskusja miała raczej teoretyczny charakter, niemniej interesujący był głos Jaruzelskiego: „Stan wojenny może być ogłoszony tylko w skrajnej sytuacji. Nie

mieliśmy takiego stanu nawet w latach czterdziestych. Jego ogłoszenie wymaga gwarancji wyegzekwowania skutków. A czy można wyegzekwować skutki stanu wojennego wobec milionów strajkujących? Trzeba mieć świadomość, że takiej decyzji nie można nadużywać”⁶⁰.

9 listopada Krajowa Komisja Porozumiewawcza uchwaliła, że do statutu będą załączone punkty 1–7 porozumienia gdańskiego, w których była mowa o powstaniu nowych związków, uznaniu przez nie konstytucji, ale i zobowiązaniach władz do poszanowania niezależności związków, a także konwencja Międzynarodowej Organizacji Pracy z 1948 r. o wolności związkowej. W finalnych negocjacjach dotyczących kompromisu obok Mazowieckiego i Modzelewskiego uczestniczył Andrzej Gwiazda. On też zagał sprawę na posiedzeniu KKP 9 listopada. „Powstała taka sugestia, aby za cenę przywrócenia praworządności, czyli zarejestrowania statutu bez poprawek, bez zmian, jednak z naszej strony również zrobić gest w formie zgłoszenia propozycji załączenia załącznika do statutu, w którym to załączniku byłyby treść dokumentów, na które powołuje się porozumienie gdańskie. [...] A więc byłyby to konwencja nr 87 i 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz część pierwsza porozumienia gdańskiego”. Gwiazda akcentował znaczenie mało znanej konwencji MOP, uniknął przypominania treści pierwszych punktów porozumienia. Zaznaczył, że KKP powinna to rozstrzygnąć, „nie możemy zasugerować postawienia się w takiej sytuacji, że znowu sąd nam będzie coś proponował”. W tym momencie zabrał głos Wałęsa i powiedział, że na sto procent są podsłuchiwanie, przestrzegał przed taktycznymi rozgrywkami. Komisja zaakceptowała kompromis. Na rzecznika prasowego KKP wybrano Karola Modzelewskiego⁶¹.

O stanowisku Kuronia wiele mówi streszczenie jego rozmowy telefonicznej z Bogdanem Boruse-

⁶⁰ *Tajne dokumenty...*, s. 166–171.

⁶¹ AIPN, 0247/1087, t. 7, Stenogram posiedzenia KKP 9 XI 1980 (powstały w wyniku podsłuchu, spisany tego samego dnia), k. 151–155.

wiczem 9 listopada wieczorem. Organizator sierpniowego strajku, teraz członek prezydium gdańskiego MKZ, był krytyczny wobec kompromisu. „Borusewicz stwierdził, że pójdzie na kompromis z władzą w postaci zamieszczenia załącznika doprowadzi do rozłamu w Solidarności, gdyż robotnicy są zdecydowani na konfrontację z władzą w tej sprawie. Trudno będzie im wytłumaczyć, dlaczego KKP zgodziła się na tak daleko idące ustępstwa. Ponadto zbyt często Solidarność ustępuje i jest to dowód dla władz, że powinni w stosunku do Solidarności utrzymywać sztywne stanowisko. B. Borusewicz oświadczył, iż jest to oddawanie po kolei zdobytych pozycji, już raz ustąpili, godząc się, aby funkcje w Solidarności mogli pełnić członkowie partii. Tym razem należało doprowadzić do konfrontacji i byłaby to jeszcze jedna próba sił, ostatnia.

J. Kuroń, odpowiadając B. Borusewiczowi, twierdził, że załączniki nie mają znaczenia. Ponadto wyjaśnił, że skoro w porozumieniu gdańskim uwzględniono kierowniczą rolę partii, to teraz trzeba podjąć zasadniczą decyzję: albo działa się w NSZZ Solidarność i uwzględnia się ten fakt, bądź nakreśla się program walki z władzą i realizuje go – obala władzę. Zdecydowaliśmy się na kompromis z PZPR i staliśmy się Solidarnością i tego trzeba się trzymać. Uznajemy władzę par-

tii w państwie, a nie w związkach. Obecnie nie jesteśmy na tyle silni, aby obalić władzę” – tak streszczano jego słowa w notatce SB⁶².

10 listopada Sąd Najwyższy zarejestrował NSZZ Solidarność zgodnie z przyjętym kompromisem. Anulowane zostały dopiski poczynione przez Sąd Wojewódzki, a także skreślenie punktu dotyczącego strajku. Sąd zaakceptował umieszczenie w aneksie pierwszych punktów porozumienia gdańskiego oraz konwencji MOP⁶³. KKP powitała decyzję sądu oświadczeniem, w którym pisano, że pozwoliła ona „usunąć groźbę niezwykle poważnego konfliktu społecznego. [...] Przewyciężenie napięć wokół rejestracji NSZZ »Solidarność« stwarza możliwość podjęcia przez związek normalnej pracy”⁶⁴.

Kryzys rejestracyjny zbiegał się z zakończeniem ostrego konfliktu między Kuroniem a Tadeuszem Mazowieckim i innymi ekspertami. Wcześniej Kuroń zrezygnował z budowania alternatywnej grupy ekspertów. Choć konflikt miał ostry charakter, towarzyszyły mu emocje po obu stronach, jednak nie zamienił się w otwartą walkę. Obie strony dbały o to, by nie padły publicznie słowa, by nie powstały fakty, które stworzą sytuację nieodwracalną. Obie strony wykazały wysoką kulturę polityczną i świadomość nadrzędności celów zasadniczych.

⁶² AIPN, 0204/1417, t. 41, Meldunek operacyjny, 11 XI 1980, k. 20.

⁶³ Por. T. Kozłowski, *Między porozumieniami sierpniowymi...*; protokół posiedzenia Sądu Najwyższego 10 XI 1980 [w:] *Narady i telekonferencje kierownictwa PZPR w latach 1980–1981*, oprac. M. Jabłonowski, W. Janowski, W. Władyka, Warszawa 2004, s. 319–322.

⁶⁴ „Niezależność”, 15 XI 1980.

„TYGODNIK MAZOWSZE” – GŁOS PODZIEMNEJ SOLIDARNOŚCI 1982–1989

Bibliografowie drugiego obiegu w Polsce doliczyli się 5 tys. tytułów pism niezależnych, które ukazywały się w zdecydowanej większości w latach osiemdziesiątych¹. To na nich opierał się największy ruch opozycyjny w bloku sowieckim. Były wśród nich jednokartkowe biuletyny (one dominowały) i kilkusetstronicowe tomy, poważne periodyki i gazetki satyryczne. Niektóre z nich, odbite na powielaczu, były ledwie czytelne, inne formą niewiele różniły się od prasy oficjalnej. Wiele tytułów drugiego obiegu miało niewielki nakład, ale zdarzały się też drukowane w tysiącach egzemplarzy i rozpowszechniane w wielu miastach. Należał do nich ukazujący się od lutego 1982 do kwietnia 1989 r. „Tygodnik Mazowsze”².

Jego historia zaczęła się przed wprowadzeniem stanu wojennego. Jesienią 1981 r. w Regionie Mazowsze NSZZ Solidarność miał powstać – w oficjalnym obiegu, na wzór redagowanego przez Tadeusza Mazowieckiego „Tygodnika Solidarność” – tygodnik o nazwie „Mazowsze”. Planowano nakład 250 tys. egzemplarzy³. Zarząd Regionu Mazowsze 5 listopada 1981 r. powołał Jerzego Zieleńskiego na stanowisko redaktora naczelnego.

Ponadpięćdziesięcioletni wówczas Zieleński był znaczącą postacią w środowiskach opozycyjnie nastawionych dziennikarzy. Miał bogaty życiorys – w czasie drugiej wojny światowej był członkiem Armii Krajowej, więźniem Pawiaka, uczestnikiem powstania warszawskiego. Po wojnie pracował m.in. w „Życiu i Nowoczesności”, kierowanym przez Stefana Bratkowskiego. W latach siedemdziesiątych związał się z prasą

JAN OLASZEK

pracownik Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej, doktorant w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, członek zarządu Stowarzyszenia Archiwum Solidarności. Autor monografii „Nieliczni ekstremiści”. Podziemna „Solidarność” w propagandzie stanu wojennego (2010), opracowań źródłowych: Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie 10–12 sierpnia 1981 (2010) i Dokumenty władz NSZZ „Solidarność” 1981–1989 (2010), współautor książki *Solidarność Rolników 1980–1989* (z Andrzejem W. Kaczorowskim i Tomaszem Kozłowskim, 2010).

¹ R. Wróblewski, *Charakterystyka liczbowa prasy niezależnej z lat 1976–1990* [w:] *Papierem w system. Prasa drugoobiegowa w PRL*, red. M. Marcinkiewicz, S. Ligarski, Szczecin 2010, s. 156.

² Najważniejsza literatura dotycząca „Tygodnika Mazowsze” została przywołana w przypisach. Należy jeszcze wspomnieć o zbiorze krótkich relacji na temat setek współpracowników pisma, znajdującym się w serwisie internetowym „Gazety Wyborczej” stworzonym z okazji 25 rocznicy „Tygodnika”, a także o filmie dokumentalnym *Podziemny Tygodnik Mazowsze*, reż. E. Wróblewska, Mistrzowska Szkoła Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy, Warszawa 2006. Za pomoc w postaci przekazanych uwag, materiałów archiwalnych lub relacji dziękuję Hannie Nowickiej (zbierającej relacje w ramach projektu Biura Edukacji Publicznej IPN) oraz prof. dr. hab. Andrzejowi Friszchemu i Grzegorzowi Wołkowi.

³ Archiwum Akt Nowych, Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, 2967, Wniosek Regionu Mazowsze NSZZ Solidarność o wydanie związkowego tygodnika regionalnego „Mazowsze”, 25 XI 1981, b.p.

niezależną wydawaną przez środowisko Komitetu Obrony Robotników, publikował na łamach „Biuletynu Informacyjnego”, „Robotnika” i „Zapisu”. Uczestniczył też w pracach Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość.

Zieleński mocno zaangażował się w uruchomienie nowego solidarnościowego tygodnika. Tworzył zespół redakcyjny, umawiał autorów. Przygotowania przerwało wprowadzenie stanu wojennego. Redaktor „Mazowsza” przebywał wówczas w szpitalu. Wiadomość o uderzeniu w Solidarność musiała być dla niego szokiem – 13 grudnia 1981 r. popełnił samobójstwo, wyskakując ze szpitalnego okna. Władze starały się sprawę tuszować. Przez ponad miesiąc nie wydawano zgody jego kolegom z „Życia Warszawy” na publikację nekrologu.

Pamięć Zieleńskiego uczczono w pierwszym numerze wydanego już w podziemiu „Tygodnika Mazowsze”. Faktycznie pierwszemu wydaniu tego tytułu (z 11 lutego 1982 r.) nadano numer drugi, pierwszy symbolicznie poświęcając zmarłemu redaktorowi⁴. Podziemne Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich uczyniło Jerzego Zieleńskiego patronem nagrody dla młodych dziennikarzy⁵.

Redaktorki z podziemia

„Noc generała” oznaczała koniec większości z seitek biuletynów związkowych ukazujących się w czasie legalnej Solidarności. Przepadła, trafiając w ręce Służby Bezpieczeństwa, również większość sprzętu drukarskiego wykorzystywanego przez NSZZ Solidarność. Pierwsze dni stanu wojennego

to czas dezinformacji. Prawdziwe wiadomości o represjach mieszały się z mniej lub bardziej fantastycznymi plotkami. Błyskawicznie uruchomiona podziemna prasa miała temu zaradzić. Działacze związkowi i opozycyjni, którym udało się uniknąć internowania, przygotowywali odezwy i komunikaty, powielane często przy użyciu najprostszych technik. Przepisywano je na maszynie i kolportowano w kręgu znajomych. W Warszawie już po kilku dniach zaczęły ukazywać się „Wiadomości”, w ciągu kilku tygodni pojawiły się pierwsze numery „Tygodnika Wojennego”, „Woli” i „KOS-a”⁶. Z czasem ich wydawanie i rozpowszechnianie stało się jedną z głównych form oporu wobec polityki władz⁷.

„Wtedy rzeczywiście najważniejsze było, aby dowiedzieć się, co się dzieje, stąd też wziął się pomysł wydawania informacji prasowej. [...] Pierwszą rzeczą, którą zrobiliśmy, było przepisywanie na zielonych bibułkach informacji i przekazywanie ich na Zachód. Nawet okazało się, że jakoś tam to docierało” – tak początek stanu wojennego opisywała po latach Helena Łuczywo⁸. Wraz z Joanną Szczęsną, Zofią Bydlińską-Czernuszczyk, Anną Bikonk, Anną Dodziuk, Gwido Zlatkesem, Katarzyną Karpińską i Małgorzatą Pawlicką zaczęła wydawać „Informację Solidarności”⁹. Miała ona dwie lub cztery strony, ukazywała się od 16 grudnia 1981 r., początkowo codziennie, następnie dwa razy w tygodniu. Korzystały z niej powstające równolegle inne tytuły podziemne; redaktorki zostawiały umówioną pulę egzemplarzy swojego pisemka w skrzynkach kontaktowych¹⁰.

⁴ Wspomnienie o Jerzym Zieleńskim, „Tygodnik Mazowsze”, 11 II 1982, nr 2. Waldemar Kuczyński w swoim dzienniku nazwał Zieleńskiego „pierwszą ofiarą stanu wojennego” (W. Kuczyński, *Burza nad Wisłą*, Warszawa 2002, s. 221).

⁵ W. Górecki, „Tygodnik Mazowsze” 1982–1989. Monografia pisma na tle historii drugiego obiegu w Polsce, Lublin 1995, maszynopis, praca magisterska napisana na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, s. 90.

⁶ T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym 1981–1989*, Warszawa 2009, s. 253.

⁷ R. Sułek, *Prasa podziemna w Warszawie w czasie stanu wojennego: charakterystyka, rozwój i funkcje społeczne* [w:] *Wybrane zagadnienia z dziejów prasy warszawskiej*, Warszawa 1995, s. 49.

⁸ E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze. Kobiety Solidarności. Rozmowy 1980–1989*, Warszawa 2001, s. 252.

⁹ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy Mazowsze. Powstanie, struktura, działalność (1981–1986)* [w:] *Solidarność podziemna 1981–1989*, red. A. Friszke, Warszawa 2006, s. 411.

¹⁰ *Jak się robiło pismo podziemne? Rozmowa Andrzeja Friszke z redakcją „Tygodnika Mazowsze”, „Więź” 1989, nr 10.*

W lutym 1982 r. redakcja przepisywanej na maszynie „Informacji Solidarności” zaczęła wydawać „Tygodnik Mazowsze” – pismo powielane w tysiącach egzemplarzy. Łuczywo, Szczesna, Bikont i Pawlicka stale się ukrywały, regularnie zmieniając mieszkania¹¹. W skład redakcji wchodził również: Anna Dodziuk, Zofia Bydlińska-Czernuszczyk, Marta Woydt i Wojciech Kamiński. Z „Tygodnikiem” blisko współpracowała Marianna Domańska, w której mieszkaniu redakcja się spotykała¹².

Czytelnikowi przyzwyczajonemu do tradycyjnej narracji o historii opozycji antykomunistycznej, w której dominują mężczyźni, rzuci się w oczy, że „Informację Solidarności” i „Tygodnik Mazowsze” stworzyły przede wszystkim kobiety¹³. Amerykańska dziennikarka Shana Penn w książce *Podziemie kobiet* w dużej mierze skupia się właśnie na tej grupie, formułując wnioski o zdominowaniu przez kobiety niezależnej prasy. W świetle tego, co wiemy o solidarnościowej konspiracji w Warszawie, trudno się z tym zgodzić. Obok „Tygodnika Mazowsze” funkcjonowało wiele popularnych pism drugiego obiegu, w których kobiety nie dominowały¹⁴. Redakcja „Tygodnika” była raczej wyjątkiem. Uderzenie władz 13 grudnia zdziesiątkowało środowisko dawnego Komitetu Obrony Robotników i liderów mazowieckiej Solidarności. Większość z nich została internowana. Łuczywo i Szczesnej udało się uniknąć zatrzymania, więc to na nich spoczęło zadanie zorganizowania pisma. Wraz ze współpracowniczkami tworzyły zgra-

ną grupę. Ich doświadczenie w wydawaniu prasy niezależnej górowało nad innymi środowiskami w Polsce. Miały za sobą redagowanie „Biuletynu Informacyjnego” KOR, „Robotnika”, potem solidarnościowego „AS-a”.

Od pierwszych dni stanu wojennego Łuczywo i Szczesna utrzymywały ścisły kontakt ze Zbigniewem Bujakiem i innymi ukrywającymi się liderami Solidarności, uczestniczyły w organizowaniu podziemnego życia przywódców regionu, pomagały w poszukiwaniu dla nich mieszkań konspiracyjnych¹⁵. Taki był powód wyboru tego zespołu redakcyjnego do współpracy z ukrywającym się kierownictwem mazowieckiej Solidarności¹⁶. Zasady ustalono na spotkaniu około 10 stycznia 1982 r., w którym uczestniczyli Bujak, Wiktor Kulerski, Zbigniew Janas, Zofia i Zbigniew Romaszewscy, Helena Łuczywo i Ewa Kulik¹⁷. Łuczywo wzięła na siebie odpowiedzialność za tworzenie „Tygodnika Mazowsze”, który miał pełnić funkcję organu prawnego regionalnych władz Solidarności.

W wywiadzie opublikowanym w pierwszym numerze pisma Bujak przedstawiał zasady współpracy: „Razem z Wiktorem Kulerskim podjęliśmy decyzję wydawania »Mazowsza«. Otrzymaliście polecenie stworzenia redakcji, zabezpieczenia możliwości druku w stałym nakładzie i, jak rozumiem, zamykacie pierwszy numer. Wydajecie więc oficjalny tygodnik regionu Mazowsze. Jesteście samodzielną redakcją mogącą przedstawiać własną opinię, a zarazem macie obowiązek przedstawienia w piśmie stanowiska działającej reprezentacji

¹¹ E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 180.

¹² Relacja Heleny Łuczywo, 2011, złożona Janowi Olaszowski (dalej: relacja Heleny Łuczywo I).

¹³ Zob. S. Penn, *Podziemie kobiet*, Warszawa 2003; T. Garton Ash, *Kuchnia Heleny*, „Gazeta Wyborcza”, 2–3 VI 2007; J. Szczesna, *Kobiety na wojnie*, „Gazeta Wyborcza”, 17 XII 2006; A. Graff, *Podziemie kobiet*, „Gazeta Wyborcza” – „Wysokie Obcasy”, 5 IV 2003.

¹⁴ O specyfice kobiecej działalności w podziemiu, jak się wydaje, można mówić w przypadku innych dziedzin, takich jak łączność (w relacjach występują głównie łączniczki) czy udostępnianie mieszkań (T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym...*, s. 249–251).

¹⁵ E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 254.

¹⁶ Relacja Heleny Łuczywo, 2004, złożona Andrzejowi Friszke (dalej: relacja Heleny Łuczywo II).

¹⁷ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy Mazowsze...*, s. 419.

naszego regionu”¹⁸. „Tygodnik” drukował oświadczenia władz Solidarności, zarówno mazowieckich (Regionalnego Komitetu Wykonawczego NSZZ Solidarność Mazowsze), jak i ogólnopolskich (Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność). Z tego powodu linię programową pisma utożsamiano – słusznie zresztą – z polityką podziemnych struktur kierowniczych związku. Współpraca była ścisła. Przedstawicielki „Tygodnika” uczestniczyły w spotkaniach liderów mazowieckiej Solidarności oraz członków TKK¹⁹.

Jednak naturalna dla opozycjonistów potrzeba niezależności kolidowała niekiedy z podległością redakcji wobec władz związku. „To krępujące być organem. Chcąc nie chcąc przez to, że ludzie odbierają nas jako organ, jesteśmy ostrożniejsi. Np. dość długo w teczce redakcyjnej leżała krytyka TKK – gdyby nie pogodzenie się z rolą nieoficjalnego organu, pewnie by się ukazała. Z bliższych rzeczy: dostaliśmy list do redakcji o tym, że kierownictwo podziemia powinno się ujawnić. I zastanawiamy się, czy opublikowanie go nie będzie odebrane jako intencja Bujaka, że to on ma się ochotę ujawnić, chociaż jest to po prostu ciekawy list” – przyznawano na łamach pisma²⁰. Anna Bikont później wspominała: „Fakt, że »Tygodnik Mazowsze« był organem TKK, zdejmował z nas dużą część odpowiedzialności. Gdyby przywódcy podziemia powiedzieli, że trzeba gromadzić broń, to może nie byłybyśmy z tego powodu szczęśliwe... Ale nie wyobrażam sobie, abyśmy miały cenzurować oświadczenia TKK. »Tygodnik« nie był naszą własnością, ja czułam się funkcjonariuszem Związku oddelegowanym na front prasowy”²¹.

Strajk generalny czy długi marsz

Jedną z przyjętych reguł było zagwarantowanie władzom regionu prawa do repliki w tym samym numerze, w którym publikowano tekst z ich punktu widzenia kontrowersyjny²². Do realizacji tego ustalenia doszło dość szybko – kiedy na łamach „Tygodnika” zaprezentowano dwa spojrzenia na główny wówczas spór programowy w podziemnej Solidarności, dotyczący strajku generalnego. 31 marca 1982 r. zamieszczony został artykuł Jacka Kuronia *Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia*. Autor siedział w więzieniu, jednak przemycony z Białoleki tekst trafił do redakcji.

Spółeczeństwo po 13 grudnia 1981 r. znajduje się w stanie wojny z władzą, która może zostać przerwana tylko dzięki kompromisowi z ekipą rządzącą – twierdził Kuroń. Nie wierzył jednak, że ekipa gen. Jaruzelskiego sama podejmie taki krok. Proponował więc radykalne rozwiązanie – zbiorowe wystąpienie społeczeństwa przeciwko władzy. Powszechny ruch oporu, którego najmocniejszym przejawem miał być strajk generalny, uważał za jedyny sposób nacisku na władzę. „Przez wiele lat swojej opozycyjnej działalności głosiłem zasadę unikania wszelkiej przemocy – pisał jeden z przywódców opozycji demokratycznej. – Poczuję się więc do obowiązku zabrania głosu, aby oświadczyć, że obecnie przygotowywanie obalenia okupacji w zbiorowym wystąpieniu uważam za zło najmniejsze”. Kuroń nie wykluczał nawet użycia przemocy. Uważał, że szybkie wystąpienie, wymuszające jakąś formę porozumienia, może zmniejszyć ryzyko interwencji radzieckiej i ograniczyć

¹⁸ To było jedno z naszych wielkich powstań narodowych. Wywiad ze Zbigniewem Bujakiem i Wiktorem Kulerskim, „Tygodnik Mazowsze”, 11 II 1982, nr 2.

¹⁹ E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 255; relacja Heleny Łuczywo II; A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy...*, s. 417; A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1987)* [w:] *Solidarność podziemna...*, s. 25.

²⁰ TM – wywiad z samym sobą, „Tygodnik Mazowsze”, 4 X 1984, nr 100; por. *Gazeta czy organ? Rozmowa z redaktorami „Tygodnika Mazowsze”* [w:] G. Nawrocki, *Struktury nadziei*, Warszawa 1998, s. 160.

²¹ E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 184.

²² *Jak się robiło pismo podziemne...*

ewentualne akty terroryzmu. Niepodjęcie takiej decyzji przez kierujących podziemną Solidarnością grozi wybuchem spontanicznego protestu i doprowadzi do ofiar²³.

Tekst wzbudził duże kontrowersje wśród uczestników podziemia, nie wyłączając bliskich współpracowników autora. Kuroń zawsze proponował w swojej publicystyce działania umiarkowane. Projekt masowego wystąpienia przeciwko władzy był sprzeczny z całą jego dotychczasową filozofią polityczną²⁴. Artykuł wywołał spór nawet między redaktorkami „Tygodnika”. Omawiały z Bujakiem, czy należy go publikować²⁵. Joanna Szczesna opisywała po latach swoją ostrą rozmowę z Heleną Łuczywo: „To w mieszkaniu Ludki [Kaltenberg – J.O.] rozegrała się w marcu 1982 roku jedna z najbardziej dramatycznych scen w historii »Tygodnika Mazowsze«. Helena za nic nie chciała tego tekstu puścić. Ja mówiłam, że nie chcę pracować w piśmie, w którym Jacek Kuroń nie może opublikować swego tekstu, nawet jeśli nie ma racji. W pewnym momencie poniósł mnie temperament i krzyknęłam: »Jeśli tak, to ja idę się oddać w ręce milicji«. I zaczęłam się ubierać. Wtedy Helena się poddała”²⁶. Ostatecznie zdecydowano się na druk – jak wspomina Łuczywo – ze względu na autorytet autora²⁷.

Artykuł Kuronia wydrukowano wraz z głosami polemicznymi Bujaka i Kulerskiego (już wcześniej na łamach pisma przedstawili oni swoje wizje podziemia jako struktury nieformalnej i zdecentralizowanej²⁸). Pierwszy z nich pisał: „Sądzę, że skuteczną, a zarazem bezpieczną formą walki jest – że użyję nomenklatury wojskowej – walka pozycyjna.

I taki typ oporu chcę tu zaproponować”. W jego koncepcji mieściła się walka w zakładach pracy, przede wszystkim za pomocą strajku, pomoc dla represjonowanych, stworzenie niezależnej prasy i systemu samokształcenia. Bujak proponował utworzenie społeczeństwa podziemnego i unikanie frontalnych starć z władzą²⁹. Podobne zdanie miał Kulerski. Proponował trzecią drogę: „A więc nie jak u Jacka Kuronia alternatywa kompromis – rewolucja, lecz trzecia możliwość: powolny rozkład systemu i stopniowe zmiany prowadzące do odzyskania przez społeczeństwo wpływu na swój los”³⁰. Koncepcję tę nazwano długim marszem. Nastawiała się ona na długotrwały zdecentralizowany opór przeciwko polityce władz w oczekiwaniu na nieuchronny kryzys systemu, który zmusi komunistów do demokratyzacji zarówno w Polsce, jak i w ZSRR.

Dyskusję między więzionym liderem opozycji a przywódcami warszawskiego podziemia zakończyła w maju 1982 r. odpowiedź Kuronia, w której potrzymał on swoje główne tezy. Pisał, że w warunkach stanu wojennego niemożliwy jest „ruch samoobrony ani żaden inny ruch społeczny, który samym swoim istnieniem miałby powodować stopniowe zmiany systemu”. Nadal podawał w wątpliwość wizję długotrwałego biernego oporu w warunkach opresyjności państwa i pogarszającej się sytuacji gospodarczej: „Na czym opieracie wiarę, że właśnie Polacy zniosą taką katastrofę cierpliwie i to w sytuacji, gdy władza stale prowokuje ich swoją arogancją i terrorem? Na tym, że okazali cierpliwość od stycznia do dziś?”. Kuroń polemizował z proponowaną przez Bujaka i Kulerskiego

²³ J. Kuroń, *Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia*, „Tygodnik Mazowsze”, 31 III 1982, nr 8.

²⁴ T.S. Ceran, *Świat idei Jacka Kuronia*, Warszawa 2010, s. 106.

²⁵ Relacje Heleny Łuczywo II; relacja Elżbiety Regulskiej-Chlebowskiej, 2010, złożona Hannie Nowickiej.

²⁶ J. Szczesna, *Kobiety na wojnie...*

²⁷ Relacja Heleny Łuczywo II.

²⁸ *To było jedno z naszych wielkich powstań narodowych...*

²⁹ Z. Bujak, *Walka pozycyjna*, „Tygodnik Mazowsze”, 31 III 1982, nr 8.

³⁰ W. Kulerski, *Trzecia możliwość*, *ibidem*.

wizją zdecentralizowanego podziemia. „Nie namawiam Was do tego, abyście zapowiedzieli uderzenie. Namawiam natomiast usilnie do organizowania centrali ruchu i sprawnej sieci informacji. [...] Namawiam Was dalej do ogłoszenia, że jeśli władze nie wysłuchają woli społeczeństwa, wyrażanej w różnych formach, nie podejmą próby ratowania kraju przed katastrofą, nie pójdą na ugodę ze społeczeństwem, to ruch będzie zmuszony użyć przemocy”³¹.

Na łamy „Tygodnika Mazowsze” spór o strajk generalny powracał jeszcze kilkakrotnie³². Wielu autorów opowiadało się za długim marszem. Z kolei za strajkiem generalnym opowiedział się Zbigniew Romaszewski. Uważał, że aby zmusić władze do zawarcia porozumienia ze społeczeństwem, należy rozpocząć przygotowania do strajku powszechnego. „Mamy na to niewiele czasu. Strajk powinien rozpocząć się jesienią tego roku, przed rozmowami Breżniew-Reagan. Ich perspektywa będzie powstrzymywać ZSRR przed zastosowaniem drastycznych kroków. Strajk postawi sprawę Polski w centrum zainteresowania międzynarodowego. Powinien to być ogólnopolski strajk powszechny z czynną obroną zakładów pracy. W Warszawie strajk okupacyjny podjęłoby 20–30 dużych zakładów, pozostałe – strajk absencyjny wspomagający. Poza tym demonstracje i pochody, odciągające część sił. Jeśli sytuacja będzie bardzo poważna, władza nie będzie mogła (moim zdaniem) liczyć nie tylko na wojsko, ale i na MO”³³. Romaszewski był członkiem RKW i liderem nurtu w warszawskim podziemiu opowiadającego się za ostrzejszymi metodami działania. Wywiad z nim

był jednym z najbardziej jednoznacznych głosów za strajkiem generalnym opublikowanych na łamach „Tygodnika Mazowsze”.

W piśmie prezentowano więc różne punkty widzenia. Linie redakcyjną wyznaczały jednak oświadczenia podziemnego kierownictwa związku dystansującego się od strajku generalnego. Członkowie TKK zmienili nieco taktykę w drugiej połowie 1982 r., najpierw wzywając do udziału w demonstracjach 31 sierpnia, a następnie do strajku generalnego jesienią. Po niepowodzeniu akcji strajkowej 10 listopada 1982 r. zapowiedziano zorganizowanie powszechnego wystąpienia przeciwko władzy na wiosnę 1983 r., jednak do realizacji tych zamierzeń nie doszło. Linia „Tygodnika” sprowadzała się przede wszystkim do propagowania nastawionego na wiele lat, zdecentralizowanego oporu: rozwijania społeczeństwa podziemnego, niezależnego ruchu wydawniczego, oświaty, prowadzenia niezależnej działalności związkowej, obrony represjonowanych. Za tym programem działania opowiadał się Adam Michnik, należący – obok Kuronia – do najważniejszych postaci środowiska wydającego „Tygodnik Mazowsze”³⁴.

A sam Kuroń, gdy w listopadzie 1982 r. spotkał się z redaktorkami „Tygodnika” na pogrzebie swojej żony Grażyny, na który dostał przepustkę z więzienia, krytycznie ocenił decyzję o publikacji swojego tekstu. Szczęsna wspominała: „Zaczął na mnie krzyczeć: – Po coście puściły ten mój głupi tekst? To było pod rozważę dla TKK, nie do publikacji. O powstaniu się nie dyskutuje w prasie, powstanie się robi. Ja byłem odcięty od świata, nie czułem nastroju. To wyście powinny wiedzieć, co

³¹ J. Kuroń, *Macie teraz złoty róg. List otwarty do Zbigniewa Bujaka, Wiktora Kulerskiego i innych działaczy ruchu oporu*, „Tygodnik Mazowsze”, 12 V 1982, nr 13.

³² Zob. P. Wierzbicki, *Szkoła „twórczego myślenia o Polsce”*. „Tygodnik Mazowsze” publicystyczną areną dla opozycyjnych polemik w okresie stanu wojennego, „Sowiniec” 2009, nr 34/35, s. 119–123.

³³ „Rozpocząć przygotowania do strajku powszechnego...”. Wywiad ze Zbigniewem Romaszewskim, członkiem Prezydium ZR Mazowsze i Regionalnej Komisji Wykonawczej, „Tygodnik Mazowsze”, 2 VI 1982, nr 16.

³⁴ A.M. [A. Michnik], *Kształt podziemia*, „Tygodnik Mazowsze”, 19 V 1982, nr 14. Na łamach pisma Michnik zabierał głos wielokrotnie, odnosząc się do programu działania Solidarności w warunkach stanu wojennego, zob. np. A. Zagózda [A. Michnik], *Dlaczego nie podpisujesz*, „Tygodnik Mazowsze”, 25 III 1982, nr 7; por. A. Michnik, *Listy z Białołęki*, Warszawa 1982.

się dzieje. Skoro nie było atmosfery do powstania, trzeba było tekst wyrzucić do kosza. Milczałam. – Była atmosfera? – huknął Jacek. – Nie było. – No to po co było drukować? Ja ten tekst pisałem w desperacji, bezsilności, rozpacz. Ja się bałem – tu głos Jacka zadławił się w krzyku – że tu młodzi przebijają nogami, żeby z butelkami iść na czołgi, że będzie jatka, jak w Powstaniu Warszawskim, że się poleje krew... Spuściłam głowę. – Co chciałaś robić: »Tygodnik Mazowsze« czy powstanie? I kto miał dla ciebie zdobyć ten gmach telewizji? – Jacek bombardował mnie wciąż nowymi pytaniami. – A ty uderzyłabyś na centra władzy? – Jakbyś kazał, Jacusiu – wyszeptałam raczej żartem, ale nie było nam do śmiechu. Jacek się zrelektował: – Nie martw się, Joasiczku, nic się nie stało. Wyszedłem tylko na głupka, ekstremistę. Była to dla mnie niezapomniana lekcja, że wolność prasy polega też na tym, żeby czasem czegoś nie wydrukować, nawet jak ciekawe i atrakcyjne” – puentowała Szczęsna³⁵.

Po pierwsze informacja

„Tygodnik” wychodził do kwietnia 1989 r. W tym czasie ukazało się 290 numerów, co stawia go w absolutnej czołówce wszystkich pism podziemnych. Regularne wydawanie gazety było możliwe dzięki rozgałęzionej sieci redaktorów, drukarzy i kolporterów. W kolejnych latach do redakcji dołączyli: Elżbieta Regulska, Krzysztof Leski, Piotr Pacewicz, Tomasz Burski, Ludwika Wujec, Piotr Bicont, Joanna Kluzik, Gwido Zlatkes, Agata Niewiarowska, Brygida Bytkowska, Olga Iwaniak i Wojciech Świdnicki. Niektóre osoby opuszczały zespół redakcyjny, ale lista osób zaangażowanych w tworzenie pisma stale się zwiększała i liczyła w sumie

(razem z drukarzami, kolporterami, właścicielami mieszkań, łącznikami) setki ludzi.

Współpracownicy redakcji zbierali informacje dotyczące poszczególnych tematów. Codziennie przekazywali je do centrali, czyli mieszkania, w którym przebywały główne redaktorki pisma, w pierwszym okresie ukrywające się przed milicją. „Żeby robić »Tygodnik« i »Informację Solidarności«, trzeba było pracować na okrągło, a ponieważ ja i Joasia Szczęsna dosyć ostro ukrywałyśmy się, to właściwie powstała taka komuna. Wszystko się robiło w jednym mieszkaniu, a te mieszkania ciągle zmienialiśmy ze strachu przed milicją. W tym mieszkaniu się spało, pracowało, dzień przemieniał się w noc, noc w dzień” – wspominała Helena Łuczywo³⁶.

Jednym z głównych punktów kontaktowych RKW Mazowsze i „Tygodnika” było żoliborskie mieszkanie Ewy Milewicz. Z pomocą swojej sąsiadki Zofii Bydlińskiej-Czernuszyk prowadziła ona bank informacji o mieszkaniach konspiracyjnych³⁷. Z obawy przed podsłuchem u Milewicz porozumiewano się, pisząc na kartkach papieru, które później niszczone. Podobnych miejsc było znacznie więcej.

2 lipca 1982 r. została aresztowana Joanna Szczęsna. Do zatrzymania doszło przypadkowo w konspiracyjnym mieszkaniu Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, co nie ujawniło jej związku z „Tygodnikiem”. Szczęsna skazano na pół roku w zawieszeniu za posiadanie fałszywego dowodu osobistego, z aresztu zwolniono ją w październiku 1982 r. Po kilku miesiącach powróciła do działalności konspiracyjnej, ale już nie ukrywała się stale³⁸.

W styczniu 1983 r. przestała się też ukrywać Helena Łuczywo. „Wymyśliłam sobie taką formułę, że wychodzę do szpitala – wspominała. – Wyda-

³⁵ J. Szczęsna, *Kobiety na wojnie...*

³⁶ *Jak się robiło pismo podziemne...*

³⁷ Relacja Heleny Łuczywo II; relacja Zofii Bydlińskiej-Czernuszyk, 2004, złożona Andrzejowi Friszchemu; A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy Mazowsze...*, s. 411.

³⁸ P. Sowiński, *Joanna Szczęsna [w:] Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*, t. 3, red. J. Skórzyński, P. Sowiński, M. Strasz, Warszawa 2006, s. 276.

wała mi się ona bezpieczna: wychodzę, kładę się w szpitalu, wydzwaniam i czekam, aż mnie milicja z podsłuchu telefonów znajdzie. I rzeczywiście, po 10 dniach przyszli tam. Wysłałam ze szpitala do domu. Wzięli mnie na przesłuchanie i na tym się skończyło – bez żadnych pisemeczek o skorzystaniu z amnestii”³⁹.

Wraz z wyjściem na powierzchnię dwóch głównych redaktorek zmienił się system pracy. Wszystkie redaktorki mieszkaly teraz u siebie, jedynie na kilka dni w tygodniu przychodziły do pracy w lokalu redakcyjnym⁴⁰. Część z nich była znana policji, więc idąc do redakcji, musiały mieć pewność, że nie są śledzone.

Numer powstawał w kilkudniowym cyklu. Helena Łuczywo zaczynała pracę w niedzielę⁴¹. Odbywało się spotkanie całej redakcji, następnie jej część kilka dni spędzała razem, przygotowując kolejne wydanie⁴². Potem materiał przepisywano na składopisie i przekazywano do druku i kolportażu. Żeby pismo pojawiło się w innych miastach, etapy musiały przebiegać punktualnie. Zespołem kierowała Łuczywo, ale nie było ustalone, że pełni funkcję redaktora naczelnego⁴³. Współpracownicy podkreślali jej umiejętność podejmowania decyzji, znaczenie miały także zdolności organizatorskie i sieć kontaktów, którą potrafiła stworzyć⁴⁴. W redakcji ścisłej hierarchii nie było. Każdy robił to, co w danym momencie było potrzebne. „»Tygodnik Mazowsze« był kreacją zbiorową” – wspomina Anna Dodziuk⁴⁵. Podział tematyki wiązał się z wykształceniem bądź zainteresowaniami dziennikarek, np. o ekonomii pisały Łuczywo i Marta Woydt, o sprawach prawnych Szczęsna⁴⁶.

O głównych tematach, czyli represjach i protestach, pisali chyba wszyscy.

Cała redakcja zajmowała się przeglądaniem prasy podziemnej i wybieraniem tego, co chciano wykorzystać. Elżbieta Regulska opowiada: „Człowiek dostawał wielki plik gazetek regionalnych, ulotek i grypsów, które spływały z różnych części kraju naszą siatką informacyjną. [...] Te sterty były podzielone albo regionalnie, albo tematycznie. Trzeba było to wszystko przeczytać, wybrać najważniejsze newsy. Przede wszystkim wszelkie represje, gdzie wpadła drukarnia, kto został skazany i na ile, gdzie zatrzymano studentów za rozrzucanie ulotek, kogo wyrzucono z pracy. Poza tym różne akcje oporu: gdzieś wywieszono flagę, gdzieś nadano przez radiowęzeł: »Mury runą, runą...«, wymalowano komuś na drzwiach »kolaborant«, a gdzieś rozrzucono ulotki i 50 osób na dole zbierało je z zapalem. Po pierwsze trzeba się przebić przez tę prasę, po drugie z wielkiego tekstu zrobić krótki news. [...] To jest dosyć nieefektywna praca, która musi być wykonana. A jednocześnie bardzo ciekawa, bo pokazuje, że kraj tętni życiem, którego nie widać w publikatorach. Że zupełnie co innego jest na powierzchni, w oficjalnej rzeczywistości gazetowej i telewizyjnej, a zupełnie co innego widzimy, gdy czytamy drobne informacje – ludzie próbują coś robić, organizują się, wspierają, powstaje nowe pismo, rozchodzą się książki, przychodzi pomoc zagraniczna. Wtedy też Kościół bardzo się włączał – działał teatr w podziemiach kościelnych, na kazaniu jakiś ksiądz odwołał się do Solidarności, która »zmartwychwstała« albo »nie umarła«”⁴⁷.

³⁹ Jak się robiło pismo podziemne...

⁴⁰ Relacja Heleny Łuczywo I.

⁴¹ *Ibidem*.

⁴² Relacja Ludwika Wujec, 2010, złożona Hannie Nowickiej.

⁴³ Relacja Heleny Łuczywo I.

⁴⁴ S. Penn, *Podziemie kobiet...*, s. 91; relacja Joanny Szczęsnej, 2010, złożona Hannie Nowickiej; E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 16.

⁴⁵ E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 16; por. relacja Elżbiety Regulskiej-Chlebowskiej.

⁴⁶ Relacja Anny Dodziuk, 2010, złożona Hannie Nowickiej.

⁴⁷ Relacja Elżbiety Regulskiej-Chlebowskiej; por. E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 17.

Do 1985 r. kontynuowano wydawanie „Informacji Solidarności” – miała ona tę samą zawartość co szpalta informacyjna w „Tygodniku Mazowsze”⁴⁸. O związkach „Informacji” z „Tygodnikiem” nie wiedziała nawet część bliskich współpracowników pisma. Joanna Szczęśna wspominała: „W pewnym momencie, kiedy struktura działała już pełną parą, uświadomiłyśmy sobie z Heleną, że jeśli którąś z nas zamkną, a nie daj Bóg obie, to wszystko może się posypać. Przecież niczego nie zapisywałyśmy, polegałyśmy tylko na własnej pamięci. Znałyśmy nawzajem swoje kontakty, ale z grubsza, bez adresów. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby naszym ubezpieczeniem stała się »żywa pamięć«, ktoś, komu to wszystko opowiemy i kto, jeśli nas zamkną, przekaże tę wiedzę tym, którzy przejmą po nas pałeczkę. Ale kto ma gwarancję, że go nie zamkną? Pierwszą osobą, która odsłuchiwała opowieści o stworzonej przez nas strukturze, była Ela Malicka, matka trójki dzieci, mąż w internacie, drugą – Ela Regulska, która była w ciąży. Pamiętam, jak Ela zapisuje to, co mówimy, na karteczkach, czyta, powtarza, wkuwa na pamięć i drze karteczki. Kiedy skończyłyśmy, Ela spytała: – Dziewczyny, jeszcze nie powiedziałyście, w jaki sposób utrzymujecie kontakt z »Informacją Solidarności«. – Ach – Helena machnęła ręką – zapomnieliśmy ci powiedzieć, że »Informację Solidarności« też robimy my”⁴⁹.

Dyskusja nad programem działania straciła na sile latem 1982 r. Łuczywo tłumaczyła to powtarzalnością argumentów pojawiających się w kolejnych tekstach. Dla redakcji ważniejszy był informacyjny konkret⁵⁰. Czytelnik „Tygodnika” mógł przede wszystkim dowiedzieć się o tym, co dzieje się na opozycyjnej mapie Polski – o protestach w zakładach pracy, aresztowaniach i proce-

sach, o akcjach Solidarności i innych inicjatywach niezależnych. „Teraz jest czas informacji. To jest nasza katorżnicza praca wiązanie tych wszystkich nitek, utrzymywanie kontaktów, zdobywanie informatorów, rozsyłanie ludzi po całej Polsce, kiedy coś się dzieje. [...] Żyjemy w takim kraju, w takich czasach, że wszędzie coś się może wydarzyć” – pisano w setnym numerze pisma⁵¹.

Znaczną część łamów „Tygodnika” przez cały okres jego istnienia zajmowały oświadczenia przywódców NSZZ Solidarność oraz informacje pełne dat, nazwisk, miast i nazw struktur konspiracyjnych. Notki informacyjne zajmowały najczęściej jedną szpalte i znajdowały się na kilku stronach, ale pojawiały się również w innych rubrykach. Bezlitośnie skracane teksty informacyjne były lakoniczne, pozbawione ozdobników i stylistycznej finezji. Po warszawskich środowiskach opozycyjnych krążył dowcip: Co to jest słup? Drzewo zredagowane w „Tygodniku Mazowsze”⁵². Tak podana informacja dzięki swojej prostocie i braku oceniającego komentarza nabierała wiarygodności, zwłaszcza na tle skłonnej do piętnowania przeciwnika epitetami propagandy komunistycznej. Wiadomości sprawdzano, jeśli było to możliwe, u źródła. Gdy zdarzyło się podać informacje nieprawdziwe, publikowano sprostowania.

„Bardzo trudno zrobić jest tekst czytelny jednocześnie dla robotnika i dla profesora uniwersytetu – wspomina Elżbieta Regulska. – Zdania nie były za długie, tak żeby się nie pogubić w dygresjach. Czytelność była podstawową cechą. To wymagało bardzo solidnej pracy redaktorek. [...] Co to jest przeczytać stertę gazet [podziemnych] i coś z nich napisać? Ale po pierwsze trudno się czyta, bo tekst jest prawie niewidoczny. Po drugie [...] naprawdę niełatwo jest napisać coś

⁴⁸ Zob. J. Strękowski, „Informacja Solidarności” [w:] *Encyklopedia Solidarności. Opozycja w PRL 1976–1989*, t. 1, Warszawa 2010, s. 158–159.

⁴⁹ J. Szczęśna, *Kobiety na wojnie...*

⁵⁰ *Jak się robiło pismo podziemne...*

⁵¹ *TM – wywiad z samym sobą...*

⁵² E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 182.

krótko, węzłowo, a jednocześnie nie zgubić istotnych informacji. To wymaga skupienia, czasu i wprawy. Helena, Joanna i Ania Dodziuk to są niedoścignione wzory⁵³. Ten suchy, pozbawiony emocjonalności styl pochodził z prasy niezależnej lat siedemdziesiątych, związanej z KOR: „Komunikatu”, „Biuletynu Informacyjnego” i „Robotnika”, w której tworzenie zaangażowana była duża część redaktorek „Tygodnika Mazowsze”. Bardziej odległych wzorów można szukać w wydawanej w ZSRR od końca lat sześćdziesiątych w formie samizdatu „Kronice Bieżących Wydarzeń”.

„Tygodnikowi” zarzucano monotoność, skupianie się na opozycji, niedostateczną liczbę informacji z zakładów pracy⁵⁴. Monotematyczność miała jednak konkretne przyczyny. Wobec brutalnego ataku na Solidarność, uwięzienia tysięcy jej działaczy w ośrodkach dla internowanych i więzieniach, procesów i usuwania z pracy nagłaśnianie represji było najistotniejszym zadaniem. Helena Łuczywo wspominała: „Najważniejsze było, żeby podać do wiadomości, że ktoś siedzi, jest prześladowany. Nam się to wydawało zupełnie oczywiste i nie miałam cienia wątpliwości, że to była bardzo sensowna i słuszna strategia”⁵⁵.

Wiadomość o każdym przypadku stanowiła wyraz solidarności, czasem informacja o prześladowaniach mogła pomóc osobie represjonowanej. „Często zastanawiamy się, na ile »Tygodnik« daje skrzywiony obraz rzeczywistości – pisała redakcja. – Faktycznie jest tak, że jesteśmy skoncentrowani na pewnych wycinkach: na działalności opozycyjnej, represjach, na absurdach realnego socjalizmu, wreszcie na wszystkim, co dzieje się niezależnie od władz, legalnie i półlegalnie. To prawda, opisujemy »rzeczywistość opozycyjną«, ale szkoda nam papieru na to, co możemy znaleźć w prasie cenzurowanej. Zarzuca nam się, że nieproporcjo-

nalnie dużo miejsca poświęcamy represjom, że z tego wychodzi martyrologia, że ludzie żyją czym innym. Chodzi nam nie tylko o to, że informacje o represjach pełnią pewną funkcję ochronną. Historia pochłonęła już tyle anonimowych ofiar, że ludziom, którzy cierpią, należy się przynajmniej to, żeby o nich napisać”⁵⁶.

Drugim głównym tematem była aktywność społeczeństwa podziemnego. Odnotowywano pojawianie się nowych pism i wydawnictw opozycyjnych, niezależne wykłady, wystawy, koncerty, msze za ojczyznę. Wiele miejsca poświęcano spadkowi poziomowi życia, pustkom w sklepach i kryzysowi gospodarczemu. Rzadkie były informacje ze świata – dotyczyły przede wszystkim innych państw bloku sowieckiego. Tematykę „Tygodnika” dobrze oddają tytuły stałych rubryk: „Internowani”, „Więźniowie polityczni”, „Nasi okupanci”, „Spisane będą czyny i rozmowy”, „Pomysły wrony”, „W policyjnym państwie”, „W państwie realnego socjalizmu”, „Zwolnieni, przywrócenie, represje w pracy”, „Opór”.

Taka formuła „Tygodnika Mazowsze” pomimo wspomnianych głosów krytyki nie zmniejszała jego popularności⁵⁷. Czytelników – zwłaszcza w pierwszych latach – przyciągały informacje i stanowisko liderów Solidarności. Odbiorcami prasy podziemnej byli ludzie silnie identyfikujący się z ruchem opozycyjnym, nie trzeba było przekonywać ich do poparcia. Najbardziej interesowały ich suche fakty.

Na łamach „Tygodnika” prezentowano jednak także (z różnym natężeniem) publicystykę. Wiele tekstów pisali znani działacze Solidarności: Jacek Kuroń, Jan Lityński, Henryk Wujec, Adam Michnik, Aleksander Paszyński. Publicystyka dotyczyła przede wszystkim spraw programowych opozycji. Poświęcano jej szczególnie dużo miejsca w pierw-

⁵³ Relacja Elżbiety Regulskiej-Chlebowskiej.

⁵⁴ E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 160.

⁵⁵ *Ibidem*, s. 263.

⁵⁶ *TM – wywiad z samym sobą...*

⁵⁷ E. Kondratowicz, *Szminka na sztandarze...*, s. 259.

szym okresie, kiedy debatowano nad programem dla podziemia, i od jesieni 1986 r., kiedy otworzyły się nowe perspektywy polityczne. Pisano też o sytuacji gospodarczej i polityce międzynarodowej (szczególnie dotyczącej bloku sowieckiego).

Przez całe lata osiemdziesiąte publicyści „Tygodnika” niezwykle mocno krytykowali rządzących, ale rzadko posługiwali się patosem. Obraz reżimu był jednoznacznie negatywny. Składały się nań: represyjność, obłuda propagandy, uległość wobec ZSRR, nieudolność (zwłaszcza w sprawach gospodarczych). Zniesienie stanu wojennego w lipcu 1983 r. oceniono jako pusty gest⁵⁸. Bodaj najsilniejszym tekstem przeciwko rządzącym, jaki opublikowano w „Tygodniku”, był list Adama Michnika do ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka, wydrukowany w styczniu 1984 r. Michnik odrzucił wówczas propozycję uwolnienia w zamian za opuszczenie kraju i zobowiązanie się do zaniechania działalności opozycyjnej. Zwracał się do Kiszczaka: „1. aby tak jawnie przyznawać się do deptania prawa, trzeba być durniem; 2. aby będąc więziennym nadzorcą proponować człowiekowi więzionemu od 2 lat Lazurowe Wybrzeże w zamian za moralne samobójstwo, trzeba być świnią; 3. aby wierzyć, że ja mógłbym taką propozycję przyjąć, trzeba wyobrażać sobie każdego człowieka na podobieństwo policyjnego szpicla”⁵⁹.

* * *

Kontaktami z autorami zewnętrznymi zajmowały się Łuczywo i Szczęsna. Redakcja wypłacała autorom honoraria, chociaż niektórzy odmawiali ich przyjęcia lub przekazywali je na cele charytatyw-

ne⁶⁰. Obok działaczy opozycyjnych podpisujących się nazwiskami drukowano teksty kryjących się pod pseudonimami podziemnych publicystów, najbardziej bodaj znani z nich to Dawid Warszawski (Konstanty Gebert) i Maciej Poleski (Czesław Bielecki). Wśród autorów niewielu było profesjonalnych dziennikarzy wywodzących się z prasy oficjalnej⁶¹ – z pismem współpracowali m.in. Kazimierz Dziewanowski i Jacek Kalabiński.

Niektórych autorów mogła odstraszać oszczędność miejsca, z której „Tygodnik” słynął. „Zniechęciliśmy ich, bo oni przynosili maszynopis 4–5-stronnicowy, którego nie mogliśmy zmieścić. [...] Byliśmy pod presją, że nam się ciągle coś nie mieści i to powodowało, że wyrzucaliśmy wszystko, co się nam wydawało pustostowiem. Przy tym ograniczeniu do dwudziestu paru stron maszynopisu tygodniowo to o każdą linijkę były boje” – wspominała Marta Woydt⁶². Autorzy zewnętrzni pisali teksty zbyt długie jak na objętość podziemnego pisma⁶³. Krzysztof Leski wspomina dyskusje nad materiałami, które nie pasowały do minimalistycznego stylu „Tygodnika”. „To zawsze było nie to, o co chodzi. Ktokolwiek to był, nawet Jacek Kuroń, który miał trochę status świętego. Strasznie kochaliśmy to, co pisze, natomiast regularnie się łapaliśmy za głowę, bo Jaculka wykonywał jakieś niebywałe łamańce gramatyczne albo gubił wątek w połowie zdania. Przede wszystkim zaś jego teksty mogłyby zapełnić cały »Tygodnik«. Trzeba było skracać. Awantur oczywiście z tej okazji było co nie miara”. Podobnie pracę nad tekstami Kuronia opisuje Joanna Szczęsna: „Kuroń był fantastycznym gawędziarzem, ale pisał strasznie”⁶⁴.

⁵⁸ Zob. np. *Dialog przez kraty. Wywiad z Adamem Michnikiem*, „Tygodnik Mazowsze”, 8 IX 1983, nr 61.

⁵⁹ *Panie generale, niech Pan się zastanowi nad sobą. List Adama Michnika do generała Kiszczaka*, „Tygodnik Mazowsze”, 5 I 1984, nr 73.

⁶⁰ *Gazeta czy organ...*, s. 162.

⁶¹ *Jak się robiło pismo podziemne...*

⁶² *Ibidem*.

⁶³ *Gazeta czy organ...*, s. 162.

⁶⁴ Relacje Krzysztofa Leskiego i Joanny Szczęsnej, 2010, złożone Hannie Nowickiej.

Na wydarzenia trzeba było szybko reagować. Porwanie i zamordowanie ks. Jerzego Popiełuszki, wybuch elektrowni jądrowej w Czarnobylu, aresztowanie Zbigniewa Bujaka w maju 1986 r. – w każdym z tych przypadków redakcja musiała błyskawicznie zebrać informacje i komentarze, żeby zmieścić się w cyklu wydawniczym i dać je w najbliższym numerze, co w warunkach konspiracyjnych było wyczynem. Najczęściej się udawało⁶⁵. Pismo uznawano za wiarygodne.

W „Tygodniku” drukowano reportaże opisujące przebieg najważniejszych dla Solidarności wydarzeń, takich jak demonstracje uliczne zakończone walkami z ZOMO, procesy polityczne. Wymagało to dużego wysiłku. Joanna Szczęsna miała wielkie trudności z przygotowaniem numeru w czasie strajków w sierpniu 1988 r. Większość redaktorów – w związku z przerwą wakacyjną w wydawaniu pisma, trwającą najczęściej miesiąc – była wówczas niedostępna. Na wiadomość o wybuchu strajku Szczęsna musiała niemal sama przygotować numer. Na szczęście udało się nawiązać kontakt z Anną Dodziuk i Ludwiką Wujec, które przerwały urlop i pojechały na Śląsk do strajkujących kopalni. W ciągu kilku dni do Warszawy wróciły kolejne osoby. Dzięki temu numer poświęcony strajkom wyszedł na czas⁶⁶.

Publikowano wiele wywiadów z przywódcami Solidarności. Najczęściej – piętnaście razy – głos oddawano Zbigniewowi Bujakowi. Kilkakrotnie zamieszczano rozmowy z przewodniczącym związku Lechem Wałęsą, członkami TTK – Bogdanem Borusewiczem, Władysławem Frasyniukiem i Bogdanem Lisem, RKW – Konradem Bielińskim, Wiktorem Kulerskim, Janem Lityńskim, Zbigniewem Romaszewskim, Henrykiem Wujcem, a także An-

drzejem Słowikiem, Bronisławem Geremkiem, Jackiem Kuroniem, Stefanem Bratkowskim, Janem Józefem Lipskim. Przeprowadzono rozmowy ze związkowcami różnych szczebli, opozycyjnymi literatami, aktorami, naukowcami⁶⁷. Drukowano wyniki ankiet i sondaży, zapisy dyskusji, polemiki, recenzje, rubryki zawierające przeglądy prasy oficjalnej i nieoficjalnej, listy od czytelników, nekrologi, krzyżówki, a nawet wiersze. Ukazało się kilka numerów specjalnych, poświęconych trzydziestej rocznicy Czerwca '56, strajkom w sierpniu 1988 r. czy ustaleniom Okrągłego Stołu⁶⁸.

Jak na warunki podziemne pismo sprawiało dobre wrażenie pod względem edytorskim. Druk był niewielki, ale wyraźny i czytelny. Pod tym względem „Tygodnik Mazowsze” mógł wygrywać chociażby z konkurującym z nim „Tygodnikiem Wojennym”, który zachowując wysoki poziom merytoryczny, graficznie prezentował się znacznie gorzej. Na polu edytorskim konkurencję dla „Tygodnika Mazowsze” stanowił natomiast ukazujący się od listopada 1984 r. „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, wyróżniający się regularnym publikowaniem zdjęć dobrej jakości⁶⁹.

Infrastruktura podziemnej redakcji

Podziemne dziennikarstwo miało swoją specyfikę. Praca organizacyjna dominowała nad dziennikarską. „80 procent energii szło na to, żeby nas milicja nie przyłapała i żeby cały system działał. Najbardziej pracochłonne było szukanie mieszkań. A 20 procent to było robienie »Tygodnika«, zastanawianie się, co powinno być w numerze, zbieranie tego itd.” – wspomina Helena Łuczywo⁷⁰. Wiele osób z redakcji wykonywało prace pozadiennikarskie.

⁶⁵ *Gazeta czy organ...*, s. 163; W. Bereś, K. Burnetko, *Tylko nie o polityce. Wywiady „Promienistych” z twórcami i kierownikami poligrafii „Tygodnika Mazowsze”*, Paryż 1989, s. 124.

⁶⁶ S. Penn, *Podziemie kobiet...*, s. 265–266.

⁶⁷ W. Górecki, *„Tygodnik Mazowsze” 1982–1989...*

⁶⁸ *Ibidem*.

⁶⁹ *Przegląd Wiadomości Agencyjnych 1984–1990. Przerwana historia ilustrowanej bibuły*, red. J. Bryłowski, J. Doktor, Ossa 2009.

⁷⁰ Relacja Heleny Łuczywo II; por. relacja Anny Bikont, 2010, złożona Hannie Nowickiej.

Marta Woydt utrzymywała kontakty z robotnikami z zakładów pracy. Tomasz Burski pełnił funkcję skarbnika. Archiwum prowadził Piotr Pacewicz, a następnie Wojciech Cesarski. Małgorzata Pawlica obsługiwała składopis⁷¹. Redakcja od początku korzystała ze składopisu wyniesionego pierwszego dnia stanu wojennego z siedziby Regionu Mazowsze na ulicy Mokotowskiej. „To była zwykła maszyna do pisania [z pamięcią], tylko trzeba było zapamiętać reguły, dzięki którym składopis układał tekst w szpalty. Wiedzieć, gdzie przycisnąć który klawisz, żeby tekst przełamał się na drugą stronę albo weszła inna czcionka. Wtedy filuterność czcionki uzyskiwało się wymianą głowicy. Nie wystarczyło kliknąć na ikonkę [jak dziś], trzeba było po prostu fizycznie włożyć inną głowicę, okrągłutką jak piłeczka pingpongowa. [...] Bardzo finyzyjna maszyna. Byliśmy chyba pierwsi, którzy ją dostali” – wspomina Pawlica⁷². Później składopis obsługiwali Jan Cywiński i Renata Kubicka⁷³.

Zdobyciem informacji zajmowali się Mieczysław Prószyński, Ewa Milewicz, Jan Rutkiewicz i Krzysztof Herbst. Irena Rybczyńska, Roman Kornecki i Hanna Sianko prowadzili nasłuch zagranicznego radia. Redakcja korzystała też ze złożonego systemu informacji stworzonego przez Tomasza Chlebowskiego (pseudonim „Michał”). Tak opisywał swoją działalność: „Po pierwsze zbieranie informacji o tym, co się dzieje. Po drugie zbieranie wydawnictw. Po trzecie kontakty z innymi wydawnictwami. Po czwarte kontakty z innymi strukturami podziemnymi. Po piąte kontakty z regionem. Po szóste kontakty z korespondentami zagranicznymi. Często któraś z dziewczyn w re-

dakcji mówiła do mnie: »Michałku, pod taki a taki adres co tydzień będzie dostarczana gazetka jakaś tam. Proszę cię, uwzględnij ten adres w twojej strukturze«. Wyglądało to tak, że każde z miast w Polsce – Kraków, Lublin, Gdańsk, Toruń, Wrocław i szereg innych – było obsługiwane przez stałego kuriera z Warszawy [...] np. była osoba, która jeździła raz na tydzień z Warszawy do Krakowa i z powrotem. [...] To nie był kolportaż wydawnictw, ale korespondencja. Był lokal w Warszawie, do którego oni przywozili i skąd zabierali. Lokale się zmieniały dosyć rzadko, ponieważ nie było wpadek. Byłem kilka razy w każdym z tych miast, żeby to uruchomić, a później działało samo”⁷⁴. Chlebowski zajmował się tym do 1986 r. Razem z nim obsługiwali ten system Roman Stefański i Hanna Szmalenberg.

Bazę „Tygodnika” tworzyła sieć mieszkań prywatnych, należących do sympatyków podziemia, które wykorzystywano na kolejnych etapach redagowania i drukowania. Redakcja spędzała w jednym mieszkaniu 3–4 dni⁷⁵. Do tego samego lokalu wracano po kilkutygodniowej przerwie. Były mieszkania redakcyjne, przerzutowe, lokale pełniące rolę szluz lub skrzynek, gdzie zostawiano materiały, pieniądze czy informacje. Korzystano z tego systemu mieszkań wspólnie z podziemnym Regionem Mazowsze; zmiany lokali redakcji i regionu były ze sobą powiązane, tak by ułatwić współpracę⁷⁶. W 1987 r. na samo przygotowanie gazety do druku wykorzystywano – według szacunków konspiratorów – aż trzydzieści mieszkań (a razem z tymi niezbędnymi do druku – 37)⁷⁷. Redakcja przeszła w sumie przez setki mieszkań,

⁷¹ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy...*, s. 443; relacje Piotra Pacewicza i Marty Woydt, 2010, złożone Hannie Nowickiej.

⁷² Relacja Małgorzaty Pawlickiej, 2010, złożona Hannie Nowickiej.

⁷³ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy...*, s. 447.

⁷⁴ Relacja Tomasza Chlebowskiego, 2010, złożona Hannie Nowickiej.

⁷⁵ S. Penn, *Podziemie kobiet...*, s. 230; wypowiedź Joanny Szczęsnej [w:] *Dzięki którym powstał i przetrwał. Konferencja i spotkanie ludzi „Solidarności” zorganizowana w dniach 23–24 czerwca 2006 r. w Muzeum Historycznym m.st. Warszawy*, red. M. Berezowska, I. Maliszewska, Warszawa 2006, s. 66.

⁷⁶ Relacja Heleny Łuczywo I.

⁷⁷ W. Bereś, K. Burnetko, *Tylko nie o polityce...*, s. 93.

polecanych przez kolejnych znajomych. Przeważnie były to mieszkania inteligenckie⁷⁸.

Udostępnianie mieszkań na tajną działalność niosło ryzyko zatrzymania przez Służbę Bezpieczeństwa. Było również dość uciążliwe. Trzeba było zaakceptować przebywanie przez dłuższy czas obcych osób w miejscu, które z założenia ma być strefą prywatną. Przyjęcie redakcji wiązało się z goszczeniem przez okres od kilku dni do dwóch tygodni kilku osób pracujących po nocach, głośno piszących na maszynie, palących papierosy, zapożyczających pokój materiałami potrzebnymi do redagowania pisma⁷⁹. Gospodarze mieszkań nie zawsze potrafili stosować się do zasad konspiracji, ale – jak podkreślają twórczynie pisma – wykazywali się dużym oddaniem. Wraz z upływem lat i ze zmniejszaniem się w społeczeństwie chęci do działania coraz trudniej było jednak znaleźć nowe lokum⁸⁰.

Do 1984 r. „Tygodnik” rozpowszechniano za darmo, następnie ustalono stałą cenę za sprzedaż poza regionem, a potem w całym kraju. Skomplikowany tryb produkcji powodował większe niż w przypadku innych tytułów potrzeby finansowe. W 1982 r. budżet gazety przekraczał 6,7 mln złotych, w 1983 r. był mniejszy: 3,7 mln złotych. W 1984 r. przychody pisma osiągnęły 5,7 mln złotych. W 1987 r. miesięczne wydatki redakcji wynosiły 700–750 tys. złotych, a zysk ze sprzedaży 350–400 tys.; resztę trzeba było dołożyć. Większość dochodów pisma to datki od czytelników i wsparcie z zagranicy. Sumy te wydawano na po-

moc finansową dla członków redakcji, prace zleczone, sprzęt, materiały, poligrafię i kolportaż⁸¹.

Tajny system druku

Wysoki nakład „Tygodnika Mazowsze” był możliwy dzięki sprawnemu systemowi poligrafii, zorganizowanemu przez Witolda Łuczywę⁸². To on był autorem koncepcji zdecentralizowania druku, a zatem i kolportażu⁸³. Proces druku stawał się coraz bardziej skomplikowany. W różnych miejscach drukowano pismo przy wykorzystaniu odmiennych technik. Na podstawie makiety robiono matryce białkowe do powielaczy, blachy do offsetu oraz diapozytywy wykorzystywane w sitodruku. Rozwieszono je do skrzynek kontaktowych, skąd odbierali je przedstawiciele wydawnictw i ekip drukarskich zajmujących się produkcją „Tygodnika”. Łuczywo wspominał: „Moja praca polegała na łączeniu nitek, bieganiu między firmami, namawianiu do drukowania »Tygodnika Mazowsze«”⁸⁴. W 1984 r. rolę tę przejęli Piotr Niemczycki i Tadeusz Winkowski. Stworzyli zespół koordynujący zaopatrzenie, druk, kolportaż i produkcję matryc. W jego skład wchodził także Zuzanna Toeplitz, Wojciech Jakubowski, Edward Krzemień⁸⁵.

W różnych okresach pismo drukowały największe niezależne oficyny wydawnicze – NOWA, Krąg, CDN. Z czasem dołączyły do nich inne. Rozwój „Tygodnika” wspierało kierownictwo podziemia warszawskiego, wspomagając te oficyny, które drukowały pismo⁸⁶. Przez pierwszy okres Helena Łuczy-

⁷⁸ Relacja Heleny Łuczywo I; wypowiedź Joanny Szczęsnej [w:] *Dzięki którym powstał...*, s. 65.

⁷⁹ Wypowiedzi Joanny Szczęsnej i Anny Bikont [w:] *ibidem*, s. 65–67; relacje Anny Bikont, Zofii Bydlińskiej, Anny Dodziuk, Joanny Szczęsnej, Ludwika Wujec.

⁸⁰ Relacje Anny Bikont i Zofii Bydlińskiej; relacja Heleny Łuczywo I.

⁸¹ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy...*, s. 448–453.

⁸² *Ibidem*, s. 445.

⁸³ Relacja Heleny Łuczywo II.

⁸⁴ W. Bereś, K. Burnetko, *Tylko nie o polityce...*, s. 108–111.

⁸⁵ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy...*, s. 447.

⁸⁶ T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie...*, s. 231.

wo nie chciała, aby drukowano pismo poza Warszawą, by nie tworzyć konkurencji dla inicjatyw lokalnych⁸⁷. Od mniej więcej 1984 r. rozpowszechniano „Tygodnik” na szeroką skalę poza Mazowszem. Gotowe matryce wysyłano do innych miast, gdzie powstawały dodruki i edycje regionalne.

Rozbudowana sieć druku pisma zapewniała ciągłość w razie wypadki poszczególnych ekip, dziś natomiast utrudnia precyzyjne określenie nakładu. Musimy się opierać na szacunkach redaktorów, którzy jednak nie mieli pełnej kontroli nad nakładem⁸⁸. Średnio wynosił on 30–50 tys. egzemplarzy, w lutym 1985 r. wzrósł nawet do 80 tys., jednak po wpadce dwóch drukarni, która niedługo później nastąpiła, zmniejszył się do 50 tys.⁸⁹

Kolportaż zbudował Paweł Bąkowski, kierujący jednocześnie jedną z drukarni Niezależnej Oficyny Wydawniczej, w której wyprodukowano pierwsze numery „Tygodnika”. Znajdowała się ona w Faleńcu, prowadzili ją Tadeusz Markiewicz, Andrzej Górski, Adam Grzesiak i Emil Broniarek⁹⁰. W sierpniu 1982 r. drukarnię odkryła SB, Markiewicz został aresztowany. Bąkowski ukrywał się do sierpnia 1983 r., po czym wyjechał z Polski. Jesienią 1982 r. kierownictwo kolportażu przejął Marek Jackiewicz. Wówczas powstał system pięciu skrzynek kolportażowych obsługujących daną dzielnicę Warszawy. Do każdej z nich trafiało po 2–4 tys. egzemplarzy. Ze skrzynek korzystali kolporterzy hurtowi, którzy następnie przekazywali egzemplarze kolejnym rozprowadzającym. Od 1985 r. kolportażem kierowała Zuzanna Toeplitz, która usprawniła dystrybucję⁹¹.

Prowadząca jedną z gałęzi kolportażu gazety Kinga Kamińska opisywała ten mechanizm: „Odkąd pojawił się »Tygodnik Mazowsze«, byłam w centralnym kolportażu. Dostawałam na skrzynkę do paru tysięcy egzemplarzy, dzieliło się to na kilka osób, które miałam w swojej grupie, szło do kolejnych skrzynek, a stamtąd dopiero dalej”⁹². Ostatnim ogniwem był kolporter w zakładzie pracy, który rozdawał po kilka, kilkanaście egzemplarzy ludziom z najbliższego otoczenia. Leszek Kowalewski, kolporter w Zakładach Mechanicznych Ursus, wspomina, że osoby zainteresowane podziemnymi publikacjami zgłaszały się do niego i dopytywały o nowości⁹³.

„Tygodnik” rozprowadzano przede wszystkim w warszawskich zakładach przemysłowych, na uczelniach, w placówkach naukowych, bibliotekach, a od 1984 r. także poza regionem. Charakterystyczne, że osoby mające styczność z kolportażem prasy podziemnej w zakładach pracy często obok własnego pisma zakładowego wspominają właśnie „Tygodnik”⁹⁴. Było to jedyne pismo podziemne mające charakter i realny zasięg ogólnokrajowy. Po 2–3 tys. egzemplarzy rozchodziło się w głównych ośrodkach: Krakowie, Wrocławiu, Gdańsku i Szczecinie. Do innych miast docierało mniej egzemplarzy.

Służba Bezpieczeństwa na tropie

Redakcja „Tygodnika” kładła szczególny nacisk na zachowanie konspiracji z uwagi na bliskie związki z kierownictwem podziemia, zwłaszcza ze Zbignie-

⁸⁷ Relacje Heleny Łuczywo I i II.

⁸⁸ Relacja Heleny Łuczywo II.

⁸⁹ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy...*, s. 447; W. Bereś, K. Burnetko, *Tylko nie o polityce...*, s. 97–99.

⁹⁰ Na temat druku pierwszych numerów „Tygodnika Mazowsze” zob. J. Błażejowska, *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego 1976–1989/1990*, Warszawa 2010, s. 181; *TM-ka z czerwoną winietką... Mówi Andrzej Górski – drukarz pierwszych numerów „Tygodnika Mazowsze”, „Bibuła”* 2007, nr 5, s. 8; A. Grzesiak, W. Grochola, *Bujajcie się!*, Warszawa 2004.

⁹¹ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy...*, s. 445–446.

⁹² Relacja Kingi Kamińskiej, 2011, złożona Janowi Olaszkowi.

⁹³ Relacja Leszka Kowalewskiego, 2011, złożona Janowi Olaszkowi.

⁹⁴ Relacje: Zbigniewa Janasa (2010), Zygmunta Jarzyńskiego (2011), Andrzeja Czernickiego (2011), Leszka Kowalewskiego (2011), złożone Janowi Olaszkowi.

wem Bujakiem, uznawanym za symbol podziemnej Solidarności. Stosowano wiele środków ostrożności⁹⁵. Stale obawiano się dekonspiracji. „Najbardziej nie lubimy niespodziewanych dzwonek do drzwi (mleczarza, harcerzy po makulaturę, kuzyna z prowincji, który bez zapowiedzi przyjechał nocnym pociągiem). Zdarzało się, że bardziej kompromitująca bibuła była już w pralce przygotowana do prania [...] Pamiętam straszną panikę, zobaczyliśmy przez wizjer ubeka palącego papierosa. Wszyscy kolejno go widzieli, dopiero gospodarz uprzytomnił nam, że to świeci się guzik zepsutej windy” – pisał jeden z redaktorów w setnym numerze pisma⁹⁶. Zdarzały się fałszywe alarmy, kiedy zaczynało pospiesznie ukrywać bądź niszczyć materiały redakcyjne, obawiając się wkroczenia milicji lub SB⁹⁷. Ciągłe napięcie powodowało nerwowość i przewrażliwienie na punkcie zasad konspiracji. Było to zapewne zjawisko charakterystyczne dla konspiracyjnych nie tylko w Polsce i nie tylko w tamtych czasach.

Czy obawy przed SB miały podstawy? Czy policja dużo wiedziała o funkcjonowaniu „Tygodnika”? W odpowiedzi na te pytania mogłyby pomóc materiały SB ze sprawy operacyjnego rozpracowania „Redakcja”, jednak najprawdopodobniej się nie zachowały. O poszczególnych wpadkach druku i kolportażu „Tygodnika Mazowsze” informują suche notatki w tzw. informacjach dziennych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Z dwóch prac dyplomowych funkcjonariuszy SB napisanych w Wyższej Szkole Oficerskiej w Legionowie (dotyczą głównie pierwszej połowy lat osiemdziesiątych) wynika, że działania w ramach sprawy

„Redakcja” nie przynosiły większych rezultatów. Esbecy mieli pewne informacje na temat funkcjonowania druku i kolportażu, nie byli jednak zadowoleni ze stanu rozpracowania gazety, co tłumaczyli zbyt małą liczbą tajnych współpracowników i przypadkowością swoich działań. W opisywanym okresie nie zdołali dotrzeć do zespołu redakcyjnego⁹⁸.

Jeszcze mniej zostało śladów działalności SB z drugiej połowy lat osiemdziesiątych. W dokumentach kierownictwa MSW daje się zauważyć to, że przykładano dużą wagę do walki z „Tygodnikiem”. W czasie jednej z odpraw kierownictwa MSW 23 czerwca 1986 r. Czesław Kiszczyk wśród najpilniejszych zadań swojego resortu wymienił zlikwidowanie „Tygodnika”⁹⁹. Pamiętać należy, że działo się to niedługo po zatrzymaniu związanego z pismem Zbigniewa Bujaka. W styczniu 1988 r. natomiast utworzono specjalną grupę operacyjną, której zadaniem miało być rozpracowanie NOW-ej i właśnie „Tygodnika”. Nadzór nad działaniami grupy miał sprawować zastępca dyrektora Departamentu III MSW Wacław Król¹⁰⁰. Stworzenie specjalnej grupy do walki z „Tygodnikiem” świadczy o uznaniu jego pozycji (charakterystyczne, że obok największego pisma chciano zwalczać największe wydawnictwo książkowe). Trudno jednoznacznie interpretować, co mówi nam to o wiedzy służb o jego redakcji. Z jednej strony mogło oznaczać brak sukcesów w rozpracowywaniu pisma, z drugiej – chęć wzmożenia działań w momencie pojawienia się szansy na jego likwidację.

W historii „Tygodnika” doszło do jednej wpadki redakcyjnej – 10 października 1988 r. Jak wynika

⁹⁵ *Jak się robiło pismo podziemne...*; relacja Krzysztofa Leskiego.

⁹⁶ (Fel.) [P. Pacewicz], *Zwierzania redaktora TM-u*, „Tygodnik Mazowsze”, 4 X 1984, nr 100.

⁹⁷ Wypowiedź Joanny Szczęsnej [w:] *Dzięki którym powstał...*, s. 65.

⁹⁸ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 001708/1835, K. Kasprzowicz, *Koncepcje propagandowe „Tygodnika Mazowsze” od 13 XII 1981 do grudnia 1982 r.*, WSO, 1984, k. 45–55; AIPN, 01708/3721, O. Marciniak, *Neutralizacja propagandowej działalności redakcji „Tygodnika Mazowsze” w latach 1982–1986*, WSO, 1989, s. 48–54.

⁹⁹ AIPN, 1593/24, Sprawozdanie z narady kierownictwa MSW, 23 VI 1986, k. 25.

¹⁰⁰ AIPN, 296/34, t. 1, Zarządzenie nr 01/88 dyrektora Departamentu III MSW płk. Krzysztofa Majchrowskiego, 21 I 1988, k. 386–387.

z zachowanych dokumentów, grupa operacyjna Departamentu III MSW uzyskała informację, że Joanna Szczęśna, Helena Łuczywo i Ludwika Wujec „stanowią skład redakcyjny nielegalnego tygodnika »Mazowsze« oraz zajmują się organizowaniem druku i kolportażem tego tygodnika”. Informacja nie była precyzyjna, ale oddawała to, co najistotniejsze: kluczową rolę głównych redaktorów pisma. Z dokumentu wynika, że planowano podjęcie dalszych działań z udziałem zwiększonej liczby funkcjonariuszy¹⁰¹. W tym czasie redakcja rozluźniła konspiracyjne zasady – zorganizowano spotkanie u należącego do redakcji Tomasza Burskiego¹⁰². W dokumentach znajdujemy informację o zarekwirowanych wówczas przez SB pieniądzach i sprzęcie komputerowym (już wtedy wykorzystywanym w podziemnym ruchu wydawniczym) oraz listę redaktorów „Tygodnika”. Funkcjonariuszom udało się również przejąć archiwum pisma, w którym znajdowało się po kilka egzemplarzy wszystkich numerów¹⁰³. Czy wpadka świadczy o tym, że w drugiej połowie 1988 r. SB dysponowała dużą wiedzą na temat redakcji „Tygodnika”? Możliwe. Funkcjonariuszom ułatwiała pracę sytuacja, w której znaczna część podziemnych inicjatyw zaczynała prowadzić działalność półjawą. Redaktorzy sami przyznają, że wobec politycznej liberalizacji konspiracja zeszła na drugi plan¹⁰⁴.

Do Służby Bezpieczeństwa już wcześniej docierały sygnały na temat składu redakcji „Tygodnika Mazowsze”. W aktach inwigilowanego Pawła Bąkowskiego znajduje się doniesienie tajnego współpracownika SB o pseudonimie „Kaktus”, którym

był Janusz Górski, brat drukarza NOW-ej Andrzeja Górskiego¹⁰⁵. Dotyczy ono spotkania Bąkowskiego z Andrzejem Górskim, na którym – czytamy w doniesieniu – rozmawiali m.in. o Joannie Szczęsnej, komentując jej aresztowanie jako „wielką stratę dla »Tygodnika«”¹⁰⁶.

Wiele wskazuje na to, że SB nie potrafiła takich sygnałów wykorzystać – zapewne z powodu zbyt słabego przepływu informacji między jej strukturami. Nie można wykluczyć, że odrębne działania związane z kręgiem „Tygodnika” prowadziło np. Biuro Studiów, w którym koncentrowała się wiedza o priorytetowych rozpracowaniach. Dla policji priorytetem było zapewne zatrzymanie Zbigniewa Bujaka, a nie związanych z nim osób, takich jak redaktorki „Tygodnika Mazowsze”.

W stronę kompromisu

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych – zwłaszcza po amnestii z lipca 1986 r. – na łamy pisma powróciły debaty programowe. Da się z nich odczytać linię „Tygodnika Mazowsze”. Trudno zresztą odseparować stanowisko redakcji od polityki przywódców Solidarności, wypowiadających się na łamach pisma. Redakcja „Tygodnika” i przywódcy związku mówili jeśli nie jednym, to na pewno zbliżonym głosem. Pismo opowiadało się za prowadzeniem przez Solidarność działalności związkowej, a nie *stricte* politycznej. Szansę na odzyskanie miejsca na legalnej scenie publicznej widziano w odtwarzaniu jawnych struktur związku, pisano o perspektywie kompromisu z władzami PRL.

¹⁰¹ AIPN, 11326/922, Plan częściowej realizacji w sprawie operacyjnego rozpracowania „Redakcja”, 6 X 1988, k. 9–10.

¹⁰² Relacja Ludwika Wujec.

¹⁰³ AIPN, 01326/919, Załącznik do informacji dziennej MSW dotyczący przeprowadzonych działań operacyjno-śledczych w stosunku do redakcji nielegalnego czasopisma „Tygodnik Mazowsze”, 11 X 1988, k. 15–17.

¹⁰⁴ *Jak się robiło pismo podziemne...*

¹⁰⁵ C. Kuta, *Niezależny ruch wydawniczy 1980–1989* [w:] NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 2, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 311–313.

¹⁰⁶ AIPN, 01228/132, t. 5, Informacja operacyjna opracowana na podstawie słów tajnego współpracownika „Kaktusa”, 12 VII 1982, k. 101.

Jak zauważył Andrzej Friszke, „Tygodnik Mazowsze” należał do sił wyznaczających drogę do porozumienia z władzą¹⁰⁷. Jednym z pierwszych politycznych sygnałów o możliwości nowego porozumienia społecznego był głośny tekst Jana Lityńskiego opublikowany we wrześniu 1986 r.¹⁰⁸ Wtórował mu Bronisław Geremek, proponując stworzenie sytuacji, w której „negocjować się będzie działaniami, faktami dokonanymi. Podkreślam, negocjować – a nie przyciskać do muru i okopywać się we wzajemnej niechęci” – pisał¹⁰⁹.

Podobnie jak inni twórcy prasy podziemnej, publicyści „Tygodnika” nieufnie pochodzili do pierestrojki podjętej przez Michaiła Gorbaczowa. Zdawano sobie sprawę, że jego celem nie jest zmiana systemu, lecz jego modernizacja i w efekcie wzmocnienie. Jacek Kuroń pisał, że koncepcja przywódcy KPZR opiera się na „ocaleniu komunizmu poprzez jego racjonalizację”¹¹⁰. Zauważano jednak, że są to zmiany bez precedensu, stanowiące szansę dla narodów innych państw bloku, choć wskazywano na ich zbyt dużą powolność. Jacek Kalabiński zwracał uwagę w lipcu 1988 r., że „zwycięstwo sił *glasnosti* może okazać się jeszcze pozorne, a pierestrojka specjalnie się nie umocniła”. Jednocześnie doceniał takie zmiany jak jawna dyskusja wewnątrz partii¹¹¹. Podobnych głosów w piśmie publikowano więcej. Nie były entuzjastyczne, ale też nie tak nieufne wobec pierestrojki jak w prasie bardziej radykalnej opozycji.

Widząc szansę na zmiany w Polsce po liberalizacji w ZSRR, autorzy „Tygodnika” tym bardziej krytycznie podchodzili do polityki gen. Jaruzelskiego, który wprowadzał jedynie pozory demokracji. Mieli negatywny stosunek do utworzonej w grudniu 1986 r. Rady Konsultacyjnej przy

Przewodniczącym Rady Państwa PRL. Sceptycznie podchodzono też do referendum zorganizowanego przez władze w 1987 r., uważając, że ma ono jedynie znaczenie propagandowe. Reakcja władz na strajki w kwietniu i maju 1988 r. świadczyła o nie-reformowalności ekipy Jaruzelskiego. „Jej myślenie obraca się w kategoriach stanu wojennego. Nie jest zdolna zrozumieć, że podstawowym zadaniem rządu w Polsce nie może być walka z Solidarnością, lecz odpowiedź na realne zagrożenia, przed jakimi stoi cały kraj. Jest to groźny przypadek politycznej ślepoty” – pisał Lityński¹¹².

„Tygodnik” publikował w latach 1987–1989 wiele wypowiedzi Lecha Wałęsy, Zbigniewa Buja, Jacka Kuronia, Bronisława Geremka, Tadeusza Mazowieckiego torujących drogę do kompromisu Solidarności z rządem. Trudno było w nim natomiast znaleźć opinie działaczy nastawionych negatywnie do pertraktowania z władzą – Andrzeja Gwiazdy czy liderów innych organizacji: Kornela Morawieckiego z Solidarności Walczącej, Leszka Moczulskiego z Konfederacji Polski Niepodległej. Nie było to nowością – głosy osób o poglądach skrajnie odmiennych od linii pisma trudno było znaleźć na jego łamach również we wcześniejszym okresie – ale zaczęło mieć znaczenie w ostatnich latach dekady, kiedy różnice między różnymi nurtami opozycji się zaostrzyły. Toteż „Tygodnikowi” zarzucano zbyt małą rozpiętość prezentowanych stanowisk¹¹³. Redakcja nie chciała lansować poglądów sprzecznych z polityką liderów związku, którą aprobowwała. Tłumaczyła to Helena Łuczywo: „Myśmy się znajdowali cały czas w głównym nurcie Solidarności związanym z Lechem Wałęsą, z Krajową Komisją Wykonawczą, w tym nurcie, który cały czas uważał, że porozumienie jest

¹⁰⁷ Jak się robiło pismo podziemne...

¹⁰⁸ J. Lityński, *W nowym układzie politycznym*, „Tygodnik Mazowsze”, 22 IX 1986, nr 181.

¹⁰⁹ *Realizm anno domini 1986. Rozmowa z Bronisławem Geremkiem*, „Tygodnik Mazowsze”, 8 X 1986, nr 183.

¹¹⁰ J. Kuroń, *Krajobraz po bitwie*, „Tygodnik Mazowsze”, 2 IX 1987, nr 219.

¹¹¹ J. Kalabiński, *Konferencja*, „Tygodnik Mazowsze”, 6 VII 1988, nr 257,

¹¹² J. Lityński, *Szanse na wyjście z pata*, „Tygodnik Mazowsze”, 18 V 1988, nr 251.

¹¹³ *Gazeta czy organ...*, s. 160.

możliwe i który – jak się okazało – miał rację. Ja osobiście, a myślę, że koledzy też, jestem zdecydowanym wrogiem rewolucji”¹¹⁴.

Krytykowano osoby uznawane za opozycyjnych radykałów, reprezentujące Grupę Roboczą Komisji Krajowe NSZZ Solidarność czy Solidarność Walcząca. Jacek Kuroń w lutym 1988 r. pisał: „Co bardziej radykalni, nieprzejednani fundamentalisci sądzą, że wybuch doprowadzi wręcz do upadku komunistów. Sfrustrowani swoją niemożnością, nie dostrzegają sukcesów, które odnieśli, a zdają sobie sprawę z dramatycznego położenia kraju. Szczególnie dotyczy to najmłodszych – z niecierpliwością, wrażliwością i odwagą właściwą swemu wiekowi chcą wszystko załatwić tu i teraz, w jednej zadymie, do której prą w miarę sił i możliwości”¹¹⁵.

Głosy niezgodne z kompromisową linią pisma pojawiały się czasem w listach od czytelników. W sierpniu 1988 r. jeden z nich polemizował z Bronisławem Geremkiem postulującym ostrożność w kontaktach z władzą. „Ja sądzę, że lepiej byłoby, żeby ta władza wiedziała, żeby słyszała kilka razy dziennie, że jest władzą uzurpatorską, obcym namiestnictwem i jej los prędzej czy później będzie taki, jak każdej władzy okupacyjnej w Polsce. [...] Ta władza niczego nam nie da. Tyle będziemy mieli, ile sobie wywojujemy”¹¹⁶.

Wśród ludzi postrzegających podjęcie negocjacji z władzami jako zdradę „Tygodnik” budził niechęć. Andrzej Friszke wspominał zdarzenie z 1989 r.: „Poszedłem na uniwersytet kupić »TM«. Gdy poprosiłem o »Tygodnik«, chłopak sprzedający bibułę powiedział fanatycznym głosem: »Jak ja ich nienawidzę!«”¹¹⁷.

Przy Okrągłym Stole

Większość publicystów i redaktorów „Tygodnika” w rozmowach Okrągłego Stołu widziała szansę na demokratyzację systemu. Helena Łuczywo brała nawet udział w negocjacjach w podzespołach jako reprezentant prasy związkowej. Piotr Pacewicz w 1989 r. pełnił funkcję sekretarza Bronisława Geremka, jednego z architektów procesu negocjacji z władzami PRL. „Tygodnik” relacjonował przebieg negocjacji z dużą ostrożnością, ale i z dużą nadzieją. Popierając kompromis z komunistami, redakcja starała się przełamywać sielankowy obraz współpracy negocjatorów obu stron, pokazując, że podjęcie rozmów nie oznacza wyparcia się opozycyjnej tożsamości.

Doceniano fakt, że przywódcy PZPR zdecydowali się na rozmowy z Solidarnością wbrew swemu aparatowi. Podjęcie przez nich takiego ryzyka sprawiało, że dążenie władz do kompromisu redakcja skłonna była oceniać jako wiarygodne. Godzono się również z ceną tego kompromisu. Składały się na nią konsekwencje społeczne ewentualnych reform oraz koszty polityczne. Te drugie tak komentowano w styczniu 1989 r.: „Ceną za legalizację Solidarności będzie udział w niedemokratycznych wyborach do Sejmu. Oznacza to legitymizację władzy komunistów za pomocą moralnego autorytetu Solidarności”. Podkreślano, że ta sytuacja nie może być trwała – ma być jednorazowa, na czas trudnego etapu przejściowego¹¹⁸. Wówczas po raz pierwszy na łamach najbardziej miarodajnego pisma podziemia tak jasno wyłożono filozofię porozumienia¹¹⁹.

¹¹⁴ *Jak się robiło pismo podziemne...*

¹¹⁵ J. Kuroń, *Przed tym, co może się zdarzyć*, „Tygodnik Mazowsze”, 24 II 1988, nr 240.

¹¹⁶ *Listy do redakcji*, „Tygodnik Mazowsze”, 20 VII 1988, nr 258.

¹¹⁷ *Jak się robiło pismo podziemne...*

¹¹⁸ *W przededniu kompromisu*, „Tygodnik Mazowsze”, 25 I 1989, nr 279.

¹¹⁹ J. Skórzyński, *Rewolucja Okrągłego Stołu*, Kraków 2009, s. 248.

Poparte przez pismo negocjacje były początkiem końca „Tygodnika”. Jedno z postanowień Okrągłego Stołu zapowiadało utworzenie niezależnego dziennika opozycji. W ten sposób powstała „Gazeta Wyborcza”, której naczelnym został Adam Michnik. Zaproponował on współpracę przede wszystkim zespołowi „Tygodnika”. Duża część dziennikarzy przyjęła tę propozycję. W ostatnim numerze, z 12 kwietnia 1989 r., wydrukowano oświadczenie redakcji: „Po 7 latach zawieszany działalność »Tygodnika Mazowsze«. Naszemu zespołowi zaoferowano pracę w »Gazecie Wyborczej«, a potem jeżeli powstanie – w dzienniku, w pierwszej od ponad 40 lat legalnej gazecie opozycyjnej w Polsce. Przy całym naszym przywiązaniu do »Tygodnika Mazowsze« i wszystkiego co się z nim wiąże, propozycję tę uznajemy za szansę, której nie wolno nam odrzucać. [...] W takiej chwili uciekanie przed ryzykiem oznaczałoby rezygnację z nowych szerszych możliwości działania na rzecz tych ideałów, o które walczyliśmy od lat – ideałów Solidarności”¹²⁰. W ten sposób zakończyła się siedmioletnia historia najpopularniejszego pisma podziemnego. Dalsze losy jego twórców składają się na inną opowieść.

* * *

Na czym polegała wyjątkowość „Tygodnika”? Czy nie jest ona tylko środowiskową legendą? Pozornie pismo nie różniło się wiele od innych. Istniało kilka ważnych tytułów podziemnych o podobnym profilu, cieszących się popularnością. Choćby pisma, których pierwsze numery pojawiły się nieco wcześniej – warszawskie „Wiadomości”, „Tygodnik Wojenny”, „Wola”, „KOS”. Silną pozycję miał organ Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu Solidarności, opozycyjnie nastawionego wobec

władz mazowieckiej Solidarności – pismo „CDN – Głos Wolnego Robotnika”. Poczytny „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” wychodzący od jesieni 1984 r. wyróżniał się nowoczesną, ilustrowaną szatą graficzną oraz zróżnicowaną publicystyką, poruszał tematy również zupełnie niezwiązane z sytuacją w PRL i bloku sowieckim. Ważne pisma informacyjne ukazywały się w innych miastach – we Wrocławiu „Z Dnia na Dzień”, w Krakowie „Hutnik”, w Poznaniu „Obserwator Wielkopolski”. Wszystkie osiągnęły popularność w swoich regionach, a niektóre z nich (zwłaszcza „Tygodnik Wojenny” i „PWA”) kolportowano w wielu miastach. Pozycja „Tygodnika Mazowsze” była jednak szczególnie. Zyskał on dużą popularność. Pismo uznawano za najbardziej reprezentatywny głos głównego nurtu opozycji i jej przywódców. Zbierając relacje działaczy podziemia z różnych struktur i miast, często można usłyszeć, że oprócz miejscowych tytułów podziemnych czytano u nich „Tygodnik”. Jego druk i kolportaż prowadziły również niezwiązane z pismem struktury. „Nie sposób powiedzieć, gdzie ten »Tygodnik« się kończy. Nawet firmy, dla których »Tygodnik Mazowsze« to tylko część produkcji, mówią »my z Tygodnika«” – opowiadał jeden z twórców jego poligrafii¹²¹. Wydawanie tego tytułu podnosiło rangę podziemnego wydawcy.

Rolę „Tygodnika” uznawała chyba większość środowisk opozycyjnych, w tym nawet część grup wyznających odmienne poglądy. Andrzej Urbański z pisma „Wola”, krytyczny wobec władz regionu, wspomina, że jego redakcja w pełni akceptowała pozycję „Tygodnika Mazowsze” jako pisma regionu, a struktury związane z „Wolą” drukowały „Tygodnik”¹²². Wywodzący się z tego samego środowiska Maciej Zalewski opisywał swój stosunek do „Tygodnika”: „Wiadomo było, że ta gazeta określa jakby wszystko, *mainstream* polityki związku.

¹²⁰ „Tygodnik Mazowsze”, 12 IV 1989, nr 290.

¹²¹ W. Bereś, K. Burnetko, *Tylko nie o polityce...*, s. 99.

¹²² Relacja Andrzeja Urbańskiego, 2011, złożona Janowi Olszowski.

Mieli zresztą najlepsze serwisy, to trzeba im oddać; serwis z całego kraju i »ogłoszenia drobne« na szpalcie. To była centralna gazeta”¹²³. Podobną ocenę sformułował Piotr Piętak, związany z bardzo krytycznymi wobec „Tygodnika Mazowsze” „Wiadomościami”¹²⁴.

Doceniano pismo za regularność ukazywania się i wysoki poziom redakcyjny. Był on jednym z najczęściej przywoływanych źródeł na łamach innych pism podziemnych¹²⁵. Za granicą „Tygodnik” uznawano za najbardziej miarodajne źródło informacji na temat opozycji. Wpłynęły na to dobre kontakty redakcji z działaczami krajowymi i emigracyjnymi, ale też profesjonalizm i rzetelność redaktorów z pewnością miały swoje znaczenie. W październiku 1988 r. „Tygodnik” otrzymał nagrodę francuskiej Fundacji na rzecz Wolności

Prasy; we francuskim senacie odebrał ją paryski współpracownik redakcji Seweryn Blumsztajn.

Nie sposób przecenić symbolicznego i integracyjnego znaczenia nie tylko „Tygodnika Mazowsze”, ale całej prasy podziemnej. Sieć kolportażu tworzyła fundament społeczeństwa podziemnego. Pismo o tak dużym zasięgu wpływało na integrowanie się ruchu opozycyjnego¹²⁶. „Największe znaczenie ma fakt, że »Tygodnik Mazowsze« jest – mówiła w 1987 r. Zuzanna Toeplitz. – [...] Im dłużej »Tygodnik Mazowsze« wychodzi, tym robi się ważniejszy, bo zostaje jedną z niewielu rzeczy, których można się realnie trzymać. Ostatnio byłam świadkiem rozmowy ludzi, którzy widocznie dowiedzieli się, że powstaje książka o »Tygodniku«. Ktoś powiedział: »Piszą sobie laurkę«, a drugi na to: »a nie zasłużyli?«”¹²⁷.

¹²³ Relacja Macieja Zalewskiego, 2011, złożona Janowi Olszkowi.

¹²⁴ Relacja Piotra Piętaka, 2004, złożona Andrzejowi Friszchemu i Pawłowi Sowińskiemu.

¹²⁵ Włodzimierz Domagalski podaje wyliczenia, z których wynika, że najczęściej przywoływanym na łamach „Biuletynu Łódzkiego” pismem podziemnym był „Tygodnik Mazowsze” (W. Domagalski, „Biuletyn Łódzki”, Łódź 2006, s. 88).

¹²⁶ A. Friszke, *Regionalny Komitet Wykonawczy...*, s. 449.

¹²⁷ W. Bereś, K. Burnetko, *Tylko nie o polityce...*, s. 124.

BALLADA O PODZIEMNYCH KOLPORTERACH

PAWEŁ SOWIŃSKI

dr, absolwent historii na Uniwersytecie Warszawskim, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Publikował na temat obchodów 1 Maja, historii turystyki w PRL oraz opozycji demokratycznej. Członek redakcji wydawnictwa *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*. Właśnie ukazała się jego praca *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*.

Wrocław, rok 1983. Piotr jest kolporterem, jedzie na Kościuszki, by zapłacić Maćkowi za towar. Kierowca to starszy mężczyzna z wileńskim akcentem, na taksometrze obrazek: Matka Boska Ostrobramska, obok orzełek i napis wyryty solidarnościowym krojem czcionki. W zasadzie rozumieją się bez słów. Przy wysiadaniu Piotr daje taksówkarzowi najnowszy numer „Z Dnia na Dzień”. „Do zobaczenia w wolnej w Polsce” – rzuca na pożegnanie i znika¹. Niepozorna gazetka podana z ręki do ręki na śródmiejskiej ulicy, zapewne nikt z przechodniów tego nie zauważył. Drobnny epizod w życiu dużego miasta.

Publikacje podziemnej Solidarności nie angażowały większości społeczeństwa. Ono zazwyczaj zajęte jest bardziej przyziemnymi sprawami. Ale Piotr i jemu podobni śmiałkowicie nie brali się ze społecznej próżni. Reprezentowali tych, którzy tęsknili do porządku sprzed 13 grudnia 1981 r.

Pokonywanie przestrzeni

Cała sztuka polegała na tym, by być jednym z wielu. W przeciwieństwie do drukarzy kolporterzy nie schodzili do kryjówek, pracowali wśród ludzi. Dzięki aktom Służby Bezpieczeństwa możemy czasem zajrzeć do ich kalendarzy z tamtego czasu, pełnych nazwisk, czasem pseudonimów, i określić krąg ich znajomych, potencjalnych odbiorców². Musieli szybko obracać towarem, a to wymagało ciągłych spotkań, dużego towarzystwa, biegania. „Trzeba umieć wyczuć sytuację” – radził jeden z nich. – Działać

¹ P. Kminkiewicz, *Dzień spekulanta*, „Replika” 1984, nr 22, s. 11.

² Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 0247/996, Sprawa kryptonim „Kurier” przeciwko Piotrowi Mitznerowi, Iwonie Libusze, Agnieszce Kaczorowskiej i Katarzynie Madoń, k. 15–20; AIPN, mf 2/10243/3, Sprawa kryptonim „ABE” przeciwko Annie Baniewicz, Maciejowi Łukasiewiczowi i Andrzejowi Karczewskiemu, k. 114–115. W przypadku osób, u których zainstalowano podsłuch telefoniczny, czasami zachowały się wykazy połączeń; zob. AIPN, 0258/462, t. 1, Sprawa kryptonim „Zegarek” przeciwko Piotrowi Szwajcerowi, Analiza informacji z podsłuchu w mieszkaniu Piotra Szwajcera z okresu 1980–1981, 20 IX 1984, k. 164–169; AIPN, 0222/599, t. 2, Sprawa kryptonim „Kaseta” przeciwko Janinie Jankowskiej, Marynie Miklaszewskiej, Witoldowi Sielewiczowi i in., k. 87–101.

ostrożnie, ale z zimną krwią. Nie płoszyć klientów nonszalancją, ale również zanadto się nie bać. Nie uciekać za wcześniej, nie panikować³. By ukryć towar, używali różnych forteli. Na nietypowy sposób wpadł drobny kolporter z Bydgoszczy: przywiązywał bibułę sznurkiem do ramienia, następnie nakładał płaszcz i jego towar w chłodne, deszczowe dni stawał się niewidoczny⁴.

„Po mieście porusza się jedynie taksówkami lub samochodami swych znajomych. Rzadko używa dzień po dniu tych samych samochodów. Aktualnie znamy 6 samochodów, których używa [Piotr] Szwajcer do przewożenia literatury” – notowali funkcjonariusze SB⁵. W czerwcu 1982 r. uciekający przed policją Paweł Bąkowski wyskoczył z ruszającego pociągu na stacji Warszawa Stadion – wraz z torbą poezji Tomasza Jastruna *Na skrzyżowaniu Azji i Europy*. Nie miał czasu do stracenia. Pobiegł nad pobliską Wisłę, przedzierał się przez zarośla. Zostawił torbę w krzakach. Wrócił po książki następnego dnia⁶. Gdy człowieka obserwuje policja, warto w życiu cały czas coś zmieniać. Zdarzało się, że doświadczeni kolporterzy zmieniali miejsce zamieszkania, reorganizowali siatkę kolportażu. Na jakiś czas przerywali działalność, potem ją wznowiali. W ten sposób stawali się trudniejsi do rozszyfrowania.

Czasami prosili o podanie hasła, nazwiska wspólnego znajomego lub zastukanie do drzwi wcześniej umówionym szyfrem. Dziennikarz Michael Kaufman, w latach osiemdziesiątych warszawski korespondent „New York Timesa”, zachował w pamięci postać sprytnego kolportera, byłego

hutnika, którego nazwiska nie mógł się nauczyć. Nazywał go Maciejem. Maciej dzwonił do jego biura i pijanym głosem sławił prezydenta Reagana oraz prosił Kaufmana, by przekazał do Białego Domu pozdrowienia od całego polskiego narodu. Dla Kaufmana był to znak, że mają się spotkać za dwa dni w umówionym punkcie na warszawskim osiedlu mieszkaniowym. Maciej przyjeżdżał z reklamówką nielegalnych publikacji. Przedstawiał się jako zawodowy kolporter (to słówko skojarzyło się Kaufmanowi z Cole Porterem, twórcą broadwayowskich musicali, i szybko je zapamiętał). „Dochody, które uzyskuję ze sprzedaży bibuły, są mniej więcej takie same, jak gdybym pracował w hucie” – tłumaczył kolporter. Jedną z pierwszych pozycji, którą Kaufman kupił, był *Mały konspirator*⁷.

Duże skupiska ludzi, zagęszczenie bloków, „mrówkowce”, biurowce ze swoimi zakamarkami, sklepy, taksówki, dworce, kościoły, kawiarnie, przystanki, autobusy sprzyjały kolportażowi w miastach. W miejskiej dżungli udawało się szybko przemieszczać i pozostać niezauważonym. Mniejsze szanse były w małych ośrodkach. Dużo jednak – jak zawsze – zależało od samych ludzi. Kanał przerzutu publikacji mogła stworzyć nawet jedna osoba, tak jak pan Wacek, kierowca żuka, zaopatrzeniowiec, który trzy razy w tygodniu objeżdżał służbowo miejscowości pod Wrocławiem. W mieście brał od znajomego kolportera znaczki, kalendarze, trochę gazetek i kilka książek. Sprzedawał w mniejszych osadach, czasem zresztą za większe pieniądze – jako że w terenie publikacje opozycji były rzadkością i rozchodziły się w mig⁸.

³ Jak leci? Rozmowa z szeregowym kolporterem, „Baza” 1985, nr 6, s. 24.

⁴ Lewy papier, farba własnej roboty. Z Kamilą Churską, Krzysztofem Osińskim i Markiem Szymaniakiem rozmawia Sandra Fedorowicz, „Gazeta Wyborcza” [strony lokalne, Bydgoszcz], 13 III 2009, s. 8.

⁵ AIPN, 0258/462, t. 1, Sprawa kryptonim „Zegarek” przeciwko Piotrowi Szwajcerowi, Notatka ppor. Waldemara Michalika, kierownika Sekcji II Wydziału III KS MO, 18 VII 1980, k. 96.

⁶ P. Bąkowski, *Najdłuższy dzień drukarni NOWEJ*, „Nowy Dziennik” [Nowy Jork], 9 IX 2007, s. 5. Zob. też J. Błazejowska, *Gdzie jest „Bączek”?*, „Gazeta Polska” 2008, nr 45, s. 28.

⁷ M.T. Kaufman, *Mad Dreams, Saving Graces. Poland: A Nation in Conspiracy*, New York 1989, s. 44–45; *idem*, *Knock at the Door May Be a Solidarity Salesman*, „New York Times”, 7 II 1985. *Mały konspirator* to podziemny bestseller, napisany przez Czesława Bieleckiego, Jana Krzysztofa Kelusa i Urszulę Sikorską (bez nazwisk na okładce), wydany przez CDN w 1983 r.

⁸ P. Kminkiewicz, *Dzień spekulanta...*, s. 8.

Mniejsze rynki zbytu bywały bardziej chłonne niż np. nasycona bibułą Warszawa. Kolportaż promieniował więc z większych ośrodków do mniejszych. Bogdan Fydryszewski z Bazy Sprzętu i Transportu Elbląskiego Kombinatoru Budowlanego kierował na co dzień dźwigiem samobieżnym, czyli żurawiem zamontowanym na podwoziu ciężarówki. W stanie wojennym dostawał hurtowe ilości bibuły od kolegów z elbląskiej Solidarności, z bazy budowlanych rozwoził ją swoim żurawiem po całym województwie (Braniewo, Pastęk, Kwidzyn, Malbork, Nowy Dwór Gdański, Susz, Prabuty)⁹. Dobry system kolportażu funkcjonował na Dolnym Śląsku, nieźle zurbanizowanym, pokrytym siecią dróg i miasteczek. Napotykamy tam pisemka lokalne – w zagłębiu miedziowym (Lubin), w Brzegu, Kluczborku. Również gazetka „Echa Terenu” – pismo podwrocławskich miasteczek – należało do tego typu publikacji, dzięki którym bibuła rozprzestrzeniała się coraz dalej¹⁰.

Grażyna Schlender zrekonstruowała system kolportażu w Wielkopolsce Południowej. Jej wnikliwe badania ujawniają, że w latach osiemdziesiątych mimo dużego nacisku władz toczyło się tam życie podziemne. W stanie wojennym do Kalisza docierały książki z Lublina, Poznania, Warszawy, Wrocławia, Krakowa – przywożone w walizkach koleją lub taksówkami. Zajmowała się tym np. miejscowa młodzież, często podróżująca na uczelnie w Poznaniu i we Wrocławiu. Pomagali również kolejarze. Do Ostrowa (nieopodal Koła) literaturę przywozili maszyniści i konduktorzy z kilku miast Polski. To miasteczko zawdzięczało napływ literatury podziemnej swojemu położeniu na szlaku kolejowym. Tak jak w dużych ośrodkach kolpor-

taż Wielkopolski Południowej różnicował się na mniejsze i większe punkty. Charakterystyczne „skrzynki” kolportażowe znajdowały się w Kaliszu w zakładzie zegarmistrzowskim oraz w kruchtach kościoła franciszkanów¹¹.

Wydawnictwa opozycji w Kłodawie we wschodniej Wielkopolsce krążyły w gronie około 160 odbiorców – ustaliła Ewa Kapyszevska¹². Podejmowano nawet próby rozprowadzania ich w miejscach pracy. Czesław Gajewski przynosił je w kance na mleko na teren kopalni soli (wcześniej chował na swojej posesji, w inspektach, pod obornikiem). Do Kłodawy bibuła docierała z Warszawy co dwa tygodnie za sprawą pewnego studenta. Małe miasteczka w wyniku umasowienia kształcenia wysyłały na studia młodzież znacznie częściej niż dawniej. Do pobliskiego Turku bibuła przybywała również dzięki studentom; punktem przerzutowym był karmnik dla ptaków w ogrodzie Jerzego Żurawieckiego, a także Biblioteka Miejska. To przykład, nie jedyny, jak sprytnie wykorzystać oficjalne sieci czytelnicze. Dyrektor Anna Musiańska dystrybuowała publikacje opozycji – zmieszane z państwowymi – wśród zaufanych bywalców swojej książki¹³.

Kolportaż nie był więc jedynie folklorem wielkomiejskiej inteligencji. W stanie wojennym do Zakopanego zaczęły przychodzić wydawnictwa z Krakowa, Wrocławia, Warszawy, Lublina, Rzeszowa, a nawet z Gdańska. Przywoził je pociągiem Zdzisław Cichocki i zostawiał w willi Bałamutka u Marii Gąsienicowej, niedaleko stacji. Parę razy nocnym pociągiem (kuszetką) wybierał się w taką podróż Andrzej Górski, drukarz NOW-ej, m.in. z esejami Adama Michnika *Niezlomny z Londynu*.

⁹ Andrzej Kapuściński, biogram Bogdana Fydryszewskiego, www.encyklopedia-solidarnosci.pl. Więcej na temat kolportażu w tym regionie zob. K. Nawrocki, *NSZZ „Solidarność” Region Elbląski* [w:] *NSZZ „Solidarność 1980–1989*, t. 3, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 629–670.

¹⁰ Z zakładów. *Gazetki zakładowe*, „Z Dnia na Dzień” 1988, nr 469, s. 4. Więcej o prasie dolnośląskiej zob. Ł. Kamiński, *NSZZ „Solidarność” Region Dolny Śląsk* [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980–1989*, t. 6..., s. 317–465.

¹¹ G. Schlender, *NSZZ „Solidarność” w województwie kaliskim w latach 1980–1990*, Kalisz 2006, s. 203–219; *eadem*, „Solidarność” Wielkopolski Południowej 1980–2000. *Zarys dziejów*, Kalisz 2001, s. 156–170.

¹² E. Kapyszevska, „Solidarność” w Kłodawie 1980–1989, Konin 2010, s. 155–163.

¹³ I. Fret, *NSZZ „Solidarność” w Turku w latach 1980–1990 (na przykładzie wybranych zakładów pracy)*, Turek 2000, s. 133–135.

Kanał zorganizowała Alicja Szot, doświadczona działaczka z podwarszawskiego Ursusa. W stanie wojennym pracowała w jednej z instytucji kolejowych, miała darmowe bilety, wypuszczała się więc co miesiąc na koszt państwa do Krakowa i Zakopanego z bibułą. Gdy podróżowała z Górkim, dla bezpieczeństwa udawali parę turystów. Wychodzili z dworca, dzwonili z budki telefonicznej, po czym przyjeżdżali górale i odbierali bagaż¹⁴.

Szczepan Rudka w monografii wrocławskiej prasy bezdebitowej uchwycił wiele cech kolportażu, które przedstawiam tutaj na innych przykładach¹⁵. Największymi centrami kolportażu w miastach pozostawały ośrodki akademickie – i wówczas, i dawniej źródła fermentu i nonkonformizmu. Studenci tworzą duże środowisko. To grupa ruchliwa, trudna do upilnowania, z racji wieku gotowa na wysiłek fizyczny, niebezpieczne akcje. Piotr i Zygmunt Koziczcy przyjechali na studia z bieszczadzkiego miasteczka, szybko nasiąknęli opozycyjną atmosferą Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W latach osiemdziesiątych kolportowali publikacje „Spotkań” w Lublinie, wymieniali się bibułą z Krakowem, Warszawą, Gdańskiem, gdzie mieli znajomych z uczelni. Podróżowali pociągami, przewozili znaczne ilości książek, nosili je na własnych plecach¹⁶.

Pokonywanie przestrzeni stawało się łatwiejsze dzięki istnieniu prywatnej wymiany handlowej. System targowisk i obwoźnych sprzedawców, nieraz o bardzo starym rodowodzie, nigdy nie został w pełni zniszczony przez komunizm, a z czasem okazał się wręcz niezbędnym uzupełnieniem rynku państwowego. Witold Rak, sadownik spod

Grójca, członek Solidarności Wiejskiej i kolporter warszawskich wydawnictw wśród rolników, wspomina, że w jego środowisku stale czytano bibułę. Takich ludzi nazywano wówczas badylarzami. Mieli nieźle prosperujące gospodarstwa, stanowili bogatszą część ówczesnego chłopstwa. Z Warszawą łączyły ich interesy. Kolega Raka, Piotr Stelmasiński, też sadownik, jeździł regularnie sprzedawać owoce do miasta, na wieś natomiast przywoził owoce zakazane. Miał dobre kontakty, dostawał zawsze świeży towar. „Wymienialiśmy się, czytaliśmy, dyskutowaliśmy” – wspomina stan wojenny Rak. Dzięki zaprzyjaźnionym proboszczom książki szły dalej – kanałami kościelnymi – do wielu wsi województwa radomskiego. Mimo rewizji w gospodarstwie i wyciągania przez policję wydawnictw ukrytych w czajniku Rak nie poddał się, rozszerzał kontakty kolportażowe¹⁷.

Nawet w dużych miastach dystrybucja odbywała się w oddaleniu od miejsca druku. Pomiędzy drukarnią a rozproszonym odbiorcą tworzyły się liczne połączenia kolportażowe. Policja próbowała je przecinać metodami śledczymi, ale rozpracowanie ciągle zmieniających się tras było czasochłonne, a czasem ograniczało się jedynie do hipotez operacyjnych. Główne tory kolportażu nakładały się na sieć dróg publicznych, którymi podróżowali zmotoryzowani – a więc więksi – kolporterzy. Właśnie na drogach toczyła się ważna gra o utrzymanie kanałów zaopatrzenia. Sieć milicyjnych kontroli z pewnością ogrywała pewną rolę w walce z siecią kolporterów. Zdarzały się dotkliwe wpadki. Przepadły nakłady¹⁸. Na miejsce szybko przyjeżdżała Służba Bezpieczeństwa i zazwyczaj próbo-

¹⁴ AIPN, 00/334/848, t. 2, Doniesienia Janusza Górskiego, tajnego współpracownika „Kaktusa”, 10 VII 1984, 5 i 6 II 1985, k. 104–105 i t. 3, k. 10–11; relacja Andrzeja Górskiego, 14 VII 2011, w zbiorach autora; wywiad Marii Bal z Alicją Szot, 14 XII 2007, www.fundacjakos.pl.

¹⁵ S. Rudka, *Poza cenzurą. Wroclawska prasa bezdebitowa 1973–1989*, Warszawa – Wrocław 2001.

¹⁶ *Lublin – drogi do wolności. Spotkania*, „Scriptores” 2011, nr 39, s. 79–92.

¹⁷ *Jawnie i w podziemiu. Wspomnienia ludzi „Solidarności” regionu radomskiego (1980–1989)*, wstęp i oprac. K. Słowiński, Lublin 2010.

¹⁸ AIPN, 576/241, Zatrzymanie do kontroli drogowej samochodu kierowanego przez Bogusława Porowskiego z wydawnictwa Przedświt, 1985; AIPN, 2041/114, Zatrzymanie przez pieszy patrol Krzysztofa Tołkoczki podczas przenoszenia bibuły z samochodu do budynku, 1983.

wała rozszerzyć akcję o rewizję w domu, w garażu, na działce. Wykształcono jednak umiejętność radzenia sobie z milicją: objeżdżano niebezpieczne miejsca, dobierano odpowiednie pory dnia, maskowano bibułę, wykorzystywano samochody służbowe, także milicyjne i wojskowe¹⁹.

Relacjonuje Maria Ostrowska: Gdy zapadły ciemności, pakuję trzy nesesery – kilkadziesiąt egzemplarzy szkiców Tadeusza Nyczka o poetach pokolenia '68 (Przedświt, 1985). Jedziemy na Sielecką w Warszawie. Na Sobieskiego zatrzymuje nas patrol. Podchodzi żołnierz, „borowik” albo zomowiec, nie pamiętam, w mundurze moro. Omiata wzrokiem wnętrze taksówki, pochyla się do mnie, całuje w rękę, salutuje, oddaje dowód i odchodzi. Ja w szoku, taksówkarz również²⁰. Edward Jasiński z wydawnictwa CDN: część bagażnika mieliśmy wypełnioną papierem zabranym z intrologatorni. A tu nagle na drodze zasieki, patrol, oficer i dwóch zomowców z bronią maszynową. Oficer przeszukuje samochód, chwilę patrzy na ryzy papieru, potem na nas, my jak sparaliżowani. Rozgląda się dookoła. Salutuje nam i mówi: „jechać”²¹. W masowej akcji przeciw podziemi, która obejmowała głównie rzesze milicjantów z drogówki, zomowców, ormowców, żołnierzy, nie wszyscy z nich okazali się lojalni i gorliwi. Kolportaż osiągnął swoje rozmiary także dzięki tym ludziom władzy, którzy przepuszczali samochody z podejrzanymi pakunkami.

Mniejsi kolporterzy, zwerbowani przez większych, roznosili bibułę wśród swoich znajomych. Mieli swoje trasy, „skrzynki”, wyznaczone pory oraz znaki rozpoznawcze. Przemierzali szare, sł-

bo oświetlone ulice ówczesnych miast – z plecakiem na stelażu, walizką, torbą, workiem. Wkładali prasę nawet do dziecięcych wózków, studzienek kanalizacyjnych, dziupli w drzewach, wózkowni w blokach, pod ławki w kościołach²². Pod ciężarem bibuły przecierał się materiał, rwały się uchwyty. Jeździli autobusami, pociągami, w ścisku, na stojąco. Czasami wędrowali po mieście z własnymi dziećmi, co było podyktowane życiową koniecznością, a dodatkowo dawało dobry kamuflaż. Wybiegi i uniki, schowane do torby książki, a tuż obok milicjanci patrolujący ulice²³.

„Lubiłem chodzić, gdy była burza, padał deszcz, bo oni [zomowcy] byli pochowani”²⁴ – ujawniał kolporter z Wrocławia. „Gdy już jestem zupełnie wykończona, [...] biorę taksówkę” – opowiadała z kolei warszawska kolporterka²⁵. Z mozołem wnosili swoje kanciaste pakunki na piętra kamienic i bloków mieszkaniowych. Musieli cały czas uważać na milicyjne patrole, a jednocześnie nie zwracać na siebie uwagi. „Ponownie apelujemy o noszenie dużych toreb i plecaków” – z tym hasłem zwracał się do społeczeństwa „Tygodnik Mazowsze” w pierwszych numerach. Gdyby wszyscy wyglądali jak kolporterzy, mniej publikacji wpadłoby w ręce policji, a nasi bohaterowie czuliby się bezpieczniej.

Sklepiki kolporterów

W każdy wtorek między 20 a 22 na trzecie piętro, do małego mieszkania przy ulicy Galamb w samym centrum Budapesztu, wspinali się po schodach entuzjaści zakazanych książek, a jesienią 1982 r.

¹⁹ *Drugi obieg 1976–1989* [materiał edukacyjny dla szkół ponadpodstawowych], Warszawa 2008, s. 20.

²⁰ Relacja Marii Ostrowskiej, www.przedswit.org.

²¹ M. Fałkowski, *Biznes patriotyczny. Historia wydawnictwa CDN*, Gdańsk – Warszawa 2011, s. 116.

²² W. Polak, *Czas ludzi niepokornych. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” i inne ugrupowania niezależne w Toruniu i Regionie Toruńskim (13 XII 1981 – 4 VI 1989)*, Toruń 2003, s. 136–137, 142; D. Krysiak, *Rezonans 1982–1989. Pismo Regionu Warmińsko-Mazurskiego Solidarność Olsztyn*, Olsztyn 2011, s. 12.

²³ D. Zańko, *Opowieści z powielacza*, Kraków 2008.

²⁴ Rozmowa z kolporterem, „Z Dnia na Dzień” 1986, nr 399, s. 3.

²⁵ Waga słów. Rozmowa z kolporterką, „PWA” 1989, nr 188.

wraz z nimi pojawił się tam reporter. W środku stół zastawiony literaturą na temat Solidarności przetłumaczoną na węgierski oraz zachodnie publikacje o Istvánie Bibó, bohaterze rewolucji 1956 r. Wszystko to na sprzedaż, dla tych, którzy zdołają wejść do zatłoczonego mieszkania. Nie potrzeba specjalnych zaproszeń, pukania w umówiony sposób, hasel lub mrugania okiem do gospodarza²⁶. To samizdatowy butik László Rajka – wydawcy, ilustratora węgierskiego drugiego obiegu, syna znanego komunisty skazanego na śmierć w czasach stalinowskich. Stał się on w tych latach najbardziej symbolicznym przykładem niezależnej kultury nad Dunajem. Węgrzy próbowali iść polską drogą. Zdołali podnieść nakłady swoich książek do ponad tysiąca egzemplarzy. Docierali do około 10 tys. czytelników (przy 10 mln mieszkańców)²⁷.

Wróćmy jednak do Polski. Gdy prowadzi się handel, nawet nielegalny, stałość zachowań bardzo pomaga. Kupujący powinni znać miejsce i porę transakcji. W czasie towarzyskiego spotkania w mieszkaniu Anny i Tadeusza Walendowskich w Warszawie zapowiedziano, że literaturę będzie można kupić 13 lutego 1978 r. przy ulicy Stolecznej 14 mieszkania 190 – odnotowała Służba Bezpieczeństwa²⁸. Mieczysław Grudziński, który w latach siedemdziesiątych otworzył w swoim mieszkaniu „kiosk” z wydawnictwami NOW-iej, przyjmował w nieparzyste wtorki od osiemnastej do dwudziestej. Przed drzwiami trzeba było powiedzieć: „nieparzyste” – znak, że się dobrze

rozumiemy. „Na dwóch stołach leżały rozłożone wydawnictwa tzw. Niezależnej Oficyny Wydawniczej oraz prasa KSS KOR. Poszczególne tytuły opakowane były w paczkach, na wierzchu których leżały po 2–3 egzemplarze” – donosił SB agent „Tarnowski”²⁹.

Czasy nie były spokojne. O angielskiej zasadzie *my home is my castle* można było najwyżej pomarzyć. Po rewizjach SB w domach większych kolporterów NOW-iej zaczęli się oni bardziej konspirować, nie trzymali już na widoku paczek książek, a jedynie egzemplarze okazowe (reszta leżała np. w piwnicy u sąsiada). W Krakowie kolporterka wychodziła ze swojego mieszkania w bloku do „magazynu” ukrytego gdzieś w okolicy – objaśnia Tomasz Fiałkowski³⁰. Wielu z nich starało się nadal utrzymać pewien rytm, nawet jeżeli to akurat ułatwiało pracę SB. „Był ustalony tak zwany dzień handlowy” – wspomina Ewa Milewicz ze „sklepiku” NOW-iej na warszawskim Żoliborzu. Miała około dwudziestu odbiorców, zawsze brali na kredyt, pieniądze przynosili później. Książki były rozrzucone po mieszkaniu – na regałach obok książek oficjalnych, w kieszeniach i rękawach ubrań, pod wanną w łazience. „Nigdy się nie zdarzyło, żeby mi w czasie rewizji wszystko zabrali”³¹.

Dystrybucja to ciągły wyścig ze Służbą Bezpieczeństwa, wygrany lub przegrany. Maciej Rayzacher, do 1981 r. stały kolporter wydawnictw niezależnych, przeżył kilka rewizji w swoim „sklepiku”. Raz uratowała go dziesięcioletnia córka – podczas rewizji usiadła na tapczanie, w którym

²⁶ A. Barbieri jr, *Hungary's Dissident Movement Is Still Active and Unrepressed*, „Baltimore Sun”, 26 X 1982. Oczywiście węgierska policja, czego może nie było widać podczas wizyty obcokrajowców, na swój sposób w tej działalności przeszkadzała; wkrótce butik trzeba było przenieść na przedmieścia, a potem zamknąć. Zob. też *Les éditions clandestines se reparent en Hongroise au prix de vrais tours de force*, „La Libre Belgique”, 15 VI 1984.

²⁷ HU OSA (zbiory Open Society Archives w Budapeszcie), 300-50-1, Records of RFE/RL Research Institute (fonds 300), Polish Unit (subfonds 50), Old Code Subject Files (series 1), container no. 182, E. Odden, *Gábor Demszky – Interview with Non-Existent Publisher*, 4 VIII 1984.

²⁸ AIPN, 01322/3362/CD/2, Sprawa kryptonim „Faust” przeciwko Janowi Walcowi, k. 322.

²⁹ AIPN, 0256/128, t. 2, cz. 2, Informacja tajnego współpracownika „Tarnowskiego” na temat punktu kolportażu w mieszkaniu Mieczysława Grudzińskiego, 7 XI 1978, k. 17.

³⁰ A. Grupańska, J. Wawrzyniak, *Buntownicy. Polskie lata 70. i 80.*, Warszawa 2011, s. 186.

³¹ W. Grochola, *Słowo jak dynamit*, „Karta” 2006, nr 49, s. 106–107.

znajdowała się część nakładu *Katynia*. Innym razem użyczona przez sąsiada piwnica, o której SB nie wiedziała. A także jego żona – gdy o siódmej rano ekipa SB stanęła pod drzwiami Rayzacherów, „krzyknęła, że jest nieubrana i rzuciła się ukryć kasę za sprzedane wydawnictwa”³². Według zeszytu rachunkowego NOW-ej 10 lutego 1981 r. w „sklepie” Rayzacherów oferowano 750 egzemplarzy różnych pozycji³³. Handel w tej skali to już spora odpowiedzialność materialna. Choć wpadki były nieuniknione, zrozumiałe i częściowo wliczone w cenę książki, nie przynosiły chluby. Pieniądże wymuszały więc poważniejsze podejście do kolportażu. Sumienni dystrybutorzy mocno przeżywali wszelkie straty, zabezpieczali się przed SB, czasem wkładali dużo wysiłku, by nie być na bakier z finansami.

Policyjne naloty na kwatery kolporterów należały do najbardziej nerwowych momentów tej pracy. Przykładowo – w dniach 5–8 marca 1984 r. SB przeszukała 117 mieszkań w Warszawie, od stycznia do maja 1985 r. natomiast 107 lokali w całym kraju i skonfiskowała około 25 tys. egzemplarzy³⁴. Chwile rewizji utrwaliły się w dokumentacji archiwalnej MSW. Oficerowie przeszukiwali regały, szafy, walizki, pudła, piwnice, balkony, sporządzali wykazy zarekwirowanych pozycji, opisywali reakcje gospodarzy. „[Tadeusz Wypych] nie wydał dobrowolnie żadnych przedmiotów i powiedział: »Proszę szukać«”³⁵. Niekiedy ekipa policyjna wyciągała drzwi łomem i siłą wyciągała z domu opierających się kolporterów. Czasami udawało się im uciec: „[Marcin] Jabłoński zbiegł podczas przeszuki-

kania przez okno i ukrył się w miejscu zamieszkania księdza Popiełuszki”³⁶.

Służba Bezpieczeństwa szukała nie tylko wydawnictw, ale i pieniędzy, sprzętu poligraficznego, wszelkich notatek i adresów, które mogłyby naprowadzić ją na ślad siatki kolportażowej. Cierpliwie czekała na wizyty ewentualnych gości. Urządzała rajdy po mieście, kierując się adresami zdobytymi wcześniej albo w trakcie przeszukiwania.

Funkcje grupotwórcze

Kolportaż miał swoich cichych bohaterów. Szeregowych działaczy podziemia, bardzo często kobiety. „Nasz dom odwiedza co tydzień kolporterka, kobieta jeszcze młoda i nawet ładna, samotna matka, wychowująca kilkuletnie dziecko. Wszystkie swoje siły i życie osobiste poświęciła podziemnej »Solidarności«. Po pracy pędzi do przedszkola, aby jak najszybciej odebrać dziecko i oddać je pod opiekę sąsiadki. Potem rusza na miasto, dźwigając ciężką torbę, gdzie pod codziennymi zakupami zwykłej gospodyni schowane są gazetki i książki” – opisywała nielekki los kolportera „Kultura”³⁷. Praca ludzkich rąk – trudna i wyczerpująca. Komu dzisiaj – w czasach motoryzacji i licznych udogodnień – by się tak chciało?

Ktoś inny relacjonował swoje spotkanie z Anią, niską, puciołowatą blondynką z zaczerwienionymi policzkami. Przyszła ubrana w zniszczoną sukienkę. Wychowała się na wsi. Skończyła studia komputerowe w Krakowie, ale pracowała jako roznosicielka bibuły. W obu rękach taszczyła ciężkie

³² Biogram Macieja Rayzachera [w:] *Ludzie NOWEJ*, Warszawa 2007, s. 111.

³³ Teczka z papierami Miroslawa Chojeckiego, zeszyt rachunkowy NOW-ej, w zbiorach Andrzeja Friszkego.

³⁴ AIPN, 1585/2621, Pismo zastępcy szefa SUSW ds. SB płk. Krzysztofa Szczygły do dyrektora Gabinetu MSW płk. Józefa Chomętowskiego w sprawie akcji przeciw podziemnej Solidarności, k. 54–57; AIPN, 0365/77, t. 5, Wykaz zlikwidowanych przez Departament III MSW punktów druku i kolportażu nielegalnych wydawnictw, k. 6–11.

³⁵ AIPN, mf. RSOW-159/88, Akta śledztwa przeciwko Agnieszce Maciejowskiej, Protokół przesłuchania funkcjonariusza MSW Bronisława Mikołajewicza, 15 VI 1988, k. 13–14.

³⁶ AIPN, 1585/2621, Pismo zastępcy szefa SUSW ds. SB płk. Krzysztofa Szczygły do dyrektora Gabinetu MSW płk. Józefa Chomętowskiego w sprawie akcji przeciw podziemnej Solidarności, k. 54–57.

³⁷ J. Lisiak, *Notatki z codzienności*, „Kultura” [Paryż] 1986, nr 10, s. 101.

torby na zakupy wypchane nielegalną literaturą. Wygląda jak kobieta sprzedająca mięso, ale tak naprawdę jest profesjonalnym działaczem podziemia – dodawał autor ukrywający się pod pseudonimem Roman Boreyko³⁸. Niedole bezimiennych kolporterów nadawały tej czynności codzienny charakter. Tak zaczynało się krążenie bibuły, które było emanacją społeczeństwa alternatywnego, a nie aktywnością jego elit – brodatych konspiratorów dyskutujących o historii w zadymionych mieszkaniach³⁹.

W kolportażu można było zweryfikować ludzi, wydobyć z nich pożądane cechy charakteru: ofiarność, solidarność, sprawdzić umiejętności praktyczne, przekonać się o ich ewentualnej nieprzydatności czy nawet złych zamiarach. Ludzie przechodzili tam swojego rodzaju test wydolności. Jak każde zadanie stawiane przed człowiekiem, i to prowadziło do selekcji. Kolporterzy byli niczym agitatorzy, odsłaniaли się przed innymi, czasem słabo znanymi osobami, ujawniali swoją przynależność do opozycji, zjednywali sobie sympatię wielu osób, ale ściągali także kłopoty. Entuzjazm pierwszych miesięcy trzeba było później przemienić w rutynę. Wytrzymać presję kontaktów z odbiorcami, znosić ich narzekania, walczyć z własnym strachem. Uzasadnić samemu sobie, że ta praca ma przyszłość, jest potrzebna. Szczególnie gdy pojawiały się pierwsze trudności, przesłuchania przez SB, która widziała w kolportażu „największe szanse na nawiązanie kontaktu operacyjnego z przeciwnikiem”⁴⁰.

U kolporterów zbiegały się szlaki podziemia. Dzięki nim można było nawiązać lub odzyskać utracony po wpadce kontakt. Orientowali się naj-

lepiej w nastrojach, nowościach, w podziemnych układach. Wiedzieli, co się sprzedaje, gdzie i za ile. Przenosili nie tylko wydawnictwa, ale również plotki, listy, pieniądze, rozmaite prezenty od czytelników. Prawdopodobnie dzięki nim opozycji udało się przeprowadzić kilka unikalnych sondaży opinii publicznej⁴¹. „Zaledwie 7% badanych przez nas kolporterów twierdzi, że pracowało tylko dla jednej oficyny lub pisma”⁴² – ustalił Adam Mielczarek, organizator największego badania ankietowego wśród dawnych kolporterów (2005). Oni – jak nikt inny – łączyli drugi obieg w całość. „Znała setki ludzi i setki ludzi znały ją” – napisali we wspomnieniu po zmarłej kolporterce jej współpracownicy z podziemia⁴³. Dobry kolporter to prawdziwy skarb dla czytelników, wydawców, a także dla redaktorów pism podziemnych, którzy zyskiwali za jego pośrednictwem wiele informacji. Ci, którzy chcieli uczestniczyć w życiu opozycji, nie mogli się obejść bez znajomości z takimi ludźmi.

W tamtych czasach te wędrowne zajęcia mogły bardzo do siebie zbliżyć. Przypomnijmy: nie były łatwe ani bezpieczne. W niektórych wypadkach prowadziły do rozruszania nielegalnej Solidarności w zakładzie. „Pamiętam, jak kiedyś wrzuciliśmy raz i drugi trochę książek i pism do dużego zakładu, gdzie nie działo się nic, nawet składek nie zbierano. Po tej dostawie w zakładzie funkcjonuje sprawna struktura” – cieszył się jeden z warszawskich kolporterów⁴⁴. W ten sposób kolportaż przeciwdziałał społecznej atomizacji, przywracał komunikację między ludźmi, otwierał zamknięte kręgi rodzinne i towarzyskie na szersze otoczenie społeczne. W działalności niezależnej ludzie mogli się poczuć podmiotem – zauważa socjolog

³⁸ R.M. Boreyko [ps.], *Letter from Warsaw*, „The Washington Book Review”, czerwiec-lipiec 1986.

³⁹ Atmosferę takich spotkań w krzywym zwierciadle pokazała Agnieszka Osiecka w *Białej bluzce*, Kraków 1998, s. 93–100.

⁴⁰ AIPN, 0296/242, t. 6, Analiza Departamentu III MSW na temat nielegalnego czasopiśmiennictwa, 30 VI 1987, k. 1–73.

⁴¹ M. Tabin, *Podziemne badania ankietowe w Polsce*, „Kultura i Społeczeństwo” 1990, nr 1, s. 203–211.

⁴² A. Mielczarek, *Śpiący rycerze. Szeregowi działacze warszawskiego podziemia wydawniczego lat osiemdziesiątych*, Warszawa 2006, s. 57.

⁴³ Maria Romanowska (1941–2007), *pożegnanie*, „Gazeta Wyborcza” [Trójmiasto], 30 VI 2007.

⁴⁴ *Wolne słowo. Dyskusja*, „Wezwanie” 1984, nr 7, s. 99.

warszawskich kolporterów⁴⁵. Jednak właśnie ze względów bezpieczeństwa możliwości dystrybucji były wciąż ograniczone. Znaczna część czytelników wolała pozostać anonimowa. Bała się zaangażować głębiej, mimo że w duchu solidaryzowała się z opozycją.

W okresie legalnej Solidarności kolportaż rodził duże nadzieje, ale w pierwszych miesiącach stanu wojennego wywoływał wręcz sensację. Ludziom wydawało się wtedy, że trwa bezpośrednia wymiana ciosów z władzą, a książkę traktowano tak jak pocisk na barykadzie – wspominał Andrzej Chojnowski⁴⁶. Z czasem dostosowano motywacje do zmieniających się warunków, do przewlekającej się wojny pozycyjnej: „Po rozpoczęciu wojny byłem w robocie histeryczny, rozgorączkowany, czekałem na szybką zmianę sytuacji. Teraz swoje obowiązki społeczne wpisałem w zajęcia dnia codziennego. Zwykła normalna praca, tyle że niebezpieczniejsza” – opowiadał anonimowy kolporter⁴⁷. Motywacje insurekcyjne ustępowały przed pozytywistycznymi. Zniknęła naiwna wiara w cuda. Stało się jasne, że komunizm nie upadnie od kolejnej książki wydanej w podziemiu. Grupa kolporterów ustabilizowała się. Udało się trochę opanować chaos. Ci, którzy zdołali przetrwać wstrząsy stanu wojennego, zaczęli organizować się do pracy długofalowej.

Aspekty handlowo-finansowe

Rozległy kolportaż współdecydował o odrębności polskiego drugiego obiegu. „Wszystko to może wydawać się nieszkodliwe z perspektywy człowieka Zachodu, ale jest działalnością bezpreceden-

sową w bloku sowieckim. W Związku Radzieckim bowiem sankcjonuje się nawet nieformalne spotkania filatelistów czy miłośników samochodów” – z podziwem notował amerykański dziennikarz akredytowany w Polsce⁴⁸. Długoletni kolporterzy należeli do ludzi oddanych i sprawdzonych. Wielu z nich wrosło w tę pracę tak mocno, że nie wyobrażali sobie innego życia; zaczęli łączyć z tymi enklawami wolności swoje plany na przyszłość i aspiracje.

Powoli więc opozycja znormalniała, weszła na dobre w pejzaż polityczno-społeczny tamtych czasów. „Niemał niemożliwe jest żyć w Polsce i nie zetknąć się z jakimś przejawem kultury podziemnej – nielegalnymi gazetami, książkami, wystawami, spotkaniami samokształceniowymi, kabaretem czy teatrem. Kiedyś zdarzyło mi się zobaczyć literaturę drugoobiegową leżącą wprost na stole w sali uniwersyteckiej” – pisała młoda amerykańska antropolożka, która z notesem przemierzała Polskę stanu wojennego⁴⁹. Można by pomyśleć, że Solidarność zbudowała więcej niż stan wojenny zdołał zniszczyć. A jednak po pewnym czasie solidarnościowa fala zaczęła opadać. Władze powoli pacyfikowały kolejne środowiska społeczne, protesty państw zachodnich przeciw wojskowemu przewrotowi stawały się coraz słabsze, wygasł masowy ruch protestu – diagnozował w 1986 r. Konstanty Gebert, podziemny publicysta⁵⁰. „Każdy z nas i każde środowisko zostaje coraz bardziej samo. »Solidarność« zanika” – alarmował Michał Boni, redaktor niezależnej „Woli”⁵¹.

„Na powierzchni życie wydaje się wracać do normalności” – zanotował w czerwcu 1985 r. David Ost, amerykański historyk, który przyjechał do

⁴⁵ A. Mielczarek, *Śpiący rycerze...*, s. 8. Podobne wnioski formułuje Józef Śreniowski, socjolog łódzkich kolporterów: *idem, Rybka i inni. Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny w Łodzi, „Bibuła”* 2007, nr 5, s. 14–15.

⁴⁶ P. Sowiński, *Wydawnictwo Krag 1981–1989, „Wolność i Solidarność”* 2011, nr 2, s. 188.

⁴⁷ *Jak leci?...*, s. 24.

⁴⁸ M.T. Kaufman, *Mad Dreams...*, s. 86.

⁴⁹ J. Wedel, *The Private Poland. An Anthropologist's Look at Everyday Life*, New York – London 1986, s. 131.

⁵⁰ *Stan wojenny. Ostatni atak systemu*, oprac. A. Dębska, Warszawa 2006, s. 224.

⁵¹ T. Litwin [M. Boni], *Kryzys, „Wola”*, 8 IV 1986, s. 1.

Warszawy po paru latach przerwy. Ludzie nie są już tak pobudzeni politycznie jak w 1981 czy 1982 r., za to wyglądają na bardziej odprężonych, jakby opadało z nich nerwowe napięcie. Czas żałoby po Solidarności się skończył⁵². Łatwiej można dostrzec wyjątkowość grupy kolporterskiej, gdy spojrzysz na resztę ówczesnego społeczeństwa, na ciężkie warunki życia codziennego. Kolporterzy jako nieliczni nie poddawali się apatii i bezradności. Wystawiali się na ataki policji i poświęcali swoje bezpieczeństwo dla sprawy. Nie ulegli pokusom łatwiejszego życia, troski jedynie o własne interesy, wycofania się w prywatność lub – pod presją władz – powrotu do rytuałów i organizacji oficjalnych⁵³.

Można było przecież kolportować coś zupełnie innego. Ci najbardziej przedsiębiorczy, niestroniący od ryzyka, wybierali znacznie częściej buda-peszteńskie bazy, wycieczkę do Turcji (dżinsy i kożuchy), podróż do Indii (bawełna) z ciekawym szlakiem bocznym do Katmandu, a nawet wojaże do odległego Singapuru (elektronika). „Dziesiątki tysięcy handlarzy jechało do Stambułu, tworząc na bałkańskich szosach prawdziwie karawany. W samym sercu dawnego Konstantynopola, na Hürriyet Meydan, w pobliżu meczetu Bajezida i Wielkiego Krytego Bazaru, tłoczyły się dziesiątki zaparkowanych samochodów z polską rejestracją, wokół których uwijali się hamale dźwigający okazałe toboły ze sklepików skupionych przy małych uliczkach między Aksaray i Kumkapt, a należą-

cych do Turków lub bośniackich muzułmanów” – wspominał lata osiemdziesiąte XX w. znawca tych zagadnień⁵⁴. Życie ludzi zaradnych coraz bardziej toczyło się tym torem. W warunkach spadku społecznej woli walki, wzrostu obojętności na sprawy publiczne kolportaż bibuły wymagał nie lada uporu i hartu ducha.

Przyciągał jednak czasem ludzi interesu. „My, spekulanci” – określali się, zapewne trochę żartobliwie, dwaj znajomi kolporterzy z Wrocławia. Nie ukrywali, że chcą zarobić, maksymalizować zyski, dlatego zawsze mieli w ofercie wiele znaczków poczty podziemnej, kalendarzy, plakatów. Narzekali natomiast na prasę, którą ludzie przywykli brać za darmo. „Trzeba ostro wymagać płacenia za towar, bo zbankrutujemy” – oceniali⁵⁵. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych problem ceny stawał się coraz bardziej odczuwalny. Publikacje były drogie mimo powiększających się dotacji zachodnich. Co prawda szef Oficyny Liberałów Janusz Korwin-Mikke głosił zasadę: kupiłeś taniej, sprzedawaj drożej⁵⁶, częściej jednak można było spotkać się z hasłem: nie spekuluj⁵⁷. Pieniądze wyzwały negatywne emocje i zażarte dyskusje⁵⁸. Część kupujących domagała się książki tańszej, traktowała jej zakup jako społeczną składkę na Solidarność. Ich zdaniem cena była za wysoka i nie wiadomo na co przeznaczana. Wydawcy bronili się, wskazywali coraz większe ryzyko komercyjne, duże koszty własne i radzili wszystkim malkontentom, by sami zakładali wydawnictwa.

⁵² D. Ost, *Poland Revisted*, „Poland Watch” 1985, nr 7, s. 75–76.

⁵³ J. Lasecka [K. Starczewska], *Podziemie, społeczeństwo, pieniądze*, „KOS” 1987, nr 124, s. 5.

⁵⁴ A. Dziubiński, *Na szlakach Orientu. Handel między Polską a imperium osmańskim w XVI–XVIII wieku*, Wrocław 1998, s. 5. Zob. też W. Markowski, *Kożuch pod głowę*, „Polityka” 1984, nr 51, s. 7; J. Diehl, *Polish Peddlers Make a Market*, „Washington Post”, 19 VIII 1986; A. Person, *Polscy przemytnicy na trasie: Dehli – Katmandu – Singapur – Rembertów*, „Polityka” 1987, nr 13; D. Stola, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010, s. 376–385.

⁵⁵ P. Kminkiewicz, *Dzień spekulanta...*, s. 10.

⁵⁶ J. Korwin-Mikke, *Spekulanci*, „Ład” 1987, nr 23, s. 15–16.

⁵⁷ L. Weschler, *The Passion of Poland. From Solidarity through the State of War*, New York 1984, s. 151.

⁵⁸ Polemika wydawnictwa Wers z „Krzysztofem Katarzyńskim” i „Ostem” na temat ceny opublikowanej przez tę oficynę *Utopii u władzy* Michała Hellera i Aleksandra Niekricza, „Tygodnik Mazowsze” 1987, nr 198, s. 2 i nr 201, s. 4. Zob. też K. Katarzyński [K. Siemieniński], *SOS dla czasopism*, „Tygodnik Mazowsze” 1986, nr 189, s. 4.

Undergroundowa książka nie może być tania i nigdy w historii nie była. System jej kolportażu był wciąż chwiejny, narażony na ataki policji, załamywał się i odradzał: „[Marek] Krawczyk przed aresztowaniem w marcu 1983 r. rozprowadził na punkty kolportażowe materiały Kręgu. Z zysków miał opłacić swoje długi w Głosie. W czasie jego pobytu w areszcie kolporterzy sprzedali wydawnictwa, ale nie rozliczyli się ani z Kręgiem, ani nie wpłacili zysków do Głosu. W rezultacie Krąg ściga Krawczyka za długi, a Głos dopomina się o spłatę zaległości” – donosił policji tajny współpracownik o pseudonimie „Mariola”⁵⁹. Nie wiemy, dlaczego się nie rozliczyli – skorzystali z okazji, obawiali się wpadki? Może rozliczyli się później? Trudno jednak postrzegać tę działalność w kategoriach długoterminowych zysków. Były one czymś bardzo nietrwałym, w każdej chwili mogły się przemienić w znaczne straty.

Nawet podziemne wydawnictwo CDN – prowadzone z zacięciem menadżerskim przez utalentowanego konspiratora Czesława Bieleckiego – przyniosło w jednym roku dochody, w innym zaś stanęło na skraju bankructwa. Z książki Mateusza Fałkowskiego *Biznes patriotyczny* wynika również, że duży udział w obrotach firmy stanowiły darywizny – krajowe i zagraniczne. Finanse takiej podziemnej firmy wymykają się zresztą ścisłym obliczeniom. Jak bowiem dziś policzyć wkład tych, którzy za swoją pracę nie wzięli ani grosza?⁶⁰

Oceny kalkulacji ludzi, którzy działali w sytuacji opresyjnej, stawali się więźniami sumienia, przesądzali swój los na całe lata, muszą być dobrze wyważone. „Biznesmenami” z CDN rządziły przede wszystkim motywacje patriotyczne – wynika przynajmniej z relacji nagranych po latach⁶¹.

W drodze do klienta sporo książek przepadało, rwały się kontakty, znikali nieuczciwi odbiorcy. Wiktor Tomasz Grudzień z Lublina (obróć: około 140 książek) porzucił tę robotę właśnie z powodu coraz większych strat finansowych⁶². Część książek – jakby rzucona na wiatr – utknęła w szafach i piwnicach kolporterów, nie znalazła nabywcę. Kolportaż płatny tworzył szanse, ale i bariery. Nie każdy dystrybutor radził sobie z egzekwowaniem i rozliczaniem pieniędzy. Wydawcy nieustannie narzekali, że gotówka zbyt wolno płynie od klienta do wydawcy, wraca mniej pieniędzy niż się spodziewano⁶³. Kolporterzy woleli wziąć książkę w komis niż płacić z góry, wydawcy – przeciwnie⁶⁴. Dyscyplinę finansową pomagały utrzymać wyspecjalizowane firmy kolportażowe, które co prawda brały dużą marżę, ale także dużo towaru, a płaciły gotówką. One jednak z kolei miały własne problemy z małymi odbiorcami.

Drobni kolporterzy obwiniali wydawców: „szefowie wydawnictw podziemnych zbyt niefrasobliwie szafują papierem i narażają cały łańcuch ludzi dobrej woli, wydając rzeczy błahe lub nie wiadomo komu potrzebne. Chyba zbyt często w myśl zasady

⁵⁹ AIPN, 0258/419, t. 1, Sprawa kryptonim „Linotyp” przeciwko Markowi Krawczykowi, Wyciąg z informacji tajnego współpracownika „Marioli”, 30 I 1984, k. 56.

⁶⁰ M. Fałkowski, *Biznes patriotyczny...*, s. 114–116. Ponadto wydawnictwa podziemne – a także przedsiębiorstwa państwowe – stosowały barter usług i towarów, co było wówczas typową metodą walki z kryzysem ekonomicznym. Dramatycznie spadała siła nabywcza pieniędzy, gospodarka jak w dawnych czasach wróciła do form wymiany towarowej. Taki „biznes” – z innego wymiaru ekonomii – jest praktycznie niepoliczalny.

⁶¹ *Ibidem*, s. 195.

⁶² *Lublin – drogi do wolności...*, s. 207.

⁶³ List wydawnictwa CDN do współpracowników, 29 XI 1984 i list Czesława Bieleckiego do szefów skrzynek i kierowców, po 13 XII 1981 [w:] M. Fałkowski, *Biznes patriotyczny...*, s. 84 i 127.

⁶⁴ „Firma traci ogromne pieniądze przez inwestowanie w komisowy kolportaż” – oceniał Grzegorz Boguta z NOW-iej w konspiracyjnym liście do Wiktora Kulerskiego, 16 V 1985, archiwum prywatne Wiktora Kulerskiego w zbiorach Stowarzyszenia Archiwum Solidarności.

»ludzie i tak to kupią«. Tymczasem skończyło się eldorado”⁶⁵. Czasami więc kolporterzy i wydawcy trochę się szantażowali co do rodzaju wydawnictw i wysokości marży. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych coraz mniej ludzi sięgało po lekturę podziemną, rosły zwroty, straty, zatory i ceny, a wraz z tym obniżały się nakłady. Trzeba było się napracować, by książkę sprzedać, a i ręk do tej pracy było coraz mniej. Spadało czytelnictwo – także dlatego, że zwężał się kolportaż; te dwie sprawy zaczęły się szybko na siebie nakładać, co wzmacniało tendencje kryzysowe. Trwała walka na wyczerpanie. Kolportaż bibuły był dystrybuowaniem nadziei na zwycięstwo, a kupowanie – wyrazem wiary czytelników we wspólną sprawę. Wiara jednak słabła, gdyż nie było widać perspektyw na zmianę sytuacji politycznej.

W 1988 r. Społeczna Rada Wydawnictw Niezależnych przeprowadziła unikalny rekonesans badawczy wśród głównie warszawskich dystrybutorów. Jego wyniki opracował socjolog Michał Strzeszewski. Blisko połowa kolporterów rozprowadzała do stu egzemplarzy grubych wydawnictw rocznie. Około 20 proc. sprzedawało od stu do dwustu książek, a nieco ponad 10 proc. jeszcze więcej. Badanie oddawało sytuację dojrzałego, a nawet już przejrzanego drugiego obiegu. Z trzystu rozesyłanych (drugim obiegiem, rzecz jasna) ankiet wróciło pięćdziesiąt anonimowych odpowiedzi; większość respondentów – jak przypuszcza Strzeszewski – stanowili studenci i ich nauczyciele akademicy. Lepszym materiałem nie będziemy już jednak dysponować. Badanie potwierdza również znaną prawdę: siatka kolportażu buduje się stop-

niowo. W sondzie wzięli udział prawdziwi weterani z ponaddziesięcioletnim stażem (10 proc.) oraz startujący w latach 1980–1981 (około 10 proc.). Zdecydowanie najwięcej, bo 50 proc. respondentów, zaczęło przygodę z kolportażem w pierwszym roku stanu wojennego⁶⁶.

Ich oceny nie pozostawiały większych złudzeń. Czas grał na korzyść władz, po siedmiu latach od narodzin Solidarności kolportaż wydawnictw wykazywał oznaki spowolnienia, i to nie tylko na Krakowskim Przedmieściu. „Krań odbiorców ciągle się kurczy, a przynajmniej nie rozszerza się” – zauważał Jędrzek, dwudziestoparolatek, „zawodowy” kolporter w Nowej Hucie⁶⁷. Przyczyny spadku popytu nie musiały być zawsze tożsame ze spadkiem zainteresowania opozycją. Działyły także mechanizmy handlowe. Nasycenie rynku zawsze zmienia zachowania czytelnika. Staje się on bardziej wybredny, musi uważniej podejmować decyzje, analizować tytuły pod kątem ich aktualności, jakości, tematyki, wreszcie ceny. Póki drugi obieg funkcjonował jako społeczny podatek na Solidarność, a książki symbolizowały drogi społeczeństwu mitem konspiracji i walki, póty nastawienie czytelników było prawie bezkrytyczne. Gdy jednak emocje opadały, kolporterzy zmieniali się w handlowców, a czytelnicy w klientów – zaczęli przyglądać się książkom uważniej, dostrzegali nawet niedoróbki redakcyjne i słabą szatę graficzną⁶⁸. Powoli wracała normalność, o której nastanie przecież ten ruch walczył.

Jedni funkcjonowali lepiej, inni gorzej. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych pojawiały się również ciekawe pomysły wydawnicze, nowe fir-

⁶⁵ List „Kapryśnego”, „Tygodnik Mazowski” 1987, nr 193, s. 4. Inny kolporter ostrzegał: „Najbardziej złością się oszczędni chłopci. Ostatnio mówią nam: tylko żadnej poezji. A ja muszę, żeby towar upchnąć, korzystać z komunistycznych wzorów sprzedaży wiązanej. Tak np. sprzedawałem Sipowicza” („Wezwanie” 1984, nr 7, s. 100).

⁶⁶ Archiwum Ośrodka Karta (AOK), AO IV/187.3, M. Strzeszewski, *Niektóre problemy niezależnego ruchu wydawniczego w opinii kolporterów*, luty 1989.

⁶⁷ J. Sadecki, *Ziarna gniewu*, Paryż 1989, s. 109.

⁶⁸ AOK, AO IV/187.3, M. Strzeszewski, *Niektóre problemy niezależnego ruchu wydawniczego w opinii kolporterów*, luty 1989. Zob. też M. Fałkowski, *Biznes patriotyczny...*, s. 85–86.

my, udane próby ożywienia kolportażu. Obrotni kolporterzy z Lublina założyli własne wydawnictwo Fundusz Inicjatyw Społecznych. Mieli kilkuletnie doświadczenie, stanowili zgrany zespół. Na problemy z dystrybucją reagowali własną inicjatywą. By zdobyć pieniądze na ambitniejsze przedsięwzięcia, zaczęli od znaczków, które cieszyły się sporą popularnością, a nie wymagały wielkich inwestycji finansowych. Znaczki dawali do sprzedaży kolporterom różnych pism. Inwestowali w kontakty międzyludzkie, pomagali innym, z czasem sami otrzymywali wsparcie. Stali się widocznymi, mieli oryginalne pomysły, zaczęli zarabiać pieniądze. Nawiązali kontakt z paryską emigracją, mieli znajomych w Warszawie. W sumie wydali dziewięć książek literackich⁶⁹.

Dramatycznego spadku obrotów nie wykazywał również łódzki kolportaż – można wnioskować z badań Józefa Śreniowskiego. Mając w ręku rozliczenia z „głównych baz kolportażowych”, oszacował on akumulację bibuły w mieście na prawie 9 tys. w cyklu półmiesięcznym lub tygodniowym. Zachowane dane nie są pełne. Dotyczą jedynie największej struktury kolportażowej w Łodzi – Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej. Tak dobry wynik osiągnięto m.in. dzięki uruchomieniu podziemnego pisma „Senior”, a więc wciągnięciu do kolportażu środowiska emerytów (mieli dużo czasu wolnego). Mózgiem całej operacji był przez lata Zygmunt Ciechański, nazywany „Rybka”. Pracował w Centrali Rybnej. Rozwoził samochodem bibułę i ryby po całej strukturze⁷⁰.

Wydawcy podziemni imponowali elastycznością na tle niedołączonej, socjalistycznej gospodarki

państwowej. Biurokrację – także finansową – ograniczono do niezbędnego minimum. Operacje pieniężne były więc bardzo ulotne, nie materializowały się w formie ksiąg rachunkowych, drobnych bilansów, wykresów i analiz. Rachunki wpisywano do zeszytów lub na luźne karteczki; układały się w słupki cyfr i przyporządkowanych im tytułów oraz kolporterów⁷¹. Niewiele tych kwitków się zachowało, bo też wydawcy nie mieli potrzeby takich informacji przechowywać ani systematyzować. Notowano bardzo skrótowo lub tylko sobie znanym szyfrem. Okruchy tej podziemnej księgowości przechowywały się do naszych czasów w aktach SB, w prywatnych papierach wydawców. Ktoś np. z Niezależnego Wydawnictwa Harcerskiego wypisał zielonym długopisem na kilku czystych receptach lekarskich: Dostojewski, Cywiński, Kultura, Bartosz, Aron, a obok rzędy cyfr⁷². Nic więcej jednak o tej transakcji nie wiemy.

Kajecik Adama Karwowskiego, skonfiskowany podczas policyjnego najazdu na drukarnię Kręgu w Popowie, przepadł na dobre. „Tam wszystko było zapisane” – mówi z rozpaczą kolega Karwowskiego, Waldemar Wysokiński⁷³. Zachował się zeszyt rozliczeniowy NOW-ej, a w nim zapisy z 1981 r., czyli z czasów, gdy bardzo wzrosły obroty i księgowość prowadzono systematycznie. Około 50 stron rachunków kolportażu pisanych ręką Mirosława Chojckiego. Nazwy tytułów, ceny, daty, wpłaty, długi, słupki cyfr w zeszycie w kratkę – czasem poprzepłatane adresami „skrzynek”, nazwiskami odbiorców i dopiskami typu „robotnicy twierdzą, że im się należą gratisy”. Na pierwszej stronie – adres Tomasza Boczyńskiego, tajnego kasjera

⁶⁹ *Lublin – drogi do wolności...*, s. 157–165; Archiwum Instytutu Literackiego, List Tomasza Pietrasiewicza z Funduszu Inicjatyw Społecznych do Jerzego Giedroycia, 15 XI 1986.

⁷⁰ J. Śreniowski, *Rybka i inni...*, s. 14–15.

⁷¹ Można je czasem odnaleźć w rzeczach zarekwirowanych przez SB; zob. AIPN, 576/344, t. 1, Zapiski Agnieszki Maciejowskiej w zielonym zeszyciku, k. 119.

⁷² AIPN, 01326/345, Akta śledztwa przeciwko Markowi Frąckowiakowi z Niezależnego Wydawnictwa Harcerskiego, Protokół przesłuchania Małgorzaty Antoniewicz, 3 VII 1985, s. 4. Zob. też M. Kunicki-Goldfinger, biogram Marka Frąckowiaka [w:] *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*, t. 3, red. J. Skórzyński, P. Sowiński, M. Strasz, Warszawa 2006.

⁷³ Relacja Waldemara Wysokińskiego, 26 VII 2006, w zbiorach autora.

NOW-ej z tego okresu⁷⁴. Jego własne rozliczenia z kolportażem zaginęły. Ukrywane raz u sąsiadów, raz w skrytkach w jego mieszkaniu: pod podłogą albo w szafie, wreszcie na balkonie w pudle po domowym mikserze. W sierpniu 1982 r. zostały zabrane – wraz z metalową kasetką, w której leżały pieniądze – przez Służbę Bezpieczeństwa w czasie aresztowania Boczyńskiego. Miały stać się dowodem w przygotowywanym przez władze procesie współpracowników NOW-ej⁷⁵.

W marcu 1983 r. Maciej Zalewski, wówczas szef tajnego Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego w Warszawie, cudem zdołał zniszczyć rozliczenie finansów „Woli” w czasie aresztowania. Po wyjściu z więzienia, w 1984 r. odtworzył je z pamięci, gdyż chciał się rozliczyć z MKK. Wraz z Andrzejem Urbańskim wkrótce powołał nową firmę – Wydawnictwo Grup Politycznych Wola, które się rozwijało; w 1988 r. było już udziałowcem konsorcjum Funduszu Wydawnictw Niezależnych, otrzymywało dotacje. Być może musiało się rozliczać bardziej szczegółowo niż wcześniej. Zachowały się więc rzędy cyfr i dopisków, z których możemy się dowiedzieć o remoncie syrenki „Jan-ka”, transporcie powielacza Gestetner do „L” i pogrzebie „Uli”. Czytamy, ile kosztowały „służbowe” obiady, blachy do okładki i tajemnicza „taksówka w góry”. Rozmaite koszty – kwiaty na 8 marca, naprawa komputera IBM, torby dla kolporterów, pensja „Mariana”, wyjazd do Paryża, obozy dla dzieci z rodzin robotniczych, zadatek drukarski dla „Tadka” – układają się w zakodowaną historię tego środowiska.

Wydawcy bali się narażać innych i siebie. Starano się możliwie dużo improwizować, zapamiętywać, ustalać ważne sprawy jedynie ustnie, nie

przywiązywać wagi do szczegółów. „Pałła gouloisy bez filtra, o nic nie pytała, nie przedstawiła się. Towar wyłożyłem na stół” – tak nieraz wyglądała współpraca między kolporterami⁷⁶. Nie było to zajęcie dla ludzi nadmiernie pedantycznych, z zacięciem urzędniczym. W kolportażu książek niejednokrotnie zdarzały się niedopłaty. W innych realiach politycznych taka formuła szybko doprowadziłaby do protestów, wzajemnych podejrzeń o nieuczciwość, obaw przed odpowiedzialnością materialną. „Dziś to jest trudne do pomyślenia. Wtedy jednak panował nastrój uniesienia, mieliśmy do siebie duże zaufanie. Operowaliśmy dużymi sumami bez kwitowania, nikogo to wtedy nie dziwiło” – wspomina Andrzej Bierzyński, w latach 1985–1989 tajny kasjer Funduszu Wydawnictw Niezależnych. Przez jego ręce przeszło wiele tysięcy dolarów. Kwoty, daty i nazwiska zapisywał na dyskietce domowego komputera Atari, a dolary przechowywał w słoikach zakopanych w ogródku swojej znajomej w podwarszawskim Leoncinie⁷⁷.

„Aby skrupulatnie rachować społeczne pieniądze, nie trzeba kwitów, paragonów, podpisów i pieczętek. Wystarczy prywatny system »ma« i »winien« oraz – rzetelność” – radził *Mały konspirator*. Nakazywał daleko posuniętą ostrożność w przechowywaniu konspiracyjnych zapisków. Sugerował pisanie ołówkiem, wymazywanie spraw załatwionych gumką, stosowanie szyfrów lub małych karteczek, których można się łatwo pozbyć⁷⁸. Ocena tych praktyk księgowych przez pryzmat współczesnych procedur finansowych musi być krytyczna. Konspiracji nie można jednak oceniać w kategoriach porządku prawnego, chyba że chce się ją z gruntu zdezwuować i oczernić. Sens ma

⁷⁴ Teczka z papierami Mirosława Chojeckiego, zeszyt rachunkowy NOW-ej, w zbiorach Andrzeja Friszkego.

⁷⁵ Relacja Tomasza Boczyńskiego, 31 III 2010, w zbiorach autora; AIPN, 0582/101, Informacja na temat umorzenia śledztwa prowadzonego przeciwko współpracownikowi NOW-ej Tomaszowi Boczyńskiemu, 18 IV 1983, k. 30–31.

⁷⁶ AIPN, 00200/588, t. 4, Teczka pracy tajnego współpracownika „Joanny” (Macieja Kuncewicza), Doniesienie „Joanny”, 30 X 1985, k. 118.

⁷⁷ Relacja Andrzej Bierzyńskiego, 16 IV 2010, w zbiorach autora; biogram Andrzeja Bierzyńskiego [w:] *Ludzie NOWEJ...*, s. 44.

⁷⁸ [C. Bielecki, J.K. Kelus, U. Sikorska], *Mały konspirator*, Warszawa 1983, s. 5–7.

raczej badanie, czy ludzi zachowali się zgodnie z regułami, które obowiązywały w ich współpracy, czy byli uczciwi wobec siebie. Perspektywą takich dociekań byłoby więc udokumentowanie konkretnych przypadków defraudacji. Na razie wydaje się, że było ich mało, ruch zdał egzamin z elementarnej uczciwości.

Nie ma powodów, by odbierać ludziom dobre intencje. Dochodziło czasem – mimo na ogół szlachetnych zamiarów – do wewnętrznych konfliktów na tle finansowym. Pogłębiły się one około 1989 r., ale – moim zdaniem – powstały w większości dopiero teraz i są czasami rzutowane w przeszłość. Wówczas raczej przeważało wzajemne zaufanie. To kooperacja, a nie konflikty, była w tym doświadczeniu najważniejsza. W połowie lat osiemdziesiątych wszyscy zostali poddani naprawdę ciężkiej próbie czasu⁷⁹. Wydawało się, że nie ma szans na zwycięstwo w dostrzegalnej perspektywie. A jednak kolporterzy nie złożyli broni, przetrzymali najgorszy

okres. W mniejszym gronie, ale dotrwali do przełomu 1989 r., w jakimś stopniu go przygotowali.

Taka determinacja jest rzeczą godną podziwu. Skoro wydawnictwa miały stać się sposobem na życie w podziemiu, na trwanie w nim może przez wiele lat, w naturalny sposób pieniądze stawały się dla ludzi punktem odniesienia. Tak poniekąd jest zawsze. Gdy ruch społeczny – który powstaje nagle, bez planu i pieniędzy – nieoczekiwanie przedłuża swój żywot o kolejne lata i obrasta materią, z wyżyn ideowych schodzi trochę bardziej na ziemię. Stopniowo pojawiał się majątek – coraz lepsze maszyny, większe nakłady, a dorywcza pomoc przeradzała się w angażującą sporo czasu pracę. Nazywanie tego procesu wyprzedzą ideą⁸⁰ zawiera niepotrzebne emocje. Widziałbym w tym raczej niezbędny sposób na dostosowanie się do zmieniających się warunków, w sumie udane połączenie szczytnych ideałów z potrzebami materialnymi.

⁷⁹ A. Friszke, *Polska. Losy państwa i narodu 1939–1989*, Warszawa 2003, s. 424.

⁸⁰ Jak czyni to J. Błażejowska, *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976–1989/1990*, Warszawa 2010.

SZCZECIN 1988

Wbrew ostrzeżeniu, jakim powinno stać się nieudane referendum z listopada 1987 r., władze komunistyczne zdecydowały się na realizację tzw. II etapu reformy gospodarczej i wprowadzenie od lutego 1988 r. pierwszej od stanu wojennego drastycznej podwyżki cen. Spodziewały się wystąpień pracowniczych już w lutym, bezpośrednio po podwyżkach, jednak do zorganizowanych protestów wówczas nie doszło¹. Niezadowolenie społeczeństwa z pogarszającej się sytuacji materialnej dało o sobie znać w kwietniu, po podniesieniu cen energii elektrycznej i wody.

W pierwszym kwartale 1988 r. działacze skupieni wokół Andrzeja Milczanowskiego angażowali się w powoływanie komitetów założycielskich NSZZ Solidarność w szczecińskich zakładach pracy. Pomysłodawcą tej akcji był Stanisław Możejko, działacz podziemnej Solidarności w Świnoujściu. Na początku listopada 1986 r. zainicjował tworzenie ogniw Solidarności w dwóch świnoujskich przedsiębiorstwach: Morskiej Stoczni Remontowej i porcie. Zgodnie z ustawą o związkach zawodowych z 8 października 1982 r. grupa dziesięciu pracowników powoływała komitet założycielski i składała wniosek rejestracyjny do sądu wojewódzkiego, dzięki czemu uzyskiwała możliwość legalnego działania przynajmniej do momentu rozstrzygnięcia sądowego. Ponieważ sądy odrzucały wnioski rejestracyjne, oskarżano władze o nieprzestrzeganie Konstytucji PRL oraz podpisanych przez Polskę konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy². 16 kwietnia 1988 r. Rada Koordynacyjna NSZZ Solidarność Regionu Pomorze Zachodnie wydała odezwę z okazji święta 1 Maja, w której wezwała do bojkotu oficjalnych imprez pierwszomajowych oraz do sprzeciwu wobec polityki władz godzącej w podstawy egzystencji społecznej. Za najsukcesowniejsze działania

ARTUR KUBAJ

politolog, historyk, dr nauk humanistycznych, redaktor i współredaktor publikacji o opozycji solidarnościowej, m.in. *Zarejestrujcie nam „Solidarność”! Strajk sierpniowy 1988 r. w Szczecinie* (2009), *Koniec pewnej epoki. Wybory parlamentarne '89 w województwie szczecińskim w dokumentach* (2010); autor *Nie wyrosli z marzeń. Szczecińska podziemna „Solidarność”* (2011).

¹ M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1987–1990*, Warszawa 2005, s. 153. Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR minister spraw wewnętrznych gen. Czesław Kiszcak mówił, że w kraju doszło do 42 protestów na tle żądań płacowych, informował o aktywizowaniu się działaczy Solidarności, którzy zmierzają jego zdaniem do wywołania konfliktu. Presję płacową ocenił jako powszechną.

² Szerzej zob. A. Kubaj, *Komitety założycielskie NSZZ „Solidarność” (4 XI 1986 – 27 II 1988)* [w:] *Zarejestrujcie nam „Solidarność”! Strajk sierpniowy 1988 r. w Szczecinie*, red. A. Kubaj, M. Maciejowski, Szczecin 2009, s. 57–69.

Rada ponownie uznała zakładanie ogniw Solidarności w zakładach pracy³.

Na początku kwietnia 1988 r. szczecińska Służba Bezpieczeństwa uzyskała informacje na temat jednego z podziemnych punktów poligraficznych grupy Milczanowskiego – przy ulicy 26 Kwietnia w Szczecinie. Funkcjonariusze Wydziału V WUSW przeprowadzili przeszukanie w mieszkaniu Danuty Sykuły, gdzie oprócz gospodyni zastali Longina Komołowskiego i Władysława Diczka drukujących pismo „BIS”. Zarekwirowano niespełna dwa tysiące egzemplarzy różnych tytułów szczecińskiej prasy drugiego obiegu oraz książek oficyn podziemnych, a także sitoramki, diapozytywy i przygotowane do użycia matryce. Komołowskiego i Diczka zatrzymano, a właściciele mieszkania kazano stawić się następnego dnia na przesłuchanie⁴. Wobec znalezionych przez SB dowodów wszyscy troje przyznali się do druku „BIS” nr 2/3, a Sykuła zeznała również, że od roku udostępniała mieszkanie i pomagała w druku nielegalnych wydawnictw⁵. 10 maja 1988 r. zostali ukarani przez kolegium do spraw wykroczeń grzywną po 50 tys. złotych każdy⁶. Incydent ten nie zdeorganizował jednak pracy podziemnej. Pod koniec kwietnia, zgodnie z planem, Diczek z Komołowskim wydrukowali kolejny numer pisma „Grot”.

W tym czasie przedstawiciele środowiska Mariana Jurczyka, związani z Duszpasterstwem Ludzi Pracy im. ks. Jerzego Popiełuszki przy kościele św. Stanisława Kostki, wyjeżdżali na pielgrzymki do Częstochowy i Gniezna. 9 kwietnia w Częstochowie siedemnastoosobowa grupa wzięła udział w mszy w intencji osób więzionych za przeko-

nania polityczne; oprócz Jurczyka pojechali tam wówczas m.in. Piotr Baumgart – lider Solidarności rolniczej w województwie oraz Jan Kostecki – przewodniczący Polskiej Ligi Praw Człowieka⁷. Środowisko Jurczyka nawoływało do zbojkotowania obchodów 1 Maja. W odezwie do mieszkańców Szczecina pisano: „uczestniczyć w pochodzie znaczy prawie tyle, co być komunistą, a przynajmniej komunistom służyć [...], świętujemy więc godnie, w podniosłym nastroju, ale na użytek własny”⁸.

Od 19 do 23 kwietnia esbecy z Wydziału V WUSW starali się uniemożliwić Milczanowskiemu działalność opozycyjną; chodziło głównie o jego wyjazd do Warszawy na posiedzenie Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ Solidarność, które według SB miało się odbyć 24 kwietnia. Zastosowano m.in. blokadę jego mieszkania, która zakończyła się w nocy 23 kwietnia zatrzymaniem Milczanowskiego na 48 godzin. Ostrzeżono go, by nie podejmował działań antypaństwowych i poinformowano, że nadal będzie obserwowany⁹.

26 kwietnia bez uzgodnienia z KKW zaczął się strajk w Hucie im. Lenina w Krakowie, na czele komitetu strajkowego stanął Andrzej Szewczuwaniec, osoba dotychczas szerzej nieznana. Wybuch tego strajku stał się dla Milczanowskiego sygnałem do rozpoczęcia protestu solidarnościowego w Szczecinie. Zwołał on posiedzenie Rady Koordynacyjnej NSZZ Solidarność Regionu Pomorze Zachodnie (w mieszkaniu Józefa Sieniawskiego) i w gronie najbliższych współpracowników: Longina Komołowskiego, Władysława Diczka, Jacka Sauka, Jerzego Zimowskiego, Mieczysława Lisowskiego i Stanisława Możejki postawił kwestię straj-

³ Odezwa Rady Koordynacyjnej NSZZ Solidarność Regionu Pomorza Zachodniego z okazji święta 1 Maja, 16 IV 1988, „Grot” 1988, nr 91.

⁴ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Oddział w Szczecinie (AIPN Sz), 0012/294, t. 1, Meldunki dzienne Wydziału V WUSW w Szczecinie, 1988, Meldunek dzienny nr 2440, 10 IV 1988, k. 73.

⁵ *Ibidem*, Uzupełnienie meldunku dziennego nr 2441, 12 IV 1988, k. 74.

⁶ „Obraz” 1988, nr 5/6 (58/59), s. 77.

⁷ AIPN Sz, 0012/294, t. 1, Meldunki dzienne Wydziału V WUSW w Szczecinie, 1988, Meldunek dzienny nr 2441, 12 IV 1988, k. 73.

⁸ *Ibidem*, Depesza szyfrowa do Departamentu V MSW nr 1487, 27 IV 1988, k. 89.

⁹ AIPN, 0236/425, Sprawa obiektowa „Syndyk”, Rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze z członkami KKW – załącznik do informacji dziennej z 26 IV 1988, k. 58–59.

ku. Większość zebranych uznała, że sytuacja nie dojrzała jeszcze do strajku. Jedynie Mieczysław Lisowski z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej w Szczecinie i Stanisław Możejko ze Świnoujścia poparli Milczanowskiego, zgłaszając gotowość do podjęcia przygotowań¹⁰. Milczanowski uzgodnił z Lisowskim, żeby przygotowywać się do strajku w WPKM, czekać na pretekst ze strony władz zakładu oraz na sygnał z Gdańska. Liczyli na to, że strajk komunikacji miejskiej pociągnie protest w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego i w innych zakładach¹¹.

29 kwietnia do strajku przystąpiła Huta Stalowa Wola, obok postulatów płacowych żądano przywrócenia NSZZ Solidarność. Organizatorami protestu byli w głównej mierze członkowie komitetu założycielskiego związku w hucie, z Wiesławem Wojtasem i Wiesławem Turaszem na czele¹². Milczanowskiemu udało się ostatecznie przekonać członków Rady Koordynacyjnej do wydania odezwy solidaryzującej się z protestem w Hucie im. Lenina i wzywającej do pogotowia strajkowego w Szczecinie i Świnoujściu. Termin pogotowia strajkowego wyznaczono na 2 maja, sformułowano też postulaty: podwyżka płac i świadczeń dla najuboższych, proporcjonalna do wzrostu kosztów utrzymania oraz przywrócenie legalnego działania NSZZ Solidarność¹³.

Tymczasem Grupa Robocza Zarządu Regionu Pomorze Zachodnie – środowisko Mariana Jurczyka i Stanisława Wądołowskiego, z którym współpracował Piotr Baumgart – w swoim oświadczeniu wyraziła pełną solidarność ze strajkującymi poza Szczecinem oraz oburzenie z powodu gróźb siłowego stłumienia protestów. Domagała się także uchylecia ustawy o delegalizacji Solidarności oraz przeprowadzenia wolnych, demokratycznych wyborów zarówno do rad narodowych, jak i do sejmiku¹⁴.

Strajk majowy

2 maja do hutników protestujących w Krakowie przyłączyła się Stocznia Gdańska im. Lenina. Studenci w Krakowie i Wrocławiu, a następnie również w innych miastach uniwersyteckich domagali się rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Lech Wałęsa w oświadczeniu wydanym w imieniu KKW uznał protesty robotnicze za mające wymiar ogólnopolski. Za jedyny właściwy sposób rozwiązywania konfliktów społecznych uznał dialog i kompromis. Podkreślał konieczność legalizacji Solidarności¹⁵.

Strajk w Stoczni im. Lenina zmobilizował Milczanowskiego¹⁶. 2 maja w kościele przy ulicy Pocztowej w Szczecinie odbyło się spotkanie działaczy

¹⁰ Relacje Andrzeja Milczanowskiego (wrzesień 2009), Stanisława Możejki (wrzesień 2009), Jacka Sauka (styczeń 2010), Longina Komołowskiego (październik 2009), w zbiorach autora.

¹¹ Relacja Andrzeja Milczanowskiego, wrzesień 2009, w zbiorach autora.

¹² D. Iwaneczko, *Opór społeczny a władza w Polsce południowo-wschodniej 1980–1989*, Warszawa 2005, s. 402–403. Liderzy strajku w Stalowej Woli Wiesław Wojtas i Wiesław Turasz 21 IV 1988 zwołali trzytysięczny wiec w sprawie podwyżek płac oraz zaprzestania szykan wobec członków Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność Pracowników Huty Stalowa Wola, za co zostali zwolnieni z pracy.

¹³ Odezwa ogłaszająca pogotowie strajkowe od 2 V 1988, podpisana przez Andrzeja Milczanowskiego z upoważnienia Rady Koordynacyjnej NSZZ Solidarność Regionu Pomorze Zachodnie, w zbiorach autora. Zob. też AIPN Sz, 0012/294, t. 1, Meldunki dzienne Wydziału V WUSW w Szczecinie, 1988, Meldunek dzienny nr 2457, 1 V 1988, k. 93.

¹⁴ *Ibidem*, Meldunek dzienny nr 2458, 2 V 1988, k. 98.

¹⁵ Oświadczenie KKW, 2 V 1988, „Tygodnik Mazowsze” 1988, nr 249.

¹⁶ Relacja Andrzeja Milczanowskiego, wrzesień 2009, w zbiorach autora. Milczanowski ukrywał się przez blisko dwa tygodnie, od 29 IV do 11 V 1988. Przez pierwszy tydzień gościł u Andrzeja Markowskiego przy ul. Kormoranów, a drugi u Józefa Sieniawskiego przy ul. Czesława w Szczecinie.

z komitetów założycielskich Solidarności w poszczególnych zakładach pracy¹⁷. Pomimo zastrzeżeń ogniw zakładowych Milczanowski postanowił wprowadzić od 5 maja pogotowie strajkowe¹⁸. 4 maja wieczorem wraz z najbliższymi współpracownikami z WPKM wyznaczył na dzień następny termin wywołania strajku¹⁹. Po godzinie 22.00 Mieczysław Lisowski, emerytowany kierownik WPKM, oraz Józef Ignor, działacz Tajnej Komisji Zakładowej i członek komitetu założycielskiego Solidarności, złożyli wizyty kilku współpracownikom z zajezdni autobusowych²⁰.

5 maja kilka minut po czwartej rano zablokowano bramy wyjazdowe w dwóch z trzech szczecińskich zajezdni autobusowych WPKM: w Szczecinie Dąbiu i w Policach. Nie pomogły informacje przekazane kierownictwu zakładu przez SB²¹. Jako powód akcji pracownicy podali kwestie płacowe, jednak strajk miał w istocie charakter solidarnościowy, był gestem poparcia robotników strajkujących w Krakowie, Stalowej Woli i Gdańsku, gdzie domagano się swobody działalności związkowej.

Protest w zajezdni w Dąbiu zainicjowali Józef Ignor, Jan Sowa i Andrzej Kudła. Na czele komitetu strajkowego stanęli Romuald Ziółkowski (przewodniczący) i Józef Ignor (wiceprzewodniczący), znani działacze związkowi w przedsiębiorstwie. Ze względu na brak łączności między zajezdniami i krótki okres trwania strajku w skład komitetu

strajkowego weszli pracownicy tylko tej zajezdni, również jedynie tu żądano przywrócenia pluralizmu związkowego²². W Policach Jan Pyś i Bogdan Leśniewski zablokowali bramę wjazdową, a następnie agitowali za strajkiem wśród kierowców. Przystąpili do opracowywania postulatów strajkowych i negocjacji z dyrekcją zakładu, jednak uniemożliwiono im kontakt z kolegami z Dąbia, co ułatwiło szybkie rozbitcie strajku.

Rychłe zakończeniu protestu policyjnego nie zniechęciło strajkujących w zajezdni w Dąbiu. Wyśleli oni telegram do marszałka Sejmu PRL Romana Malinowskiego z wnioskiem o skreślenie z ustawy o związkach zawodowych artykułu 60 ustęp 3, na którego podstawie władze przez ponad pięć lat blokowały wejście w życie pluralizmu związkowego, odpowiedzi jednak się nie doczekali²³. Około piętnastej zajezdni otoczyły siły ZOMO. Gdy wezwanie do dobrowolnego opuszczenia zakładu przez strajkujących nie przyniosło rezultatów, funkcjonariusze MO wyprowadzili trzech przywódców strajku: Józefa Ignora, Romualda Ziółkowskiego i Andrzeja Kudłę. Pozostali kierowcy opuścili zajezdnię, uzależniając jednak przystąpienie do swych obowiązków w dniu następnym od uwolnienia zatrzymanych kolegów. Wieczorem przywódcy strajku zostali odwiezieni do domów²⁴.

Łącznie w obu zajezdniach pracę przerwało prawie czterystu kierowców i pracowników zaplecza

¹⁷ AIPN Sz, 0012/294, t. 1, Meldunkiienne Wydziału V WUSW w Szczecinie, 1988, Meldunek dzienny nr 2459, 3 V 1988, k. 100–101; relacja Jana Tarnowskiego, wrzesień 2009, w zbiorach autora.

¹⁸ Komunikat podpisany przez Andrzeja Milczanowskiego z upoważnienia Rady Koordynacyjnej NSZZ Solidarność Regionu Pomorze Zachodnie, 3 V 1988, w zbiorach autora.

¹⁹ *Po strajkach, przed strajkami*, „Obraz” 1988, nr 5/6 (58/59), s. 7; por. relacja Andrzeja Milczanowskiego, sierpień 2009, w zbiorach autora.

²⁰ Relacja Andrzeja Milczanowskiego, sierpień 2009, w zbiorach autora.

²¹ AIPN Sz, 0053/585, t. 1, Sprawa operacyjnego rozpracowania „Blokada”, Wyciąg z informacji operacyjnej od tajnego współpracownika „Miry”, 4 V 1988, k. 125.

²² AIPN Sz, 0012/294, t. 1, Meldunkiienne Wydziału V WUSW w Szczecinie, 1988, Meldunek dzienny nr 2461, 5 V 1988, k. 104; *ibidem*, Uzupełnienie do meldunku dziennego nr 2461, k. 105–107.

²³ *Po strajkach, przed strajkami...*, s. 8–9. W ustępie 3 artykułu 60 ustawy brak było daty, od której można zarejestrować w zakładzie pracy więcej niż jeden związek zawodowy.

²⁴ AIPN Sz, 0053/585, t. 1, Sprawa operacyjnego rozpracowania „Blokada”, Kronika wydarzeń w WPKM w Szczecinie, 5–6 V 1988, k. 183–194.

technicznego z trzeciej i pierwszej zmiany – spośród niespełna 750 osób tam zatrudnionych²⁵. Skala protestu była zbyt mała, by pobudzić kolejne zakłady. Obydwie zajezdnie obsługiwały linie autobusowe na obrzeżach Szczecina, w centrum zaś jeździły autobusy z zajezdni przy ulicy Kłownowica oraz tramwaje z trzech innych zajezdni, które nie brały udziału w akcji protestacyjnej.

Po rozbiściu przez ZOMO strajku w Nowej Hucie (z 4 na 5 maja 1988 r.) jedynym dużym zakładem w kraju, który kontynuował protest, była Stocznia Gdańska im. Lenina. Protest ten miał wymiar symboliczny, bowiem oprócz komitetu strajkowego z Alojzym Szablewskim na czele wspierał go swoim autorytetem Lech Wałęsa. Kierownictwo Solidarności liczyło na to, że do Stoczni Gdańskiej dołączą zakłady pracy z całej Polski.

7 maja Służba Bezpieczeństwa uzyskała informacje, że dwa dni później rozpocznie się strajk w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Przeprowadzono zatem rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze z działaczami skupionymi w stocznimowym Komitecie Założycielskim Solidarności: Czesławem Węgorowskim, Kazimierzem Ilnickim, Janem Kotem (był równocześnie tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Birkut”) i Zygmuntem Sroczyńskim, a następnie ze Stanisławem Wądołowskim i Longinem Komołowskim. Wszystkich przepytano na temat przygotowań do protestu i ostrzeżono o odpowiedzialności karnej w przypadku podjęcia przez nich akcji strajkowej²⁶.

W tej sytuacji 8 maja Milczanowski zwołał kolejne zebranie Rady Koordynacyjnej i działaczy niektórych zakładów (głównie z Warskiego). W spotkaniu w Łasku Arkońskim na obrzeżach

Szczecina uczestniczyli m.in. Diczek, Komołowski, Lisowski z Rady Koordynacyjnej oraz Leopold Bania, Kazimierz Ilnicki, Czesław Węgorowski, Wiesław Milewski i Jan Kot. Milczanowski przedstawił projekt żądań strajkowych: podwyżki płac, uwolnienia więźniów politycznych, w tym zatrzymanych ostatnio uczestników strajku w Nowej Hucie, przywrócenia legalnej działalności NSZZ Solidarność (gdyby jednak strajk ograniczył się do Stoczni im. Warskiego, należało żądać zalegalizowania związku tylko tu) oraz zagwarantowania bezpieczeństwa strajkujących. Jednocześnie zastrzegł konieczność odwołania strajku, jeśli protest w Gdańsku się zakończył²⁷. Służba Bezpieczeństwa uzyskała bezpośrednią relację z tego spotkania; jak można się domyślać, złożył ją Jan Kot²⁸. Po wieczornych uzgodnieniach działacze skupieni w Radzie Koordynacyjnej wydrukowali odezwę strajkową, która zawierała jedynie dwa postulaty: podwyżki płac oraz przywrócenia NSZZ Solidarność²⁹.

8 maja Grupa Robocza Zarządu Regionu przygotowała oświadczenie wzywające stoczniovców z Warskiego do dwugodzinnego strajku 9 maja. Mając niemalże pełną wiedzę o planach strajkowych dotyczących stoczni, funkcjonariusze SB przystąpili do przeciwdziałania. Przeprowadzili rozmowy ostrzegawcze z osobami związanymi z Milczanowskim: Władysławem Diczkiem, Andrzejem Antosiewiczem, Ryszardem Liszewskim i Kazimierzem Gołębiowskim, przyglądali się też sytuacji w stoczni, nie zaobserwowali jednak żadnych prób podjęcia strajku³⁰. 10 maja planowany strajk także się nie rozpoczął, a wieczorem bez zawarcia jakiegokolwiek porozumienia zakończył się

²⁵ AIPN Sz, 0012/294, t. 1, Meldunki dzienne Wydziału V WUSW w Szczecinie, 1988, Meldunek dzienny nr 2461, 5 V 1988, k. 104. W całym przedsiębiorstwie pracowało wówczas około 3800 osób.

²⁶ *Ibidem*, Meldunek dzienny, 8 V 1988, k. 118.

²⁷ *Ibidem*, Meldunek dzienny nr 2462, 9 V 1988, k. 119; relacje Andrzeja Milczanowskiego (wrzesień 2009), Władysława Diczka (wrzesień 2009), Longina Komołowskiego (październik 2009), w zbiorach autora.

²⁸ W teczce pracy „Birkuta” nie zachowała się relacja z tego spotkania.

²⁹ Relacje Władysława Diczka (wrzesień 2009), Longina Komołowskiego (październik 2009), w zbiorach autora.

³⁰ AIPN Sz, 0012/294, t. 1, Meldunki dzienne Wydziału V WUSW w Szczecinie, 1988, Meldunek dzienny, 8 V 1988, k. 118.

strajk w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Działacze Solidarności w całym kraju odczytali to jako sygnał do zawieszenia akcji protestacyjnej³¹.

Skala wystąpień płacowych na przełomie kwietnia i maja 1988 r. była zaskoczeniem zarówno dla władzy, jak i dla opozycji. Władza oceniała rolę opozycji w społeczeństwie jako słabą; w raportach SB odnotowywano zmniejszenie się liczby grup opozycyjnych. Szacowano, że Solidarność może liczyć na kilkanaście tysięcy aktywistów, w związku z tym prawdopodobieństwo przeprowadzenia dużej, zorganizowanej akcji strajkowej uznano za niewielkie³². Z kolei spora część działaczy opozycyjnych nie dostrzegała jeszcze takiego napięcia na tle płacowym w poszczególnych zakładach pracy, które mogłoby zaowocować poważnymi wystąpieniami pracowniczymi.

Można uznać, że starcie majowe pozostało nierozstrzygnięte. Solidarność w pewnym stopniu zademonstrowała swoją żywotność, do postulatów płacowych wysuwanych przez strajkujące załogi dołączano żądania powrotu związku oraz uwolnienia więźniów politycznych, jednak nie udało się osiągnąć przełomu w dążeniu do tych celów. Przedstawiciele władz natomiast musieli przełknąć gorzką pigułkę w postaci pierwszych na taką skalę wystąpień pracowniczych od momentu zniesienia stanu wojennego. Po stronie władzy dostrzeżono również, że pamięć o stanie wojennym nie działa już powstrzymująco, więc można się spodziewać inicjowania nowych protestów³³. Prognozowano, że na czele ewentualnych strajków (przewidywanych już jesienią tego roku) staną mniej znani działa-

cze Solidarności³⁴, a ich zapleczem będą młodzi robotnicy, wolni od doświadczeń z lat 1980–1981.

Henryk Wujec, członek Biura Krajowego KKW, pisał na łamach „Tygodnika Mazowsze” o strajkach kwietniowo-majowych jako o przełomie, zamknięciu pewnego etapu w dziejach Solidarności. W związku z udziałem w strajkach nowych, młodych osób uważał, że obecne kierownictwo straci w najbliższym czasie na znaczeniu. „Również struktury »Solidarności«, których zasadniczy kształt wywodził się ze stanu wojennego, muszą ulec przemianom. [...] Związek zawodowy nie może istnieć w postaci tajnych, zakonspirowanych grup, które nie żyją normalnym życiem, takim jak reszta społeczeństwa. Musi w zakładzie istnieć jawnie, mieć jawne kierownictwo, które wszyscy znają”. Wujec skrytykował słabość organizacyjną komitetów założycielskich Solidarności na Pomorzu Zachodnim, skupionych na procedurze sądowo-rejestracyjnej i nieprzygotowanych do strajków w swoich zakładach³⁵.

Wypowiedź ta spotkała się z ostrą ripostą Milczanowskiego. Zarzucił on Wujcowi nieznamość faktów oraz złą wolę w komentowaniu wydarzeń (wylbrzymianie znaczenia strajku w podwarszawskim Ursusie z 9 maja 1988 r. w stosunku do strajku szczecińskiego WPKM). Uznał, że ostatnie strajki ukazały rzeczywiste możliwości organizacyjne poszczególnych regionów związku, sugerując jednoznacznie, że rola Regionu Mazowsze w kształtowaniu oblicza Solidarności była zdecydowanie zbyt duża w stosunku do jego wpływu na poszczególne zakłady pracy³⁶. W innym swym

³¹ T. Tabako, *Strajk 88*, Warszawa 1992, s. 168–177; J. Skórzyński, *Rewolucja Okrągłego Stołu*, Kraków 2009, s. 116–117.

³² M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1987...*, s. 163. 12 III 1988 Rakowski zanotował, że według informacji komitetów wojewódzkich i wydziałów KC PZPR w nielegalnych strukturach Solidarności działa 15–17 tys. osób. Dodawał: „nie jest to błaha liczba. Odnoszę wrażenie, że sporo moich kolegów z BP nie bardzo się tym przejmują”.

³³ Uwagi ekspertów o sytuacji w kraju i wynikających z niej wniosków [w:] *Polska 1986–1989: koniec systemu. Materiały międzynarodowej konferencji, Miedzeszyn, 21–23 października 1999*, t. 3: *Dokumenty*, red. A. Dudek, A. Friszke, Warszawa 2002, s. 86–90.

³⁴ Powoływano się na przykład liderów strajków w Krakowie i Gdańsku – Andrzeja Szewczuwańca i Alojzego Szablewskiego.

³⁵ H. Wujec, *Lekcja ostatnich tygodni*, „Tygodnik Mazowsze” 1988, nr 251.

³⁶ A. Milczanowski, *Oдноśnie szczecińskiego fragmentu lekcji Henryka Wujca*, „Termit” 1988, nr 31.

tekście Milczanowski konstatował, że strajki wiosenne uzmysłowiły wszystkim fikcyjność pluralizmu związkowego realizowanego na podstawie ustawy o związkach zawodowych z 8 października 1982 r. Przyznawał, że kierownictwo Solidarności zostało zaskoczone wybuchem protestów płacowych, a najboleśniej w jego ocenie był fakt, iż w ciągu dwóch tygodni od rozpoczęcia strajku w Nowej Hucie inne duże zakłady w kraju nie były w stanie przystąpić do walki. Żałując niewykorzystanej szansy na przymuszenie komunistów do ustępstw na rzecz pluralizmu związkowego, prognozował rychłe pojawienie się kolejnej okazji do protestu³⁷.

Władze partyjne i administracyjne województwa szczecińskiego nie mówiły o strajku w WPKM na swoich oficjalnych spotkaniach. Szef WUSW gen. Jarosław Wernikowski odnotował zwiększoną aktywność opozycji, czyli powołanie grup założycielskich NSZZ Solidarność w dziewiętnastu zakładach pracy i instytucjach. Stwierdził też, że w końcu 1987 r. w województwie działały łącznie 22 nielegalne struktury opozycji, podzielone między dwa rywalizujące ze sobą odczasy Solidarności skupione wokół Mariana Jurczyka i Andrzeja Milczanowskiego³⁸. Liczba komitetów założycielskich w województwie szczecińskim wynosiła z końcem 1987 r. trzynaście, nie wiadomo zatem, jakie „nielegalne struktury opozycji” miał na myśli generał. W każdym razie w porównaniu z raportem gen. Czesława Kiszczaka z października 1987 r. liczba grup opozycyjnych w Szczecinie wzrosła³⁹.

18 maja Andrzej Anczykowski, dyrektor naczelny WPKM, pod wpływem perswazji SB zwolnił dyscyplinarnie z pracy liderów strajku: Józefa Ignora i Romualda Ziółkowskiego. W ich obronie stanęli koledzy – działacze Solidarności. Zaczęli zbierać podpisy pod apelem do przewodniczącego Rady Państwa PRL Wojciecha Jaruzelskiego o przywrócenie zwolnionych do pracy⁴⁰. 21 czerwca działacze Solidarności z WPKM wraz z Milczanowskim postanowili podjąć strajk w obronie zwolnionych kolegów⁴¹. Pamiętając o doświadczeniach majowych, postanowili zmienić skład grupy inicjującej protest w zajezdni autobusowej przy Klonowica. Aby wesprzeć miejscowych działaczy, do zajezdni tej udał się Ignor, a strajkujących w Policach wspomagał Ziółkowski.

22 czerwca po czwartej rano kierowcy ogłosili strajk solidarnościowy w obronie Ignora i Ziółkowskiego. Tym razem udało się zablokować skutecznie wszystkie trzy zajezdnie autobusowe. W każdej z nich uformowały się komitety strajkowe. W Dąbiu komitet utworzyli Henryk Łukasik, Andrzej Kudła, Piotr Szejter i Andrzej Szendel, w zajezdni przy Klonowica Kazimierz Szwabis, Andrzej Bogusławski, Kazimierz Toruński i Krzysztof Witek, a w Policach Jan Pyś, Bogdan Leśniewski i Zbigniew Świerzyński. Około piątej przedstawiciele komitetów strajkowych spotkali się z dyrektorem Anczykowskim w zajezdni przy Klonowica. Przedstawiono dwa postulaty: przywrócenie do pracy zwolnionych kierowców oraz niewyciąganie konsekwencji w stosunku do straj-

³⁷ *Krajobraz we mgle*, „Grot” 1988, nr 93.

³⁸ Archiwum Państwowe w Szczecinie, Urząd Wojewódzki w Szczecinie, XXV/6, Protokół posiedzenia Wojewódzkiego Komitetu Obrony w Szczecinie, 17 V 1988, k. 100. Wernikowski poinformował o zlikwidowaniu przez SB trzech nielegalnych struktur, grupy Ruchu Wolność i Pokój, a także działalności kolportażowo-wydawniczej związanej z „Tygodnikiem Mazowsze” i punktów poligraficznych w szczecińskim porcie. Powiedział też o przeprowadzeniu 1800 rozmów ostrzegawczych i profilaktycznych z działaczami opozycji. Brak jednoznacznego wskazania, jakie lata omawiał; wydaje się, że chodzi o okres od momentu ogłoszenia amnestii w lipcu 1986 do końca 1987 r.

³⁹ W. Sawicki, *Raport Kiszczaka dla Moskwy, czyli czego nie powiedział minister Widacki*, Kraków 2002, s. 115–121.

⁴⁰ *Na folwarku SB – Anczykowskiego. Przebieg dni majowych*, „Termit” 1988, nr 31; *Zwolnieni za strajk*, „Obraz” 1988, nr 5/6 (58/59), s. 76–77.

⁴¹ *Pozew o przywrócenie do pracy Romualda Ziółkowskiego*, „Termit” 1988, nr 31.

kujących⁴². Po konsultacjach telefonicznych z wojewodą szczecińskim Stanisławem Malcem dyrektorem podpisał zgodę na oba żądania⁴³.

Warto podkreślić, że w obydwu protestach w WPKM dużą rolę odegrał cieszący się zaufaniem załogi Mieczysław Lisowski – wówczas siedemdziesięcioletni, emerytowany pracownik WPKM, doradca członków komitetu strajkowego⁴⁴. Na szybką i pozytywną decyzję władz zakładowych istotny wpływ miał również moment wywołania strajku, tj. zbliżający się termin wizyty w Szczecinie sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Michaiła Gorbaczowa. Po zakończeniu strajku Milczanowski oświadczył w imieniu Rady Koordynacyjnej NSZZ Solidarność Regionu Pomorze Zachodnie: „Okazaliście prawdziwą solidarność, głębokie poczucie odpowiedzialności, znakomitą sprawność organizacyjną. NSZZ »Solidarność« nigdy Wam tego nie zapomni”⁴⁵.

19 czerwca 1988 r. odbyły się wybory do rad narodowych. Ogólnokrajowa frekwencja była jeszcze niższa niż w przegranym przez władze referendum z listopada 1987 r., a szczególnie niskie zaangażowanie wyborców odnotowano w dużych miastach. W wyborach do Wojewódzkiej Rady Narodowej

w Szczecinie wzięło udział 51,41 proc. uprawnionych, do Miejskiej Rady Narodowej w Szczecinie tylko 37,73 proc.⁴⁶

Strajk sierpniowy

17 sierpnia 1988 r. wczesnym rankiem Milczanowski dowiedział się od Janusza Dubickiego, działacza portowej Solidarności, o planowanym na ten dzień strajku w porcie szczecińskim mającym na celu wymuszenie podwyżki płac⁴⁷. Pół godziny później w ubraniu robotnika wjechał do portu ciągnikiem od strony Łasztowni, około ósmej wraz z Edwardem Radziejewiczem, Józefem Kowalczykiem, Januszem Dubickim i Michałem Achramowiczem rozpoczął nakłanianie robotników do protestu⁴⁸. Podłożem tego strajku były konflikty płacowe trwające od listopada 1987 r., jednak prawdziwą złość robotników wywołało wyznaczenie krzywdząco niskich stawek za rozładowanie cementu⁴⁹. To stało się pretekstem do strajku.

Według sprawozdań SB⁵⁰ okółpięćdziesięcioposobowa grupa pracowników Zakładu Przeładunków Drobnicowych Zarządu Portu Szczecin-Świno-

⁴² „Termit” 1988, nr 32 – numer w całości poświęcony relacji ze strajku 22 VI 1988; *Strajk w WPKM*, „Grot” 1988, nr 95; *Szczecińskie WPKM – strajk w obronie kolegów*, „Tygodnik Mazowsze” 1988, nr 256.

⁴³ Wojewoda szczeciński Stanisław Malec twierdził, że sam podjął decyzję, bez konsultacji z centrum władzy, biorąc za nią pełną odpowiedzialność (*Narodziny III Rzeczypospolitej. Pomorze Zachodnie w latach 1988–1990. Materiały z sesji naukowej*, red. M. Machałek, J. Macholak, Szczecin 2006, s. 211–212).

⁴⁴ Między innymi opinia Jerzego Zimowskiego, zob. „Obraz” 1988, nr 9/10 (62/63), s. 10.

⁴⁵ „Termit” 1988, nr 32.

⁴⁶ *Po wyborach*, „Grot” 1988, nr 95.

⁴⁷ Dubicki powiadomił Milczanowskiego na prośbę Edwarda Radziejewicza, który przewodził wówczas podziemnej Solidarności w szczecińskim porcie. W lipcu Radziejewicz obiecał, że jeśli w zakładzie pojawi się konflikt, który wywoła nastrój strajkowy, niezwłocznie powiadomi o tym Milczanowskiego (relacje Edwarda Radziejewicza i Andrzeja Milczanowskiego, w zbiorach autora).

⁴⁸ A. Milczanowski, *Sierpniowy strajk w Szczecinie w 1988 roku* [w:] *Z archiwum szczecińskiego strajku, sierpień, 1988 rok. Ze zbiorów Andrzeja Milczanowskiego i Edwarda Radziejewicza*, oprac. M. Machałek, Szczecin 2005; A. Kubaj, *Przebieg i konsekwencje strajku sierpniowego w porcie i zakładach komunikacji miejskiej Szczecina* [w:] *Zarejestrujcie nam „Solidarność”...*, s. 93–117.

⁴⁹ J. Zimowski, *Drugi szczeciński sierpień*, „Obraz” 1988, nr 9/10 (62/63), s. 4–5. Zaproponowano rażąco niskie ceny: za rozładowanie stu ton cementu władze chciały zapłacić jedynie 1600 zł. 15 VIII 1988 wywołało to olbrzymie niezadowolenie portowców z nabrzeża „rumuńskiego”.

⁵⁰ AIPN Sz, 0012/294, Meldunki dzienne Wydziału V WUSW w Szczecinie, 1988, Meldunek dzienny nr 2534, 17 VIII 1988, k. 24.

ujście⁵¹ przerwała pracę i wzywała do strajku. Według kierownictwa zakładu natomiast kilkuset portowców zebranych w świetlicy nieopodal budynku dyrekcji Zarządu Portu spotkało się z portową wierzuszką i przedstawiło cztery postulaty:

„1. Wprowadzenia w życie zasady pluralizmu związkowego, w ramach którego NSZZ »Solidarność« będzie miała prawo legalnej działalności;

2. Podwyżki płac pracowników Zarządu Portu Szczecin-Świnoujście o około 50 proc.;

3. Przywrócenia do pracy pracowników Zarządu Portu zwolnionych za ich działalność solidarnościową;

4. Zapewnienia pełnego bezpieczeństwa strajkującym oraz zapłaty wynagrodzeń za czas strajku”⁵².

Podczas spotkania w świetlicy zakładowej dyrektor Zarządu Portu Jan Więclaw wzywał do rozpoczęcia pracy, a prokurator rejonowy Marek Kotfis straszył robotników konsekwencjami udziału w nielegalnym strajku. Podniosło to jedynie temperaturę wiecu i przyspieszyło ostateczną decyzję. Wybrano komitet strajkowy, na jego czele stanęli Edward Radzewicz, Józef Kowalczyk i Zbigniew Zakrzewski⁵³. Komitet poinformował dyrektora portu o swoim powstaniu i postulatach, wystosował też prośbę o udostępnienie środków łączności i maszyny do pisania. Portowcy napisali również list do gen. Jaruzelskiego, zapraszając go na spotkanie z załogą, lecz dyrektor Więclaw odmówił przesłania go teleksem do adresata⁵⁴.

Tego samego dnia do wojewody szczecińskiego Stanisława Malca zadzwonił premier Zbigniew Messner z informacją o strajku w szczecińskim porcie. Stwierdził, że rozwiązaniem konfliktu zajmie się bezpośrednio sztab partyjno-rządowy w Warszawie, a do Szczecina w najbliższych dniach przybędzie jako łącznik wiceminister spraw wewnętrznych. W kolejnej rozmowie tego dnia premier dodał, że inspiratorem strajku w porcie jest Andrzej Milczanowski i należy podjąć kroki w celu wyprowadzenia go z zakładu, którego nie jest pracownikiem⁵⁵.

Wieczorem strajkujący zawiesili na bramie wjazdowej do portu transparent: „»Solidarność« nie zginęła, póki my żyjemy”. Parę godzin wcześniej Milczanowski przesłał Mieczysławowi Lisowskiemu za pośrednictwem Tadeusza Olczaka list z prośbą o wywołanie w szczecińskim WPKM strajku popierającego portowców. Dotarł on do Lisowskiego późnym wieczorem, a już następnego dnia, 18 sierpnia, komunikacja miejska w Szczecinie była sparaliżowana. Strajk w WPKM został rozpoczęty o godzinie 4.18 przez Romualda Ziółkowskiego w zajezdni autobusowej w Dąbiu. W tym samym czasie zaczęła się akcja strajkowa w zajezdniach w Policach i przy ulicy Klonowica. Na czele strajków stanęli przeważnie członkowie komitetu założycielskiego NSZZ Solidarność w WPKM. Około siódmej Wydział Ruchu Drogowego i oddziały Milicji Obywatelskiej podjęły nieudaną próbę otwarcia bram wjazdowych w zajezdni autobusowej w Dąbiu. O piętnastej utworzono tam Zakła-

⁵¹ Formalnie nazwa portu brzmiała w tym czasie Zarząd Portu Szczecin-Świnoujście (w latach 1950–1982 Zarząd Portu Szczecin); przedsiębiorstwo podzielone było na zakłady: Zakład Przeładunków Drobnicowych, Zakład Przeładunków Masowych, Zakład Przeładunków Świnoujście. Potocznie część szczecińską nazywano Zarządem Portu Szczecin, a świnoujską – Zarządem Portu Świnoujście.

⁵² Pismo do pracowników Portu Szczecińskiego, 17 VIII 1988 [w:] *Z archiwum szczecińskiego strajku...*, s. 9.

⁵³ Pismo komitetu strajkowego do dyrektora Zarządu Portu Szczecin-Świnoujście, 17 VIII 1988 [w:] *ibidem*, s. 10–11. Członkami komitetu strajkowego w porcie byli ponadto: Szczepan Wszelaki, Jerzy Wiśniewski, Andrzej Milczanowski, Ryszard Ryba, Jarosław Krakowski, Zdzisław Drwał, Krzysztof Podgórski, Andrzej Kryński, Grzegorz Kowalski, Janusz Dubicki, Szczepan Ramza, Marian Siewiela, Piotr Jania, Leszek Urbański.

⁵⁴ Pismo komitetu strajkowego do przewodniczącego Rady Państwa gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego, 17 VIII 1988 [w:] *ibidem*, s. 10–11.

⁵⁵ Relacja Stanisława Malca, lipiec 2008, w zbiorach autora.

dowy Komitet Strajkowy w składzie: Ziółkowski jako przewodniczący, Janusz Białyszewski (tajny współpracownik SB „Andrzej”) jako jego zastępca, Piotr Szejter i Jan Pyś.

Drugiego dnia strajku do protestu przyłączyły się kolejne przedsiębiorstwa w porcie: Zakład Przeladunków Masowych, Zakład Usług Żeglugowych oraz Portowe Centralne Warsztaty Mechaniczne. Na wspólnym spotkaniu przedstawiceli załóg portowych i WPKM utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w porcie. Na jego czele stanął Edward Radzewicz, wiceprzewodniczącym został reprezentant WPKM Józef Ignor. W skład MKS weszli również Jarosław Krakowski, Jerzy Wojtowicz i Andrzej Milczanowski⁵⁶.

O wydarzeniach w porcie Radzewicz poinformował biskupa szczecińsko-kamieńskiego Kazimierza Majdańskiego. Strajkujący liczyli na opiekę duchową zwierzchnika pomorskiego Kościoła⁵⁷. MKS wezwał załogi zakładów regionu do akcji strajkowej i przystępowania do komitetu⁵⁸. 19 sierpnia podjęto próbę rozszerzenia akcji strajkowej o następne zajezdnie WPKM. O godzinie 4.15 w zajezdniach tramwajowych na Pogodnie i Gołęczynie podjęto nieskuteczne próby zablokowania wyjazdów. Udało się natomiast unieruchomić zajezdnię tramwajową przy ulicy Niemierzyńskiej w Szczecinie. Komitet strajkowy zawiązali Mirosław Kędzierski, Cecylia Mosa i Wiesław Dętka. O ósmej w swoim mieszkaniu przy ulicy Szybowcowej został zatrzymany przez SB Mieczysław Lisowski, co miało

uniemożliwić mu agitację w szczecińskich zakładach pracy⁵⁹. O piętnastej ponownie próbowano unieruchomić zajezdnię na Gołęczynie, tym razem skutecznie. Komitetem strajkowym kierowali tam Bogdan Arczewski, Grzegorz Bieliński i Henryk Gmur. Tego dnia powołano również komitet strajkowy w Zakładach Włókien Chemicznych „Chemitex-Wiskord”⁶⁰; ogłoszono pogotowie strajkowe i wydelegowano do MKS Henryka Stachalę.

Wcześniej, o trzynastej, dyrektor naczelny portu Jan Więclaw wysłał pisma: do WUSW – z prośbą o natychmiastową pomoc w ochronie portu oraz do Prokuratury Wojewódzkiej – by spowodowała wyprowadzenie z portu osób tam niezatrudnionych⁶¹. Naciski, aby podjąć działania tego rodzaju, pochodziły od władz centralnych w Warszawie, np. minister transportu, żeglugi i łączności Janusz Kamiński na posiedzeniu sztabu rządowo-partyjnego 19 i 20 sierpnia, zaznaczając rolę Milczanowskiego w strajku szczecińskim, pokreślał konieczność zajęcia się w pierwszej kolejności tymi, „którzy podgrzewają atmosferę”⁶². „Trybuna Ludu” w artykule Wojciecha Jurczaka (dziennikarza „Kuriera Szczecińskiego” i agenta SB o pseudonimie „Anton”) *Kto steruje za tą bramą* usiłowała zdyskredytować lidera strajku słowami: „Pan Milczanowski nawołuje w odezwie do walki. Domaga się od struktur »Solidarności« podjęcia strajku i dołączania do MKS. [...] bo pan Milczanowski szalenie kocha strajkować. Nie, nie pracuje w porcie szczecińskim, jest radcą prawnym. W latach 1981–82 dał się po-

⁵⁶ Formalnie przewodniczący i wiceprzewodniczący MKS zostali wybrani 20 VIII 1988.

⁵⁷ List zakładowego komitetu strajkowego w porcie do bp. Kazimierza Majdańskiego, 18 VIII 1988 [w:] *Z archiwum szczecińskiego strajku...*, s. 13–14.

⁵⁸ Oświadczenie MKS, 18 VIII 1988 [w:] *ibidem*, s. 11–12.

⁵⁹ AIPN Sz, 0053/574, Sprawa operacyjnego rozpracowania „Port”, Notatka służbowa naczelnika Wydziału V WUSW w Szczecinie w sprawie Mieczysława Lisowskiego, k. 160. Od wybuchu strajku do momentu zatrzymania Lisowskiemu poza WPKM udało się porozmawiać także z pracownikami Stoczni Szczecińskiej im. Warskiego oraz zakładów Chemitex-Wiskord.

⁶⁰ Oświadczenie zakładowego komitetu strajkowego w zakładach Chemitex-Wiskord, 19 VIII 1988 [w:] *Z archiwum szczecińskiego strajku...*, s. 16–17.

⁶¹ AIPN Sz, 0053/574, Sprawa operacyjnego rozpracowania „Port”, Notatka służbowa – wykaz informacji uzyskanych od 17 VIII do 3 IX 1988 dotyczących przebiegu strajku w Zarządzie Portu Szczecin-Świnoujście, k. 240–253.

⁶² M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1987...*, s. 218–219.

znać jako utalentowany organizator bezsensownych strajków”⁶³. W ten sposób przedstawiciele władzy, posługując się usługowymi dziennikarzami, usiłowali wskazać główne źródło bieżących kłopotów. Komentarze konstruowano według jednego schematu – odpowiedzialność za strajki przypisywano nie robotnikom, lecz wywodzącym się z innych grup społecznych „zawodowym manipulatorem”, którzy wykorzystując rzekomo naiwność proletariatu, osłabiali podstawy społeczne i gospodarcze PRL.

Tymczasem MKS ponownie wezwał do strajku kolejne zakłady pracy województwa. Zwrócił się też do bp. Majdańskiego z prośbą o zapewnienie mszy na terenie portu i WPKM zarówno w niedzielę, jak i w dni powszednie, zaprosił też gen. Jaruzelskiego na spotkanie ze strajkującymi.

20 sierpnia w skład MKS zostali włączeni Romuald Wołodźko z Portowych Centralnych Warsztatów Mechanicznych, Andrzej Gruszczyński z Zakładów Usług Żeglugowych oraz Artur Balazs, oddelegowany przez Wojewódzką Radę NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych Regionu Pomorze Zachodnie, która wsparła postulaty strajkujących⁶⁴. Rolnicy przez cały okres strajku zapewniali też protestującym żywność. Ponieważ dyrektor Więclaw monitował Ministerstwo Transportu o zawieszenie od 21 sierpnia 1988 r. działalności portu, MKS wydał oświadczenie domagające się jego odwołania⁶⁵.

21 sierpnia wierni diecezji szczecińsko-kamieńskiej wysłuchali listu pasterskiego bp. Majdańskiego *O serdeczną modlitwę i rozagę w dniach wstrząsów społecznych*⁶⁶. Strajkujący w porcie i WPKM przyjęli słowa biskupa bardzo chłodno – oczekiwali jednoznacznego wsparcia protestu przez reprezentanta Kościoła⁶⁷. Następnego dnia ochoczo podchwyciła je partyjna prasa, cytując list pasterski biskupa w sposób wybiórczy.

Wieczorem 21 sierpnia MKS podjął decyzję o przygotowaniach na wypadek desantu ZOMO. Przy nabrzeżach kanałów portowych ustawiono sztaplarki i układarki, przygotowano też dźwigi do przewrócenia, gdyby do kanałów tych próbowały wpłynąć okręty marynarki wojennej. Bramę wjazdową zabezpieczono ciężkim sprzętem. Czynności te konsolidowały strajkujących, szczególnie młodych portowców⁶⁸.

W piątym dniu strajku MKS liczył na to, że dołączą kolejne zakłady pracy regionu zachodniopomorskiego. W nocy działacze związani z MKS przygotowali odezwę do stoczniowców z Warskiego wzywającą ich do podjęcia strajku, podpisaną przez Milczanowskiego, Tajną Komisję Zakładową NSZZ Solidarność i komitet założycielski związku w Stoczni Szczecińskiej⁶⁹. W odezwie poinformowano o sytuacji strajkowej w Szczecinie oraz o tym, że 22 sierpnia stanie Stocznia Gdańska⁷⁰.

Próby wywołania strajku w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, największym zakładzie

⁶³ W. Jurczak, *Kto steruje za tą bramą?*, „Trybuna Ludu”, 20–21 VIII 1988.

⁶⁴ Przez pierwsze dni strajku w porcie przebywał Piotr Baumgart, 21 VIII 1988 reprezentantem Wojewódzkiej Rady NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych Pomorza Zachodniego został Artur Balazs.

⁶⁵ Oświadczenie MKS załóg zakładów pracy Regionu Pomorze Zachodnie, 21 VIII 1988 [w:] *Z archiwum szczecińskiego strajku...*, s. 24–25.

⁶⁶ *Słowo pasterskie z 21 VIII 1988*, „Prezbiterium” 1988, t. 16, nr 7/9, s. 29–32; abp K. Majdański, *Listy pasterskie 1979–1992*, Szczecin 1997, s. 408–412.

⁶⁷ Relacja Edwarda Radziejewicza, lipiec 2008, w zbiorach autora.

⁶⁸ Relacja Andrzeja Milczanowskiego, lipiec 2008, w zbiorach autora.

⁶⁹ Milczanowski podpisał dokument z upoważnienia Rady Koordynacyjnej NSZZ Solidarność. W skład Tajnej Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność Stoczni im. Warskiego wchodził m.in. Andrzej Antosiewicz, Władysław Diczek, Longin Komołowski. Komitet Założycielski NSZZ Solidarność Pracowników Stoczni Szczecińskiej im. Warskiego powstał 22 VI 1987, w jego imieniu wypowiadał się Władysław Diczek.

⁷⁰ „Grot” 1988, nr 96.

pracy regionu zachodniopomorskiego, skończyły się niepowodzeniem. Już wcześniej podejmowały je zarówno osoby związane z Milczanowskim (przede wszystkim Andrzej Antosiewicz, Władysław Dziczek, Longin Komołowski), jak i Stanisław Wądołowski współpracujący z Marianem Jurczykiem. Przeszkodziła przede wszystkim Służba Bezpieczeństwa, która w pierwszych dniach szczecińskiego strajku profilaktycznie zatrzymywała działaczy związku. Na łamach „Biuletynu Strajkowego”⁷¹ i „Kuriera Strajkowego”⁷² zamieszczano adresowane do robotników wszystkich zakładów w regionie apele o przyłączenie się do strajku; strajkujący liczyli na pracowników z Zakładów Chemicznych w Policach oraz kolejarzy z Pomorskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych.

To co nie udało się w stoczni i w Policach, powiodło się w Zakładzie Budownictwa Kolejowego w Szczecinie, który ostatecznie przyłączył się do strajku. Na czele komitetu strajkowego stanął tam Andrzej Bieniek⁷³, a reprezentantem zakładu w MKS został Edward Dwojakowski.

22 sierpnia wieczorem oddziały ZOMO weszły do dwóch zajezdni tramwajowych i do zajezdni autobusowej w Policach⁷⁴. W tym samym czasie w telewizji wystąpił minister spraw wewnętrznych gen. Czesław Kiszczak, który zagroził, że jeśli nielegalne strajki nie ustaną, zostanie wprowadzona godzina milicyjna oraz środki nadzwyczajne⁷⁵. Mówił: „W WPKM w Szczecinie strajkujący zdemonstrowali część autobusów, aby zablokować bramy i uniemożliwić wyjazd na trasy tym kierowcom, którzy nie chcieli się przyłączyć do strajku. [...] W Szczecinie pobito motorniczych tramwaju linii nr 6, a także innych pracowników, którzy nie zgodzili się przystąpić do strajku. [...] jak stąd wynika, nie są to strajki w interesie załogi. Staje się natomiast oczywiste, że jawni i ukryci inspiratorzy tych działań nie wahają się stwarzać sytuacji, w której dojść może do przelewu krwi. Do polskiego życia społecznego został bowiem wprowadzony element siły i przemocy”⁷⁶.

24 sierpnia, uginając się pod presją otaczających zakład oddziałów ZOMO, strajkujący opuścili

⁷¹ „Biuletyn Strajkowy” ukazywał się nieomal codziennie przez cały okres strajku, łącznie wyszło 14 numerów. Redagował je rzecznik MKS Jerzy Zimowski wraz z Michałem Paziewskim (M. Paziewski, *Wydawnictwa pozacenzuralne aglomeracji szczecińskiej (między stanem wojennym a likwidacją Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk)* [w:] *Narodziny III Rzeczypospolitej...*, s. 149).

⁷² „Kurier Strajkowy”, redagowany przez Zbigniewa Jasinę, ukazywał się codziennie od 21 VIII 1988, łącznie wyszło 14 numerów (*ibidem*, s. 150).

⁷³ Poza nim do komitetu strajkowego należeli: Stefan Wojciechowski (wiceprzewodniczący), Tomasz Gruchalski, Andrzej Iwan, Piotr Uwnal. Ważną rolę w strajku odegrał również Andrzej Kropopek.

⁷⁴ W zajezdni tramwajowej przy ul. Niemierzyńskiej jedna z motorniczych, Maria Borkowska, doznała zawału serca. Znaczna część pracowników przeszła do innych, nadal strajkujących zajezdni. Duża grupa motorniczych pojawiła się w kościele przy ul. Pocztowej w Szczecinie, gdzie jezuici zajmowali się pomocą dla strajkujących – zbierano tu żywność, lekarstwa, pieniądze itp. Ze strony świeckich organizatorem tej akcji był Jan Tarnowski. Proboszczem parafii był o. Czesław Kukliński.

⁷⁵ Godzinę milicyjną wprowadzono w Jastrzębiu (A. Dudek, *Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988–1990*, Kraków 2004, s. 167).

⁷⁶ *Nie pozwólmy, aby Polska stała się krajem bezprawia i anarchii*, „Trybuna Ludu”, 22 VIII 1988. Wystąpienie telewizyjne ministra Kiszczaka: „siły milicyjne otrzymały rozkaz wzmocnienia zewnętrznej ochrony wybranych zakładów pracy. Wydałem polecenia służbom porządkowym, aby uniemożliwiły dalszą obecność na obszarach objętych strajkami osobom niezwiązanym z danym terenem i zakładem, a prowadzącym działalność szkodliwą dla dobra społecznego. W porozumieniu z szefem URM zwracam się do wojewodów katowickiego, szczecińskiego i gdańskiego o wprowadzenie godziny milicyjnej na określonych obszarach. Wprowadzenie trybu przyspieszonego w kolegiach ds. wykroczeń. Do prokuratury o rygorystyczne ściganie wszystkich przypadków naruszania praw. Do szefa MON o wydzielenie sił i skierowanie ich do zapewnienia transportu miejskiego. Nie pozwólmy, aby Polska stała się krajem bezprawia i anarchii”.

zajeźdźnię autobusową przy Klonowica i udali się do sąsiadującej z nią kaplicy św. Ottona⁷⁷. Tego samego dnia przed południem MKS zorganizował konferencję prasową, na której próbował prostować oszczerstwa ogłaszane w reżimowych mediach. Na konferencji, w której brali udział przedstawiciele władz portu, pojawił się również mecenas Władysław Siła-Nowicki, członek Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa PRL. Przyjęto jego propozycję dotyczącą sposobu prowadzenia dalszych negocjacji z władzami. Od tej pory wszystkie postulaty strajkujących, poza pierwszym – legalizacją Solidarności, były negocjowane przez komitety strajkowe z władzami poszczególnych zakładów, natomiast postulat dotyczący pluralizmu związkowego stał się kwestią ogólnopolską, przedmiotem negocjacji pomiędzy Lechem Wałęsą a władzami PRL.

Po zakończeniu konferencji doszło także do pierwszego spotkania członków komitetu strajkowego w porcie z reprezentantami władz portowych, jednak rozmowy zostały szybko zawieszone ze względu na rozbieżności co do miejsca i składu obu delegacji⁷⁸. Pomimo rozpoczęcia negocjacji wieczorem tego samego dnia uszczelniono blokadę portu. Już wcześniej ZOMO otoczyło port od strony lądu, a teraz do akcji przyłączyła się marynarka wojenna, która wprowadziła swoje jednostki do kanałów portowych. Z powietrza port patrolowały helikoptery⁷⁹.

Wydaje się, że przełom nastąpił 25 sierpnia; dotyczył nie tylko Szczecina, ale całego kraju. Na porannym posiedzeniu rządowego zespołu do spraw rozwiązania kryzysu gen. Kiszczak podkreślił, że rozwój sytuacji będzie zależał od trzech przedsięwzięć: portu szczecińskiego, Stoczni Gdańskiej im. Lenina i kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu⁸⁰. Wiązało się to z decyzjami, które zapadły w Warszawie, w ścisłym otoczeniu gen. Wojciecha Jaruzelskiego, a na które wpływ miały zakulisowe negocjacje ze stroną opozycyjną przy udziale przedstawicieli Kościoła. 26 sierpnia telewizja nadała wystąpienie Kiszczaka, otwierające drogę do rozmów z opozycją⁸¹. Potwierdził to również Jaruzelski w wystąpieniu kończącym plenum Komitetu Centralnego PZPR. Podjęcie decyzji o rozpoczęciu rozmów z opozycją przyniosło odprężenie; w Szczecinie siły porządkowe zrezygnowały z zaciskania blokady wokół portu. Dyrekcje portu i Zakładu Budownictwa Kolejowego podjęły zawieszone wcześniej negocjacje ze strajkującymi.

Gdy gen. Jaruzelski przekonywał KC do rozmów z opozycją, w Szczecinie komitet strajkowy Zakładu Budownictwa Kolejowego postanowił – w uzgodnieniu z MKS – zawiesić strajk. Szczeciński MKS jeszcze przed zakończeniem plenum KC PZPR, po burzliwej debacie i przy uznaniu wagi prowadzonych w Warszawie konsultacji⁸², wydał oświadczenie, w którym uznał Lecha Wa-

⁷⁷ AIPN Sz, 0053/585, t. 3, Sprawa operacyjnego rozpracowania „Blokada”, Kronika wydarzeń w WPKM w Szczecinie od 18 VIII 1988, opracowana w Wydziale V WUSW w Szczecinie, k. 1–19.

⁷⁸ MKS nie chciał się zgodzić na udział przedstawiciela zakładowej ZSMP i reprezentanta prorządowych związków zawodowych.

⁷⁹ Archiwum Państwowe w Szczecinie, Urząd Wojewódzki w Szczecinie, XXV/6, Protokół posiedzenia Wojewódzkiego Komitetu Obrony w Szczecinie, 23 VIII 1988, k. 276.

⁸⁰ M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1987...*, s. 224–226. Plenum KC PZPR odbyło się 27–28 VIII 1988 i było poprzedzone spotkaniem konsultacyjnym z członkami KC PZPR 26 VIII 1988 (A. Dudek, *Reglamentowana rewolucja...*, s. 170).

⁸¹ *Oświadczenie gen. Czesława Kiszczaka*, „Trybuna Ludu”, 27–28 VIII 1988; zob. też *Oświadczenie gen. Czesława Kiszczaka. Propozycja spotkania z przedstawicielami rozmaitych środowisk*, „Głos Szczeciński”, 27–28 VIII 1988; *Propozycja spotkania „okrągłego stołu”*, „Kurier Szczeciński”, 29 VIII 1988. Kiszczak powiedział: „Nielegalne strajki wygasają. Perspektywa ich rychłego zakończenia stwarza nową sytuację. Zostałem upoważniony jako przewodniczący Komitetu Rady Ministrów ds. Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej, aby odbyć w możliwie szybkim czasie spotkanie z przedstawicielami różnorodnych środowisk społecznych i pracowniczych. Mogłoby ono przyjąć formę »okrągłego stołu«. Nie stawiam żadnych warunków wstępnych”.

⁸² *Narodziny III Rzeczypospolitej...*, s. 242–248.

łęgę za jedynego koordynatora ogólnopolskiego protestu, upoważnił go do występowania w imieniu komitetu w walce o rejestrację Solidarności, a także do podjęcia decyzji o zakończeniu strajku, choć zastrzegł, że w Szczecinie decyzja o jego zawieszeniu musi być poprzedzona podpisaniem porozumień zakładowych dotyczących pozostałych trzech postulatów strajkowych MKS⁸³. Jednak komitet strajkowy w WPKM w wydany tegoż dnia osobnym oświadczeniu nie wyraził zgody na zakończenie strajku przez Wałęsę⁸⁴.

Przed podjęciem decyzji o zakończeniu strajku członkowie MKS konsultowali się z Wałęsą. Milczanowski przeprowadził z nim dwie rozmowy telefoniczne. MKS utrzymywał także za pośrednictwem Jerzego Zimowskiego stały kontakt z kierownictwem Solidarności w Gdańsku, kontaktował się też na bieżąco z szefem Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność w Brukseli Jerzym Milewskim⁸⁵. Głosem doradczym służył także Bronisław Geremek, który w liście do Milczanowskiego z 27 sierpnia 1988 r.⁸⁶ poinformował MKS o sytuacji w kraju oraz możliwościach negocjacyjnych Wałęsy.

29 sierpnia, po zakończeniu plenum KC PZPR, szczeciński MKS wysłał do Gdańska swoich przedstawicieli, by zapoznali przewodniczącego związku z sytuacją i nastrojami w Szczecinie⁸⁷, a dzień później kolejną wizytę w porcie złożył Siła-Nowicki⁸⁸. Pomimo toczących się rozmów przedstawicie-

le władzy nie rezygnowali z wywierania presji na strajkujących w porcie i WPKM. Prokurator Prokuratury Rejonowej w Szczecinie wezwał sześciu członków komitetu strajkowego Zakładu Budownictwa Kolejowego do złożenia zeznań w ramach toczącego się przeciwko nim śledztwa o organizowanie i kierowanie nielegalnym strajkiem⁸⁹.

W ósmą rocznicę podpisania porozumienia z 1980 r. biskupi diecezji szczecińsko-kamieńskiej odmówili pod bramą Stoczni Szczecińskiej wraz z grupą wiernych modlitwę Anioł Pański. Wieczorem bp Kazimierz Majdański odprawił w bazylice katedralnej mszę, podczas której dodawał otuchy strajkującym portowcom i pracownikom komunikacji miejskiej. W homilii powiedział: „Nie wszystko dotąd wiem. Ale powiem, co wiem i czemu pragnę dać świadectwo: Jest nowy ogromny wysiłek, który zmierza w kierunku sprawiedliwej Polski. Różnie ten strajkowy wysiłek jest nazywany, a przecież ręczę: jest to walka o legalną Polskę. I wiem, że wolno mi ręczyć – nikt z tych polskich robotników nie dopomina się o bezprawie. Robotnik był nieraz wykorzystywany, więc go i teraz z braterską miłością ostrzegamy, by się nie pozwolił przebiegle wykorzystywać, ale powtarzamy raz jeszcze: robotnik polski walczy o legalną, rządzoną prawem i sprawiedliwą Polskę”⁹⁰. Biskupi szczecińscy w ostatnich dniach strajku przebywali w porcie, obserwowali rozmowy mię-

⁸³ „Obraz” 1988, nr 7/8 (60/61), s. 36–37.

⁸⁴ *Ibidem*, s. 37–38.

⁸⁵ Relacja Andrzeja Milczanowskiego, lipiec 2008, w zbiorach autora. MKS miał z Milewskim kontakt telefoniczny. Przekazywano mu na bieżąco informacje na temat strajku w Szczecinie, dowiadywano się zaś o sytuacji strajkowej w całym kraju. Wypowiedzi telefonicznych Radiu Wolna Europa udzielał Milczanowski i Piotr Baumgart (*Szczeciński Sierpień '88*, płyta multimedialna, Szczecin 2008 – nagrania RWE).

⁸⁶ „Obraz” 1988, nr 7/8 (60/61), s. 35–36. List z 27 VIII 1988 do Milczanowskiego dostarczył następnego dnia sekretarz Bronisława Geremka, Jakub Boratyński.

⁸⁷ Upoważnienie MKS, 28 VIII 1988 [w:] *Z archiwum szczecińskiego strajku...*, s. 53–54. Upoważnienie do reprezentowania MKS uzyskali: Józef Kowalczyk, Piotr Jania, Jerzy Zimowski.

⁸⁸ Tego dnia był także w Gdańsku („Biuletyn Strajkowy” 1988, nr 1, s. 2).

⁸⁹ „Obraz” 1988, nr 7/8 (60/61), s. 41. Wszyscy wezwani odmówili złożenia zeznań i po paru godzinach zostali wypuszczeni na wolność.

⁹⁰ *VIII Rocznicą Umowy Społecznej w Szczecinie 30 VIII 1988 r.*, „Prezbiterium” 1988, t. 16, nr 7/9, s. 34; K. Majdański, *Ojczyzna jest Matką*, Łomianki 2005, s. 500.

dzy władzami zakładu i MKS. W dniu zakończenia strajku przewodniczący MKS Edward Radziejewicz podziękował bp. Majdańskiemu za wsparcie, poprosił również o odczytanie listu w całej diecezji, jako że w sytuacji braku dostępu do mediów publicznych była to jedyna możliwość szerokiego przekazu⁹¹.

31 sierpnia do strajkujących portowców dotarły wiadomości z Warszawy o spotkaniu Lecha Wałęsy z gen. Czesławem Kiszczakiem⁹². Było to pierwsze od wprowadzenia stanu wojennego oficjalne spotkanie przedstawicieli władz PRL i Solidarności. Uzgodniono podjęcie rozmów Okrągłego Stołu pod warunkiem wygaszenia przez Wałęsę strajków⁹³. Po spotkaniu z Kiszczakiem Wałęsa wydał oświadczenie, w którym zapowiedział obrady Okrągłego Stołu. Zwrócił się też do strajkujących o właściwe zakończenie negocjacji w sprawie pozostałych postulatów i ostatecznie o przerwanie strajków⁹⁴. Zgodnie z tym wezwaniem strajki w Stoczni Gdańskiej i Hucie Stalowa Wola zakończono. W Szczecinie jednak strajk trwał nadal z powodu usztywnienia stanowiska negocjacyjnego dyrekcji portu i WPKM. Wałęsa poprosił Milczanowskiego o natychmiastowe i bezwarunkowe zakończenie strajku. Ten jednak wobec braku porozumienia z dyrekcją w sprawie zapłaty wynagrodzenia za okres strajku oraz w sprawie podwyżek płac – odmówił⁹⁵.

Pod naciskiem Wałęsy MKS postanowił zakończyć strajk 3 września. Walnie do tej decyzji przy-

czyniła się obietnica dostarczenia do Szczecina przez Zbigniewa Romaszewskiego, przewodniczącego Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność, znacznej kwoty pieniędzy przeznaczonej na wyrównanie uszczerbku finansowego poszczególnych rodzin spowodowanego strajkiem⁹⁶. W oświadczeniu komitetu strajkowego w porcie napisano: „W tej sytuacji (tzn. wobec odmowy spełnienia przez dyrekcję zakładu postulatów płacowych) uważamy, że nie możemy podpisywać żadnych protokołów, nie oczekujemy żadnych gwarancji i tylko taka postawa pozwoli nam wyjść z podniesionym czołem”⁹⁷.

3 września przed południem zakończył się najdłuższy strajk w dziejach NSZZ Solidarność na Pomorzu Zachodnim. Wielotysięczny pochód pracowników komunikacji miejskiej i portu wyruszył spod bramy portu na Łasztowni i podążył w kierunku szczecińskiej katedry. Biskup Majdański odprawił tam mszę, a na jej zakończenie do strajkujących oraz członków i sympatyków Solidarności przemówił przewodniczący MKS Edward Radziejewicz. Dziękując wszystkim za wysiłek, uzasadnił zakończenie strajku, mimo że nie udało się uzyskać zapłaty za okres trwania protestu ani nawet obietnicy podwyżek⁹⁸. Potem rzesza robotników przeszła w manifestacji wspieranej żywiołowo przez szczecinian, skandując: „Solidarność”, do kościoła jezuitów pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli przy ulicy Pocztowej. Tam liderzy strajku

⁹¹ *Z archiwum szczecińskiego strajku...*, s. 70–71.

⁹² W spotkaniu udział wzięli również Stanisław Ciosek i bp Jerzy Dąbrowski.

⁹³ H. Głębocki, *Dzieje „Solidarności”...*, s. 253. Wałęsa miał mandat do rozmów na temat legalizacji Solidarności powierzony przez MKS w Jastrzębiu, MKS w Szczecinie oraz Komitet Strajkowy w Stalowej Woli.

⁹⁴ *Oświadczenie Lecha Wałęsy*, „Tygodnik Mazowsze” 1988, nr 261.

⁹⁵ J. Zimowski, *Drugi szczeciński sierpień...*, s. 10–11.

⁹⁶ Relacja Andrzeja Milczanowskiego, lipiec 2008, w zbiorach autora. Było to około 30 tys. dolarów. Przeznaczono je w całości dla strajkujących. Podczas strajku przydały się pieniądze od podziemnej Solidarności, które kilka dni wcześniej przywiózł z Gdańska Mieczysław Lisowski; zostały spożytkowane głównie na zakup jedzenia (relacja Andrzeja Milczanowskiego). Po zakończeniu strajku Milczanowski otrzymał również tysiąc dolarów od Jana Pawła II w dowód uznania za wysiłek strajkowy. Zostały one przekazane za pośrednictwem bp. Majdańskiego i w całości wykorzystane na pomoc dla strajkujących.

⁹⁷ Oświadczenie komitetu strajkowego w porcie szczecińskim, 3 IX 1988 [w:] *Z archiwum szczecińskiego strajku...*, s. 68.

⁹⁸ Film dokumentalny nakręcony w porcie na przełomie sierpnia i września 1988, w zbiorach autora.

podziękowali jego uczestnikom i osobom wspierającym za wysiłek⁹⁹.

Konsekwencje strajków

Do bezpośrednich skutków strajków sierpniowych 1988 r. należały rozmowy władzy i opozycji, zapoczątkowane spotkaniem gen. Kiszczaka z Wałęsą w Warszawie przy ulicy Zawrat. Tym samym władze po raz pierwszy od 13 grudnia 1981 r. uznały przywódcę Solidarności za partnera politycznego. Spotkanie to w zasadzie otworzyło drogę do Okrągłego Stołu, przy którym partia, przy aprobachie Kościoła katolickiego, podjęła rozmowy z dominującą częścią opozycji. Na wezwanie przywódcy Solidarności strajki, choć nie bez oporów, zostały zakończone. 15–16 września w Magdalence koło Warszawy odbyło się pierwsze spotkanie delegacji obu stron, które jednak zakończyło się niepowodzeniem, reprezentanci władzy odmawiali bowiem złożenia wyraźnej deklaracji na temat pierwszego postulatu strajkowego, tj. legalizacji NSZZ Solidarność. Brak porozumienia w tej kwestii spowodował zawieszenie rozmów i odsunięcie decyzji o rozpoczęciu zapowiadanych obrad Okrągłego Stołu na termin późniejszy – jak się okazało, dopiero na początek lutego 1989 r.¹⁰⁰

Inną konsekwencją protestów było obalenie rządu Zbigniewa Messnera, co w pewnej mierze oznaczało przyznanie się ekipy rządzącej do porażki koncepcji gospodarczych oraz fiaska reform podjętych po 1985 r. Upadek rządu Messnera

można również oceniać jako kolejny element wzmacniający skrzydło reformatorskie w obozie władzy¹⁰¹.

Strajki majowe i sierpniowe wzmocniły ponadto potencjał strony związkowej – zarówno Solidarności, jak i oficjalnego Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych – i uczyniły z kwestii pracowniczych ważny motyw rywalizacji politycznej. Ekipa gen. Jaruzelskiego musiała się już liczyć ze swoją centralą związkową, która wykorzystała strajki do rozgrywek w łonie władzy i walcie przyczyniła się do obalenia rządu Messnera¹⁰².

Strajki sierpniowe wyzwoliły ducha rywalizacji w działaczach OPZZ, świadomych tego, że nie utrzymają dotychczasowego monopolu w kwestiach pracowniczych. Domyślali się oni, że planowane porozumienie władzy z opozycją dokona się ich kosztem, w związku z tym podjęli rywalizację z Solidarnością, eskalując protesty pracownicz w zakładach. Reprezentanci OPZZ, z wiceprzewodniczącym Romualdem Sosnowskim, stanowili istotną grupę na pierwszym spotkaniu władzy i opozycji w Magdalence. W Solidarności zaś w uznaniu dla wysiłku strajkowego z maja i sierpnia 1988 r. do KKW zostali włączeni przywódcy sześciu najważniejszych ośrodków strajkowych, co znacząco wzmocniło nurt związkowy ruchu¹⁰³. Reprezentanci protestujących zakładów pracy wchodzili w skład delegacji Solidarności, która spotkała się z przedstawicielami ekipy rządzącej¹⁰⁴.

Strajk sierpniowy w Szczecinie miał istotne konsekwencje dla sytuacji politycznej w regionie.

⁹⁹ A. Milczanowski, *Siły sprawcze...*, s. 82–83; A. Milczanowski, *Sierpniowy strajk...*, s. 57–58; J. Zimowski, *Drugi szczeciński sierpień...*, s. 12–15.

¹⁰⁰ Szerzej na temat przebiegu tych spotkań zob. K. Dubiński, *Magdalena. Transakcja epoki. Notatki z poufnych spotkań Kiszczak – Wałęsa*, Warszawa 1990; J. Skórzyński, *Rewolucja...*, s. 163–172; A. Dudek, *Reglamentowana rewolucja...*, s. 174–180.

¹⁰¹ Wcześniej do rosad w ekipie władzy doszło na VII plenum KC PZPR (M.F. Rakowski, *Jak to się stało*, Warszawa 1991, s. 112–116).

¹⁰² M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1987...*, s. 228–230.

¹⁰³ 10 IX 1988 w posiedzeniu KKW uczestniczyli reprezentanci: Międzyzakładowej Komisji Organizacyjnej w Gdańsku – Jacek Merkel, MKS w Jastrzębiu – Alojzy Pietrzyk, MKS w Szczecinie – Edward Radziewicz, komitetu strajkowego w Stalowej Woli – Władysław Liwak i Marek Bąk, Komisji Organizacyjnej NSZZ Solidarność Huty im. Lenina – Maciej Mach, Komisji Górniczej Zagłębia Miedziowego – Władysław Grocki. Reprezentanci tych struktur od 25 IX 1988 weszli w skład KKW.

¹⁰⁴ W delegacji Solidarności na spotkanie w Magdalence 16 VIII 1988 reprezentantami strajkujących komitetów z maja i sierpnia 1988 byli: Władysław Liwak, Jacek Merkel, Alojzy Pietrzyk, Edward Radziewicz, Henryk Sienkiewicz.

Zdecydowanie wzmocniła się pozycja Milczanowskiego w Solidarności; strajk potwierdził jego wpływy wśród robotników. Protest odegrał również ważną rolę w wyłanianiu się z nieprzygotowanej do koncepcji Okrągłego Stołu wojewódzkiej instancji partyjnej grupy skłonnej do szukania

porozumienia z opozycją. W trakcie strajku doszło do pierwszych spotkań pomiędzy I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR Stanisławem Miśkiewiczem i wojewodą Stanisławem Malcem a jednym z liderów Solidarności w regionie Andrzejem Milczanowskim¹⁰⁵.

¹⁰⁵ AIPN Sz, 0053/574, Sprawa operacyjnego rozpracowania „Port”, k. 250–251; relacje Stanisława Malca (lipiec 2008), Andrzeja Milczanowskiego (lipiec 2008), w zbiorach autora.

EUROPA DYSYDENTÓW

OPOZYCJA DEMOKRATYCZNA NA WĘGRZECH: DYSKUSJE PROGRAMOWE

ANDRÁS BOZÓKI

politolog i socjolog, profesor Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie, przewodniczący komitetu nauk politycznych Węgierskiej Akademii Nauk. W 1989 r. uczestniczył jako reprezentant opozycji w rozmowach węgierskiego Okrągłego Stołu. W latach 2005–2006 minister kultury. Autor wielu publikacji na temat transformacji demokratycznej, m.in. *The Round table Talks of 1989: The Genesis of Hungarian Democracy* (2002), *Politikai pluralizmus Magyarországon 1987–2002 [Pluralizm polityczny na Węgrzech 1987–2002]* (2003).

Tematem tego artykułu jest obraz własny, tożsamość, strategie i dyskurs programowy różnych odłamów węgierskiej opozycji demokratycznej. W odległym sensie zrodziła ją rewolucja 1956 r. i idee reformistyczne 1968 r., jednak niezależne ugrupowania i subkultury pojawiły się na Węgrzech dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych. Złoty wiek opozycji demokratycznej przypada na lata 1980–1988 – w tych ramach czasowych zamyka się niniejsza analiza. Wtedy właśnie opozycjoniści, dotąd z rzadka wypowiadający się krytycznie o reżimie socjalistycznym, zaczęli określać się jako zwarta i coraz lepiej zorganizowana opozycja demokratyczna¹.

W latach osiemdziesiątych ugrupowania opozycyjne coraz usilniej szukały płaszczyzny dialogu z różnymi kręgami węgierskiej inteligencji za pośrednictwem drugiego obiegu wydawniczego. Dotarcie do ogółu społeczeństwa wymagało czasu, jednak reakcja czołowych intelektualistów reformatorskich była natychmiastowa. Szczególnie dużą rolę odegrały cztery pisma drugiego obiegu – „Beszélő”, „Hírmondó”, „Demokrata” i „Égtájak között”. Radio Wolna Europa nagłaśniało te idee, włączając je w szeroki obieg społeczny.

Pisma niezależne i ugrupowania opozycyjne

„Beszélő” („Widzenie”)

W latach 1981–1989 ukazało się 27 numerów tego najważniejszego pisma węgierskiego drugiego obiegu. Redagowali je znani opozycjoniści: Miklós Haraszti, János Kis, Ferenc Kőszeg, Bálint Nagy, György Petri, Ottília Solt i Sándor Szilágyi. W piśmie zamieszczano artykuły na temat teorii, strategii i praktyki opozycji, a także raporty z badań. Publikowała w nim opozycyjna czołówka, m.in. György Konrád, János Kenedi, Gáspár Miklós Tamás, Miklós Szabó, Erzsébet Szalai, Pál Szalai, Bálint Magyar, Iván Pető, Gábor Iványi i Mihály Vajda².

¹ Pragnę podziękować Kindze Gyórfy i Annie Menyhért za pomoc w badaniach.

² Autorzy zatrudnieni na uniwersytetach i instytutach badawczych publikowali zwykle pod pseudonimami.

W pierwszym numerze nieformalny redaktor naczelny János Kis przedstawił ambitne plany pisma pragnącego być czymś więcej niż „opozycyjna kronika filmowa”. „Chcielibyśmy najlepiej jak potrafimy wesprzeć cichy protest społeczeństwa, kreśląc piękniejszy jego obraz w czasach, gdy dwie nieliczne mniejszości – władza i opozycja – toczą ze sobą głośny spór”³.

Wstępniak Kisa nie wskazywał jasnego programu politycznego. Miał poruszyć. Zamiast programu „Beszélő” oferowało informacje pozwalające „cicho protestującemu” społeczeństwu zrozumieć je i podać dalej. Wysiłek ten podjęli intelektualiści, którzy wierzyli w potęgę słów, ich wpływ na procesy społeczne, i chcieli zastąpić pogłoski faktami. „Beszélő” wypełniało więc tradycyjną rolę prasy – rozpowszechniało wiarygodne informacje, powstrzymując się zarazem od formułowania programów politycznych. Donosiło o przykładach obywatelskiego nieposłuszeństwa – realnych, a nie hipotetycznych przypadkach kwestionowania reguł autorytarnej władzy. Pokazywało obszary życia zbiorowego, w których społeczeństwo sprzeciwia się reżimowi w nadziei, że upublicznienie pojedynczych aktów protestu pozwoli tym, którzy działają osobno, ale w podobnym celu, dowiedzieć się o sobie i nawiązać kontakt.

Po upadku reżimu w 1989 r. János Kis tak uzasadniał publikację trzytomowego wydania wszystkich numerów: „Dziś założenie pisma to biznes, natomiast »Beszélő« zrodziło się z przyczyn moralnych. Chcieliśmy korzystać z prawa do wyrażania i rozpowszechniania naszych idei, nawet jeśli zakazywały tego ówczesne przepisy. [...] Jediną naszą tarczą była etyka, ale zabieranie głosu zza ochronnego muru praw człowieka miało wyzwalać skutek. Tytuł »Beszélő« (więzienna sala widzeń) oddawać miał nasze położenie – siedzieliśmy za kratkami, byliśmy więźniami, któ-

rym w sali widzeń wolno swobodnie porozmawiać z bliskimi. [...] Nie byliśmy ani reformatorami, ani rewolucjonistami. Byliśmy świadomi tego, że we współczesnych Węgrzech nie jesteśmy ugrupowaniem rewolucyjnym. Nie byliśmy też reformistami, przynajmniej w tym sensie, w jakim rozumiano wówczas »reformizm«. Reformatorzy lat osiemdziesiątych akceptowali obowiązujące reguły i w ich ramach starali się skłonić władzę do reform. [...] My uważaliśmy, że dalszy postęp nie jest możliwy, skoro rządzący mogą w każdej chwili wycofać się z poczynionych ustępstw. Postęp wymagał stworzenia chronionej prawami sfery autonomii społecznej. Uważaliśmy też, że korzystania z praw nie można nikomu przyznać – że trzeba to wywalczyć. Tylko świadome korzystanie z praw zapewnia ich ochronę. To było najważniejsze przesłanie demokratycznej opozycji, oprócz jeszcze jednego – że reżim nie jest w stanie jak w minionych dziesięcioleciach powstrzymać fali sprzeciwu, protestu społeczeństwa zyskującego świadomość swych praw. Innymi słowy, za demonstracyjnym korzystaniem z praw krył się zamysł polityczny. Liczyliśmy się z policyjnym odwetem – rewizjami w mieszkaniach, konfiskatami, zatrzymaniami. Ale liczyliśmy też na skutki naszej wygranej – na ułatwienie innym poszerzania obszaru tolerowanego nieposłuszeństwa.

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych społeczeństwo nie wierzyło w trzecią drogę między politycznie bezsilną retoryką rewolucyjną a obozem odgórnym reform. »Beszélő« dowodziło, że trzecia droga istnieje i za nieskorzystanie z tej szansy kraj zapłaci wysoką cenę. Wbrew rozpowszechnionym mniemaniom szerzyliśmy pogląd, że zamach wojskowy w Polsce 13 grudnia 1981 r. nie był – w odróżnieniu od 4 listopada 1956 r. i 21 sierpnia 1968 r. – końcem rewolucji w regionie. Naszym zdaniem zapoczątkował on powszechny

³ J. Kis, *Beköszöntő* [Wstęp], „Beszélő” 1981, nr 1, s. 1.

krzys radzieckiego porządku. Dla nas kluczowym pytaniem było to, jak Węgry przygotowują się na kulminację tego kryzysu”⁴.

Publikowane materiały i ranga polityczna czyniły z „Beszélő” najważniejsze pismo polityczne opozycji. Ukazywały się w nim najznakomitsze analizy strategiczne autorstwa opozycjonistów, którzy stali się czołowymi postaciami epoki transformacji.

„Hírmondó” („Dziennik”)

Pierwszy numer ukazał się w listopadzie 1983 r., a po nim do 1988 r. wyszło jeszcze 26⁵. Pismo redagowali Gábor Demszky i Róza Hodosán⁶. W latach 1985–1986 pomagali im András Nagy i György Gadó⁷. Wśród publikowanych autorów najczęściej powtarzają się Gábor Demszky, András Nagy, Gáspár Miklós Tamás, Pál Szalai, Mihály Vajda, György Konrád, György Krassó i György Gadó. Zgodnie ze złożoną w pierwszym numerze obietnicą pismo „skupiło się na dążeniach krajów Europy Wschodniej do demokratycznej odnowy”⁸. Obietnicy tej dotrzymało do końca – połowa artykułów w każdym numerze dotyczyła problematyki Europy Środkowo-Wschodniej⁹. Były to przekłady tekstów ukazujących się w środkowoeuropejskich (zwłaszcza polskich) pismach niezależnych, ale też publikacje emigracyjne oraz artykuły z zachodnioniemieckiej „Frankfurter Allgemeine Zeitung”

i austriackich „Die Presse” i „Gegenstimmen”¹⁰. Opisywały one sytuację w Rumunii, Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. Dwoma najczęściej publikowanymi niezależnymi autorami spoza Węgier byli Adam Michnik i Václav Havel. Redaktorzy „Hírmondó” zamieszczali artykuły o demokratycznych przemianach w Jugosławii¹¹. Drukowali bieżące raporty na temat ruchu dysydenckiego i prześladowań w Związku Radzieckim, a także wywiady z przebywającymi na Zachodzie emigrantami radzieckimi¹².

„Demokrata”

Ukazało się 41 numerów tego pisma, które wychodziło w latach 1986–1989, a redagował je Jenő Nagy. Większość tekstów pisali sami redaktorzy, zachowujący – oprócz naczelnego – anonimowość: György Gadó, Béla F. Reymund, Szilárd Stark, Róbert Sasváry, Imre Kármentő, Csaba Öskü.

W pierwszym numerze redaktorzy pisma opowiedzieli się za pluralizmem politycznym. „»Demokrata« pozdrawia wszystkich demokratycznych czytelników [...] bez względu na to, czy są za demokracją burżuazyjną, chrześcijańską, ludową, czy socjaldemokracją”¹³. Wybrali podejście praktyczne, chcieli być uzupełnieniem dostępnej oferty publikacji opozycyjnych: „»Demokrata« widzi siebie w bardziej praktycznej roli forum walki o demokratyczne swobody. W ten sposób chcemy

⁴ J. Kis, *Előszó [Wstęp]* [w:] *Beszélő. Összkiadás 1981–1989* [„Beszélő”. Wybór z lat 1981–1989], t. 1, red. F. Havas i in., Budapest 1992, s. 5–6 [przypisy do „Beszélő” w niniejszym tekście odnoszą się do tegoż wydania – red.].

⁵ Od 1984 do końca 1987 r. „Hírmondó” i „Beszélő” były drukowane w gospodarstwie László i Erzsébet Somogyi na terenie parku narodowego Kiskunsági.

⁶ W artykule wstępnym wyjaśniono powody anonimowości redaktorów – *Beköszöntő [Wstęp]*, „Hírmondó” 1983, nr 1, s. 1.

⁷ György Gadó i Győző Ravasz publikowali pod pseudonimami. Gadó redagował też pismo „Demokrata”.

⁸ *Beköszöntő*, „Hírmondó” 1983, nr 1, s. 1.

⁹ „[...] a kelet-európai, aki persze közép-európai” – „[...] wschodni Europejczyk, który jest oczywiście z Europy Środkowej” (M. Haraszti, *Jogvédő rögeszmetár [Obsesja ochrony prawnej]*, „Hírmondó” 1986, nr 20, s. 17).

¹⁰ Np. publikowano za „Gegenstimmen” komentarze historyków angielskich.

¹¹ Np. pisma Danilo Kisa.

¹² Publikowano węgierskie przekłady zapisów wywiadów radiowych w języku rosyjskim.

¹³ *Demokrata*, „Demokrata” 1986, nr 1/2, s. 1.

wzbogacić prasę niezależną. Innymi słowy, nie chcemy konkurować z obecnymi na rynku pismami opozycyjnymi – »Beszélő«, »Hírmondó«, »Vakond«, »Égtájak között«, »Máshonnan Beszélő«. Chcemy raczej uzupełniać ich ofertę programową. Chcemy być aktywni i dobrze poinformowani¹⁴. Postawa pragmatyczna i krótkie, łatwe teksty sprawiły, że Radio Wolna Europa nazwało „Demokratę” „opozycyjnym tabloidem”¹⁵.

W odróżnieniu od „Hírmondó”, koncentrującego się na interpretacjach dziedzictwa intelektualnego Europy Środkowo-Wschodniej, „Demokrata” zajmował się demaskowaniem przewinień i kłamstw władz węgierskich. Zamiast ogólnych analiz przeważała więc w nim twórczość doraźna, krytyczna, subiektywna. Opozycjoniści z kręgu „Demokraty” pisali ostro, prowokacyjnie, dążąc do konfliktu, co kontrastowało z powściągliwą, kompromisową postawą intelektualistów z „Hírmondó”.

„Égtájak között” („Pomiędzy Kierunkami”)

Pismo zaczynało jako biuletyn koła Vox Humana na Uniwersytecie Budapeszteńskim im. Loránda Eötvösa. Pojawiło się w listopadzie 1984 r. jako środkowoeuropejski magazyn nauk społecznych wydawany przez wydziały humanistyczne tej uczelni. Pierwszych sześć numerów i numer specjalny poświęcony literaturze ukazało się legalnie. Jednak wskutek cenzuralnych ograniczeń pismo przeszło na niezależny druk powielaczowy – w tej

wersji ukazało się trzynaście kolejnych numerów. Redagowali je Ervin János Lázár¹⁶, Zsolt Keszthelyi¹⁷, Olga Diószegi, Gyula Bartók, László Rusai, József Talata i Mikolta Bognár.

Na łamach „Demokraty” ukazał się artykuł o „Égtájak között” zatytułowany *Z dziejów prasy niezależnej*. Czytamy w nim, że pragnęło ono być pismem niekonwencjonalnym, poświęconym „dokumentowaniu ludzkich losów”¹⁸: „Większość tekstów opowiada o trudnych realiach życia codziennego [...]. Zajmujemy się przede wszystkim mechanizmami samozachowawczymi zrodzonymi z życiowego doświadczenia, które pozwalają jednostce zachować niezależność”¹⁹.

„Égtájak között” publikowało regularny rejestr policyjnych prześladowań – wezwań na przesłuchania, śledzenia przez agentów, rewizji w mieszkaniach i konfiskat – zwracając szczególną uwagę na warunki w aresztach i los „oddzielonych” Węgrów [mieszkających w krajach sąsiednich – red.]. „Égtájak között” jako jedyne węgierskie pismo niezależne publikowało regularnie prozę, poezję²⁰ i grafiki. Powstało w środowisku młodych opozycjonistów, którzy odrzucili orientację polityczną głównego nurtu, wzbogacając ofertę opozycyjną o alternatywne idee. Zamiast demokracji partii politycznych opowiadali się za demokracją społeczną. Uważali, że oprócz tworzenia lokalnych forów demokracji niezbędne jest wykorzystanie energii społecznej grup dążących nie tyle do przejęcia władzy politycznej, ile do poszerzenia sfery publicznej²¹.

¹⁴ *Ibidem*.

¹⁵ „W programie »Gondolatforgató« [Obroty myśli] Radio Wolna Europa zaprezentowało nasze pismo. Właśnie wtedy padły słowa, że »Demokrata« jest tabloidem opozycji. [...] Sądźmy, że nie odpowiada to rzeczywistości ani naszym zamiarom. Chcielibyśmy dać do rąk naszym czytelnikom pismo łatwiejsze, popularne i żywsze od innych, szacownych publikacji drugiego obiegu, ale nie jesteśmy tabloidem” (*Szerkesztői reflexió [Redakcyjne refleksje]*, „Demokrata” 1986, nr 6, s. 10).

¹⁶ Ervin János Lázár wyemigrował do Danii w 1986 r.

¹⁷ Zsolt Keszthelyi rozstał się z pismem jesienią 1986, ale pozostał członkiem koła Vox Humana. Za odmowę służby wojskowej trafił do więzienia.

¹⁸ L. Rusai, *Színek – Égtájak között 1984–?* [Kolory – „Égtájak között” 1984–?], „Demokrata” 1988, nr 3, s. 22.

¹⁹ *Ibidem*, s. 21.

²⁰ Tłumaczono też m.in. nowele Bohumila Hrabala i wiersze Zbigniewa Herberta.

²¹ J. Talata, *Feladataink [Nasze zadania]*, „Égtájak között”, lipiec 1986, s. 12–18.

Między państwem a społeczeństwem

Opozycjoniści związani z „Hírmondó” łączyli wartości demokratyczne z europejskim dziedzictwem intelektualnym, natomiast autorzy „Demokraty” sięgali do narodowej przeszłości, a zwłaszcza do rewolucji 1956 r., którą nazywali „ludowo-demokratyczną”, absolutyzując jej kapitał ideowo-moralny²². Na tym emocjonalno-intelektualnym fundamencie opierali sprzeciw wobec reżimu.

Za swoje zadanie w życiu publicznym intelektualści z „Hírmondó” uważali pośredniczenie między władzą a społeczeństwem. „My, piszący w drugim obiegu, nie możemy przerwać bojkotu olimpiady, ale możemy wykrzyczeć społeczne oburzenie na Węgierski Komitet Olimpijski: »to nie przejdzie!«”²³. „W demokracji intelektualści nie powinni zajmować się tym, co ważne dla nich, ale szukać sposobów artykułowania woli społeczeństwa”²⁴. Oprócz wyrażania pragnień i poglądów społeczeństwa za swój obowiązek autorzy z kręgu „Hírmondó” uważali także kształtowanie opinii publicznej. „Człowiek półtorwellowski, wytresowany chłop, bardzo przydaje się rządzącym, nam jednak, tęskniącym za lepszym życiem, za postępem, za udziałem w rodzącej się europejskiej społeczności samoświadomych jednostek ta ułomna kreatura stoi na drodze. Musimy sprawić, by

ambicje zawodowego i ludzkiego spełnienia szły w parze z pragnieniem stania się obywatelami wolnymi i równymi wobec prawa”²⁵.

Jak na ironię ci, którzy najczęściej mówili o konieczności mediacji, artykułowania²⁶ i kształtowania opinii publicznej, byli zarazem najbardziej sceptyczni co do szans zrobienia czegoś sensownego w tym zakresie. Nie mieli złudzeń – „intelektualiści są odizolowani od zwykłych ludzi”²⁷. Wielu intelektualistów traktowało społeczeństwo, naród i wolę zbiorową jak abstrakcyjne, jednorodne konstrukty. Rzadko uwzględniali podziały społeczne – to, że społeczeństwo składa się z różnych grup, mających różne interesy, marzenia i zamiary, różnie usytuowanych względem władzy. Debatając o upartej walce z systemem, podkreślali przede wszystkim aspekty emocjonalne i moralne. „Razem z wieloma tak sławnymi, jak i nieznanymi kolegami robimy, co do nas należy – działamy na rzecz wolności słowa. Nasi sceptyczni znajomi widzą, że nie kwestionujemy sensu tego, co robimy, i śmieją się z nas. Można zastanawiać się, czy postępujemy właściwie. Ale kiedy stwierdzamy, że coś jest moralnie słuszne, nie powinniśmy się z tego śmiać”²⁸.

Intelektualiści z „Hírmondó” na bieżąco rejestrowali represje władz komunistycznych, takie jak bezprawne przetrzymywanie w aresztach, szy-

²² B.F. Reymund, *Tartsuk be a játékszabályokat* [Trzymajmy się reguł gry], „Demokrata” 1986, nr 7/8, s. 21.

²³ Kontekstem było zbojkotowanie przez kraje bloku wschodniego olimpiady w Los Angeles. *Gyepől és kurázsi* [Hamulce i odwaga], „Hírmondó” 1984, nr 6/7, s. 3.

²⁴ *Tamás Gáspár Miklós nyílt levele Mihai Korne-hoz* [List otwarty G.M. Tamása do Mihaia Korne’a], „Hírmondó” 1984, nr 9, s. 27.

²⁵ A. Nagy, *A 229-es csapdája. Utóirat a Demszky-perhez* [Paragraf 229. Postscriptum do procesu Demszkyego], „Hírmondó” 1984, nr 6/7, s. 62.

²⁶ Co więcej, mówili też często o braniu na swoje barki problemów społeczeństwa. Intelektualiści „w sposób bardzo demokratyczny, ale dość staromodny, znów chcą wziąć na swe barki ciężary ludu” (G.M. Tamás, *Zsiga, te destruktív vagy! (kultúrpolitikai harcok és farce-ok)* [Zsiga, jesteś destrukcyjny! (Kłótnie i farsa w polityce kulturalnej)]), „Hírmondó” 1983, nr 2, s. 39).

²⁷ *Ibidem*.

²⁸ G.M. Tamás, *Egy pohár törköly Demszky Gábornak* [Kieliszek pálinki dla Gábora Demszkyego], „Hírmondó” 1984, nr 5, s. 43. „Naszym obowiązkiem – pisał w innym miejscu – jest myślenie o rzeczach, które wykraczają poza dyktaturę będącą naszą rzeczywistością, ale mieszczą się po tej stronie utopii. Musimy zastanowić się, co moglibyśmy zaproponować uczciwym demokratom, gdyby narody Europy Środkowo-Wschodniej nie chciały już żyć razem” (*Tamás Gáspár Miklós nyílt levele Mihai Korne-hoz* [List otwarty G.M. Tamása do Mihaia Kornea], „Hírmondó” 1984, nr 9, s. 27).

kany polityczno-biurokratyczne i korupcja. Nie mieli nadziei na przejęcie odpowiedzialności za rządy ani nie pragnęli tego²⁹. Mimo to nie odrzucali dialogu z władzą.

Natomiast opozycjoniści ze środowiska „Demokraty” nie sądzili, by samoograniczenie było na dłuższą metę możliwe; ich ostatecznym celem było zdobycie władzy³⁰. Często wykorzystywali akcenty populistyczne, utożsamiali też naród ze społeczeństwem, którego byli konstytutywną częścią³¹. Nie chcieli pośredniczyć między społeczeństwem a władzą, woleli być jego tubą, wyrażać jego domniemane żądania. O ile „Hírmondó” kładło nacisk na polityczno-geograficzną ideę Europy Środkowo-Wschodniej, o tyle w „Demokracie” dominował temat relacji z rządzącymi komunistami³². Pismo sytuowało się w opozycji do władzy i *status quo*.

W „Demokracie” znajdziemy zdecydowanie więcej niż w „Hírmondó” opisów policyjnych represji, rewizji domowych i przesłuchań. Z pisma wyłania się znacznie bardziej dramatyczny obraz rzeczywistości³³ – być może dlatego, że to środowisko, kattegorycznie odmawiające współpracy z reżimem, częściej podlegało represjom³⁴. Na łamach „Demokraty” poruszano cały wachlarz tematów – rola Kościoła, emigracja, mniejszość węgierska w krajach ościennych, problemy społeczności Romów, obecność wojsk radzieckich na Węgrzech, odmowa służby wojskowej, kwestia żydowska, ochrona śro-

dowiska, kultura masowa itp. Jednak bez względu na temat zawsze kończyło się na potępieniu dyktatury, a każdy wątek okazywał się kluczowy dla losów narodu. W „Hírmondó” natomiast chętniej dyskutowano o kwestiach kluczowych „dla losu tego pokolenia”³⁵. Preferowano szerszy kontekst i mniej partykularną tematykę.

Ważnym elementem samookreślenia tych grup było poszukiwanie wzorów osobowych i preferowanych postaw. Warto zastanowić się, czy w ogóle potrzebne im były własne wzory osobowe. Z poniższego cytatu z „Hírmondó” (1984) wynika, że twórcy pisma sięgnęli po wzory środkowoeuropejskie, bo nie znaleźli żadnych we własnym kraju. Nie byli zadowoleni ani z siebie, ani z reszty opozycji. „O wiele większe wrażenie robią na nas miliony, które bronią w Polsce znieważanych, zwalczanych i zepchniętych do podziemia wolnych związków zawodowych, to jak potrafią chronić i ukrywać przywódców Solidarności. Nie zachwyca nas rzekoma wspaniałomyślność reżimu Jaruzelskiego – raczej niezłomność jego jeńców, którzy wolą więzienie od racjonalnych argumentów i skrywanych prób skorumpowania ich przez władze. Odrzucamy tzw. humanizm państwa policyjnego. Doceniamy natomiast to, że mimo 2,5-letnich represji w Polsce nadal wychodzi blisko pięćset podziemnych gazetek i pism. Tak: nie pięć, tylko pięćset. [...] Ślemy im pozdrowienia z okazji tego, że więzieną udrękę mają już za sobą. Pragnęlibyśmy mieć

²⁹ G.M. Tamás, *Üdvözlet, óvás és kacaj [Życzenia, rozważa i śmiech]*, „Hírmondó” 1987, nr 24, s. 4.

³⁰ „Jak to możliwe, że nie rozpadają się ruchy polityczne pozbawione szans wzrostu, a nawet kiedy rosną, pozbawione są pełni władzy politycznej (a nawet roli języczka u wagi)” (R. Sasváry, *Ellenzék a hódoltságban [Antyopozycyjne represje]*, „Demokrata” 1986, nr 7/8, s. 18.)

³¹ Na temat ich stosunku do społeczeństwa zob. *ibidem*, s. 19.

³² W przypadku środowiska „Hírmondó” mówię celowo o budowaniu tożsamości, a nie kontrtożsamości.

³³ Na temat różnicy między wydziedziczeniem i wykluczeniem zob. R. Sasváry, *Ellenzék a hódoltságban [Antyopozycyjne represje]*, „Demokrata” 1986, nr 7/8, s. 16.

³⁴ W „Hírmondó” stosowano się do zasad konspiracji. Redaktorzy, dystrybutorzy i drukarze funkcjonowali osobno. Dbano o to, żeby powielacze nie wpadły w ręce policji. Natomiast Jenő Nagy i jego koledzy zasady te zaniedbywali, więc byli nieustannym celem policyjnych nalotów.

³⁵ Por. M. Vajda, *Megcsalt nembeliség vagy megvalósult orosz történelem [Zwodnicze pocztki rosyjskiej historii]*, „Hírmondó”, sierpień-wrzesień 1986, s. 54.

i u nas setki takich intelektualistów jak Kuroń, Michnik czy Lipski i takich robotników jak Wałęsa, Bujak i ich koledzy”³⁶.

W „Hírmondó” patos pojawiał się tylko wtedy, gdy mowa była o innych ruchach wolnościowych³⁷. Pismo stroniło od ukazywania w takim stylu własnych osiągnięć – inaczej niż „Demokrata”, dramatycznym językiem opisujący węgierską scenę polityczną i swoje cierpienia. Represje – powiadali jego redaktorzy – są tak straszne, że nie wolno im milczeć: „Nawet zwierzęta skowyczą, kiedy coś im zagraża. Ludzie zwykle krzyczą »pożar!«. A dziś grozi nam nie jakiś ogienek, tylko wielka pożoga”³⁸. Uważali za swój obowiązek demaskowanie postępowania reżimu. W odniesieniu do władz używali takich pojęć jak pseudodemokracja³⁹, miękka dyktatura, demokracja socjalistyczna⁴⁰ i absolutyzm oświecony⁴¹. „Można ostatecznie uznać węgierski reżim za liberalny – w końcu opozycyjnym intelektualistom i działaczom nie wytacza się procesów politycznych. Ale są inne metody. Zdejmijmy mu odciski palców, zróbmy parę zdjęć, a upokorzymy go, damy posmak więzienia. Uświadomimy, że jak nie przyjmie marchewki, to

pokosztuje kija”⁴². „Powiedzmy też jasno – pisali w innym artykule – że gospodarcze osiągnięcia reżimu Kádára są względne. W porównaniu z prawdziwymi demokracjami wydają się ograniczone i zacofane”⁴³.

Opozycjoniści z tego kręgu wykluczali w warunkach pseudodemokracji kompromis z władzą dyktatorską, postrzegając go w kategoriach moralnych. Uważali, że oznacza on zadowolenie się byle czym, rezygnację z własnej tożsamości. „Czy uczciwy ruch polityczny zaakceptuje wieczny kompromis? Kompromis jest nieodłączną częścią polityki, ale by był uczciwy i akceptowalny, nie może obowiązywać na wieczność ani oznaczać zanegowania naszej tożsamości. [...] W przewidywalnej przyszłości trudno oczekiwać kompromisu między rządzącymi a opozycją, który pozwoliłby tej ostatniej zachować polityczną twarz”⁴⁴. Ostatecznym, często przypominanym celem autorów „Demokraty”⁴⁵ było pokonanie reżimu: „Ile warta jest opozycja, która nie potrafi obalić rządu ani systemu?” – pytali⁴⁶. „Warunkiem zwycięstwa demokracji jest obalenie dyktatury partii komunistycznej”⁴⁷.

³⁶ R- -ő, *Emberi arcú rendőrállam?* [Policyjne państwo z ludzką twarzą?], „Hírmondó” 1984, nr 9, s. 1–2.

³⁷ Patos wyrażał się powtórzeniami, porównaniami, kulminacjami. Używano też obficie słów wyrażających silne emocje, jak „czuć wielki podziw”, „być zdumionym” czy „zauroczonym”.

³⁸ *Megnyugtattak: most más időket élünk* [Czujemy się uspokojeni – żyjemy w innych czasach], „Demokrata” 1987, nr 7/8, s. 66.

³⁹ *Mintha-ország [Jakby kraj]* i *Széljegyzet a válsághoz* [Na marginesie kryzysu], „Demokrata” 1987, nr 12, s. 2.

⁴⁰ „Gdyby władze [...] naprawdę chciały, jak mówią, demokratyzacji, mogłyby bezpiecznie powierzyć los stowarzyszeń ich członkom i wybranym kierownictwom. [...] Ale to oczywiście byłoby za proste. Wtedy mielibyśmy demokrację, a nie demokrację socjalistyczną, która jest tak czy inaczej nonsensem” (*Milyen fa a legjobb vaskarika készítéséhez?* [Jak najlepiej wykreować nonsense?], „Demokrata” 1986, nr 11, s. 43).

⁴¹ „[...] mimo całej tej »liberalizacji« logika systemu pozostaje ta sama. Absolutyzm oświecony pozostaje absolutyzmem. Jego »oświecona« łaska jest kapryśna. Jego istota pozostaje absolutyzm” (L. Serfőző, *A lényeket nem lehet kikerülni* [Nie unikniemy istoty rzeczy], „Demokrata” 1987, nr 1, s. 12).

⁴² Brávó, *Reszkessetek demokraták!* [Drżycie demokraci!], „Demokrata” 1987, nr 9, s. 3.

⁴³ S. Stark, *Aki magyar, velünk tart?* [Czy Węgrzy są z nami?], „Demokrata” 1986, nr 11, s. 28/c. Por. „Dla pewnej warstwy – beneficjentów gulaszowego komunizmu – Kádár stał się wujkiem Joe, ale na pewno nie dla nas” (I. Kármentő, *Az elnyomás csöndje* [Milczenie udręczonych], „Demokrata” 1986, nr 11, s. 13).

⁴⁴ R. Sasváry, *Ellenzék a hódoltságban* [Antyopozycyjne represje], „Demokrata” 1986, nr 7/8, s. 17–18.

⁴⁵ Tu i dalej mówić będę o intelektualnych kręgach czy środowiskach pism „Hírmondó” i „Demokrata”.

⁴⁶ R. Sasváry, *Ellenzék a hódoltságban* [Antyopozycyjne represje], „Demokrata” 1986, nr 7/8, s. 18.

⁴⁷ L. Serfőző, *A lényeket nem lehet kikerülni* [Nie unikniemy istoty rzeczy], „Demokrata” 1987, nr 1, s. 12.

Między reformą a rewolucją: debata o strategii politycznej w kręgu „Beszélő”

János Kis, czołowa postać opozycji, w 1982 r. opublikował w „Beszélő” esej *Gondolatok a közeljövőről* (*Myśli o nadchodzącej przyszłości*)⁴⁸. Sprowokował on wielką debatę o strategii i odegrał zasadniczą rolę w podejmowaniu decyzji o przekształceniu się w opozycję polityczną.

Zdaniem Kisa rzeczywistość lat osiemdziesiątych wymagała od opozycji programu działania. W dyskusji, którą wywołał, zastanawiano się, czy opozycja jest częścią kádarsowskiego konsensusu, czy potrzebuje programu politycznego, czy też winna pozostać opozycją kulturową – jak to ujął Mihály Vajda, „krytyczną opinią publiczną”⁴⁹. W pierwszej kwestii nie było zgody, nie istniała więc wspólna tożsamość opozycyjna, gdy przyszło do określenia, kto i co podlega krytyce, a kto jest sojusznikiem. Wielu uważało, że trzeba współpracować z tymi przedstawicielami władzy, którzy pragną wspólnie działać na rzecz reform. Zdaniem innych opozycja nie jest i nie powinna być elementem kádarsowskiego konsensusu. Spierano się też o to, czy potrzebny jest program polityczny; jedni uważali, że tak, inni – że szukanie konkretnych rozwiązań politycznych nie jest zadaniem opozycyjnych teoretyków.

Pierwszy numer „Beszélő” ukazał się w listopadzie 1981 r., ledwie parę tygodni przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego. Na łamach pisma dało się zauważyć szok spowodowany *coup d'état* Jaruzelskiego. Pod znakiem zapytania stał sens dalszej publikacji. Niektórzy, pamiętając lata 1956 i 1968, spodziewali się antyreformatorskiego, konserwatywnego zwrotu, nowej, długiej

„epoki lodowcowej”. W swoim artykule János Kis sprzeciwił się tym prorocstwom. „Chciałbym przekonać moich przyjaciół, że to zwodnicza paralela. Bez względu na to, co czeka ugrupowania opozycyjne, nie jest możliwy powrót do *status quo*”⁵⁰. Na dowód tej śmiałej tezy przypominał, że gospodarcza zapaść regionu ma nie tylko doraźne przyczyny. Polska Solidarność złamała na dobre legitymizację ustroju socjalistycznego. W odróżnieniu od lat 1956 i 1968 polska próba demokratyzacji jest nie tylko obroną wartości – także żądaniem gwarancji na przyszłość. Oto ruch robotniczy rzucił wyzwanie „państwu robotników i chłopów”. Skoro tak – twierdził Kis – początek lat osiemdziesiątych jest w Europie Wschodniej nie tylko czasem reakcji, powrotu dawnego, ale i narastającego kryzysu gospodarczo-politycznego, który nie oszczędzi Związku Radzieckiego. „Dziś przywódcy radzieccy chcą w Europie Wschodniej tylko jednego – chcą za wszelką cenę utrzymać ład. Jednak ich następcy będą musieli zdecydować, co zrobić z masą upadłościową, którą odziedziczą. Ich decyzja zależeć będzie oczywiście od tego, jakie wybiorą wyjście z wewnętrznego kryzysu i jak zechcą podreperować zachwianą pozycję ZSRR jako światowego mocarstwa”⁵¹.

W początkach 1985 r., kiedy upadła gerontokracja Breżniewa, Andropowa i Czernienki, ster objął Michaił Gorbaczow. Nikt nie przewidział dojścia do władzy reformatora. W 1982 r. nikt nie wyobrażał sobie politycznej przemiany o takich skutkach. Niewykluczone jednak, że owa ekonomiczno-polityczna masa upadłościowa umożliwiła w ramach negatywnej selekcji wysunięcie się na czoło w radzieckim kierownictwie kogoś takiego jak Gorbaczow.

⁴⁸ J. Kis, *Gondolatok a közeljövőről* [*Myśli o nadchodzącej przyszłości*], „Beszélő” 1982, nr 3, s. 115–122. Kis odpowiadała na krytykę jego artykułu sprzed dwóch lat, por. J. Kis, *Másfél év után, ugyanarról* [*O tym samym po półtora roku*], „Beszélő” 1984, nr 9, s. 541–558. [Polska wersja w: *Kadaryzm bez maski. Wybór niezależnej publicystyki węgierskiej*, CDN, Warszawa 1987, s. 35–63 (red.)].

⁴⁹ M. Vajda, *Ellenzék vagy kritikai nyilvánosság?* [*Opozycja, czyli krytyczna opinia publiczna*], „Beszélő” 1983, nr 8, s. 456–459.

⁵⁰ J. Kis, *Gondolatok a közeljövőről* [*Myśli o nadchodzącej przyszłości*], „Beszélő” 1982, nr 3, s. 115–122.

⁵¹ *Ibidem*.

Jakie możliwości otworzyłaby przed opozycją dezintegracja systemu politycznego? Wzorem przywódców polskiej opozycji – Jacka Kuronia i Adama Michnika, opozycja węgierska wychodziła z założenia, że tak rewolucja, jak odgórne reformy prowadzą donikąd. Jednak między dwiema skrajnościami wyłoniła się koncepcja radykalnego reformizmu – „nowy ewolucjonizm” Michnika, kładący nacisk nie na transformację systemu, ale na umacnianie środowisk niezależnych⁵². Opozycja węgierska przyjęła inną strategię niż polska.

Była to strategia legalistyczna, biorąca świadomie za dobrą monetę fikcję, jaką były swobody wymienione w konstytucji. Strategia węgierska miała też pewne „antypolityczne” cechy. Fakt, że w całej debacie ani Kis, ani większość dyskutantów nie wspomniała o społeczeństwie obywatelskim jako celu działalności opozycyjnej, dowodzi, że węgierscy opozycjoniści nie byli jeszcze gotowi na skuteczne działania poza własnym środowiskiem.

Kierownictwo partii widziało w wydawanej przez opozycję prasie oznaki jej słabości. Kis chciał to zmienić, chciał wypracowania nowych form działania: „Prowokacyjne korzystanie ze swobód już nam nie wystarczy. [...] Albo opozycja będzie miała coś do powiedzenia na poważne tematy polityczne, albo zaczną się powoli kurczyć jej wpływy, liczebność i struktury organizacyjne”⁵³. Uważał, że polityczna inicjatywa może wyjść tylko od opozycji, bo tylko ona przekracza kádárowski konsensus. Uznał, że warunkiem wejścia na drogę polityki jest wypracowanie ideologii, której filarami winny być prawa człowieka, demokracja liberalna, niepodległość, samostanowienie narodowe i użyteczne elementy tradycji socjalistycznej. Punkt wyjścia ideologicznej debaty nie

został dobrze określony, ale kryły się w niej założki radykalnego, lewicowo-liberalnego światopoglądu politycznego.

Dyskusja na łamach „Beszélő” trwała od maja 1982 do lutego 1984 r. Stopniowo kształtowała się strategia, którą środowisko pisma wykorzystało w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Wymiana zdań złożyła się w niepowtarzalną układankę intelektualną, z której wyłoniły się fundamenty działań polityczno-ideowych opozycji. Kwestie takie jak ocena sytuacji, cele, metody i szanse doczekały się odpowiedzi.

Oprócz radykalnego populisty Istvána Orosza reszta uczestników dyskusji podzielała ocenę sytuacji sformułowaną przez Kisa. Orosz natomiast był zdania, że opozycja demokratyczna nie tyle wychodzi poza politykę Kádára, ile sytuuje się na jej marginesie⁵⁴. „Głównym celem »Beszélő« – pisał – jest pomnażanie szeregów reformatorskiej inteligencji opozycyjnej”. Tymczasem odrzucić trzeba nie tylko konsensus kádárowski, czyli umowę społeczną zawartą po 1956 r., ale i ten, który „wypracowali radykalni teoretycy po 1973 r., tzn. opozycję chronioną przez Biuro Polityczne”⁵⁵.

Jednak Orosz ze swymi radykalnymi poglądami był w debacie na łamach „Beszélő” odosobniony. Do niemal wszystkich dyskutantów przemawiała idea nowego porozumienia z władzą. Jak wynika z programu „Beszélő”⁵⁶, chciano uzyskać na drodze negocjacji z władzą konsensus w kwestiach zarządzania kryzysem i reformą gospodarczą. Miał on uwzględniać takie kwestie jak otwartość sfery publicznej, reforma systemu reprezentacji interesów i konstytucjonalizm. Dyskusja o potrzebie nowego porozumienia wyszła poza łamy „Beszélő” – stała się elementem debaty politycznej w oficjalnym życiu publicznym.

⁵² Por. A. Michnik, *Nowy ewolucjonizm* [1976] [w:] A. Michnik, *Szanse polskiej demokracji*, Londyn 1984, s. 77–87.

⁵³ J. Kis, *Gondolatok a közeljövőről* [Myśli o nadchodzącej przyszłości], „Beszélő” 1982, nr 3, s. 115–122.

⁵⁴ I. Orosz, *Hivatal védte ellenzékiiség* [Oficjalnie promowane postawy opozycyjne], „Beszélő” 1982, nr 4, s. 185–189.

⁵⁵ *Ibidem*, s. 188.

⁵⁶ *Hogyan keressünk kiutat a válságból? A Beszélő javaslatai* [Jak znaleźć wyjście z kryzysu? Propozycje „Beszélő”], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 233–238.

O nieznosnym klimacie tamtych czasów świadczy to, że neutralność – czy finlandyzacja – której domagała się rewolucja 1956 r., zdawała się nieosiągalnym marzeniem. Ekonomista Tamás Bauer zaproponował model jugosłowiański, co byłoby swego rodzaju „iliryzacją” Węgier⁵⁷. W Jugosławii Josipa Broz-Tity panował system monopartyjny, policja polityczna też zachowała pozycję, ale rolę centralnego planisty przejęły siły rynku i kolektyw robotnicze. Jak wyjaśniał Bauer, „o ile finlandyzacja polegałaby na wprowadzeniu pluralizmu politycznego, o tyle iliryzacja jest projektem mniej ambitnym – to pluralizm w sferze reprezentacji interesów, wierny ideologii kadaryzmu i zakładający jej przetrwanie”⁵⁸. Trudno dziś pojąć, jak zbiorowa reprezentacja interesów mogłaby być „wierna” kadaryzmowi. Systemu funkcjonował przecież jako sieć niejawnych, nieformalnych powiązań zapewniających obopólną korzyść.

Przytoczone cytaty dowodzą, że opozycja nie była zgodna co do celów. Wielu uczestników debaty prezentowało program lewicowy. András Lányi mówił o uspołecznieniu państwa⁵⁹. József Székely marzył o innym socjalizmie, opartym na demokracji robotniczej⁶⁰. Politolog Pál Szalai skłaniał się ku systemowi wielopartyjnemu łączącemu demokratyczny socjalizm z robotniczą własnością środków produkcji. Pluralizm polityczny w jego wydaniu miał się wyrażać nie tylko wielością partii. Szalai zdawał się widzieć potrzebę rynku, dodawał jednak: „z politycznego punktu widzenia wprowadzenie go spowoduje zażartą rywalizację urzędów centralnych z dyrekcjami przedsiębiorstw”, jeśli

nie nastąpi równoczesne wzmocnienie rad robotniczych⁶¹.

Podobnie uważała socjolożka Erzsébet Szalai, która pisała o „współistnieniu różnych rozwiązań ekonomicznych”, co byłoby możliwe po oddzieleniu instytucji ekonomicznych od politycznych⁶². W takim systemie „ludzie reprezentujący szerokie warstwy społeczeństwa – głównie robotnicy wieloprzemysłowi – zakładaliby, a przynajmniej mogliby zakładać, własne instytucje”; Szalai miała zapewne na myśli rady robotnicze i związki zawodowe. Według niej „gwarantowałoby to, że współistnienie różnych typów stosunków produkcji nie zrodzi nowych, choć dobrze znanych z historii, form wyzysku”⁶³. Dlatego demokratyczna reprezentacja interesów mogłaby być barierą zapobiegającą przejściu do kapitalizmu. W jej wywodach demokracja i kapitalizm wykluczają się wzajemnie, rozumieć więc należy, że liberalna alternatywa nie wykraczała wedle niej w całości poza socjalistyczny paradygmat.

Autorem jednego z najtrafniejszych komentarzy był Ambrus Oltványi. Już w tytule swego tekstu zapowiadał, że celem opozycji jest skuteczna walka o demokrację. Wykazał się niezwykłą dalekowzrocznością. Dowodził, że szanse demokracji i pluralizmu widzieć trzeba nie w doraźnej, lecz dłuższej perspektywie. Za kwestię kluczową uważał kształtowanie samoograniczającego się rynku, gdyż „łatwo wyobrazić sobie gospodarkę rynkową bez demokracji, trudno natomiast o demokrację bez rynku”⁶⁴. A więc w odróżnieniu od wielu dyskutantów nie wierzył w szanse socjalizmu demokratycz-

⁵⁷ T. Bauer, *Az optimista alternatíva körvonalai: Magyarország illírízálása* [Szkic optymistycznej alternatywy: iliryzacja Węgier], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 260–266.

⁵⁸ *Ibidem*, s. 264–265.

⁵⁹ A. Lányi, *A magyar ellenzék programja* [Program węgierskiej opozycji], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 269–272.

⁶⁰ J. Székely, *Reform és ellenzék* [Reforma i opozycja], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 267–268.

⁶¹ P. Szalai, *Remény – remény nélkül* [Nadzieja – bez nadziei], „Beszélő” 1982, nr 4, s. 194.

⁶² E. Szalai, *A liberális alternatíva társadalmi feltételeiről* [Socjalne ograniczenia liberalnej alternatywy], „Beszélő” 1983, nr 7, s. 366.

⁶³ *Ibidem*, s. 368.

⁶⁴ A. Oltványi, *A közel és távolabbi jövőről, avagy a demokrácia kilátásai Magyarországon* [O bliskiej i dalszej przyszłości, czyli o perspektywach demokracji na Węgrzech], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 273–283.

nego. Odnosząc się do Mihályego Vajdy, stwierdził: „socjalizm trzeba utrzymywać przy życiu jako przeciwwagę dla głównych tendencji kapitalizmu, ale nie wolno dopuścić do jego urzeczywistnienia”⁶⁵.

Określając członków opozycji demokratycznej mianem radykalnych reformatorów, myślę przede wszystkim nie o treści postulatów, porównywalnych z celowo zaciemnianymi koncepcjami reformatorów wewnątrzsystemowych, ale o różnicach strategicznych. O ile ówczesni partyjni reformatorzy, pracujący za zamkniętymi drzwiami w innych „komitetach na rzecz reform”, przekonywali głównie ludzi władzy, o tyle opozycja próbowała przekonywać także społeczeństwo.

Tylko jeden uczestnik dyskusji, István Orosz, odrzucił pośrednią – między reformami a rewolucją – strategię Jánosa Kisa. Proponował podejście *par excellence* rewolucyjne: „Powinniśmy wyjść z marginesu i ponieść tego konsekwencje”. Uważał, że nie ma dróg pośrednich, opozycja musi więc wybrać, czy chce „tworzyć front ludowy z reformatorską inteligencją, czy z klasą robotniczą”⁶⁶. Odpowiadając mu, Kis stwierdził, że nawet wtedy granica między tymi, którzy godzą się na kompromis, a tymi, którzy pragną zmiany, nie pokrywa się z podziałem na inteligencję i klasę robotniczą. Jednocześnie sam przeprowadził ostry podział na tych, którzy są wewnątrz i na zewnątrz kadarowskiego konsensusu. Zdawał się nie rozumieć, jak fałszywy jest sam ów porządek ani że niektórzy akceptują fałsz, choć są mu w głębi ducha przeciwni, kierując się względami życiowymi. Przypominało o tym wielu dyskutantów, podkreślając, że opozycja demokratyczna musi uniknąć społecznej izolacji i poczucia misji, które może ją usytuować zbyt daleko od oczekiwań zwykłych ludzi.

Zdaniem Istvána Eörsiego kwestia bycia wewnątrz lub na zewnątrz systemu nie sprowadzała się do wymiaru moralnego. Dobrą strategią byłoby – twierdził – zbliżenie między radykalną opozycją a reformatorami oparte na swego rodzaju podziale pracy i świadomej korekcie postaw obu stron⁶⁷. Csaba Könczöl zwracał uwagę na to, że podział na outsiderów i uczestników pełni doraźne funkcje taktyczne, bo zamiast przyciągać osoby przyglądające się opozycji z zewnątrz, wyklucza je z opozycyjnej działalności⁶⁸. Powołując się na polski przykład, Bálint Magyar proponował „obywatelską taktykę” trzymania się konstytucji i strategię zmuszania rządzących do stawienia czoła rzeczywistości – przeciwieństwo konfrontacyjnej „taktyki proletariackiej”. Strategia „zmuszania rządzących do realizmu” unikała kompromisu, gdyż zakładała usunięcie przeszkód w wyniku reform, które były jej celem⁶⁹.

Myśli te w 1989 r. przenikały do praktyki opozycji demokratycznej, a także szerszego ruchu opozycyjnego. Świadczy o tym pokojowe rozmontowanie systemu i zmuszenie rządzącej Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej do stawienia czoła rzeczywistości przy okrągłym stole. Realizując „taktykę obywatelską” Bálinta Magyara, opozycja dała przykład do skutecznego naśladowania przez innych, np. członków Független Jogász Fórum (Niezależnego Forum Prawników), którzy także zorganizowali okrągły stół. Stanowisko Józsefa Székelyego, który widział potrzebę „konstruktywnej opozycji”, cieszyło się mniejszym uznaniem niż poglądy Bálinta Magyara. Székely liczył na otwartość rządzących, powodzenie reform i współpracę „konstruktywnej opozycji” z komunistami⁷⁰.

⁶⁵ *Ibidem*, s. 280.

⁶⁶ I. Orosz, *Hivatal védte ellenzékiiség* [Oficjalnie promowane postawy opozycyjne], „Beszélő” 1982, nr 4, s. 188–189.

⁶⁷ I. Eörsi, *Csto gyélaty?* [Co robić?], „Beszélő” 1982, nr 4, s. 181–184.

⁶⁸ C. Könczöl, *Levél Kis Jánoshoz* [List do Jánosa Kisa], „Beszélő” 1982, nr 4, s. 191–192.

⁶⁹ B. Magyar, *Polgárokka válni* [Stać się obywatelem], „Beszélő” 1982, nr 4, s. 189–191.

⁷⁰ J. Székely, *Reform és ellenzék* [Reforma i opozycja], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 267–268.

Zdaniem Pála Szalaiego ugrupowania opozycyjne powinny definiować strategię w kategoriach realizowanej polityki, a nie podziału na uczestników i outsiderów. Nie popierał on idei współpracy z lewicowym skrzydłem Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (MSzMP) ani z reprezentującymi klasę średnią antyliberalnymi dziedzicami tradycji szlacheckiego nacjonalizmu. Jednocześnie – twierdził – „należy zwrócić uwagę na demokratyczne tendencje w MSzMP” i na „ruch odnowy węgierskiego katolicyzmu”⁷¹. W swoich komentarzach Pál Szalai rozwijał, jak się wkrótce okazało, ważne wątki. Podkreślał np., że opozycja potrzebuje wielu ideologii. Zwracał uwagę na antydemokratyczne tendencje klasy średniej o arystokratycznym rodowodzie i niebezpieczeństwa współpracy z tymi środowiskami⁷².

Większość dyskutantów wskazywała korzyści współpracy, zwłaszcza strategicznej, ze środowiskami spoza opozycji. Jednak podkreślali oni różne rzeczy. Tamás Bauer reprezentował podejście umiarkowane. Uważał, że reformatorska inicjatywa musi wyjść od „dobrego króla, kierownictwa partyjnego, władz”, a radykalni teoretycy winni odegrać rolę katalizatora, „ujawniać i formułować społeczne potrzeby i dążenia”⁷³. Zdaniem Bauera w toku reform słuszniej byłoby „mówić o niezależnych inicjatywach społecznych, a nie o ruchu opozycyjnym”, lepiej też, żeby drugi obieg wydawniczy zyskał półlegalny status, „tracąc automatycznie swój specyficzny, opozycyjny charakter”⁷⁴.

Ambrus Oltványi zgadzał się, że granica między pierwszym i drugim obiegiem powinna być łatwiejsza do przekroczenia, ale ceną legalności nie powinno być złagodzenie ani porzucenie przez

opozycję jej stanowiska. Wszak zgoda na jakąkolwiek niezależność polityczną była reżimowi kadawskiemu równie obca jak tolerowanie opozycji. Oltványi wierzył w „trwałą koegzystencję” władzy i opozycji oraz w to, że niezależne siły społeczne będą mogły uczestniczyć w pracy nad kształtem reform. Jakby przewidując przyszłość, zwracał uwagę na ważny dla Węgier przykład hiszpański: „po zaledwie czterech dekadach dyktatury transformacja okazała się w postfrankistowskiej Hiszpanii możliwa”⁷⁵. Na poparcie swej opinii cytował Adama Michnika: „Gdybym szukać miał przykładu zadań, które przed nami stoją, wskazałbym Hiszpanię – oto społeczeństwo, które dzięki światlejszym odłamom władzy i opozycji znalazło drogę od haniebnej dyktatury do demokracji”⁷⁶. Aż trudno uwierzyć, że słowa te pisał Michnik w połowie lat siedemdziesiątych. Można nawet powiedzieć, że hiszpańska transformacja – z jej prodemokratyczną, postautorytarną elitą i silnym ruchem związkowym – była jakby pierwszym wcieleniem wypracowanej przez Michnika strategii „samowyzwolenia przez samoograniczenie”. Nie było winą polskiej Solidarności, że nie dane jej było skorzystać z hiszpańskiego przykładu. Wówczas przecież za polskim kierownictwem partyjnym – za Gierkiem, Kanią, Jaruzelskim i towarzyszymi – stał Leonid Breżniew, a nie Związek Radziecki Gorbaczowa.

Kto jednak i z kim miałby porozumieć się w kraju, w którym władzę dzierżyła starzejąca się klika, a słowo „reforma” dozwolone było tylko w niektórych okresach, a i wtedy tylko w odniesieniu do gospodarki, i nie było śladu niezależnych organizacji reprezentujących interesy społeczne?

⁷¹ P. Szalai, *Remény – remény nélkül* [Nadzieja – bez nadziei], „Beszélő” 1982, nr 4, s. 193–194.

⁷² *Ibidem*.

⁷³ T. Bauer, *Az optimista alternatíva körvonalai* [Szkic optymistycznej alternatywy], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 260–266.

⁷⁴ *Ibidem*.

⁷⁵ A. Oltványi, *A közel és távolabbi jövőről, avagy a demokrácia kilátásai Magyarországon* [O bliskiej i dalszej przyszłości, czyli o perspektywach demokracji na Węgrzech], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 279.

⁷⁶ *Ibidem*, s. 279. Por. A. Michnik, *Nowy ewolucjonizm...*, s. 77–87 [tu jednak nie ma zdania przytoczonego w tekście Oltványiego – red.].

Erzsébet Szalai wymieniała grupy społeczne będące potencjalnym sojusznikiem opozycji. Otwiera jej listę inteligencja pracująca w państwowych instytucjach nauk społecznych, a więc na peryferiach struktur oficjalnych. Byli to głównie pracownicy Instytutu Historii Węgierskiej Akademii Nauk i innych instytucji akademickich. Inni, w tym sama Szalai, pracowali w Instytucie Badań nad Gospodarką. Autorka wymieniała też młodych robotników wykwalifikowanych, studentów, artystów, techników, pracowników służby zdrowia i drobnych przedsiębiorców, którzy mieli już za sobą drobne starcia z reżimem. Wyobrażała sobie obejmującą ich wszystkich sieć współpracy⁷⁷.

Pokolenie, o którym mówiła, przechodziło proces socjalizacji w latach sześćdziesiątych i wkroczało właśnie na scenę. Ludzie ci chcieli robić karierę i byli dalecy od wszelkich ideologii. Z nich rekrutował się personel państwa partyjnego drugiej generacji – nowa technokracja. Także Oltványi podkreślał znaczenie zmiany pokoleniowej: „coraz więcej nowych członków aparatu to ludzie, którzy – w odróżnieniu od dominującej obecnie grupy wyłonionej w toku negatywnej selekcji – dzięki swemu wykształceniu i sprawności będą umieli przetrwać w warunkach pluralizmu i konkurencji. Nie będą trzymać się za wszelką cenę dyktatorskich metod sprawowania władzy”⁷⁸.

Dla większości uczestników debaty było ważne, by opozycja pozostała zróżnicowana. Skoro chcemy pluralistycznego społeczeństwa, nie możemy odrzucać pluralizmu we własnym gronie – dowodzili. W pluralizmie widzieli warunek *sine qua non* demokracji, a nie tylko jeden z jej skutków.

Patrząc wstecz, obserwatorzy skłonni są do uproszczeń, widzą lata osiemdziesiąte jako triumfalny pochod idei społeczeństwa obywatelskiego. Wielu uznało przemiany w Polsce za przykład odradzania się tej idei. Dlatego tym bardziej zaskakujące jest to, że odwołało się do niej tylko trzech uczestników węgierskiej debaty – György Konrád, Ambrus Oltványi i Mihály Vajda. W tradycji oświeceniowej idea społeczeństwa obywatelskiego miała być antidotum na państwo. Jej zadaniem było „samowyzwolenie spod kurateli państwa”⁷⁹. „Społeczeństwo obywatelskie i państwo polityczne są z natury antagonistyczne” – stwierdzał Vajda⁸⁰. Według Konrada „przestrzenią organizacyjną społeczeństwa obywatelskiego jest świat nieformalnych relacji” wykształcający autonomiczny język i mający główne oparcie w młodej inteligencji⁸¹.

Historyk Miklós Szabó myślał przeciwnie. Uważał, że odwaga cywilna jest tym, co pomaga wyjść z kręgu nieformalnej bierności, nie trzymać się wykluczających aktywność, nieformalnych struktur charakterystycznych dla reżimu Kádára. „Musimy dbać o to, by nie pomnażać nieformalnych organizacji” i „żądać autentycznej niezależności” – twierdził⁸².

Oba podejścia dzieliła istotna różnica. Ani Vajda, ani Konrád nie chcieli, by opozycja demokratyczna stała się opozycją polityczną, bo wówczas nie uniknęłaby walki o władzę. Z antypolitycznej perspektywy Konrada opozycja „jest demokratyczna nie wtedy, kiedy jest polityczna, tylko kiedy jest społeczna”⁸³. Według Vajdy budować należy nie opozycję polityczną, ale krytyczną sferę pu-

⁷⁷ E. Szalai, *A liberális alternatíva társadalmi feltételeiről* [Socjalne ograniczenia liberalnej alternatywy], „Beszélő” 1983, nr 7, s. 365–369.

⁷⁸ A. Oltványi, *A közel és távolabbi jövőről, avagy a demokrácia kilátásai Magyarországon* [O bliskiej i dalszej przyszłości, czyli o perspektywach demokracji na Węgrzech], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 275.

⁷⁹ M. Vajda, *Ellenzék vagy kritikai nyilvánosság?* [Opozycja, czyli krytyczna opinia publiczna], „Beszélő” 1983, nr 8, s. 458.

⁸⁰ *Ibidem*.

⁸¹ G. Konrád, *Adottságainkból kell kiindulnunk* [Naszym punktem wyjścia powinny być nasze możliwości], „Beszélő” 1983, nr 8, s. 455.

⁸² M. Szabó, *Szubkultúra vagy politikai ellenzék?*, „Beszélő” 1983, nr 7, s. 363.

⁸³ G. Konrád, *Adottságainkból kell kiindulnunk* [Naszym punktem wyjścia powinny być nasze możliwości], „Beszélő” 1983, nr 8, s. 455.

bliczną, w której można uprawiać „społeczną krytykę polityki”⁸⁴. Jak pisał, „nowa demokratyczna wspólnota polityczna nie powinna być w opozycji, ale krytycznymi wypowiedziami publicznie przyczyniać się do powstawania opozycji w obozie władzy. Powinna skłaniać ludzi władzy, których zdaniem sprawy idą w złym kierunku, do jasnego przyznania tego faktu i czytelnego przedstawienia alternatywnych pomysłów, by można je było przedyskutować publicznie. Zmusiłoby to przeciwników do tego samego. Tylko publiczna debata może przekształcić spory personalne w łonie elity politycznej w dyskusję o alternatywnych projektach politycznych”⁸⁵. Bardzo podobnie myślał Bálint Magyar, wedle którego powołaniem opozycji nie jest instytucjonalizacja wspólnoty politycznej, ale „tworzenie stref bezcłowych myśli”⁸⁶.

Należy podkreślić, że opozycja z natury nie stroniła od władzy. Była jedynie przeciwna władzy komunistów. Większość opozycjonistów nie myślała w kategoriach bezsilności, lecz – za Istvánem Bibó – równowagi sił, nowego konsensusu, nowej umowy społecznej.

Konrád odrzucał walkę o władzę jako dziedzictwo komunizmu. W jego oczach opozycja polityczna jest z natury antydemokratyczna. „Warunkiem *sine qua non* opozycji demokratycznej jest to, że jest ona demokratyczna, tzn. pokomunistyczna w swym działaniu i wizerunku samej siebie, i dlatego musi wyzbyć się ostatecznie pozostałości i nawyków opozycji wobec komunizmu”⁸⁷. Vajda zdawał się przewidywać strukturalne problemy, które nękać miały w przyszłości partię liberalną – Szabad Demokraták Szövetsége (Związek Wolnych

Demokratów) – wyrosłą z opozycji demokratycznej. Pisał: „Nie zawężajmy bazy nowej demokratycznej wspólnoty politycznej! Łatwo może się bowiem zdarzyć, że większość członków przyjdzie skądinąd. Nie tylko z innych środowisk niezależnych, ale także spośród tych, którzy wcześniej potępiali działalność »opozycji«. Nie możemy brać na siebie nowych zadań w nowej sytuacji tylko dlatego, że teraz nazywa się nas dawną »opozycją«. Z tego, że sytuacja jest naprawdę nowa, nie wynika jeszcze, że rozwiązania oferować mają ci, którzy byli »opozycją« w innych czasach. Nie wynika też, że ci, którzy biorą dziś na siebie nową odpowiedzialność, mają czuć się dziedzicami opozycji lat 1977–1981”⁸⁸.

Vajda mówił tak, jakby widział przyszłość. Do tego samego odnoszą się słowa Konráda: „Naszym zadaniem jest pomóc innym stać się wolnymi”⁸⁹. W tym miejscu – w kwestii polityczności czy niepolityczności opozycji – drogi się rozchodziły. Nie przypadkiem ani Vajda, ani Konrád nie zostali zawodowymi politykami. Inni, jak Bálint Magyar, Tamás Bauer czy Gábor Demszky, skorygowali swoje stanowisko i zdecydowali się w latach dziewięćdziesiątych na karierę polityczną.

Większość dyskutantów, w tym András Lányi, Miklós Szabó, Zoltán Krasznai i Gáspár M. Tamás, zgodziła się z tezami artykułu Jánosa Kisa i przeszła do opozycji politycznej. „Musimy zrozumieć, że cele polityczne realizować można tylko politycznymi metodami” – pisał András Lányi⁹⁰. W ramach opozycji politycznej różni ludzie uznawali różne elementy strategii za godne podkreślenia. Orosz chciał konfrontacji, Lányi preferował nacisk

⁸⁴ M. Vajda, *Ellenzék vagy kritikai nyilvánosság?* [Opozycja, czyli krytyczna opinia publiczna], „Beszélő” 1983, nr 8, s. 459.

⁸⁵ *Ibidem*, s. 458.

⁸⁶ B. Magyar, *Polgárokka válni* [Stać się obywatelem], „Beszélő” 1982, nr 4, s. 191.

⁸⁷ G. Konrád, *Adottságainkból kell kiindulnunk* [Naszym punktem wyjścia powinny być nasze możliwości], „Beszélő” 1983, nr 8, s. 453.

⁸⁸ M. Vajda, *Ellenzék vagy kritikai nyilvánosság?* [Opozycja, czyli krytyczna opinia publiczna], „Beszélő” 1983, nr 8, s. 457.

⁸⁹ G. Konrád, *Adottságainkból kell kiindulnunk* [Naszym punktem wyjścia powinny być nasze możliwości], „Beszélő” 1983, nr 8, s. 454.

⁹⁰ A. Lányi, *A magyar ellenzék programja* [Program węgierskiej opozycji], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 269.

społeczny, Szabó negocjacje dwustronne, a Tamás oprócz trudnych reform politycznych podkreślał też potrzebę „moralnej odnowy”⁹¹. Zoltan Krasznai w związku z tym zauważał: „sprawy mogą różnie się potoczyć, opozycja musi więc być przygotowana na wiele wariantów”. Może dojść do konfrontacji, której chciał Orosz, ale przy proreformatorskim nastawieniu kierownictwa partii „możliwy jest nawet historyczny kompromis między władzą a opozycją na wspólnym gruncie, jakim jest interes narodowy”. Do takiego kompromisu doszło w 1987 r. we wsi Lakitelek⁹². Stronami byli jednak nie kierownictwo partyjno-rządowe i opozycja demokratyczna, ale Imre Pozsgay – wówczas na marginesie kierownictwa partii komunistycznej – i „narodowo-ludowi” pisarze i działacze, którzy nie uważali się ani za opozycjonistów, ani zwolenników władzy.

Finał debaty miał miejsce w ósmym numerze „Beszélő”. Odtąd poszukiwanie tożsamości przestało zaprzętać tyle uwagi – jakby zapanowała zgoda co do strategii zaproponowanej przez Jánoša Kisa w artykule *Hogyan keressünk kiutat a válságból?* (*Jak znaleźć wyjście z kryzysu?*). Publicyści wysuwali propozycje w konkretnych kwestiach albo chcieli wpływać swymi analizami na opinię publiczną. Pojawiało się coraz więcej artykułów poświęconych działaniom politycznym i publicznym demonstracjom.

W wyniku debaty przeważała strategia upolitycznienia opozycji. Nowa linia polityczna zaowocowała rozmowami między nurtem narodowo-

-ludowym a obozem liberalno-demokratycznym podczas spotkania w Monor w 1985 r., a rok później konferencją o rewolucji 1956 r.⁹³ Odbływały się wykłady na uniwersytetach i w klubach. Jej efektem był też program polityczny sformułowany przez krąg „Beszélő” w 1987 r., znany jako *Társadalmi szerződés* (*Umowa społeczna*)⁹⁴. Wreszcie, po przełomie w Lakitelek, strategia ta odegrała istotną rolę w organizowaniu wiosną 1988 r. Szabad Kezdeményezések Hálózata (Sieci Inicjatyw Niezależnych)⁹⁵. Bez niej opozycja demokratyczna lat osiemdziesiątych w czasach transformacji ustrojowej mogłaby łatwo zostać zmarginalizowana.

Epilog

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych w debacie toczącej się w prasie niezależnej, głównie w „Beszélő”, opozycja demokratyczna wypracowała własną ideologię. Na podstawowy jej korpus składały się zachodnia demokracja liberalna, prawa człowieka, społeczna gospodarka rynkowa, solidarność z Węgrami za granicą, a także z innymi mniejszościami społeczno-kulturalnymi.

Po debacie w „Beszélő” punkt ciężkości przesunął się ku pracy nad programem działania. Programowy artykuł Kisa ukazał się w środku toczącej się w 1982 r. dyskusji o tożsamości⁹⁶. Proponowane w nim rozwiązania przewidywały szerszy i aktywniejszy niż dotychczas udział społeczeństwa. Rolą opozycji miało być kształtowanie opinii publicznej i wywieranie za jej pośrednictwem presji na

⁹¹ G.M. Tamás, *A szem és a kéz* [*Oko i ręka*], Budapest 1983, druk ulotny.

⁹² Spotkanie w Lakitelek zorganizowali latem 1987 opozycjoniści z nurtu narodowo-ludowego. Jego efektem było powołanie we wrześniu Węgierskiego Forum Demokratycznego (red.).

⁹³ W czerwcu 1985 nurt narodowo-ludowy zorganizował trzydniową konferencję w Monor poświęconą perspektywom i metodom działalności opozycyjnej; okazała się ona ostatnim spotkaniem przedstawicieli węgierskiej opozycji narodowej oraz demokratycznej. 23 X 1986 w Budapeszcie odbyło się spotkanie opozycjonistów z Węgier, Polski, Czechosłowacji i NRD, na którym przyjęto wspólne oświadczenie na temat doświadczeń rewolucji 1956 (red.).

⁹⁴ M. Haraszi i in., *Társadalmi szerződés* [*Umowa społeczna*], „Beszélő” 1987, wydanie specjalne.

⁹⁵ Sieć Inicjatyw Niezależnych utworzono w maju 1988 wedle projektu Jánoša Kisa. W listopadzie przekształciła się ona w Związek Wolnych Demokratów (red.).

⁹⁶ J. Kis, *Hogyan keressünk kiutat a válságból? A Beszélő javaslatai* [*Jak znaleźć wyjście z kryzysu?*], „Beszélő” 1982, nr 5/6, s. 233–238.

rzządzających. „Państwo zrobi coś tylko pod moralnym i intelektualnym naciskiem społeczeństwa” – twierdził Kis⁹⁷. Propozycje dotyczyły informacji o finansach państwa, poddania polityki gospodarczej pod osąd publiczny, odtworzenia systemu reprezentacji interesów, warunków sprawnego funkcjonowania sfery publicznej, prawnych zasad reprezentacji interesów, reformy prasy i wydawnictw. Wydawnictwa służyły za przykład tego, jak stopniowo wprowadzać proponowane zmiany.

Problemy opozycji z tożsamością najtrafniej podsumował Ferenc Kőszeg w numerze 19 „Beszélő”. „Czym jest opozycja demokratyczna? Z pewnością nie można jej nazwać ruchem, bo jak na ruch jest za mała – brak jej środków i struktur organizacyjnych łączących sympatyków. Nie jest nawet w stanie skomunikować ze sobą tych, którzy – jak np. młodzież – tego się domagają. Opozycjoniści nie chcą też, Bogu dzięki, być nazywani partią. Do niewielu rzeczy żywią taką awersję jak do bolszewickiej tradycji partii kadrowej, której przeznaczeniem jest poprowadzić do walki. Trudno też parunastu intelektualistów nazwać masową partią”⁹⁸.

Kőszeg analizował pewne oczywiste symptomy rozkładu systemu politycznego. „Opozycja demokratyczna w obecnej formie to grupa kształtująca poglądy i postawy. [...] Od wywierania intelektualnego wpływu za pośrednictwem publikacji ważniejsze jest propagowanie postaw opozycyjnych. Dzisiaj niezależne ugrupowania – jak robi to opozycja od ośmiu lat – publikują drugoobiegową prasę i zbierają podpisy. Ale co więcej, cieszące się szacunkiem grupy społeczne – niemal całe instytuty badawcze – testują granice prawne oporu i przekraczają ustanowione przez rządzących arbitralne reguły gry. Przykładem tego pierwszego było Stowarzyszenie Pisarzy, które w uczciwym, zgodnym z procedurami głosowaniu odsunęło od

władzy przedstawicieli partii, co zmusiło ją do złamania własnych reguł. Przykładem drugiego było to, że znani pisarze publikowali w drugim obiegu, a całe instytuty badawcze zbierały się w prywatnych mieszkaniach, co łatwo zakwalifikować jako nielegalne zgromadzenia. Kiedy nieposłuszeństwo jest powszechne, zamazuje się podział na postawy opozycyjne i zwyczajne – represje muszą dotknąć tylu ludzi, że dotychczasowe metody karania tracą użyteczność. Węgierskie społeczeństwo zaczyna odzyskiwać środki politycznej ekspresji. Dyskusje polityczne przestają być przywilejem nomenklaturowych funkcjonariuszy”⁹⁹.

Według Kőszega zadania opozycji demokratycznej wynikały z problemów społecznych i politycznych, przed jakimi stanęły Węgry. Wierzył on, że mimo oczywistych słabości autorytet moralny opozycji da jej siłę potrzebną do realizowania jej celów. „Węgry wkraczają znów w epokę debat politycznych. Walczący o władzę przywódcy partii, dyrektorzy zakładów, przedsiębiorcy, pisarze, związki zawodowe, a czasem nawet postowie uczestniczą w polityce. Wraz z pogarszaniem się sytuacji gospodarczej zaangażują się w nią też robotnicy zagrożeni utratą pracy i chłopci, którzy nie mogą sprzedać swoich produktów po godziwej cenie. [...] W coraz bardziej upolitycznionym świecie musi też zaangażować się politycznie opozycja, polityczna z racji swych czynów i genezy. Nie dlatego, byśmy oczekiwali, że władze prędzej czy później zechcą z nami rozmawiać. Szczerze mówiąc, wcale się do tego nie palimy. Jednak możemy i powinniśmy toczyć stałą debatę z tymi środowiskami, które mają potencjalne lub niemal realne możliwości negocjacyjne. Żeby debatować, musimy jasno określić swoje stanowisko w kwestii głębokich reform gospodarczych, związanych z tym politycznych żądań, bezrobocia, Węgrów żyjących za granicą i masowo powracających do

⁹⁷ *Ibidem*, s. 247.

⁹⁸ F. Kőszeg, *Ne csak építkezz... Politizálj! [Nie zakładaj niczego... Politykuj!]*, „Beszélő” 1987, nr 19, s. 701–705.

⁹⁹ *Ibidem*.

ojczyzny czy pogarszających się warunków życiowych – innymi słowy, w sprawach zaprzatających politycznie zorientowaną część społeczeństwa. Musimy też sprawić, by nasz głos słyszał było poza prasą niezależną – w klubach, na publicznych zebraniach, podczas takich wydarzeń jak spotkanie w Monor. Nie sądzimy, że jako opozycja mamy w ręku kamień filozoficzny. Ale tylko opozycja przez siedem lat jawnie i publicznie krytykowała poczynania władz. Mimo słabości i izolacji daje to nam pewien autorytet moralny, nadzieję, że kiedy przemówimy, będziemy wysłuchani nie tylko w swoim gronie”¹⁰⁰.

Specjalne wydanie „Beszélő” z czerwca 1987 r., zatytułowane *Társadalmi szerződés: a politikai kibontakozás feltételei* (*Umowa społeczna. Warunki postępu politycznego*), prezentowało szeroki program napisany przez związanych z pismem intelektualistów: Miklósa Haraszti, Jánosa Kisa, Ferenc Kőszega i Ottilię Solt. Stwierdzał on jasno, że kádarski konsensus już nie obowiązuje, „Kádár musi odejść”¹⁰¹. Niezbędna jest radykalna zmiana polityczna, ale bez umowy społecznej naród nie powstanie. Nie wystarczy narzekać, trzeba wypracować nowe rozwiązania. Zaangażowanie się władzy w dialog wymaga od niej zrozumienia, że musi negocjować z szerszym gronem niż inteligencja. Autorzy dokumentu wskazywali też na konieczność opracowania pakietu stabilizacji gospodarczej towarzyszącego przemianom politycznym. W mocy pozostały cele rewolucji 1956 r. – system wielopartyjny, samorząd pracowniczy i osiedlowy, samostanowienie narodowe i neutralność w polityce zagranicznej.

Program rozwijał następujące postulaty: konstytucyjne ograniczenie rządów monopartyjnych, niezawisłość parlamentu, parlamentarna odpowiedzialność rządu, usankcjonowana prawnie wolność prasy, prawna ochrona zatrudnionych obejmująca prawo do zrzeszania się i zabiegania o swoje interesy, bezpieczeństwo socjalne, sprawiedliwa polityka społeczna i prawa obywatelskie. Rozdział zatytułowany *Tágabb összefüggések* (*Szerszy kontekst*) dotyczył stosunków węgiersko-radzieckich, problemu Węgrów w krajach ościennych i dziedzictwa 1956 r. w węgierskiej polityce.

* * *

Opisana tu działalność kręgu „Beszélő” i opozycji demokratycznej zakończyła się w latach 1988–1989¹⁰². W latach 1987–1989 realną kwestią była nie tożsamość, ale aktywna rola w transformacji ustrojowej. Pomijając spory między „narodowo-ludowymi” intelektualistami z Lakitelek i demokratyczną opozycją, wyłonił się wtedy podział zogniskowany wokół dwóch biegunów – Węgierskiego Forum Demokratycznego i Związku Wolnych Demokratów. Dawni opozycjoniści stali się częścią pluralistycznego porządku. „Beszélő” informowało w numerze 24 o dwóch publicznych mitingach Fideszu¹⁰³. W następnym numerze, z 13 listopada, donosiło o powstaniu Związku Wolnych Demokratów¹⁰⁴.

Zmieniająca się sytuacja polityczna zmieniała układ sił, o czym najlepiej świadczy opublikowanie protestu przeciwko brutalności policji podpisanego nie przez garstkę – jak dotychczas, ale

¹⁰⁰ *Ibidem*.

¹⁰¹ M. Haraszi i in., *Társadalmi szerződés: a politikai kibontakozás feltételei* [Umowa społeczna. Warunki postępu politycznego], „Beszélő” 1987, wydanie specjalne.

¹⁰² „Beszélő” wychodziło jako samizdat do połowy 1989 r., ale szybko zmieniał się jego status. Stało się jednym z głosów rodzącego się pluralizmu politycznego. Z końcem roku pismo zmieniło format, redakcję i częstotliwość ukazywania się. Stało się tygodnikiem politycznym, lepiej reagującym na szybkie zmiany polityczne.

¹⁰³ *Fiatal Demokraták Szövetsége* [Związek Młodych Demokratów], „Beszélő” 1988, nr 24, s. 403–404. Fidesz został powołany w marcu 1988 przez kilkudziesięciu studentów, m.in. Viktora Orbána (red.).

¹⁰⁴ *Szabad Demokraták Szövetsége* [Związek Wolnych Demokratów], „Beszélő” 1988, nr 25, s. 654–655.

przez trzystu intelektualistów. „Zwraca uwagę niepokojąca, wręcz porażająca sprzeczność między demokratycznymi aspiracjami i wolą dialogu deklarowanymi przez czołowych polityków a jawną demonstracją siły w wykonaniu instytucji przez nich kierowanych i niewątpliwie wykonujących ich rozkazy. Uważamy, że po 30 latach nadszedł czas, by państwo węgierskie traktowało głos obywateli w cywilizowany, powściągliwy sposób. Domagamy się, by odpowiedzialni przywódcy położyli kres okrucieństwu policji”¹⁰⁵.

W ogłoszonym w 1989 r. artykule *Mit képvisel a Beszélő?* (*Co reprezentuje „Beszélő”?*)¹⁰⁶ János Kis podsumował historię pisma i wskazał zadania stojące przed Związkiem Wolnych Demokratów. „W 1987 r. program z 1983 r. się zdezaktualizował. Dziś nie tylko opozycja demokratyczna domaga się jasnych, zapisanych w ustawach i chronionych instytucjonalnie praw. Społeczeństwo chce znacznie więcej, niż przewidywał zaproponowany przez nią przed czterema laty kompromis. Tymczasem okazało się, że zamiast inicjować reformy, nieelastyczny reżim kadarowski z uporem przeciwstawia się presji społecznej. Dlatego *Társadalmi szerrődés*

(*Umowa społeczna*) idzie dalej niż poprzednie, ogólnikowe opracowanie. Opisane w tym tekście pierwsze kroki łatwo poprowadzić dalej, w kierunku demokracji wielopartyjnej. Ustawowe ograniczenia władzy partii z jednej strony, a z drugiej wolność zrzeszania się, wolność prasy i swoboda tworzenia frakcji parlamentarnych mogą zaowocować partyjnym pluralizmem. Oto główna idea *Társadalmi szerrődés*, gdy chodzi o najbliższą przyszłość. Równie ważne są dwa pierwsze akapity, gdzie tłumaczymy, że »Kádár musi odejść«. Słowa te mają o wiele głębszy sens niż stwierdzenie, że czas sekretarza generalnego przeminął. Kádár uosabiał restaurację lat 1956–1957. Jego nieuchronny upadek symbolizuje koniec epoki”¹⁰⁷.

Środowiska opozycyjne zaczęły budować krytyczną opinię publiczną, a następnie polityczną opozycję. Gdy tylko pojawiła się szansa na wolne wybory, opozycja demokratyczna porzuciła rolę krytyka, stając się częścią nowego, demokratycznego ustroju. Odtąd historię jej śledzić można w dziennikach i mediach elektronicznych.

Tłum. Sergiusz Kowalski

¹⁰⁵ *Tiltakozás [Protest]*, „Beszélő” 1988, nr 24, s. 449.

¹⁰⁶ J. Kis, *Mit képvisel a Beszélő?* [Co reprezentuje „Beszélő”?], „Beszélő” 1989, nr 26, s. 691–695.

¹⁰⁷ *Ibidem*, s. 691–695.

PANORAMA OPOZYCJI CZECHOSŁOWACKIEJ 1968–1989

MAREK PERNAL

historyk, dyplomata, po 1989 r. m.in. dyrektor generalny Biura ds. Wyznań Urzędu Rady Ministrów, wykładowca Studiów Wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego, ambasador RP w Republice Czeskiej, konsul generalny RP w Barcelonie. Autor publikacji dotyczących stosunków polsko-czesko-słowackich, historii Polski po 1980 r., dziejów dyplomacji polskiej w XX wieku, zakresu wolności sumienia i wyznania oraz – z czego jest szczególnie zadowolony – bedekerów po Czechach, Słowacji i Barcelonie.

Zbrojna interwencja pięciu państw Układu Warszawskiego w Czechosłowacji 21 sierpnia 1968 r. oznaczała klęskę reformatorskich koncepcji politycznych, które ekipa Alexandra Dubčeka usiłowała wprowadzić w życie. Żywnione przez wielu nadzieje, że uda się zachować choć część dorobku ośmiu miesięcy praskiej wiosny, okazały się płonne. Rozpoczęta jesienią 1968 r. „normalizacja” oznaczała niemal całkowite odrzucenie demokratycznych przeobrażeń w sferze stosunków społecznych, gospodarki i kultury. Przywrócono pełną kontrolę partii komunistycznej nad wszystkimi dziedzinami życia kraju. Zamknięto granice, zakazano działalności niezależnych od władz organizacji i stowarzyszeń, wznowiono działalność cenzury. „Gwarantem spokoju” stały się stacjonujące w kraju oddziały Armii Radzieckiej, liczące około 70 tys. żołnierzy. Do połowy 1969 r., gdy ostatecznie zamknięto możliwość wyjazdu na Zachód, zdążyło wyemigrować ponad 140 tys. obywateli CSRS. W polityce jedyną trwałą zdobyczą okresu swobody stało się przeobrażenie konstytucyjnej postaci państwa w dwuczłonową federację czesko-słowacką.

Odchodzenie przez władze od reformatorskich ideałów praskiej wiosny spotkało się początkowo z żywym i powszechnym oporem społeczeństwa¹. Formą sprzeciwu stały się wielkie manifestacje, które wstrząsały krajem w ciągu kilku miesięcy po sierpniowej agresji. Spontanicznie protestowano 28 października – w pięćdziesiątą rocznicę powstania niepodległego państwa czechosłowackiego, 7 listopada – w rocznicę rewolucji październikowej i 16 listopada – w dniu przypominającym zamknięcie czeskich szkół wyższych przez faszystów w 1939 r. Dramatycznym gestem sprzeciwu przeciwko interwencji było podpalenie się praskiego studenta Jana Palacha 8 stycznia 1969 r. i wielosettyśieczna demonstracja, w jaką kilka dni później przerodził się jego pogrzeb. Formę gwałtownych antysowieckich wystąpień przybrały entuzjastycz-

¹ W języku polskim obszerne informacje o opozycji czechosłowackiej w latach 1968–1989, biogramy działaczy, szkice o historii poszczególnych środowisk, leksykon instytucji oraz kalendarium najważniejszych wydarzeń zamieszcza *Słownik dysydentów. Czołowe postacie ruchów opozycyjnych w krajach komunistycznych w latach 1956–1989*, t. 1, red. J. Kochanowski i in., Warszawa 2007.

ne manifestacje po zwycięstwie Czechosłowacji nad ZSRR w finale hokejowych mistrzostw świata w Sztokholmie 28 marca 1969 r. Ostatnie masowe protesty społeczne odbyły się w pierwszą rocznicę interwencji, w sierpniu 1969 r.; podczas starć z demonstrantami w Pradze i Brnie policja użyła broni i zatrzymała ponad 2400 osób. W ciągu całego 1969 r. sądy skazały 942 obywateli czechosłowackich oskarżonych o przestępstwa przeciwko interesom państwa, 4050 osobom wytoczono zarzut poniżania władz i funkcjonariuszy państwowych.

Rocznicy agresji towarzyszyło w sierpniu 1969 r. wystąpienie grupy czechosłowackich intelektualistów skierowane do najwyższych władz państwowych. List podpisany przez pośła Rudolfa Batteka, pisarzy Václava Havla i Ludvíka Vaculíka, dziennikarza Vladimíra Nepraša, szachistę Ludka Pachmana, historyka Jana Tesařa, politologa Luboša Kohouta i działacza studenckiego Jana Wagnera wskazywał na źródła kryzysu politycznego, w jakim znalazł się kraj, akcentując dramatyczne skutki utraty podmiotowości przez społeczeństwo. W oświadczeniu znalazły swe odbicie legalistycznie przekonania, które osiem lat później, po powstaniu Karty 77, stały się charakterystyczną cechą czechosłowackiej opozycji politycznej: „Stwierdzamy jasno i wyraźnie, że prawo posiadania poglądów innych niż władza jest naturalnym prawem człowieka [...] Zastrzegamy sobie prawo przeciwstawiania się legalnymi środkami wszystkiemu, co pozostaje w sprzeczności z naszą wiedzą i rozsądkiem, z naszymi przekonaniami obywateli, którzy dążą do demokracji i komunizmu, z dobrymi tradycjami naszego kraju. Nie chcemy uciekać się do metod nielegalnych, ale wykorzystamy wszystkie organa państwowe w celu obrony naszych praw [...]. Podobnie jak odrzucamy przemoc w stosunkach międzynarodowych, tak odrzuca-

my ją przy rozwiązywaniu konfliktów wewnętrznych”². Przeciwno sygnatariuszom listu władze wszczęły kroki karne, Battek, Pachman i Tesař zostali aresztowani. Po trwającym rok śledztwie, jesienią 1970 r. przeciwko całej ósemce sformulowano akt oskarżenia i wyznaczono termin rozprawy. Tuż przed pierwszym posiedzeniem sądu proces został jednak bezterminowo odroczony, a przebywający w areszcie wypuszczeni na wolność, gdzie mieli oczekiwać na dalszy tok sprawy. W tym samym okresie aresztowaniami zakończyła się krótka historia Rewolucyjnej Partii Socjalistycznej, konspiracyjnej organizacji wywodzącej się z lewackiego Ruchu Młodzieży Rewolucyjnej powstałego w 1968 r. Pomiędzy grudniem 1969 a marcem 1970 r. dwudziestu inicjatorów RPS, w tym jej lider Petr Uhl, znalazło się w więzieniu. Zostali skazani (dopiero w 1971 r.!) na wyroki do czterech lat pozbawienia wolności.

Aktywność i zaangażowanie społeczne cechujące życie publiczne w okresie praskiej wiosny po kilkunastu miesiącach po interwencji zaczęły stopniowo wygasać, skutecznie tłumione przez działania administracyjne aparatu państwowo-partyjnego i szykany służby bezpieczeństwa. Z jednej strony czystka przeprowadzona w organach państwa i partii komunistycznej w latach 1969–1971 wpłynęła na sytuację życiową setek tysięcy ludzi, którzy stracili pracę lub stali się ofiarami represji administracyjnych i karnych. Weryfikacja członków KPCz usunęła z partii około pół miliona osób, które tym samym znalazły się w grupie potencjalnych podejrzanych³. Z drugiej strony większość społeczeństwa była przekonywana do posłuszeństwa względnie dobrą sytuacją ekonomiczną. Zaczęły odnosić sukcesy zasady „knedlikowego komunizmu”, jak politykę tę potem z przekąsem nazywano. Jej efektem stała się narastająca apatia społeczna, powszechna dwulico-

² *Tschechoslowakei 1968–1978. Dokumente zum 10. Jahrestag der Okkupation durch Truppen von fünf Warschauer-Pakt-Staaten*, Wien 1978, s. 42–46.

³ K. Kaplan, *Political Persecution in Czechoslovakia 1948–1972*, Köln 1983, s. 37.

wość, kunktatorstwo i donosicielstwo podniesione do rangi cnoty obywatelskiej. Społeczeństwo zaczęło pogrążyć się w stanie głębokiego kryzysu moralnego. Marazmu tego nie udało się przełamać aż do końca lat osiemdziesiątych. Wszystkie opisane poniżej inicjatywy czechosłowackiej opozycji demokratycznej, nie wyłączając najważniejszej – Karty 77, nie objęły przed 1988 r. kręgu szerszego niż kilkuset uczestników.

Zdecydowana większość wystąpień krytykujących w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych politykę normalizacji miała swe korzenie w środowiskach reformatorskich komunistów praskiej wiosny. Wśród mniej lub bardziej efemerycznych ugrupowań tego nurtu znacznie większą rolę odegrał Socjalistyczny Ruch Obywateli Czechosłowacji (Socialistické hnutí československých občanů, SHČO), który w deklaracji programowej ogłoszonej jesienią 1970 r. określił się jako platforma współpracy wszystkich sił zamierzających kontynuować reformatorskie działania komunistów z okresu sprzed agresji. Inspiratorem SHČO był Milan Hübl, podczas praskiej wiosny członek KC KPCz i rektor Wyższej Szkoły Nauk Politycznych.

Jesienią 1971 r. lewicowe ugrupowania opozycyjne przeprowadziły w większych miastach akcję ulotkową przed zbliżającymi się czechosłowackimi wyborami parlamentarnymi. Kilkanaście dni później służba bezpieczeństwa aresztowała kilkadziesiąt osób związanych z tym przedsięwzięciem. W procesie, który odbył się w lipcu i sierpniu 1972 r., 46 osób skazano łącznie na 99 lat więzienia. Największe wyroki otrzymali Milan Hübl i Jaroslav Šabata (po 6,5 roku), Jan Tesař (6 lat) oraz działacz studencki Jiří Müller (5,5 roku).

W ciągu kolejnych kilku lat protesty przeciwko panującej w Czechosłowacji sytuacji politycznej i społecznej ograniczały się w większości do sporadycznych oświadczeń SHČO, wydawanych zazwyczaj w związku z rocznicą agresji 1968 r. Sporym echem odbiły się w tym czasie także dwa listy napisane przez czołowych polityków praskiej wiosny i upublicznione w audycjach Radia Wolna Europa

i BBC. Autorem pierwszego był w lipcu 1973 r. Josef Smrkovský, były przewodniczący Zgromadzenia Narodowego i członek Prezydium KC KPCz, jedna z najpopularniejszych postaci ekipy Alexandra Dubčeka. Zwrócił się do Leonida Breżniewa z apelem o nawiązanie rozmów, których celem miałyby być przełamanie kryzysu trapiącego Czechosłowację. Wystąpienie pozostało – jak można się było spodziewać – bez odpowiedzi.

Autorem drugiego był sam Dubček, były I sekretarz KC KPCz, usunięty z tej funkcji w kwietniu 1969 r. przez Gustáva Husáka, później piastujący przez kilka miesięcy stanowisko przewodniczącego Zgromadzenia Federalnego i ambasadora CSRS w Turcji, a od 1970 r., po usunięciu z partii, pracujący jako inżynier leśnik w jednym z przedsiębiorstw na Słowacji. Polityk uznawany powszechnie za symbol komunistycznych reform w liście do czechosłowackiego parlamentu w październiku 1974 r. przedstawił system kontroli i inwigilacji, jakiej został poddany od momentu pozbawienia go funkcji publicznych. Oskarżał Husáka i innych przywódców partii o doprowadzenie kraju do stanu, w którym króluje strach i korupcja, a obywatele żyją w atmosferze podejrzliwości i hipokryzji. List, wskazujący na nadużycia władzy i wzywający do ich usunięcia, pozostawał zarazem apologią idei reformatorskiego komunizmu, zasad marksizmu i sojuszu ze Związkiem Sowieckim.

Ani wystąpienie Dubčeka, ani list Smrkovskiego nie stały się zaczynem jakichkolwiek działań zmierzających do uzdrowienia sytuacji. Gustáv Husák ograniczył swą odpowiedź do publicznego stwierdzenia, że był przywódca partii „wybrał drogę międzynarodowych reakcjonistów”.

O ile autorami wystąpień polityczno-społecznych w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych byli niemal wyłącznie dawni przedstawiciele reformatorskiego skrzydła KPCz, o tyle w niezależnej kulturze panował już w tym okresie pluralizm postaw i poglądów. Teksty literackie, historyczne, filozoficzne i naukowe reprezentujące różne nurty ideowe, religijne i estetyczne krążyły wśród

czytelników w kopiach maszynowych od 1972 r. Najdłuższe i największe zasługi w rozpowszechnianiu literatury w tej postaci miało wydawnictwo Petlice (Kłódka), założone przez pisarza Ludvíka Vaculíka, nastawione na publikację autorów czeskich i słowackich pozbawionych prawa druku. W ciągu osiemnastu lat działalności (ostatnia publikacja ukazała się w 1990 r.) ogłosiło ono 391 pozycji, od 50-stronicowych broszur po 700-stronicowe tomy. Każda edycja przygotowywana była w niewielkiej liczbie egzemplarzy (maszynopisy!), którym nadawano bardzo staranną, czasami wręcz wyszukaną formę – opatrywano grafiką, mapami, a nawet fotografiami. Petlice udostępniło czytelnikom ogromną część twórczości Bohumila Hrabala (m.in. *Postrzyżyny*, *Zbyt głośna samotność* i *Obsługiwałem angielskiego króla*), utwory poetyckie laureata Nagrody Nobla Jaroslava Seiferta czy dramaty Václava Havla (*Wernisaż*, *Audiencja*)⁴.

W 1975 r. rozpoczęło działalność stworzone przez Havla wydawnictwo Expedice, nastawione na publikację eseistyki i filozofii, także w przekładach. Na wykonywanych na maszynie do pisania kopiach wprowadziło do obiegu czytelniczego ponad 300 tytułów, m.in. prace czeskich filozofów Radima Palouša i Ladislava Hejdánka oraz tłumaczenia książek Dietricha Boenhoffera, Mircei Eliadego, George'a Orwella. W późniejszym okresie, szczególnie w latach osiemdziesiątych, liczba niezależnych inicjatyw wydawniczych wzrosła do kilkudziesięciu. Mocną pozycję zyskały sobie m.in. regularne pisma literackie „Kritický sborník”, „Vokno” i „Revolver Revue”.

W kwietniu 1975 r. opozycyjne środowiska kulturalne stały się celem wielkiej akcji czechosłowackiej służby bezpieczeństwa. Podczas kilkuniedniowej fali rewizji w domach znanych pisarzy, naukowców i publicystów zarekwirowano dziesiątki rękopisów, notatek i niepublikowanych tekstów. Tak jak poprzednio represjonowani zwrócili

się o wsparcie do międzynarodowego środowiska intelektualnego: pisarz Karel Kosík do Jeana-Paula Sartre'a, Ludvík Vaculík – do sekretarza generalnego ONZ Kurta Waldheima, Pavel Kohout do Heinricha Bölla i Arthura Millera. W atmosferze oficjalnej nagonki na niezależnych twórców ze szczególną mocą zabrzmiał najważniejszy z listów otwartych, jakie powstały w okresie posierpniowej normalizacji: wystąpienie Václava Havla adresowane do prezydenta CSRS i przywódcy KPCz Gustáva Husáka. Pisarz analizował w nim straty, jakie przynosi krajowi i jego obywatelom system sprawowania rządów oparty na strachu i apatii, promujący nieszczerłość w stosunkach międzyludzkich, dewastujący wielkie obszary kultury i dążący do pełnej uniformizacji życia. Wskazując na nieuchronność procesów, które muszą doprowadzić do artykulacji autentycznych potrzeb społecznych, Havel stwierdzał: „Życie można gwałcić, spłasczać, uśmiercać długo i bardzo gruntownie, lecz przecież całkowicie zahamować go niepodobna: chociaż cicho, skrycie i powoli, toczy się przecież dalej [...] Jeśli nie można trwale zniszczyć życia, to nie można też całkowicie zatrzymać biegu dziejów: pod ciężką skorupą bezruchu i pseudodziałania płynie ich niewidoczny strumyk, z wolna i niezauważenie podmywając tę skorupę. Może to trwać długo, ale pewnego dnia stać się musi: skorupa nie będzie już mogła dłużej opierać się i zacznie pękać. I będzie to chwila, w której znów zacznie działać się coś dostrzegalnego, coś naprawdę nowego i niepowtarzalnego: coś, co nie zostało zaplanowane w oficjalnym kalendarzu wydarzeń, [...] coś naprawdę historycznego, dziejowego w tym sensie, że znów może być określone słowem »dzieje«”⁵.

Kilkanaście miesięcy później, w 1976 r. zaszły dwa wydarzenia, które w decydujący sposób przyczyniły się do zmiany dotychczasowych form i metod działania opozycji czechosłowackiej i stały się bezpośrednią zapowiedzią Karty 77. Były to

⁴ J. Hanaková, *Edice českého samizdatu 1972–1991*, Praha 1997.

⁵ V. Havel, *Thriller i inne eseje*, Warszawa 1988, s. 7, 28.

akcja na rzecz uwolnienia więźniów politycznych oraz procesy członków zespołów muzycznych Plastic People of Universe i DG 307.

We wspomnianych procesach z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych za „agitację antysocjalistyczną” i „próby obalenia ustroju republiki” skazano wprawdzie kilkaset osób, ale po odsiedzeniu wyroków i po amnestii z 1974 r. większość z nich znalazła się na wolności. W 1976 r. swe kary odsiadywali tylko Milan Hübl, Jiří Miller, Antonín Rusek, Jaroslav Šabata i Jan Tesař, skazani jesienią 1972 r. W marcu 1976 r. ich rodziny zwróciły się do prezydenta Husáka z prośbą o uwolnienie opozycjonistów. Podkreślano niehumanitarne warunki odbywania kary i represje stosowane wobec nich w zakładach karnych. W czerwcu z apelem o zwolnienie czechosłowackich więźniów politycznych wystąpiło siedmiu byłych członków najwyższych władz KPCz, m.in. Zdeněk Mlýnař, Jiří Hájek i Bohumil Šimon. Przekazali oni swe wezwanie uczestnikom obradującej w tym czasie w Berlinie konferencji partii komunistycznych i robotniczych. Żądanie wypuszczenia na wolność osób więzionych za przekonania, kolportowane w czeskich i słowackich audycjach Wolnej Europy i BBC, dotarło do szerokich kręgów społecznych, znajdując poparcie także w środowiskach niezwiązanych z byłymi komunistami. Ku zaskoczeniu wielu obserwatorów akcja na rzecz zwolnienia „piątki” okazała się skuteczna. W październiku 1976 r. więzienie opuścił przedterminowo Tesař, a w grudniu pozostali.

Drugą okazją do konsolidacji środowiska opozycji stały się procesy członków dwóch bardzo popularnych zespołów muzycznych czeskiego undergroundu: Plastic People of Universe i DG 307 odbywające się latem 1976 r. w Pradze i Pilźnie. W akcie oskarżenia zarzucono im propagowanie wulgarności, nihilizmu, dekadencji i klerykalizmu. W istocie chodziło o ukaranie artystów występujących poza oficjalnym, kontrolowanym

przez władze rynkiem rozrywki, śpiewających teksty niepoddane cenzurze i gromadzących wokół siebie coraz większe grono sympatyków. Procesy przyciągnęły uwagę wielu środowisk skupionych wokół ideałów demokracji. Havel pisał potem: „W tej chwili owe izolowane dotychczas grupy i inicjatywy uświadomiły sobie, że atak na muzyków był atakiem na wszystkich, że napadnięto to, co najważniejsze – dążenie do autentycznej wypowiedzi, do autentycznego życia – i że dlatego trzeba stanąć w obronie tych młodych muzyków [...] Była z tego afera, skandal polityczny, wydarzenie, którego reżim bynajmniej sobie nie życzył. Na korytarzach budynku sądu, w którym zostali skazani czterej muzycy [...] byli najrozmaitsi ludzie: dwudziestoletni długowłosi młodzieńcy, dawni członkowie przeydium KPCz, czołowi teoretycy sztuki, krytycy, profesorowie, pisarze i wielu innych. Było tam całe zaplecze duchowe Karty 77, z którego nieco później Karta się narodziła”⁶.

Muzycy zostali ostatecznie skazani, choć liczba osób, które zasiadły na ławie oskarżonych, zmniejszyła się z zapowiadanych ośmiu do czterech. Ivan Jirous otrzymał karę 18 miesięcy więzienia, Pavel Zajíček 12 miesięcy, Svatopluk Kárásek i Vratislav Brabenec po 8 miesięcy. Wyroki odbiły się głośnym echem w Czechosłowacji i poza jej granicami. W sierpniu 1976 r. grono wybitnych postaci świata kultury i nauki – poeta i przyszły noblista Jaroslav Seifert, historyk literatury prof. Václav Černý, filozofowie prof. Jan Patočka i prof. Karel Kosík, pisarze Václav Havel, Ivan Klíma i Pavel Kohout – zwróciło się do Heinricha Bölla z prośbą o wystąpienie w obronie skazanych. W początkach października list otwarty do władz odpowiedzialnych za praworządność w CSRS ogłosił Zdeněk Mlýnař. Dziesiątki osób podpisały apel potępiający skazanie Jirousa i jego przyjaciół. Szeroki rozgłos zdobył krążący w maszynopisowych kopiach felieton Havla poświęcony rozprawie i jej wynikom.

⁶ *Ibidem*.

Akcje na rzecz uwolnienia więźniów politycznych i w obronie skazanych młodych muzyków były najważniejszym, choć nie jedynym czynnikiem wpływającym na krystalizowanie się koncepcji Karty 77. Znaczenie miało także opublikowanie w dzienniku urzędowym w listopadzie 1976 r., rok po podpisaniu w Helsinkach „Aktu końcowego” KBWE, ratyfikowanych przez CSRS Międzynarodowych Paktów Praw Obywatelskich i Politycznych. Na ocenę sytuacji dokonywaną przez czeskich i słowackich obrońców praw człowieka wpływała też aktywność opozycji w Związku Sowieckim i Polsce w latach 1975 i 1976.

Późną jesienią 1976 r. najaktywniejsi członkowie czeskiej opozycji demokratycznej – Havel, Vaculík, Kohout, Uhl, Mlynař, Hájek i Němec – opracowali ideowe zasady ruchu, który zamierzali powołać do życia. Kohout wymyślił jego nazwę i wraz z Havlem sformułował dokument, który precyzował założenia, program i metody działania nowej inicjatywy. Oświadczenie Karty 77 ogłoszono z datą 1 stycznia 1977 r. Stwierdzano w nim, że ustalenia helsińskie są przez władze CSRS stale łamane. Ogłaszano: „Karta 77 jest wolnym, nieformalnym i otwartym środowiskiem ludzi o różnych przekonaniach, wyznaniach i zawodach, których łączy wola wspólnego i indywidualnego dążenia do respektowania praw człowieka i obywatela w naszym kraju i na świecie [...] Karta nie jest organizacją, nie ma statutu, stałych organów i organizacyjnie uwarunkowanego członkostwa. Należy do niej każdy, kto zgadza się z jej ideami, uczestniczy w jej pracach i udziela jej poparcia. Karta 77 nie stanowi bazy dla politycznej działalności opozycyjnej. Chce służyć interesowi społecznemu. Podobnie jak liczne analogiczne inicjatywy obywatelskie w różnych krajach na Zachodzie i na Wschodzie. Nie chce zatem formułować własnych programów reform politycznych czy społecznych, lecz zamierza prowadzić w zakresie swego działania konstruktywny dialog z władzami państwo-

wymi i politycznymi, w szczególności zaś zwracać uwagę na konkretne przykłady naruszania praw człowieka i obywatela, przygotowywać ich dokumentację, proponować rozwiązania”⁷.

Jeszcze w grudniu 1976 r. pod oświadczeniem Karty 77 podpisało się 240 osób. Wśród pierwszych sygnatariuszy znaleźli się dawni działacze komunistyczni związani z partyjnym programem reform z 1968 r. oraz ludzie nieuczestniczący wcześniej w żadnej działalności politycznej, katolicy i przedstawiciele innych wyznań, intelektualści i pracownicy fizyczni (warto skądinąd zauważyć, że w realiach czechosłowackich okresu normalizacji po 1968 r. obie te kategorie osób nie były rozdzielne). Podpis złożył m.in. Jaroslav Seifert, w 1984 r. laureat literackiej Nagrody Nobla. Rzecznikami Karty zostały trzy osoby, których profesje i biografie odzwierciedlały różnorodność środowisk uczestniczących w tej inicjatywie: siedemdziesięcioletni filozof Jan Patočka, Václav Havel i Jiří Hájek – „reformatorski komunista”, minister spraw zagranicznych w okresie praskiej wiosny. Osobą najmniej znaną w tym gronie, a przecież przez wielu uważaną za postać najbardziej uosabiającą ducha Karty, był Patočka, autor ponad 120 prac i rozpraw, „uczony o światowej sławie i nadzwyczajnej moralnej sile i czystości”, by posłużyć się określeniem Romana Jakobsona.

Deklaracja Karty spowodowała szybką reakcję władz. Już 12 stycznia 1977 r. w organie KC KPCz „Rudé právo” ukazał się artykuł pod wymownym tytułem *Ztroskotanci a samozvanci*, w wolnym tłumaczeniu: *Bankruci i samozwańcy*. Manifest nazwano w nim tekstem „antypaństwowym, antysocjalistycznym, demagogicznym i haniebnym”, a jego sygnatariuszy – sługusami i agentami imperializmu. 28 stycznia w praskim Teatrze Narodowym, a tydzień później w Teatrze Muzycznym władze zorganizowały olbrzymie spotkania, na które wezwano wielu popularnych artystów, aktorów i ludzi estrady. Pierwszoplanowymi uczest-

⁷ Charta 77 1977–1989. Od morální k demokratické revoluci. Dokumentace, oprac. V. Prečan, Scheinfeld – Praha – Bratislava 1990.

nikami obu mityngów stali się znana aktorka Jiřina Švorcová i piosenkarz Karel Gott. Zebranych przedstawiono do podpisu oświadczenie komitetu czechosłowackich związków twórczych potępiające Kartę i deklarujące pełne poparcie dla władz. W dokumencie tym, określanym potem potocznie jako Antykarta, podkreślano wywrotowy i odizolowany charakter opozycyjnej inicjatywy. Aranżowanemu protestowi artystów nadano szeroki rozgłos, spotkaniom towarzyszyły kamery telewizyjne, a prasa przez kilka dni publikowała nazwiska sygnatariuszy Antykarty. Jest faktem, że pod partyjną odezwą znalazły się podpisy wielu znanych, często wybitnych przedstawicieli czeskiej i słowackiej kultury. Niektórzy, jak legenda czeskiego teatru Jan Werich, odwołali potem swe poparcie, twierdząc, że zostali wprowadzeni w błąd. Inni, jak Bohumil Hrabal czy pisarz Vladimír Neff, nigdy tego nie uczynili.

W atmosferze propagandowej nagonki na Kartę 77 obiektem szczególnie napastliwych ataków stał się nobliwy rzecznik ruchu, prof. Patočka. „*Rudé právo*” nie wahało się wysunąć pod jego adresem absurdalnych oskarżeń o sprzyjanie faszyzmowi w czasie drugiej wojny światowej. Wkrótce po spotkaniu z holenderskim ministrem spraw zagranicznych Maxem van der Stoelem, który przyjechał z oficjalną wizytą do Czechosłowacji, Patočka został zatrzymany przez służbę bezpieczeństwa, a podczas jedenastogodzinnego przesłuchania stracił przytomność. Przewieziony do szpitala, po kilku dniach – 13 marca 1977 r. – zmarł. Jego pogrzeb mimo przeszkód stwarzanych przez policję zgromadził ponad tysiąc osób.

W sierpniu 1977 r., po rezygnacji aresztowanego Havla, następnymi rzecznikami Karty 77 zostali obok Hájka filozof Ladislav Hejdánek i popularna piosenkarka Marta Kubišová. W kwietniu 1978 r. na miejsce Hájka, który zrezygnował ze swej funkcji, wszedł filozof Jaroslav Šabata. W lutym 1979 r., po aresztowaniu Šabaty i rezygnacji Kubišovej, funkcję rzeczników objęli dziennikarz Jiři Dienstbier, katolicki filozof Václav Benda i socjo-

log Zdena Tominová. Już w maju dwaj pierwsi znaleźli się w więzieniu. Zastąpili ich tymczasowo Hájek i Hejdánek. Na początku 1980 r. wrócono do zasady, że trzech rzecznicy Karty obejmują swą funkcję w styczniu i pełnią ją przez dwanaście miesięcy. W latach 1977–1992 w roli reprezentantów ruchu wystąpiły łącznie 44 osoby.

W całym okresie istnienia ruchu (Karta 77 formalnie zakończyła działalność w 1992 r.) pod oświadczeniem z 1 stycznia 1977 r. podpisało się łącznie 1898 osób (znaczna grupa 428 osób uczyniła to w 1989 r.). Ogromna większość sygnatariuszy pochodziła z Czech, środowiska słowackie były reprezentowane nad wyraz skromnie. (Bodaj najbardziej znanym Słowakiem w tym gronie był Miroslav Kusý, filozof, działacz partyjny podczas praskiej wiosny, po aksamitnej rewolucji rektor Uniwersytetu Komeńskiego w Bratysławie). Nazwiska kolejnych sygnatariuszy zawsze upubliczniano. Złożenie podpisu pociągało za sobą oczywiste konsekwencje. Władze stosowały politykę szykan i represji praktykowaną już wcześniej wobec inicjatorów wystąpień opozycyjnych z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych. Teraz jednak wprowadzano ją w życie na znacznie szerszą skalę. Sygnatariusze Karty, niezależnie od statusu zawodowego i społecznego, byli nie tylko inwigilowani i przesłuchiwani, ale także z reguły pozbawiani swych dotychczasowych stanowisk; musieli przyjmować złe płatną i wyczerpującą pracę fizyczną, np. stróżów i sprzątaczek. W systemie gospodarki czechosłowackiej, w którym praktycznie nie było prywatnych pracodawców, a państwo kontrolowało cały rynek zatrudnienia, wybór przez służbę bezpieczeństwa „odpowiedniego” miejsca dla każdego poszukującego źródeł utrzymania był kwestią banalnie prostą. Wynikiem takich praktyk stały się później typowe fragmenty biografii wielu czołowych polityków okresu po aksamitnej rewolucji 1989 r. Václav Havel nabrał doświadczeń robotnika w browarze, przyszedł prymas Czech kard. Miroslav Vlk mył szyby sklepowe. Jiři Dienstbier objął w grudniu 1989 r. swój resort spraw zagra-

nicznych, opuszczając z dnia na dzień stanowisko palacza w kotłowni. Szykanowano także rodziny i bliskich; powszechnie uniemożliwiano studiowanie dzieciom osób deklarujących swe „nieprawomyślne” poglądy. Mimo dyskryminacji i restrykcji podpis pod oświadczeniem Karty 77 odwołało tylko 25 osób. Około trzystu wyjechało na emigrację.

Zasadniczą formą aktywności Karty stało się opracowywanie dokumentów dotyczących różnych zagadnień życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Szczególną uwagę poświęcano zjawiskom niepokojącym – przemilczanym, tolerowanym lub popieranym przez władze. W latach 1977–1989 przygotowano około 340 dokumentów. Oprócz wydawanych przy różnych okazjach oświadczeń, protestów, wniosków i stanowisk szczególnego rozgłosu nabrały analizy dotyczące stanu gospodarki czy więziennictwa, ograniczania swobód religijnych, krępowania wolności prasy i wypowiedzi, zagrożenia środowiska naturalnego przez czzechosłowackie elektrownie jądrowe, sytuacji mniejszości narodowych. Ważnymi tekstami okazały się dokumenty *Prawo do historii* i *Prawo do informacji* oraz zbiory wypowiedzi *Karta 77 o pokoju i o odpowiedzialności w polityce i za politykę*.

Jesienią 1977 r. w środowisku Karty zrodził się projekt powołania grupy roboczej (inicjatorem był historyk Jan Tesař) do dokumentowania przypadków naruszania przez władze obowiązujących standardów w dziedzinie praw człowieka. Po kilkumiesięcznych dyskusjach i przygotowaniach, 27 kwietnia 1978 r. ogłoszona została informacja o powstaniu Komitetu Obrony niesprawiedliwie Prześladowanych (*Výbor na obranu nespravedlivě stíhaných*, VONS). Sygnatariuszami deklaracji – i zarazem członkami VONS – stali się najaktywniejsi działacze Karty, m.in. Rudolf Battěk, Otta Bednářová, Jarmila Bělíková, Václav Benda, Jiří Dienstbier, Václav Havel i Petr Uhl, łącznie dwadzieścia osób (nazwiska trzech nie zostały podane

do publicznej wiadomości). W późniejszych latach skład komitetu zmieniał się wskutek aresztowań, emigracji i akcesji nowych osób, ogólna liczba członków nie przekroczyła jednak czterdziestu. VONS gromadził i publikował informacje o sytuacji tych, którzy w związku z głoszeniem swych przekonań stali się ofiarami naruszania przez władze obowiązujących przepisów, czy to na etapie zatrzymania i śledztwa, czy to podczas procesu i odsiadki wyroku. Każdy przypadek był weryfikowany i dokumentowany, a następnie przedstawiany w odrębnym komunikacie. W okresie swego istnienia VONS opublikował 1125 takich informacji. W miarę możliwości udzielał potrzebną pomoc prawną i finansową.

Akcja VONS nagłaśniająca fakty policyjnej lub sądowej samowoli wzbudziła zaniepokojenie czzechosłowackiej służby bezpieczeństwa. Była uderzeniem w „najczulszy punkt ówczesnej władzy, ponieważ konkretne przypadki jasno wykazywały kłamstwa reżimu” – stwierdził wiele lat później członek VONS, katolicki ksiądz Václav Malý⁸. 29 maja 1979 r. bezpieka zatrzymała dziesięcioro najaktywniejszych członków VONS. W październiku stanęli przed sądem i zostali skazani na kary wieloletniego więzienia: Uhl – na 5 lat, Havel – 4,5 roku, Benda – 4 lata, Dienstbier – 3 lata, Bednářová – 3 lata, Dana Němcová – 2 lata (warunkowo). Śledztwo wobec pozostałej czwórki – Bělíkovej, Ladislava Lisa, Václava Malego i Jiříego Němca zostało wyłączone do odrębnego postępowania. Ta grupa została zwolniona z aresztu w grudniu 1979 r., ale ich sprawę umorzono dopiero w 1989 r.

Uwięzienie członków VONS wywołało odzew za granicami Czechosłowacji. Wśród protestów nie zabrakło głosów polskich. Wyjątkowym znakiem solidarności z aresztowanymi była tygodniowa głódówka, jaką w warszawskim kościele św. Krzyża podjęło 3 października 1979 r. grono przedstawicieli polskiej opozycji demokratycznej. Wzięło w niej udział piętnaście osób związanych z Ko-

⁸ *Nejcitlivější místo režimu. Výbor na obranu nespravedlivě stíhaných pohledem svých členů*, oprac. P. Blažek, J. Pažout, Praha 2008.

mitetem Samoobrony Społecznej KOR i Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, m.in. Jacek Kuroń, Jan Lityński, ks. Stanisław Małkowski, Halina Mikołajska, Adam Michnik, Andrzej Czuma i Antoni Macierewicz. Formą wsparcia było przyjęcie VONS w 1979 r. w skład Międzynarodowej Federacji Praw Człowieka (International Federation for Human Rights, FIDH) i powierzenie Ladislavovi Lisovi funkcji jej wiceprzewodniczącego.

Początkowo Karta 77 nie dysponowała żadnym narzędziem pozwalającym na szersze rozpowszechnianie informacji o podejmowanych działaniach. Od stycznia do października 1977 r. Petr Uhl przygotowywał jedynie anonimowo związane zapisy o działaniach Karty i represjach, jakie dotyczyły jej sygnatariuszy. Kilkustronicowe maszynopisy krążyły w wąskim gronie, ale trafiały do zachodnich dziennikarzy i agencji prasowych. Zmianę przyniósł początek 1978 r., gdy Uhl zdecydował się na wydawanie regularnego biuletynu za tytułowanego „Informace o Chartě 77”, zwanego krótko „Infoch”. Pismo, którego pierwszy numer ukazał się w styczniu 1978 r., wydawano zgodnie z tradycyjną zasadą samizdatu. Pierwszy egzemplarz był przez kolejnych czytelników przepisywany w kilkunastu kopiach na maszynie do pisania, przez kalkę, na cienkiej przebitce.

W każdym numerze zamieszczano dokumenty Karty, a potem – od kwietnia 1978 r. – także komunikaty i informacje VONS. Wkrótce pojawił się dział poświęcony niezależnym przedsięwzięciom w dziedzinie kultury, oświaty i życia społecznego. W biuletynie zamieszczano również wiadomości o działaniach i losach środowisk opozycji demokratycznej w innych krajach. Nie brakowało zatem wzmianek o KOR, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz innych polskich inicjatywach.

W kwietniu 1979 r. „Infoch” zaczął podawać nazwisko i adres swego redaktora Petra Uhla. „Było od początku moim celem – pisał po latach Uhl – by i w tej kwestii pozostać wiernym zasadzie, która

legła u podstaw założenia Karty 77, a mianowicie zasadzie otwartego występowania w interesie praw człowieka. A zatem mimo dotyczących nas represji, zaciskając zęby, trzymaliśmy się uparcie tego, że StB nie może nas wepchnąć w konspirację, że swymi nazwiskami ręczymy za swe działania i gotowi jesteśmy ponosić ich konsekwencje”⁹.

Umieszczony w biuletynie przy nazwisku Uhla dopisek: „Wydaje niezależna grupa redakcyjna sygnatariuszy Karty 77” podkreślał fakt, że pismo jest nie tylko niezależne od instytucji i organów publicznych, co było oczywiste, ale i od rzeczników Karty, co już wcale oczywiste być nie musiało. Obok Uhla zespół redakcyjny tworzyli Václav Benda i Otta Bednářová. Cała trójka znalazła się w więzieniu w maju 1979 r., aresztowana w grupie dziesięciu najaktywniejszych działaczy VONS. W czasie gdy Uhl i Benda odsiadywali swe pięcioletnie wyroki, „Infoch” redagowała Anna Šabátová, żona Uhla.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych „Infoch” (którego redakcję objął ponownie Uhl, wypuszczony z więzienia w 1984 r.), jego produkcja i dystrybucja nabrały większego rozmachu. W prace redakcyjne włączyła się Jarmila Běliková, sądzona w procesie VONS, i Jiří Tichý, aktywny do momentu aresztowania w 1988 r. Zaczęto posługiwać się powielaczem, część nakładu wykonywano metodą sitodruku. Swego rodzaju rewolucją była możliwość korzystania z najnowszych zdobyczy ówczesnej techniki biurowej – elektrycznych maszyn do pisania z wbudowaną pamięcią, pozwalającą wielokrotnie odtwarzać wprowadzony tekst. Nakład biuletynu wzrósł do około tysiąca egzemplarzy, kolejne numery ukazywały się regularnie co dwa tygodnie. „Infoch” był do końca swego istnienia (ostatni regularny numer ukazał się z datą 5 stycznia 1990 r., dwa pojedyncze numery z 1991 i 1992 r. były już publikacjami o zupełnie innym charakterze) wiarygodnym źródłem informacji dla zagranicznych dziennikarzy i agencji prasowych,

⁹ P. Uhl, *Slovo úvodem* [w:] *Informace o Chartě 77 – článková bibliografie*, Brno 1998.

dla czechosłowackich czasopism emigracyjnych – paryskich „Svědectví” i rzymskich „Listów” oraz dla ukazującego się w Londynie „East European Reporter”, dla Amnesty International i czasopiśma „Index of Censorship”.

Niezależna działalność informacyjno-publicystyczna czechosłowackiej opozycji nabrała mocy, gdy w styczniu 1988 r. zaczął się ukazywać poza cenzurą miesięcznik „Lidové noviny”. Przybrał on tytuł jednej z najstarszych (założonej w 1893 r.) i najbardziej zasłużonych gazet czeskich, zamkniętej przez komunistów w 1952 r. Pierwszy numer otwierał artykuł wstępny Havla zatytułowany *Gazeta jako szkoła*. Zgodnie z intencją redaktora pisma, Jiříego Rumla, „Lidové noviny” miały wychodzić poza krąg Karty i docierać do szerszego czytelnika. Wydawane konspiracyjnie w małej poligrafii miały przed aksamitną rewolucją 25 edycji, a ich nakład szacuje się w sumie na około 10 tys. (czytelnicy sami mnożyli kopie). Po upadku komunizmu zaczęły wychodzić w kwietniu 1990 r. jako dziennik i są do dzisiaj jednym z najbardziej opiniotwórczych tytułów w Republice Czeskiej.

* * *

Działalność Karty 77 miała szeroki kontekst międzynarodowy. Kilka dni po jej powołaniu powstał w Paryżu Międzynarodowy Komitet Poparcia dla Karty 77, w jego skład weszli m.in. Saul Bellow, Heinrich Böll, Friedrich Dürrenmatt, Günther Grass, Graham Greene i Arthur Miller. Przygotowane przez sygnatariuszy dokumenty o łamaniu praw człowieka w Czechosłowacji zostały przekazane uczestnikom konferencji przeglądowych Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w Belgradzie i Madrycie. Przedstawiciele Karty nawiązali kontakty z licznymi organizacjami międzynarodowymi, m.in. z Amnesty International, Międzynarodową Organizacją Pracy, Międzynarodową Federacją Praw Człowieka. Żywo rozwijały

się związki z członkami zachodnioeuropejskich ruchów pokojowych oraz z partiami zielonych. Ogłoszony przez Kartę w marcu 1983 r. „Apel praski” zainicjował międzynarodową dyskusję o warunkach zachowania pokoju w Europie. Znalazły się w nim m.in. stwierdzenia o konieczności rozwiązania problemu zjednoczenia Niemiec i projekt wycofania obcych wojsk ze wszystkich krajów Europy. Szczytowym osiągnięciem współpracy między aktywistami pokojowymi na Wschodzie i Zachodzie było wspólne oświadczenie przygotowane przy znacznym udziale Karty dla trzeciej z kolei konferencji przeglądowej OBWE, w Wiedniu¹⁰.

W sierpniu 1978 r., w rocznicę agresji na Czechosłowację, w Sudetach zorganizowano pierwsze spotkanie przedstawicieli Karty 77 i Komitetu Obrony Robotników. We wrześniu odbyło się następne spotkanie, na którym zdecydowano się stworzyć stałe grupy robocze zajmujące się wymianą informacji, przygotowaniem wspólnych dokumentów i koordynowaniem działań w dziedzinie kultury. Trzeciemu spotkaniu, zaplanowanemu na listopad 1978 r., przeszkodziły służby bezpieczeństwa obu państw. Aresztowano przy tym ówczesnego rzecznika Karty Jaroslava Šabatę.

Po Sierpniu '80 Karta wielokrotnie ogłaszała oświadczenia popierające Solidarność. W 1981 r. działacze polskiej i czeskiej opozycji spotkali się w Pradze, inicjując powstanie Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Oba środowiska organizowały przerzuty sprzętu poligraficznego i niezależnych wydawnictw do CSRS, przygotowywały także wspólne akcje protestacyjne, zwłaszcza w końcu lat osiemdziesiątych. Po 13 grudnia rzecznicy Karty potępił wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. W lipcu 1987 r. w Sudetach grono sygnatariuszy Karty i działaczy polskiej opozycji demokratycznej ogłosiło powstanie Kręgu Przyjaciół SPCz. Jego deklarację podpisali m.in. ze strony polskiej Zbigniew Bujak, Mirosław Jasiński, Jacek Kuroń i Jan Lityński, ze strony czeskiej Václav

¹⁰ G.H. Skilling, *Charta 77 v mezinárodních souvislostech* [w:] *Charta 77 očima současníků po dvaceti letech*, Praha 1997.

Havel, Jiří Dienstbier, Ladislav Lis, Petr Uhl i Jaroslav Šabata.

Karta stała się podłożem, na którym u schyłku lat osiemdziesiątych zrodziły się lub umacniały niemal wszystkie powstające wówczas w Czechosłowacji niezależne inicjatywy. Członkowie Karty byli inicjatorami Niezależnego Stowarzyszenia Pokojowego (Nezávislé mírové sdružení), Czechosłowackiego Komitetu Helsińskiego (Československý helsinský výbor), Inicjatywy Demokratycznej (Československá demokratická iniciativa). Inne przedsięwzięcia obywatelskie, np. katolickie, zyskiwały w środowisku Karty 77 jednoznaczne wsparcie.

Wśród tych ostatnich należy wspomnieć o największej akcji obywatelskiej w czasach komunistycznej normalizacji. Wiosną 1988 r. głęboko zaangażowany w życie religijne Augustin Navrátil, rolnik spod Kromieryža, sygnatariusz Karty 77 w początkowym jej okresie, zredagował 31-punktowy manifest zatytułowany *Pomysły katolików na rozwiązanie sytuacji wierzących obywateli*. Zawarł w nim m.in. postulaty odłączenia Kościoła od państwa, przywrócenia w CSRS wolności religijnej, obsadzenia blokowanych przez władze stolic biskupich, dostępu Kościoła do środków masowego przekazu i uwolnienia duchownych represjonowanych za pełnienie posługi religijnej bez zezwolenia urzędników państwowych. Petycja zyskała niebywałe wsparcie, podpisało ją blisko 600 tys. osób. Sygnatariusz Karty Petr Pospíchal wspominał po śmierci Navrátila w 2003 r.: „Jeden z morawskich działaczy katolickich wrócił w tym czasie z Pragi, gdzie rozmawiał o wsparciu akcji podpisowej. Swe spotkania w kręgach dysydenckich i kościelnych streścił w stwierdzeniu: Petr Uhl petycję pobłogosławił, a ksiądz kardynał (Tomašek) także ją zaakceptował”¹¹. Biorąc pod uwagę radykalnie lewicowe przekonania Uhla, trudno przecenić szerokość uzyskanego poparcia.

Postępy gorbaczowskiej pierestrojki w ZSRR i coraz wyraźniejsze objawy słabnięcia reżimu komunistycznego przyniosły u schyłku 1987 r. ożywienie społeczeństwa czechosłowackiego, po raz pierwszy od 1969 r. gotowego do większej aktywności publicznej. W grudniu 1987 r. w Dniu Praw Człowieka siły policyjne rozpędziły niezależną demonstrację, w marcu 1988 r. w Bratysławie odbyła się wielotysięczna manifestacja z hasłami przywrócenia swobód obywatelskich i praw ludzi wierzących. W maju 1988 r. Karta 77 i VONS w dokumentach szeroko relacjonowały okoliczności śmierci działacza opozycyjnego Pavla Vonki, zmarłego w niejasnych okolicznościach w więzieniu, i protestowały przeciwko policyjnemu atakowi na manifestację, która odbyła się na praskim Rynku Starego Miasta w dniu pogrzebu Vonki.

W październiku 1988 r., a więc niemal dokładnie rok przed wydarzeniami, które miały odsunąć komunistów od władzy w Czechosłowacji, Karta 77 ogłosiła jeden ze swych najważniejszych dokumentów – *Demokracji dla wszystkich*. Anonsował on utworzenie Ruchu na rzecz Wolności Obywatelskiej (Hnutí za občanskou svobodu – HOS), nowej inicjatywy niezależnej, która po raz pierwszy w otwarty i jednoznaczny sposób odrzucała „kierowniczą rolę partii komunistycznej” w życiu kraju. Dokument otwierały zdania o mocy manifestu: „Dojrzał czas do podjęcia pracy naprawdę politycznej. Wkroczmy na obszar, wobec którego ludzie zachowują powszechną nieufność, a to za sprawą tych, którzy od dziesięcioleci okupują go swą dyktaturą i brakiem kompetencji. Ten obszar musi zostać zrehabilitowany. Polityka musi znowu stać się miejscem wyrażania i realizowania rzeczywistych interesów społeczeństwa”¹². Oświadczenie zawierało konkretny program działania w kilkunastu kluczowych dziedzinach życia publicznego i postulaty, które wkrótce znalazły się na sztan-

¹¹ Cyt. za: www.totalita.cz.

¹² R. Hlušíčková, B. Cisařovská, *Hnutí za občanskou svobodu. Sborník dokumentů*, Praha 1994.

darach Forum Obywatelskiego, tworzącego rząd po upadku komunizmu w 1989 r. Manifest HOS miał bardzo szerokie spektrum sygnatariuszy, swe podpisy jako pierwsi złożyli zarówno przedstawiciele lewicowych (Battěk, Dienstbier, Šabata), jak i prawicowych (Benda, Čarnogurský, Vondra) koncepcji politycznych w środowisku Karty 77.

Rok 1989 zaczął się burzliwie. Na 15 stycznia Karta i mniejsze ugrupowania opozycyjne wezwały do złożenia kwiatów na placu Wacława w dwudziestą rocznicę samospalenia Jana Palacha. Władze nie zezwoliły na legalne zgromadzenie i wysłały na miejsce planowanej demonstracji wielkie siły policyjne. Kilkutysięczny tłum demonstrantów został rozproszony, ale spontaniczne manifestacje pod pomnikiem św. Wacława powtarzały się przez kolejne dni. Akcja zyskała potem nazwę Tydzień Palacha i wywołała zainteresowanie światowych mediów. Przeciwko brutalnemu postępowaniu policji protestowały nie tylko niezależne środowiska opozycyjne, ale także czeski Kościół katolicki – słowami kard. Františka Tomaška. Tydzień Palacha skończył się także kolejnym wyrokiem dla Václava Havla. Został on skazany na osiem miesięcy za podburzanie nastrojów społecznych, wyszedł jednak z więzienia już w maju.

W czerwcu 1989 r. Karta opracowała petycję *Kilka zdań*, w której domagała się m.in. zwolnie-

nia więźniów politycznych, przywrócenia prawa do zgromadzeń, zaprzestania represji wobec niezależnych inicjatyw oraz zaniechania manipulowania informacją przez kontrolowane media. Pod koniec czerwca apel podpisało 1800 osób, miesiąc później było ich 10 tys., a jesienią liczba sygnatariuszy osiągnęła 40 tys.

Na 10 grudnia 1989 r., obchodzony jako Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka, Karta planowała wielkie spotkanie sygnatariuszy *Kilku zdań*. Nie zdążyło się ono odbyć. 17 listopada, w czasie wielkiej pokojowej manifestacji studentów w centrum Pragi, policja ponownie użyła siły. Raniono około 150 osób, wzburzenie wywołała – nieprawdziwa, jak się później okazało – informacja o śmierci jednego ze studentów. Masowe demonstracje, zwoływane bezpośrednio potem, stały się pierwszym aktem aksamitnej rewolucji, która odsunęła od władzy ekipę komunistyczną, pokojowej rewolty będącej w jakiejś mierze symbolicznym zwieńczeniem działalności Karty 77. Ruch dał początek dwóm czołowym siłom politycznym, które stanęły na czele demokratycznych przemian w kraju: Forum Obywatelskiego (Občanské fórum) w Czechach i Społeczeństwa Przeciwko Przemocy (Verejnost proti násiliu) na Słowacji. Człowiek uosabiający ducha Karty, Václav Havel, 29 grudnia 1989 r. objął funkcję prezydenta Republiki.

KARTA 77

W numerze 120 Dziennika Ustaw CSRS z dnia 13 października 1976 r. został opublikowany Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Międzynarodowy Pakt Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych¹. Pakty te zostały podpisane w imieniu naszej Republiki w 1968 r., potwierdzone na konferencji w Helsinkach w 1975 r. i zaczęły u nas obowiązywać z dniem 29 marca 1976 r. Od tej chwili obywatele Czechosłowacji mają prawo, a nasze państwo ma obowiązek stosowania tych paktów w życiu. Zagwarantowane w nich prawa i swobody człowieka są doniosłymi wartościami naszej cywilizacji, wartościami, o których uznanie walczyły siły postępu w długim toku dziejów i których kodyfikacja może się istotnie przyczynić do rozwoju naszego społeczeństwa w duchu humanitaryzmu. Przystąpienie CSRS do tych układów witamy więc z zadowoleniem.

Ich opublikowanie jest jednak okazją do przypomnienia, jak wiele podstawowych praw obywatelskich obowiązuje w naszym kraju tylko, niestety, na papierze. Całkowicie iluzoryczne jest na przykład zagwarantowane w artykule 19 pierwszego paktu prawo swobodnego wypowiedzenia opinii. Dziesiątki tysięcy obywateli CSRS zostały pozbawione możliwości pracy we własnym zawodzie tylko dlatego, że wyznają poglądy odmienne

od oficjalnych. Co więcej, są oni często poddawani dyskryminacji i najróżniejszym szykanom przez instytucje i organizacje społeczne. Nie mając żadnych możliwości obrony, stają się w praktyce ofiarami apartheidu. Setki tysięcy innych nie mogą cieszyć się proklamowaną w preambule pierwszego paktu swobodą od strachu, skoro ujawnienie ich poglądów grozi im stale utratą pracy i innych szans życiowych.

Wbrew artykułowi 13 drugiego paktu, który zapewnia wszystkim prawo kształcenia się, znaczna część młodzieży nie może studiować bądź wskutek poglądów własnych, bądź nawet wskutek poglądów rodziców. Niezliczone rzesze obywateli żyją w obawie, że ujawnienie ich poglądów pozbawi prawa kształcenia się ich samych albo ich dzieci.

Artykuł 13 punkt 2 pierwszego paktu gwarantuje prawo „przekazywania wszelkich informacji i opinii ponad granicami państw w postaci ustnej, pisemnej, drukiem lub środkami artystycznymi”. Próby korzystania z tego prawa są jednak ściągane zarówno w drodze pozaprawnej, jak i prawnej, nieraz pod pretekstem oskarżeń o przestępstwa kryminalne, jak tego dowodzą m.in. ostatnie procesy przeciwko młodym muzykom.

Kierownictwo wszystkich środków masowego przekazu tudzież instytucje propagandowe i kul-

¹ Archiwum Ośrodka Karta, III/00079.16, Kolekcja Jakuba Karpińskiego.

turalne tłumią swobodę publicznego wypowiadania opinii. Żaden pogląd polityczny, filozoficzny czy naukowy, żadna wypowiedź twórcy nie może liczyć na publikację, jeżeli choć trochę odbiega od sztywnych norm oficjalnej ideologii lub estetyki. Unieczniona została publiczna krytyka negatywnych zjawisk społecznych. Odebrane zostało prawo publicznej obrony przeciwko kłamliwym i znieważającym pomówieniom oficjalnej propagandy. W praktyce nie ma mowy o zapewnionej jednoznacznie artykułem 17 pierwszego paktu obronie prawnej przed „atakami na cześć i reputację człowieka”. Nie ma sposobu obalenia kłamliwych oskarżeń, daremne są próby znalezienia pomocy w drodze prawnej. Z życia umysłowego i twórczości kulturalnej usunięto wszelką otwartą dyskusję. Wielu pracowników nauki i kultury, a także wielu innych obywateli jest prześladowanych jedynie za to, że przed laty publikowali lub jawnie głosili poglądy dziś potępione przez nasze obecne władze polityczne. Wolność sumienia, stanowczo zagwarantowana artykułem 18 pierwszego paktu, jest systematycznie zawężana w wyniku rządowej samowoli, ogranicza się działalność duchownych, stale zagrożonych zawieszeniem lub odebraniem państwowego zezwolenia na wykonywanie ich funkcji kapłańskich, szykanuje się ludzi, którzy słowami lub czynami manifestują swoje przekonania religijne, utrudnia się nauczanie religii itp.

Środkiem ograniczenia, a nieraz wręcz likwidowania praw obywatelskich jest realizowana w praktyce zasada podporządkowania wszystkich instytucji i organizacji politycznych dyrektywom aparatu rządzącej partii oraz arbitralnym decyzjom sprawującym władzę jednostek. Treść, forma, sposób podejmowania i wprowadzania w życie tego rodzaju decyzji nie są uregulowane ani przez Konstytucję CSRS, ani też przez żadne inne ustawy i normy prawne. Decyzje te podejmuje się zwykle za kulisami, nieraz obywatelom są one nieznane, a przeto i niemożliwe do skontrolowania. Ich autorzy odpowiadają zatem jedynie wobec siebie nawzajem i wobec własnej hierarchii, choć wywierają

decydujący wpływ na pracę ustawodawczych i wykonawczych organów administracji państwowej, wymiaru sprawiedliwości, związków zawodowych, organizacji społecznych, innych stronnictw politycznych, przedsiębiorstw, zakładów, urzędów, szkół i wszelkich innych instytucji. Ich dyrektywy mają zawsze pierwszeństwo przed obowiązującymi ustawami. Jeżeli obywatel lub stowarzyszenie w rozumieniu swoich praw i obowiązków znajdzie się w konflikcie z taką dyrektywą, to nie może się odwołać do żadnej instancji pozapartyjnej, ponieważ instancji takiej nie ma. Tym sposobem poważnemu ograniczeniu uległy prawa wolności zgromadzeń (artykuł 21 i 22 pierwszego paktu), prawa równego dla wszystkich udziału w życiu publicznym (artykuł 25) oraz równość wszystkich wobec prawa (artykuł 26). System taki uniemożliwia też robotnikom i wszystkim pracującym swobodne zrzeszanie się w organizacjach związkowych i innych oraz korzystanie z prawa do strajku w obronie swych interesów ekonomicznych i socjalnych (artykuł 8 punkt 1 drugiego paktu).

Artykuł 17 pierwszego paktu wyraźnie zabrania „samowolnego naruszenia życia prywatnego i rodzinnego, mieszkania i korespondencji”. I te prawa jednak są u nas stale gwałcone przez resort spraw wewnętrznych, który na najróżniejsze sposoby wdziera się w życie obywateli, instalując podsłuch telefoniczny i podsłuch w ich domach, kontrolując ich pocztę, inwigilując, rewidując mieszkania, montując gęstą sieć informatorów (werbowanych czy to za pomocą gróźb, czy też ponętnych obietnic) itp. Ministerstwo spraw wewnętrznych ingeruje w decyzje zakładów pracy, inspirując dyskryminacyjne posunięcia różnych instytucji i stowarzyszeń, wywiera naciski na organ wymiaru sprawiedliwości, kieruje kampaniami propagandowymi w środkach masowego przekazu. Działalność ta jest tajna, nieunormowana prawem i obywatele nie mają przeciw niej żadnych środków obrony.

W przypadkach politycznie umotywowanego postępowania karnego władze śledcze i wymiaru

sprawiedliwości naruszają prawa oskarżonych i ich obrońców, zagwarantowane artykułem 14 pierwszego paktu oraz ustawami czechosłowackimi. Aresztowanych i skazanych traktuje się w sposób uwłaczający ich godności ludzkiej, zagrażający ich zdrowiu i mający na celu ich moralną degradację.

Systematycznie narusza się również artykuł 12 punkt 2 pierwszego paktu gwarantujący prawo obywatela do swobodnego opuszczenia kraju. Władze obostrzają prawo wyjazdu niemożliwymi do przyjęcia warunkami, wykorzystując jako pretekst klauzulę o „ochronie bezpieczeństwa narodowego” (artykuł 12 punkt 3). Nie mniej arbitralne kryteria stosuje się przy udzielaniu wiz wjazdowych obywatelom państw obcych; wielu z nich nie może odwiedzić Czechosłowacji tylko dlatego, że utrzymują zawodowe lub przyjacielskie kontakty z osobami u nas dyskryminowanymi.

Obywatela niejednokrotnie wskazują fakty naruszania praw człowieka i swobód demokratycznych; czynią to prywatnie lub w swym zakładzie pracy, publicznie czynić to mogą wyłącznie za pośrednictwem zagranicznych środków przekazu. Zdarza się, że domagają się pomocy w konkretnych przypadkach łamania ich praw, ale głos ich przeważnie nie znajduje odzewu albo powoduje wdrożenie śledztwa przeciwko nim samym.

Odpowiedzialność za respektowanie praw człowieka i swobód demokratycznych spoczywa, rzecz jasna, przede wszystkim na władzy politycznej i państwowej. Ale również każdy z nas dźwiga swoją część odpowiedzialności za sytuację w kraju i – co za tym idzie – za wykonanie postanowień układu wiążących zarówno rządy, jak i obywateli. Z poczucia tej współodpowiedzialności, z wiary w sens obywatelskiego zaangażowania, z woli takiego zaangażowania w imię wspólnej potrzeby nadania mu nowego, skutecznego wyrazu – zrodziła się idea utworzenia Karty 77, której powstanie ogłaszamy dzisiaj publicznie.

Karta 77 jest swobodną, nieformalną i otwartą wspólnotą ludzi różnych przekonań, wyznań i za-

wodów, związanych postanowieniem, aby pojedynczo lub zbiorowo występować z żądaniami respektowania praw człowieka i obywatela w naszym kraju i na świecie. Prawa te zostały zapewnione w obu wymienionych wyżej międzynarodowych układach, w Akcie Końcowym konferencji w Helsinkach, w licznych aktach międzynarodowych wymierzonych przeciwko wojnie, przeciwko stosowaniu przemocy, przeciwko uciskowi społecznemu i duchowemu. Całość tych praw została objęta Powszechną Deklaracją Praw Człowieka, uchwaloną przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

Karta 77 opiera się na solidarności i przyjaźni ludzi powodowanych stałą troską o los ideałów, którym poświęcili i którym poświęcają swoje życie i pracę.

Karta 77 nie jest organizacją, nie ma statutu, stałych organów ani nie wymaga formalnego członkostwa. Należy do niej każdy, kto uznaje jej idee, kto bierze udział w jej pracy i kto ją popiera.

Karta 77 nie jest platformą opozycyjnej działalności politycznej. Pragnie ona służyć interesowi powszechnemu, podobnie jak wiele zbliżonych inicjatyw obywatelskich w różnych krajach Wschodu i Zachodu. Karta nie zamierza występować z własnymi programami reform czy zmian politycznych i społecznych. Pragnie ona w dostępnym sobie zakresie podjąć konstruktywny dialog z władzą polityczną i państwową, zwłaszcza w ten sposób, że będzie wskazywała konkretne przypadki naruszania praw ludzkich i obywatelskich, przygotowywała ich dokumentację, proponowała rozwiązania, zgłaszała wnioski ogólne mające na celu pogłębienie i zabezpieczenie tych praw, wreszcie będzie działała w roli mediatora w sytuacjach konfliktowych, do jakich dochodzić może wskutek naruszania prawa.

Karta 77 pragnie podkreślić swą symboliczną nazwą, że powstała u progu roku, który proklamowany został rokiem więźniów politycznych, roku, w którym zwołana do Belgradu konferencja zbada, jak są wypełniane zobowiązania podjęte w Helsinkach.

Jako sygnatariusze niniejszego manifestu powierzamy prof. dr. Janowi Patočce, Václavowi Havelowi i prof. dr. Jiřiemu Hájkowi pełnienie zadań rzeczników Karty 77. Udzielamy im pełnomocnictwa do reprezentowania Karty 77 wobec instytucji państwowych i innych oraz wobec naszej i światowej opinii publicznej, jak również do stwierdzania swoimi podpisami autentyczności dokumentów Karty 77. W nas zaś i w tych wszystkich obywatelach,

którzy się do nas przyłączają, rzecznicy znajdą współpracowników uczestniczących w niezbędnych akcjach, podejmujących poszczególne zadania i dzielących z nimi wspólną odpowiedzialność.

Wierzimy, że Karta 77 przyczyni się do tego, aby wszyscy obywatele Czechosłowacji mogli żyć i pracować jako wolni ludzie.

1 stycznia 1977

OPOZYCJA NA ŻYWO

JAN SKÓRZYŃSKI

Podczas szesnastu miesięcy legalnego działania Solidarności – od września 1980 do grudnia 1981 r. – życie publiczne bardzo się ożywiło. Obok zebrań związkowych w kraju odbywały się setki spotkań i dyskusji na temat polityki, kultury czy ekonomii. Kluby studenckie i dziennikarskie, aule uniwersyteckie i ośrodki przyzakładowe stały się forum wielkiej, nieskrępowanej przez cenzurę debaty o Polsce. Ludzie opozycji demokratycznej mieli podczas nich po raz pierwszy możliwość zaprezentowania szerszej opinii publicznej swoich idei i ocen sytuacji w kraju. Słuchacze mieli okazję poznać osobiście postacie, o których dotąd słyszeli jedynie z komunistycznej propagandy lub z audycji Radia Wolna Europa, zapytać „elementy antysocjalistyczne” nie tylko o ich poglądy, ale i życiorysy.

Jednym z najbardziej poszukiwanych gości tych spotkań był Adam Michnik. Młody i dowcipny, imponujący erudycją i polemicznym refleksem, obdarzony swadą wiecowego mówcy łatwo nawiązywał kontakt zarówno ze studentami i akademikami, jak i robotnikami wielkich zakładów przemysłowych. Od Uniwersytetu Jagiellońskiego do klubu Metalowiec w Przemyśle – wszędzie spotykał się z ogromnym zainteresowaniem. Wszędzie też towarzyszyli mu funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, obserwujący „figuranta” i nagrywający jego wypowiedzi. Stenogramy z tych spotkań znajdują się w przechowywanych w Archiwum Instytutu Pamięi Narodowej teczkach sprawy operacyjnego rozpracowania „Wir”, którą SB założyła Michnikowi 9 sierpnia 1969 r. i prowadziła przez następne dwadzieścia lat. Dzięki pracy aparatu bezpieczeństwa możemy dziś dotrzeć do zapisu wystąpień „na żywo” jednego z liderów polskiej opozycji antykomunistycznej.

W okresie solidarnościowego „karnawału” Michnik brał udział w bardzo wielu publicznych spotkaniach. Jeśli ich uczestnicy spodziewali się usłyszeć politycznego radykała wzywającego do konfrontacji z władzą, to mogli być zaskoczeni. Tonacja wypowiedzi sławnego opozycjonisty była umiarkowana, odrzuceniu systemu komunistycznego towarzyszyła świadomość limitów, jakich polska rewolucja nie może przekroczyć, jeśli nie chce podzielić losów Budapesztu w 1956 r. i praskiej wiosny. W tle rozważań o szansach polskiej demokracji kryły się sowieckie czołgi.

„Jak Pan widzi sprawę suwerenności Polski? – pytano go 24 listopada 1980 r. na Politechnice Śląskiej. „Jak widzę? Bez eksportu żywności i naszych artykułów produkcyjnych do ZSRR, wycofanie wojsk radzieckich z PRL (koniecznie), samodecyzje w sprawach politycznych na arenie międzynarodowej, bez lekcji poglądowych naszych przywódców partyjno-rządowych z ZSRR”¹. Dodawał jednak: „Ja uważam, że w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej, w sytuacji naszego kraju, [kto mówi, że] dzisiaj my możemy się wybić na normalne, wolne [państwo], parlamentarne wybory, ten świadomie bądź nieświadomie mówi nieprawdę, [...] rozbudza pewien typ nadziei, których zaspokoić niepodobna, a których zaspokajanie może doprowadzić nasz kraj do katastrofy. To samo jeszcze w ostrzejszej formie powiedzieć muszę o dążeniach *par excellence* – niepodległościowych. Niepodległość dla Polski oznacza [...], że z Polski mają wymaszerować radzieckie wojska. Kto dzisiaj z dobrą wiarą mówi, że [...] zna sposoby zrealizowania tego postulatu, a tych sposobów nie ujawnia, ten po prostu z miedzianym czołem próbuje nas wpuścić w druty kolczaste. To są maliny, nie ma takiej drogi [...] żeby można było [...] sensownie formułować na dzisiaj postulat wyjścia Polski z Układu Warszawskiego”².

28 listopada Michnik wystąpił na Uniwersytecie Jagiellońskim podczas obchodów 150. rocznicy powstania listopadowego. „W dyskusji figurant m.in. przestrzegał przed zbyt radykalnymi żądaniami, obawiając się, że ich eskalacja doprowadzić może do zaprzepaszczenia dotychczasowych zdobyczy” – oceniła bezpieka³. Nie wolno przeciągnąć struny – ostrzegał Michnik. Trzeba umiejętnie poruszać się „między Scyllą interwencji

a Charybdą kapitulacji”. Jako sposób na koegzystencję domagającego się swych praw społeczeństwa i władzy komunistycznej przedstawiał projekt dwuizbowego parlamentu. Pierwsza izba, tak jak dotychczas, byłaby kontrolowana przez PZPR, druga – pracownicza, bezpośrednio wybierana, stanowiłaby demokratyczną reprezentację ludzi pracy. „Umowa społeczna, czyli instytucjonalizacja porozumień gdańskich, polegałaby na tym, że podstawowe decyzje wiążące dla kształtu polityki gospodarczej i społecznej w naszym kraju zapadałyby w wyniku kompromisu między tymi dwoma izbami”⁴.

Objazd Polski przez jednego z liderów Komitetu Samoobrony Społecznej KOR trwał z równą intensywnością przez następne miesiące. 2 grudnia Michnik był w Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, 4 grudnia wystąpił w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (obecnie Szkoła Główna Handlowa) w Warszawie, 8 grudnia odwiedził Uniwersytet Łódzki i szkołę filmową w Łodzi. W dniach 9–12 grudnia mówił do studentów we Wrocławiu, gdzie „spotykał się z gorącym i entuzjastycznym przyjęciem”⁵. 13 grudnia wygłosił prelekcję w ramach Wszechnicy Robotniczej w Hucie im. Lenina. Nie zwolnił tempa w 1981 r. 12 stycznia był znowu na Politechnice Śląskiej, 21 stycznia w klubie Metalowiec w Przemyśle, 2 lutego w Kielcach na Politechnice Świętokrzyskiej i w fabryce Iskra. 26 lutego 1981 r. pojechał do Częstochowy, gdzie miał spotkanie w klubie Hutnik. Zapis tego wieczoru, sporządzony przez oficera SB na podstawie nagrania magnetofonowego, publikujemy. Dokonane w nim nieznaczące skróty obejmują powtórzenia i sformułowania niezrozumiałe. Tytuł pochodzi od redakcji.

¹ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 0248/134, t. 7, Pytania zadawane Adamowi Michnikowi na spotkaniu 24 XI 1980 oraz jego odpowiedzi, 25 XI 1980, k. 30–36.

² AIPN, 0248/134, t. 7, Spotkanie Adama Michnika ze studentami Politechniki Śląskiej 24 XI 1980, k. 72–94.

³ AIPN, 0248/134, t. 3, Meldunek operacyjny, [po 28 XI 1980], k. 136.

⁴ AIPN, 0248/134, t. 7, Stenogram spotkania Adama Michnika z młodzieżą akademicką 28 XI 1980 w ramach obchodów 150. rocznicy powstania listopadowego, 29 XI 1980, k. 95–130.

⁵ AIPN, 0204/1405, t. 16, Meldunek operacyjny, [po 13 XII 1980], k. 195–198.



Adam Michnik podczas głodówki w kościele św. Krzyża w Warszawie w obronie uwięzionych
w Czechośłowacji działaczy Karty 77, 3–10 października 1979. Fot. Janusz Przewłocki / Ośrodek Karta

POLSKIE MYSZKI I RADZIECKI KOT

ADAM MICHNIK

„[...] Proszę państwa, powiedziano mi, że mój przyjazd do Częstochowy został poprzedzony wizytą lektora Komitetu Centralnego, który próbował uodpornić miejscową ludność na to, co to są siły antysocjalistyczne, i zaproponował swoją interpretację tego pojęcia, swoją wykładnię¹. Więc ja mam nadzieję, że tutaj na sali są jacyś ludzie uzbrojeni w argumenty ideologiczne i że dadzą odpór z jedynie słusznych pozycji marksizmu-leninizmu. Ja ze swojej strony też spróbuję przedstawić państwu [...], co to takiego są te siły antysocjalistyczne. Więc ja po prostu uświadomiłem sobie, podejmując ten temat, że od bardzo wielu lat ja sobie tego pytania nie umiałem postawić, że ja do tego sformułowania już przywykłem. Przywykłem, jak się przywyka do nominacji, jak się przywyka do określenia, że ktoś jest brunetem, blondynem czy też brodaczem. Ja dostałem tę nominację bardzo wcześniej, bo już w 1968 roku, tzn. już wcześniej były takie podejrzenia, że moi koledzy i ja sam jesteśmy siłami antysocjalistycznymi, ale tak naprawdę to dopiero w 1968 roku wyszło szydło z worka i zostaliśmy zdekonspirowani. Od tego czasu jesteśmy tymi siłami bez przerwy, a znaczy [to], uczciwie mówiąc, mniej więcej tyle, że w rozmaitych okresach historycznych formułujemy opinie, poglądy, które władza uważa dla siebie za niewygodne; właśnie niewygodne jest tutaj określeniem najbardziej na miejscu.

Ja należę do ludzi, którzy w 1968 r. brali udział w ruchu studenckim, potem w 1969 r. wyszedłem z więzienia po 1,5-rocznym pobycie, 2 lata pracowałem w Warszawie w zakładach im. R[óży] Luksemburg jako robotnik fizyczny. Tam przeszedłem wydarzenia grudnia 1970 roku, następnie jako ekstern skończyłem studia na Uniwersytecie im. [Adama] Mickiewicza w Poznaniu. Wreszcie od 1974, 1975 r. włączyłem się w rozmaite akcje protestacyjne, podpisywałem rozmaite listy do władz, w których współdawałem, że tak powiem, wyraz swojemu niezadowoleniu z polityki kierownictwa partii i rządu [...], byłem zaangażowany w KOR-wskim ruchu.

¹ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, 01228/2509, Stenogram wystąpienia Adama Michnika w klubie Hutnik w Częstochowie 27 II 1981, k. 24–63.

Ja może króciutko bym chciał państwu powiedzieć, żebyście państwo mogli to porównać z tym, co czytaliście w gazetach alboście państwo oglądali w telewizji – co to takiego jest KOR z mojego punktu widzenia. Otóż KOR – Komitet Obrony Robotników – powstał jesienią 1976 r. i zadanie, jakie sobie postawił, to było zebranie wszystkich możliwych informacji i organizowanie pomocy uwięzionym uczestnikom robotniczego protestu z Radomia i z Ursusa. [...] Na początku [...] oficjalnie KOR składał z 14 osób, na ogół o takich nazwiskach, które coś mówiły opinii publicznej, społeczeństwu – tam był prof. Lipiński, znana bardzo aktorka H[alina] Mikołajska, Jerzy Andrzejewski, tam był również bardzo taki wybitny pisarz młodego pokolenia St[anisław] Barańczak, ks. J[an] Zieja² – duszpasterz i kaznodzieja, kapelan [...] Armii Krajowej, no i wielu innych ludzi, którzy w swoich środowiskach byli znani, jakoś tam popularni. [...] te osoby o nazwiskach znanych nic, literalnie nic nie umiałyby wskórać, gdyby nie bardzo szeroki ruch, na który w dużej mierze składali się studenci warszawskich uczelni, gdańskich uczelni, krakowskich, którzy bardzo szeroką falą włączyli się w tę akcję organizowania pomocy.

Ta akcja, najprościej mówiąc, polegała na tym, że jeździło się do Radomia, jeździło się do Ursusa, docierało się do rodzin uwięzionych, zbierało się wszystkie informacje. Wracało się, te wszystkie

informacje zestawiało się ze sobą, sporządzało się [...] „Komunikat” KOR, który informował o zakresie represji, o nazwiskach represjonowanych osób. Jednocześnie ogłosiliśmy apel do opinii publicznej o zbieranie informacji i o zbieranie pieniędzy. I jedno, i drugie zaczęło napływać. Te pieniądze przeznaczyliśmy na pomoc dla rodzin, na paczki dla uwięzionych i jednocześnie organizowaliśmy pomoc prawną adwokatów, bo dla nas [było] bardzo ważne, by uwięziony miał adwokata z prawdziwego zdarzenia, który będzie jego sojusznikiem, a nie sojusznikiem prokuratora. Informacje o tych represjach, któreśmy zebrali, przeszły nasze najśmielsze oczekiwania, w sposób [...] niepozostawiający miejsca na jakąkolwiek wątpliwość. Ujawniło się, że [...] w stosunku do uwięzionych na komisariatach [Milicji Obywatelskiej] została zastosowana przemoc, przemoc bardzo okrutna. Wielu z nas po raz pierwszy zetknęło się z pojęciem milicyjnej ścieżki zdrowia. Było to coś takiego, że zatrzymanego czy aresztowanego puszczano się w szpaler, gdzie po obu stronach stali milicjanci uzbrojeni w pałki i tego człowieka tak długo bito, jak długo przechodził przez ten szpaler. I to wszystko się działo w Polsce w 1976 r. latem. W stosunku do ludzi, których wzięto z ich mieszkań za to, że wystąpili przeciwko podwyżce cen, z której rząd się wycofał następnego dnia w wyniku ich protestu i o której się dzisiaj mówi,

² Edward Lipiński (1888–1986) – ekonomista, m.in. profesor Uniwersytetu Warszawskiego, członek Polskiej Akademii Nauk, należał do Klubu Krzywego Koła. Członek PPS, 1948–1976 PZPR, w latach 1957–1962 i 1970 wiceprzewodniczący Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów. Sygnatariusz listów protestacyjnych do władz PRL, m.in. Listu 34 (1964) i Listu 59 (1975). W 1976 członek założyciel KOR, w 1978 Towarzystwa Kursów Naukowych. W 1980 współtwórca Komisji Helsińskiej KSS KOR.

Halina Mikołajska (1925–1989) – od 1950 aktorka scen warszawskich, w 1976 członek założyciel KOR, od 1978 Towarzystwa Kursów Naukowych. W 1979 uczestniczyła w głodówce w kościele św. Krzyża w Warszawie w obronie uwięzionych w Czechosłowacji członków Karty 77. Od 13 XII 1981 przez pięć miesięcy internowana.

Jerzy Andrzejewski (1909–1983) – pisarz, 1950–1957 członek PZPR, 1952–1957 poseł. Sygnatariusz Listu 34 (1964) i Listu 101 (1976). W 1976 członek założyciel KOR, od 1977 w redakcji niezależnego pisma literackiego „Zapis”.

Stanisław Barańczak (ur. 1946) – poeta, w 1976 członek założyciel KOR, w 1978 Towarzystwa Kursów Naukowych. W 1977 uczestnik głodówki w kościele św. Marcina w Warszawie w obronie więzionych robotników i aresztowanych członków KOR. Członek redakcji niezależnych pism „Zapis” i „Krytyka”, współpracownik „Pulsu”, „Aneksu” i paryskiej „Kultury”. W 1984 wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

Jan Zieja (1897–1991) – ksiądz katolicki, kaznodzieja, działacz charytatywny, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej i powstania warszawskiego, kapelan Szarych Szeregów. W 1976 członek założyciel KOR.

że była fatalnym błędem. [...] Tych ludzi sądzono potem i myśmy jeździli [...] na te procesy, które były jawną drwiną z wymiaru sprawiedliwości, gdzie tych ludzi bez cienia materiału dowodowego skazywano na wieloletnie wyroki – na 6 lat, 8 lat, były i 12-letnie wyroki³.

Było to dla nas zupełnie jasne, że jedyny [sposób, w jaki] możemy tym ludziom pomóc, to rozgłos, i wtedy środowisko KOR-owskie zainspirowało cały szereg listów. Były listy podpisywane przez robotników Ursusa, były listy podpisywane przez ludzi z Radomia i były listy podpisywane przez szeroką opinię publiczną – artystów, literatów, uczonych z różnych miast polskich. I te rozmaite listy w sumie postulowały jedno, postulowały utworzenie nadzwyczajnej sejmowej komisji, która zbada przypadki torturowania uwięzionych, i postulowały natychmiastową powszechną amnestię. Walka o uwięzionych trwała mniej więcej rok. [...] Ostatni robotnicy z Radomia wyszli z więzienia 23 lipca 1977 roku. KOR powstał we wrześniu [1976 r.]. I ten rok był rokiem, w którym zobaczyliśmy cały scenariusz ataków na nasze środowisko, jakie podjęła oficjalna propaganda. Z tych ataków myśmy o sobie i swoich bliskich dowiadywali się rzeczy prawdziwie interesujących. Ja tutaj gdzieś zgubiłem taką karteczkę, na której jest treść ulotki, którą jakaś życzliwa dusza rozkolportowała na moje powitanie w Częstochowie. Niestety ja tutaj tego... O, jest. Nie, to jest niestety ulotka, którą życzliwi rozkolportowali w Katowicach. Czy może ktoś ma na sali tę częstochowską, to ja bym się do niej odniósł, żebyście państwo wiedzieli, z jakim gagatkiem macie przyjemność.

(Cisza na sali, ktoś z obecnych na sali ulotkę dostarczył)⁴.

[...] Ja przeczytam tę ulotkę i ją spróbuję zinterpretować, przy czym chciałbym podkreślić, że zasadniczy wzór tego typu ataków pochodzi z 1968 roku, tak że można powiedzieć, że władza

tutaj nie wykazała się jakąś oryginalnością [...] ani inwencją i mniej więcej powtarza w koło to samo [...]. Przeczytam może.

»Adam Michnik – znany intelektualista, historyk, członek KOR, doradca NSZZ Solidarność, lat 34, działacz opozycji antysocjalistycznej i demokratycznej od bardzo młodych lat. Pochodzi ze znanej rodziny lwowskiej, a dziadek był znanym rabinem, szczególnie w kręgach lwowskiej biedoty żydowskiej«.

Więc dla mnie bardzo ta pierwsza część jest komplementująca, że jestem znanym intelektualistą i historykiem, bo jeszcze kilka lat temu pisano o mnie, że jestem historykiem w cudzysłowie. To jest niemały postęp i rzeczywiście od bardzo młodych lat byłem opozycją, [...] jak byłem jeszcze w liceum, to wraz z grupą kolegów z kilku warszawskich liceów myśmy założyli taki Klub Poszukiwaczy Sprzeczności. Mielśmy po 15, 16 lat, ale szły już ciężkie czasy i przywódca partii ówczesny Wł[adysław] Gomułka mnie szalenie ostro wtedy po nazwisku rąbnął na plenum [Komitetu Centralnego PZPR w lipcu 1963 r.], że właśnie jest taki klub, gdzie – on to nazwał klubem Michnika – właśnie w tym klubie się uprawia krytykę, zdaje się, marksizmu czy czegoś. W każdym razie wtedy zrozumiałem, że nie będę miał już powodzenia u partyjnych przywódców, i tak zostało rzeczywiście. Jak się o sobie dowiedziałem, że mój dziadek był rabinem, to szalenie się ucieszyłem, no bo rabin to znajomość jakichś ksiąg [...]. Natychmiast pobiegłem do mojego ojca i mówię: słuchaj, dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że ja mam dziadka rabina, wreszcie rozumiem, skąd taka inteligencja w tej rodzinie [...]. No, ale niestety ojciec mnie rozczarował i powiedział: synku, niestety hiobowa wieść, żaden rabin, zwyczajny rzeźnik był twój dziadek [...] Mam mieć w przyszłym miesiącu spotkanie we Wrocławiu, więc ja bym proponował, żeby [...] w ulotce na Wrocław

³ Najwyższe wyroki na uczestników protestów czerwcowych to 10, 9 lat.

⁴ Komentarze funkcjonariusza spisującego nagranie.

organa służby wyspecjalizowanej zamieściły informację, że mój dziadek był rzeźnikiem, który zarządził dzieci chrześcijańskie na macę, żeby było jeszcze upiorniej.

»Ojciec Ożjasz (Szechter) jest zasłużonym działaczem komunistycznym, przed wojną działał aktywnie w KPP. Należał do przywódców Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, działając na rzecz zespolenia całej Ukrainy w ramach Związku Radzieckiego. Za działalność lewicową był więziony przez dyktatorski reżim sanacyjny«.

To [...] wszystko prawda jest. Oczywiście jest mi niezwykle przykro, że mój ojciec – myślę, że jemu też już dzisiaj – tak źle wybrał, że był komunistą, ale na jego obronę trzeba powiedzieć, że on zapisał się do partii komunistycznej, kiedy za to się dostawało wyrok więzienia, a nie służbowe samochody i wille. Natomiast wypisał się z niej wtedy, kiedy samochody i wille zaczęto rozdać. Wszystko, co dalej jest w tej notatce, jest radosną twórczością autorów, dlatego że tutaj pisze się, że był współtwórcą Związku Patriotów Polskich [...]. Ja znów spytałem się ojca i on mi powiedział, że on nigdy nie był członkiem Związku Patriotów Polskich w Związku Radzieckim. [...] po wojnie – tutaj się mówi ogólnikowo, że piastował różne stanowiska, więc to można rozszyfrować, że był redaktorem w wydawnictwie Książka i Wiedza i nie przebywa na rencie partyjnej dla zasłużonych, dlatego że jest bezpartyjny po prostu. Bezpartyjny nie może mieć partyjnej renty dla zasłużonych. Jeżeli ktoś z państwa się uczył z podręcznika mojej matki, który przez kilka lat obowiązywał, to sam sobie może wyrobić pogląd, czy to jest stalinowski pogląd na historię naszego kraju. Ja tylko zwracam uwagę, że ten podręcznik obejmował okres od Mieszka I do rozbiorów, tak że tam niewiele można było o stalinizmie napisać, żeby nawet mamusia się starała.

Jeśli chodzi o braci, to rzeczywiście mój brat, który sobie nazwiska nie zmieniał, z Polski wyemigrował w 1969 roku. [...] mając 23 lata, sądził – jako podporucznik, tzn. jako najmłodszy rangą

w Sądzie Wojskowym, gdzie rzeczywiście wydawał wyroki śmierci. To rzeczywiście było bardzo przykre; ja wtedy miałem 5 lat, za to bym wołał nie ponosić odpowiedzialności. O ile wiem, to żadną polityczną działalnością się nie zajmuje. Mój drugi brat, znacznie ode mnie starszy, mieszka w Stanach Zjednoczonych. Nigdy nie był w żadnym Centralnym Komitecie Żydów i nigdy się polityką nie zajmował. Szymon Szechter nie jest moim stryjem i znany kierowca wyścigowy Formuły I – był mistrz świata nie jest moim kuzynem. Bardzo żałuję, chciałbym, żeby był. [...] »Trybuna Ludu« napisała, że ze wszystkiego w świecie najbardziej lubię piękne kobiety, wolność i drogie alkohole. Jest to jedyna prawdziwa informacja (śmiech) w tym utworze.

Proszę państwa, ja myślę, że jest rzeczą właściwą, żebyście mogli sami wyrobić sobie pogląd na temat, kim są i do czego dążą ludzie z kręgu KOR-u. Ja spróbuję po prostu króciutko, roboczo zreferować swój pogląd na temat sytuacji aktualnej.

Na wstępie chcę powiedzieć, że KOR jako KOR w moim przekonaniu należy już do historycznej przeszłości, że działał przez te trudne 4 lata od jesieni 1976 do sierpnia 1980 roku, że był jedną z ważnych moim zdaniem instytucji niezależnych, że zajmował się w miarę swoich możliwości pomocą prześladowanym za przekonania, pomocą krzywdzonym, że zajmował się współtworzeniem rozmaitych niezależnych instytucji – prasy ukazującej się poza zasięgiem cenzury, wydawnictw, Wolnych Związków Zawodowych na Wybrzeżu, Komitetów Samoobrony Chłopskiej, Studenckich Komitetów Solidarności i wreszcie Towarzystwa Kursów Naukowych, coś w rodzaju Latającego Uniwersytetu. Próbowaliśmy, wykorzystując najrozmaitsze formy, przełamać barierę strachu, barierę obojętności, próbowaliśmy złamać monopol władzy na informację, na kulturę, na organizowanie się ludzi. To, co nam wydawało się zawsze największym nieszczęściem naszego kraju, to to, że człowiek w stosunku do władzy był osamotniony i bezbronny, czy też może jeszcze lepiej – bez-

bronny dlatego, że osamotniony. I myśleliśmy, że im mniej będzie osamotniony i im lepiej się potrafi zorganizować z innymi ludźmi, tym trudniej będzie [w niego uderzyć]. I im bardziej nasze społeczeństwo będzie się mogło bronić przed władzą [...], w tym większym stopniu przestanie być przedmiotem, a stanie się dla władzy partnerem. I w ten sposób rozumieliśmy proces zmian zachodzących w naszym kraju. Patrząc [...] na politykę władz, odnotowaliśmy postępujący regres, demoralizację, brak koncepcji, brak programu, korupcję, słabość i może przede wszystkim niesłychaną wprost nieudolność, całkowity brak kontaktu z tym, co się działo w ludzkich umysłach i w ludzkich sumieniach. Obserwując społeczeństwo, widzieliśmy słabość wynikłą z osamotnienia, ale widzieliśmy też wzrastającą rozpacz, wzrastającą determinację, nasilające się przekonanie, że dłużej tak być nie może.

Niesłychanie ważnym sygnałem dla nas była wizyta Ojca św. w Polsce [2–10 czerwca 1979 r.], kiedy to po raz pierwszy na tę skalę, na skalę całego narodu ludzie potrafili się zespolic, zjednoczyć i z tłumu przeobrazili się w społeczeństwo. To było niezwykle dla każdego, kto pamięta, przynajmniej ja wciąż w oczach mam plac Zwycięstwa w Warszawie, gdzie ci sami ludzie, którzy na co dzień stłoczeni w kolejkach, w autobusach, nieżyczliwi, agresywni, nagle są rozpogodzeni, życzliwi sobie, zespoleni wokół jakiejś wartości niezwykle istotnej, głęboko wsłuchani w to, co słyszą od papieża, i może przede wszystkim ludzie, którzy uświadomili sobie swoją siłę – pierwszy raz, swoją wagę, jak wiele mogą.

Jeden z moich przyjaciół, który był w Stoczni Gdańskiej przez cały czas strajku, tam był redaktorem tego pisma strajkowego »Solidarność«, mówił mi: »Wiesz, Adam, jak byłem w tej stoczni, to [...] tłum, który zobaczyłem, to był ten tłum, który pamiętam z placu Zwycięstwa podczas wizyty papieża«. To byli ci sami ludzie, tak samo reagujący, wokół podobnych wartości zintegrowani. To, co się stało w sierpniu [1980 r.] – i to

jest w moim przekonaniu najważniejsze z punktu widzenia historycznego, jest to fakt bez precedensu w historii komunistycznego ustroju – to to, że społeczeństwo, a przede wszystkim środowiska robotnicze potrafiły się zorganizować, po to żeby władzy narzucić nowy model relacji między władzą a społeczeństwem, żeby władzy narzucić nowy sposób rządzenia, ponieważ starym sposobem [rządzić] dłużej już było niepodobieństwem. [...] jeżeli w potocznym odczuciu w Polsce istniało przekonanie, że [...] ostatecznym zapleczem [tej władzy] jest to, co prasa oficjalnie nazywa sojuszem polsko-radzieckim, a kształt tego sojuszu i jego konsekwencje wszyscy mieli w świadomości, wspominając płonący Budapeszt w 1956 roku i czołgi radzieckie na ulicach Pragi – 1968 rok, to wydarzenia 1980 roku pokazały, że można w istotny sposób zmienić ten system, zmienić układ między społeczeństwem a władzą, nie przekraczając pewnej obiektywnej granicy, za którą znajdują się radzieckie czołgi. Dziś na to patrząc, trzeba powiedzieć, że doświadczenie 6 miesięcy właściwie potwierdza, że stocznia w sierpniu miała rację, że ten postulat, że model niezależnych związków zawodowych i innych instytucji nie jest modelem nierealistycznym. Rząd może funkcjonować.

I teraz jest pytanie, co dalej, jaka będzie przyszłość? Jak państwo znakomicie wiecie, straszą nas anarchią, straszą nas rozkładem, straszą nas tragedią. Wzywają do [re]negocjacji porozumień gdańskich, mówią, że państwa nie stać ekonomicznie na realizację porozumień z Gdańska, Szczecina, Jastrzębia i Huty Katowice. Powiadają nam, że Solidarność staje się partią polityczną, że opanowana jest przez siły antysocjalistyczne. I trzeba sobie postawić pytanie, jaki jest pogląd związku na ten temat. Oczywiście my mamy jako związek zakneblowane usta. Do telewizji nas dopuszczają raz na jakiś czas, od wielkiego dzwonu, tego wszystkiego było może 2–3 razy tak na serio.

Wydaje mi się, że rozmowa na ten temat, i tak sobie wyobrażam nasze dzisiejsze spotkanie, jest rozmową na temat zgoła zasadniczy, dlatego że

od takich rozmów zależy oblicze Solidarności. [...] chcąc realizować dotychczasową politykę związku, ja nie mówię – politykę odnowy, bo dla mnie odnowa jest słowem pustym, ja wolę mówić o realizowaniu porozumień postrajkowych, otóż realizując tę politykę, trzeba mieć na uwadze 3 ograniczenia, które wynikają z wiedzy o tym, co się stało w Czechosłowacji i na Węgrzech. Pierwsze ograniczenie by brzmiało – respektujemy wszystkie konsekwencje sytuacji międzynarodowych. Nie próbujemy, w przeciwieństwie do Węgrów, występować z Układu Warszawskiego, nie próbujemy prowadzić zagranicznej polityki, która by kontrolowała politykę radziecką.

Po wtóre – to jest wniosek wynikający z doświadczenia węgierskiego – bardzo pilnujemy, żeby sposób realizowania porozumień gdańskich i w ogóle sposób realizowania aspiracji społecznych nie polegał na wymuszaniu od rządu [urzędywistnienia] tych porozumień poprzez nacisk zrewoltowanej ulicy. To jest również wniosek z Gdańska. Gdańsk dlatego mógł efektywnie wygrać, że to się nie wylało na ulicę, że oni się umieli zamknąć w stoczni, w zakładach, zrobić strajk okupacyjny i stąd dyktować warunki. [...] musimy sobie zdawać sprawę, że wszelka anarchizacja życia publicznego w Polsce to nie jest ten kierunek przemian, którymi jako związek jesteśmy zainteresowani, dlatego że to może doprowadzić do sytuacji, nad którą już nikt nie zapanuje. I z tego punktu widzenia – mówię to trochę z duszą na ramieniu, ze strachem – trzeba w sposób krytyczny przeanalizować takie sposoby działań, jak okupowanie rad narodowych, jak organizowanie tej fali regionalnych strajków, które w sumie doprowadziły do tego, że strajkowała niemal cała Polska. Każdy w innej sprawie, każdy z innego powodu, z innymi postulatami i nikt nie był w stanie tej całej akcji skoordynować. Trzeba powiedzieć bardzo wyraźnie, że jeżeli w tej chwili działania związku mają być bardzo skuteczne, to muszą to być działania skoordynowane, znaczy tu trzeba atakować krajową komisję, całym krajem. Strajk musi być

kontrolowany i wyznaczony centralnie. To nie musi być strajk generalny, to mogą strajkować wyznaczone zakłady, wyznaczone regiony, ale to nie [powinno] [...] ograniczać się do decyzji na poziomie MKZ, chociaż statutowo biorąc, MKZ jest władny o strajku decydować.

[...] A jakie są perspektywy, w którą stronę iść naprzód? Otóż mnie się wydaje, że iść naprzód, tzn. organizować podstawową zasadę porozumień gdańskich. Ta zasada mówi, że w nowy sposób muszą być ułożone stosunki między władzą a społeczeństwem. I teraz, jeżeli związek nie ma pełnić wszystkich możliwych funkcji, tzn. być jednocześnie związkiem zawodowym, ale i frontem jedności narodu, ale i prokuraturą, która ściga złodziei w aparacie władzy, ale i radą narodową, która w sposób sensowny chce na nowo dysponować publicznym mieniem, to [...] niezbędna jest reforma demokratyczna systemu instytucji przedstawicielskich, tj. rad narodowych, sejmu. Innymi słowy, rady narodowe i sejm muszą się w jakiejś mierze przynajmniej stać nie tylko instrumentami w ręku władzy, ale również [...] w tych instytucjach muszą zasiadać ludzie wybrani przez nas, w jakiejś mierze choćby, i przez nas obdarzeni zaufaniem. [...] Ja się opowiadam za taką wizją kompromisu między rządzącymi a rządzonymi. Można na to odpowiedzieć, że taki kompromis jest niemożliwy, dlatego że w gruncie rzeczy na długą metę – i tak wielu ludzi replikuje mi, polemizując – jest niemożliwy kompromis między, nie wiem, wołem a rzeźnikiem, który ma go zaszlachtować. Ja na to odpowiadam, że w zasadzie tak, ale w sytuacjach specyficznych w społeczeństwach, narodach, które dostały mocno w kość od historii, są możliwe rozwiązania, które się kierują inną logiką niż prosta logika socjologii stosunków politycznych. [...] Myślę właśnie o logice kompromisu, dlatego że ja myślę, że w uniknięciu interwencji rosyjskiej w Polsce nie tylko my jesteśmy zainteresowani, również nasi władcy. Dlaczego? Dlatego że w wyniku takiej interwencji oni jednak z przywódców państwa o ograniczonej suwerenności prze-

chodzą na status gauleiterów obcego państwa, prawda?

Moim zdaniem w uniknięciu interwencji militarnej w Polsce jest [także] zainteresowany Związek Radziecki. Dlatego że przywódcy radzieccy, o których można powiedzieć różne rzeczy i którzy mogą wzbudzać najwyższą krytykę z pozycji moralno-etycznych, jedno im trzeba oddać, że oni są pragmatykami w polityce, oni dobrze przedtem obliczą, nim cokolwiek zrobią. No, raz tylko się poślizgnęli na Afganistanie⁵, ale to też zwiększa nasze szanse, to zwiększa nasz margines przebiegu. [...] przywódcy radzieccy znakomicie wiedzą, że Polska to nie Czechosłowacja i że tu na ostre pójdzie, wprowadzie my tę wojnę przegramy militarnie, bo mamy za mało czołgów, ale i oni tę wojnę przegrają politycznie, dlatego że to oznacza absolutny koniec całego układu w sytuacji międzynarodowej, koniec polityki odprężenia, koniec wymiany technologicznej [z Zachodem] itd.

[...] Obserwując całą tę skomplikowaną sytuację świata, zawsze przychodzi mi do głowy takie powiedzenie, którym się posługiwał mój szef, mój przyjaciel, mistrz, nauczyciel, pan Antoni Słonimski, nasz poeta zmarły przed kilku laty [w 1976 r.], któremu byłem sekretarzem w ostatnich latach jego życia. [On] mi zawsze mówił tak: »Panie Adasiu, Zachód to naszego kraju nic nie rozumie, nic a nic. Oni pojęcia o tym nie mają. Oni nie rozumieją, że Polska to jest dziwny, niezrozumiały kraj. To jest kraj pełen niespodzianek. To jest kraj, w którym wszystko jest możliwe, w którym są możliwe zmiany na lepsze«.

Dziękuję państwu i teraz proponuję chwilę przerwy, a później będę słuchał polemik i odpowiadał na pytania. Proszę mnie nie oszczędzać, stawiać pytania podchwytliwe, złośliwe, ja na wszystkie odpowiem i jeszcze raz przepraszam za to całe wstępne zamieszanie.

Dziękuję bardzo”.

W przerwie na obiedzie odtworzono prawdopodobnie z taśmy magnetofonowej następujące utwory:

– ballada rozpoczynająca się od słów – Chłopcy z Grabówka, chłopcy z Chyloni, dzisiaj milicja użyła broni, dzielnieśmy stali i celnie rzucali – Janek Wiśniewski padł...

– Boże, coś Polskę...

– ballada rozpoczynająca się od słów – Kiedy widzę poprzez szybę puste haki na tle bieli, myślę wtedy, gdzie wzięli, gdzie zginęły przez te czasy balerony i kielbasy, szynki, schaby i rolady – ale zawsze wtedy powiem, że najbardziej mi żal – pieczonego prosiaka...

– ballada – Garnitur spod igły, krawacik w paseczki, rumiane buziaczki i skórzane teczki, a któż to, spytacie, cóż to za figury – to wypisz, wymaluj portrecik tych z góry...

– ballada – Wierzący, co wierzą, że muszą być w partii, bo żona, bo dzieci, bo raty, bo maluch, partyjni, co chyłkiem przyjmują komunę, bo bony na cukier, bo bony do rajy, zbudować dziś mają tę drugą...

– ballada – Nie ogryźli kości, nie dopili wina, resztek jedzenia szuka pies pod stołem...

– Mario, Matko polskiej ziemi i nadziejo nas wszystkich...

Po przerwie głos zabrał ponownie Adam Michnik:

„[...] Więc tak, odpowiadam na pytania, spróbuję odpowiedzieć na wszystkie, na początku na te, co są na kartkach, a później z sali. Tych pytań jest sporo, więc to może chwilę potrwać.

Pytanie: – Co pan sądzi o zbrodni w Katyniu?

No, ja myślę, że sądzę na ten temat to samo co wszyscy. To znaczy dziś nie ulega chyba żadnej wątpliwości, kto tej zbrodni dokonał, że to było dzieło radzieckiej policji politycznej, że to było związane z próbą [...] wyniszczenia tego polskiego elementu, który mógłby być podejrzany o niepod-

⁵ Interwencja ZSRR w Afganistanie trwała od 25 XII 1979 do 15 II 1989.

ległościowe dążenia w przyszłości. No i chciałbym wyrazić przekonanie, że kiedyś wszyscy zobaczymy katyński pomnik nie tylko w Londynie, nie tylko w Chicago, ale i w naszych miastach.

Pytanie: – Jakie są warunki przyjęcia do KOR-u?

Proszę państwa, w zasadzie w tej chwili chciałbym, żebyście państwo zrozumieli, że KOR to jest w jakiejś mierze forma szczątkowa już. To jest instytucja, która miała sens w tym czterolecie, o którym ja mówiłem Dziś, coś, KOR-owski ruch w całości jest fragmentem Solidarności, to jest wielka narodowa sprawa i wielka narodowa szansa.

Pytanie: żebym podał numer konta, gdzie można wpłacać dla politycznych więźniów.

Ja po prostu tego numeru nie znam, ale myślę, że można przez MKZ-ety [...].

Pytanie: – Co pan może bliżej powiedzieć na temat prześladowań i torturowań więźniów politycznych, co pan sądzi o przestrzeganiu praw człowiek w Polsce i ZSRR?

Ja może zacznę od drugiego – więc sądzę raczej negatywnie, że te prawa człowieka przestrzegane nie są. I sądzę, co więcej, że walka o przestrzeganie praw człowieka to jest jeden z centralnych punktów starcia i to może największe źródło nadziei na przyszłość. Przy czym prawa człowieka zaczynają się nie od władzy, a od człowieka. Człowiek sam musi najpierw zrozumieć – i musi to przeżyć, że on ma swoje prawa naturalne i jeżeli władza tych praw go pozbawi, to ta władza jest bezprawna z natury swojej, niezależnie od tego, jakie są konstytucje i kodeksy karne. To jest prawo naturalne, jak mówią chrześcijanie – prawo Boże.

Co mogę powiedzieć o prześladowaniach i torturach? No więc ja mówiłem o ścieżkach zdrowia. Mógłbym również zaserwować dramatyczną kolekcję opowieści o tym, co się działo w Gdańsku przed

dziesięcioma laty czy w okresie stalinowskim. No coś, tortury są mniej więcej takie same zawsze, tu i ówdzie są bardziej pomysłowe [...]. Ja myślę, że tortury to jest najstraszliwsze, takie najboleśniejsze wyzwanie dla ludzkiego poczucia sprawiedliwości i kraj, w którym tortury są możliwe, to jest kraj, który znajduje się nad przepaścią. I tak sobie właśnie myślałem w 1976 roku latem, kiedy czytałem skargi rodzin radomskich robotników.

Pytanie: – Czy przebywał pan w więzieniu? Ewentualne wspomnienia.

Proszę państwa, ja nie chciałbym wspominać, że przebywałem w więzieniu. Po pierwsze dlatego, że to nie jest takie miłe znowu. A po drugie, że ja sobie przyrzekłem kiedyś, że ja nigdy nie będę kombatantem, że ja się nigdy nie zapiszę do ZBoWiD-u – tam jest Mieczysław Moczar⁶, a to przynajmniej o jednego z nas dwóch byłoby za dużo.

Ja przebywałem w takim prawdziwym, uczciwym więzieniu, nie tam w żadnym komisariacie; w prawdziwym więzieniu przebywałem 4 razy. Pierwszy raz to było w 1965 roku, drugi raz w 1968 roku, trzeci raz w 1977, w czwarty raz w 1980, w ubiegłym roku, podczas strajków sierpniowych. Wspomnienia mam w zasadzie niezłe, sporo tam się nauczyłem, dużo czasu miałem, dzięki temu, że siedziałem w więzieniu – wtedy kiedy siedziałem trochę dłużej – 1,5 roku. Wyrok wtedy miałem 3-letni, połówkę mi amnestia zdjęła, [...] przeczytałem w więzieniu karnym w Sztumie komplet dzieł Włodzimierza Lenina.

Co było kompletną rewelacją, bo to książka wydana w 1948 roku i ja byłem pierwszym więźniem w historii Sztumu, który tę książkę wypożyczył z biblioteki. No, ale jak mawia przysłowie: »Mądrość można czerpać nawet z pyska krowy«.

⁶ Mieczysław Moczar (1913–1986) – członek Komunistycznej Partii Polski, dowódca oddziałów Armii Ludowej, generał dywizji Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego, w latach 1956–1964 wiceminister spraw wewnętrznych, 1964–1968 minister. Członek KC PZPR, przez pewien czas Biura Politycznego; przywódca tzw. frakcji partyzantów w PZPR, w 1968 jeden z organizatorów kampanii antysemitkiej. 1964–1972 prezes Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, potem wiceprezes. 1971–1983 prezes Najwyższej Izby Kontroli.

– Skąd KSS KOR czerpie finanse na swoją działalność?

Więc ja rozumiem, że to jest pytanie w czasie przeszłym sformułowane, bo w tej chwili my jakiejś specyficznej działalności jako KOR nie prowadzimy [...]. No więc [pieniądze] były z dwójakiego rodzaju źródeł. Pierwsze to byli Polacy w kraju i na obczyźnie, którzy się po prostu składali, w ten sposób jakby sympatyzując i wspierając akcje i cele naszego komitetu, z drugiej strony dostawaliśmy pewną ilość pieniędzy, rzadko zresztą i w sumie mało, od zagranicznych związków zawodowych, włoskich i chyba raz od angielskich, ale tutaj się mogą mylić.

– Czy utrzymujecie kontakty z ośrodkami typu Wolna Europa?

[...] Ja nie wiem, co to znaczy »typu«. Ja rozumiem, [że chodzi o to] czy z Wolną Europą utrzymujemy [kontakty]. No więc ja bym odpowiedział na to pytanie tak: że nie utrzymujemy w tym sensie, że Wolna Europa jest w Monachium, a my jesteśmy w Warszawie. Natomiast utrzymujemy w tym sensie, że nam zawsze bardzo zależało, żeby Wolna Europa przekazywała informacje o tym, co się dzieje w Polsce, ale ponieważ bezpośrednio do Wolnej Europy nie mogliśmy przekazywać, bo i daleko, i po prawdzie żeśmy się trochę bali, żeby za to w skórę nie dostać, tośmy robili to w ten sposób, żeśmy dawali to zachodnim dziennikarzom, którzy byli oficjalnie w Warszawie akredytowani, którzy to przekazywali swoim agencjom na Zachodzie, powiedzmy Reuter czy [Agence] France Press, i stąd to brała Wolna Europa, ten informacyjny serwis, i przekazywała. Dzięki temu państwo np. w lipcu ubiegłego roku w ogóle mogliście się dowiedzieć, że w Polsce są jakieś strajki. Dlatego że z »Trybuny Ludu« czy »Sztandaru Młodych« takich drobiazgów państwo byście się nie dowiedzieli – [że] strajki były.

– Wasz stosunek do Konfederacji Polski Niepodległej?

Jako KOR żeśmy się nigdy merytorycznie nie wypowiadali na ten temat. Od siebie mogę powiedzieć, co następuje, że ja miałem stosunek krytyczny do KPN-u i do ich publikacji. W momencie kiedy ich zamknięto do więzienia⁷, na ten temat nie będę się wypowiadał, jedyne co mogę powiedzieć: że uważam za skandal, że oni siedzą nadal w więzieniu; że trzeba zrobić wszystko, żeby oni z więzienia wyszli; że jak długo oni w więzieniu siedzą, jest zagrożona wolność każdego z nas. Z Moczulskim chętnie porozmawiam, jak on tu koło mnie będzie siedział, a kopanie leżących i uwięzionych uważam za proceder nieprzyzwoity.

– Czy jest dalszym celem obalanie władzy ludowej, a jeśli tak, to w jaki sposób?

A czy autor tego pytania sądzi, że w Polsce jest władza ludowa?

– Jakie byłyby podjęte działania konkretne ze strony opozycji w razie jakiegokolwiek obcej interwencji zbrojnej?

Ja rozumiem, że [pan], który te pytania sformułował, się obawia o interwencję zbrojną z RFN-u. No więc – to będziemy bronić Polski przed zachodnioniemieckim zagrożeniem.

Tutaj niektóre pytania się powtarzają, tak że proszę się nie dziwić, że je będę odkładał.

– Jakie pan miał przejścia w związku ze studiami eksternistycznymi w Poznaniu?

Żadnych. Po prostu jak wyszedłem z więzienia [...] w 1969 r., była taka klauzula, że muszę 2 lata przepracować. Przepracowałem trochę ponad 2 lata [...] w Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych w Warszawie im. Róży Luksemburg, na Woli. [...] Jak mi minęły 2 lata, [...] żeby nie miał kontaktów ze studentami, żeby ich nie zrazić swoimi miazmatami, to mi pozwolono studiować eksternistycznie w Poznaniu. To w ten sposób

⁷ Leszek Moczulski został aresztowany we wrześniu 1980 i oskarżony o szkalowanie władz PRL i próbę obalenia ustroju siłą. Pod koniec 1980 w areszcie znaleźli się także inni liderzy KPN – Tadeusz Stański, Tadeusz Jandziszak, w styczniu 1981 Romuald Szeremietiew. 15 VI 1981 rozpoczął się ich proces, 8 X 1982 zapadły wyroki – Moczulskiego skazano na 7 lat pozbawienia wolności, Stańskiego i Szeremietiewa na 5 lat, Jandziszaka na 2 lata.

wyglądało, że ja wsiadałem w pociąg, jechałem, zdawałem egzamin i wracałem. I to były całe moje przeżycia, czyli nie było to takie straszne.

[...]

– Czy jest pan żonaty?

Na szczęście nie.

– Czy KOR posiada jakiś konkretny program?

No więc KOR posiadał konkretny program, o tym mówiłem już, w postaci obrony wszystkich prześladowanych i wspierania wszystkich niezależnych instytucji. Natomiast nigdy świadomie nie chcieliśmy być instytucją czy środowiskiem, które miałyby jakiś jednoznaczny program polityczny. Przeciwnie – KOR skupiał ludzi o różnych poglądach politycznych i w tym sensie [...] żadną partią polityczną nie był. Choć oczywiście działania KOR-u łamiące monopol władzy i monopol informacji, jaki posiadała władza, miały ogromne polityczne znaczenie. To chciałbym bardzo podkreślić, bo w prasie na ten temat pisze się głupstwa. KOR nigdy nie miał i nie chciał mieć programu partii politycznej. KOR nigdy nie chciał aspirować do objęcia politycznej władzy. Myśmy tylko się domagali respektowania praw człowieka, myśmy byli zdania, że tylko niezależnie od władz organizujące się społeczeństwo może być społeczeństwem, które wyprowadzi nasz kraj z kryzysu, w który nas wplątała władza. I za tego typu stwierdzenia, jak np. że w Polsce jest kryzys bądź że władza jest czemuś winna, myśmy właśnie o sobie słyszeli, że jesteśmy agentami antysocjalistycznymi, zachodnioniemieckimi bądź izraelskimi. Jak żeśmy mówili, że sformułowanie »warchoł« o radomskich czy ursuskich robotnikach jest sformułowaniem obelżywym, tośmy słyszeli, że jesteśmy siły antysocjalistyczne i zwolennicy szlachty, która obaliła, nie wiem, do rozbiorów doprowadziła itd., itd. W tej materii w moim przekonaniu niewiele się zmieniło. Propaganda oficjalna operuje pewnym schematem i jest zupełnie wszystko jedno, co my zrobimy – tak samo się będzie o nas pisać. To jest

obojętne, czy Kuroń wzywa do strajku, czy wzywa do przerwania strajku – i tak jest on siłą antysocjalistyczną, która podniosła rękę na władzę klasy robotniczej w Polsce.

– Jak rozumieć sformułowanie, że mamy za mało czołgów i przegramy wojnę? Czy uważa pan, że »Rząd Ocalenia Narodowego« wyda polecenie walki naszym żołnierzom?

Nie wiem, czy taki rząd powstanie i czy takie polecenie wyda. Natomiast nie wyobrażam sobie, żeby jakkolwiek obca armia zajęła dzisiaj w tej sytuacji Polskę bez wystrzału. To po prostu się nie mieści w głowie. Natomiast tezę, że mamy za mało czołgów na to, żeby wygrać wojnę ze Związkiem Radzieckim, należy rozumieć dosłownie, że mamy ich za mało.

– Ile osób liczą w sumie siły antysocjalistyczne? (śmiejch). Co znaczy KOR?

KOR liczy w tej chwili 34 osoby⁸, a siły antysocjalistyczne? – to zależy od definicji. Ja mam wrażenie czasem, jak czytam przemówienia naszych przywódców, że siły antysocjalistyczne to jakieś 34,5 miliona. Takie mam wrażenie. Natomiast na serio mówiąc, to chyba istota sporu i nieporozumienia polega na tym, że kiedy władze mówią: siły antysocjalistyczne, to się posługują pojęciem bardzo rozciągliwym. To jest taki worek, do którego wszystko można wrzucić, a to dlatego że nie wiadomo dokładnie, co to jest socjalizm. Tego dokładnie nikt nie zdefiniował. Nam ciągle się mówi, że jesteśmy przeciwko socjalizmowi. Normalny człowiek by wniósł, że my jesteśmy za rozdaniem ziemi tym magnatom i obszarnikom, którym ona została zabrana, nie wiem... za wystawieniem na licytację Stoczni im. Lenina czy Huty im. Lenina czy za reprivatyzacją banków, bo zawsze tak w tradycji się uważało, że to jest istota systemu socjalistycznego [...]. Tymczasem przy bliższym wejrzeniu okazuje się, że my jesteśmy przeciwko czemuś, co władza nazywa kierowniczą rolą partii. I znów się dokładnie nie precyzuje, co to znaczy

⁸ W 1981 r. KSS KOR liczył 32 członków.

ta kierownicza rola partii, zwłaszcza wtedy, kiedy się chce [ją] wpisać do statutu naszego związku. [...] najprościej mówiąc, to może znaczyć tyle, że partia komunistyczna sprawuje władzę. Zatem nasuwa się pytanie, czy socjalizm to jest taki ustrój, w którym niezależnie od wyborów i woli narodu partia komunistyczna sprawuje władzę? Jeżeli tak, to w Polsce jest, myślę, 34,5 miliona sił antysocjalistycznych. Dlatego że jest tylu w moim przekonaniu ludzi, którzy są przeciwko temu, żeby bezwarunkowo, niezależnie od tego, czy ta partia rządzi źle, czy dobrze, skutecznie czy po bałaganiarsku, żeby niezależnie od wszystkich ludzi [komuniści] sprawowali władzę na mocy postanowień bożych czy jakichkolwiek innych. Jeżeli natomiast socjalizm rozumieć jako pewien ustrój oparty na polityce sprawiedliwości społecznej, równości, wolności i samorządności, oparty na zasadzie, że fabryki są własnością społeczeństwa, a zwłaszcza tych robotników, którzy w nich pracują, że ziemia jest własnością chłopów, tych chłopów, którzy tą ziemię uprawiają, pielęgnują, to przeciwników takiego socjalizmu w Polsce to ja nie znam, no może kilku członków Komitetu Centralnego [PZPR].

– Jakie są szanse zmiany składu osobowego Prokuratury Generalnej, w tym głównie prokuratora generalnego?

Ja myślę, że nasz ulubieniec Lucjan Czubiniński – prokurator [generalny], będzie zmieniony, bo mu się już za dużo nazbierało, ale proszę się nie ludzić, to niewiele zmieni. Problem jest w tym, że na miejsce Czubinińskiego przyjdzie jakiś inny, tak samo, jak świetnie państwo wiecie, jak niewiele zmieniło się w Częstochowie w wyniku tego, że na miejsce I sekretarza czy wojewody przyszedł inny. Rzecz nie jest w ludziach, rzecz jest w mechanizmach sprawowania władzy. Rzecz jest w tym, że ci ludzie – wszystko jedno, czy oni są złodzieje, czy uczciwi – jeżeli rządzą w sposób niekontrolowany, to muszą źle rządzić, bo każda władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie.

– Czy uznaje się pan za antysocjalistę?

Ja już na to pytanie odpowiedziałem.

– Jakie są źródła pańskiego utrzymania?

To coś dla oczyszczenia atmosfery. Ja się utrzymuję z pisania, proszę sobie wyobrazić. Ja kilka lat temu, konkretnie w 1977 roku, wydałem na Zachodzie, w Instytucie Literackim, który się nazywa czasem w naszej prasie propagandowej – dywersyjnym ośrodkiem »Kultury« paryskiej, otóż w tym dywersyjnym ośrodku wydałem książkę pt. *Kościół, lewica, dialog*. To była taka próba interpretacji historii polskiej inteligencji, historii Kościoła katolickiego w XX wieku. Esej na 200 stron. To była książka ciekawa tylko dla wąskiego kręgu ludzi interesujących się historią itd. Ale co robi dobry Pan Bóg, który czuwa nad elementami antysocjalistycznymi? Otóż proszę sobie wyobrazić, że w rok później zostaje wybrany Polak papieżem. I ta książka, która była [przeznaczona] właśnie dla takiego wąskiego kręgu Polaków, jest jedną z niewielu czy też wręcz jedyną książką wprowadzającą w historię i problematykę polskiego Kościoła, na co się nagle zrobiła niezwykła moda. I co się dzieje, proszę państwa. Moja książka wychodzi w 8 językach, ja zbijam dziki szmalec w twardej walucie i – państwo rozumiecie, co to znaczy tam zarabiać, a tu wydawać. Nie ma lepszych rzeczy. A oprócz tego ja co jakiś czas piszę w prasie zachodniej. To ten sam mechanizm jest, trochę chałturzę czasem i to jest źródło mojego utrzymania w ostatnich latach. [...] [W 1976 i] 1977 r. [...] byłem przez 8 miesięcy na Zachodzie, gdzie byłem stypendystą francuskiego Ministerstwa Nauki, a przedtem byłem sekretarzem Antoiniego Słonimskiego, o czym wspominałem.

– Zrozumiałem, że wychował się pan w domu laickim. Czy jest pan materialistą, czy idealistą?

To jest pytanie, na które odpowiedzieć mi jest bardzo trudno, dlatego bo moim zdaniem mój sposób myślenia się nie mieści w żadnej z tych kategorii. Ale raczej chyba... przy założeniu, że wiara przenosi góry, to chyba idealistą.

– Czy to prawda, że KOR jest finansowany przez kraje kapitalistyczne?

Właśnie niestety nieprawda, wcale nie chcieli nas finansować i dlategośmy mieli stałe kłopoty finansowe.

– Co wpłynęło na to, że pan diametralnie zmienił poglądy, skoro cała rodzina miała odmienny, tzn. marksistowski?

Z tą moją rodziną nie było tak prosto. Dlatego że marksizm mojego ojca jest mniej więcej taki, że przy jego poglądach ja ze swoimi to jestem [...] entuzjastą Breżniewa i tow. Kania⁹. Tak że ja raczej nie miałem w domu tego typu konfliktów światopoglądowych. Rzeczywiście on to nazywa marksizmem, ale czy to ma coś wspólnego z tym, cośmy w tym powielanym utworze przeczytali, to nie jestem pewny. Ja rzeczywiście zmieniłem poglądy i na Kościół, i na chrześcijaństwo, i na politykę, ale myślę, że wpływ na to miały po prostu obserwacje świata, w którym żyłem. No, jak długo można sobie wmawiać, że czerwony autobus, który chce mnie przejechać, jest niebieskim helikopterem, który ma mnie zabrać do nieba... Chcę wreszcie umieć zbrodnię nazwać zbrodnią, a świństwo – świństwem.

– Czy czuje pan, że za panem chodzi cień?

W zasadzie nie. Proszę sobie wyobrazić, że ja nie wiem, czy to dobrze, czy niedobrze, ale od września ja praktycznie nie mam obstawy. Można powiedzieć, że im bardziej mnie docenia prasa, propaganda, im bardziej jestem pupilem »Trybuny Ludu« i »Żołnierza Wolności«, tym bardziej mnie zaniebduje aparat bezpieczeństwa. Jedyne miejsce, gdzie miałem taką obstawę jak przed wojną, tzn. 3 samochody i 4 dżentelmenów typu »oddech na plecach«, czyli pół kroku z tyłu, to było, jak byłem w MKZ-ecie w Przemyśle. I nie wiem, czy dlatego, że to jest miejsce, miasto blisko położone granicy wschodniej, czy też dlatego, że jest to diecezja, w której pasterzuje biskup Ignacy Tokarczuk¹⁰.

– Czy pana zadaniem możliwe jest uzyskanie większości w sejmie? Myślę o bezpartyjnych w czasie przyszłej kampanii wyborczej.

Ja myślę, że tak. Arytmetycznie to jest niemożliwe, żeby było inaczej. Tylko nie wiem, czy myśmśmy powinni dążyć do zdobycia większości w sejmie [...]. Naprawdę uważam, że dla przywódców radzieckich gwarantem tego, że sytuacja się nie przewali w Polsce, że oni nie będą musieli integrować [właśc. ingerować], dla nich gwarantem jest tutaj to, że będzie sprawować władzę partia komunistyczna. Otóż wybory demokratyczne do sejmu [to takie wybory], gdzie bezpartyjni mogą uzyskać większość – pod warunkiem, że to nie będą tacy bezpartyjni jak prof. Jan Szczepański. Otóż warunkiem niezbędnym do tego, [aby przekonać ZSRR, że nie musi interweniować] jest, żeby takich wyborów demokratycznych do sejmu nie proponować. Ja wiem, że to może brzmieć oportunistycznie, ale ja tak właśnie uważam. [...]

– Jak ja sobie wyobrażam te zmiany instytucjonalne?

[...] i rady narodowe, i sejm powinny mieć zasadę dwuizbowości. Tzn. powinno być i tu, i tu coś w rodzaju takiej izby politycznej, gdzie będą tam radni czy panowie [właśc. posłowie] z PZPR, SD, ZSL, PAX-u, i druga izba, nazwijmy ją izbą pracy czy izbą wyborców, gdzie byłyby kandydatury zgłaszane przez związki zawodowe – powiedzmy branżowcy, autonomiczni, Solidarność. I teraz zasada umowy społecznej i kompromisu [oznaczałaby] [...] kompromis między tymi dwiema izbami. Ja tak to rozumiem. W ten sposób zasada dialogu i porozumienia by została w sposób trwały, niejako instytucjonalny, wmontowana w polityczny system, a jednocześnie komuniści by nadal rządili.

– Jak pan ocenia osobę kardynała [Stefana] Wyszyńskiego?

⁹ Stanisław Kania (ur. 1927) – w latach 1975–1981 członek Biura Politycznego KC PZPR, był od września 1980 do października 1981 I sekretarzem KC.

¹⁰ Ignacy Tokarczuk (ur. 1918) – biskup przemyski w latach 1965–1993 (obecnie biskup senior), należał do księży najbardziej zwalczanych przez władze PRL; m.in. budował w diecezji kościoły bez zezwolenia władz administracyjnych, wygłaszał antykomunistyczne kazania, wypowiadał się w sprawach społecznych.

No, wiecie państwo, to jest wielki człowiek, to jest naszego narodu chyba mąż opatrnościowy. On tę łódkę przeprowadził przez te 35 lat bardzo burzliwych fal. Ja oceniam go niestęchanie wysoko, to jest największy autorytet dla Polaków. Zresztą [temu], kogo to interesuje bardziej, polecam z tego punktu widzenia moją książkę *Kościół, lewica, dialog*.

– Jak wygląda obecnie problem cenzury?

Moim zdaniem problem cenzury wygląda w tej chwili tak, że już jest stawiany ten projekt, że to poszło do sejmu i to będzie wchodziło w życie. Ja bym nie demonizował tej całej sprawy z cenzurą z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że to naprawdę niewiele zmieni, bo ta cała cenzura będzie [...] i mało kto z tych redaktorów będzie miał odwagę odwołać się wyżej. [Bo to] zawsze i ryzyko kary itd. Jeżeli już się ktoś odwoła, to przecież władza go niemal zawsze może zdjąć ze stanowiska naczelnego redaktora. Ja myślę, że problem cenzury jest w innym miejscu. [...] całkowita likwidacja cenzury też by moim zdaniem w tej sytuacji nie była dobra, a to dlatego, że im kto był większym komunistą za tow. Gierka i Łukaszewicza¹¹, to tym dalej teraz będzie chciał splunąć w gazecie i się zrobi taki wyścig w pluciu, kto ostrzejszy będzie, co też nie jest społecznie wartościowe. Otóż ja mam takie poczucie, że istotnym problemem jest problem prasy związkowej, tej która się ukazuje poza zasięgiem cenzury. To jest prasa, gdzie nasze społeczeństwo po raz pierwszy szuka właściwego języka, uczy się mówić własnym, niezakłamanym głosem. [...] Cały ruch tych gazetek Solidarności zakładowych, MKZ-eto-

wych, to jest rzecz niezwyklej wagi. I ja w tym pokładam ogromne nadzieje na przyszłość. Jestem przekonany, że to jest coś, czego nasz związek nigdy nie podda.

– Jak udaje się funkcjonować »Gazecie Krakowskiej« i Bratkowskiemu z jego »Życiem i Nowoczesnością«¹²?

Ja myślę, że i »Gazeta Krakowska«, i Bratkowski to jest istotny fragment tego całego politycznego establishmentu, że to jest jakieś skrzydło w obozie rządzących, i myślę, że te gazety, takie jakie one są, czyli gazety cieszące się społecznym zaufaniem, to gazety rządowi potrzebne. Rząd dzisiaj nie może rządzić, nie jest w stanie rządzić tylko przy użyciu takich dziennikarzy jak Luliński, Krasicki¹³. [...] Na ile rządowi potrzebna jest znacznie szersza klawiatura oddziaływania na społeczeństwo? Na ile [...] rządowi, władzy w ogóle potrzebne ośrodki, które są w stanie nawiązać społeczne porozumienie? [...] Taki »Żołnierz Wolności« czy Kąkol¹⁴ i Luliński to jest towarzystwo, które się pokazuje, jak się chce przstraszyć ludzi, ale jak się chce z kimś usiąść do stołu, żeby rozmawiać czy negocjować, to przecież nikt do tego nie będzie używał tych dżentelmenów.

– Jak pana zdaniem rząd [Wojciecha] Jaruzelskiego będzie próbował radzić sobie z Solidarnością, tak samo jak rząd [Józefa] Pińkowskiego?

Tu proszę nie mieć żadnych złudzeń. Tzn. będziemy mieli nadal do czynienia z metodą kija i marchewki – straszenia i przekupstwa. Korumpowania i rozbijania od wewnątrz i w ostateczności, kiedy rząd nie będzie miał innego wyjścia – będzie zawierał kompromis. Jeszcze dużo wody w Wiśle

¹¹ Jerzy Łukaszewicz (1931–1983) – w latach 1971–1980 sekretarz KC PZPR odpowiedzialny za prasę i propagandę, od 1975 do 15 II 1980 zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, następnie do 24 VIII 1980 członek Biura Politycznego. Jako bliski współpracownik Edwarda Gierka został usunięty z KC, w 1981 wykluczony z PZPR, 1981–1982 internowany.

¹² „Gazeta Krakowska”, organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie, stała się po sierpniu 1980 pod redakcją Macieja Szumowskiego jedną z najbardziej prosolidarnościowych i reformatorskich gazet w Polsce. Taką samą opinią cieszyło się redagowane przez Stefana Bratkowskiego „Życie i Nowoczesność”, tygodniowy dodatek do oficjalnego dziennika „Życie Warszawy”.

¹³ Daniel Luliński, Ignacy Krasicki – partyjni dziennikarze, specjalizujący się w atakach propagandowych na opozycję.

¹⁴ Kazimierz Kąkol (ur. 1920) – w latach 1957–1974 redaktor naczelny „Prawa i Życia”, następnie do 1980 minister-kierownik Urzędu ds. Wyznań.

upłynie, nim rządzący zrozumieją, że Solidarność jest dla nich nie tylko zagrożeniem, ale jest dla nich szansą. Oczywiście [...] to są moje prywatne opinie, broń Boże nie są to ani opinie KOR-u, ani opinie Solidarności – Regionu Mazowsze czy jakiegokolwiek innego regionu. Ja po prostu tak sądzę, jestem tu głęboko sceptyczny, proszę nie mieć żadnych złudzeń.

– Jak ograniczyć władzę partii?

[...] władzę partii trzeba ograniczyć, budując niezależne instytucje, takie jak Solidarność, takie jak NZS, takie jak Solidarność Wiejska, takie jak niezależne i samorządne stowarzyszenie Afryki lub hodowców kanarków. Tutaj chodzi po prostu [o to], aby budować struktury niezależne od służbowej hierarchii narzucanej przez władzę polityczną.

– Kim są Bronisław Baczko, Wł[odzimierz] Brus i Krzysztof Pomian?

To jest trójka profesorów z Uniwersytetu Warszawskiego usuniętych w 1968 roku, aktualnie przebywają za granicą. Włodzimierz Brus jest bardzo wybitnym ekonomistą, doktorem *honoris causa* wielu najwspanialszych uniwersytetów. Prof. Baczko jest profesorem w Genewie, Pomian jest profesorem w Paryżu. Mam zaszczyt z wszystkimi tymi trzema ludźmi być w przyjaźni i uważać się w pewnym sensie za ich ucznia.

– Co pan sądzi o działaniach Pińkowskiego, czy nie było to przygotowanie efektywnego wejścia Jaruzelskiego? A jeżeli Jaruzelski się rozłoży, czy to będzie znaczyło, że przygotował efektowne wejście swojemu następcy, i czy Pińkowskiemu efektowne wejście przygotował Babiuch, a Babiuchowi Jaroszewicz¹⁵?

W tych kategoriach chyba nie warto rozmawiać.

– Czy nie sądzi pan, że czas działa na korzyść władzy, nastroje słabną?

Nie sądzę. Ja mam inne wrażenie, takie że nastroje się polaryzują. [...] Mam wrażenie, że

zwłaszcza wielkie załogi Solidarności, w wielkich załogach [właśc. zakładach] [Solidarność] się radykalizuje, jest coraz bardziej rozjuszona tym, że rząd łamie i nie dotrzymuje słowa i jest, że tak powiem, gotowa do działań bardzo stanowczych. Takie miałem wrażenie z Huty im. Lenina i Huty Katowice, Ursusa, ze stoczni. A jednocześnie znaczna część opinii jest zmęczona strajkami, jest zmęczona napięciem, zmęczona kolejkami i w tę lukę może wchodzić propaganda rządowa łącznie z prowokacjami.

– Jakie środki zastosuje Solidarność w celu wywalczenia dostępu do telewizji?

Ja nie wiem, czy zaraz, czy teraz, ale myślę, że tutaj Solidarność nie może cię cofnąć. Ten dostęp wywalczyć trzeba, bo w przeciwnym razie jesteśmy skazani na stałą dezinformację.

Tutaj jest kilka pytań o wydarzenia marcowe – to jest pytanie, które się powtarza, jak rozumiem, z tego powodu, że na plakatach było, że jestem uczestnikiem wydarzeń marcowych, co nie jest ścisłe, mówiąc szczerze. Ja bym nie chciał sobie przypisywać rzeczy, których nie zrobiłem. Otóż ja po prostu wydarzenia marcowe w większości w 1968 roku spędziłem w więzieniu, bo na samym początku [mnie] zaaresztowano i mój udział w wydarzeniach polegał na tym, że ja dostałem za nie wyrok. [...] Jaki jest mój pogląd na ten temat? [...] nie jestem kombatant i nie lubię tego typu wspominków. Ja bym powiedział tak – marzec był szalenie interesujący, dlatego że to był koniec tych nadziei, które wielka część społeczeństwa łączyła z październikiem 1956 roku i osobą Gomułki, który w 1956 roku był bardzo popularny w Polsce i któremu śpiewaliśmy *Sto lat*. Ja byłem wtenczas mały, ale ci z państwa starsi, którzy pamiętają, to pamiętają ten jego tryumfalny powrót z Moskwy, kiedy stacje, dworce były oblepione przez witające tłumy, śpiewające mu *Sto lat*. A w 1968 roku już można było mu zaśpiewać: „miałeś, chamie, zło-

¹⁵ Piotr Jaroszewicz był premierem od grudnia 1970 do lutego 1980, po nim Edward Babiuch – do sierpnia 1980, następnie Józef Pińkowski – od września 1980 do lutego 1981. Wojciech Jaruzelski stał na czele rządu od lutego 1981 do listopada 1985.

ty róg". Otóż to był początek buntu społecznego, bowiem kontynuacją i konsekwencją wydarzeń marcowych były w dwa lata później wydarzenia na Wybrzeżu, Stocznia Warskiego w Szczecinie, Stocznia im. Lenina w Gdańsku, Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni i myślę, że to jeden proces buntu społecznego i organizowania się społeczeństwa do walki o swoje prawa, i z tego punktu widzenia był to proces ważny. A również był to proces brutalnej walki o władzę. [...] w tej walce Moczar posunął się do ostatnich głupstw i do rozpropagowania kampanii antysemitkiej, która Polskę okryła hańbą na całym świecie, której konsekwencje dopiero [teraz] przechodzą, dzięki wydarzeniom ostatnich lat. To wszystko po to tylko, aby skompromitować niektórych ze swoich konkurentów w aparacie władzy.

– Na czym opiera się Lech Wałęsa, stwierdzając, że Polska może stać się drugą Japonią?

Nie wiem, bo moim zdaniem nie może stać się drugą Japonią. O to trzeba by się władzy [właśc. Wałęsy] pytać.

– Czy Mieczysław Moczar zostanie nakłoniony do zdania sprawy ze swoich marcowych wyczynów?

No właśnie, to jest pytanie, które mnie również interesuje. I nie wiem właściwie, jak to z nim będzie, bo teraz znowu w górę poszedł. Słyszeliście państwo, jak w telewizji mówił, że on ma tak po ojcowsku wielu przyjaciół wśród przywódców Solidarności i że ich zna. A ja [...] tu też mam sporo przyjaciół i żaden z nich mi się nie chwalił, że zna Moczara, no ale jak generał mówi, to widać jest coś na rzeczy. Czy będzie ciągnięty, że tak powiem? Na pewno się tu nie wywinie, ale nie za sam marzec. Dlatego że marzec w końcu to bułka z masłem, to parę szarż Gołędzinowa¹⁶, trochę wybitych zębów, rozbitych głów, ale antysemityzm

to już gorzej, bo to rzeczywiście paskudne. Ale Moczar przecież był członkiem Biura Politycznego odpowiedzialnym za wojsko i bezpieczeństwo w grudniu 1970 roku. I za to trzeba będzie wystawić mu rachunek. A także i za poprzedni okres, za który nie czuje się odpowiedzialny, bo był tylko prezesem NIK-u, ale mnie się wydaje, że to był okres, kiedy złodziejstwo w Polsce osiągnęło jakieś Himalaje, jakieś rekordy w ogóle i w tym okresie prezes NIK-u, ja sobie nie przypominam, żeby on wtedy w sejmie jakoś protestował przeciwko temu, co Maciej Szczepański¹⁷ wyczynia czy ci ministrowie, których wyrzucili z partii, i ten Lejczak¹⁸, ten Barszcz¹⁹, te łobuzy z Bielska [...]. Przecież cała Polska o tym mówiła. I wiedziała. Tylko prezes NIK-u o tym nie wiedział – Mieczysław Moczar nie wiedział i nie mówił. Jest druga wersja taka, że on zbierał *dossier*, materiały. Mnie się wydaje, że gdy ktoś jest prezesem NIK-u, czyli Najwyższej Izby Kontroli, to on powinien być kontrolerem, a nie kolekcjonerem, dlatego że te wszystkie afery kryminalne to nie są znaczki pocztowe, które można zbierać do klasera.

– Czy to jest prawda, że został pan pobity i jeśli tak, czy spowodowało to trwałe uszkodzenie zdrowia?

Ja w zasadzie rozumiem, że jest to pytanie, czy byłem pobity przez Służbę Bezpieczeństwa – zbrojne ramię partii. No więc nie, w zasadzie nie. No, to znaczy parę razy rzeczywiście jakaś szarpalina, w zęby dostałem, coś raz mnie tam przewrócono, raz kopnięto, ale w gruncie rzeczy nie ma o czym mówić. Żadnych trwałych uszkodzeń nie miałem, to że się zacinam, to nie z tego powodu, że przeżyłem wstrząsy na policji. Dlatego postanowiłem tego nie leczyć, bo to jakaś moja uroda, to szalenie podoba się kobietom, w związku z tym postanowiłem poprzestać na tym.

¹⁶ W Warszawie na Gołędzinowie znajdowały się koszary ZOMO.

¹⁷ Maciej Szczepański – działacz PZPR, od października 1972 do sierpnia 1980 szef państwowego radia i telewizji.

¹⁸ Włodzimierz Lejczak – działacz PZPR, 1970–1976 minister przemysłu ciężkiego, 1977–1980 minister górnictwa; w lutym 1981 wydany z PZPR.

¹⁹ Edward Barszcz – 1978–1980 prezydent Krakowa, 23 VI – 21 XI 1980 minister budownictwa; w styczniu 1981 wydany z PZPR.

– Jakie pan widzi kolejne etapy dojścia do modelu Polski, jaką chciałby pan widzieć?

Najbliższy etap – to ja widzę właśnie tę reformę demokratyczną w aparatach państwowych i w sejmie. A wszystko, co dalej, no to już jest dla proroków, dla wróżbitów, a nie dla historyka.

– Znamy pana działalność i Jacka Kuronia i waszą męczeńską drogę życia, zawsze jesteśmy z wami i nie damy was odłączyć z naszych szeregów. Panie Adamie, jedno słowo – czy wygramy i czy jest szansa, że uratujemy naszą ojczyznę?

Dziękuję za ten list, jest bardzo dla mnie wzruszający. Z tą męczeńską drogą, przynajmniej moją, to nie przesadzajmy. Nie chciałbym, aby pan myślał, rzeczywiście, że przeżyłem jakieś straszne rzeczy. W gruncie rzeczy zawsze najgorsze dla mnie było to, że ci bezpieczniecy mnie nudzili swoimi rozmowami. Natomiast czy wygramy – na pewno wygramy, musimy wygrać, jeszcze wszyscy zobaczymy niepodległą Polskę, przyrzekam to państwu (oklaski).

– Czy przewiduje się możliwość wystąpienia o zmianę ordynacji?

Ja odpowiedziałem na to.

– Jaki jest odzew na jednostronną polemikę w prasie i telewizji z panem, w której się formułuje m.in. takie zarzuty jak eklektyzm i nierze czowość?

Jeżeli chodzi o eklektyzm, to ja przypuszczam, że autorzy nie bardzo rozumieją, co to słowo znaczy, i to sobie po prostu darujemy. Czy państwo znacie choćby jednego człowieka, który by był nierzeczowy i by się do tego szczerze przyznał?

– Czy w Polsce istnieje wizja utworzenia nowej partii politycznej, konkurencyjnej?

Ja nie wiem, tzn. może wizje istnieją, na pewno istnieją, ale na dzisiaj to ja nie jestem przekonany, czy to jest właściwa droga. Raczej mi się wydaje, że to za daleko jest. Jak będziemy chcieli wszystko na raz, to nie będziemy nic mieli. My musimy tę szklankę tak posuwać, posuwać, ale żeby jej nie przewrócić. Nie można wszystko na raz [robić]. Na razie i tak strasznie dużo mamy

i trzymajmy się tego, żeby nam nie rozbili tej Solidarności intrygami personalnymi, rozróbami, prowokacjami bezpieczeniackimi. Trzymajmy to, co mamy, jak żrenicę oka, to jest strasznie dużo, to jest największy wyłom w historii komunizmu. Nie chcemy wszystkiego na raz.

– Co pan sądzi o tzw. odnowie w PZPR?

To jest dla mnie samego sprawa dosyć skomplikowana, bo ja tutaj jednoznacznego poglądu nie mam, tzn. ja oczywiście zupełnie nie biorę serio tego, co o odnowie mówi tow. Kania, [Tadeusz] Grabski i to całe towarzystwo. Natomiast ja długi czas uważałem, że wszelkie takie oddolne [siły] odnowione [właśc. odnowicielskie] w partii to mogą doprowadzić do rozpadu partii [i do] radzieckiej interwencji, bo on [ZSRR] się temu sprzeciwia. Natomiast byłem w Toruniu chyba w zeszłym tygodniu na takim spotkaniu i to było dla mnie szalenie interesujące, bo Toruń to jest taka twierdza tego ruchu struktur poziomych partii i to jest bardzo interesujące. Tam doszło do tego, że w Towimorze, to jest taka fabryka, w tej chwili sekretarzem P[odstawowej] O[rganizacji] P[artyjnej] jest bezpartyjny (śmiech na sali). No tak, we wrześniu ta organizacja partyjna na swojego I sekretarza wybrała Zbyszka Iwanowa, który był członkiem komitetu strajkowego. W listopadzie W[ojewódzka] K[omisja] K[ontrola] P[artyjnej] go wykluczyła z partii. Jego organizacja z Towimoru tego nie przyjęła do wiadomości, deklarując, że Iwanow jest wybrany, a Wojewódzka Komisja nie jest wybrana, tylko mianowana przez poprzednią skompromitowaną ekipę (śmiech na sali). I ja długi czas byłem skłonny to lekceważyć, a teraz zmieniłem zdanie. Zmieniłem zdanie i twierdzę, że w pewnych warunkach, jeżeli ten ruch struktur poziomych nie przekroczy pewnych [granic], to już nie ma co mówić, że to jest szkodliwe, bo to po prostu jest, to jest fakt polityczny, pewien fakt socjologiczny i z tym się trzeba liczyć. I mnie się wydaje, że jeżeli oni nie przekroczą pewnej bariery dźwięku i tak jak Solidarność nie próbuje obalać rządu, tak oni nie będą próbowali obalać

I sekretarza, naszego nieocenionego tow. Kani, żeby go zastąpić jakimś straszliwym liberałem albo rewizjonistą typu [Aleksandra] Dubczeka, to oni mogą być moim zdaniem pożyteczni.

– Tu jest pytanie o ruchy dysydenckie w innych krajach socjalistycznych.

Więc w tej chwili moim zdaniem również tam te ruchy w wyniku wydarzeń w Polsce znalazły się w zwrotnym punkcie. I właściwie trudno powiedzieć, czy te tradycyjne formy, jak Karta 77, jak ten ruch obywatelski w Związku Radzieckim, czy to się w ogóle może utrzymać w tej formie i jak to się będzie zmieniać; na to pytanie nie umiem odpowiedzieć.

– Czy według pana obecny zjazd KPZR wniesie coś nowego do sytuacji w PRL?

Niewątpliwie, [ale] trudno powiedzieć co. Dlatego że Związek Radziecki jest krajem, który stoi w przededniu wielkich zmian, przede wszystkim zmiany ekipy, to będzie zmiana typu biologicznego (śmiech), bo tam te największe młodzieniaszki mają 80 lat. Natomiast co z tego wyniknie, to po prostu nie wiem.

– Co pan w ogóle sądzi o PZPR?

Kiepsko sądzę, nie będę tego ukrywał, że ta partia to nie jest ten upojny sen mojego życia.

No ale to jest ten garb, który będziemy musieli jakiś czas jeszcze dźwigać.

– O Jaruzelskiego. Widzę, że państwa szalenie interesuje nasz nowy premier (śmiech).

– Jak pan rozumie takie enigmatyczne dla mnie pojęcia jak »kierownicza rola partii« i co pan sądzi o umieszczeniu podobnych punktów w naszej konstytucji?

Ja właśnie nie rozumiem tego, więc trudno, żebym powiedział jak. Ja tego po prostu nie rozumiem. Dla mnie »kierownicza rola partii« to jest takie samo słowo jak siły antysocjalistyczne, tzn. jest to takie słowo – maczuga, którym moż-

na każdego rąbnąć w łeb, jak będzie stosowna po temu okazja. No a umieszczenie tego w konstytucji po prostu uważam za skandal i byłem jednym z organizatorów takiego listu pięćdziesięciu dziewięciu²⁰, który występował przeciwko właśnie wpisywaniu tego typu przemyśleń, które są radośną twórczością naszych przywódców partyjnych, do konstytucji, która – wydawało mi się – przynajmniej powinna być dokumentem poważnym. Wszakże nie wiem, czy miałem rację, dlatego że wtedy jak ja brałem udział w tych wielkich zmaganiach o konstytucję, to Słonimski też wtedy te listy podpisywał. Dostał od Artura Rubinsteina taką pocztówkę, gdzie Rubinstein pisał: »Ja nie rozumiem, Antoni, co ci Polacy tak się przejmują tą nową konstytucją, przecież stara była taka ładna i wcale nieużywana« (śmiech).

– Czy nie uważa pan, że istnienie partii politycznych jest zagrożeniem demokracji?

Uważam dokładnie na odwrót, że zagrożeniem demokracji i dowodem jej nieistnienia jest brak partii politycznych bądź istnienie tylko jednej, która sprawuje kierowniczą rolę.

– Co ze śledztwem przeciwko KOR-owi?

Jak państwo wiecie, nic strasznego. No rzeczywiście, oni mnie raz wezwali do prokuratury i próbowali mnie straszyć, że ja jeżdżę po Polsce i właśnie krytykuję rząd, i że poniżam go i tam coś, ale ja tym się specjalnie nie przejąłem i myślę, że to nie będzie miało dalszego ciągu. Dlatego że po prostu mam takie wrażenie, że władze jednak rozumieją, że to absolutne głupstwa, żeby w tej chwili nas zamknąć. [...] Z tego powodu, że Kuroń czy ja znajdziemy się w więzieniu, to w sklepach mięsnych nie będzie ani trochę więcej wędliny. Jak rozumiem, tutaj jest problem zdenerwowania społecznego, a nie w tym, co ja mówię.

– Czy KOR rozwiąże się wkrótce i w co się przekształci?

²⁰ List z 5 XII 1975 do sejmu zawierający protest przeciwko projektowanym zmianom w Konstytucji PRL (podkreślającym monopol władzy PZPR i zależność Polski od ZSRR) oraz deklarację celów opozycji demokratycznej; nazwany Listem 59 od pierwotnej liczby sygnatariuszy.

To jest problem, nad którym sam się zastanawiam, my naprawdę nie wiemy. Ja nie wykręcam się teraz. My naprawdę nie wiemy, bo sytuacja jest niewykrystalizowana. Ona jest niejasna. Nie, oczywiście tak łatwo się nie rozwiążemy, bo nie ma powodu, żeby władzy bezinteresownie taką przyjemność robić i taki prezent. Natomiast nie wiem jeszcze, w co się przekształcimy. [...] W tej sytuacji, kiedy jeszcze nie wiadomo, co się stanie, to nie wiadomo, czy te trzy literki, do których ludzie w Polsce mają trochę zaufania, którym trochę wierzą, czy te trzy literki nie okażą się jeszcze społeczeństwu potrzebne.

– Co pan sądzi o grupie katolików zgrupowanych wokół »Ładu« i »Znaku«. Czy dążą do partii chrześcijańskiej?

Chyba tak. Ja o tym bardzo źle sędzę. Dlatego że ja bardzo źle sędzę o wszystkich, którzy chcą zakładać partie polityczne pod chrześcijańskim szyldem. Dlatego źle sędzę, że nieprzypadkowo religia chrześcijańska powiada, że »królestwo moje nie z tego świata«. Jeżeli w imię chrześcijańskich idei i symboli chce się na tym świecie coś takiego proponować, to jest już bardzo niebezpieczne. Ja się po prostu bardzo boję nadużywania religii do celów politycznych. Ja uważam, że religia to jest sprawa tak ważna w życiu człowieka i intymna, że tego na plac publiczny, na targowisko politycznego konfliktu wyciągać się nie powinno.

– Jaki jest pana stosunek do socjalizmu w ogóle?

Ja odpowiedziałem właściwie na to, że to zależy, do jakiego.

– Jaki jest pański światopogląd?

Ba, żebym to ja umiał nazwać. On skomplikowany jest. Ja wierzę w to, że wiara przenosi góry. Ale wierzę w to, że konflikt interesów wyznaczają bardzo istotne konflikty między grupami ludzkimi, a to jest pogląd wzięty organicznie z marksizmu. Ja jestem przekonany, że ci ludzie, którzy nie chcieli ustąpić w sierpniu ub[iegłego] roku przed strajkami, [...] bronili swoich własnych interesów. [...] to były interesy materialne, ale to były i interesy prestiżowe, moralne. Ci ludzie

bronili się przed tym, żeby im zabierać wille, bronili się przed tym, żeby im zabierać stanowiska i bronili się przed tym, żeby w gazetach można było pisać prawdę, w jaki sposób oni bronili swoich dyplomów inżynierskich. Oni mieli czego bronić. I w tym sensie jest to stanowisko w znacznej mierze marksistowskie. No więc nie umiałbym jednym słowem określić, jaki jest mój światopogląd. Myślę, że z temperamentu jestem liberałem, z systemu wartości socjalistą, chrześcijaninem może, a z usposobienia chyba jestem przekonany, że nie istnieje i nie będzie istniało społeczeństwo doskonałe. I bardzo bym się bał wszystkich, którzy by takie społeczeństwo obiecywali. I dlatego na pytanie, jaki typ ustroju byłby najlepszy w naszych warunkach, odpowiem, że byłby to typ ustroju oparty na pluralizmie, na kompromisie i oparty na przekonaniu, że pełnej prawdy w polityce nie ma. Jest tylko zbliżanie się do niej.

– Jakie są typowe metody działania Służby Bezpieczeństwa?

No, oczywiście wszystko to państwo wiecie, nie będę się powtarzał. Ja jedno chcę powiedzieć tylko, że typową metodą działania Służby Bezpieczeństwa jest opluskwanie i personalna rozróża. Ja nie mam szpiegomanii, że każdy, kto się [tym] zajmuje dzisiaj, jest zaraz agentem bezpieczeństwa, ale jak ja jeżdżę po MKZ-etach i widzę, jak te MKZ-ety są rozrabiane wedle klucza personalnej rozróży i wedle tego samego scenariusza, to uważam za właściwe przed tym po prostu uprzedzić.

– Czy po przeprowadzeniu autentycznych demokratycznych wyborów wybrany zostałby chociaż jeden z obecnie piastujących stanowiska państwowe? Proszę o kilka kandydatur.

Ładna historia. Proszę państwa, ja nie mam takich kandydatur i myślę, że już niech lepiej oni rządzą, bo nieważne, kto rządzi, a ważne, kto kontroluje. Więc my zastanówmy się raczej nad tą funkcją kontrolną związku, która może być bardzo ważna.

– Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że na tej sali znajduje się wiele osób, którym można wiele zarzucić? Proszę o wnioski z tego wynikające.

No na pewno, nawet niektóre widzę. Natomiast cóż by z tego miało wynikać dla mnie? Przecież nie może dla mnie wynikać, żebym ja przestał mówić to, co myślę. Dlatego że jak ja tego nie zrobiłem w wyniku tego, że te osoby i ich szefowie, im podobni zamknęli mnie do pudła, no to przecież byłoby niepoważne, gdybym to przestał robić z tego powodu, że oni usiedli na sali. Natomiast nie zdziwiłbym się, gdyby ze mną nie polemizowali, bo takie jest moje doświadczenie, że to są ludzie, którzy się polemicznie aktywizują tylko wtedy, kiedy mają za plecami żandarma.

– Czy jest pan wierzący i czy w swojej działalności znajduje pan oparcie we władzach Kościoła?

Na pytanie o wiarę ja nie odpowiem, dlatego że to jest pytanie, które ma minimalny związek z całą konstrukcją polityczną, o której mówię. Natomiast czy znajduję oparcie – zawsze tak, naturalnie. Naturalnie, w najtrudniejszych chwilach mieliśmy wszyscy zawsze poczucie, że Kościół nas będzie bronił, i rzeczywiście bronił.

– Co może pan powiedzieć o niepokojach przed sierpniem 1980?

Tego było dużo, to narastało, ale ten worek się rozerwał w lipcu, po tej regulacji cen na mięso.

– Jakie jest stanowisko KOR-u wobec ruchu chłopskiego?

Ja uważam, że tu po prostu władza musi się cofnąć. [...] Jeżeli tam jest jeszcze choć trochę przytomnych ludzi, którzy potrafią myśleć, to muszą wreszcie zrozumieć, że w tej sytuacji kryzysu rolnictwa nierejestrowanie Solidarności Wiejskiej jest działaniem samobójczym.

– Wnioskuje z pana wypowiedzi, że jest pan przeciwnikiem ustroju komunistycznego. Co proponuje pan w zamian?

Ja powiedziałem, co proponuję w zamian. W zamian proponuję system oparty na kompromisie społecznym i reformie instytucji przedstawicielskich.

– Prawdopodobnie nie jest pan aktywny zawodowo, skąd bierze pan środki do życia? Czy prawdą jest, że jest panu wypłacany zasiłek przez organizacje międzynarodowe?

Proszę pana, autora tego pytania, jeżeli się panu z tym będzie lepiej spało, to powiem, że już w 1945 roku [zostałem] szpiegiem zachodnioniemieckim i od tego czasu mnie opłaca Hupka i Czaja²¹ (śmiech).

[...]

– Czy tow. Stanisław Kania jest wplątany w aferę wydarzeń z 1976 roku?

Nie wiem.

– Czy partia, która składa się z dyletantów i ma do dyspozycji rząd na tym samym poziomie, jest zdolna do sprawowania kierowniczej roli w państwie?

Ja myślę, że ona ma do dyspozycji nie tylko taki rząd, ale też i tę partię mają do dyspozycji partie sojusznicze, i to chyba przesądza sprawę.

– Czy prawda, że NKWD szkoliło gestapowców?

Nie wiem nic o tym, wątpię. Oni mieli własne narodowe wzory, które były bardzo dobre. Więc oni nie musieli aż tak szukać.

– Na ile prawdopodobna jest interwencja zbrojna w Polsce?

Nie umiem na to pytanie precyzyjnie odpowiedzieć. Myślę, że wiele zależy od nas samych. Tak mi się zdaje.

– Jakie jest stanowisko Krajowej Komisji Porozumiewawczej [NSZZ Solidarność] odnośnie KPN-u i ROPCiO?

Myślę, że KKP (tutaj jest kolega, który wie pewno lepiej niż ja) merytorycznie ani na temat KPN, ani ROPCiO się nie wypowiedziała. Wypowiada się

²¹ Herbert Hupka i Herbert Czaja – działacze zachodnioniemieckiego Związku Wypędzonych, kwestionujący powojenną granicę polsko-niemiecką, demonizowani przez propagandę PRL.

tylko za tym, że ludzi nie trzeba trzymać w więzieniu, a to nie jest to samo.

Tutaj jest wiele pytań o mój związek z imperiaлизmem. Jest głęboki i intymny. Jestem nieślubnym synem generalissimusa Franco. Przyznam się.

– Kilka lat temu prowadził pan głódówkę. Co było jej powodem?

Powodem – był to akt solidarności z uwięzionymi naszymi przyjaciółmi w Czechosłowacji, przynajmniej z ruchu Karty 77.

– Czy Kościół współpracuje w jakiś sposób z naszą organizacją?

No nie. Kościół nie jest instytucją polityczną i nie zajmuje się takimi sprawami, jak współpraca z instytucjami tak małymi jak KOR, ale myślę, że globalne cele KOR-u zawsze szły po linii wskazań Kościoła.

– Czy według pana jest anarchia w szeregach Solidarności? Jak będzie przebiegać scalanie tych szeregów, aby walka o sprawy robotnicze miała jedno lico [oblicze]?

Ja myślę, że to będzie bardzo trudny proces. Dlatego że Solidarność i jej członkowie nie są po prostu przygotowani do nowoczesnego funkcjonowania demokracji – jak nikt z nas – i walkę o demokrację będziemy musieli toczyć nie tylko z władzą, ale także z samymi sobą.

– Sporo zamętu zrobiły gazety wokół osoby działacza Solidarności Jarosława Sienkiewicza. Ostatnio ponoć został on wybrany przewodniczącym Komisji Górniczej Solidarności. Czy mogłoby pan rzucić trochę światła na ten temat?

Proszę państwa, na szczęście nie. Mam dobrą wiadomość. To nie on, to inny Sienkiewicz, Henryk Sienkiewicz, zupełnie kto inny, bezpartyjny, kiedy indziej urodzony itd. Natomiast ten Jarosław Sienkiewicz, on był przewodniczącym w Jastrzębiu i on został usunięty pod zarzutami intymnych kontaktów z Komitetem Wojewódzkim PZPR. I rzeczywiście również za to, że udzielił wywiadu, gdzie zapowiedział walkę z siłami antysocjalistycznymi, co górnikom wydawało się pomysłem umiarkowanie świetnym.

– Mówił pan, że każda władza trwa i że jest zwłaszcza absolutna. Czy zgadza się pan z poglądem, że możliwy jest w krajach takich jak Polska system dwupartyjny w rozumieniu – [partia] komunistyczna – [partia] socjalistyczna?

Nie, uważam, że [to] niemożliwe jest, że tak długo, jak długo znajdujemy się w zasięgu politycznych i militarnych wpływów Związku Radzieckiego, tak długo nie powinniśmy do tego dążyć.

– Odpowiedzialność za grudzień [1970].

Myślę, że Solidarność będzie się domagać tej odpowiedzialności.

– Co pan sądzi o przemówieniu Kani na obecnym zjeździe? I jak pan sobie wyobraża akcję antyalkoholową?

Nad tym drugim problemem nigdy się dłużej nie zastanawiałem. Po prostu wydaje mi się, że to jest tak ogromna skaza ten alkohol, że nie wiem. Może by tu Solidarność powinna jakieś jaśniejsze stanowisko zająć. Natomiast przemówienia Kani nie czytałem, ale słyszałem, że było przednie.

– W jednym z zakładów w Częstochowie w ostatnich dniach obok Solidarności i Z[wiązku] Z[awodowego] Metalowiec powstaje N[iezależny] Z[wiązek] Z[awodowy] Piast. Fakt ten u solidarnościowców budzi zdziwienie [...]. Co pan o tym sądzi?

Ja sądzę, że to jest inicjatywa aparatu bezpieczeństwa.

– Jak pan godzi poczucie patriotyzmu z udzielaniem wywiadów prasie zachodnioniemieckiej?

No więc właśnie, jak godzę? Poczucie patriotyzmu z udzielaniem wywiadów prasie zachodnioniemieckiej godzi wicepremier [Mieczysław] Rakowski. On udzielił wywiadu temu samemu »Spiegłowi« co ja. Mnie się wydaje, że jest postawą co najmniej niemądrą twierdzenie, że udzielanie wywiadów czy pisanie w prasie zachodnioniemieckiej jest postawą niepatriotyczną. Np. czy autor tego pytania jest zdania, że gdybym ja udzielił wywiadu prasie wschodnioniemieckiej, to by to było bardziej patriotyczne? A przecież »Neues Deutschland« pisze dzisiaj znacznie agresywniej

o Polsce niż jakakolwiek gazeta w Niemczech Zachodnich. To jest raz. Druga sprawa. Spójrzmy na sprawę niemiecką w sposób spokojny i trzeźwy. Faktem jest, że Niemcy powinni o Polsce dowiadywać się czegoś z sensem. I mnie bardziej zależy na tym, żeby wytłumaczyć to, co się dzieje w Polsce, Niemcom niż np. Australijczykom, bo ci są po prostu bliżej. Cała historia stosunków polsko-niemieckich jest skomplikowana, tak nasyciona wrogością; jeżeli nie ma być w przyszłości jednym wielkim powtórzeniem tego, co już było, to trzeba uczyć się w nowy sposób rozmawiać.

– Czy KOR jest organizacją legalną? Chodzą słuchy o zarejestrowaniu KOR-u i przekroczeniu terminu odpowiedzi na informację o powstaniu tejże organizacji.

Z punktu widzenia władzy KOR organizacją legalną nie jest. Nie jest, aczkolwiek jest organizacją jawną. Myśmy podawali swoje adresy, numery telefonów, imiona i nazwiska itd. Często tak jest, że życie wypiera przepis i wtedy trzeba zmienić przepis, jeżeli się nie da zmienić życia. I władza to przynajmniej częściowo rozumiała.

– Jaką pan ma koncepcję Polski teoretycznie wolnej, a jak pan reaguje na opinię, że jest pan utopistą i człowiekiem wyalienowanym?

Ja reaguję dobrze. Tak, nie będę ukrywał, wszyscy przed wydarzeniami sierpniowymi mi mówili, że jestem utopistą i człowiekiem wyalienowanym. Że gdybym był człowiekiem rozumnym, to bym wiedział, że Gierek to jest dla Polski najlepsze, co w ogóle może być, »że Polska rozwija się harmonijnie i dynamicznie oraz intensywnie i selektywnie« itd. [...] Ja wolę być utopistą i człowiekiem wyalienowanym i byłem po stronie tych, którzy w kilka osób zaczęli zakładać wolne związki zawodowe, a nie działali w niewyalienowanym i realistycznym CRZZ-ecie.

– Czy są w Polsce profesjonaliści, fachowcy od rządzenia, którzy by potrafili po prostu dobrze rządzić? Czy Moczar może zostać I sekretarzem?

Może, może, ale na pewno to nie jest ten polityk, który potrafi dobrze rządzić. Tak ja to widzę.

– Słuchałem pana kilka lat temu w Krakowie. [...] Dlaczego nie napisze pan historii powojennej o Polsce, której tak wszystkim nam potrzeba, szczególnie młodym?

Tak, to rzeczywiście jest mój wstyd. Rzeczywiście powinienem napisać, tylko nie mam kiedy i już się po prostu w tym wszystkim gubię. Może nie historię, może chociaż jakiś esej. Ja wiem, że to naprawdę bardzo potrzebne, bardzo.

– Dlaczego władze państwowe nie wystosowały noty protestacyjnej, gdy prasa NRD, CSRS, ZSRR szkalowała Polaków, którzy domagali się swoich praw?

Mnie się wydaje, że to jest pytanie do władz państwowych, a nie do mnie. Ja myślę, że nie wystosowały takiej noty, dlatego że nie uważały tych artykułów w »Neues Deutschland« za szkalujące.

– Kiedyś słyszałem, że pani Płońska²² wyraziła się, że obecny ustrój w Polsce jest niereformowalny. Prof. Szczepański wyraził się dla BBC, że jest trudno reformowalny. Jakie jest pana zdanie?

Moje zdanie jest takie, że on jest zreformowany już. I w związku z tym spór o reformowalność jest jałowy. Jeżeli państwo porównacie ten sam kraj z czerwca ubiegłego roku i dzisiaj, to są dwa różne kraje, to są dwa różne systemy, dwa różne rodzaje funkcjonowania społeczeństwa.

– Jak pan przełamał strach przed działalnością, która kiedyś była nielegalna? Przecież był pan ciągle na widoku.

Ależ ja strachu nigdy nie przełamałem, ja się zawsze bardzo bałem, zawsze. Tak że to wszystko, co robiłem, to robiłem ze strachu. Ale jeszcze

²² Maryla Płońska (1957–2011) – od 1978 r. działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, członkini redakcji pisma „Robotnik Wybrzeża”, w sierpniu 1980 uczestniczka strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina.

większy strach może miałem przed tym, że mógłbym kiedyś przychodzić na takie zebrania jak to w charakterze tajniaka, szpicla, który później będzie zdawał sprawozdanie, nie bardzo nawet rozumiejąc to, co usłyszał. Tego się bardziej bałem (oklaski).

– Czy będzie praktyczna możliwość odebrania ogromnych majątków narodowych przywłaszczonych przez ludzi będących w aparacie władzy? Jaka to może być suma w miliardach dolarów?

Nie wiem. Ja się słabo znam i na policji – a to policja będzie odbierać, i na matematyce – a to matematycy będą wyliczać.

– Kto wydał rozkaz strzelania, czy będą sądzeni?

Ja myślę, że to sprawa generalna, że muszą być sądzeni ci wszyscy, którzy są odpowiedzialni za mordowanie ludzi i torturowanie ludzi, za Wybrzeże, za Radom i za Ursus.

– Przedstawił pan siebie, między innymi KOR-owcami, jako uczestnika walki z rządem PRL w imię tzw. wartości wyższych: wolności, solidarności z uciśnionymi. Obecnie uważa pan, że jesteście ograniczeni sytuacją międzynarodową i tą obiektywną granicą radzieckich czołgów. Proszę o uchylenie chociaż na chwilę, na potrzeby chwili, tych granic. Proszę, by pan powiedział, co by było, gdyby tych granic nie było albo gdyby sytuacja międzynarodowa się zmieniła. Chodzi mi o szeroki i konkretny program działania, np. gdybyście mieli dojść do tzw. władzy?

[...] Ja nie powiedziałem, że my jesteśmy ograniczeni czołgami, ja nie powiedziałem tego. Społeczeństwo jest ograniczone, cały naród jest ograniczony i dlatego jeżeli się uchyli to zagrożenie, to proszę bardzo, niech pan zamknie oczy i niech pan sobie wyobrazi przebieg wydarzeń sierpniowych, wtedy gdyby ludzie nie bali się ruchu wojsk za wschodnią granicą. I to jest moja odpowiedź na pańskie pytanie.

[...]

– Czy Halina Mikołajska, której nadal nie możemy oglądać w telewizji lub filmie, pracuje zawodowo na warszawskich scenach? Czy można ją aktualnie zobaczyć w warszawskim teatrze?

Więc pracuje, ma etat we Współczesnym i wiem, że ma wejść w próby.

– Znaczna część rządzących dąży do konfrontacji – liczą mimo wszystko na możliwość interwencji zbrojnej ZSRR. W jakim okresie, jak długim, spodziewa się pan uosobienia tych sił wśród rządzących?... (Nie bardzo mogę odczytać).

To jest znów pytanie, czy jestem optymistą, czy pesymistą co do wkroczenia Rosjan i dlaczego się ich tak boję. Ja na to pytanie odpowiem krótko, ja bym naprawdę bardzo nie chciał być w sytuacji mojego przyjaciela Czecha Antonina Liehma, który na pytanie 2 lata temu mu postawione, jak on sądzi, czy Rosjanie mogą wyjść z Czechosłowacji [...], powiedział, że są dwa sposoby: normalny i cudowny. Normalny to byłby taki, gdyby z nieba na cudownym, ognistym smoku zjechał św. Jerzy i by Rosjan przegnał ognistym mieczem. To byłby normalny [sposób], a cudowny to byłby taki, gdyby sobie sami poszli. Ja bardzo bym się po prostu bał być w sytuacji, kiedy bym musiał w ten sposób odpowiadać na podobne pytania i dlatego jestem bardzo, ale to bardzo wstrzemięźliwy i ostrożny.

– W dniu 25 ukazała się informacja o zdobywaniu indeksów²³ – o Gierku, o [Zdzisławie] Grudniu itd. Czyżby partyjna gazeta się odmieniła? Czy może się pan ustosunkować do tej informacji?

Nie, nie odmieniła się. Partyjna gazeta polega na tym, że jest pryncypialna, krytyczna i zasadniczo demaskatorska w stosunku do każdego członka Biura Politycznego, którego wyrzucono na zbiaty pysk (śmiej).

– Jest tutaj pytanie ostatnie już, żeby opowiedział o dyskusji z [Wojciechem] Lamentowi-

²³ Raczej dyplomów akademickich przez członków kierownictwa PZPR, którzy dostawali fikcyjne stopnie naukowe.

czem w Riwierze [tj. w Domu Studenckim Riwiera w Warszawie] i jakie są jego poglądy.

No więc zaprosicie Lamentowicza, to jest bardzo inteligentny człowiek i ciekawy, taki partyjny teoretyk. Ja mogę od siebie tylko powiedzieć, że podczas tej dyskusji ześmy zgadzali się w jednej przynajmniej sprawie – w takiej anegdocie, która obrazuje sytuację Polski w tym momencie i którą chciałbym na zakończenie opowiedzieć. Anegdota jest krótka i odpowiada na pytanie, jak myszki różnych narodowości piją alkohol. Otóż myszki amerykańskie wchodzi do baru i pytają się: przepraszamy bardzo, czy jest kot? Barman odpowiada: nie, nie ma kota. To one proszą 2 razy whisky, piją i wychodzą. Myszki francuskie wchodzi, mówią: przepraszamy bardzo, czy jest kot? Barman odpowiada: nie, nie ma kota. Biorą 2 razy calvados, piją

i wychodzą. Myszki polskie wchodzi i mówi szepem: przepraszamy bardzo, czy tu jest kot? A barman mówi: nie, nie ma go. To poprosimy 2 wódki. Piją i powiadają: przepraszamy bardzo, czy tu jest kot? A barman odpowiada: nie, nie ma kota. To [poprosimy] na drugą łąpkę. Piją i mówią: przepraszamy bardzo, czy tu jest kot? Barman mówi: nie, nie ma kota. To na trzecią łąpkę. I wreszcie [mówią]: przepraszamy bardzo, jest tu kot czy go nie ma? Barman mówi: nie, nie ma. To my na niego zaczekamy.

Jak byłem w Paryżu 4 lata temu i opowiadałem tę anegdotę Francuzom, to powiedziałem, że sytuacja w Polsce jest taka, jak między trzecią a czwartą wódką. A teraz wypiliśmy czwartą wódkę i czekamy na kota.

Dziękuję państwu”.

STAN WOJENNY

BRONISŁAW GEREMEK: LIST DO GENERAŁA JARUZELSKIEGO

Trzydziestą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego reżyser Grzegorz Braun uczcił wyprodukowaniem kolejnego filmu, który ma ukazać „prawdziwą” historię, czyli historię zdrad i nikczemności. Jednym z epizodów tego filmu jest gwałtowny atak na Bronisława Geremka, w latach 1980–1981 doradcę Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. Opierając się na opublikowanej wiele lat temu, a wydobytej z archiwów byłej NRD notatce, podano, że prof. Geremek krótko przed 13 grudnia 1981 r. opowiadał się za zniszczeniem Solidarności. Usłużny „ekspert” Wojciech Sawicki ocenił: „bardziej zdradzić nie można”.

Nie wspomniano, że już wiele lat temu notatka została uznana za niewiarygodną.

Nie jest to pierwszy atak na Bronisława Geremka, który budzi zaciętą nienawiść kół tzw. narodowych. Są niestety ludzie gotowi dać wiarę każdej bzdurze, która mogłaby pogryźć jednego z przywódców Solidarności i twórców wolnej Polski.

Pan Sawicki, wysoki urzędnik pionu archiwalnego Instytutu Pamięci Narodowej, nie zadał sobie trudu, by zajrzeć do gromadzonych przez Służbę Bezpieczeństwa „teczek” Geremka. Niczego, co by potwierdzało jego emocje, by tam nie znalazł.

Czym zajmował się Bronisław Geremek w ostatnich tygodniach przed 13 grudnia? Wraz z Tadeuszem Mazowieckim prowadzili 13 listopada rozmowy w Brukseli na temat możliwości uruchomienia pomocy żywnościowej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej dla Polski wobec załamania się w kraju rynku i chronicznych braków podstawowych artykułów. Gdyby rozmowy zakończyły się powodzeniem, zostałyby wykazane międzynarodowe możliwości Solidarności, a co najważniejsze w Polsce powstałyby warunki do złagodzenia konfliktu i być może powrotu do negocjacji¹.

Zabrakło czasu. 13 grudnia Bronisław Geremek, podobnie jak tysiące innych działaczy Solidarności, został internowany. Zamieszczamy list, który z więzienia w Białołęce wysłał do gen. Jaruzelskiego. List znajduje się w jednej z dziewięciu teczek dokumentacji dotyczącej Geremka zgromadzonej przez MSW (Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, 0222/1443, t. 9A, k. 9–10, rękopis).

Andrzej Friszke

¹ Szerzej zob. A. Friszke, *Bronisława Geremka droga do wolnej Polski*, „Więź” 2008, nr 9.

Bronisław Geremek

Białoleka, 11 stycznia 1982, godz. 8.00 rano

Generał armii Wojciech Jaruzelski
Przewodniczący WRON

Fakt pozbawienia wolności tysięcy obywateli bez wyroku sądowego uważam za przekroczenie konstytucyjnych uprawnień władzy, którego nie tłumaczy nawet wprowadzenie stanu wojennego. Same warunki „internowania” świadczą nie tylko o penitencjarnym charakterze tej decyzji, ale wykazują także tendencję do zaostrzenia systemu represyjnego.

W ośrodku w Białolece 24 XII ułożył się znośny układ stosunków: msza, widzenia, paczki, godziny otwarcia cel. Funkcjonowało to przez kilka dni nieźle i pozwalało hamować poczucie krzywdy niewinnie uwięzionych ludzi (przerwano głodówkę). Od 29 XII sytuacja się zmieniła. Uniemożliwiono mi sprawowanie funkcji starosty – przewodniczącego „samorządu” internowanych, który został powołany za zgodą władz ośrodka. Zaostrzono rozkład dnia. Zamknięto cele na 24 godziny, w których jedyną przerwę stanowi 30-minutowy spacer. Dokonuje się ustawicznych „przetrzasań” cel i rewizji osobistych co kilka dni. Uniemożliwia się uczestnictwo internowanych w Mszy św., ograniczając obecnie do 1/3 internowanych prawo uczestnictwa. Internowani wiążą tę politykę represyjną z interwencją służby ochrony więziennictwa i zmianami personalnymi w kierownictwie ośrodka.

Wreszcie pragnę wskazać na fakty dotyczące mnie osobiście. Dnia 8 I, w piąty dzień głodówki, zostałem przeniesiony do innego pawilonu (od godz. 18.00 tego dnia do godz. 15.00 następnego dnia nie otrzymaliśmy tu gotowanej wody). Dnia 9 I złożyłem pismo do komendanta z prośbą o umożliwienie nam powrotu do pawilonu I, uczestnictwa we Mszy św. oraz zakończenia głodówki zgodnie z zapowiedzią (10 I, po niedzielnej mszy). Zamiast odpowiedzi zostałem – pod groźbą użycia siły – przeniesiony do celi więziennej w gmachu Aresztu Śledczego, gdzie brak wody, śmierdzący w.c., brud, dotkliwe zimno odczuwam tym ostrzej, że w ten sposób wszedłem w ósmy dzień głodówki.

Nie piszę tych słów ze względu na moją osobistą sytuację. Mam podstawy przypuszczać, że są obozy o gorszych warunkach niż Białoleka, a w samej Białolece członkowie prezydium KK czy też KK Solidarności są podobno w gorszych warunkach niż reszta internowanych. Jeżeli jednak ja, człowiek 50-letni i schorowany, a także pracownik nauki – którego zasługi dla polskiej historiografii i kultury opinia publiczna zna dostatecznie, aby nie wierzyć oszczerstwom i potwarzom propagandy – w ten sposób jest traktowany, to wolno mi sądzić, że zasadą w systemie internowania jest jeszcze gorsze traktowanie uwięzionych.

Chciałbym tylko wiedzieć, czy taki stan rzeczy jest znany Panu Generałowi i czy jest on zgodny z przewidzianymi przez WRON zasadami internowania.

Bronisław Geremek

Analogiczne pismo kieruję do gen. Cz[esława] Kiszczaaka, zaś odpis przesyłam X. Prymasowi [Józefowi] Glempowi

SOLIDARNOŚĆ W PODZIEMIU

BARDZO DŁUGI SPACER Z PSEM

WIKTOR KULERSKI

ur. 1935 r., w latach 1960–1981 nauczyciel biologii i historii w szkole podstawowej w Międzyzlesiu. Współpracownik Komitetu Obrony Robotników, od 1977 r. zbierał pieniądze na pomoc dla represjonowanych, kolportował wydawnictwa niezależne. W październiku 1980 r. został wiceprzewodniczącym NSZZ Solidarność w Regionie Mazowsze. 13 XII 1981 r. uniknął internowania. Ukrywał się, 8 V 1981 r. wraz ze Zbigniewem Bujakiem, Zbigniewem Janasem i Zbigniewem Romaszewskim utworzył podziemną Regionalną Komisję Wykonawczą NSZZ Solidarność Mazowsze. Uczestniczył w tworzeniu niezależnych struktur oświaty, kultury i nauki. Od 1983 r. współpracownik Komitetu Helsińskiego w Polsce, od 1986 r. członek Rady Funduszu Wydawnictw Niezależnych. W latach 1989–1991 poseł Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, wiceminister edukacji narodowej. 1989–1999 prezes zarządu fundacji Edukacja dla Demokracji. Od 1999 r. współpracuje z miesięcznikiem „Nowa Polska”.

12 grudnia 1981 r. otrzymałem informację, że wojska, które wyruszyły z baz, przesuwały się w kierunku Warszawy. Kino obok naszego biura Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ Solidarność zajęło dwustu milicjantów z jednostek zmotoryzowanych. Napisałem list do prymasa, poprosiłem jednego z pracowników o dostarczenie pisma do rąk jego osobistego sekretarza. Zadzwoiłem do Zbigniewa Bujaka, który uczestniczył w posiedzeniu Komisji Krajowej NSZZ Solidarność w Gdańsku, i przedstawiłem mu aktualną sytuację.

Bujak później opowiadał: „O godzinie 10 wieczorem Wiktor zadzwonił do mnie na »krajówkę«, mówiąc, że robi się chyba gorąco, bo zerwane są połączenia teleksowe, a przy tym nadchodzą dziwne informacje o koncentracji wojska i milicji. Potem słuchawkę przejął od niego człowiek odpowiedzialny w naszym regionie za zbieranie i analizowanie wszelkich informacji dotyczących podejrzanych posunięć formacji zmilitaryzowanych [Marek Nowicki – W.K.]. No i ten..., na którego potem byłem najbardziej wpieniony, powiedział mi: wszystko w porządku, to są normalne jesienne przegrupowania wojsk, nie ma się czego obawiać, możecie siedzieć spokojnie. A to było na kilka godzin przed...”¹.

Postanowiłem wrócić do domu, wykapać się i przebrać w czyste rzeczy, jako że od kilku dni pełniłem całonocne dyżury w siedzibie Zarządu Regionu. Wsiadłem do autobusu i pojechałem do Międzyzlesia. Na miejscu pomyślałem, że warto zadzwonić do biura, by sprawdzić, czy nie ma nowych wiadomości. Na pocztę przekonałem się, że nie działają telefony publiczne. Funkcjonujący aparat znalazłem dopiero w izbie przyjęć miejscowego szpitala. Sekretarka z biura powiedziała:

– Jak dotąd jest spokój... Ale poczekaj! Coś się dzieje.

Usłyszałem ją po krótkiej pauzie:

– Nie działa już żaden teleks!

Poprosiłem o przysłanie pod mój dom taksówki. Następnie zadzwoniłem do ojca z informacją, że w biurze Regionu Mazowsze odcięto wszystkie teleksy.

¹ M. Łopiński, M. Moskit [Z. Gach], M. Wilk, *Konspira. Rzecz o podziemnej Solidarności*, Warszawa 1984, s. 6 (red.).

Ojciec powiedział: – To znaczy, że się zaczyna. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Teleks został odejęty około 23.25, telefony niecałe pół godziny później. Gdy dotarłem do domu, taksówka już czekała. Chciałem wrócić do biura Zarządu Regionu. Miałem tylko czas na pożegnanie się z żoną. Była bardzo zdenerwowana. Powiedziałem, że muszę pojechać do biura. Nie wiedziałem, kiedy wrócę. Myślałem – czy będą rozwałać od razu? Jeśli tak, to nie potrzebuję czystej białizny ani ciepłych butów. Ale jak wywózka, to jednak warto się ciepło ubrać. Postanowiłem założyć ciepłą białiznę i nowe zimowe buty. Parę dni wcześniej brat przywiózł je dla mnie z Danii.

Pożegnałem się więc z żoną i wyszedłem, nie dzieląc się z nią obawami. Ledwo ruszyliśmy, po drodze minęliśmy dwa milicyjne wozy jadące w kierunku mojego domu. Dowiedziałem się później, że wtargnęli do mieszkania, używając łomu. Szukali mnie w szafie i w piwnicy.

W Warszawie dojazd do biura Regionu Mazowsze zablokował kordon ZOMO. Szukaliśmy bocznej uliczki, w której można by zaparkować. Nasz kolejny przejazd wzbudził zainteresowanie milicji. Jeden z milicjantów wysunął się i podniósł rękę, by nas zatrzymać.

– Jedź! – wrzasnąłem do taksówkarza.

Funkcjonariusz, który chciał nas zatrzymać, odskoczył w ostatniej sekundzie.

– Dokąd teraz? – spytał kierowca z desperacją w głosie.

Trudno było mi się skoncentrować, jednakże po chwili zdecydowałem:

– Do Ursusa.

Wtem przez radio usłyszeliśmy komunikat dla taksówkarzy, by natychmiast wracali do bazy. Poznałem głos. To był Dominik Tyburski, przewodniczący warszawskiego związku taksówkarzy, członek Zarządu Regionu Mazowsze.

Na miejscu uzyskałem pełny obraz sytuacji. Radiooperatorzy w dyspozytorni otrzymywali meldunki od kierowców z całej Warszawy. W mieście było mnóstwo milicji. Funkcjonariusze włamywali

się do prywatnych mieszkań i wywozili ludzi furgonetkami. Wielu zabrano w pidżamach.

W pewnej chwili do pomieszczenia przyprowadzono dziesięcioletniego chłopca. Był cały czerwony, nie mógł złapać oddechu.

– Przyszli po mojego tatę, wyważyli drzwi! Mama kazała mi tu przybiec i powiedzieć – wykrzyczał.

Jego ojciec był członkiem Zarządu Regionu Mazowsze. Operator skontaktował się z nim przez radio i ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

Rankiem 13 grudnia poinformowano nas, że komisarz wojskowy jest w drodze do bazy. Nie wiedzieliśmy, gdzie pójść. Jedna z operatorek rzucił nam klucze do swojego mieszkania. Podziękowałem kierowcy, który tak wiele dla mnie ryzykował. Poprosiłem go o przekazanie mojemu ojcu, że jestem bezpieczny.

W ciągu dnia milicję stopniowo zastąpiło wojsko w czołgach i samochodach pancernych. Obstawiono główne ulice, place, ronda, fabryki i budynki państwowe. Widziałem żołnierzy próbujących w bramach ostonić się przed wiatrem, zimnem i śniegiem.

Mieszkanko było maleńkie, jednopokojowe. Zajęliśmy z Dominikiem Tyburskim jedyne posłanie. Jerzy Fajkowski, kierowca z biura regionu, nie chciał się położyć, krążył nerwowo, okropnie przeklinając. Żaden z nas nie mógł zasnąć. Zszokowanego Fajkowskiego trudno było uspokoić. Późnym wieczorem wróciła operatorka. Przekazała nowinę – rząd wprowadził stan wojenny. Przyniosła też jakiś list na bibułce, ale nie byliśmy w stanie go odczytać. Schowaliśmy go w drzwiach szafy. Wczesnym rankiem taksówka z najbardziej doświadczonym kierowcą zabrała nas na poszukiwanie tych kolegów, którzy uniknęły aresztowania. Tej pierwszej nocy stanu wojennego ochroniła mnie wspinałomyślność wielu ludzi i szczęśliwe zrzęczenie losu.

Na wstępie zdecydowałem się odwiedzić Ewę Milewicz – była członkinią Komitetu Obrony Robotników i dziennikarkę pracującą dla Regionu

Mazowsze. Kiedy mnie zobaczyła, zbladła jak ściana. Wyszeptała:

– Przed chwilą była tu milicja. Zabrali wszystkich. Za jakiś czas na pewno wrócą, by zgarnąć nowo przybyłych.

Natychmiast wróciłem do auta i poprosiłem kierowcę, by jechał do Huty Warszawa. Ulice były oblodzone, utknęliśmy za wlokącym się autobusem. W pobliżu huty stał milicyjny kordon. Zatrzymaliśmy się, obserwowaliśmy przejazd autobusu przez punkt kontrolny. Kiedy chcieliśmy zawrócić, tylne koła samochodu ugrzęzły w oblodzonej dziurze. Nasze kłopotliwe położenie przyciągnęło uwagę milicjantów. Zauważyła nas także grupa robotników, którzy uprzedzając milicję, pospieszyli nam z pomocą. Mundurowi zbliżyli się do nas uzbrojeni w kałasznikowy. Robotnicy podnieśli tył samochodu i wyciągnęli go z dziury. Kierowca tak gwałtownie przyspieszył, że kilku milicjantów upadło, upuszczając karabiny. Któryś wystrzelił. Na szczęście nikt nie został ranny, ale kiedy odjeżdżaliśmy, jeden z milicjantów kurczowo chwycił klamkę samochodu. Kierowca szarpnął kierownicą. Byliśmy wolni.

– Dokąd teraz? – zapytał.

Naszym następnym celem była fabryka traktorów w Ursusie. Po drodze natknęliśmy się na kolejną blokadę. Zatrzymano nas, poproszono o dowody tożsamości. Milicjanci dokładnie przejrzeni dokumenty moich trzech kolegów i sprawdzili, czy ich nazwiska figurują na liście poszukiwanych. Nikogo nie znaleźli. Sądzę, że byli zaskoczeni, ponieważ wszyscy trzej byli kierowcami. Jeden z oficerów zapytał, czy wszyscy jesteśmy taksówkarzami. Dominik szybko odpowiedział: – Tak, panie władzo – i wyjaśnił, że jedziemy prosto z pracy na wesele kolegi. Milicjant rzucił te trzy

dowody osobiste, już nie żądając czwartego ode mnie, i pozwolił jechać. Miałem szczęście, że nie sprawdził mojego nazwiska.

Nieopodal wejścia do fabryki parkował radiowóz. Przy fabrycznej bramie wyskoczyłem z samochodu i podszedłem do strażniczki. Cichym głosem wyjaśniłem:

– Jestem wiceprzewodniczącym Regionu Mazowsze. Muszę dostać się do fabryki i rozmawiać z Komisją Zakładową Solidarności. Błagam panią o pomoc.

Na dowód, że nie kłamię, pokazałem legitymację członkowską, tak by nie widzieli jej pozostali strażnicy. Spojrzała mi prosto w oczy i zadecydowała:

– Szybko! Do środka!

Większość pracowników była bardzo spokojna. Zaprowadzono mnie na miejsce spotkań komisji. Był tam również Jan Józef Lipski. – Skąd się tu wzięłeś? – zapytałem. On uściśkał mnie i ciepło powiedział:

– Ja potrafię tylko pisać, a teraz moje miejsce jest tutaj, wśród robotników.

– Ale ja, Janie Józefie, co ja mam zrobić?

– Wkroczą tu i szybko nas pokonają. Jeśli sądzisz, że wszystko stracone, możesz z nami zostać, lecz jeśli uważasz inaczej, powinieneś stąd odejść, i to jak najszybciej.

Uściśnęliśmy się bez słowa.

Miedzy budynkami spotkałem Arka Czerwieskiego. Wiedział skądś, że milicja i wojsko są już w drodze do fabryki. Wyprowadził mnie przez tajne przejście – robotnicy przemycali tędy wódkę i skradzione części maszyn. Kilka godzin później został aresztowany; znalazł się w więzieniu, gdzieś w zachodnio-południowej Polsce. Spędził tam półtora roku².

² Strajk w Zakładach Mechanicznych Ursus został rozbity w nocy z 14 na 15 XII 1981. Za kierowanie strajkiem zostali skazani m.in. Jerzy Kaniewski na 3,5 roku więzienia, Arkadiusz Czerwiński i Witold Kaszuba na 3 lata. Przed sądem stanął też Jan Józef Lipski, ze względu na stan zdrowia został jednak wyłączony z procesu, a po kilku miesiącach wypuszczony z aresztu. W czerwcu 1982 za zgodą władz wyjechał na leczenie do Wielkiej Brytanii. Po powrocie został aresztowany 16 IX 1982, uwolniony 22 XII tr. (T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym 1981–1983*, Warszawa 2009, s. 297–298) (red.).

Arek przekazał mnie jakiejś wspaniałej, młodej dziewczynie z długimi jasnobłond włosami i niebieskimi oczami, która zaoferowała mi kryjówkę. Ze względów bezpieczeństwa nie podała jej lokalizacji. Tam spotkałem Edwarda Wieczorka. Skontaktowała mnie także ze Zbyszkim Janasem, któremu udało się wymknąć z Gdańska. Z Czerwieńskim i Janasem – moimi byłymi uczniami – zetknąłem się podczas tworzenia Solidarności; teraz nasze drogi zeszły się po raz trzeci.

Dowiedziałem się od Janasa, że Bujak znalazł schronienie w jednym z gdańskich klasztorów, a ci spośród członków Solidarności, którzy uniknęli aresztowań, nadal wypełniali swoje obowiązki. Postanowiliśmy napisać deklarację. Datowana na 16 grudnia 1981 r. głosiła: „W obecnej chwili nie mamy wielu możliwości [...] Będziemy działać na rzecz uwięzionych [...] walcząc o ich uwolnienie [...] Występujemy przeciwko fizycznej przemocy. [...] Jesteśmy zobowiązani pomóc tym, których bliscy zostali zwolnieni z pracy lub osadzeni w więzieniach, przez co pozbawiono ich środków do życia. Ofiarujemy nasze wsparcie rodzinom, które tego potrzebują [...] Władze związku czekają na waszą pomoc. Liczymy na wasze zaangażowanie. To przesłanie niosą do was prawdopodobnie ostatni członkowie władz związku, którzy uciekli z łapanek i nadal przebywają na wolności”. Podpisaliśmy dokument naszymi nazwiskami; chcieliśmy go uwiarygodnić. Mieliliśmy nadzieję, że podniesie ludzi na duchu.

Następnego dnia dzięki jednej z zachodnich radiostacji słuchacze w Polsce poznali naszą deklarację. Wkrótce opublikowano ją w podziemnych biuletynach³. Po kilku dniach nasi anonimowi opiekunowie związkowi podjęli decyzję o wywiezieniu mnie i Janasa z miasta. Znaleźliśmy schronienie we wsi Gołąbki pod Warszawą, na tamtejszej plebanii. Ksiądz Józef Zawitkowski (od 1992 r. biskup pomocniczy diecezji łowickiej) powitał nas w jakimś zupełnie innym, prawie nierealnym świe-

cie. Na jego pełnej spokoju, rozświetlonej plebanii odzyskiwaliśmy dystans do tego, co się działo na zewnątrz, o czym zresztą co jakiś czas przypominał przetaczający się za oknem czołg. Krystalizowały się nasze plany. Ksiądz Józef, z zamiłowania poeta, miał wspaniałą bibliotekę i złote serce. Nie skąpił nam swojego czasu ani... radia, dzięki czemu mieliśmy bieżące informacje z radiostacji zachodnich.

Noce spędzaliśmy z Janasem w podziemiach kościoła, niczym szczury. Kilka dni później miejscowy milicjant ostrzegł księdza, że ktoś doniósł o miejscu naszego pobytu. Przed wyjazdem oddałem zakonnikom swoje dokumenty Solidarności z prośbą o ich ukrycie. Pełne strachu, przekazywały je później jedna drugiej, aż w końcu spaliły.

Opuściliśmy stosunkowo spokojną plebanię i wyruszyliśmy w mroźną noc do nowego schroniska. Śnieg na polach sięgał nam za kolana. Nasz przewodnik, starszy człowiek, chciał ominąć uczęszczane drogi i wioski. Z trudnością pokonywaliśmy głębokie zasy, kryjące bruzdy pozostałe po jesiennej orce. Co piętnaście minut zmienialiśmy się z Janasem miejscami w szeregu, kolejno przecierając szlak. Po pewnym czasie musieliśmy przekroczyć szosę, kiedy nagle zajaśniały samochodowe reflektory. Padliśmy w śnieg. Przed nami zatrzymał się sznur ciężarówek, wysypali się z nich żołnierze. Byli tak blisko, że słyszeliśmy ich rozmowy. Bałem się, że za chwilę rozpoczną poszukiwania. Z ulgą zobaczyliśmy, że stanęli wzdłuż pobocza i zaczęli sikać. Dziękowaliśmy Bogu za głęboki śnieg i słabą widoczność.

Parę godzin po północy dotarliśmy do położonej na peryferiach Babic ustronnej kryjówki, otoczonej wysokimi krzewami. Nowo zbudowany, jeszcze nieotynkowany dom był prymitywny, z jednym pokojem ogrzewanym małym piecykiem na koks. Na wyposażenie składały się dwa łóżka polowe i wiadro z zamrożoną wodą. Brakowało nam radia. Rankiem nasz leciwy przewodnik przyniósł

³ Fragmenty oświadczenia Janasa i Kulerskiego wydrukowano w piśmie „Fakty” nr 1 w styczniu 1982 (*ibidem*, s. 180) (red.).

jedzenie. Trzeciego dnia zaświeciło słońce, zrobiło się odrobinę cieplej i Janas podjął decyzję o powrocie do Warszawy. Zostałem sam.

Następnego wieczoru musiałem przenieść się do jeszcze mniejszego i zimniejszego pomieszczenia na piętrze. Zbliżało się Boże Narodzenie i rolnicy przygotowywali wieprzowinę dla jakiegoś wpływowego członka partii, który zresztą przyjechał im pomagać. Pracowali nocą; ubili świnie i w piwnicy dzielili mięso. Ubój był nielegalny. Prawo zobowiązywało rolników do sprzedaży żywca państwu; w 1981 r. większość sklepów w Polsce świeciła pustymi półkami. Rozbawiło mnie, że razem z partyjnym oficjелеm w jednym budynku ukrywamy się przed milicją, choć on nawet o tym nie wie.

Musiałem siedzieć za drzwiami – na wypadek, gdyby ów partyjniak lub wspólnik gospodarza zajrzał do pokoju. W pomieszczeniu otwór okna był zabity deskami. Aby mnie odkryć, należałoby zajrzeć za drzwi, co wydawało się mało prawdopodobne. Miałem się nie ruszać.

Rozumiałem obawy rolnika, ale nie jestem pewien, czy on rozumiał moje. Oni mieli światło, ciepły piecyk, gorącą herbatę, jedzenie, wódkę i zajęcie. Ja siedziałem beczynn timer na krześle w wyziębionym pokoju jak w lodówce. Ale, jak sądzę, było to zgodne z doktryną Lenina: „Kto nie pracuje, ten nie je”. To była jedna z najdłuższych i najzimniejszych nocy w moim życiu. Doceniłem pokój, z którego uciekł Janas.

Na szczęście po paru dniach wróciłem na plebanie w Gołąbkach. Ksiądz Józef czekał na mnie w drzwiach, dał gorącą herbatę, dwie aspiryny i pokazał drogę do łóżka. Spałem do kolacji. Nasz posiłek przerwało wejście kolejarza. Jak się okazało, był to Bujak – w kolejarskim mundurze, miał małe wąsy, brodę i okulary. Wyglądał jak socjalista na rycinie z początku stulecia. Ksiądz Józef otworzył butelkę wina.

Ucieczka Bujaka w przebraniu kolejarza odbiła się głośnym echem w początkującym podziemiu.

Konieczna była zmiana wizerunku. Otrzymaliśmy od księdza dwie torby pełne używanych ubrań. Przyniósł je z Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, rozdzielającego dary otrzymane z Zachodu.

Do tej pory nosiłem ciepłe swetry i krótkie włosy, nie dbałem o wytworny wygląd. W stanie wojennym zapuściłem włosy i wąsy, nałożyłem okulary. Zacząłem ubierać się elegancko, toteż Michael Kaufman z „The New York Times” w swojej książce z 1989 r. opisał mnie jako „zadbanego, drobiazgowego mężczyznę, który zawsze nosi krawat i marynarkę”⁴.

Bujak wybrał dla siebie znoszoną i wybrudzoną żołnierską kurtkę z drelichu, ale ja zaprotestowałem. Zezłościł się na mnie i powiedział, że pewnie nie chcę go oglądać jako prostego robotnika. Nie zdawałem sobie sprawy z jego kompleksu. Odpowiedziałem:

– Tak, nie chcę, ponieważ Służba Bezpieczeństwa szuka Bujaka – byłego komandosa i robotnika z Ursusa. Nie szukają Bujaka – intelektualisty w krawacie i płaszczu!

Nic nie odpowiedział, ale zmienił decyzję.

Przebrani przenieśliśmy się do gustownie urządzonego domu z okazałym ogrodem. Jego właścicielem był emerytowany pracownik Ursusa – Stefan Brutman, Żyd, który cudem uniknął Zagłady. Teraz on udzielał schronienia. Jego wspaniała żona otoczyła nas subtelną troską. Nie zobaczyliśmy jej ani razu, ale mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy. Niestety, kilka dni przed Bożym Narodzeniem musieliśmy ich opuścić. Na święta przyjeżdżała rodzina. Czekala nas podróż do nowej kryjówki. Za przewodnika służyła nam rumiana blondynka. Przed wyjściem otrzymaliśmy instrukcję:

– Idźcie za mną w odległości 30–50 metrów. Jest ciepło, jeśli ściągnę czapkę, będzie to sygnał, że macie zawrócić. W takim wypadku przyjdę po was później.

⁴ M. Kaufman, *Mad Dreams, Saring Graces. Poland: A Nation in Conspiracy*, New York 1989 (red.).

Byliśmy zaskoczeni jej świetnie przemyślanym planem. Intrygowało nas jej doświadczenie i wykształcenie. Wzbudzała szacunek. Przyszliśmy do samotnego gospodarstwa. To był dom jej rodziców. Dnie spędzaliśmy w jadalni, noce – w znajdującej się obok starej, drewnianej chatce zamieszkiwanej przez babcię. Mąż gospodyni był robotnikiem budowlanym. Rzadko go widywaliśmy. Zazwyczaj był pijany i agresywny, nie opuszczaliśmy wówczas naszego drewnianego schronienia.

Dużo dyskutowaliśmy, omawialiśmy z Bujakiem sytuację. Do tej pory Bujak wierzył w siłę związku. Uważał, że wrogość komunistów zmobilizuje robotników do większego zaangażowania i wzmocni ich opór. Nie podzielałem jego wiary. Dla Bujaka narzucenie stanu wojennego było porażką Solidarności. Moim zdaniem 13 grudnia stworzył jej legendę. Do tego pamiętnego dnia zżerały nas gniew i zawiść, niszczyły egoizm i głupota, rozbiły wewnętrzne spory.

Słabość robotników rozczarowała Zbyszka. Ale ja czułem, że w obliczu zagrożenia i czołgów zrobiono wszystko, co było możliwe. Jak pokazały krwawe wydarzenia w Kopalni Węgla Kamiennego Wujek w Katowicach, komuniści bez względu na cenę byli gotowi złamać wszelki opór. Czynna obrona doprowadziłaby do bezsensownego rozlewu krwi. Nie chciałem się temu przyglądać ponownie. Na własne oczy widziałem drugą wojnę światową. W ciągu ostatnich dwóch stuleci przelano dość krwi. Bujak żałował, że Solidarność nie jest lepiej przygotowana do walki. Ja sądziłem, że komuniści są zbyt silni.

Najważniejsze dyskusje dotyczyły działalności podziemnej. Czerpiąc przykład z czasów okupacji, większość opozycjonistów wydawała się skłaniać ku idei państwa podziemnego. Byłem temu przeciwny. Czasy się zmieniły. Nie mieliśmy rządu na emigracji ani wojskowej struktury. W ciągu czterdziestu lat znaczna część społeczeństwa przywykła do władzy komunistycznej, żyła z nią w symbiozie, czerpała korzyści. Na tych fundamentach nie można budować podziemnego państwa.

Podziemne państwo, jak każda tego typu instytucja, musiałoby posiadać zcentralizowaną strukturę, co nie służyłoby propagowaniu zasad demokratycznych. Ponadto taki układ sprzyja infiltracji; łatwo go rozbić, eliminując najwyższe władze. Dodatkowo idea państwa nasuwa pojęcie machiny przymusu. Bałem się tego. Historycy nie piszą o brutalności i niesprawiedliwościach popełnianych w imię polskiego ruchu oporu. Poznałem tę prawdę, badając wojenną historię Międzyzlesia. Niejednokrotnie przeprowadzano tu pochopne i okrutne egzekucje na niewinnych ofiarach, omyłkowo oskarżając je o kolaborację z okupantem. Co gorsza, pod płaszczykiem zasad bezpieczeństwa, a nawet bez ozdabiania jakimiś pozorami, zdarzały się zwykłe morderstwa, których podłożem była chciwość i waśnie. Poznałem zbyt wiele takich przypadków.

Siłę Solidarności stanowił opór bez użycia przemocy. Co do tego byliśmy z Bujakiem zgodni. Idea państwa podziemnego była jednak popularna, a pomysł jego powtórzenia niezwykle chwytliwy. Zdawałem sobie sprawę, że zaprzeczenie tej koncepcji i jakiekolwiek kontrargumenty na nic się nie zdadzą. Należało zaproponować coś podobnie sugestywnego. Tylko co? Decydujący był tu przymiotnik – podziemne. I skojarzenie z bohaterską przeszłością, i stosowność do nowej sytuacji. Zatem nie „państwo” podziemne, ale – co? Którejś z bezsensownych nocy pojawił się rzeczownik „społeczeństwo” – społeczeństwo podziemne! To brzmiało nieźle, miało pożądane konotacje i względny sens w sytuacji stanu wojennego. Miałem nadzieję, że to hasło umożliwi skuteczne przeciwstawienie się pomysłom rekonstrukcji podziemnego państwa. Chyba spełniło ono swoją rolę, choć później było niebezzasadnie krytykowane.

Trudno było przewidzieć przyszłość. Uważałem, że czas Solidarności dobiega kresu. Wszystko, co możemy zrobić – argumentowałem podczas tych ponurych dni – to robić, co do nas należy do samego końca. Na mój stan ducha rzutowała przeszłość oraz przekonanie o silnej pozycji Związku

Radzieckiego. Polska była przecież częścią sowieckiego imperium.

Bujak interesował się socjologią i naukami politycznymi, ale ja niewiele o tym wiedziałem. Mogłem mu co najwyżej opowiedzieć o Arystotelesie, Monteskiuszu, Johnie Stuarcie Millu. Dyskutowaliśmy o historii Polski XIX i XX wieku, o ludziach, którzy ją tworzyli, mówiliśmy także o biologii – o drzewach, lasach, ptakach i owadach. Unikaliśmy natomiast rozmów o rodzinach. Pewnego razu późnym popołudniem w telewizji zapowiedziano otwarcie szkół po Nowym Roku⁵. Grożono wydaleniem za niestawienie się do pracy. Pomyślałem, że mogę sadzić drzewa wcześniej, niż mi się wydawało! Martwiłem się o żonę, o to, jak zniesie moje zwolnienie z posady nauczyciela. Zajmowaliśmy służbowe mieszkanie, bałem się, że ją eksmitują.

Na święta Bożego Narodzenia mąż gospodyni wrócił do domu w okropnym stanie. Musieliśmy opuścić naszą kryjówkę. Mieliliśmy zaproszenie od księdza Józefa, ale nasza młoda przewodniczka ostrzegła nas, że plebania ze względu na nieustanną inwigilację nie jest już bezpiecznym miejscem. Bujak mimo wszystko zdecydował, że tam pójdziemy. Dziewczyna szła 50 metrów przed nami. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zauważyła jakiś błysk. Natychmiast ściągnęła czapkę i przeszła na drugą stronę ulicy. To był sygnał do odwrotu. Gdy się spotkaliśmy, powiedziała, że w samochodzie na czatach siedzi czterech mężczyzn.

Bujak chciał wracać na plebanie bez względu na zagrożenie. Po godzinie byliśmy na miejscu. Podeszliśmy od tyłu w pobliże samochodu. Zauważyliśmy, że każdemu przejściu pieszego towarzyszy błysk reflektorów pojazdu. W końcu Bujak zrezygnował. Święta spędziliśmy w naszej drewnianej chacie. Nie było nam łatwo, do domu murowanego wchodziliśmy tylko nocą, aby skorzystać z łazienki. Gospodarza wówczas nie było lub leżał pijany.

Była chyba Wigilia, kiedy Ronald Reagan wygłosił przemówienie⁶. Choć jego wystąpienie wzbudziło wiele kontrowersji, nam dodało nieco otuchy. Amerykański prezydent postanowił narzucić Polsce sankcje ekonomiczne.

Tuż przed świętami dowiedzieliśmy się, że ktoś chce z nami omówić możliwość współpracy pozostałych na wolności członków władz Regionu Mazowsze. Wiedziałem, że bezpieczeństwo Bujaka jest ważniejsze niż moje. Trudno było go przekonać, by pozwolił mi iść samemu, ale w końcu przystał na to. Spotkanie zorganizowano w Gołąbkach w trakcie wieczornej mszy. Do zakrystii wszedł młody mężczyzna. Przedstawił się jako Mateusz Matuszewski. Było to pierwsze z wielu spotkań z tym jednym z najlepszych podziemnych działaczy, a moim późniejszym przyjacielem. (Mateusz zamierzał wstąpić do seminarium, ale po wprowadzeniu stanu wojennego odłożył tę decyzję na później. Ofiarował swoją pomoc Solidarności. Po czterech latach pracy w podziemiu zrealizował swój pierwotny zamiar i ostatecznie uzyskał święcenia). Wyjaśnił, że organizuje kwatery dla działaczy podziemia i szuka kontaktów z tymi, którym mógłby służyć pomocą. Zanim się rozstaliśmy, poprosiłem go o przekazanie listu mojemu ojcu.

Kiedy spotkanie dobiegało końca, spostrzegłem przy drzwiach młodą kobietą w czerni. Nie poznała mnie. To była Ewa Kulik, też poszukiwana listem gończym. Ewa zajęła się organizacją biura i kontaktami ze światem zewnętrznym, Mateusz – zakwaterowaniem, kontaktami wewnętrznymi i naszym bezpieczeństwem, Bujaka i moim (Zbyszek Janas miał swoją bazę, swoją sieć). Były cztery podstawowe rodzaje lokali konspiracyjnych: mieszkaniówki, spotkaniówki, „skrzynki” i miejsce wędrownego biura podziemnej Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ Solidarność Mazowsze (którą to nazwę przyjęto jakiś czas później).

⁵ Wraz z wprowadzeniem stanu wojennego zarządzono ferie świąteczne w szkołach i na wyższych uczelniach; placówki te wróciły do pracy na mocy rozporządzenia ministra oświaty z 3 I 1982 (red.).

⁶ 23 grudnia prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił sankcje wobec Polski, a sześć dni później wobec ZSRR (red.).

Nasz powrót do Warszawy został zaplanowany na pierwsze robocze popołudnie po Nowym Roku. Wylądowałem na osiedlu Służew nad Dolinką, w nowych blokach. Rozdzieliliśmy się. Gdzie ulokowano dokładnie Bujaka, nie wiem. Najpierw byłem w mieszkaniu, którego właścicielka „konspirowała” przed nami – była przedwojenną ziemianką, samotną kobietą, pracowała w kiosku Ruchu, ale nie przyznawała się do tego, gdyż uważała to za ujmę. Potem zostałem stamtąd zabrany do innego bloku na tym samym osiedlu, gdzie z kolei sąsiedzi zaczęli podejrzewać coś po krótkim czasie: że się światło pali, ktoś przychodzi na pogaduszki... Też trzeba się było stamtąd wynosić. A tam właśnie z okna miałem widok wprost na cmentarz, na którego tyłach w latach powojennych grzebano w tajemnicy rozstrzelanych w więzieniu mokotowskim, gdzie więziony był m.in. mój ojciec.

* * *

Innej drogi nie mamy to tekst, który powstał z poczucia obowiązku, pod ciśnieniem wydarzeń. Pisałem go w Bubicach po odejściu Zbyszka Janasa. Skoro mnie nie złapali, to muszę coś powiedzieć ludziom, którzy liczyli na Solidarność – uważałem. Oceniałem, że ludzie są bezradni, nie wiedzą, co robić. Tak samo jak ja nie wiedziałem. Byłem przekonany, że ta zabawa szybko się skończy, nasze dni są policzone, policja mnie złapie. Ale tego przecież nie mogłem im powiedzieć... Jestem nauczycielem i wiem, że ludzi trzeba czymś zająć, żeby nie było nieszczęścia. Więc: bierny opór. Absolutnie nie wdawać się w żadne awantury, a jeśli robić, to coś, co dla nich jest najmniej groźne. Tekst jest wynikiem tego rodzaju rozumowania. Zawiera kilka elementów: podkreślenie wagi biernego oporu i wewnętrznej samoorganizacji społeczeństwa; wezwanie do opodatkowania się i stworzenia licznych nieformalnych kas samopomocy; rozbudowa Funduszu Samoobrony Społecz-

nej; tworzenie wydawnictw periodycznych, rozpowszechnianie informacji, znowu – głównie przez małe grupy. W sytuacji takiej, jaka jest, potrzeba działań niewielkich grup. Jest też jednak apel o „żałobę”, noszenie czarnych wstążek, opasek na ubraniach, co było później w dużym stopniu realizowane. To chyba najważniejsze rzeczy, które później zostały szeroko zaakceptowane.

Inny tekst, głośny dzięki swemu tytułowi zaczerpniętemu z Józefa Piłsudskiego: *Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo*⁷, dostaliśmy ze Zbyszkiem od Heleny Łuczywo, pocztą, już za pomocą tzw. sieci, tych „skrzynek” itd. Dostarczono go z krótkim pytaniem: czy można drukować? Bujak do mnie przysłał i pyta, co o tym myślę. Ja mówię: tekst merytorycznie w porządku, ale Piłsudskiego nie powinniśmy cytować, bo to jednak dyktatura, bądź co bądź, a my jesteśmy Solidarnością. No a już absolutnie nie nadaje się to szczeniackie zakończenie: „jeszcze pan nie wygrał tej wojny, generale”; to jest niepoważne. Jeśli nie będzie początku i zakończenia, sam tekst można drukować, nie mam nic przeciwko temu.

Z inicjatywy „Tygodnika Mazowsze” odbyła się narada z udziałem Bujaka i moim. Ustaliliśmy pewne warunki graniczne dotyczące roli „Tygodnika” jako głosu także i RKW Mazowsze. Z tego, iż „Tygodnik Mazowsze” jest związany z RKW, wynika, że to, co „Tygodnik” publikuje, nie może odbiegać od zasadniczej linii przyjętej przez RKW. Z drugiej zaś strony jednak my nie możemy decydować o tym, co się w nim ukaże. Nie ma mowy o cenzurze, ale muszą być uzgodnienia w sprawach zasadniczych.

Wkrótce wybuchła awantura związana z tekstem Jacka Kuronia, który miał być wydrukowany na pierwszej stronie pierwszego numeru „Tygodnika”, a nasze głosy – w następnych numerach. Myśmy się temu przeciwstawili, Bujak nawet zdecydowane weto postawił. Redakcja „Tygodnika” uznała to z ogromną niechęcią. Kuroń był tam nie

⁷ „Tygodnik Mazowsze”, 11 II 1982, nr 2.

tylko guru, ale i męczennikiem, jako że siedział w więzieniu. My zaś ośmieliliśmy się mu przeciwstawić. Odebrane to zostało fatalnie. Stanowisko Zbyszka przypisywano mojej namowie. Ostatecznie *Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia* Kuronia i nasze teksty polemiczne⁸ ukazały się w numerze 8 (z 31 marca 1982 r.), nie na pierwszej stronie, ale w jednorazowym, doraźnie stworzonym „dodatku publicystycznym”, jak sobie wymyślono w redakcji „Tygodnika”.

Tekst, który napisałem w polemice z Kuroniem, nie był przewidziany do publikacji. Uważałem, iż to są sprawy tak ważne, że to Zbyszek jako przewodniczący regionu powinien sam napisać. Dyskutowałem z nim. Ja jestem Malinowski, Kowalski – mówiłem. – Ty jesteś Bujak, przewodniczący regionu, wybrany nie przez zarząd, tylko w ogólnych wyborach, coś to znaczy. Następnego dnia on napisał: podaj mi tezy do tego, punkty główne, które uważasz, że powinny się tam znaleźć. Dobra. Napisałem swój szkic jako podkładkę dla Bujaka, żeby to wykorzystał w swoim tekście. A nazajutrz otrzymuję pocztę, w której Bujak pisze: ja tymczasem sam swój tekst napisałem i wysłałem oba do redakcji. Doszedł do wniosku, że one się nie pokrywają, więc powinny iść razem. I tak się te teksty ukazały.

* * *

Przed 13 grudnia udało się ukryć pieniądze Regionu Mazowsze. Pomógł nam ksiądz Jerzy Popiełuszko. Skarbnikiem regionu był Mirek Odorowski. To jest postać niedoceniana, a ja mam dla niego największe uznanie. Robotnik z Zakładów Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luksemburg, wspaniały, godny, prawy, szlachetny człowiek, daleki od wszelkich kombinacji. W dodatku niebywale rzetelny, a także urodzony konspirator.

Około 10 stycznia 1982 r. odbyło się wielogodzinne spotkanie czołowych działaczy warszawskiego podziemia Solidarności. Nie jestem już w stanie przypomnieć sobie, gdzie się ono odbyło. Uczestniczyli w nim Zbigniew i Zofia Romaszewscy, Bujak, Janas i ja, może ktoś jeszcze. Događano się z Romaszewskimi w sprawie uruchomienia Radia Solidarność⁹, przedyskutowano sprawę druku „Tygodnika Mazowsze”, ustalono bojkot prasy rządowej, gaszenie świateł trzynastego dnia każdego miesiąca. To spotkanie zapoczątkowało pewien ciąg kontrowersji między Romaszewskimi z jednej strony a Bujakiem i mną z drugiej. Pośredniczyć dość skutecznie czasem próbował Janas. U podstaw tych kontrowersji leżało zupełnie inne patrzenie na sprawę podziemia. Romaszewscy parli do akcji bezpośredniej, byli zwolennikami strajku powszechnego z czynną obroną zakładów pracy i z przygotowaniem się do tej czynnej obrony. Oczywiście to pociągało za sobą organizowanie w określony sposób łączności oraz struktur w zakładach pracy; jest inny cel, wymaga innych środków, innych sposobów działania. Natomiast patrzenie na podziemie jako na siłę stosującą opór bierny i bez użycia przemocy, czyli stawiającą na długotrwałe erodowanie systemu opresji bez jego gwałtownego obalenia, wymaga innych celów pośrednich i innych środków. To był konflikt zasadniczy. Kiedy ja przedstawiłem swój pogląd, Romaszewski nie wytrzymał i mnie ofuknął: – Bo ty jesteś zgniły pozytywista. Wolność wymaga niekiedy podłania krwi. – To podlewaj ją swoją własną – odpowiedziałem wówczas.

Dalszy ciąg tego konfliktu nastąpił po dłuższym czasie, kiedy Romaszewski opracował projekt trzystopniowej struktury organizacyjnej regionu: Regionalna Komisja Wykonawcza, komitety międzyzakładowe i komisje zakładowe. Kontaktu bezpośredniego między komisjami zakładowymi

⁸ *Walka pozycyjna* Zbigniewa Bujaka i *Trzecia możliwość* Wiktora Kulerskiego (red.).

⁹ Zofia i Zbigniew Romaszewscy organizowali je od lutego 1982. Pierwszą audycję nadano 12 IV 1982 (red.).

(czyli między załogami) a komisją regionalną nie przewidywał. Był kontakt tylko przez międzyzakładowe komisje w jedną stronę i w drugą. Ja od razu powiedziałem, że w takim modelu do RKW od zakładów i do załóg od RKW będzie docierało tylko to, co puszcza komisje międzyzakładowe, to zaś znaczy, że RKW stanie się ich bezwolnym zakładnikiem. Wypowiedziałem się zdecydowanie przeciwko temu. Mediować próbował Janas, ale w tej sprawie nie dało się zrobić nic pośredniego.

Romaszewski organizował MRKS¹⁰ i inne struktury międzyzakładowe – w takim celu, w jakim on to widział. Przyciągały one „pistolety”, ludzi akcji bezpośredniej. Jeden z takich „pistoletów” okazał się zresztą agentem-prowokatorem bezpieczeństwa. Sławomir Miastowski kilkakrotnie próbował spotkać się z Bujakiem. Zbyszek także naciskał, by to spotkanie zorganizować. Były komandos miał słabość do „pistoletów”. Ponieważ nie udało się zdobyć jakichkolwiek informacji o Miastowskim odnoszących się do czasu sprzed wprowadzenia stanu wojennego, staraliśmy się – Ewa Kulik, następnie z pomocą Mateusza Matuszewskiego, a wreszcie i moją – nie dopuścić do takiego spotkania, co się udało. Miastowski doprowadził do aresztowania Zbyszka Romaszewskiego i jego współpracowników oraz rozbicia MRKS. W podziemiu kolportowane były potem ostrzeżenia przed nim, zawierające jego fotografię.

Konflikt ten miał (jak dzisiaj na to patrzę) także i zabawną stronę. Mianowicie Zofia Romaszewska, nie będąc członkiem władz regionu, zawsze ze Zbyszkim przychodziła na zebrania i była dość aktywna (aktywna to jest eufemizm). Kiedy

dochodziło do kontrowersji, do dyskusji między Romaszewskim a Bujakiem, mną czy Janasem, to Romaszewska mówiła: wszystko jedno, wy i tak powinniście nas słuchać, bo jesteśmy starsi, mamy doświadczenie korowskie. Sytuacje były niezręczne, wreszcie Bujak zażądał od Romaszewskiego, żeby przychodził sam: „Ty jesteś członkiem władz, nie Zosia”. No i tak się w końcu ułożyło.

Byłem przeciwnikiem tworzenia jakichś nowych związkowych władz podziemnych. Uważałem, że jeśli mamy przewodniczącego wybranego w wyborach powszechnych, demokratycznych, tajnych, to mamy prawowitą władzę regionu. Możemy jako kadłubowe prezydium zarządu go wspierać. Nie widziałem potrzeby tworzenia struktury samowolnej, za jaką zresztą uważałem także RKW. Poza tym bałem się tych struktur ze względu chociażby na stanowisko prezentowane przez Romaszewskich. Samowolną strukturę łatwo stworzyć, ona sobie zdobędzie jakieś uznanie, a gdzie zaprowadzi ludzi, to już kompletnie nie wiadomo. Dlatego m.in. przeciwstawiłem się idei Romaszewskich – państwa podziemnego. Oni obstawali przy tym. Ja mówię: państwo podziemne to są struktury także przemocy. Strajk powszechny jest czynną obroną zakładów pracy, czyli odwołaniem się do przemocy, i państwo podziemne do tego... I jeszcze to zdanie Romaszewskiego, że wolność wymaga krwi... Strasznie się tego bałem.

Pierwsze informacje czy teksty firmowane przez OKO¹¹, chyba jedną z pierwszych samowolnych struktur, które do nas dotarły, wzbudziły ogromną nieufność. Napisane prymitywnym językiem, takim, którym operowali komuniści, poza tym

¹⁰ Międzyzakładowy Robotniczy Komitet Solidarność, największa podziemna struktura na Mazowszu (tworzyli ją przedstawiciele 63 zakładów), powstał ostatecznie 24 IV 1982. Zorganizowany był pionowo, w systemie piętkowym. Liderem MRKS był Adam Borowski (red.).

¹¹ Ogólnopolski Komitet Oporu, utworzony w grudniu 1981, po zakończeniu strajków w Trójmieście, przez Andrzeja Konarskiego i Eugeniusza Szumiejkę – działaczy Solidarności z Wrocławia, którzy ukrywali się wówczas w Gdańsku. Apele OKO podpisywano pseudonimem „Mieszko”. Jego liderzy usiłowali zbudować strukturę podziemną, jednak rzeczywistą działalność jako krajowe kierownictwo podziemnej Solidarności rozpoczęła dopiero Tymczasowa Komisja Koordynacyjna, utworzona 22 IV 1982 na spotkaniu w Warszawie. W skład TTK wchodził: Zbigniew Bujak (reprezentował region Mazowsze), Bogdan Lis (region gdański), Władysław Frasyński (region dolnośląski), Władysław Hardek (region małopolski), Eugeniusz Szumiejko (jako członek Komisji Krajowej) (red.).

była to inicjatywa anonimowa. To po prostu cuchnęło na odległość. Kiedy Eugeniusz Szumiejko zjechał do Warszawy, chciał się spotkać z Bujakiem, to ja poszedłem na spotkanie z nim, by nie narażać Zbyszka na ryzyko. Szumiejko był wtedy w mundurze kolejarskim, ubrany dokładnie tak jak Bujak. Poszedłem ze stanowiskiem uzgodnionym z Bujakiem, które się sprowadzało do tego, że do niczego się nie zobowiązujemy, przyjmujemy propozycje do rozważenia. Bierzymy namiary na kontakty, ale nie dajemy swoich.

* * *

Działalnością charytatywną zajmował się w RKW Janas. W komisjach zakładowych wiadano, kto został internowany albo wyrzucony z pracy, czym rodzinom trzeba pomóc. Niezależnie od akcji kościelnej pomoc dla kolegów organizowano w komisjach zakładowych. Nie musiały one odprowadzać składek do regionu Mazowsze; całość składek wpływających od członków Solidarności była przeznaczona na działalność komisji zakładowych, a głównie na pomoc dla rodzin osób internowanych i dla wyrzuconych z pracy. Janas to koordynował; ustalał wytyczne, zbierał informacje. Wiele komisji zostało rozbitych albo się rozpadło, wiele nie było w stanie odnaleźć i obsłużyć wszystkich osób, które wymagały pomocy, w innych z kolei mogło być mało potrzebujących i należało przesunąć środki. Uświadomiliśmy sobie, że jako komisja regionalna nie jesteśmy w stanie wszystkiemu podołać. Nie chodziło o potrzeby finansowe, tylko o rozpoznanie i dotarcie do ludzi, zadbanie, żeby systematycznie otrzymywali pomoc. Okazało się, że siły RKW są zbyt szczupłe, mamy zbyt mało środków, a poza tym jest zbyt duże ryzyko prowadzenia tak szerokiej działalności w sposób zcentralizowany.

Ponieważ była już rozwinięta akcja prowadzona przez Kościół, a kierował nią biskup Władysław Miziołek – który poprzednio pracował w parafii w Międzyzlesiu, uczył mnie religii i ministrantury – chcieliśmy, by komisje zakładowe przekazywały Kościołowi swoje środki przeznaczone na pomoc charytatywną, a Kościół poprzez swoje struktury docierał do potrzebujących. Znałem biskupa Miziołka, zostałem więc do niego wydelegowany. Przyjął mnie na kolacji w swojej siedzibie przy ulicy Książęcej w Warszawie. Pytał mnie o rodzinę, o ojca, bo znali się dobrze. Przy okazji przedstawiłem tę sprawę. Od tego czasu RKW przestała się zajmować pomocą charytatywną. To mogło być zimą z 1982 na 1983 r.

Częste były dyskusje, w jakim stopniu wolno nam narażać ludzi. Na drugim miejscu było pytanie, jak ludzie odpowiedzą na nasze apele. No bo my formułujemy wezwanie do udziału np. w manifestacji – i potem co? Pałowanie tych ludzi? Wyrzucanie z pracy? W jakiej mierze później możemy im pomóc? Ludzie nam powiedzą: wam łatwo, siedzicie w podziemiu, wy nie pójdziecie, a my karki będziemy nadstawiali... To było przedłużenie kontrowersji z Romaszewskimi. Oni tych oporów nie mieli: idziemy na zwarcie, czynna obrona zakładów pracy, wolność wymaga podlewania krwią...

Wszelkie decyzje podejmowaliśmy z wielkim ciężarem odpowiedzialności i właściwie z wielkimi oporami, jakby wbrew sobie. Tak trzeba. Z drugiej strony – nie my za to płacimy...

Dopóki Romaszewski był w RKW, dopóki nie było wpadki MRKS i Radia Solidarność¹², dopóty prowadził kompletnie niezależną od RKW politykę, realizował swoje cele, a nie cele RKW. Więcej, byliśmy świadomi, że sabotuje RKW; robi wszystko, żeby kontakt między komisjami zakładowymi a RKW szedł pośrednio. Radio Solidarność, wchodzenie na wizję TVP – to wszystko były przygo-

¹² MRKS został rozbity przez SB latem 1982. 29 VIII 1982 aresztowano Zbigniewa Romaszewskiego, następnie sądzono go wraz z żoną i siedmioma współpracownikami w procesie Radia Solidarność i 17 II 1983 skazano na 4,5 roku więzienia (red.).

towania na ewentualność strajku generalnego. Jeszcze poważniejszy był narastający z czasem problem sprowadzający się do pytania: czy podziemie ma być zmonopolizowane przez jedną, hierarchiczną organizację, czyli NSZZ Solidarność, czy ma mieć charakter pluralistycznego, zdecentralizowanego ruchu społecznego, w którym Solidarność jest tylko jedną z wielu struktur, być może największą i najważniejszą, nawet pełniącą „przewodnią rolę”, ale nie jedyną organizacją podziemną. Region Mazowsze bronił drugiej z tych koncepcji, być może ze względu na znaczne zróżnicowanie wielorakich grup działających w podziemiu i nader ceniących sobie samodzielność i niezależność właśnie. Kierownictwa pozostałych regionów opowiadały się za pierwszym modelem, co doprowadziło do wydarzeń niemających precedensu w podziemiu i dotychczas mało znanych, a być może nawet chowanych wstydliwie.

Otóż wiosną 1985 r. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna pod naciskiem Mazowsza zawarła umowę o współpracy z niezależnymi komitetami oświaty, kultury, nauki i zdrowia. Ale już jesienią tegoż roku nowojorski „Nowy Dziennik” opublikował oświadczenie TTK datowane na 4 października, które w istocie rzeczy było próbą odcięcia wszelkich niezależnych od związku struktur podziemnych od pomocy, jaką otrzymywały bezpośrednio z Zachodu. Oświadczenie to było fałszywką. TTK w rzeczywistości takiego oświadczenia nie wydała. Ale zarazem odmówiła zdementowania go, mimo że osobiście interweniowałem i tego się domagałem. Na domiar złego niektórzy z członków TTK obciążali Bujaka odpowiedzialnością za to, że w kraju fałszywkę z „Nowego Dziennika” przedrukował „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”. Rzeczą nie do uwierzenia okazało się to, że tak szeroko kolportowane czasopismo jak „PWA” może działać poza kontrolą przewodniczącego regionu¹³.

* * *

Nie przypuszczałem i nie wierzyłem, że podziemie przetrwa tyle lat. Na przedwiośniu 1982 r. mieliśmy spotkanie z Andrzejem Stelmachowskim, Janem Olszewskim i Andrzejem Grabińskim. W przeciwieństwie do Bujaka byłem sceptyczny co do perspektyw czasowych naszej działalności. Kiedy powiedziałem, że schwytanie nas jest kwestią dni, może tygodni, Stelmachowski zaoponował. Zapytałem wówczas, ile nam daje czasu. Po chwili zastanowienia odparł: – No, parę miesięcy, może nawet kilka. Żartem później powiedziałem na którymś zebraniu RKW, że myślimy o tych różnych strukturach, akcjach, mieszkaniówkach, spotkaniówkach, a powinniśmy pomyśleć, jak by tu jakiś gustowny cmentarzyk w podziemiu zbudować. Bo możemy do śmierci tkwić w konspiracji. Bujak natomiast twierdził, że to się szybko przewali.

Między innymi dlatego te grupy specjalne, broń, uderzenia na manifestacje rządowe przygotowywał w głębokiej tajemnicy przede mną i wszystkimi innymi, bo wiedział, że napotka nasz opór. Mówiłem: Zbyszek, pomyśl, jedynym naszym atutem, który przynosi nam korzyść za granicą, jest to, że walczymy bez przemocy. Gdy się pojawi coś takiego, jesteśmy skończeni, już nie dostaniemy pomocy. Zdawał sobie z tego sprawę, a z drugiej strony jego serce komandos... Przecież kiedy MRKS został rozwalony przez Służbę Bezpieczeństwa, Teoś Klincewicz właśnie organizował te grupy specjalne. O tym, że grupy specjalne dysponują jakąś bronią, dowiedziałem się z listu zawierającego wykaz i specyfikację jednostek broni znajdującej się w posiadaniu tych grup. List trafił do mnie zamiast do Zbyszka, w czasie kiedy on został pierwszy raz złapany przez milicję i uciekł (na początku 1983 r.), po czym przechodził okres kwarantanny. Planowano ataki na rządowe manifestacje z użyciem petard, dymnych świec i tym

¹³ Por. „Kultura” 1987, nr 4, s. 99–101 (red.).

podobnych rzeczy, choć oczywiście bez użycia broni palnej. Zagroziłem wówczas Zbyszkowi, że zrezygnuję i wycofam się z podziemia, jeśli nie zrobi z tym porządku. Obiecał, że zrobi.

Uważałem, że tak jak my działamy w podziemiu, tak na powierzchni działa Lech Wałęsa i wielu innych. Były to role różne, ale równie konieczne, uzupełniające się. Nie naszą sprawą jest myśleć o rozwiązaniach politycznych, kompromisowych, w przyszłości. Naszą sprawą jest wywierać nacisk, z którego skorzystają ci, co będą negocjować. Nie możemy się zamieniać rolami. Gdy były sygnały od strony rządowej, reżimowej, propozycje spotkań, porozumienia, Bujak mówił: od tego jest Wałęsa, nie my. Bo to mogło być granie na podziały wewnętrzne. My jesteśmy od tego, żeby robić podziemną robotę, która najbardziej uwiera reżim, koniec, kropka.

* * *

Pierwsze pieniądze z Zachodu przyszły nie wiem od kogo i o mało co nie zostały wyrzucone. Chyba wiosną 1982 r. dostałem paczkę z Zachodu, niedużą – przyrządy do golenia, m.in. spory plastikowy pojemnik kremu do golenia. Ponieważ używam maszynki elektrycznej, nie korzystałem z tego kremu. Nawet naciskałem na pojemnik, myślałem: i tak nie leci, chyba zepsute. Postawiłem na półeczce w łazience u gospodarzy, u których mieszkalem, bo pojemnik był bardzo ładny. Stało to ze dwa, trzy lata. Potem ta osoba, u której mieszkalem, została łączniczką, przychodzi kiedyś i mówi: – Wiesz, co znalazłam? Nie leciało nic z tego pojemnika, ale pomyślałam – rozkróję go. A tam zwinięte banknoty były.

„Zespół mieszkaniowy” zajmował się sprawami bytowymi – szukaniem mieszkań dla nas, na biuro, na spotkania i „skrzynki”, a także zaopatrzeniem. Kierował nim Mateusz Matuszewski. Rodzi-

nom, u których mieszkaliśmy, należało dostarczać żywność i inne artykuły pierwszej potrzeby, nawet coś z ubrania. Wtedy wszystko było na kartki. Trzeba było najpierw kartki zdobyć albo mieć znajomości w sklepach, żeby coś załatwić poza kartkami. Ludzie, którzy się tym zajmowali, mieli swoje zespoły; jedna osoba nie byłaby w stanie tylu mieszkań pozyskać. Wydzieleni byli łącznicy do kontaktów między biurem a nami, Zbyszkiem a mną. Inni łącznicy obsługiwali „skrzynki”, zupełnie inni zajmowali się wynajdywaniem i pozyскиwaniem mieszkań na różne cele. Łącznicy, którzy kontaktowali się z nami i z biurem, prowadzili nas na spotkania i z powrotem.

Mateusz pracował z nami od grudnia 1981 r., aż stał się zbyt znany w Warszawie i musiał odejść. Tyle osób znał i tyle spraw załatwiał, że na rok czy na półtora przed końcem konspiracji zdecydowaliśmy się z niego zrezygnować. Zastąpił go pracownik Politechniki Warszawskiej Jacek Gutowski. Jego późniejsza żona, Krystyna, doktor filozofii, stworzyła i prowadziła biuro oraz całą sieć łączności OKN-a¹⁴. W 1982 r. przymieszkiwałem u niej. Któregoś dnia oświadczyła, że chce nie tylko od czasu do czasu służyć swoim mieszkaniem, ale czynnie pracować dla podziemia. Zazwyczaj w takich przypadkach starałem się uświadomić potencjalne zagrożenia, a ponieważ była samotną matką, to w przypadku uwięzienia należało się liczyć z umieszczeniem jej dziesięcioletniej córki Pyzy w domu dziecka. Niektóre osoby po takiej rozmowie rezygnowały. Krystyna zaś odparła, że decyzję przemyślała. W razie potrzeby jej bliska koleżanka zajmie się Pyzą, ta zaś również wie, co miałaby zrobić w takim przypadku. Zaimponowała mi. Z tak przygotowaną decyzją i determinacją spotkałem się po raz pierwszy. Jakiś czas potem Krystyna wróciła do domu zbyt późno po służbie dla podziemia i zastała mieszkanie puste. Nie było nie tylko Pyzy, ale także wszelkich przedmiotów

¹⁴ Oświata-Kultura-Nauka, konsorcjum, do którego należały: Zespół Oświaty Niezależnej, Komitet Kultury Niezależnej, Społeczny Komitet Nauki, Społeczny Komitet Zdrowia (red.).

związanych z Solidarnością – niezależnych wydawnictw, plakatów, opasek strajkowych, proporczyków, odznak okolicznościowych i pamiątkowych. Dziecko nie mogąc doczekać się powrotu matki, starannie wybierało całą nielegalną rzecz i wyniosło do sąsiadów, a samo udało się na drugi koniec miasta do mieszkania przyjaciółki matki.

Mieliśmy zasadę: dwa tygodnie w jednym mieszkaniu – i dalej, i dalej. Tak samo spotkania RKW robiło się w różnych miejscach. Dość długo – za długo – spotkania organizowano u Zbigniewa Lewickiego; nawiązały się więzi towarzyskie, nasi chłopcy zostawali tam do rana – i pili. To zresztą była przyczyna też moich nie najlepszych stosunków z kolegami. Gospodarze, u których mieszkalem, denerwowali się moją nieobecnością, dlatego starałem się najpóźniej o ósmej wychodzić ze spotkań, żeby w porę wrócić na kwaterę. No i oczywiście nie piłem.

Na tym spotkaniu u Lewickiego, po którym wpadli, w maju 1986 r. – a było to spotkanie o charakterze towarzyskim – byli Jacek Kuroń, Ewa Kulik, Konrad Bieliński, Janek Lityński, Zbyszek Bujak. Gdy nad ranem wychodzili, prawdopodobnie policja poszła za nimi jak po sznurku i ich wszystkich w mieszkaniach zdjęła¹⁵. Janka Lityńskiego nie zdjęła tylko dlatego, że nie mógł się dostać do swojego mieszkania i poszedł do innego, rezerwowego, do którego esbecy w końcu też trafili, ale on siedział w wannie i nie otworzył. Psim śwędem się uratował.

To był horror. Czekałem, kiedy esbecy przyjdą po mnie. Gdy się tylko dowiedziałem z radia, natychmiast przeniosłem się do mieszkania rezerwowego i całą noc przesiedziałem na balkonie, mając obok siebie ostatnią bieżącą pocztę, przygotowaną zapalniczkę i benzynę, żeby w razie czego te dokumenty spalić. Była ciepła, piękna noc na Ursynowie, latarnie się paliły. Z pobliskiego Lasu

Kabackiego przylatywały sowy. Gdyby próbowali wejść, to z balkonu bym najpierw ich zobaczył i zanim dostaliby się na piętro, to bym zdążył zlikwidować to, co trzeba.

* * *

Cała pomoc materiałowa i pieniądze na poligrafię przychodziły do TKK, a TKK dzieliła to na regiony. Ale w regionie też trzeba było to podzielić. Sprawami poligrafii Mazowska zajmował się Konrad Bieliński; musiał się orientować, jakie są potrzeby, a później rozdzielić pomoc poligraficzną i powielacze do poszczególnych wydawnictw, zakładów, komisji zakładowych, gdzie drukowano gazetki. A jeszcze zgłaszano zażalenia, bo jedno wydawnictwo drugiemu coś tam ukradło...

Region swoich publikacji sam nie wydawał. Oświadczenia i komunikaty RKW publikował „Tygodnik Mazowsze”. Na nasz użytek przygotowywano przeglądy prasy, radia czy telewizji – żebyśmy się orientowali w sytuacji. Wyciągi parostronicowe co kilka dni dostawaliśmy z zewnątrz.

Poruszaliśmy się po mieście autobusami, tramwajami lub taksówkami. Nie mieliśmy współpracowników wśród taksówkarzy, to byłoby zbyt niebezpieczne. Najbardziej eksponowane osoby – Ewa Kulik, Konrad Bieliński, Janek Lityński, Janas, Bujak, ja – nie jeździły w zasadzie samochodami prywatnymi.

Mam skoroszyt, który Bujak mi przekazał, gdy tylko wyszedł z aresztu, żebym schował, bo to „najbardziej tajna z tajnych rzeczy”. Tam są jakieś schematy, rysunki techniczne. Jego *idée fixe* było nawiązanie łączności satelitarnej z zagranicą. Takie urządzenia wykorzystywano na Zachodzie w wojskowości. Był taki zespół techniczny ludzi z politechniki, dość późno zorganizowany, który działał pod kryptonimem „Armenia”¹⁶. Zajmował

¹⁵ 31 V 1986 aresztowano Zbigniewa Bujaka, Ewę Kulik i Konrada Bielińskiego. Postawiono im zarzuty prokuratorskie, jednak do procesu nie doszło. Wypuszczono ich z więzienia na podstawie amnestii we wrześniu 1986 (red.).

¹⁶ Powstał w końcu 1982 r., kierował nim Wojciech Stawiszyński. W 1983 r. przejął kierowanie Radiem Solidarność (red.).

się konstruowaniem sprzętu dla Radia Solidarność, rozrzucaniem ulotek, a także próbami realizacji pomysłów Zbyszka. Pamiętam świetną rzecz, którą oni zrobili. Otrzymywaliśmy radiotelefony marki Kenwood, spore, ale mieszczące się w kieszeni, które nadawały się do podsłuchiwania Służby Bezpieczeństwa. Nastawiały się samoczynnie, gdy na jakichś falach szła wiadomość, to się zatrzymywały. W pewnym momencie SB się zorientowała i przesunęła swoje fale poza zakres tych urządzeń. Więc nasi naukowcy opracowali przystawkę, mniejszą od pudełka zapalek; przyłączało się ją do kenwooda i aparat miał już pełen zakres fal. Ratowało nas to w wielu sytuacjach. To było dramatyczne, kiedy podczas akcji SB słyszeliśmy, co oni nadają, i nic nie mogliśmy zrobić. Esbecy się później kapnęli, że coś takiego mamy, i operacje pochwylenia ludzi robili w ciszy.

Posługiwałem się dokumentami Bogdana Kosińskiego, reżysera, z jego zdjęciem, byliśmy dosyć podobni. Używaliśmy czyichś dokumentów, a nie produkowaliśmy ich. Tego tak dużo nie było potrzebne, tylko parę osób się ukrywało.

Mateusz, który stworzył sieć mieszkań i zaopatrzenia, wcześniej działał przez szereg lat w organizacjach parakościelnych – oazy, neokatechumenat itd. Swoją sieć stworzył dzięki ludziom z tych organizacji. Opierało się to na zaufaniu, na kontaktach nieformalnych. I to się sprawdziło. Mielśmy koleżeński kontrwywiad. Na jedno z zebrań RKW wpada Mateusz: – Musicie się rozejść. Okazuje się, że sympatią jednej z łączniczek został chłopak według wszelkiego prawdopodobieństwa związany z bezpieczeństwem. Sygnał poszedł, zebranie zostało przerwane, rozjechaliśmy się do mieszkań rezerwowych, mieliśmy chyba dwa tygodnie kwarantanny. Łączniczka dostawała pozorowane zadania, żeby się nie zorientowała, i powoli zosta-

ła „odcięta”. Kiedy się sprawdziło, że zaraza nie poszła dalej, to się z tych ludzi później ponownie korzystało.

Między innymi „Armenia” przygotowywała zjazd podziemnej Solidarności, który miał się odbyć na początku lipca 1986 r. Byłem temu pomysłu przeciwny i gdy Zbyszek został aresztowany, odwołałem zjazd, o co – jak mi doniesiono – miał pretensje. Służba Bezpieczeństwa znalazła dokumenty tego przygotowywanego zjazdu, kryptonim „Grobla”, u Ewy Kulik w biurze. Na szczęście do niego nie dopuściłem. To było takie propagandowe zadęcie, żeby powiedzieć: odbył się zjazd podziemnej Solidarności. Przewidywano 60, 80 osób. Mieli to być delegaci podziemnych struktur, a nie ci z 1981 r. Uważałem to za zbyt niebezpieczne.

* * *

To było po śmierci sierżanta Karosa¹⁷. Zima, zimno, nieprzyjemnie. Mieszkałem u Ewy i Jacka Kolipińskich, na parterze w bloku, ulica Anieli Krzywoń, na Jelonkach. W odległości stu metrów był wykop z torami kolejowymi, między nim a osiedlem bardzo długi skwer, a z drugiej strony osiedla ulica, na której odbywała się oblawa we wszystkich blokach. Milicjanci wchodzili na piętra, do każdego mieszkania. Synek gospodarzy wyszedł do szkoły o wpół do ósmej, zaraz wrócił i mówi, co się dzieje. Gospodarz zdecydował, że musimy opuścić mieszkanie; matka, dwoje dzieci, niebezpiecznie. Wiedziałem, że to nie ma sensu, bo na ulicy zatrzymują autobusy i wszystkich legitymują. Szukali zabójców Karosa. Przy okazji bimbrownię gdzieś wykryli, wynosili sprzęt. Myślę tak: nie mogę zostać, nie chcę iść z tym gospodarzem na ulicę, a on oczywiście mnie nie wypuści samego, bo mu niezręcznie. Mieli wielkiego psa, żółtej maści.

¹⁷ 18 II 1982 w Warszawie w tramwaju podczas próby rozbrowienia został postrzelony milicjant Zdzisław Karos, po kilku dniach zmarł. Na początku marca ujęto osoby związane z tym wydarzeniem, w sierpniu 1982 toczył się ich proces. Zapadły najsurowsze w stanie wojennym w regionie wyroki, m.in. Robert Chechłacz został skazany na 25 lat więzienia, Tomasz Łupanow na 13 lat, Stanisław Matejczuk na 6. Sprawa została wykorzystana propagandowo przez władze do oskarżeń Solidarności o terroryzm (T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie...*, s. 244–245) (red.).

Wziąłem na smycz tego psa – i na spacer. Wpół do ósmej, zima, niby jasno, ale niebo zachmurzone. Obława się skończyła grubo po zmroku, o siódmej lub ósmej wieczorem. Ja cały czas na mrozie, w śniegu, z tym psem spacerowałem. Gdy szliśmy w kierunku domu, to pies rwał do przodu, a gdy mijaliśmy blok, dom za nami zostawał, ciągnął do tyłu. Musiałem go krótko trzymać. Ręka mnie bolała, zmieniałem, żeby nie było widać, że się z nim szarpię. Ciężka, fizyczna praca... Mimo mrozu byłem mokry od potu. Inni wychodzili z pieskami na piętnaście minut i wracali, potem drugi czy trze-

ci raz wychodzili, a ja ciągle spaceruję. Zwrócili na to uwagę zomowcy. Patrzyli, machali rękoma, ja też zamachałem, a jak schodzili wieczorem do samochodów, to gwizdali do mnie, wołali, że już koniec, fajrant. Byłem w zielonej kurcie i ze skórzaną torbą na ramieniu, chyba mnie wzięli za swojego, że odcinam drogę ucieczki z bloków do wykopu kolejowego. Później, gdy wchodziłem do pokoju, pies chował się pod łóżko. Ja też byłem wykończony.

Rozmawiał Andrzej Friszke

XX LAT TEMU – KONIEC ZSRR

JAK UPADAŁO IMPERIUM

SŁAWOMIR POPOWSKI

publicysta, wieloletni korespondent w Moskwie: 1985–1990 Polskiej Agencji Prasowej, 1991–1994 i 2000–2003 „Rzeczpospolitej”. Członek redakcji dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”, współzałożyciel i redaktor gazety internetowej „Studio Opinii.pl”. Członek zarządu Fundacji Centrum Prasowe dla Krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

W październiku 1985 r., kiedy jechałem do Moskwy jako świeżo upieczony korespondent Polskiej Agencji Prasowej, Związek Radziecki trzymał się mocno. Właśnie opublikowano tezy na XXVII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Wcześniej, miesiąc po wyborze Michaiła Gorbaczowa na stanowisko sekretarza generalnego, odbyło się plenum kwietniowe KC KPZR, na którym po raz pierwszy padło hasło pierestrojki i przyspieszenia jako sposobu na odnowę pogłębiającego się w coraz większym kryzysie państwa. Nikt wówczas nie przypuszczał, że będzie to początek końca imperium

W 1979 r. kupiłem w Stanach Zjednoczonych głośną wtedy książkę *Trzecia wojna światowa*. Zebrano w niej przygotowane przez generałów z Grupy Planowania Strategicznego NATO scenariusze, które mogą doprowadzić do trzeciej wojny światowej. Rozważano różne możliwości, łącznie ze scenariuszem zaczynającym się od... strajku w Stoczni Gdańskiej. Wszystkie kończyły się upadkiem ZSRR. Ale żaden nie przewidywał, że radzieckie imperium rozpadnie się bez światowego kataklizmu, niejako od środka i w dużej mierze za sprawą tych, którzy chcieli je reformować, tchnąc w nie nowe życie.

Gdy Kraj Rad trzymał się mocno...

Do Polski, poddanej wciąż rygorom stanu wojennego, docierały już pierwsze informacje o zmianach, jakie szykują się w ZSRR, ale były one szczątkowe i bardziej dotyczyły zamiarów aniżeli konkretów.

Więcej oczywiście wiedziało ściśle kierownictwo PZPR. Dopiero po latach ujawniono, że już w listopadzie 1985 r., podczas pierwszego, niejako rutynowego, ale utajnionego spotkania nowego genseka z przywódcami państw Układu Warszawskiego, Gorbaczow powiedział, że odtąd odpowiedzialność musi ponosić każda partia komunistyczna i jej kierownictwo. Słowem, zapowiedział odejście od doktryny Breżniewa, która głosiła, że Moskwa ma prawo interweniować w dowolnym kraju socjalistycznym (także militarnie), jeśli tylko uzna to za konieczne. Z oczywistych powodów informacje te nie wpływały poza ścisły krąg wąskiego kierownictwa PZPR.

Wiosną i późną jesienią 1985 r. dominowało więc raczej przekonanie – nie tylko zresztą w Polsce – że hasła o pierestrojce i przyspieszeniu mają charakter jedynie propagandowy; po śmierci Konstantina Czernienki i objęciu władzy w KPZR przez Gorbaczowa wszystko zakończy się tylko odmłodzeniem radzieckiego Biura Politycznego (co samo w sobie byłoby już rewolucją), reszta pozostanie bez zmian. Co najwyżej – mówiono – można oczekiwać drobnych zmian kosmetycznych i paru spektakularnych posunięć, jak to z wiosny 1985 r., gdy jednym pociągnięciem pióra, bez głębszej analizy skutków ekonomicznych, społecznych i politycznych wprowadzono w ZSRR *suchoj zakon*, czyli częściową, ale jak na tamtejsze warunki bardzo surową prohibicję.

Logika alfabetu

Historycy pewnie jeszcze długo będą się spierać, dlaczego to właśnie Gorbaczow okazał się grabieżcą systemu, który go wyniósł na szczyty władzy.

Znakomitemu rosyjskiemu filozofowi i historykowi Michaiłowi Gefterowi – radzieckiemu dysydentowi „z wyboru”, jak sam się przedstawiał – zadałem w 1992 r. pytanie o moment, w którym rozpoczął się koniec komunizmu w ZSRR. Jego zdaniem było to w 1968 r., kiedy na placu Czerwonym grupka osób zaprotestowała przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Po doświadczeniach stalinowskich po raz pierwszy pojawili się ludzie, którzy przełamali swój strach. A to na nim opierała się potęga i wszechwładza systemu. Od tej chwili mogło być już tylko lepiej. Przybywało odważnych.

Jednak dopiero Michaił Gorbaczow uruchomił mechanizm, który nazywam logiką alfabetu: zaczynasz reformować system, powiedziałeś „a”, więc musisz powiedzieć „b” i „c”. Aż dojdiesz do ostatniej litery w alfabecie, aby się przekonać, że systemu już nie ma.

Gwoli ścisłości: Gorbaczow nie był pierwszym, który chciał reformować Związek Radziecki. Swoją

wersję odgórnych reform, realizowanych pod hasłem dyscypliny i porządku, szykował Jurij Andropow, były szef KGB, który z tej racji znakomicie orientował się, jaki jest rzeczywisty stan państwa, ale nie zdążył rozwinąć skrzydeł; zmarł w lutym 1984 r., zaledwie półtora roku po tym, jak został sekretarzem generalnym KPZR. Jego zasługą jest natomiast wypromowanie sporej grupy młodych działaczy aparatu partyjnego (w tym Gorbaczowa), którzy doszli do głosu po krótkim okresie rządów Konstantina Czernienki.

O tym, że to Gorbaczow pogrzebał system, zdecydował cały splot okoliczności. Nie tylko tych zewnętrznych (spadek cen ropy i coraz droższy wyścig zbrojeń, którego kosztów ZSRR nie był już w stanie udźwignąć), ale także wewnętrznych. Być może te drugie okazały się nawet ważniejsze.

W końcu rządów coraz bardziej tracącego kontakt z rzeczywistością Leonida Breżniewa partyjna nomenklatura dzieliła się na „starców” i „sekreтары polowych”. Ci pierwsi, zasiadający w najwyższych gremiach komunistycznych – zarządzili. Ci drudzy, pracujący w terenie i znacznie młodszy, mieli na głowie praktyczne problemy: walczyli o plany, produkcję, zbiory, ciepło w domach itp. Do grupy tej przez jakiś czas należał Gorbaczow, a także Jegor Ligaczow, no i Borys Jelcyn.

Narastały w tym środowisku nastroje krytyczne i Gorbaczow nie był tu wyjątkiem. Zwłaszcza że dochodziło jeszcze jedno zjawisko: całkowita blokada możliwości jakiegokolwiek awansu pionowego. „Z powodu dynastycznego panowania oligarchii partyjnej – pisze Andriej Graczow, autor jednej z najlepszych biografii Gorbaczowa (wydanie polskie Warszawa 2003) – system cyrkulacji kadrowej został naruszony. Sklerotyczne zatępy, które zatkały naczynia organizmu partyjnego i państwowego, zaczęły zagrażać zawałem nie tylko klientom Centralnego Szpitala Klinicznego, lecz i całemu systemowi”. Kremlowscy bonzowie pod presją dzieci i wnuków zaczęli przekazywać w spadku nie tylko państwowe dacje, ale i wpływowe stanowiska, to znaczy samą władzę. Ulica

ujęła to krótko w popularnej wówczas anegdocie: Czy syn generała może zostać marszałkiem? Nie, bo marszałek też ma syna.

Aparatczyk-reformator

Kiedy więc zaczęła się jego wielka przemiana z posłusznego i lojalnego wobec „góry” aparatczyka w reformatora i burzyciela systemu, którego był dzieckiem? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Sam Gorbaczow, uważający się za przedstawiciela pokolenia „dzieci XX Zjazdu KPZR”, w jednym z wywiadów powiedział o sobie, że w tamtych latach nie był dysydentem, ale raczej rewizjonistą. Jeśli tak, to jego rewizjonizm nie przekraczał granic domu i dyskusji prowadzonych z żoną, absolwentką filozofii, znającą nie tylko dzieła klasyków marksizmu, ale także Sartre’a, Camusa, a nawet Herberta Marcuse’a. A jednak ten ulubieniec i protegowany Jurija Andropowa – który jako szef KGB i sekretarz generalny KPZR całe życie poświęcił tępieniu opozycji i dysydentów – okazał się najskuteczniejszym burzycielem systemu. System, który był przygotowany na obronę przed wrogiem zewnętrznym, okazał się całkowicie bezbronny wobec herezji wewnętrznej. Zwłaszcza jeśli płynęła ona z samego szczytu piramidy władzy.

Gorbaczow jednak wierzył w socjalizm do końca, nawet wtedy, gdy już go demontował. Był święcie przekonany, że błąd tkwi nie w teorii, ale w praktyce; że wystarczy zlikwidować sprzeczność między oficjalną fasadą reżimu i rzeczywistością, a wszystko samo się zmieni. Kto wie, może właśnie ta wiara spowodowała, że nie odstąpił od swoich zasad nawet wówczas, gdy wszystko się już waliło, a kiedy w 1990 r. próbował dokonać zwrotu, okazało się, że jest już za późno.

Początek niczego takiego nie zapowiadał. W marcu 1985 r., gdy Gorbaczow obejmował władzę, dominował optymizm. Praktycznie nie miał już konkurentów. Ostrzejszą walkę o przetrwanie musiał toczyć wcześniej, gdy umierający An-

dropow przekazał swoją wolę, aby jego następcą został właśnie najmłodszy w gronie ścisłego kierownictwa KPZR Gorbaczow. Przegrał wówczas z klanem starych breżniewowców Konstantina Czernienki, którzy z postaniem Andropowa postąpili tak samo, jak kilkadziesiąt lat wcześniej Stalin z testamentem Lenina: wykreślili jedno niewygodne dla nich zdanie.

W 1985 r., kiedy Czernienko spoczął pod murami Kremla, sprawa była już jasna. Główni konkurenci Gorbaczowa – sekretarze Griszyn (Moskwa) i Romanow (Leningrad) – byli już właściwie wyeliminowani. Podczas decydującego, pierwszego po śmierci Czernienki posiedzenia Biura Politycznego Andriej Gromyko – najstarszy w tym gronie – zaproponował Gorbaczowa na nowego szefa partii, a reszta natychmiast pospieszyła z wiernopoddańczymi deklaracjami. Całość była wcześniej uzgodniona z Gromyką, któremu w zamian zaproponowano stanowisko przewodniczącego ówczesnego parlamentu radzieckiego – Rady Najwyższej ZSRR.

Wszyscy byli zadowoleni: aparat partyjny – bo miał dość rządów starców i tęsknił za kimś młodym, kto tchnie życie w zmurszałe struktury. Wojsko i tzw. kompleks wojenno-przemysłowy – bo oczekiwano, że nowy, dynamiczny przywódca rusza skostniałą gospodarkę, sromotnie przegrywając wyścig zbrojeń z Amerykanami. KGB – bo tam pamiętano sympatię i zaufanie, jakim Andropow darzył Gorbaczowa. Wreszcie – inteligencja, której młody Gorbaczow, potrafiący wypowiadać się zrozumiale i bez kartki, sam z manierami inteligenta, otwarty na dialog z ludźmi nauki, kultury i sztuki, wydawał się kimś zupełnie innym niż rządząca dotąd gerontokracja.

Pierwsza ekipa Gorbaczowa

Gorbaczow dobrze orientował się, w jakim stanie znajduje się państwo. Jeszcze zanim został gensekiem, dbał o kontakty ze środowiskiem naukowym. Z jego inicjatywy w 1982 r. zorganizowano naradę, na której z krytycznym referatem wystą-

piła socjolog Tatiana Zaslawska. Ona też razem ze swoim kolegą z Nowosybirskiego akademikiem Ablem Aganbeganem przygotowała 180-stronicowy poufny raport o gospodarce radzieckiej. Zawarte w nim tezy wyznaczyły potem kierunek przemian zapoczątkowanych przez Gorbaczowa.

Ważna była również narada w sprawie postępu technicznego, na której realistycznie oceniono kondycję radzieckiej nauki i jej szanse na wygranie „gwiazdnych wojen”, którymi straszył prezydent Ronald Reagan. Jak się potem okazało, Amerykanie w dużej mierze blefowali, ale zmusili Moskwę do podjęcia porównywalnego wysiłku finansowego, na który nie było jej już stać. To z kolei wzmacniało dążenie do reform (głównie najsilniejszego wówczas kompleksu wojenno-przemysłowego) i – w pierwszym okresie – skutecznie wytrącało z ręki argumenty ich przeciwnikom.

Ale właśnie w tych kręgach Gorbaczow szukał swojego zaplecza intelektualnego. Oprócz Zaslawskiej i Aganbegiana tworzyli je akademicy Leonid Abałkin i Oleg Bogomołow, a także Jewgienij Wielichow, Roald Sagdiejew, Stanisław Szatalin, Georgij Arbatow, Nikołaj Szmielow oraz Nikołaj Pietrakow. Wymieńmy jeszcze Georgija Szachnazarowa, Anatolija Czerniajewa, Wadima Miedwiediewa i Walerija Bołdina (który zdradzi swojego patrona w dniach puczu sierpniowego). To oni, a nie urzędnicy z Komitetu Centralnego, tworzyli nieoficjalne ciało doradcze oraz „centrum mózgowe” ekipy Gorbiego.

Wszystko to stanowiło olbrzymi atut Gorbaczowa, któremu bez większych trudności udało się odsunąć na boczny tor swoich przeciwników (w tym premiera Nikołaja Tichonowa) i zmontować ekipę pierestrojkową. Jako pierwsi zostali wynagrodzeni za wsparcie członkostwem w Biurze Politycznym Jegor Ligaczow, Nikołaj Ryżkow (który szybko zastąpił premiera Tichonowa) i Wiktor Czebrikow, kierujący wcześniej KGB. Przyspieszenia nabrała wówczas także kariera Anatolija Łukjanowa i Borysa Jelcyna, którego odkrył w Swierdłowsku (dziś Jekatierinburg) Ligaczow i namówił Gorbaczowa,

aby go ściągnąć do Moskwy. Nieco później do grupy tej dołączył – z pomocą Aleksandra Jakowlewa – Władimir Kriuczkow. Co najmniej połowa z nich wystąpiła potem przeciwko Gorbaczowowi, ale był to już schyłek jego kariery.

W tej drużynie szczególne miejsce zajmowały dwie osoby, cieszące się opinią najbardziej zdecydowanych reformatorów: Szewardnadze, z którym Gorbaczow znał się jeszcze z czasów wspólnej działalności w Komsomole i – jak pisał w pamiętnikach – mógł z nim „otwarcie rozmawiać o wszystkim”, oraz Jakowlew, ściągnięty z dyplomatycznego zesłania w Kanadzie, gdzie był ambasadorem i przypadł do gustu Gorbaczowowi podczas jednej z pierwszych jego zagranicznych podróży.

Obaj solidnie zapracowali na miano głównych architektów pierestrojki. Eduard Szewardnadze, zastępując na stanowisku ministra spraw zagranicznych Gromykę, otworzył Związek Radziecki na świat i stał się promotorem polityki „nowego myślenia” (w tym rozbrojenia – co miało zapewnić środki na modernizację kraju). Jakowlew zaś stał za reformami, które zmierzały do demontażu systemu komunistycznego. Co więcej, jeśli wierzyć jego wspomnieniom, spisany w fascynującej książce *Omut pamiaty (Wir wspomnień, nigdy w Polsce niewydanej)*, już w grudniu 1985 r., na kilka miesięcy przed XXVII Zjazdem KPZR, przesłał na ręce Gorbaczowa nieoficjalną notatkę zatytułowaną „Imperatywy politycznego rozwoju”. Przedstawił w niej rozpisany na etapy plan działania, przewidujący nie tylko wycofanie wojsk radzieckich z Afganistanu i daleko idące reformy polityczne, w tym demokratyzację systemu, przywrócenie rzeczywistego parlamentaryzmu i utworzenie stanowiska prezydenta ZSRR, ale także konieczność podziału KPZR na dwa skrzydła, a w przyszłości być może na dwie partie, które będą konkurowały ze sobą o władzę.

Obaj pożegnali się z Gorbaczowem, gdy nie chciał słuchać ich ostrzeżeń przed nadciągającym puczem, w 1991 r., na kilka miesięcy przed jego upadkiem.

Na początek: „nowe myślenie”

Gieorgij Szachnazarow, jeden z najbliższych współpracowników Gorbaczowa, pisze w swoich pamiętnikach *S woźdiami i bez nich (Z wodzami i bez nich*, Moskwa 2001), u nas niewydanych: „każdą ideologię zamkniętą w sobie może narużyć tylko wewnętrzna reformacja”.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, upadek imperium radzieckiego można podzielić na dwa etapy: najpierw, pod hasłem odnowy i przebudowy, mieliśmy do czynienia z faktycznym demontażem komunistycznego systemu totalitarnego, a gdy proces ten doprowadzony został do finału, dokonał się etap drugi – rozpad samego imperium. Było to logiczne, bo jeśli do systemu politycznego wprowadza się elementy demokracji, wcześniej czy później musi pojawić się pytanie o strukturę samego państwa, o przywrócenie (a właściwie wprowadzenie) zadeklarowanej w konstytucji zasady federalizmu.

Wszystko zaczęło się od próby uzdrowienia imperium i jego polityki zagranicznej. W 1985 r., kilka miesięcy po objęciu władzy, Gorbaczow wystąpił z pakietem propozycji rozbrojeniowych pod adresem Stanów Zjednoczonych, m.in. całkowitym zakazem prób z bronią jądrową. Wziął inicjatywę w swoje ręce. Działal tak, jak podczas spotkania z Margaret Thatcher (kiedy jeszcze nie był gen-sekiem). Gorbaczow – pisze w pamiętnikach Jakowlew, obecny podczas ich rozmowy – wyciągnął kopie ściśle tajnych dokumentów i map radzieckich, opatrzonych wszystkimi ważnymi pieczęciami, na których przedstawiono brytyjskie miasta – cele ataku nuklearnego. Thatcher zaniemówiła, zamarła wręcz w oczekiwaniu na to, co będzie dalej. A Gorbaczow najspokojniej jak tylko potrafił powiedział: – I z tym właśnie musimy skończyć... To wystarczyło, aby uznała go za kogoś absolutnie nowego w radzieckiej polityce i na tyle ważnego, aby podczas najbliższej wizyty w Stanach Zjednoczonych podzielić się swoimi uwagami z Reaganem.

Ta metoda długo okazywała się skuteczna. Już w listopadzie 1985 r. udało się doprowadzić do radziecko-amerykańskiego spotkania na szczycie w Genewie, co dało początek procesowi rozbrojenia, a przede wszystkim otwierało możliwości oparcia relacji między ZSRR i szeroko rozumianym Zachodem na zasadach zupełnie innych niż dotychczas. Sens tych działań, poza wymiarem ideologicznym i propagandowym, był jeden: chodziło o odciążenie gospodarki radzieckiej, która ponad 40 proc. swojego PKB przeznaczała na wydatki militarne.

Później doszedł jeszcze jeden element: polityka „nowego myślenia” i większe otwarcie na Zachód pozwalały Moskwie korzystać z jego pomocy finansowej.

Wróćmy jednak do lat 1985 i 1986. Gorbaczow był wówczas bożyszczem milionów i coraz bardziej ta rola mu się podobała. Wszyscy oczekiwali od niego zmian i reform, ale nikt – nie wyłączając jego samego – nie wiedział jeszcze jakich. Teoretycy marksizmu-leninizmu – pisze Graczow – opracowali wielką teorię, jak przejść od kapitalizmu do komunizmu, ale nie napisali ani słowa, jak iść w odwrotnym kierunku.

W marcu 1986 r. odbył się XXVII Zjazd KPZR. Z dzisiejszej perspektywy przemówienia delegatów mogą się wydać śmieszne, ale wtedy robiły wrażenie. Pamiętam wystąpienie Borysa Jelcyna, którego gwiazda po raz pierwszy zabłysła wówczas na ogólnoradzieckim firmamencie. Mówił krytycznie o demokracji wewnątrzpartyjnej, a przede wszystkim o przywilejach partyjnej nomenklatury: klinikach, rządowych daczach, reprezentacyjnych samochodach dla wybranych i specbufetach, podczas gdy dla szarego obywatela pozostawały śmierdzące sklepy z mięsem i rybą, wieczny deficyt towarów pierwszej potrzeby i cała nędza codziennego życia.

W kremlowskim Pałacu Zjazdów obradom przysłuchiwali się zaproszeni przywódcy „bratnich partii komunistycznych”. Czy przypuszczali, że za kilka lat historia zmiecie ich wszystkich, i to

w dużej mierze dzięki Gorbaczowowi, którego wówczas tak gorąco oklaskiwali?

W ciągu kilku najbliższych lat po tym zjeździe biuro PAP w Moskwie było mimowolnym świadkiem walk toczących się w PZPR między „liberałami” i partyjnym betonem. W zależności od tego, kto w danym momencie brał górę, dostawaliśmy polecenie, aby dawać więcej materiałów pierestrojkowych, ostrych, „z jajami”, albo przeciwnie – zarzucano nam antyradzieckość.

Mieliśmy na to swój sposób. Trzeba było zapomnieć o ambicjach korespondenta i zamienić się w tłumacza. Początkowo tłumaczyliśmy w całości lub w obszernych omówieniach tylko najważniejsze publikacje i wypowiedzi, ale miarę jak pierestrojka się rozkręcała, było ich wciąż więcej i więcej. Tak pisały „Prawda”, „Izwestia”, „Moskowskaja Prawda”, „Moskowskije Nowosti”, „Ogoniok” i „Litieraturnaja Gazieta”, tzw. *tolstyje żurnaly*: „Nowyj Mir”, „Znamia”, „Oktiabr”, „Woprosy Literatury”, a nawet „Woprosy Fiksofilii” oraz „Woprosy Istorii KPSS”, nie mówiąc już o organie teoretycznym KPZR – „Kommunist”. A z organami „starszego brata” nie wypadało polemizować... Raz zdarzyło się, że nasz PAP-owski stażysta przesłał do centrali materiał o tym, jak to w stolicy światowego komunizmu zafakszowane są wszystkie mapy Moskwy i nawet adres Kremla objęty jest klauzulą tajności. Ponieważ akurat w Warszawie górę brał beton, następnego dnia zrobiła się awantura. Zarzucono nam antyradzieckość i grożono odwołaniem – dopóki nie okazało się, że tekst jest po prostu omówieniem artykułu z „Moskiewskiej Prawdy”, organu Komitetu Miejskiego KPZR.

W sumie do uważnego przejrzenia było codziennie około dwudziestu tytułów plus pakiet tygodników i miesięczników (z dziedziny kultury, nauki i polityki), do tego prasa kilkunastu republik związkowych, również coraz ciekawsza. Każde nasze omówienie czy tłumaczenie trafiało do centrali PAP w Warszawie i najczęściej było publikowane w „Biuletynie Specjalnym”, który ukazywał się w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy i trafiał

do wszystkich ważniejszych urzędów i redakcji. Od Adama Michnika wiem, że był czytany również przez opozycję. Uważnym czytelnikiem był podobno gen. Jaruzelski. Opowiadał mi jeden z pracowników jego sekretariatu, że zaznaczał ołówkiem co ciekawsze i ostrzejsze materiały, rozsyłał je do pozostałych członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR z adnotacją, aby się z nimi zapoznać...

Lekcja Czarnobyla

Entuzjazm po wybraniu nowego genseka dość szybko zaczął jednak mijać. Przede wszystkim w samej partii. Aparat w znacznej części liczył na to, że po XXVII Zjeździe – kiedy wygłoszono wiele płomiennych mów o potrzebie odnowy i przebudowy, o *glasnosti* (jawności), która stawiała się nowym słowem wytrychem, i o niesprawiedliwości przywilejów dla bonzów partyjnych – otworzą się nowe drogi do awansu, blokowanego dotąd przez partyjną gerontokrację. Teraz poczuł się rozczarowany.

Stopniowo pogarszały się również nastroje społeczeństwa, które wprawdzie nadal zachwycało się młodym przywódcą, cieszyło się z pierwszych oznak „odwilży” i *glasnosti*, kiedy zaczęły się ukazywać zakazane dotąd książki, a w prasie krytyczne publikacje, ale jednocześnie przekonywało się na własnej skórze, że życie jest coraz trudniejsze.

To była lekcja również dla nowego kierownictwa ZSRR (ciągle jeszcze wewnętrznie spójnego), które mogło się teraz przekonać, że nie wystarczą same hasła, choćby najśluszniesze, jeśli brakuje pomysłów na to, jak przełożyć je na język konkretnych działań. Zwłaszcza jeśli ich potencjalni autorzy w żaden sposób nie potrafią uwolnić się od ideologicznych dogmatów. Powstaje więc w miarę sensowna ustawa o kooperatywach, po raz pierwszy dopuszczająca prywatną przedsiębiorczość, a niemal w tym samym czasie pod hasłem walki z dochodami niepochodzącymi z pracy wprowadza się surowe restrykcje na tego typu działalność. Tworzyło

to wrażenie chaosu. Do tego gospodarka wyraźnie słabła. Na posiedzeniu Biura Politycznego w lipcu 1986 r. wprost już mówiono o groźbie zawalenia się planu rocznego, o trudnej sytuacji rolnictwa i konieczności zwiększenia importu ziarna. A także o rosnących stratach radzieckiej gospodarki (9 mld rubli) z powodu spadku cen ropy naftowej. Jeszcze jesienią 1985 r. kosztowała ona 175 rubli za tonę, a w lipcu 1986 r. – już tylko 52 ruble, z tendencją spadkową do 40 rubli.

Najtrudniejszą lekcję ekipie pierestrojki zgotował wówczas los; była nią katastrofa w Czarnobylu. Pierwszy, lakoniczny komunikat TASS o awarii w elektrowni atomowej opublikowano na trzeci dzień po tragedii, a dopiero po dziesięciu dniach zdecydowano się na pełniejsze poinformowanie opinii publicznej o tym, co rzeczywiście stało się w Czarnobylu.

W swoich pamiętnikach Gorbaczow pisze, jak wściekły był wówczas na „atomistów”, którzy ukrywali przed nim rzeczywisty stan radzieckiej energetyki jądrowej, chroniąc się za pieczęcią „ściśle tajne”. W rezultacie, działając według zasad stosowanych w ZSRR, gdy każda większa katastrofa była ukrywana i przemilczana – zaczął ponosić olbrzymie straty propagandowe. I za granicą, i w kraju. Zrozumiał, że popełnił błąd; ukrywając prawdę, stał się zakładnikiem starych porządków. Zmienił więc politykę i stopniowo znosił blokady informacyjne, ale osad pozostał.

Na to wszystko nakładał się rosnący opór kompleksu wojenno-przemysłowego, który wprawdzie na starcie poparł Gorbaczowa i jego ekipę, ale teraz z coraz większą irytacją przyjmował inicjatywy pokojowe nowych władz radzieckich. Nie mówiąc już o ujawnieniu rzeczywistych rozmiarów radzieckich wydatków wojskowych i pomysłach, aby część zakładów przemysłu zbrojeniowego przestać na produkcję cywilną, najlepiej – towarów powszechnego użytku.

Andriej Graczow ma rację, gdy pisze w swojej biografii Gorbaczowa, że był to krytyczny moment pierestrojki. Wobec oporu kompleksu wo-

jennie-przemysłowego i rosnącego niezadowolenia nomenklatury, która przez dziesięciolecia wypracowała sposoby blokowania i kastrowania najbardziej słusznych przedsięwzięć reformatorskich, jeśli tylko godziły w jej interesy – Gorbaczow miał do wyboru dwie możliwości. Mógł jak Breżniew po-przestać na kosmetycznych zmianach i rządzić aż do śmierci albo szukać oparcia w społeczeństwie, zmobilizować go i włączyć w proces pierestrojki.

Wybrał to drugie. Zdawał już sobie sprawę, że bez reform systemowych, zmiany mechanizmów, demokratyzacji państwa i reformy politycznej nie uda mu się przełamać oporu „sił zastoju” i zrealizować jego wizji pierestrojki, tj. przebudowy systemu radzieckiego. Postanowił działać, wierząc, że będzie w stanie kontrolować cały proces, dawując wolność, nie dopuścić do wybuchu.

Powrót Sacharowa

Sygnałem dla społeczeństwa miała być podjęta w październiku 1986 r. z inicjatywy Gorbaczowa decyzja o uwolnieniu z łagrów wszystkich więźniów politycznych (to wtedy odzyskał wolność Siergiej Kowaliow) i późniejsza o miesiąc, ale jeszcze bardziej spektakularna decyzja o zwolnieniu z zesłania w Gorkim (dziś Niżnyj Nowgorod) Andrieja Sacharowa. Któregoś dnia w jego gorkowskim mieszkaniu pojawili się ludzie, którzy nie pytając o nic, zainstalowali telefon. Potem telefon zadzwonił; sam Gorbaczow zaproponował powrót do Moskwy. 23 grudnia w radzieckiej stolicy witali Sacharowa przyjaciele ze środowisk dysydenckich. Nikt im nie przeszkadzał. W oficjalnych „Wremiach” (radzieckim dzienniku telewizyjnym) dali nawet o tym krótką informację.

W Centrum Prasowym MSZ zorganizowano konferencję prasową Sacharowa. Andriej Dmitriewicz mówił o swoim pobycie na zesłaniu i o tym, jak doszło do jego powrotu. Wyraźnie unikał ostrych wypowiedzi. Sprawiał wrażenie zagubionego i jakby niepewnego przyszłości, ale doceniał gest władz. Nic wówczas nie zapowiadało, że kilka miesięcy

później Sacharow stanie się duchowym przywódcą całej radzieckiej opozycji – najwyższym autorytetem i sumieniem Związku Radzieckiego, a Gorbaczow ordynarnie przegoni go z trybuny parlamentu.

A skoro już mowa o Sacharowie... Późną jesienią 1989 r., krótko przed wizytą w Moskwie premiera Tadeusza Mazowieckiego, z Jurkiem Malczykiem, moim ówczesnym PAP-owskim partnerem, poprosiliśmy Sacharowa o wywiad. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak: – Wybaczcie, ale nie mam czasu. Nie mogę. – Ale chodzi o wizytę naszego Mazowieckiego. – No to najwyżej pół godziny. To naprawdę wszystko, co mogę wygospodarować. – Zgoda, ale mamy jedenaście pytań. Sacharow przyjął nas w swoim mieszkaniu przy ulicy Czkałowa, niedaleko Dworca Kurskiego. Rozmowa trwała 30 minut, co do sekundy. Odpowiedział na wszystkie nasze pytania i to tak, że nie było ani jednego zbędnego słowa. Nigdy wcześniej ani potem nie spotkałem rozmówcy o tak żelaznej dyscyplinie intelektu.

W tym samym mniej więcej czasie, wykorzystując gorącą dyskusję, jaka rozgorzała po publikacji w „Komsomolskiej Prawdzie” artykułu *Dzieci Dietoczkina* o masowo powstających poza strukturami KPZR organizacjach i klubach dyskusyjnych – postanowiono zapalić zielone światło dla tzw. nieformatów (jak wówczas nazywano te organizacje). Na naradzie z sekretarzami komitetów obwodowych Gorbaczow powiedział: „Jeśli partia nie stanie na czele procesów demokratyzacji, wówczas historia potoczy się według polskiego scenariusza, a młodzi pójdą do podziemia”.

Uruchamianie żywiołów

Okres od zjazdu do zwolnienia Sacharowa był bodaj najważniejszy. Wtedy właśnie Gorbaczow uruchamiał żywioły, nad którymi później nie był w stanie zapanować.

Graczow znakomicie opisuje ten mechanizm. Problem – pisze – polegał na tym, że poza generalnym kierunkiem (bo nawet nie zarysem) żadnego

planu reform właściwie nie było. W referacie programowym na XXVII Zjeździe KPZR, przygotowanym przez tak różnych ludzi tworzących pierwszą drużynę Gorbaczowa jak Ligaczow i Jakowlew, po mocno stonowanej krytyce przeszłości obiecywano jedynie „lepszy socjalizm” i więcej demokracji. Zapowiadano również „głębką rekonstrukcję gospodarki narodowej” i „więcej samodzielności dla przedsiębiorstw”. Takimi hasłami usiłowano uspokoić partyjnych strażników komunistycznej czystości. „Socjalistyczne państwo prawa” i „socjalistyczne prawa człowieka”, „pluralizm socjalistyczny” i „socjalistyczny rynek” – czyż nie brzmiało to pięknie? Choć było jawnym zaprzeczeniem jakiegokolwiek logiki, przynajmniej tej znanej z doświadczeń radzieckich. Dewiza – pisze Graczow – którą Gorbaczow, powołując się na Lenina, inspirował swoją ekipę i bronił się przed pojedynczymi krytykami, to jego „nie lękajcie się”, była w rzeczywistości biblijnym cytatem zapożyczonym od Jana Pawła II, o czym papież najpewniej wiedział.

Przełomowym okazał się 1987 r. i styczniowe plenum KC KPZR. Początkowo miało być ono poświęcone sprawom kadrowym, w istocie stało się początkiem rzeczywistej przebudowy, a tak naprawdę – demontażu radzieckiego systemu politycznego. I tak w leksykonie pierestrojki po plenum styczniowym pojawiło się nowe hasło: demokratyzacja, a potem „rewolucyjna pierestrojka partii”.

Gorbaczow chciał za pomocą demokratyzacji i jawności zwalczyć opór aparatu, wykorzystując rozbudzone społeczeństwo, które miało stać się jego najważniejszym sojusznikiem. Partię uspokajał, że wszystko odbywa się pod kontrolą, a zainicjowana przez niego rewolucja ma charakter odgórny. Nie wziął pod uwagę jednego: że społeczeństwo nie będzie chciało zadowolić się kontrolowaną wolnością, lecz zapragnie części władzy, której Gorbaczow nie był w stanie mu dać.

Zaczęło się niewinnie, od znoszenia kolejnych tabu w historii. Ale fala podnosiła się coraz wyżej. O „białych plamach” pisali wszyscy. I jeśli począ-

kowo przedmiotem krytyki były zbrodnie stalinizmu, to rychło dobrano się i do Lenina.

Pamiętam znakomity tekst *Istoki (Źródła)* Wasilija Sielunina opublikowany na łamach „Nowego Miru”. Jego obszernie fragmenty przesałem do Warszawy. Sielunin pisał o tym, jak po rewolucji bolszewickiej usiłowano nakazem administracyjnym zastąpić regulujące funkcje wyklętego rynku; jak Trocki udawał, że w społeczeństwie socjalistycznym obozy pracy są „przodującą formą jej organizacji”; o Leninie, który podpisał dekret o utworzeniu pierwszego komunistycznego łagru na Sołówkach. Dla obywateli radzieckich, dla których wódz światowej rewolucji przez całe pokolenia był świętą ikoną, możliwość przeczytania czegoś takiego w oficjalnym piśmie, a nie w samizdacie, była szokiem. Tak jak i książka *Innego nie dano (Innego nie dano)* pod redakcją Jurija Afanasjewa, rozpoczynająca całą serię publikacji rozliczających się z komunizmem.

To wówczas dokonała się eksplozja *glasnosti*, kiedy popularność poszczególnych tytułów mierzone już nie wielkością milionowych nakładów, lecz tempem ich znikania z kiosków. „Prawda” sprzedawała się w pół godziny, ale już „Moskowskije Nowosti” i „Ogoniok” były niedostępne po kilku, kilkunastu minutach. Jednocześnie ujawniały się pierwsze podziały polityczne w mediach. Reformatorskie i liberalne były kierowane przez Giennadija Jakowlewa „Moskowskije Nowosti”, „Ogoniok” Witalija Koroticza i „Litieraturnaja Gazeta”, a także miesięczniki „Nowyj Mir”, „Znamia” i „Družba Narodow”, w których publikowano zakazane wcześniej powieści, w tym *Dzieci Arbatu* Anatolija Rybakowa. Po drugiej stronie znajdowały się betonowe, niekiedy nacjonalistyczne lub antysemickie: „Nasz Sowriemiennik”, „Moskwa”, „Młodaja Gwardia”, tygodnik „Sowietskaja Kultura”.

Katyń

Wiosną 1987 r., gdy proces rozrachunkowy dopiero się rozpoczynał, robiłem dla „Polityki” wywiad

z Jurijem Afanasjewem, autorem pierwszych tekstów o konieczności wypełnienia „białych plam” w radzieckiej historii. Uważał, że cała prawda o zbrodniach stalinowskich powinna być ujawniona – także o zbrodni katyńskiej. Był pierwszym obywatelem radzieckim, który coś takiego powiedział głośno, a „Polityka” – polskim oficjalnym tygodnikiem, który to opublikował.

Z Katyniem było tak: co roku na Wszystkich Świętych jeździła tam ekipa z naszej ambasady, aby złożyć kwiaty i zapalić znicze. Najpierw robiono to bez większego szumu, później zabierano ekipę telewizyjną. W końcu, w 1988 r., rozpoczął się prawdziwy wyścig do Katynia. Kto pierwszy zostawi tam swój ślad: Kościół, który był nieoficjalnym przedstawicielem całej polskiej opozycji, czy PZPR, która na Katyniu chciała zarobić swoje punkty. Kościół wygrał.

Wiosną 1989 r. uczestniczyłem w uroczystości, gdy stawiano pierwszy krzyż, przywieziony z Polski na miejsce zbrodni. Właściwie trudno mówić o uroczystości; była to ciężka praca. Rosjanie zgodzili się na jego postawienie, a nawet przydzielili kilku żołnierzy do pomocy. Polska ekipa była nieliczna, ale dobrze przygotowana. Wszystko przywieźli z kraju, nawet wodę mineralną. Rosjanie myśleli, że chodzi o zwyczajny krzyż, drewniany, który wystarczy zakopać w ziemi. Tymczasem poza krzyżem przywieziono potężną konstrukcję, którą należało głęboko zabetonować w gruncie. – Aby nic więcej już się nie przytrafiło – mówili polscy robotnicy, dając jasno do zrozumienia, o jakie wichry i burze im chodzi.

Po całym dniu pracy krzyż był już osadzony na miejscu, za tablicą, która ciągle jeszcze informowała, że spoczywają tu ofiary zbrodni faszystowskich. Polski ksiądz odprawił mszę. Na „kobyłkach” położono kilka desek, przykryto je białym obrusem i tak powstał ołtarz z katyńskim krzyżem w tle. Było nas najwyżej kilkanaście osób. Słońce zachodziło. Modliliśmy się, klęczeliśmy przy Podniesieniu, a grupa przygodnych Rosjan przysłuchiwała się wszystkiemu w skupieniu. – Kilkaset

metrów dalej leżą nasi, zamordowani jak i wasi. Czy kiedykolwiek doczekają się swojego pomnika? – mówiła jedna z Rosjanek i nie wiadomo było, czy pytanie to kierowała do mnie, czy do samej siebie.

W 1989 r. w Katyniu miały się odbyć uroczystości religijne z udziałem prymasa Polski Józefa Glempa. Aby nie oddać pierwszeństwa, partia zaplanowała postawienie tablicy informującej, że w przyszłości stanie tu pomnik. Z kraju przywieziono kompanię honorową Wojska Polskiego, a ówczesny wiceminister obrony narodowej wygłosił przemówienie, które było kwintesencją partyjno-wojskowej propagandy i głupoty. Wynikało z niego, że Katyń i Lenino to symbole polsko-radzieckiego braterstwa broni!

Jaruzelski – nieważne, jakimi motywami się kierował – do końca zabiegał o oficjalne przyznanie się Moskwy do zbrodni katyńskiej i o radzieckie materiały z nią związane. Podczas jednej z wizyt w końcu lat osiemdziesiątych zabrał ze sobą Andrzeja Bilika z polskiej telewizji, który podobno miał już nawet przygotowany komentarz „katyński”. Ale Gorbaczow i tym razem nic nie powiedział. Dopiero prof. Natalii Lebediewej udało się dotrzeć do dokumentów wojsk konwojujących, z których niedwuznacznie wynikało, kto jest rzeczywistym sprawcą zbrodni popełnionej na polskich oficerach, a ówczesny sekretarz KC KPZR Aleksandr Jakowlew – nie zważając na opór towarzyszy – postanowił, że trzeba je ujawnić. Same materiały katyńskie, które przez cały ten czas leżały w sejfie Gorbaczowa, przekazał Lechowi Wałęsie dopiero prezydent Jelcyn.

W swoich pamiętnikach Gorbaczow próbuje wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Jak twierdzi, kiedy po raz pierwszy pokazano mu teczek katyńskie, były w nich tylko materiały potwierdzające wersję oficjalną. Dopiero w grudniu 1991 r., na kilka dni przed jego ustąpieniem, pracownicy archiwum skłonili go, aby zapoznał się z zawartością jednej z teczek, chronionych w specjalnych zbiorach. Gorbaczow pisze, że obejrzał ją dokładnie, gdy już przygotowywał się do przekazania władzy Jelcy-

nowi; umówili się wówczas, że dokumenty przekaże Warszawie prezydent Rosji. Jelcyn zwlekał jeszcze rok.

Na początku 1992 r. tę samą wersję Gorbaczow przedstawił w wywiadzie, który robiłem z nim dla dziennika „Rzeczpospolita”. Wówczas mnie nie przekonał.

Narodziny opozycji

Wróćmy do 1987 r. Latem dokonano kolejnego kroku. Zgodnie z zaleceniami Gorbaczowa w Moskwie odbył się pierwszy kongres nieformalów – owych organizacji i klubów społecznych, które stanowiły załazek opozycji i przyszłych partii politycznych. W samej radzieckiej stolicy było ich już około 150–200. Robiłem wówczas wywiad z rzecznikiem prasowym kongresu, znanym dziś politologiem Glebem Pawłowskim. Był wówczas współzałożycielem Klubu Inicjatyw Społecznych. – Chcemy – mówił – aktywnie uczestniczyć w życiu społeczno-politycznym ZSRR, zachowując jednak niezależność i broniąc własnych racji.

Na wywiad zaprosiłem go do domu. W mieszkaniu „dla cudzoziemców”, pilnowanym 24 godziny na dobę przez policjantów i naszpikowanym „pluskami”, Pawłowski dowodził, dlaczego Gorbaczow skazany jest na przegraną. Pomylił się tylko co do terminu. Nie przewidział też rozpadu ZSRR. Ale wówczas nikt jeszcze o tym nie myślał.

Większość nieformalów opowiadała się za pierestrojką i deklarowała wsparcie dla radykalnego skrzydła przebudowy. Niektóre, jak moskiewska Pamiąt', łączyły poparcie dla pierestrojki z głoszeniem czarnosecinnych, antysemickich haseł (co spotykało się z sympatią sporej części radzieckiego aparatu). Ale już wówczas część ich działaczy, np. Borys Kagarlicki z Klubu Inicjatyw Społecznych, otwarcie deklarowała, że gotowa jest stanąć do wyborów parlamentarnych. Ruch ten, przybierający na sile w latach 1986–1988 i korzystający (na polecenie „z góry”) ze wsparcia struktur partyjnych, powstawał bez żadnego związku z wcze-

niejszą opozycją radziecką – środowiskiem dysydenckim. Więcej, emigracyjni dysydenci, a także przytłaczająca większość działaczy ruchu obrony praw człowieka – tych, którzy pozostawali jeszcze w ZSRR – odnosiła się do nieformalów z olbrzymią rezerwą lub wręcz wrogością. Dla nich pierestrojka była jedynie rodzajem kamuflażu, maską dla totalitaryzmu, zakładaną przez „góre” KPZR jedynie po to, by po raz kolejny oszukać Zachód. Uważali, że naprawdę chodzi wyłącznie o usprawnienie, a więc i umocnienie mechanizmów totalitarnego państwa – bez zmiany jego istoty.

Zapewne dlatego w pierwszym okresie ruch dysydencki nie miał żadnego wpływu na rodzącą się opozycję radziecką. Andriej Sacharow, a także nieliczni inni, tacy jak Michaił Gefter, którzy wykorzystywali jako trybunę pismo „Wiek XX i Mir” (wydawane przez oficjalny Radziecki Komitet Obrońców Pokoju), byli pod tym względem wyjątkiem. Zaczęło się to zmieniać dopiero na początku 1989 r., gdy rozpoczęły się wybory kandydatów na I Zjazd Deputowanych Ludowych, ale inicjatywa polityczna należała już do kogo innego.

Podczas gorącego lata 1987 r. wszystko to – pojawienie się legalnej opozycji i perspektywa zniesienia artykułu 6 konstytucji, gwarantującego monopolistyczną pozycję KPZR – wydawało się jeszcze mrzonką. Ale historia znów przyspieszała. Zaczynał się najbardziej gorący okres pierestrojki, kiedy radzieckim imperium zaczęły wstrząsać coraz potężniejsze konwulsje.

Jawność – pisze Graczow – była Gorbaczowowi bardzo na rękę, ponieważ wykorzystywał ją jako narzędzie demokratyzacji i liczył, że przekształci pierestrojkę w prawdziwą rewolucję. Dodajmy: dość szczególną. Jego pierestrojka – jak sam deklarował – miała być „rewolucyjna w treści i reformistyczna w formie”, do tego realizowana w sposób ewolucyjny. W Rosji, tradycyjnie miotającej się między anarchicznym buntem i despotyzmem, nie miało to większych szans powodzenia. Zachód mógł chwalić go za rozsądek, za podjętą próbę pójścia w stronę liberalizmu, podczas gdy

dla samych Rosjan był po prostu politykiem naiwnym.

Rok, który zaczął się pod hasłem demokratyzacji, kończył się konfliktem z Jelcynem. Zdobywał on miłość mieszkańców stolicy jako sekretarz Moskiewskiego Komitetu KPZR niestandardowymi posunięciami. Budował swój wizerunek przeciwnika aparatu, „sekretnika-Robin Hooda”. Do starcia doszło podczas plenum październikowego, na którym rozpatrywano projekt referatu na siedemdziesiątą rocznicę rewolucji październikowej. Stosunki wewnątrz rządzącej nomenklatury stały się coraz bardziej napięte – pisze Jakowlew. Na posiedzeniach plenarnych KC coraz częściej dochodziło do starć między zwolennikami i przeciwnikami pierestrojki. Sam referat był maksymalnie wyważony. Zawierał surową ocenę stalinizmu, wskazywał konieczność dalszej demokratyzacji, ale jednocześnie mówił o potrzebie działań ewolucyjnych. Jelcyn natomiast zaatakował Gorbaczowa za konserwatyzm, hamowanie wielu reform i domagał się radykalizacji pierestrojki. W wielu kwestiach miał rację, ale swoim radykalizmem zadał cios taktyce Gorbaczowa. Jego wystąpienie rządząca elita przyjęła jako ostrzeżenie, że wcześniej czy później będzie musiała się politycznie określić, z kim i dokąd pójdzie. Od Gorbaczowa zażądano ukarania Jelcyna, a potem wciągnięto go w walkę z Borysem Nikołajewiczem. W 1988 r. podczas XIX konferencji KPZR Jelcyn pokajał się i prosił o rehabilitację, ale jego prośba pozostała bez odpowiedzi. Stenogram z plenum KC, na którym zdymisjonowano Jelcyna, ukazał się z wielomiesięcznym opóźnieniem. Był to błąd. Nie zawierał niczego, co usprawiedliwiałoby legendę. Jelcyn był na tym plenum raczej żalony niż bohater, ale powstałe wokół niego mity pozwoliły mu stanąć na czele anty-Gorbaczowskiej opozycji.

Początek końca

Jazda w dół zaczęła się w 1988 r., uważanym za przełomowy w historii pierestrojki. Po pierwsze

ruszyła kampania na rzecz reformy politycznej, co ostatecznie – choć jeszcze wówczas nie zdawano sobie z tego sprawy – miało doprowadzić do demontażu systemu komunistycznego. Po drugie samo imperium zaczęło trzeszczeć w szwach, gdy zaczęły eksplodować problemy narodowościowe, z którymi władze radzieckie nie potrafiły sobie poradzić.

W 1988 r., krótko po wizycie w Stanach Zjednoczonych (grudzień 1987 r.), która pobiła rekordy gorbomanii, Michaił Siergiejewicz ciągle jeszcze był na fali, ale już pojawiły się pierwsze rysy. Był kochany i podziwiany przez zagranicę i coraz bardziej nie lubiany u siebie w kraju. Za żonę Raisę, wtrącającą się do polityki, za swój europejski wygląd i manery, odbiegające od klasycznego rosyjsko-sowieckiego modelu cara i genseka, wreszcie – za gadulstwo i nieustające lawirowanie, odbierane jako dowód jego słabości.

Co najważniejsze, chaotyczne reformy nie przynosiły żadnych efektów, były zresztą skutecznie blokowane przez aparat partyjno-państwowy. Zwłaszcza gdy okazało się, że przygotowany latem 1987 r. projekt szerokiej reformy gospodarczej przewiduje odejście od administracyjnych metod zarządzania gospodarką i zastąpienie ich mechanizmami „towarowo-pieniężnymi” (słowa rynek nadal bano się użyć). Oznaczało to koniec monopolu władzy kadry kierowniczej, więc przy pierwszej okazji, kiedy tylko wspomniano o „korekcie” cen chleba i zaczęły się protesty społeczne, reformę zawieszono na kołku.

Coraz goręcej było również wokół wyjścia żołnierzy radzieckich z Afganistanu. Wprawdzie już na XXVII Zjeździe KPZR sugerowano konieczność wycofania się z afgańskiej awantury, ale dopiero teraz się zastanawiano, jak zakończyć wojnę, aby nie stracić twarzy i nie przyznać się do błędu, a jednocześnie aby – jak mówił Gorbaczow na jednym z posiedzeń Biura Politycznego – „Ameryka nie rozmieściła tam swoich baz”.

Podczas wizyty w Stanach Gorbaczow próbował załatwić to z Reaganem. Chciał, aby Amery-

ka wstrzymała pomoc dla mudżahedinów. Reagan jednak odmówił, domagając się, aby najpierw Moskwa określiła datę wycofania swoich wojsk. ZSRR zrobił to kilka miesięcy później. 15 maja 1988 r. pierwsze jednostki opuściły Afganistan, ale cały proces rozłożono na wiele miesięcy; ostatni żołnierze radzieccy wyszli z Afganistanu dopiero 15 lutego 1989 r. W Związku Radzieckim na fali *głasności* narastała jawna krytyka tej „brudnej wojny”. Pisano o okolicznościach bezsensownej decyzji o rozpoczęciu wojny, o tragicznych losach radzieckich żołnierzy, którzy przeszli przez afgańskie piekło, o tysiącach jego ofiar.

Gorbaczow tymczasem pokonywał kolejne bariery wyznaczone przez logikę alfabetu. Mnożył idee, odchodząc od komunizmu i zmierzając w stronę socjaldemokracji. Graczow nie pisze tego wprost, ale myślę, że zgodziłby się z tezą, że był to jeden z głównych powodów porażki jego bohatera. W myśl nowych koncepcji Gorbaczowa pierestrojka miała stać się rewolucją wszystkich i wszystkiego. Chciał on odpaństwić partię, później odpartyjnić państwo, a wszystko to z tymi samymi ludźmi, z którymi zaczynał, zupełnie nie dostrzegając, że są już głęboko podzieleni. Narastał konflikt interesów i ideologii, a nie tylko – jak wcześniej – ambicji i emocji. Gdyby Gorbaczow przyjął do wiadomości ostrzeżenia Walentina Fallina, mówiącego o dwóch partiach w łonie KPZR, gdyby otwarcie wówczas wystąpił i zgodził się na to, aby podzielić KPZR na część „białą” – socjaldemokratyczną, budowaną z dołów partyjnych, oraz „czerwoną” – komunistyczną, tworzoną przez aparat i partyjny beton, miałyby szansę na przetrwanie. Nie zrobił tego i musiał przegrać. „Białych” stracił na rzecz Jelcyna, a zaufania „czerwonych” nigdy nie odzyskał. W końcu okazał się niepotrzebny i jednym, i drugim.

Kierunek: reforma polityczna

W coraz trudniejszej sytuacji społecznej i ekonomicznej architektki pierestrojki szukali ratunku

w ucieczce do przodu – w reformie politycznej. Czas był najwyższy. W marcu 1988 r. na łamach prasy radzieckiej ukazał się głośny list Niny Andriejewej z Leningradu, zatytułowany *Nie mogę wyrzec się zasad*, w którym – posługując się językiem stalinowskim – broniła komunistycznych pryncypiów. Był to atak na pierestrojkę, swego rodzaju manifest betonu partyjnego, za którym stał Jegor Ligaczow – formalnie drugi w KPZR po Gorbaczowie.

To na jego polecenie, pod nieobecność Gorbaczowa i Jakowlewa, którzy przebywali z wizytą w Jugosławii, tekst Andriejewej przedrukowano w głównych organach partyjnych, co powszechnie uznano za sygnał do odwrotu. Po powrocie Gorbaczowa z Belgradu odbyło się dwudniowe posiedzenie Biura Politycznego i Sekretariatu KC, jednomyślność na najwyższych szczeblach władzy została przywrócona, ale nikt nie miał wątpliwości co do jej wymuszonego charakteru. I rzeczywiście – od tego momentu kierownictwo partyjne było coraz bardziej podzielone, choć jeszcze długo Gorbaczowowi udawało się lawirować między dwoma oddalającymi się od siebie skrzydłami.

W 1988 r. siły starczyło jeszcze na doprowadzenie do XIX Konferencji KPZR. Dziś nie brak krytyków, że była ona błędem; że Gorbaczow powinien doprowadzić do nadzwyczajnego zjazdu partii, dokonać niezbędnych zmian kadrowych i nadać pierestrojce nowy impet. Ale i te zmiany, które wówczas przeforsowano w ramach ewolucyjnej przebudowy systemu politycznego, miały w istocie rewolucyjny charakter. Nowe hasło brzmiało: odpaństwić partię, co sprowadzało się do oddania radom władzy wykonawczej, którą dotąd sprawowały komitety partyjne. Sekretarzy chytrze przekonano, że mogą umocnić swoją legitymację, jeśli połączą w jednym ręku funkcje partyjne ze stanowiskiem przewodniczącego rady. Tyle że najpierw będą musieli się poddać procedurze wyborczej...

Delegaci na XIX Konferencję KPZR zaakceptowali te zmiany oraz główne kierunki reformy konstytucyjnej, zakładającej wprowadzenie wolnych

wyborów, do których kandydatów mogły zgłaszać nie tylko (jak dotąd) struktury partyjne, a także rozszerzenie uprawnień organów przedstawicielskich (rad). Co najważniejsze jednak – postanowiono zmienić strukturę władz najwyższych ZSRR. Od tej pory stanowić je miały Zjazd Deputowanych Ludowych i Rada Najwyższa ZSRR oraz powołany do życia urząd prezydenta ZSRR.

Z punktu widzenia ideologicznego był to powrót do tradycji Października, ale w praktyce oznaczało to całkowitą zmianę systemu. Gorbaczow niestety nie potrafił posunąć się o krok dalej. Dokonując faktycznej rewolucji, nadal wierzył, że uda mu się przeprowadzić wszystko w sposób ewolucyjny. Tak jak ostrzegał go Fallin i przekonywał Jakowlew – nie zdobył się na zbudowanie wokół siebie własnej partii i nadal sądził, że uda mu się zjednoczyć wszystkich. Choć już wtedy, przy pozorach jedności, było to niemożliwe.

Imperium trzeszczy w szwach

Rok 1988 przyniósł nowe kłopoty narodowościowe, które dotychczas ignorowano. Sygnałem ostrzegawczym, zbagatelizowanym w Moskwie, były wydarzenia w Ałma Acie z końca 1986 r. Gorbaczow zmienił wówczas sekretarza Komunistycznej Partii Kazachstanu, ale zamiast Kazacha na zwolnione stanowisko powołał Rosjanina. To spowodowało wielotysięczne demonstracje w Ałma Acie; interweniowała milicja, padli zabici i ranni. Latem 1987 r. koło Kremla pojawili się demonstrujący Tatarzy Krymscy, niegdyś deportowani przez Stalina, którzy domagali się powrotu na Krym.

Bliscy współpracownicy Gorbaczowa twierdzą, że zamierzał on zająć się reformą Związku Radzieckiego oraz relacjami między republikami i centrum, ale dopiero po pomyślnym zakończeniu etapu politycznego i gospodarczego. Wydarzenia nie chciały czekać. Co więcej, to przeciwnicy Gorbaczowa – z prawa i z lewa – dostrzegli potencjał polityczny w „czynniku narodowościowym” i wykorzystali go w swojej walce z gensekiem.

Zaczął się niewinnie. W republikach powstawały organizacje Frontów Narodowych. Początkowo były to ruchy poparcia pierestrojki i przez kilka pierwszych miesięcy ich nazwę tłumaczyliśmy jako Fronty Ludowe, zanim nie podniosły hasła niepodległościowych. W państwach bałtyckich dyskusję nad reformą gospodarczą postanowiono poszerzyć o postulat, aby zasada rozrachunku gospodarczego była stosowana również w relacjach między republikami i centrum. Chodziło o przyznanie republikom autonomii gospodarczej. Jednocześnie na Litwie, Łotwie i w Estonii coraz częściej żądano krytycznej oceny paktu Ribbentrop-Mołotow, a niedługo później zaczęto mówić o suwerenności.

O wiele bardziej gorąco było na południu. W lutym 1988 r. w Stepanakercie, stolicy Górskiego Karabachu, autonomicznego obwodu Azerbejdżanu, zamieszkanego głównie przez Ormian, zaczęły się demonstracje ludności domagającej się przyłączenia do Armenii. Miejskowa rada przegłosowała stosowną decyzję. Równocześnie rozpoczęła się seria wieców poparcia i demonstracji w Erywanie. Zmiana szefów partyjnych w obu republikach, wkraczających już w otwarty konflikt, niczego nie rozwiązała. Wiece i demonstracje trwały nieprzerwanie. W Baku pojawili się pierwsi azerscy uciekinierzy z Armenii. 25 lutego w Sumgaicie, kilkadziesiąt kilometrów od Baku, doszło do pogromu mieszkających tu Ormian. Zginęły 32 osoby, około czterystu zostało rannych.

Władze w Moskwie sprawiały wrażenie kompletnie zaskoczonych. Nie chciały skorzystać z rady starego Gromyki, który przypominał, jak problem rozwiązałiby poprzednicy Gorbaczowa (posłałby wojsko). Moskwa się na to nie zdecydowała, nie tym razem. Do Karabachu, Armenii i Azerbejdżanu wysłano doświadczonego Arkadija Wolskiego, aby załagodził konflikt, ale bez powodzenia. Konflikt, który doprowadził do działań wojennych między Armenią i Azerbejdżanem, trwa do dzisiaj.

Rok później doszło do kolejnego kryzysu, tym razem w Gruzji. W nocy z 8 na 9 kwietnia 1989 r.

wojsko i jednostki MSW krwawo rozprawiły się z demonstracją Zwiada Gamsachurdii, którego zwolennicy żądali odłączenia się Gruzji od ZSRR i likwidacji autonomii Abchazji. Do rozpędzenia manifestacji użyto podobno wojskowych saperów. Zginęło dziewiętnaście osób, głównie kobiet, a kilkaset zostało rannych. To spowodowało kryzys polityczny w samej Moskwie. Ponieważ do tragedii doszło pod nieobecność Gorbaczowa, który właśnie wracał z Londynu, postanowiono przeprowadzić dochodzenie, kto wydał decyzję o użyciu wojska. Ustalenia specjalnej komisji parlamentarnej pod kierownictwem Szewardnadzego wskazywały na Jegora Ligaczowa, ale on też miał alibi.

Te wydarzenia (bynajmniej nie ostatnie, bo w styczniu 1990 r. krew się połała jeszcze w Azerbejdżanie, w 1991 r. – na Litwie, w międzyczasie doszło do rzezi Turków Meschetyńskich w Ferganie) tworzyły tło trwającej w kraju kampanii wyborczej przed I Zjazdem Deputowanych Ludowych. W marcu 1989 r. odbyły się wybory, organizowane już zgodnie z nowymi zasadami, które łamały dotychczasowy monopol KPZR, przyznając prawo zgłaszania swoich kandydatów także organizacjom społecznym i instytucjom publicznym, np. Akademii Nauk ZSRR (to z jej listy startował Andriej Sacharow).

Wybory wprawdzie wygrali komuniści, ale przegrał aparat partyjny. Już w przedbiegach odpadło około trzydziestu sekretarzy różnych szczebli, którzy musieli ustąpić miejsca albo działaczom zupełnie nieznanym, albo takim kandydatom jak Sacharow, Galina Starowojtowa, Jurij Afanasjew, no i oczywiście Borys Jelcyn, który dostał w Moskwie prawie 85 proc. głosów i triumfalnie wracał na scenę polityczną – od razu w jednej z głównych ról.

Uroczyste otwarcie zjazdu zepsuła tragedia w Gruzji, ale i tak było to coś zupełnie nowego, wcześniej nie do pomyślenia. W Moskwie ludzie chodzili z radiami tranzystorowymi przy uszach, śledząc przebieg dyskusji. Pierwsze publiczne wystąpienia Sacharowa, Anatolija Sobczaka, wspierającego się na kulach Ilji Zaslawskiego i Gawriła

Popowa oraz proceduralne spory z Gorbaczowem, który uczył się nowej roli demokracji i usiłował zapanować nad żywiołem parlamentarnym. A także zamieszanie przy wyborze Jelcyna do Rady Najwyższej ZSRR, w której znalazł się tylko dzięki temu, że nikomu wówczas nieznany deputowany z Omska Aleksiej Kazannik oddał mu swoje miejsce (w nagrodę w „nowej” Rosji został prokuratorem generalnym). Wszystko to ulica na gorąco komentowała i dyskutowała. W kolejkach do sklepów, w parkach i na przystankach autobusowych wybuchały typowo rosyjskie spory, w których jedni bronili Gorbaczowa i reform, inni zaś, wówczas jeszcze w mniejszości, opowiadali się po stronie „prawdziwych” komunistów. Dla obywateli radzieckich to była pierwsza lekcja elementarnej demokracji. I – patrząc dziś z dystansu – myślę, że dopiero w 1989 r., trzy lata po rozpoczęciu Gorbaczowskiej pierestrojki, społeczeństwo radzieckie ostatecznie się obudziło.

Quasi-parlament

Powołanie zjazdu nie było jednak dobrym pomysłem. Słuszną ideą zbudowania w ZSRR prawdziwego systemu parlamentarnego została zrealizowana „po radziecku”. To był błąd, świadczący o tym, jak trudno było rządzącej wówczas ekipie oderwać się od komunistycznych dogmatów. Nawet Gorbaczowowi, który świadomy zagrożenia ze strony konserwatywnego aparatu, bojąc się, że w każdej chwili może podzielić los Chruszczowa – coraz bardziej kluczył i lawirował.

Projekt reformy konstytucyjnej szykowali Szachnazarow i Anatolij Łukjanow. Ale to ten ostatni wymyślił i przekonał Gorbaczowa do formuły zjazdu deputowanych, wprost nawiązującej do zjazdu rad z pierwszych lat rewolucji bolszewickiej, choć od początku – pisze Szachnazarow w swoich wspomnieniach – było wiadomo, że taka instytucja nie nadaje się do roli najwyższego organu ustawodawczego. Jego zdaniem gdyby wówczas stworzono prawdziwy parlament, można byłoby

działać bardziej ewolucyjnie i być może udałoby się wypracować jakiś mechanizm demokratycznej konkurencji politycznej. Jednak nic z tego nie wyszło. „Nigdzie na świecie nie ma Zjazdu Deputowanych Ludowych, a u nas będzie” – miał odpowiedzieć Gorbaczow. W rezultacie powstała hybryda, monstrum niezdolne do działania, które według Szachnazarowa od początku stało się wyłączenie trybuną opozycji z prawej i lewej strony.

Gdyby Gorbaczow zdecydował się wówczas na wprowadzenie prawdziwego systemu prezydenckiego (co planował), miałby jeszcze szanse zapanowania nad żywiołem, który rozlewał się już po całym imperium. Ale wycofał się z tego i przez najbliższy rok, być może decydujący, pozostawał w dwuznacznej sytuacji: genseka coraz bardziej podzielonej, ale ciągle jeszcze rządzącej partii, a jednocześnie przewodniczącego zjazdu. Występując w tej roli, tracił czas na łagodzenie napięć i sporów wybuchających wśród ugrupowań tworzących zjazd. Była tam nie tylko Międzyregionalna Grupa Deputowanych, której liderem (do śmierci w 1989 r.) był Andriej Sacharow, a później Borys Jelcyn – pierwsza w dziejach radzieckich legalna opozycja demokratyczna. Coraz bardziej podzieleni byli również deputowani wywodzący się z KPZR. Jeśli Gorbaczow liczył na to, że uda się utworzyć z nich jedną, posłuszną mu frakcję, to szybko przekonał się, jak bardzo się mylił. Na to wszystko nakładały się jeszcze podziały wśród deputowanych wybieranych w republikach związkowych, walczących o interesy swoich ojczyzn. Tak jak ci z republik bałtyckich, stawiający na porządku dziennym sprawę (wygraną zresztą) potępienia paktu Ribbentrop-Mołotow.

Jesień ludów

Rok 1989 był przełomowy z jeszcze jednego powodu: był to rok pożegnania z imperium zewnętrznym. Już w listopadzie 1985 r. podczas pierwszego spotkania z przywódcami innych „baraków w obozie socjalistycznym” Gorbaczow dał im jasno do

rozumienia, że więcej nie powinni liczyć na radzieckie czołgi. W Moskwie po dawnemu coraz to zjawiali się przedstawiciele bratnich partii, aby szukać poparcia, ale niczego nie mogli wskórać. Gorbaczow – jak wynika z jego pamiętników i wspomnień ówczesnych współpracowników – nie znosił Nicolae Ceaușescu, drażnił go Erich Honecker i właściwie jedynie Jaruzelskiego darzył sympatią.

Po strajkach w Polsce w 1988 r., obradach Okrągłego Stołu i przegranych przez PZPR wyborach czerwcowych nie zrobił niczego, aby przywołać do porządku polskich towarzyszy, co na pewno uczyniłby każdy z jego poprzedników. W swoich pamiętnikach *Życie i reformy* (*Жизнь и реформы*, Moskwa 1995) Gorbaczow obszernie cytuje przebieg kolejnych rozmów z Wojciechem Jaruzelskim. Na każdym kroku podkreśla, jak łatwo było im się porozumieć. Obaj wierzyli, że uda się zreformować system komunistyczny, a Polska do pewnego stopnia była dla Gorbaczowa poligonem doświadczalnym. Tak nawet zatytułował jeden z podrzdziałów pamiętników: *Polski poligon*. Z innymi towarzyszami było gorzej. Podczas kolejnych spotkań i wizyt tłumaczył im konieczność pierestrojki, kierunek zmian dokonywanych w ZSRR i namawiał, aby poszli w jego ślady. Ale chętnych – poza Jaruzelskim – raczej nie było.

W opublikowanych dokumentach z okresu pierestrojki, zebranych przez Anatolija Czerniajewa, Wadima Miedwediewa i Gieorgija Szachnazarowa w książce *W Politbiuro CK KPSS* (Moskwa 2006) znaleźć można ciekawą notatkę: po jednym ze spotkań w gronie przywódców państw Układu Warszawskiego Gorbaczow w prywatnej rozmowie z gen. Jaruzelskim bardzo krytycznie wypowiadał się o niechęci innych sekretarzy do idei przebudowy i *głasności*. Jaruzelski miał wówczas powiedzieć: „to razem pociągnijmy ten wózek” (*tak, dawajcie wmiestie potianiem etu tielegu*)...

Po Polsce nadszedł w drugiej połowie 1989 r. sezon na aksamitne rewolucje w pozostałych krajach obozu. Nadciągała jesień ludów. I chociaż z try-

buny kolejnych plenów KC KPZR Ligaczow i inni reprezentanci partyjnego betonu bili na alarm, wzywali do zdecydowanych działań, krytykowali „oddawanie kolejnych pozycji światowego socjalizmu” oraz zarzucali Gorbaczowowi „zdradę komunistycznych przyjaciół ZSRR” – ten pozostawał obojętny. Doktrynę Breżniewa uważał za rozdział definitywnie zamknięty, a pozbawieni osłony radzieckich czołgów sojusznicy Moskwy padali jeden za drugim.

Lecz i w samym Związku Radzieckim sytuacja stawała się coraz bardziej gorąca. Pierestrojka wkraczała w okres przesilenia.

Pierwszą lekcję parlamentaryzmu Gorbaczow zdecydowanie przegrał. Członkowie partii komunistycznej, gdy tylko uświadomili sobie, że mandaty zawdzięczają sobie samym i swoim wyborcom, a nie Wydziałowi Organizacyjnemu KC, rozeszli się do dwóch przeciwstawnych obozów: albo do „prawdziwych” komunistów spod znaku Ligaczowa, albo do demokratów, coraz bardziej radykalnych. I u jednych, i u drugich można było spotkać ludzi w mundurach, z pagonami. Wcześniej coś takiego było nie do pomyślenia, teraz najlepiej świadczyło o dokonujących się podziałach. Już kilka miesięcy po wyborach 1989 r. Gorbaczow musiał uznać, że jego nadzieje na ożywienie KPZR poniosły porażkę. Odtąd – jak twierdzi Aleksandr Jakowlew – w stosunkach z partią jego głównym celem było „powstrzymywanie monstrum”. Aparat partyjny znakomicie to wyczuwał i przechodził na stronę stalinistów, tworząc na Zjeździe Deputowanych coraz bardziej agresywną, krytyczną wobec pierestrojki frakcję Sojuz.

Zawiedziona była jednak i nowa elita, która pojawiła się za Gorbaczowa i uwierzyła, że razem z nim ma szansę na realną władzę. On jednak nie spieszył się z ogłoszeniem nowego naboru, zwlekał i lawirował. Nawet jeśli taktycznie było to uzasadnione, to strategicznie przegrał. Rozpadająca się partia i partyjny beton widzieli w nim zdrajcę, podczas gdy radykałowie stale podnosili poprzeczkę; chcieli jak najszybciej pożegnać się

z totalitaryzmem i próbowali przeciągnąć go na swoją stronę. Nie rozumieli, że dla niego było to niemożliwe, bo straciłby kontrolę nad uruchomionym przez siebie procesem – pierestrojką, która w myśl jego założeń miała być „ewolucyjną rewolucją” – „refolucją”, jak lubił ją nazywać.

Rok 1990 zaczął się bardzo źle. Najpierw z inicjatywy Frontu Narodowego Azerbejdżanu zorganizowano serię demonstracji, ale jego liderzy stracili panowanie nad sytuacją i 13–15 stycznia przez Baku przetoczyła się fala antyormiańskich i antyrosyjskich pogromów. Ludzi wyrzucano przez okna, oblewano benzyną i podpalano. Gorbaczow długo zwlekał z wydaniem zgody na użycie wojska, bojąc się, że stworzy niebezpieczny precedens. W końcu jednak musiał podpisać stosowny dekret. 19 stycznia wojsko wkroczyło do akcji. Zginęło co najmniej 120 osób, a 700 zostało rannych. W tym samym mniej więcej czasie przyszedł cios z Litwy. XX Zjazd Komunistycznej Partii Litwy podjął decyzję o odłączeniu się od KPZR. Zwołane w tej sprawie w Moskwie nadzwyczajne plenum KC wydelegowało Gorbaczowa, aby pojechał do Wilna i przekonał litewskich towarzyszy, żeby się opamiętali. Niczego nie wskórał. Jego słynny dar przekonywania ujawnił swoje granice, a gwiazda Gorbiego zaczynała przygasać.

W kwietniu 1990 r. sejm litewski przyjął deklarację niepodległości. Niedługo potem w ślady Wilna poszły Ryga i Tallin. Zaczynało się to, co w Rosji nazwano „paradą suwerenności”. Moskwa niewiele mogła zrobić. Jedyne, na co było ją stać, to przyjęta przez Radę Najwyższą ustawa „O trybie rozwiązywania problemów związanych z opuszczaniem ZSRR przez republiki związkowe”. Przewidywała tryb rozwodowy tak skomplikowany, że w istocie niemożliwy do wypełnienia, pozostała więc prawem martwym.

Ostatnie zwycięstwo

W samej Rosji ścierały się dwa obozy. Partyjny beton oskarżał Gorbaczowa, że jego polityka reform

prowadzi do rozpadu ZSRR. Z kolei obóz demokratyczny, którego liderem i autorytetem po śmierci Sacharowa stał się Borys Jelcyn – przeciwnie: zarzucał Gorbaczowowi brak zdecydowania w realizacji radykalnych reform politycznych i utrzymywanie przestarzałych struktur scentralizowanego państwa związkowego jedynie w celu umocnienia swojej władzy. Ten konflikt coraz częściej wylewał się na ulice Moskwy w wielusettyśnych demonstracjach organizowanych z inicjatywy opozycji demokratycznej. W środowisku tym coraz większą popularnością cieszył się pomysł na nowy Związek Radziecki, wedle którego trzeba się najpierw podzielić, aby znów się połączyć, ale na lepszych, bardziej demokratycznych zasadach. Wierzano, że jeśli Rosja uwolni się od ciężaru finansowania biednych republik z Azji Środkowej, w ciągu kilku lat wejdzie do grona najbardziej rozwiniętych państw świata.

Do ostrej walki doszło podczas I Zjazdu Deputowanych Ludowych RFSRR, gdy zdecydowano, kto zostanie przewodniczącym rosyjskiej Rady Najwyższej. Gorbaczow popierał Iwana Położkowa (kandydata aparatu partyjnego, który później został szefem krytycznej wobec pierestrojki Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej), ale tylko dlatego, aby nie dopuścić do wyboru Jelcyna. Przegrał, mimo że pojawił się na zjeździe (bez zapowiedzi), by poprzeć swego protegowanego.

Gorbaczow skupił się teraz na dokończeniu reformy politycznej. Aby umocnić swoją władzę, domagał się wprowadzenia instytucji prezydenta ZSRR, a jednocześnie postawił na porządku dziennym likwidację monopolu władzy KPZR i wykreślenie z konstytucji radzieckiej artykułu 6, gwarantującego kierowniczą rolę partii. Dopiął swego. W lutym 1990 r. KC KPZR wywiesił białą flagę, artykuł 6 został wykreślony z radzieckiej ustawy zasadniczej, a miesiąc później Zjazd Deputowanych wybrał Gorbaczowa na prezydenta ZSRR – pierwszego i zarazem ostatniego.

To był ostatni sukces Gorbiego, a i tak mocno iluzoryczny. Likwidacja monopolu KPZR niewiele

zmieniła, bo partia i tak już była na wpół martwa, a do tego działała już wówczas Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej, skupiająca otwartych stalinistów. Z kolei prezydentura miała słaby mandat. Gorbaczow nie odważył się poddać próbie wyborów powszechnych; było to jego wielkim błędem – zwłaszcza w konfrontacji z Jelcynem. Co więcej, wybory na forum zjazdu ujawniły, że jego popularność w przyspieszonym tempie spada – zamiast spodziewanych głosów 96 proc. deputowanych otrzymał tylko 59 proc. Jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia: został prezydentem, który formalnie skupił w ręku olbrzymią władzę, ale był pozbawiony narzędzi do kierowania państwem lub choćby skutecznego wpływania na dokonujące się procesy. Jako gensek miał przynajmniej KPZR i jej aparat, teraz zabrakło i tego. Zaczął więc szukać instytucjonalnych rozwiązań, aby uczynić swoją władzę sprawniejszą, ale w ten sposób tracił to, co wówczas było najcenniejsze: czas.

Nadciąga burza

W 1990 r. w Moskwie kipiało. Z każdym dniem przybywało niezadowolonych. Obywatele radziecy uwierzyli, że z nastaniem pierestrojki stanie się cud i szybko złączą żyć jak na Zachodzie. Nic takiego się nie stało i stać się nie mogło. Gospodarka kulała coraz bardziej. Szachnazarow i Gorbaczow tłumaczyli to tym, że stracono co najmniej trzy lata na rozpoczęcie radykalnych reform ekonomicznych, które zresztą i tak w większości pozostały na papierze.

Był jeszcze jeden powód: Gorbaczow, zaabsorbowany reformami politycznymi, nigdy poważnie nie zajął się gospodarką. Kilka sensownych projektów reformatorskich schowano do szuflady. Za każdym razem, gdy napięcie polityczne rosło – a od pewnego momentu był to stan permanentny – ekonomika schodziła na dalszy plan albo ją poświęcano dla racji politycznych. To różniło Gorbaczowa od Deng Xiaopinga, który zaczynał chińską transformację od gospodarki, a nie od polityki

– twierdzi Graczow. Do dziś rosyjscy komuniści zarzucają mu, że nie poszedł chińską drogą, zapominając, że w przypadku ZSRR było to niemożliwe; jak powiedział Szewardnadze – bez dania ludziom wolności, bez zreformowania systemu politycznego o żadnej realnej reformie gospodarczej nie mogło być mowy. Po pierwsze nie pozwoliłaby na to nomenklatura partyjna i państwowa, po drugie – warto pamiętać o wydarzeniach na placu Tiananmen. Komunistyczny beton i pogrobowcy Stalina nieraz bezskutecznie nalegali na Gorbaczowa, aby zdecydował się na twarde działania w obronie komunistycznych pryncypiów. Gorbaczow – pisze Jakowlew – doświadczył tego, co wszyscy reformatorzy: reformy rozpoczęte choćby i z najsłabszych pobudek tylko zapowiadają lepszą przyszłość, ale cudów nie czynią. W rezultacie zwiększają liczbę niezadowolonych, a często zwracają się przeciwko samym reformatorom.

Coraz liczniejsze demonstracje opozycji demokratycznej gromadziły w szczytowym okresie pół miliona ludzi. Zwykle zaczynały się koło Parku Gorkiego, potem maszerowano Sadowym Kolcem do dzisiejszej Twerskiej, następnie w dół, do placu Maneżowego. Wszystkie sąsiednie uliczki wypełnione były milicją i wojskiem, wystarczyła iskra, aby doszło do eksplozji. Jedną z takich demonstracji utknęła mi w pamięci na zawsze. Tym razem wiec odbywał się w najszerzym miejscu Sadowego Kolca, na placu Zubowskim. Z trybuny, urządzonej na platformie ciężarówki, przemawiali przywódcy demokratów: Galina Starowojtowa, Siergiej Stankiewicz (ten sam, który za Jelcyna szukał azylu w Polsce), „nieprzekupny prokurator” Telman Gdlian, a także Jurij Afanasjew. Był też Jewgienij Jewtuszenko, który deklamował swój poemat napisany specjalnie na tę okazję; sens kolejnych strof był mniej więcej taki: za łagry, za głód i poniżenie – wybac nam, Rosjo. Gdy wiec dobiegał końca, jego przywódcy poprosili: wokół jest tyle milicji i KGB, nie dajcie się sprowokować. Rozejdźcie się w spokoju. Przez głośniki puszczono pieśń Bułata Okudżawy: „*wozmiomsa za ruki druzja, czto-b*

nie propast' po odinoczkie", i kilkaset tysięcy ludzi rozpląnęło się w ciągu kilkunastu minut...

Gorbaczow zdawał sobie sprawę z tego, że w walce o popularność przegrywa z Jelcynem, a jego aparat, marzący o chińskiej drodze, gotów sprowokować jatkę – i niewiele mógł zrobić. Był gensekiem i prezydentem, skupił w ręku władzę porównywalną z władzą cara, a jednocześnie w wyniku swojej niekonsekwencji pozbawił się mechanizmów, dzięki którym dalej mógłby jednoosobowo kierować państwem.

Tymczasem wydarzenia goniły jedno za drugim. W czerwcu 1990 r. Zjazd Deputowanych Ludowych RFSRR, któremu przewodniczył Borys Jelcyn, przyjął deklarację suwerenności Rosji. Za jej przykładem podobne deklaracje przyjmowały kolejne republiki, nie tylko związkowe, ale także autonomiczne – Tatarstan, obie Osetie, a nawet takie nieformalne twory jak Naddniestrze. Nie chodziło już o suwerenność deklaratywną, ale jak najbardziej konkretną. Kazachstan ogłosił np. zakaz prowadzenia prób nuklearnych na poligonie atomowym w Semipałatyńsku, a Front Narodowy Mołdawii zapowiedział, że zamierza przyłączyć republikę do Rumunii. Państwo zaczynało pękać.

Kwestia narodowościowa, która wysunęła się na pierwszy plan, stała się znakomitym instrumentem w walce o władzę. Nie tylko między Gorbaczowem a Jelcynem, ale również między centrum a republikami związkowymi. Rządzące w nich elity partyjne, czując osłabienie władzy moskiewskiej, przejmowały hasła opozycyjnych dotychczas frontów narodowych, aby wytargować dla siebie więcej prerogatyw.

Wszystko to w dramatycznie pogarszającej się sytuacji gospodarczej, która w każdej chwili groziła potężnym konfliktem społecznym. Problemów nie rozwiązał XXVIII Zjazd KPZR – ostatni w jej kilkudziesięcioletniej historii – który zebrał się 2 lipca 1990 r. Dziś mało kto go pamięta, choć według Jakowlewa był ostatnią szansą na przejęcie przez Gorbaczowa inicjatywy i stworzenie partii socjaldemokratycznej z prawdziwego zdarzenia.

Namawiali go do tego „liberałowie”, którzy nawet zaczęli tworzyć struktury tzw. Platformy Demokratycznej w KPZR, ale Gorbaczow uznał to za zbyt radykalne i ryzykowne. Został ponownie wybrany na sekretarza generalnego KPZR, którą demonstracyjnie opuścił Borys Jelcyn, oddając na oczach milionów legitymację, a w ślad za nim inni. Podzielony zjazd nie był w stanie nawet przyjąć nowego programu partii, która w sposób oczywisty dla wszystkich kończyła swój żywot.

Konserwatywny zwrot

Latem 1990 r. pod naciskiem najbliższych doradców Gorbaczow zgodził się na rozejm z Jelcynem. Obaj podpisali tzw. program pięciu dni, przewidujący kolejną, już radykalną i całościową reformę gospodarczą. Jej podstawą miał być projekt przygotowany przez Stanisława Szatalina i Grigorija Jawlinskiego, popieranych przez Jelcyna.

Zgoda wytrzymała jednak tylko do jesieni. Napotykać frontalny opór ze strony premiera Nikołaja Ryżkowa i wicepremiera Leonida Abałkina, którzy zagrozili swoją dymisją, Gorbaczow wycofał się z tego pomysłu. To z kolei wykorzystał Jelcyn. Przystąpił do frontального ataku i zagroził, że Rosja może się oddzielić od ZSRR. Rozgorzała konfrontacja. Rada Najwyższa ZSRR przyjęła natychmiast ustawę potwierdzającą nadrzędność prawa związkowego nad republikańskim, a Rada Najwyższa RFSRR przegłosowała akt prawny niemal identycznej treści, tyle że stwierdzający nadrzędność prawa republikańskiego.

Ta otwarta wojna rosyjsko-radziecka została przegrana przez Gorbaczowa. Strukturę dawnego Związku Radzieckiego ktoś porównał do komunalki – wielkiego mieszkania sublokatorskiego, w którym każda republika zajmowała swój pokój, a Rosji przypadł w udziale tylko korytarz: długi, pozwalający nadzorować to, co dzieje się w mieszkaniu i decydować, kto pierwszy skorzysta z kuchni i wychodka, ale przecież niewygodny i nieodpowiadający ambicjom jego mieszkańców.

Atak – równoczesny z działaniami elit republikańskich, zabiegających o uzyskanie maksymalnej niezależności od centrum (do ogłoszenia niepodległości włącznie) – szedł z dwóch stron. Został wszczęty przez rosyjski beton partyjny i Ligaczowa, który zadając śmiertelny cios KPZR, doprowadził do utworzenia kontrolowanej przez siebie Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, a także przez Jelcyna, który uświadomił sobie, że Związek Radziecki jest na wpół martwy i można jak najwięcej wyrwać dla siebie. Dla wszystkich tych sił, z republikańskim aparatem partyjnym włącznie, walka o przyszłość imperium stała się w istocie frontem walki o władzę.

Gorbaczow jednak się nie poddawał. W listopadzie 1990 r. przystąpił do kontrataku. Uznał, że jedynym ratunkiem będzie zwrot w stronę skrzydła konserwatywnego. Na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR, gdy został poddany totalnej krytyce, w zaskakująco krótkim wystąpieniu przedstawił plan, który miał zapewnić wzmocnienie państwa. Rząd przekształcono w gabinet ministrów pod bezpośrednim kierownictwem prezydenta ZSRR, zwiększono uprawnienia Rady Federacji, złożonej z sekretarzy partii komunistycznych republik związkowych. Rozwiązano Radę Prezydencką, w której zasiadali znienawidzeni przez konserwę „liberałowie”, a na jej miejsce powołano Radę Bezpieczeństwa.

Pod koniec roku zmiany te zostały wprowadzone w życie. Po likwidacji Rady Prezydenckiej z otoczenia Gorbaczowa zniknęli jego współpracownicy uważani za filary pierestrojki: Jakowlew, Szewardnadze, minister spraw wewnętrznych Wadim Bakatin i inni. Pojawili się natomiast nowi: m.in. Giennadij Janajew, Walentin Pawłow i Borys Pugo. Większość z nich zdradzi Gorbaczowa w dniach sierpniowego puczu.

Rok 1991

Początek ostatniego roku w dziejach imperium radzieckiego był równie dramatyczny jak w roku

poprzednim. Wtedy było Baku, teraz Wilno i republiki bałtyckie. 11 stycznia 1991 r. na Litwie i Łotwie podjęta została próba obalenia legalnych władz. Oddziały wojsk wewnętrznych ZSRR zajęły w Wilnie budynek Domu Prasy, należący do Litewskiego Wydawnictwa KC KPZR. Podczas szturm i nocnych starć koło centrum telewizyjnego wojska desantowe użyły broni i czołgów. Zginęło czternaście osób, sto zostało rannych. Rzeczywista rola Gorbaczowa w tych wydarzeniach do dziś nie została wyjaśniona. Bo nawet jeśli przyjąć, że była to prowokacja, w którą został wmanewrowany przez szefa KGB Władimira Kriuczkowa i swoich nowych współpracowników, zwolenników rządów silnej ręki (tak twierdzą Szachnazarow i Jakowlew), to przecież tym razem – w odróżnieniu od wypadków w Tbilisi – o wszystkim wiedział i wszystko, przynajmniej początkowo, akceptował. Sytuację wykorzystał natomiast Jelcyn, który ze zbuntowanymi republikami bałtyckimi podpisał porozumienia faktycznie uznające ich niepodległość.

Kolejną inicjatywą Gorbaczowa podjętą dla ratowania jedności imperium było rozpisane na marzec ogólnonarodowe referendum, które miało odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: czy jesteś za utrzymaniem Związku Radzieckiego? Odrąbiono wielki sukces, kiedy – zgodnie z oczekiwaniami – przytłaczająca większość uczestników referendum udzieliła odpowiedzi twierdzącej. Przemilczano jednak fakt, że sześć spośród siedemnastu republik odmówiło zorganizowania głosowania u siebie. A zgoda największej republiki, Rosji, była w istocie warunkowa. Referendum? Tak, ale z dodatkowym pytaniem: czy Rosjanie chcieliby utworzenia stanowiska prezydenta? Twierdząca odpowiedź była łatwa do przewidzenia, podobnie jak i zwycięzca zapowiadanych na wiosnę wyborów powszechnych. Jelcyn. Wygrał przytłaczającą większością głosów. Gorbaczow nie mógł już temu zapobiec.

Wszystko to nakładało się na coraz bardziej dramatyczną sytuację gospodarczą. Już wcześniej

Gorbaczow jeździł po świecie niczym komiwojażer, szukając wsparcia finansowego dla radzieckiej gospodarki. Gdy jednak w marcu 1991 r. rozpadł się Układ Warszawski, stracił ostatni argument w rozmowach z zachodnimi partnerami. Dwa miesiące później zjawił się w Londynie na szczycie G-7, aby prosić o pomoc. Potraktowano go grzecznie, ale odpawiono z kwitkiem. Zachód bardziej niż radzieckich arsenałów nuklearnych bał się chaosu w ZSRR, a przestał wierzyć, że Gorbaczow zdoła go opanować. To był w istocie koniec jego nadziei. Moskiewska ulica zrozumiała to wcześniej. Gdy 1 maja, podczas tradycyjnej manifestacji na placu Czerwonym, pojawił się jak zwykle na trybunie na Mauzoleum Lenina, został najzwyczajniej wygwizdany. Zszedł z trybuny demonstracyjnie i nigdy nie powrócił.

Ostatnim ratunkiem dla rozpadającego się imperium miało być podpisanie nowej umowy związkowej, negocjowanej w podmiejskiej rezydencji w Nowo-Ogariewie. Do dziś trwają spory, czy był to sukces Gorbaczowa, czy jego porażka. Zwolennicy tej ostatniej oceny twierdzą, że przystępując do negocjacji z szefami, czy już prezydentami, dziewięciu republik związkowych (i z pominięciem parlamentów), niejako z góry rezygnował z formuły imperium jako państwa unitarnego i godził się na ograniczenie własnej władzy. Spór polityczny toczył się już tylko wokół jednego: czy nowy Związek Radziecki będzie rodzajem federacji, czy też luźniejszą konfederacją faktycznie niezależnych państw. Stronnicy przeciwnej tezy dowodzą, że po kilku miesiącach negocjacji, po wielu bojach i konfliktach Gorbaczowowi udało się jednak doprowadzić do kompromisu, a wszystko pokrzyżował sierpniowy pucz, dokonany na dzień przed planowanym podpisaniem nowej umowy związkowej. Trzydniowy zamach stanu, na którego czele stanęli w większości ludzie dopuszczeni do władzy po dokonaniu przez Gorbaczowa zwrocie na prawo, i ich porażka, zakończona trzydniową rewolucją w Moskwie, rozpoczęły przyspieszoną agonię Związku Radzieckiego.

Pucz

Gorbaczow zlekceważył wszystkie ostrzeżenia. Nie tylko z początku 1991 r., od Szewardnadzego, ale także te kierowane do niego bezpośrednio przed puczem. Ostrzegał go Jakowlew, a nawet prezydent George Bush (senior). Gdyby wstrzymał się z wyjazdem na sierpniowy urlop, może historia potoczyłaby się zupełnie inaczej.

W poniedziałek 19 sierpnia 1991 r., parę minut po godzinie szóstej, zadzwonił do mnie kolega, polski korespondent. – Dzieje się historia, a ty śpisz – powiedział. – Włącz telewizor, w ZSRR właśnie wprowadzono stan wyjątkowy. Do Moskwy ściągają czołgi.

To był mój drugi dzień pobytu w ZSRR. Po pięciu latach pracy korespondenta PAP i kilku miesiącach przerwy – znów byłem w radzieckiej stolicy, aby opisywać ciąg dalszy pierestrojki Michaiła Gorbaczowa. Tym razem jako korespondent „Rzeczpospolitej”.

Zerwałem się na równe nogi, zadowolony, że przynajmniej dzień wcześniej zdążyłem przekazać korespondencję o Aleksandrze Jakowlewie, który ostrzegał o możliwości przewrotu organizowanego przez partyjny beton. Włączyłem telewizor. Pokazywali *Jezioro łabędzie*, potem lektor czytał komunikat, że Michaił Gorbaczow jest chory i jego obowiązki pełni wiceprezydent ZSRR Giennadij Janajew, a także że powołano Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego (po rosyjsku GKChP). W jego skład oprócz Janajewa (jako przewodniczącego) weszli: premier Walentin Pawłow, szef KGB Władimir Kriuczkow, minister spraw wewnętrznych Borys Pugo, minister obrony Dmitrij Jazow, członek Biura Politycznego KPZR Oleg Szenin, sekretarz KC KPZR nadzorujący kompleks wojenno-przemysłowy Oleg Bakłanow, „główny kołchoźnik kraju” Wasilij Starodubcew i Anatolij Tizjakow – przewodniczący Asocjacji Przedsiębiorstw Państwowych oraz Obiektów Przemysłu, Budownictwa, Transportu i Łączności ZSRR.

Chciałem sprawdzić, jak wygląda wprowadzanie stanu wyjątkowego. Koło Białego Domu, czyli parlamentu (siedziby rosyjskiej Rady Najwyższej), panował absolutny spokój. Pojechałem w stronę moskiewskiej obwodnicy. Kolumny wojskowe ciągnęły do centrum miasta. Po drodze liczyłem wozy bojowe – transportery opancerzone i czołgi. 10, 20, 30... Wojsko zajmowało strategiczne obiekty, zgodnie z praktyką sprawdzoną niegdyś przez bolszewików: pocztę, dworce, najważniejsze urzędy państwowe.

Zbierając materiały do korespondencji, przeżyłem jeden historyczny moment: około jedenastej przed Białym Domem pojawił się Borys Jelcyń, który dzień wcześniej wrócił ze spotkania z Nazzarbazewem w Kazachstanie. Wszedł na czołg i ogłosił, że to nie żaden Komitet Stanu Wyjątkowego, ale zwykły antykonstytucyjny pucz, zamach na wolność i demokrację, którego organizatorzy poniosą odpowiedzialność. Rosja się im nie podporządkuje, będzie stała na straży porządku konstytucyjnego. Rozmawiałem potem z kolegami, świadkami tego wystąpienia. Byli zgodni: koło czołgu, z którego przemawiał prezydent Rosji, stało najwyżej kilkaset osób. Ale potem z każdą godziną przybywało ich coraz więcej. W poprzek Prospektu Kalinina (dziś Nowoarskiego) zaczęto budować barykady. Kilka czołgów dowodzonych przez majora Jewdokimowa z gwardyjskiej Dywizji Tamańskiej przeszło na stronę Jelcyna. Po rozmowie z wiceprezydentem Rosji generałem Aleksandrem Ruckim miały odtąd bronić dostępu do Białego Domu.

Mimo otwartego konfliktu, groźby bezpośredniego starcia i wszystkich rygorów stanu wyjątkowego – rosyjski parlament był właściwie otwarty dla dziennikarzy i korespondentów zagranicznych. Wystarczyło pokazać akredytację, aby bez przeszkód dostać się do środka, porozmawiać z deputowanymi Rady Najwyższej RFSRR lub wejść na salę obrad.

Po południu odbyła się (jedyna) konferencja prasowa członków GKChP. Przewodniczący Jana-

jew długo tłumaczył, dlaczego zdecydowano się na taki krok. Bo Gorbaczow jest chory, bo państwo radzieckie znajduje się w stanie rozkładu i trzeba przywrócić porządek w kraju, a planowane na 20 sierpnia podpisanie nowego układu związkowego, który miał zmienić charakter państwa radzieckiego z unitarnego na federacyjne, musi zostać odroczone. Prawdopodobnie na zawsze, bo nikt z obecnych w centrum prasowym nie miał wątpliwości, że właśnie chęć zablokowania tego układu jest jednym z głównych powodów zamachu stanu.

Symbolem tej konferencji były pokazane w telewizji trzęsące się ręce Janajewa. Mówiono wówczas, że to skutek nerwowego napięcia, a może nawet wewnętrznego konfliktu moralnego. Jak się później okazało, przyczyna była bardziej prozaiczna. Dzień wcześniej, po wieczornej naradzie na Kremlu z udziałem najważniejszych aktorów dramatu, na której podpisano podstawowe dokumenty i dekrety, a także ostatecznie ustalono, kto zostanie przewodniczącym GKChP oraz twarzą puczu, większość przeniosła się do nowego szefa państwa i piła do rana. Premier Walentin Pawłow, o którym wiadano, że ma problemy z alkoholem, ciągnął tak ostro, że nazajutrz (czyli pierwszego dnia puczu) musieli interweniować lekarze. Praktycznie został wyłączony, choć gdy już doszedł do siebie, pił dalej na daczach – aż do aresztowania.

Napięcie wzrosło dopiero następnego dnia, gdy do Białego Domu dotarły informacje, że puczyści postanowili zmienić taktykę. Dotąd – mówiono – działali według scenariusza czeskiego, z czasów praskiej wiosny. Zakładali, że wystarczą pozory legalności (chory Gorbaczow i konstytucyjnie wybrany wiceprezydent Janajew, przejmujący jego obowiązki), a także demonstracja siły. Gdy jednak okazało się, że w ten sposób nic się nie da zrobić i właściwie przegrali pierwszy moment zaskoczenia, postanowili powtórzyć wariant ze stycznia 1991 r., gdy próbowano szturmować na parlament litewski i wieżę telewizyjną w Wilnie.

Scenariusz litewski

W KGB i gabinetach Ministerstwa Obrony zaczęto w pośpiechu przygotowywać plany zdobycia Białego Domu i aresztowania Jelcyna, jego współpracowników, a także czołówki znienawidzonej przez puczystów opozycji demokratycznej oraz liderów pierestrojki (m.in. Aleksandra Jakowlewa).

Koło parlamentu, bronionego przez coraz liczniej gromadzących się przeciwników puczu, zaczęli pojawiać się agenci KGB oraz Alfy (specjalnej jednostki KGB, która zasłynęła w Afganistanie, szturmując silnie chroniony pałac prezydencki, aby zabić prezydenta Amina). Na podstawie ich doniesień ustalano, które jednostki wojsk wewnętrznych i powietrzno-desantowych wspierać będą Alfę, kiedy otworzą ogień czołgi i kto będzie ostrzeliwał poszczególne piętra z granatników, wreszcie – jak mają działać alflowcy, gdy już przebiją się do środka (wiązka granatów do każdego pokoju, serie z automatów, a potem aresztowanie tych, którzy to wszystko przeżyją). Dokładnie tak samo, jak w Kabulu.

Ale sytuacja zaczęła się zmieniać, bo swoje dekrety podpisał i ogłosił również Jelcyn. Podporządkował władzom rosyjskim wszystkie związkowe struktury Ministerstwa Obrony, KGB i MSW działające na terenie RFSSR. To było wprost rzucone wyzwanie. I jeśli wcześniej puczyści mogli liczyć na to, że jakoś się dogadają z rosyjskim prezydentem, którego rywalizacja z Gorbaczowem była powszechnie znana, to teraz walka toczyła się na śmierć i życie.

Mistrzowskim posunięciem Jelcyna okazało się zwołanie 20 sierpnia w godzinach południowych wielkiego wiecu koło Białego Domu. Już wiadano o przygotowywanym szturmie; informację o nim, dokładne plany, a także godzinę 0 – wyznaczoną na trzecią rano w nocy z 20 na 21 sierpnia – przekazał do rosyjskiego parlamentu gen. Paweł Gracchow (późniejszy minister obrony Rosji), ściągnięty do Moskwy przez puczystów z jego jednostkami wojsk powietrzno-desantowych.

Obrona Białego Domu

Byłem na tym wiecu. Robił wrażenie. Na apel władz rosyjskich pod siedzibę parlamentu przyszło 50 tys., a może nawet 100 tys. ludzi, większość została tu przez całą noc. Najpierw przemawiał Jelcyn, ochraniający płytami kuloodpornymi. Zapowiadał zdecydowany opór i wzywał do obrony demokracji, konstytucji i legalnie wybranego prezydenta Gorbaczowa. Po nim przemawiali Jelena Bonner – wdowa po Andrieju Sacharowie, a także o. Gleb Jakunin – jeden z liderów opozycji demokratycznej, prawosławny pop, wyklęty później przez Cerkiew. Wiec trwał kilka godzin. W tym czasie na rozkaz władz rosyjskich drogi dojazdowe do Białego Domu zostały zablokowane ciężarówkami, autobusami i trolejbusami, wzmocniono barykady i zorganizowano obronę wszystkich wejść do rosyjskiego parlamentu. Utworzono i po wojskowemu zorganizowano zupełnie niezłe uzbrojone oddziały obrońców...

Najważniejsi okazali się jednak ci, którzy po prostu przyszedli pod rosyjski parlament, aby bronić demokracji i wolności. A także kobiety, które w kilku szeregach, trzymając się za ręce, przegrodziły Prospekt Kutuzowski, by – niczym żywe tarcze – zablokować czołgom i wojsku dostęp do parlamentu. Przecież – przekonywały – żołnierze nie będą strzelać do kobiet...

W pewnym sensie miały rację. Najpierw do buntu doszło w samej Alfie, o której mówiono, że na sam jej widok lepiej złożyć broń. Szeregowi specnazowcy sprzeciwili się planom swoich dowódców i uznali, że wobec masowej obrony Białego Domu operacji „Grom” (czyli szturm na rosyjski parlament) nie da się wykonać bez setek ofiar, a takiej rzezi nie chcą brać na swoje sumienie.

W tym samym czasie również w dowództwie wojskowym zrozumiano, że awantura zaczyna przybierać niebezpieczne rozmiary i lepiej się w nią nie angażować. Wprawdzie marszałek Jazow domagał się zdecydowanych działań, ale w krytycznym momencie, gdy wszystko zależało od

tego, czy Paweł Graczow wyda swoim jednostkom rozkaz natarcia na Biały Dom, jego komenda brzmiała: *stojat'*.

To wszystko działo się za kulisami. W otoczeniu Jelcyna już wiadano, że szturm nie będzie, ale alarm obowiązywał. Przez całą noc z wtorku na środę sytuacja była maksymalnie napięta. Na Sadowym Kolcu, niecały kilometr od Białego Domu, w przejeździe pod Prospektem Kalinina obrońcy parlamentu usiłowali zatrzymać oddział wojska. Ktoś próbował własnym ciałem zatarasować drogę, ktoś inny usiłował wyciągnąć z transportera żołnierzy. Padły strzały, zginęły trzy osoby. Jedyne ofiary śmiertelne tego puczu.

I to był koniec. Następnego dnia, gdy rano poszedłem do Białego Domu, panowała już atmosfera zwycięstwa. Debatowano, kto poleci do Foros, by uwolnić Gorbaczowa, jaki ma być dalszy los puczystów... A kiedy już ustalono skład ekipy i kto będzie towarzyszył wiceprezydentowi Rosji Aleksandrowi Ruckiemu, okazało się, że trzeba się ścigać z puczystami, którzy również wybierają się do Gorbaczowa, aby w ostatniej chwili próbować jeszcze odwrócić bieg wydarzeń.

Rewolucja po puczu

Puczyści spóźnili się i nie byli w stanie uratować własnych głów. Większość została aresztowana bezpośrednio po powrocie do Moskwy, na rządowym lotnisku Wnukowo 2, albo kilka dni później; w przypadku Pawłowa czekano, aż dojdzie do siebie. Niektórych nie zdążono aresztować. Minister spraw wewnętrznych Borys Pugo zastrzelił się, zanim przyszedł po niego z nakazem zatrzymania. Nikołaj Kruczina, szef wydziału administracyjnego KC KPZR, odpowiedzialny za jej finanse (w dniach puczu niewidoczny), nie wiadomo dlaczego popełnił samobójstwo, rzucając się z okna. Samobójstwem też zakończył bliski doradca Gorbaczowa we wszystkich rozmowach rozbrojeniowych marszałek Achromiejew – powiesił się w swoim gabinecie. Choć nie był brany pod uwagę przez

puczystów, przerwał urlop i sam się zgłosił do GKČP, bo – jak napisał tuż przed śmiercią w liście do Gorbaczowa – w całości podzielał ich racje.

Po trzech dniach puczu w Moskwie zaczęła się rewolucja. Po powrocie Gorbaczow, zamiast prosto z samolotu udać się do Białego Domu i spotkać się z rosyjskimi deputowanymi, którym zawdzięczał uwolnienie, pojechał do domu. Zdaniem Szachnazarowa stracił ostatnią szansę, aby w tej nowej Rosji, jaka się wówczas rodziła, zachować pozycję przywódcy.

Do oficjalnego spotkania z rosyjskimi deputowanymi doszło dopiero następnego dnia, 23 sierpnia. Byłem wówczas w Białym Domu. Gorbaczow wygłosił chyba najgorsze w swym życiu przemówienie, utrzymane w jego klasycznym stylu, na zbyt ogólnikowe. Sprawiał wrażenie, jakby kręcił i niczego nie rozumiał z tego, co się stało – że jego państwa i władzy już faktycznie nie ma. Za to Jelcyn triumfował, nie szczędząc Gorbaczowowi gorzkich słów prawdy i umiejętnie dawkowej krytyki, by na koniec na sali obrad w obecności deputowanych demonstracyjnie podpisać dekret o delegalizacji KPZR, której sekretarzem generalnym Gorbaczow wciąż jeszcze pozostawał.

Wieczorem na Łubiance, przed siedzibą KGB, zaczął się gromadzić wielotysięczny tłum. Ściągniętym dźwiękiem obalono pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Tłum ruszył następnie na położoną kilkaset metrów dalej Starą Płoszczadź, gdzie znajdowała się siedziba KC KPZR. Usiłowano wdrzeć się do środka i zająć budynki, aby nie dopuścić do zniszczenia dokumentów. Częściowo się to udało. Szachnazarov napisał potem w swoich pamiętnikach, że jego przyjaciel Anatolij Czerniajew (również doradca Gorbaczowa) osobiście mógł się przekonać, że wcześniejsze plotki o istnieniu tajnego, podziemnego przejścia ze Starej Płoszczadi do Kremla były prawdziwe. Właśnie tą drogą w krytycznym dniu ewakuował się z gmachu KC, zabierając najważniejsze dokumenty.

Po obaleniu pomnika Dzierżyńskiego, gdy tłum demonstrantów szturmował gmach KC i zamierzał

udać się na plac Oktiabrski (dziś Kałużski), aby rozprawić się również z pomnikiem Lenina, zjawili się przedstawiciele Białego Domu. Pamiętam wśród nich Siergieja Stankiewicza – jednego z liderów opozycji demokratycznej. Udało się im przekonać tłum. Rewolucja została opanowana.

Ostatni dzień ZSRR

Pucz i wydarzenia następnych dni to był rzeczywisty koniec radzieckiego imperium. Do puczu Związek Radziecki zsuwał się po równi pochyłej, ale istniała jeszcze jakaś szansa na to, że przetrwa, nawet w odmienionej formie. Teraz czekała go już tylko przyspieszona agonia.

Gorbaczow, niczym Napoleon po ucieczce z Elby, zyskał jeszcze swoje sto dni, a dokładnie sto dziesięć. Coś jeszcze próbował zrobić i mimo wszystko doprowadzić do podpisania nowej umowy związkowej. Już tylko on w to wierzył. Stawał na głowie, aby przekonać przywódców republik (przede wszystkim Rosji i Ukrainy) do pozostania przy wynegocjowanym wcześniej federacyjnym kształcie państwa, ale oni chcieli już luźniejszej konfederacji, a naprawdę każdy gotów był pójść w swoją stronę. To także był pośredni skutek puczu. Unaocznili wszystkim, że władza centralna, związkowa, nie sięga poza Moskwę, skoro wszystkie republiki związkowe mniej lub bardziej dyplomatycznie albo całkowicie zignorowały dekrety GKCzP, albo otwarcie wystąpiły przeciwko, mając świadomość, że Moskwa nic już im nie zrobi. Władza Gorbaczowa okazała się iluzoryczna, ograniczona w najlepszym razie do murów Kremla, a raczej do kilku zajmowanych przez niego kremlofskich gabinetów.

To było podczas wielkiej manifestacji zwycięstwa i triumfu, gdy składano hołd trzem ofiarom GKCzP, a Prospektem Kalinina niesiono długą, chyba stumetrową, trójkolorową flagę rosyjską. Udało mi się dostać na balkon Białego Domu, zastępujący trybunę. Rozmawiałem z Olegiem Rumiancewem, jednym z działaczy opozycji demokratycznej,

którego poznałem podczas wielkich demonstracji moskiewskich w 1989 r. Podszedł do nas Rusłan Chasbułatow, ówczesny przewodniczący Rady Najwyższej RFSRR. Na pytanie Olega: – Zwyciężyliśmy i co dalej? – Chasbułatow zdziwiony pytaniem odpowiedział: – Jak to co? Przejmujemy wszystko, banki, przedsiębiorstwa, zakłady...

Gorbaczow był już nikim. Prace nad nowym układem związkowym toczyły się jeszcze siłą inercji, ale poza Gorbaczowem nikomu na nim nie zależało. Tak jak i na KPZR, którą bez większego szumu rozwiązano. Równie szybko skończył się sierpniowy sojusz Gorbaczowa i Jelcyna. I chociaż jeszcze 14 listopada 1991 r. prezydent Rosji deklarował wolę odnowienia państwa związkowego, to w głębi duszy już się z nim pożegnał. – W jednym barłogu – mówił w wąskim gronie zaufanych współpracowników – nie może być miejsca dla dwóch niedźwiedzi.

W finale, jak opisuje go Szachnazarow, gra toczyła się w trójkącie Gorbaczow – Jelcyn – Krawczuk. Ten pierwszy usiłował za wszelką cenę ratować ZSRR i godził się nawet na konfederację, podczas gdy Jelcyn szantażował go, twierdząc, że Krawczuk – czyli Ukraina – i tak się na to nie zgodzi, a bez Ukrainy układ nie ma sensu. Radziecki parlament o niczym już nie decydował. Realna władza należała do Rady Państwa, tworzonej przez dziewięciu szefów republik związkowych, której tylko formalnie przewodniczył prezydent ZSRR. Mógł on co najwyżej przekonać deputowanych na V Nadzwyczajnym Zjeździe, aby zjazd sam się związał. I większość to przegłosowała.

Gorbaczow był prezydentem bez państwa. Nawet Kreml nie należał do niego w całości. Miał swoje piętro, ale wjazdowej Bramy Spasskiej i Borowickiej pilnowali ochroniarze Jelcyna.

25 listopada doszło do kolejnego sporu między Gorbaczowem i Jelcynem, po którym stało się jasne, że próby ratowania Związku skazane są na niepowodzenie. Na posiedzeniu Rady Państwa szefowie republik mieli parafować nowy układ związkowy. O głos poprosił Jelcyn i zakomunikował

wał, że Rosja nie zgadza się z przyjętymi zapisami. W układzie – oświadczył – mowa jest o „państwie konfederacyjnym”, a powinna to być luźniejsza forma „konfederacji państw demokratycznych”. Zagroził, że w przeciwnym razie Rada Najwyższa Rosji może układu nie ratyfikować, bez Ukrainy *Sojuza nie budiet* i lepiej poczekać do 1 grudnia, gdy będą znane wyniki ukraińskiego referendum w sprawie niepodległości Ukrainy. Gorbaczowa poparli jedynie prezydenci Kazachstanu – Nazarba-jew i Kirgizji – Akajew.

Ostateczny wyrok zapadł krótko po ukraińskim referendum. Gorbaczow gotów był zgodzić się na zmianę statusu Ukrainy jako „członka stowarzyszonego”, ale było już za późno. W referendum, w którym postawiono tylko jedno pytanie: czy zgadzacie się z aktem ogłoszenia niepodległości Ukrainy – przeszło 90 proc. spośród blisko 32 mln głosujących (ponad 84 proc. uprawnionych) odpowiedziało „tak”.

8 grudnia w Wiskulach w Puszczy Białowieskiej zebrali się przywódcy trzech republik słowiańskich: Borys Jelcyn, Leonid Krawczuk i Stanisław Szuszkiewicz. Ten ostatni kategorycznie protestuje przeciwko posądzeniom, że zawiązano wówczas spisek. Według jego relacji (w wywiadzie, którego udzielił w 1998 r. „Rzeczpospolitej”) wszystko wyglądało tak: już 21 października, podczas spotkania przywódców republik związkowych w Nowo-Ogariewie i po kolejnej awanturze wokół projektu porozumienia związkowego, narodził się pomysł, aby zaprosić Jelcyna na Białoruś. Później do zaproszenia dołączono Leonida Krawczuka, a także Nursułtana Nazarabajewa. Ten ostatni bał się jednak awantury i w drodze na Białoruś zatrzymał się w Moskwie, spotkał z Gorbaczowem – i dalej nie polecał. (Podobno Gorbaczow obiecał mu wówczas, że w nowym państwie związkowym, jeśli takie powstanie, będzie miał zagwarantowane stanowisko przewodniczącego parlamentu).

Według relacji Szuszkiewicza Giennadij Burbulis, najbliższy doradca Jelcyna, uważany za szarą eminencję jego ekipy, jako pierwszy postawił bez

ogródek fundamentalne pytanie: a może by tak zastanowić się nad problemem, czy ZSRR w ogóle jeszcze istnieje? Możemy formalnie ogłosić, że przestał istnieć. Okazało się wtedy, że nikt przeciwko temu nie oponuje. – W Wiskulach – mówił Szuszkiewicz – mieliśmy do wyboru: albo w sposób kategoryczny przedstawimy Gorbaczowowi nasze żądania, albo w ogóle nie będziemy na niego zwracać uwagi. Wybraliśmy to drugie.

Pozostawało już tylko przygotować stosowny dokument, który na miejscu zredagowano, no i podpisać. A potem oficjalnie poinformować Gorbaczowa, że jego państwa już nie ma. To zadanie spadło na Szuszkiewicza. Jelcyn miał natomiast nieco później porozmawiać z prezydentem Georgem Bushem. Wyszło tak, że rozmawiali prawie jednocześnie, bo Szuszkiewicz długo musiał czekać na połączenie z Gorbaczowem. – Kiedy powiedziałem Michaiłowi Siergiejewiczowi o podjętych przez nas decyzjach – opowiadał później Szuszkiewicz – zapytał mnie, czy zdaję sobie sprawę, jak zostaną przyjęte przez społeczność międzynarodową. Odpowiedziałem, że rozumiem, ale Jelcyn właśnie rozmawia z Bushem i jemu też się one podobają.

I było po wszystkim. Gorbaczow mógł odwołać się do armii, mógł po prostu aresztować „białowiejskich spiskowców”. Miał do tego konstytucyjne prawo, a nawet obowiązek wystąpić w obronie państwa, którego był legalnym prezydentem. Jednak tego nie zrobił. Graczow twierdzi, że chciał uniknąć krwawego konfliktu politycznego czy nawet wojny domowej. Ale może po prostu zrozumiał, że zapoczątkowany przez niego proces osiągnął logiczne zakończenie; powiedział „a”, „b” i „c”, a teraz doszedł do „z”. Tylko tę ostatnią literę alfabetu wypowiedział już ktoś inny.

* * *

25 grudnia 1991 r. wieczorem Michaił Gorbaczow ogłaszał przed kamerami abdykację ze stanowiska prezydenta ZSRR. Krótko potem pojechałem na plac Czerwony. Chciałem zobaczyć, jak z Pałacu

Kremlowskiego spuszczałą czerwoną flagę radziecką, a podnoszą nową, trójkolorową – demokratycznej Rosji (tak wówczas mówiono). Na placu Czerwonym panowała kompletna cisza. Ruch – jak zwykle o tej porze. Pojedyncze grupy turystów, trochę przechodniów i milicjantów, przez 24 godziny na dobę pilnujących tego miejsca... To było szokujące. Taki moment, historia dokonuje się na naszych oczach i nic się nie dzieje. Ani protestujących, ani demonstracji triumfu i entuzjazmu, takich jak ta ostatnia, sprzed niespełna czterech miesięcy, gdy sto tysięcy moskwan świętowało zwycięstwo Jelcyna i opozycji demokratycznej po nieudanym puczu. Umiera radzieckie imperium i jest cisza...

Krótko po odejściu Gorbaczowa rozmawiałem z moją znajomą Iriną. Zawsze stała po stronie opo-

zycji demokratycznej, uważała się za liberała i popierała Jelcyna. A teraz była wściekła. Jak to? – pytała. – Mam starać się o wizę, żeby pojechać do rodziny na Łotwę? Długo nie mogła się z tym pogodzić, że to jest już całkowicie suwerenne państwo.

Wiek XX rozpoczął się z opóźnieniem – z wybuchem pierwszej wojny światowej, a może nawet jeszcze później, gdy dokonana się rewolucja bolszewicka, która – jak pisał John Reed – „wstrząsnęła światem”. Skoro tak, równie dobrze można powiedzieć, że ten najkrótszy wiek w historii także skończył się przed terminem: właśnie 25 grudnia 1991 r., gdy na Kremlu spuszczano flagę radzieckiego imperium. Przestał istnieć budowany przez dziesięciolecia dwubiegunowy model ładu światowego, a nowy ciągle jeszcze się rodzi.

SOLIDARNOŚĆ – MIĘDZY RZECZYWISTOŚCIĄ A UTOPIĄ

EDMUND WNUK-LIPIŃSKI

ALAIN TOURAINE [i in.], *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981*, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2010, ss. 334;

JADWIGA STANISZKIS, *Samoograniczająca się rewolucja*, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2010, ss. 382.

Fenomen ruchu społecznego, który przybrał nazwę Solidarność, od samego początku swego istnienia jest zagadką intelektualną oraz wyzwaniem badawczym dla nauk społecznych nie tylko w Polsce, ale i na świecie. Bowiem na oczach zdumionego świata, w kraju rządzonym przez komunistów i włączonym – na podstawie umów jałtańskich – w obręb sowieckiej strefy wpływów powstał odolnie blisko dziesięciomilionowy ruch społeczny, który zorganizował się w ciągu około sześciu tygodni i utworzył struktury terenowe w całym, niemal w końcu kraju, podporządkowanym ZSRR i rządzonym autorytarnie przez ponad trzy dekady. Było to prawdziwe tsunami społeczne, którego masowość i szybkość powstania zaskoczyła wszystkich (łącznie z uczestnikami samego ruchu). Świat obserwował te wydarzenia ze zdumieniem, ale także z narastającym niepokojem, bowiem dla wszystkich badaczy i obserwatorów tego zjawiska stawało się coraz bardziej jasne, że po powstaniu Solidarności blok sowiecki nie będzie już taki sam jak poprzednio, a krucha równowaga sił na świecie, oparta na doktrynie wzajemnego odstraszania nuklearnego, może lec w gruzach. Toteż nie dziwiła reakcja Helmuta Schmidta na rozwój sytuacji

w Polsce. Wprowadzenie stanu wojennego zastało kanclerza w czasie wizyty u Ericha Honeckera i kiedy dowiedział się, co się stało w Polsce, poparł stan wojenny i odetchnął z ulgą, bo zapewne myślał, że znów „spokój zapanuje w Warszawie”.

Ale tak się nie stało. Z różnych powodów normalizacja w stylu Gustáva Husáka, wprowadzona w Czechosłowacji po zgnieceniu praskiej wiosny w 1968 r. – w Polsce się nie udała. Stan wojenny w sensie operacyjnym był sukcesem, ale w sensie politycznym i społecznym okazał się wejściem w ślepy zaułek. Ruch Solidarności był żywotniejszy, niż zakładali to autorzy stanu wojennego. Tym silniejsze było zapotrzebowanie na pogłębione analizy tego ruchu społecznego, a zwłaszcza na odpowiedź na pytanie, z czym właściwie mamy do czynienia: związkiem zawodowym? Powstaniem narodowym? Rewolucją? Wybuchem społeczeństwa obywatelskiego? Emanacją walki klasowej (wszak Solidarność była w swym rdzeniu ruchem plebejskim), a może – masowym ruchem religijnym, bo przecież symbole i rytuały religijne były integralnym elementem tego zjawiska?

I wówczas – jakby na zamówienie – w pierwszych miesiącach stanu wojennego pojawiły się na

Zachodzie dwie książki, których autorzy podjęli ambitną próbę odpowiedzi na to nurtujące wszystkich pytanie: jak rozumieć wydarzenia w Polsce i czym jest główny ich aktor zbiorowy, czyli Solidarność. Powstające równolegle, choć bez wzajemnego związku, w okresie gorących dni legalnego działania pierwszej Solidarności były nie tylko akademicką próbą zbadania i zrozumienia tego, co się dzieje, ale także – niekiedy mimowolnym – zapisem klimatu owych szczególnych dni, kiedy działa się Historia. Pierwsza z nich to *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981* autorstwa Alaina Touraine’a i zespołu, druga zaś to *Samoograniczająca się rewolucja* Jadwigi Staniszkis.

Obie książki – wydane ostatnio w polskim przekładzie przez Europejskie Centrum Solidarności – od kiedy zostały opublikowane, stały się pozycjami kanonicznymi w obfitej już dzisiaj, krajowej i zagranicznej literaturze poświęconej fenomenowi Solidarności. Niektóre sformułowania używane w tych analizach weszły do powszechnej publicystyki, a nawet języka potocznego (jak choćby tytułowa „samoograniczająca się rewolucja” z książki Staniszkis), choć dostępność tych książek była wówczas bardzo ograniczona. A to jest najlepszy wskaźnik wpływu owych analiz i interpretacji na względnie powszechne postrzeganie tego, co się wtedy w Polsce wydarzyło.

Książki te są opisem tego samego zjawiska społecznego, pojawiają się w nich ci sami aktorzy pierwszo- i drugoplanowi, odnotowywane są te same wydarzenia, a jednak różnią się one dość zasadniczo. Odmienna jest bowiem stosowana orientacja badawcza, metodologia i organizacja badań, a także perspektywa teoretyczna. Książka pisana pod kierunkiem Alaina Touraine’a jest wynikiem pracy zespołu socjologów francuskich i polskich. Wśród tych ostatnich są nazwiska Jana Strzeleckiego (został zamordowany na Wiskostradzie w Warszawie w nocy z 29 na 30 czerwca 1988 r. w tajemniczych okolicznościach), Grażyny Gęsickiej (zginęła w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem w 2010 r.), Tadeusza Chabieri, Anny

Kruczkowskiej (Bikont), Ireneusza Krzemińskiego, Pawła Kuczyńskiego (który polskie wydanie opatrzył pięknym posłowiem), Anny Matuchniak, Małgorzaty Melchior, Krzysztofa Nowaka, Włodzimierza Pańkowskiego i Doroty Reczek. Pisana jest ona w logice tzw. interwencji socjologicznej, według której badani (w tym przypadku – działacze ówczesnej Solidarności) stają się zarazem aktywnymi analitykami zmienianej przez ich działania rzeczywistości społecznej. Była to obserwacja powstawania i dynamiki nowego, masowego ruchu społecznego, prowadzona – z pomocą socjologów – przez aktorów wydarzeń rozmaitych szczebli w najważniejszych terytorialnie ośrodkach Solidarności. Jest to więc owoc systematycznej pracy badawczej dużego zespołu, poprzedzonej mrocznym gromadzeniem relacji odnoszących się do punktów zwrotnych rodzącego się ruchu.

Książka Staniszkis jest zupełnie inna zarówno w warstwie metodologicznej, jak i w temperaturze emocji, towarzyszących Autorce w uczestniczącej obserwacji tego, co się wokół niej działo (Jadwiga Staniszkis była obecna jako ekspert w Stoczni Gdańskiej im. Lenina w okresie strajku sierpniowego w 1980 r.). Praca Staniszkis jest próbą nadania sensu teoretycznego wielkiej przemianie, której była naocznym świadkiem i aktywnym uczestnikiem. Ów sens teoretyczny stara się wydobyc z własnych obserwacji, nielicznych dokumentów, a nawet wydarzeń anegdotycznych czy doniesień prasowych. Temperatura emocjonalna tych tekstów, pisanych na gorąco, w trakcie działania się opisywanych wydarzeń, jest wyraźnie widoczna i niemała. A jednak mimo braku dystansu mamy tu do czynienia z ważną refleksją poszukującą znaczeń trudno zauważalnych dla zwykłego obserwatora. Książka Staniszkis jest empirycznym dowodem na poznawczą użyteczność tego, co Mills nazywał „wyobraźnią socjologiczną”, bowiem właśnie socjologiczna wyobraźnia Autorki umożliwiła jej nowatorskie definiowanie sytuacji społecznych, których była częścią, a także danie nazwy zjawiskom jeszcze nienazwanym, niejasnym

zarówno w ich przebiegu, jak i konsekwencjach społecznych.

Edycja Europejskiego Centrum Solidarności poprzedzona jest współczesnym *Wprowadzeniem* Autorki, z którym fundamentalnie się nie zgadzam. Jest to bardzo doraźna publicystyka, podporządkowana dość karkołomnej tezie, że dzisiejsza Platforma Obywatelska jest w istocie podobna do monopartii komunistycznej w jej późnej fazie istnienia. Kilka razy we *Wprowadzeniu* deklaruje Autorka, że jest przerażona tym, co dzieje się w dzisiejszej Polsce. Jest więc przerażona, bo jej książka jest nadal bardzo aktualna, zwłaszcza w wymiarze opisu „praktyk komunistycznej monopartii lat siedemdziesiątych, w jej już postideologicznej, »polimorficznej« fazie pochłaniania państwa, z dzisiejszą, upartyjniającą państwo, zoligarchizowaną partią władzy, na przykład w Rosji. Ale także – u nas”. Przeraża też Autorkę jej własna konstatacja, że dzisiejsza „partia władzy” (czyli Platforma Obywatelska) „umiejętnie akumuluje władzę, ale nie potrafi jej używać dla wspólnego dobra”, że zwyciężył projekt technokratyczny, który zabija marzenia z okresu pierwszej Solidarności. Dla Autorki ucieleśnieniem kontynuacji tych marzeń zdaje się być dziś Jarosław Kaczyński. Píše ona we *Wprowadzeniu*: „Permanentna edukacja, dostęp do rzetelnej wiedzy (Wszechnica Solidarności) to była jedna z dróg [sięgania po te marzenia – E.W.L.]. Ostatnim akordem i próbą zmierzenia się z tymi marzeniami była dygresja Jarosława Kaczyńskiego w czasie wiecu w Rawie Mazowieckiej (czerwiec 2010 r.), gdy mówił – do coraz bardziej rozpromienionych okolicznych mieszkańców – iż legenda zamku w Rawie stała się kanwą jednej ze sztuk Szekspira. Potrzeba uczestniczenia w czymś wyższym, przekroczenia siebie, wraz z odkryciem, że taką możliwość daje uczestnictwo i zdobywanie wiedzy – to były wątki, które zapamiętałam z Sierpnia 1980”.

Nie wiem, dlaczego Jadwidze Staniszkis nie przeszkadza w tych refleksjach fakt, iż po 1989 r. przeżyliśmy i przeżywamy nadal prawdziwy *boom*

edukacyjny, że współczynnik skolaryzacji w Polsce należy dziś do najwyższych w Europie, a liczba studentów jest niewiele niższa niż w znacznie większych ludnościowo Niemczech. Nie wiem, dlaczego dość banalna i prowincjonalna w swej wymowie anegdota z wiecu wyborczego miałyby czynić z Jarosława Kaczyńskiego ostatniego obrońcę solidarnościowych marzeń. Nie wiem, w jaki sposób Autorka doszła do wniosku, że „stworzone po 1989 roku instytucje państwa i rynku nie są nastawione na realizowanie (gwarantowanie) godności i sprawiedliwości. Odwrotnie – często obie te wartości niszczą. Uświadomiłam sobie też – pisze Staniszkis – że panująca u nas »demokracja wyborcza« (czy – jak określają niektórzy – »medialna«) nie jest w stanie temu zaradzić”. Po pierwsze instytucje żadnego państwa nie są w stanie realizować (a tym bardziej – zagwarantować) godności. Mogą najwyżej respektować godność jednostki. Godność człowieka jest jego wewnętrzną postawą. Po drugie realizowanie czy wręcz zagwarantowanie sprawiedliwości przez państwo jest postulatem pustym dopóty, dopóki nie zdefiniuje się samego pojęcia sprawiedliwości. Socjalista inaczej rozumie to, co sprawiedliwe niż liberał czy konserwatysta. Te odmienne definicje sprawiedliwości są jednym z czynników różnicujących profile ideologiczne rozmaitych ugrupowań politycznych, ubiegających się o władzę, aby m.in. realizować swój ideał sprawiedliwości społecznej. Po trzecie wreszcie – nie ma czegoś takiego jak „demokracja niewyborcza”. Wszak wolne, uczciwe i konkurencyjne wybory są podstawowym kryterium pozwalającym odróżnić ład demokratyczny od autorytarnego.

W końcowej części *Wprowadzenia* pisze Autorka: „Dziś – oddając do lektury tę książkę – pytam: czemu nie udało się wprowadzić w życie solidarnościowej utopii?”. Odpowiadam: bo to była utopia.

Każdy przełom rewolucyjny, a zapowiedzią takiego przełomu było pojawienie się oddolnego, masowego ruchu społecznego w państwie komunistycznym, karmi się utopią. Bo jedynie marzenie o tym, że po zwycięstwie wszyscy będą wolni,

równi i braterscy, jest w stanie zmienić zwykłych „zjadaczy chleba” w bojowników Sprawy, którzy w tym wyjątkowym momencie historycznym są w stanie zaryzykować wiele (łącznie z własnym życiem), by Sprawa zwyciężyła. Ostra dychotomia moralna odczuwana przez uczestników ruchu rewolucyjnego (choćby i samoograniczającego się) pozwala im przetrwać nawet surowe represje *ancien régime’u*. Kiedy rewolucja przegrywa, utopia przeradza się w mit, będący punktem odniesienia marzeń następnych pokoleń. Kiedy jednak wygrywa, zaczyna się realne życie, a kończy się rewolucyjne święto. Bowiem rewolucja jest pewnego rodzaju świętem, w czasie którego realne życie jest wzięte w nawias. W swoim publicystycznym *Wprowadzeniu* Jadwiga Staniszkis wyraża tęskno-

tę za owym świętem. Pragnęłaby, aby święto to było kontynuowane tak długo, aż zmaterializuje się „solidarnościowa utopia”. Czyli – permanentnie. W historii myśli politycznej pojawiały się już koncepcje „permanentnej rewolucji”, ale nie sądzę, aby Autorka – wiedzona impulsem doraźnych sympatii i antypatii politycznych – chciała być z nimi kojarzona.

Książka Jadwigi Staniszkis, pomimo owego współczesnego komentarza, broni się wnikliwością analiz historycznego przełomu, który w konsekwencji doprowadził do zmiany porządku globalnego. Podobnie jak książka zespołu Alaina Touraine’a weszła na trwałe do kanonu publikacji opisujących najważniejsze wydarzenia mojego pokolenia.

KRONIKA SOLIDARNOŚCI

PAWEŁ SOWIŃSKI

NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 2: *Ruch społeczny*, red. Łukasz Kamiński, Grzegorz Waligóra, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2010, ss. 647.

Opowiadał mi kiedyś prof. Jerzy Holzer o swoich pracach nad pierwszą historią NSZZ Solidarność. Liczył się z policyjną rewizją, kopie maszynopisowe gotowych rozdziałów chował na strychu, niekiedy ukrywał poza domem materiały, z których korzystał. Gdy jego książka się ukazała, czytano ją namiętnie, dużo o niej dyskutowano na łamach prasy niezależnej, oferowano ją na bazarach po dziesięciokrotnie wyższej cenie, nadawano w zachodnich radiostacjach, a nad zwolnieniem Holzera z pracy zastanawiał się nawet Sekretariat Komitetu Centralnego PZPR.

Dzisiaj książki nie budzą takich emocji, może dlatego, że mniej interesuje się nimi policja. Wydane w 2010 r. przez Instytut Pamięci Narodowej kompendium wiedzy o Solidarności – 27 lat po monografii Holzera – przeszło bez większego echa, a przecież już sam tytuł – *NSZZ „Solidarność” 1980–1989* – zapowiada doniosłość przedsięwzięcia. Solidarność to największe przeżycie zbiorowe polskiego społeczeństwa w XX wieku, temat podstawowy dla zrozumienia naszych losów. Autorzy tego opracowania (sześć tomów i promesa siódmego) uczestniczyli w operacji zakrojonej na wielką skalę. Żaden inny ośrodek w Polsce nie dysponuje takim zapasem do pracy ani takimi środkami organizacyjnymi i materialnymi jak IPN.

Redaktorzy naukowci tego dzieła postanowili poszatковать temat według dwóch kluczy. Pierwszy z grubsza polega na opisywaniu dziejów niezależnego związku geograficznie, według schematu regionalnego, co może lepiej wydobyć specyfikę poszczególnych regionów, a także zmobilizować do pracy całą sieć badawczą IPN. Druga metoda, którą zastosowano w dwóch tomach, ma bardziej otwarty charakter. Autorzy starali się wybrać najważniejsze cząstki z mozaiki organizacji solidarnościowych i okołosolidarnościowych. A niekiedy porzucić analizę organizacyjną na rzecz bardziej problemowej – dotyczącej np. antysolidarnościowej propagandy rządowej, postawy mniejszości narodowych albo emigracji politycznej wobec Solidarności.

Niewątpliwe zalety IPN-owskiej „syntezy” – w porównaniu z książką Holzera – to badania regionalne, bogactwo materiału źródłowego, zalewająca czytelnika masa wiadomości. Istny magazyn wiedzy – i wszystko zgromadzone w jednym miejscu, jeśli można tak określić sześć grubych woluminów. Dla historyków ten blok tekstów będzie teraz lekturą na długie miesiące, zastąpi starsze opracowania. Sam już z niego skorzystałem, dotarłem do faktów, których nigdy samodzielnie nie wydobyłbym ze źródeł. Zapewne będę do tej książki wracał w swoich badaniach.

Po przeczytaniu „syntezy” będzie można lepiej przetestować różne sposoby myślenia, zakorzenień je źródłowo, co często było słabą stroną badań ogólniejszych, które oferowały co prawda ciekawy obraz, ale popadały także w duże uproszczenia. Książka jest przeglądem konfliktu między władzą a społeczeństwem. Opisano w niej techniki walki rządu z ruchem społecznym, a także sposoby jego obrony. Jakimi zasobami dysponowała władza, jakimi Solidarność. Zyskujemy porównawczy materiał do refleksji nad elitami ruchu, geografią strajków, oporu społecznego. Podstawa empiryczna jest na ogół bardzo solidna – setki przykładów, imponująca liczba przypisów.

W pośredni sposób zyskujemy wiedzę na temat rytuałów, stanu świadomości społeczeństwa, jego oczekiwań wobec władz. Wiemy więcej o sporach w samej Solidarności, np. toczących się wokół podziału terytorialnego związku (odwoływano się nawet do Polski piastowskiej!) albo w sprawie taktyki (umiarkowani i radykałowie). Po lekturze można też zastanawiać się nad naturą takiego ruchu, który powstaje nagle, bez specjalnego planu i szybko urasta do monstrualnych rozmiarów, a więc nad jego spontanicznym, żywiołowym obliczem. Jednocześnie zaś nad dojrzałością postaw, kulturą negocjacji politycznych, która rodzi się w działaniu, równie nagle.

Ucieszą się trochę orędownicy badań nad ruchem robotniczym. Już same nazwy zakładów, przebieg wydarzeń – relacjonowany dokładnie przez autorów – ujawniają robotnicze oblicze tego ruchu, ludowy charakter Solidarności, fakt tak niewygodny dla władz PRL. Nakierowanie na robotników to dobre posunięcie w naszej sytuacji. Wciąż przecież większość książek na tematy historyczne dotyczy inteligencji, tak też jest w przypadku badań nad opozycją. Historykom z IPN udało się wyjść poza dotychczasowy obszar poszukiwań. Na pewno też nie można o tej książce powiedzieć, że jest pisana z perspektywy warszawskiej.

Nikt nie napisałby takiego dzieła sam. Przyszłość dużych studiów solidarnościowych będzie

należać do zespołów. IPN stworzył ponad 60-osobowy zespół autorski. Skutki tej decyzji ujawnia się dopiero w przyszłości, kiedy będziemy mogli zobaczyć, czy i jak ten zespół się rozwija, doskonalą, wspólnie pracuje. Myślę, że jego potencjał – na razie jeszcze w pełni nieujawniony – to młodość, a więc szansa na zadanie materiałowi źródłowemu pytań na miarę dzisiejszych wątpliwości, nadziei, rozczarowań i sukcesów, jakie przeżywa to pokolenie. Przyszłość będzie się bowiem integrować z teraźniejszością, czy tego chcemy, czy nie, byleby tylko w ciekawy sposób.

Ale tak duży zespół to również pewne obciążenie dla czytelnika. Kilkutomowe dzieło IPN nie zmieści się do byle torby, nie mówiąc już o damskiej torebce. Nosi jednak miano syntezy. Inaczej niż jego redaktorzy rozumiem definicję syntezy. Synteza to nie jest 4320 stron i ponad 60 autorów. To jest przede wszystkim umiejętność stworzenia narracji, która będzie spojrzeniem bardziej generalnym, bez rozpisywania opowieści na setki organizacji, bez wyszczegółowiania historii każdego z regionów. Gdyby tak jak IPN chcieli swoje syntezy historii Polski powojennej konstruować Andrzej Friszke czy Andrzej Paczkowski, to musieliby napisać kilkanaście tomów. Mamy więc do czynienia raczej ze zbiorowym studium, i to bardzo rozległym.

Możemy się z tej rozprawy nawet dowiedzieć, że w stanie wojennym funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa w Białymstoku udało się zabrać solidarnościowemu podziemi pięć ryz papieru maszynowego. Książka ucieszy też czytelników szukających informacji o kryptonimach stosowanych przez SB i podejmowanych przez nią akcjach. Na pierwszy rzut oka chronologia, faktografia, archiwa są mocną stroną dzieła. Mnóstwo w tej publikacji nazw i nazwisk. Sporo liczb, jeszcze więcej dokładnych dat, czasem nawet co do minuty. Wywody są przez to zazwyczaj klarowne, autorzy prowadzą nas od wydarzenia do wydarzenia, od daty do daty.

Ale czy bardziej wymagającego czytelnika nie znudzi nadmiernie ta chronologiczno-historyczna

opowieść-rzeka? Czasami odnosi się wrażenie, że materiał źródłowy zdominował autorów. Szczególnie brakuje mi głosu starszych, doświadczonych historyków, którzy pokierowaliby poczynaniami młodszych badaczy. W ogóle brakuje w tym tomie relacji mistrz – uczeń, na której opiera się historiografia akademicka. Zespół nie miał czasu się skonsolidować, głębiej wejść w temat; kompendium miało uświetnić trzydziestą rocznicę powstania NSZZ Solidarność. W krótkim czasie i w tak dużej drużynie trudno było szukać wyrażonych podejść, można było tylko sięgnąć do wypróbowanych konwencji.

W tomie drugim, najbardziej „inteligentnym” (niezależne książki, prasa, radio, oświata i kultura), historykom udało się przestawić myślenie na mniej sprawozdawcze. Mieli do dyspozycji właśnie świadectwa wytworzone przez ludzi wykształconych, wyrobionych pisarsko i artystycznie, dysponowali bardziej uogólniającymi badaniami. Tadeusz Ruzikowski np. w tekście poświęconym kulturze niezależnej interesująco opisał jej genezę – początkowo rozwijała się ona w ramach mecenatu państwowego. Potem w jego polu widzenia znalazły się nawet takie sprawy jak lista przebojów radiowej Trójki, zespoły rockowe, narkotyki czy taniec pogo. Takie myślenie u historyków opozycji nie jest częste. Sądzę, że nawet niektórzy autorzy „syntezy” chętnie podjęliby polemikę z Ruzikowskim. Zmusza on nas bowiem do zastanowienia się nad granicami swojego tematu, pokazuje pewną nieostrość pojęcia. To zasługuje na pochwałę. Autorzy w zasadzie wszystkich szkiców w tym tomie mieli za zadanie pokazanie zjawisk ponadregionalnych. Penetrowali więc różne regiony Polski i ich teksty zrobiły się przez to ciekawsze. Nie jest to więc historia – powiedzmy – Solidarności Walczącej we Wrocławiu, ale w różnych miastach. Łączenie oddalonych od siebie punktów oporu w całość regionalną lub ogólnopolską to w ogóle zaleta tego *opus magnum*.

Gdybym pisał syntezę, próbowałbym połączyć badania makro- i mikrohistoryczne w znacznie

odważniejszy sposób. Gdy pojawia się sprawa prasy niezależnej, która była jednym ze sposobów funkcjonowania podziemnej Solidarności, spróbowałbym bardziej zaawansowanych metod. Historia to także fakty duchowe, kulturowe, ekonomiczne. Opisywane gazetki Solidarności z lat 1980–1989 mają przecież swoje zakorzenienie w normach kultury, procesach społecznych, wzorach mentalnych.

Gdy np. mowa o sposobach omijania państwa w dziedzinie wydawniczej, to zastanowiłbym się, kiedy ten nawyk w naszym społeczeństwie się ukształtował. Przecież nie w stanie wojennym. Widziałbym ten proces nie wyłącznie jako polityczną konspirację albo etos wspólnoty. Przestudiowałbym również problem szarej strefy gospodarczej. Polskie społeczeństwo było względnie dobrze przygotowane do takich akcji jak pokątny handel papierem, „nielegalna” sprzedaż bibuły. Od dłuższego czasu na masową skalę brało udział w czarnym rynku. Może nawet zajrzałbym do Andrzeja Mencwela, który odnajduje takie wzory zachowań już w gospodarce pańszczyźnianej. Mówi o braku więzi z państwem, o elastyczności postępowania dziedziczonej przez setki lat życia w strukturach mało zdemokratyzowanych. Na tym tle nasze skłonności do drugiego obiegu zyskują wymiar rzadziej zauważany przez autorów omawianej książki. Podobne procesy zachodziły zresztą odgórnie i były także udziałem członków PZPR, o czym pisują od ładnych paru lat Maciej Tymiński i Dariusz Stola.

Ale także na odwrót, zadawałbym pytanie, w jaki sposób pojawienie się tych gazetek można wpisać w proces intelektualnej modernizacji społeczeństwa polskiego, czyli przejścia od walki zbrojnej XIX i pierwszej połowy XX wieku do strategii *non-violence*. Może paradoksalnie pomogła tu władza komunistyczna, gdyż ona to społeczeństwo w znacznej mierze wykształciła, dała do ręki gazety i książki, zaszczepiła nawyki czytania. Czy „papierowa rewolucja” to tylko bibuła, czy także rewolucja czytelnicza PRL?

Rozpolitykowanie społeczeństwa mogło mieć nie tylko związek z opozycją demokratyczną (KOR, ROPCiO), nie tylko z kryzysem gospodarki komunistycznej, ale także z wcześniejszą modernizacją PRL, industrializacją, przenoszeniem się ze wsi do miast, rozprzestrzenianiem się zachodniego stylu życia, podróżami, choćby tylko tymi na małym ekranie państwowej telewizji. Z rozwojem transportu (samochody – dzięki którym bibuła mogła szybciej krążyć), umasowieniem się odbiorników radiowych (Radio Wolna Europa).

W porównywaniu oczywiście warto zachować umiar. Jednak pewna otwartość nie zawadzi. Gdy piszemy, że w drugim obiegu wydawniczym ukazała się książka Aleksandra Sołżenicyna lub Karla Jaspersa, to należy zauważyć, że oni nie napisali jej dla polskiego podziemia. Te idee skądś przyszły, gdzieś indziej powstały, nie tylko były częścią naszej narodowej historii. Musimy, choćby delikatnie, zaakcentować fakt na pozór oczywisty: nikt nie formuje się sam.

Rozumie to Marcin Frybes – autor jednego z najlepszych tekstów nie tylko w drugim tomie omawianego dzieła. Problemem naszej historiografii najnowszej jest jednak stosunkowo niewielka łączność z literaturą światową, z jej pomysłami badawczymi, językiem opisu i interpretacjami wykraczającymi poza polski punkt widzenia. Na Solidarność można spojrzeć ze znacznie szerszej perspektywy. O związku ukazały się wówczas setki, jeżeli nie tysiące artykułów w prasie zachodniej. Takie źródła – przecież nie gorsze od drogocennej bibuły czy raportów SB – rzadko używane są jednak w studiach o krajowym zasięgu.

Ze wstępu do tomu drugiego, który jest też w tej chwili wstępem do całości, dowiadujemy się, że owocem IPN-owskiego projektu jest ponad sto samodzielnych publikacji okolicznościowych, które wydano w związku z obchodami trzydziestej rocznicy Solidarności. Literatura na ten temat gigantycznie się powiększyła, nawet częściowo już zdublowała. Brakuje natomiast prawdziwej, autorskiej, jednotomowej syntezy, która odnosiłaby

się do różnych podejść badawczych i wyjaśniała stanowisko zespołu. Broniła własnych pozycji. We wstępie te kwestie pominięto, być może dlatego, że równolegle ukazać się miała ta „mała synteza”, tom pierwszy, ale w grudniu 2011 r. nie było go jeszcze w księgarniach.

Spróbuję zatem program ideowy publikacji wyczytać ze spisu treści i zawartości. Główni planiści słusznie założyli, że Solidarność, jak może każdy ruch społeczny, nie miała ostrych granic i konturów. Nie wykluczali więc z tej opowieści takich organizacji jak Konfederacja Polski Niepodległej, Ruch Wolność i Pokój, harcerstwo niezależne. Wszystkie one wyrastały bowiem z wolnościowej koniunktury, jaką stworzył niezależny związek zawodowy, były częścią solidarnościowego klimatu. Tę jedność symboli i wartości warto zaznaczać. Dzisiaj, z perspektywy lat, kiedy straciły na znaczeniu dawne spory wewnątrz opozycji, takie wspólnotowe ujęcie ma duże szanse na dobry odbiór.

Solidarność po 13 grudnia 1981 r. rozpadła się jednak organizacyjnie, niczym stłuczone lustro, na wiele drobnych kawałków. Nie jest wcale jasne, którzy spośród np. wydawców podziemnych albo artystów niezależnych uważali się za część Solidarności i jakiej. Czy więc ta – na początku silna – z czasem nie zaczęła puszczać wraz z opadaniem nadziei na szybkie zmiany, ze względu na konspiracyjny charakter opozycji w stanie wojennym i dalsze komplikacje?

W książce czytamy raczej o tym, jak Solidarność rosła, a nie jak malała. Tymczasem pierwsze objawy zmęczenia obserwowano już w okresie „karnawału”, a prawdziwa demobilizacja tego ruchu zaczęła się na początku stanu wojennego, kiedy szeregi dramatycznie stopniały. Dalszego zastanowienia wymaga, czy częściowa remobilizacja ludzi Solidarności przypadła już na lata 1986–1989, jak chcą redaktorzy, czy dopiero na okres 1988–1989. Kto wie, czy z 1987 r. nie łączy się najgłębszy kryzys uczestnictwa w tym ruchu. Ten wątek prze-wija się w tomie drugim i w innych tomach, ale

nie doczekał się szerszej analizy, został niejako przesłonięty przez fenomen polskiego oporu. Opisanie go nie jest łatwym zadaniem. Głównie z tego powodu, że ludzie ci rozeszli się po cichu, nie zostawili po sobie manifestów ani bibuły, przestali zajmować się nimi SB.

Takie podejście nie musi wcale oznaczać glosyfikacji PRL i demitologizacji Solidarności. Chodziłoby bardziej o pokazanie komplikacji ludzkich losów. Ludzie Solidarności żyli, bo musieli, z tym systemem w pewnej symbiozie, nie odrzucali go w zupełności, kalkulowali. Wręcz musieli kierować się również konformizmem, brać pensje od rządu PRL, myśleć o własnych rodzinach, bezpieczeństwie. W sytuacji represji musieli więc zaprzestać działania, ale może pozostali cichymi zwolennikami Solidarności. Było ich z pewnością więcej niż tych, którzy pozostali czynni. Czy tacy odłączeni członkowie znajdowali się jeszcze w Solidarności, czy już poza nią? Kiedy przestaje się uczestniczyć w takim ruchu? To jest pytanie; w tej książce prawie nikt się nad nim nie zastanawia. To wymagałoby bowiem spojrzenia na Solidarność od strony historii społecznej, od strony ludzi, ich emocji, a nie tylko historii ugrupowań opozycyjnych.

Wiem, nie można wszystkiego na raz. Na razie inwentaryzujemy organizacje, ludzi, daty, to są nasze kotwice, których się trzymamy. Możemy tak pisać jeszcze wiele lat, żyjemy w czasach, kiedy papier nie jest już limitowany.

Na grupy opozycyjne warto w przyszłości popatrzeć właśnie od strony więzi towarzyskich, rówieśniczych, krewniaczych. Dostajemy w tych tomach wykazy nazwisk uczestników organizacji, ale nie rozumiemy, co tych akurat działaczy połączyło we wspólnym działaniu (poza tym, że byli wierni Solidarności). W stanie wojennym organizowano się inaczej niż wcześniej – prywatnie, domowo, luźno. To może znów historia społeczna, ale z polityczną jakoś złączona. Szczególnie gdy znów pomyślimy o tej legalnej, dużej Solidarności, gdzie obok ciał formalnych musiały też istnieć

kręgi wtajemniczenia, w których podejmowano ważne dla związku decyzje.

W tym pierwszym, zapowiedzianym już tomie „syntezy”, który będzie ostatnim, nie zabraknie na pewno analizy polityki kierownictwa niezależnego związku, opisów konfliktu między władzą a społeczeństwem na poziomie centralnym, porównawczego spojrzenia na przypadki regionalne. Ale również chciałoby się tam znaleźć więcej żywej narracji, poszukiwania własnego stylu. Taka taktyka pisarska byłaby korzystna ze względu na czytelnika zmęczonego już przedzieraniem się przez sześć opasłych tomów (nawet jeżeli straci na tym chronologia i precyzja wywodu). Chodziłoby o zaryzykowanie swobodnych hipotez, krytycznej dyskusji z innymi autorami. Tak by tom pierwszy nie był jedynie prostą sumą poprzednich.

Dzisiejsza obfitość źródeł, łatwość publikowania, wąska specjalizacja warsztatów naukowych nie musi nas prowadzić do głębszego zrozumienia historii – zauważył już prawie dziesięć lat temu Czesław Robotycki, antropolog przyglądający się pracy historyków. W przyszłości trzeba podjąć ryzyko – to może zabrzmi jak herezja dla zawodowców – oderwania się od swoich źródeł, by je lepiej zrozumieć, nabrać do nich dystansu. Potrzebne są więc w tej pracy także lektury innego rodzaju, by poznać nowe techniki dochodzenia do obrazów o przeszłości, choćby takie, które nakierują naszą uwagę na wrażenia, a nie tylko na fakty, ukażą nam wieloznaczność i zmysłowość naszej natury.

Nie ma książek, które zadowolą wszystkich, to jasne, każdy kto wchodzi do tej gry o pamięć, zajmuje jakąś pozycję – by odwołać się do Krzysztofa Pomiana. „Synteza” historii NSZZ Solidarność opracowana przez IPN jest raczej wielką kroniką. Pewnie nie będziemy mieli dokładniejszej. Napisana niezbyt erudycyjnie, ale za to rzetelnie, pracowicie, jednolicie. Sytuuje się w nurcie badań średniego zasięgu, jest skierowana do czytelników lubiących dosłowność opisu, szukających ścisłych informacji o Solidarności, raczej niechętnych rozmowy o rzeczywistości.

ZAPISANI W HISTORII

ANDRZEJ KACZYŃSKI

NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 5: Polska środkowo-wschodnia, red. Łukasz Kamiński, Grzegorz Waligóra, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2010, ss. 934.

IPN-owską historię regionów Solidarności czytałem najpierw „w poprzek”, po kawałku z kolejnych rozdziałów. Każdemu z 38 regionów poświęcono odrębne opracowanie ułożone chronologicznie w czterech odsłonach: geneza i okres założycielski, działalność od zarejestrowania związku do stanu wojennego, trwanie w podziemiu, odbudowa legalnych struktur. Wypełniły one cztery opasłe tomy po 650–900 stron dużego formatu.

Doświadczanie demokracji

A mnie przy pierwszej lekturze interesowało szczególnie zagadnienie: proces wychodzenia ze stanu początkowej tymczasowości władz związkowych, zastępowania regionalnych i międzyzakładowych komitetów założycielskich przez – opisane w statucie, pochodzące z wyborów – zarządy regionów, jak również wyłanianie delegatów na zjazd krajowy oraz związane z tym procesem porządkowanie struktury terytorialnej i weryfikacja list członków Solidarności. Czyli stosunkowo niewielki fragment całej historii. W dodatku niespecjalnie efektowny, rozciągnięty w czasie na kilka miesięcy, rozproszony terytorialnie i wielokrotnie ustopniowany: od wyborów w organizacjach zakładowych przez lokalne komisje koordynacyjne, następnie filie

i oddziały terenowe aż do zjazdów regionalnych, odbywających się co najmniej w dwóch turach, bo skrupulatna Krajowa Komisja Wyborcza NSZZ Solidarność niejednokrotnie nakazywała powtórzenie jakiejś procedury, tak aby wszystko odbyło się w zgodzie ze statutem i ordynacją wyborczą. Kampania ta nie odcisnęła się w zbiorowej pamięci, nie obrosła legendą jak strajki i akcje protestacyjne, nie miała większego wzięcia w biuletynach i prasie związkowej, a także u historyków. Przekonałem się o tym, gdy niedawno próbowałem ze starej bibuły i współczesnych opracowań wydobyć przynajmniej podstawowe fakty. Z równym skutkiem Kopciuszek wybierał mak z garnca popiołu.

A przecież społeczeństwo doświadczało wówczas praktyk demokratycznych o skali nieznanej w powojennej Polsce. Wybory przeprowadzono według czytelnych reguł i pod społeczną kontrolą. Nie było żadnych ograniczeń swobodnego zgłaszania kandydatów ani publicznej debaty nad ich kompetencjami i programami. Przestrzegano przy tym oddolnego parytetu; w wyborach do organów wyższego szczebla każda pomniejsza jednostka terytorialna miała zapewnione miejsca mandatowe w ilości proporcjonalnej do liczby związkowców.

W czterech tomach regionalnych IPN-owskiego opracowania znalazłem na ten temat nader pokaź-

ny materiał. W takiej obfitości proces wyłaniania statutowych organów związku nie został jeszcze nigdzie przedstawiony. A co się przy tym okazało? Że wskutek wyborów kadra kierownicza Solidarności została w znacznym stopniu wymieniona. Mocno przetrzebione zostały ekipy przywódcze wyłonione podczas strajków latem 1980 r. Zapewne część z nich po prostu nie poradziła sobie z urzędowaniem, organizacją pracy biur (choć też nie rzuciło się w oczy w drugiej połowie 1981 r., by po kadrowej zmianie wydatnie poprawiła się jakość i sprawność działania organów Solidarności), konsultowaniem wszystkich ważniejszych decyzji z organizacjami zakładowymi, wreszcie kontaktami z instytucjami państwowymi.

Przywódcy z 1980 r. mieli niebagatelną przewagę nad swymi następcami: wygrane strajki i batalię o prawo do nowego związku. Nie potrzebowali dowodzić odwagi i determinacji ani pożądać kolejnych zwycięskich potyczek z władzami. Być może objaśnia to częściowo przyczyny gwałtownego wzrostu liczby lokalnych konfliktów pod koniec 1981 r.; nowi przywódcy też chcieli mieć swoją legendę. Objaśnia tylko częściowo, bo większość z tych – drugorzędnych dla strategii związku – konfliktów sprowokowały organy administracji państwowej, PZPR czy Służby Bezpieczeństwa. Ale jedną z miar dojrzałości liderów jest to, czy potrafią nie dać się prowokacji. Znamienne, że do gaszenia dzikich strajków przeważnie brali się działacze z pierwszego zaciągu.

Wspominam o pożytku z lektury, który wyniosłem, ponieważ nie piszę klasycznej recenzji. Nie jestem historykiem, a tylko amatorem, nie prowadzę własnych badań w archiwach, zaglądam do nich z rzadka, z pewnością nie znam zadowalająco stanu badań. Nie potrafię ocenić, czy i jak można byłoby to zrobić inaczej, lepiej, do jakich jeszcze źródeł sięgnąć. Czasem dostrzegam usterki pisarskie, inaczej zapamiętałem pojedyncze fakty. Byłem świadkiem i niekiedy uczestnikiem opisywanych wydarzeń, niektóre relacjonowałem jako dziennikarz. Może z tych refleksji wyniknie za to

zachęta do lektury dla osób podobnie amatorsko zainteresowanych Solidarnością. Dobrze jest dowiadywać się (i pokrzepiać tą wiedzą), w czym tak naprawdę dane nam było uczestniczyć. Z pewnością ilość i bogactwo materiałów zgromadzonych w historii regionów Solidarności pozwoli na postawienie wielu nowych pytań lub uzasadnienie dawnych przeświadczeń.

Who is who

Druga rzecz, na którą od początku zwróciłem uwagę, to indeksy osobowe. W najbardziej mnie interesującym tomie 5, o Polsce środkowo-wschodniej, indeks liczy 75 stron. Po około osiemdziesiąt nazwisk na każdej – łącznie daje to jakieś 6 tys. Z tej liczby co najmniej dwie trzecie, czyli ze 4 tys., to działacze Solidarności. W pozostałych trzech tomach liczby są podobne, tak więc na kartach historii – niech będzie usprawiedliwiona ta odrobina patosu – znalazło się w sumie kilkanaście tysięcy osób, które tę historię współtworzyły.

Był kiedyś taki projekt Instytutu Lecha Wałęsy: zebrać i opublikować w księdze pamiątkowej nazwiska wszystkich członków Solidarności w latach 1980–1989, żeby przynajmniej w taki sposób oddać sprawiedliwość ich odwadze i wierności, na ogół w żaden inny sposób nieupamiętnionych. Krytykowałem to jako utopię niemożliwą i nienadającą się do realizacji. Same imiona i nazwiska prawie dziesięciu milionów ludzi, bez jakiegokolwiek kontekstu czy konkretnego, zajęłyby co najmniej kilkanaście tomów, w takim kształcie kompletnie jednak bezużytecznych. Owszem, nadzwyczaj chętny byłbym za to dowiedzieć się, kto imiennie w moich okolicach co konkretnie robił, bo – jak ukazuje moja własna przygoda – nawet całkiem bliski świadek i uczestnik poznać może tylko niewielki wycinek całości.

Czwartego bodaj dnia stanu wojennego zobaczyłem na ulicy w Lublinie znajomego mężczyznę, którego często spotykałem w biurze Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego Solidarności,

a później zarządu regionu. Ucieszyłem się, że na pewno dowiem się od niego, co stało się z zaprzyjaźnionymi pracownikami regionu. O zarządzie przeważnie już wiedziałem, kto został internowany, kto zaś nie, zatem prawdopodobnie zdążył się ukryć. Ale pracownicy zgodnie z instrukcją na wypadek ataku na związek zgłosili się w większości na strajk do WSK w Świdniku, ja – dopóki można było – niedzielę spędziłem w zdemolowanej siedzibie regionu. WSK rychło zostało wzięte szturmem przez opancerzone wojsko i ZOMO, z użyciem petard, gazu i pałek, było wielu poszkodowanych, aresztowanych. Uprzytomniłem sobie jednak, że nie znam, bo nigdy nie znałem, nazwiska tego kolegi, a nawet nie byłem pewny, jak ma na imię; widywałem go tam, gdzie wpadałem z wizytą albo na korytarzu, zamienialiśmy po parę zdań i tyle. Nazwisk części tych osób, o których chciałem wypytać, również nie znałem, a tylko imiona; to nieoczekiwany skutek powszechnego w Solidarności obyczaju mówienia sobie na ty. Znajomość ze wspólnym znajomym była wystarczającą rekomendacją do zawarcia komitywy. Na szczęście ta zasada nadal działała. Spojrzałem pytająco, dał znak, że możemy bezpiecznie pogadać. Wymieniliśmy informacje. Nie jestem pewny, czy wiedział o mnie więcej niż ja o nim.

Przypomniałem sobie to zdarzenie, gdy w indeksie nazwisk tomu 5 znalazłem kilka usterek. To, że na wskazanych stronach nie ma danej osoby, zdarza się często. Trzeba sprawdzić na sąsiednich; jeśli jest, to znaczy, że paginacja wydruku komputerowego różniła się nieznacznie od książkowej, a jeżeli nie ma, to znaczy, że do ostatka tekst był skracany. Nie zdziwiłem się też, że występuję w dwóch osobach, raz jako uczestnik jakichś działań w Warszawie, drugi raz w Lublinie. Ale rozdziwił się także Wojciech Ziemiński, który należał do najbardziej znanych opozycjonistów. Według indeksu inny Ziemiński działał w Warszawie, a inny przemawiał na patriotycznych uroczystościach w Białymstoku i Rzeszowie (na dobrą sprawę mógłby więc wystąpić nawet

w trzech osobach). A przy wybitnej tłumaczce z rosyjskiego i autorce drugiego obiegu, warszawiance Irenie Lewandowskiej, w indeksie dodano odsyłacz: „zobacz Irena Lewandowska-Kozimala”, do ówczesnej studentki – instruktorki niezależnego harcerstwa i łączniczki rzeszowskiej Solidarności. Statystycznie wychodzi na jedno: podwojony Ziemiński i zjednoczona Lewandowska to wszak trzy osoby, jak w rzeczywistości. Nie czepiam się tych drobnych i nieszkodliwych usterek, wspominał o tym na dowód, jaki byłby pożytek z gołej listy nazwisk, dokumentnie odartych z życiorysów.

Ruch protestu i pracy organicznej

Otóż ta tetralogia o związkowych regionach to pierwsze całościowe opracowanie historii Solidarności, w którym stwierdzenie, że był to ruch nie tylko masowy, lecz odznaczający się nadzwyczajnym zaangażowaniem i aktywnością bardzo wielu ludzi, otrzymało pokrycie w konkretach, szczegółach, życiorysach. Bo masowość Solidarności często przedstawia się obecnie na podobieństwo współczesnych sondaży politycznych: oto tylu a tylu ludzi, taki to a taki odsetek popiera którąś partię albo pojedynczego polityka. A co taki sondaż oznacza? Że osobom odpowiadającym na pytania ankietatorów ten czy ów polityk bardziej lub mniej podobał się ostatnio w telewizji albo przypadła im do gustu lub nie taka czy inna decyzja. Co jakiś czas zdarza mi się czytać, że w szczytowym momencie, na początku 1981 r., Wałęsę i Solidarność popierało 10 mln ludzi, a już późną jesienią 1981 r. dużo mniej – zaledwie 6 mln, oraz że to poparcie wykazywało tendencję malejącą.

Były, istotnie, takie badania. Mam do nich stosunek nader krytyczny, nie tylko dlatego, że odbywały się przy ogłuszającym akompaniamencie propagandy, wykoślawiającej prawdę o tym, czym związek zajmował się w rzeczywistości. Niemalą część odpowiedzi należałoby bowiem zapisać raczej w rubryce: czy uważasz, że Solidarność ma szansę przetrwać w konfrontacji z całym aparatem

państwowym? Wspomniane wyniki sondaży częściej, jak sądzę, odzwierciedlają kryzys wiary w sukces związku niż odmowę poparcia.

Utrwała to taki stereotyp Solidarności, jaki wytworzyła ówczesna oficjalna propaganda. Ignoruje on wielką, wciąż nie w pełni rozpoznaną robotę pozytywistyczną wykonywaną przez związkowców. Masową i niekoniecznie inspirowaną z góry. Naprawianie zakładów produkcyjnych. Batalia o samorządy pracownicze. Projekty reformowania nauki, szkolnictwa. Samoorganizacja społeczeństwa, budzenie z marazmu, odbudowywanie więzi międzyludzkich, kształtowanie postaw obywatelskich. Przebudowa świadomości. Wielka, masowa, ochotnicza i spontaniczna praca. Towarzyszyły jej, to prawda, strajki i akcje protestacyjne, ale jestem przekonany, że dla wielkiej części ludzi Solidarności to nie one stanowiły główny nurt działalności związkowej. Nie działania doraźne, reaktywne, lecz projektujące, nastawione na przyszłość. To znamienne, że w dniu wprowadzenia stanu wojennego w kraju nie było bodajże ani jednego strajku, odbywał się natomiast Kongres Kultury Polskiej. Nie był on zresztą jedyną orkiestrą, która wciąż koncertowała na tym naszym Titanicu. Nie potrafię powiedzieć, jak wielka grupa prowadziła tę pracę organiczną, nie ma chyba nawet żadnych przymiarek do określenia, o jaką liczbę ludzi może chodzić, na pewno jednak była ona bez precedensu w dziejach. Wyobraźmy sobie np. Kuźnicę Kołłątajowską albo Związek Młodzieży Polskiej ZET, ale liczące odpowiednio nie kilkudziesięciu lub kilkuset ludzi, tylko sto tysięcy, a może i kilkaset tysięcy...

Czy ta problematyka została zadowalająco zasygnalizowana w czterech tomach historii regionów? Zdaję sobie sprawę, że wyczerpująco nie mogła zostać omówiona. Brak częściowych opracowań. Nie powstała jeszcze np. przyzwoita monografia drugiego obiegu wydawniczego, najbardziej chyba wyrazistego i rozległego zjawiska z dziedziny owej solidarnościowej pracy organicznej, dotychczas tylko nieliczne wydawnictwa i tytuły cza-

piśmiennicze doczekały się solidnych opracowań. A przecież było to zajęcie inteligenckie, w tym dziennikarzy, czyli ludzi wprawnych w zbieraniu dokumentacji i posługiwaniu się piórem. Ponadto redaktorzy naukowi historii Solidarności podyktowali zespołowi autorskiemu szczegółowy konspekt zagadnień do poruszenia, dzięki czemu uzyskano bardzo pożyteczną w lekturze powtarzalność i przewidywalność omówionych tematów. Wiadomo, gdzie i czego można szukać i taka równoległa lektura, o jakiej wspomniałem na początku, może być owocna. Czasem za to może przy takim ujęciu zgubić się to, co było charakterystyczne lub wyjątkowe w takim czy innym regionie.

W różnych rozdziałach bywa więc z tym różnie, ale generalnie odpowiadam twierdząco: ta problematyka jest obecna. Niektóre wątki zostały ponadto omówione oddzielnie w tomach 2 (*Ruch społeczny*) i 7 (*Wokół „Solidarności”*). Na podstawie lektury tomu 5 uświadomiłem sobie np., że nie tylko w organizację Mazowsza oraz Regionu Środkowo-Wschodniego bardzo silnie zaangażowały się środowiska inteligenckie, naukowe czy artystyczne, i to nie w tym celu, żeby objąć przywództwo czy choćby rząd dusz, ale w roli służebnej, zgodnie z najlepszymi tradycjami polskiej inteligencji. Otóż podobnie, jak wyczytałem, było w Regionie Warmińsko-Mazurskim i w Białymstoku. Dzięki temu zostały one lepiej i sensowniej zorganizowane; zapewne dlatego w stanie wojennym struktury podziemne w trzech z tych regionów (bo nie w Białymstoku) funkcjonowały sprawnie i stabilnie.

Wschód nie tylko środkowy

Tom 5 nosi podtytuł *Polska środkowo-wschodnia*. Niezbyt trafny dla księgi obejmującej np. Region Mazowsze, do którego to pojęcie geograficzne z grubsza pasuje, ale także Warmińsko-Mazurski i Pojezierze (czyli Suwalszczyznę), Południowo-Wschodni (przemyski) i Podkarpacki (krośnieński), którym pod żadnym chyba względem cechy

środkowości przypisać nie sposób. Nie podziwiałem też określenia „środkowo-wschodni” w odniesieniu do najbliższego mi regionu; moim zdaniem mógłby nazywać się po prostu lubelski. Dłuższą nazwę zaproponował 10 września 1980 r. w Świdniku na spotkaniu komitetów strajkowych z regionu Jan Nakonieczny z Puław, naukowiec z Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, i delegacja puławska mocno przy niej obstawała. Wiązała się z tym koncepcja struktury terytorialnej, którą nowy związek powinien przyjąć: podziału na duże, silne i w miarę możliwości podobnej wielkości regiony. Wiele racji za tym przemawiało, nie byłoby może źle, gdyby takie właśnie regiony powstały, ale wyczuwałem, że z jeszcze jakichś niewypowiedzianych względów puławianom nie odpowiada dotychczasowy sposób organizowania związku i dążą do jakiegoś nowego rozdania, może personalnego, może ideologicznego, i że nie są w takim sposobie myślenia odosobnieni.

Tydzień później, 17 września w Gdańsku, zwyciężyła jednak koncepcja kontynuacji. Zdecydowano się powierzyć zadanie zorganizowania Solidarności istniejącym już Międzyzakładowym Komitetom Założycielskim (lub Robotniczym), wyrosłym ze strajków, a więc stosunkowo dobrze uodpornionym na manipulacje władz i infiltrację agentury. Przywódcy związkowi, w tym zwłaszcza Lech Wałęsa, bardzo chcieli, żeby nowy związek w żaden sposób nie przypominał dotychczasowej centrali związkowej CRZZ – monopolistycznej i bezwarunkowo podporządkowanej partii. Jak ognia więc unikali na początku zarządzeń, poleceń, odgórnego kierowania; wszystko miało być uzgadniane, a wola „dołów” poszanowana.

Uznano, że MKZ-ety będą mieć prawo samostanowienia o sobie i np. łączyć się wyłącznie dobrowolnie. Tyle że sieć MKZ-etów nie była równomierna. A 17 września 1980 r. nie postanowiono, kto i jak ma zakładać Solidarność tam, gdzie strajków nie było lub nie wyłoniły przywódców. Niektórzy działacze zaczęli od pielgrzymki do Gdańska po pełnomocnictwo do zakładania Solidarności, naj-

lepiej od Wałęsy, i część taki dokument otrzymała. Inni od organizowania zakładowych ogniw związku i następnie lokalnych ich zrzeszeń. Powstawały konkurencyjne ośrodki, które niejednokrotnie aż do krajowego zjazdu Solidarności i nawet do 13 grudnia 1981 r. nie potrafiły się porozumieć. W rezultacie w wielu regionach wystąpiły odśrodkowe i dezintegracyjne tendencje, a nawet separatyzmy.

Regiony duże i małe

Rzeczony tom 5 traktuje o dwunastu regionach. Największy – Mazowsze; ponad 900 tys. związkowców, pod tym względem trzeci w kraju (większe, bo ponadmilionowe, były Śląsko-Dąbrowski i Dolny Śląsk), a terytorialnie najrozleglejszy. Pięć regionów średniej wielkości – ponadstutysięcznych: Środkowo-Wschodni (330 tys. związkowców), Rzeszowski (240 tys.), Radomski (170 tys.), Warmińsko-Mazurski (150 tys.), Białystok (110 tys.). I sześć małych: Podkarpacie, Sandomierski i Płocki po ponad 70 tys., Pojezierze, Chełm i Przemyśl między 50 tys. a 40 tys.

Było też jedno dziwadło, Federacja Tarnobrzeska – praktycznie tylko Siarkopol oraz kilka związanych z nim komisji zakładowych, które wystąpiły z Regionu Sandomierskiego, raptem 23 tys. ludzi. KKP nie uznała jej za odrębny region, lecz by należących do niej związkowców nie pozbawiać prawa głosu, pozwolono im wybrać delegatów na zjazd krajowy. Tarnobrzeg był stolicą województwa, gdy więc region Solidarności wziął nazwę od Sandomierza, a regionalny MKZ obrał za siedzibę Stalową Wolę, polska stolica siarki uznała się za pokrzywdzoną i się odłączyła.

Podobnych animozji było więcej. W styczniu 1981 r. Chełm odłączył się od Regionu Środkowo-Wschodniego i ogłosił samodzielność (ponieważ w zasadzie pokrywał się z obszarem województwa chełmskiego, KKP nie sprzeciwiła się). Stracił na sile negocjacyjnej z władzami wojewódzkimi, odciął się od lubelskiego zaplecza eksperckiego,

biuletyn wydawał dzięki staraniom praktycznie jednego działacza, do stanu wojennego nie zdołał przyzwoicie się zorganizować. Za to zafundował sobie siedemdziesięcioosobowy zarząd regionu, większy niż w osiem razy większym Lublinie i tylko niewiele mniej liczny niż w ponad dwadzieścia razy większym Mazowszu. A i tak dopiero po interwencji Krajowej Komisji Wyborczej działacze powściągnęli swe ambicje, ponieważ mieli projekt, żeby każda komisja zakładowa wydelegowała do zarządu regionu swego przedstawiciela. To nic, że w takim składzie zarząd nie potrafiłby uzgodnić żadnej decyzji. Byłby za to największy w całym w kraju! Ale takie rozwiązanie było sprzeczne ze statutem i KKW zdołała je skutecznie wyperswadować zwolennikom demokracji bezpośredniej z Chełma.

Biała Podlaska wołała do Mazowsza niż do Lublina; dziwacznie, ale przyjęło się. Jarosław nie mógł z Przemyślem, no ale jakoś wytrwał, bo usamodzielnici się nie miałyby szans i musiałyby do Rzeszowa, lecz z Rzeszowem nie mógł jeszcze bardziej niż z Przemyślem. Giżycko natomiast nie bardzo mogło z Suwałkami. Najpierw zostało siedzibą tymczasowego zarządu regionu. Jego geneza była jedyna w swoim rodzaju: do połowy października 1980 r. w całym województwie suwalskim powstała jedna jedyna zakładowa komórka Solidarności, w giżyckiej Żegludze Mazurskiej. Ale z całą powagą zabrano się do powołania Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego i proklamowania samodzielnego regionu Solidarności. Miesiąc później działacze Solidarności z Suwałk, którzy jakoby nic nie wiedzieli o proklamowaniu regionu w Giżycku, utworzyli własny MKZ. O konkurencyjnym ośrodku powiedział im... wojewoda, do którego poszli z żądaniem przydzielenia lokalu z wyposażeniem. W tym momencie w całym województwie akces do Solidarności zgłosiło 10 proc. zatrudnionych; średnia ogólnopolska była kilkakrotnie wyższa. To nie przeszkadzało ambitnym działaczom uznać za pierwszorzędną cel tamtejszej Solidarności wymuszenie na władzach zmiany przeznaczenia okaza-

łego gmachu wzniesionego dla wojewódzkiej instancji PZPR.

Jednocześnie na ultymatywne żądanie KKP żuraw z Giżycka i czapla z Suwałk umawiały się na zjednoczenie. I nawet jeśli któryś MKZ jednego dnia zgodził się na ustępstwa, to zaraz na drugi dzień się z nich wycofywał. W końcu nikt już nie wiedział, czy siedziba władz regionalnych znajduje się tego dnia w tym samym miejscu co wczoraj. Takie komeraże trwały przez cały rok 1981. Skłóceni działacze dwukrotnie byli gotowi uchwalić rozwiązanie regionu i podporządkowanie jednej części Olsztynowi, drugiej Białemustokowi, byle się nie pogodzić, a w ostatniej chwili ulegali perswazjom wysłanników KKP. Oczywiście w tym stanie rzeczy nie było mowy o rewindykowaniu siedziby PZPR. Mimo że pewna część suwalskich władz wojewódzkich otwarcie sprzyjała Solidarności. Na przykład grupa członków Wojewódzkiej Rady Narodowej gotowa była zgłosić jako kandydata na wojewodę osobę uzgodnioną z zarządkiem Regionu Pojezierze, i to z dużymi szansami na zwycięstwo. Ostatecznie choć do takiego precedensowego w skali kraju uzgodnienia nie doszło, na wojewodę został wybrany właśnie ten kandydat, o którym rozmawiano z Solidarnością. Chyba żeby dopełnić miary własnej śmieszności, po przegranej batalii o partyjny budynek (a suwalscy działacze gotowi byli w tej sprawie, mimo sprzeciwu centrali związku, poderwać cały kraj do strajku generalnego) zarząd regionu zwrócił się do KW PZPR z prośbą o... wynajęcie sali konferencyjnej na Walne Zebranie Delegatów regionalnej Solidarności. Komitet Wojewódzki uprzejmie pomieszczenie udostępnił i niewiele brakowało, żeby właśnie tam delegaci przegłosowali rozwiązanie Regionu Pojezierze.

Kilka sprostowań

Najpierw drobiazg terminologiczny: w rozdziale o Regionie Pojezierze Walne Zebranie Delegatów zostało błędnie określone (s. 127) jako Wojewódzki

Zjazd Delegatów. Żadna instancja Solidarności nie określała się jako „województwo”, zjazd był tylko ogólnokrajowy, w regionach odbywały się zebra-
nia delegatów.

Niewiele mniej burzliwe niż w Regionie Pojezie-
rze były dzieje związkowej władzy w Białymstoku. Na początku października 1980 r. pierwszy MKZ rozwiązał się (podczas wizyty w Gdańsku), tydzień potem zawiązał się następny, ale nie wybrał prze-
wodniczącego, tylko trzech współprzewodniczą-
cych. Nie dowiadujemy się, do kiedy trwał taki
stan. Na s. 35 podano (bez daty), że rezygnację
złożył przewodniczący MKZ Feliks Gołębiowski;
z kontekstu wynika, że było to w kwietniu 1981 r.
Nie podano, kogo wybrano na jego miejsce. Nie wia-
domo też, dlaczego w poprzednim akapicie mowa
jest o I Krajowym Zjeździe Delegatów (właściwie
o jego I turze we wrześniu 1981 r.) i o udziale
w nim delegatów Białegostoku, bo potem narracja
wraca do wiosny 1981 r. W ogóle w tym rozdziale
porządek chronologiczny jest wielokrotnie zakłó-
cony, brakuje też choćby przybliżonych dat. Na
s. 27: z kontekstu wynika, że mowa jest o koń-
cówce 1980 r. „W ramach MKZ działała sekcja in-
terwencji, której przewodniczył Bernard Bujwicki,
będący jednocześnie członkiem KKP. Po jego od-
wołaniu miejsce to zajął Feliks Gołębiowski”. Bez
daty. Które miejsce zajął Gołębiowski: szefa komi-
sji interwencji, członka KKP, obu? I czy łączyły te
funkcje ze stanowiskiem przewodniczącego MKZ,
które prawdopodobnie (to wiem skądinąd, nie
z tego tekstu) objął w styczniu 1981 r.? Na s. 50
podano, że 20 marca 1982 r. powstała tajna Tym-
czasowa Komisja Regionalna. Na s. 51, że w 1985 r.
TKR zmieniła nazwę na Międzyzakładową Komisję
Koordynacyjną. Ale na s. 88 pisze się o konflikcie
w 1988 r. pomiędzy TKR i Międzyzakładową Komi-
sją Koordynacyjną. Cały ten rozdział okleiłem kar-
teczkami, na których umieściłem dodatkowe odsy-
łaczki porządkujące chronologię, a z części tekstu
z powodu bałaganu nie da się w ogóle korzystać.

Na rozdział o Mazowszu przeznaczono chyba za
mało miejsca. Albo może trzeba było skorzystać

z rozwiązania zastosowanego w rozdziale gdań-
skim (tom 3), który jako jedyny w tych czterech
tomach ma nieco odmienną kompozycję. Nie za-
klócając zasadniczego chronologicznego porządku
narracji, poszczególnym problemom poświęcono
wyodrębnione podrozdziały i czyta się to znacznie
lepiej. Rozdział o Mazowszu miejscami zbliża się
do modelu kronikarskiego, w innych zaś fragmen-
tach do słownikowego. I prawdopodobnie zawarte
w nim informacje będą traktowane właśnie tak
jak hasła w encyklopedii, których w zasadzie nie
sprawdza się już w innych źródłach.

We fragmencie poświęconym Komitetowi Obro-
ny Robotników stwierdzono (s. 251): „29 września
1976 r. ukazał się pierwszy numer »Komunikatu«
KOR, przepisywanego wówczas na maszynach do
pisania. Kilka miesięcy później pojawił się »Biu-
letyn Informacyjny«. Nieprawda, oba pisma pow-
stały jednocześnie i z początku wychodziły z po-
dobną, mniej więcej comiesięczną częstotliwością;
do końca 1976 r. ukazały się trzy numery »Biule-
tynu Informacyjnego«. Dalej (s. 252): »Kierowana
przez Mirosława Chojeckiego Nieocenzurowana
Oficyna Wydawnicza, a następnie Niezależna Ofi-
cyna Wydawnicza wydawała książki«. Nieocen-
zurowana Oficyna Wydawnicza nie wiąże się z naz-
wiskiem Chojeckiego. Nazwą tą posłużyła się gru-
pa studentów i absolwentów Katolickiego Uni-
wersytetu Lubelskiego z Januszem Krupskim na
czele, która w porozumieniu z Antonim Maciere-
wiczem z KOR odbijała na powielaczu czasopisma
Komitetu – »Biuletyn Informacyjny« i »Zapis«. Sy-
gnowany był przez nią chyba tylko numer 1 »Za-
pisu«, drukowany od stycznia do czerwca 1977 r.
Makietę numeru 2 dostarczył Krupskiemu Chojec-
ki, który też zasugerował zastąpienie »Nieocen-
zurowanej« przymiotnikiem »Niezależna«. Po wy-
drukowaniu w Lublinie drugiego »Zapisu« (już pod
firmą Niezależnej Oficyny Wydawniczej) i próbie
– ostatecznie niedoprowadzonej do końca – wy-
dania numeru trzeciego drogi obu środowisk się
rozeszły i grupa Krupskiego nazwą NOWA już
wiecej się nie posługiwała. Strona 254: »Pierwszy

tytuł – *Pochodzenie systemu* Marka Tarniewskiego – został wydrukowany przez Niezależną Oficynę Wydawniczą jesienią 1976 r.”. Powinno oczywiście być: latem (w sierpniu) 1977 r.

Na s. 281 nietrafnie zrelacjonowana została sprawa uchwały I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność z podziękowaniem dla Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. 28 września 1981 r. gość zjazdu prof. Edward Lipiński odczytał oświadczenie KSS KOR o zakończeniu działalności. Lech Wałęsa zapowiadał, że odpowie na to przemówienie kilkoma zdaniem wyrażającymi uznanie i podziękowanie dla Komitetu i proponuje delegatom, by tekst ten przyjęli przez aklamację jako uchwałę – lecz tego nie zrobił. A przyjęło się, że przemówienia gości zjazdu nie pozostają bez echa, np. po wystąpieniach przewodniczących związków twórczych następowało podpisanie porozumienia o współpracy Solidarności z danym stowarzyszeniem, a po wizycie gen. Mieczysława Boruty-Spiechowicza jako reprezentanta żołnierzy II RP uchwalono włączenie jego przemówienia do dokumentów zjazdu. To wyjaśnienie uzupełniające, w rozdziale o Mazowszu na ten temat nie ma mowy, ale bez niego trudno zrozumieć, dlaczego spór o uchwałę na temat KSS KOR stał się powodem, jak napisano, „kryzysu we władzach regionalnych”.

Tegoż 28 września w imieniu regionu radomskiego Andrzej Sobieraj złożył w zjazdowej Komisji Uchwał i Wniosków rzeczowy i lakoniczny projekt takiego podziękowania. Jeden z delegatów Mazowsza, Paweł Niezgodzki, złożył kontrprojekt. O KSS KOR nie było w nim ani słowa – mimo że przytłaczająca większość korowców to warszawiaczy, którzy co do jednego oddali się pracy na rzecz Solidarności w Regionie Mazowsze, a kilku z nich było na zjeździe delegatami lub obserwatorami. Kontrprojekt zawierał tylko nieznośny retorycznie, wybiórczy wykład tradycji, z których frakcja „prawdziwych Polaków” (Niezgodzki do niej się zaliczał) wywodziła rodowód Solidarności. Na nocnym spotkaniu delegatów Mazowsza odbyła się w związku z tym kontrprojektem wielka awan-

tura. Tego samego dnia Sobieraj na prośbę Jana Józefa Lipskiego i Haliny Mikołajskiej (byłych członków KSS KOR i zarazem delegatów na zjazd) wycofał projekt z Komisji Uchwał i Wniosków (ze sformułowania w rozdziale o Mazowszu wynikałoby, że Lipski i Mikołajska zwrócili się z tą prośbą do Niezgodzkiego, a ich intencją było, żeby zdjąć z porządku zjazdu podziękowanie dla KSS KOR). Komisja zatem nie podjęła również pracy nad projektem Niezgodzkiego. W tej sytuacji nazajutrz delegat Małopolski Bogusław Sonik przedstawił w imieniu swego regionu drugi projekt dziękczynnej uchwały. Jan Józef Lipski, który długo domagał się głosu, a chciał prosić o wycofanie również wniosku Małopolski, zaskłbł, po czym dyskusja na ten temat została odłożona. Ostatecznie jednak ostatniego dnia obrad zjazd przyjął uchwałę w wersji zaproponowanej przez Andrzeja Sobieraja i Region Ziemi Radomskiej. W omawianej księdze tej informacji zabrakło.

W akapicie poświęconym miesięcznikowi „Kultura Niezależna”, utworzonemu w 1984 r., pojawiły się błędne informacje (s. 341). Miesięcznik ten nie powstał z przekształconej w samodzielny tytuł wkładki do czasopisma „KOS” (tak samo błędnie genezę miesięcznika przedstawia poświęcone mu hasło w internetowej *Encyklopedii Solidarności*). Miały taki sam tytuł, ale genetycznie nic ich nie łączyło. Były to byty równoległe, tyle że wkładka do „KOS-a” powstała wcześniej, ale bynajmniej nie przestała się ukazywać po powstaniu miesięcznika. Przez pewien czas wkładkę do „KOS-a” pisała i redagowała Marta Fik, potem na jej prośbę ją ją zastąpiłem; oboje należeliśmy do redakcji miesięcznika, zachodziła więc swego rodzaju unia personalna, ale nic więcej. Po wykonaniu kilku numerów zaprzestałem i wtedy chyba wkładka przestała się ukazywać. Wśród autorów miesięcznika została wymieniona Anna Kowalska; chodzi o Ankę Kowalską, pisarkę, członka KOR i KSS KOR, która zawsze podpisywała się wyłącznie zdrobnieniem imienia, żeby odróżnić się od Anny Kowalskiej, przyjaciółki Marii Dąbrowskiej.

W rozdziale o Regionie Środkowo-Wschodnim podano (s. 508), że na pierwszym masowym zebraniu organizatorów związku na Lubelszczyźnie 16 września 1981 r. do MKZ został dokooptowany Janusz Rożek, założyciel Komitetu Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej, później działacz Solidarności rolniczej. To nieporozumienie; byłem na tym spotkaniu. Rożek przyszedł już po rozpoczęciu obrad i ktoś podpowiedział Czesławowi Niezgodzie, żeby go powitał i zaprosił do prezydium – czyli na scenę, za stół z zielonym suknem. Niezgoda źle zrozumiał i ogłosił, że dokooptowuje Rożka do prezydium MKZ. Działacz chłopski zasiadł na scenie, sala odpowiedziała owacją, ale któryś z sąsiadów Niezgody (jeśli dobrze zapamiętałem

– Adam Stanowski, naukowiec z KUL) uświadomił mu, że kwestia objęcia rolników indywidualnych prawem do zrzeszania się w związki zawodowe nie jest uregulowana. Przewodniczący sprostował poprzednie oświadczenie, przeprosił Rożka, prosząc równocześnie, żeby pozostał na scenie jako gość honorowy zebrania. Autor rozdziału zaczerpnął błędną informację ze sprawozdania, które o tym spotkaniu zostało złożone w KW PZPR, gdzie każda wiadomość o poczynaniach Janusza Rożka oddziaływała jak czerwona płachta na byka. Albo więc informator partii nie usłyszał sprostowania, albo wiadomość została celowo zniekształcona, żeby jej ewentualnie użyć przeciwko związkowcom jako dowód ich politycznego awanturnictwa.

PRAWDZIWY OPÓR I POZORNA KONFORMIZACJA

TOMASZ WIŚCICKI

NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 6: Polska południowa, red. Łukasz Kamiński, Grzegorz Wali-góra, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2010, ss. 977.

Nieczęsto zdarza się, by indeks osobowy do książki, nawet opastej, nawet bardzo naukowej, liczył 82 strony – a tak właśnie jest w omawianej publikacji. Ta olbrzymia lista osób nie jest rzecz jasna przypadkowa. Jest to bowiem jeden z siedmiu tomów, stanowiących w sumie – wstępną mimo rozmiarów i mimo upływu trzydziestu lat od omawianych wydarzeń – syntezę gigantycznego ruchu Solidarność, który w szczytowym okresie obejmował większość dorosłej ludności Polski. W tomie szóstym opisano południowe regiony NSZZ Solidarność: małopolski, śląsko-dąbrowski, dolnośląski, jeleniogórski, Śląska Opolskiego, Podbeskidzia, świętokrzyski i częstochowski.

Dobrze się stało, że autorzy nie szczędzą czytelnikowi personaliów, nawet jeśli ich zdecydowana większość mało komu coś mówi. Można powiedzieć: to wstyd, że tak niewiele spośród tych nazwisk zostało zapamiętanych. Niech chociaż zostaną wymienione na stronach tej pracy – ogromnej jak ruch, który opisuje.

Publikacja IPN nadrabia wielką i wstydliwą zaległość – zbiera po prostu podstawowe fakty dotyczące historii Solidarności. Nie porywa błyskotliwością narracji, odkrywczością stawianych tez, śmiałością konkluzji. Autorzy postawili przed sobą zadanie mniej efektowne, bardziej niewdzięczne:

przedstawić po prostu przebieg wypadków. Widać to zwłaszcza w tomach takich jak opisywany – sumiennie przedstawiających wydarzenia z setek miast, miasteczek, wsi południowej Polski. Choć ten rodzaj pisania historii może się wydać nie-modny, trochę dziewiętnastowieczny, jednak jest absolutnie niezbędnym etapem opisanie solidarnościowej epopei. Musimy po prostu wiedzieć, co się konkretnie wydarzyło. Stąd drobiazgowe wyliczenie faktów, struktur, tytułów pism, a przede wszystkim ludzi, którzy byli sprawcami tych wszystkich faktów składających się na jeden z najbardziej niezwykłych fenomenów dwudziestowiecznej historii.

Te detaliczne opisy pozwalają zrozumieć skalę solidarnościowego poruszenia. Wszyscy znamy liczbę (z lekka zaokrągloną w górę) 10 mln członków Solidarności latem 1981 r., w okolicach jej krajowego zjazdu. Przyzwyczailiśmy się do tej liczby, wiemy, że była olbrzymia – i więcej się nad nią nie zastanawiamy. Gdy jednak przeczytamy litanie faktów i osób, musi pojawić się zdumienie: skąd nagle wzięli się ci wszyscy ludzie? Skąd pojawiły się tysiące samorodnych przywódców, którzy natychmiast przystąpili do działania na wieść o tym, że w Gdańsku komunistyczna władza wyraziła zgodę na samoorganizowanie się społe-

czeństwa poza ramami wyznaczonymi, kontrolowanymi i manipulowanymi przez tę władzę.

A wszystko to działo się po gierkowskiej dekadzie względnej prosperity, kiedy – jak się wydawało – zdecydowana większość społeczeństwa dała się spacyfikować za pomarańcze na święcie „Trybuny Ludu”, talon na małego fiata (a dla niektórych dużego...), wczasy w zakładowym ośrodku albo i w którymś z „bratnich” krajów. Ten okres to z jednej strony czas pojawienia się zorganizowanej, świadomej opozycji, z drugiej – właśnie powszechnej konformizacji społeczeństwa. Wizje z piosenek Jana Krzysztofa Kelusa nie były wymysłem opozycjonisty sfrustrowanego brakiem powszechnego odzewu wolnościowych haseł. Taka była większość społeczeństwa. I nagle – nieprawdopodobne przebudzenie, w znacznej większości tych samych ludzi, którzy wcześniej potulnie znosili komunizm i wydawali się usatysfakcjonowani tym, że jest trochę lepiej.

Nie w tym rzecz, że druga połowa lat siedemdziesiątych to okres załamywania się nadziei na może powolny, ale nieprzerwany „dalszy dynamiczny rozwój”. Władza zbyt wcześnie ogłosiła, że – zgodnie z propagandowym hasłem z początku dekady – „Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej”. Ale przecież istotą ruchu Solidarność był jego wolnościowy i godnościowy charakter. Owszem, zaczynało się od żądania podwyżek, ale natychmiast pojawiały się postulaty jak najbardziej polityczne – w sensie roztropnej troski o dobro wspólne.

Ogromne wrażenie robi przełożenie tej wiedzy – powszechnej, zbanalizowanej – na konkret: na setki nazwisk konkretnych ludzi, którzy natychmiast trafnie odczytali, przed jak ogromną, bezprecedensową szansą stanęli. Tu widać, na czym polega samoorganizowanie się społeczeństwa.

Nie można też nie zadać sobie pytania, skąd ci wszyscy ludzie wiedzieli, co powinni zrobić. Skąd wzięli te niespodziewane umiejętności: formułowania oczekiwań wobec władzy, tworzenia instytucji, przeprowadzenia wyborów, zorganizowania

zebrania, zredagowania czasopisma. W szkole się tego nie nauczyli... Nie dowiedzieli się też tego w oficjalnych, fasadowych instytucjach, zorganizowanych na przeciwstawnej zasadzie, gdzie wszystko płynęło z góry na dół, a jak ktoś miał złudzenia, że może być odwrotnie, to szybko się dowiadywał, jak bardzo był w błędzie. Totalitarna władza miała dość środków, by konformizować poddanych – zresztą czyniła to do pewnego momentu dość skutecznie. I nagle – na jedno hasło, z Gdańska przede wszystkim (w niczym nie ujmując pozostałym ośrodkom Sierpnia), ujawniają się miliony nonkonformistów, w tym – tysiące takich, którzy wiedzieli, co robić. Pojawili się – co widać wyraźnie w omawianym tomie – nie tylko w dużych miastach, ale i w małych ośrodkach. Nagle wyłania się alternatywna elita społeczeństwa – w przeciwieństwie do tej komunistycznej w pełni zasługująca na tę nazwę. I wskazuje drogę.

Nasuwa się tu określenie „mądrość zbiorowa” – wydawałoby się, że do cna ośmieszone i skompromitowane. A jednak trudno go nie użyć, widząc, jak tysiące nieznających się wzajemnie, niedoświadczonych ludzi podejmuje działania zmierzające w tym samym kierunku, podchwytuje pomysły, uczy się od siebie nawzajem.

Nie mam zamiaru idealizować tego poruszenia. Zjadacze chleba nie zostali przerobieni w aniołów; autorzy opisują, a czasem tylko dają do zrozumienia, rozmaite małości, słabości, ambicjonalne konflikty. Każdy, kto te czasy przeżył świadomie, pamięta niekończące się, chaotyczne zebrania – skrzyżowanie sejmiku z wiecem. Pamiętamy głosowania nad tym, czy przeprowadzić głosowanie i wnioski formalne w sprawie otwarcia okna. Kiedy jednak odrzucimy tę pianę, widzimy zdumiewający poziom świadomości i konkretne umiejętności temu towarzyszące. Kiedy się nad tym chwilę zastanowić, nie można nie popaść w bezbrzeżne zdumienie: jak to było możliwe?

Nie potrafię dać na to pytanie odpowiedzi, jednak jeden wniosek wydaje się oczywisty. Ta błyskawiczna i powszechna samoorganizacja spo-

łączeństwa pokazuje, jak powszechnie w istocie odrzucano komunizm. Konformizacja była – jak się okazuje – nader powierzchowna. Owszem, pomiędzy jednym społecznym wybuchem a drugim większość społeczeństwa pozostawała bierna, a nawet demonstrowała podporządkowanie władzy. Gdy jednak pojawiają się możliwości działania, natychmiast są wykorzystywane. Płyne stąd nauka, by nie mylić zewnętrznego podporządkowania systemowi z rzeczywistą jego akceptacją. Choć o zgubnych skutkach komunizmu dla społecznej świadomości napisano już tomy, to te długie szeregi nazwisk przywódców i miliony członków struktur, które stworzyli, pokazują, jak mylny jest obraz Polaków potulnie podporządkowujących się komunizmowi – chętnie przytaczany przez tych, którzy nie zgadzają się z wizją milionów zaangażowanych w antykomunistycznym oporze. Ta bohaterańska wizja wydaje się zafałszowywać rzeczywistość, ale obraz stanowiący nań odtrutkę też jest bardzo odległy od realiów.

Drobiazgowe wyliczenie inicjatyw z okresu po 13 grudnia 1981 r. pokazuje z kolei, że – wbrew nadziejom twórców stanu wojennego i naszym ówczesnym obawom – powrót do *status quo ante* był niemożliwy. Nawet jeśli duża część 10 mln gdzieś się rozpieczęchła, to jednak pozostały tysiące. Nawet w najbardziej ponurym okresie lat 1986–1987, kiedy wydawało się, że społeczeństwo zostało spacyfikowane, to jednak ta stabilizacja nastąpiła na poziomie zupełnie nieporównywalnym nawet z drugą połową lat siedemdziesiątych. To już nie były izolowane grupki szlachetnych opozycyjnych desperatów – to były dobrze zorganizowane, wypróbowane w działaniu sieci przenikające rozmaite grupy społeczne, także takie, w których wcześniej nic się nie działo. Czytając te obszerne wyliczenia ówczesnych opozycyjnych inicjatyw, lepiej rozumiemy, dlaczego komunizm upadł dużo szybciej, niż byliśmy gotowi wtedy oczekiwać. Okazuje się, że została przekroczona masa krytyczna i mimo że władza do samego końca zachowała fizyczne możliwości zniszczenia

oporu przeciwko sobie, to jednak prosty powrót do przemocy na dużą skalę – taką w stylu stalinowskim – nie był możliwy.

Omawiana księga opisuje społeczny opór także od strony jego wrogów, przede wszystkim Służby Bezpieczeństwa. Autorzy ostrożnie i z umiarem wykorzystują materiały zachowane w archiwum IPN. Nie odpowiadają – bo odpowiedzieć nie są w stanie – na jedno z najważniejszych pytań: o skuteczność działań tajnych służb. Odpowiedzieć na to pytanie niezmiernie trudno, ponieważ dysponujemy źródłami jednej tylko strony: SB, która z oczywistych powodów miała skłonność do przeceniania swojej skuteczności. Druga strona tych zabiegów, nawet jeśli się czegoś domyślała, to z definicji nie znała działań przeciwko sobie. W połączeniu ze zniszczeniem znacznej części akt dowiadujemy się głównie tego, co SB planowała, dużo mniej – co konkretnie zrobiła, a niemal nic na temat tego, co rzeczywiście udało jej się osiągnąć.

Prześledzić to można na przykładzie działań „dezintegracyjnych” (czyli wywołujących konflikty i podsycających już istniejące) w największym regionie Solidarności – śląsko-dąbrowskim. SB stawiała sobie dwa cele: nie dopuścić do zjednoczenia związku w całym regionie oraz wzmacniać elementy ugodowe, a osłabiać radykalne. Cel pierwszy był właściwie z definicji tymczasowy: SB mogła próbować opóźniać proces jednoczenia, trudno sobie wyobrazić, by – wobec oczywistych korzyści płynących z jedności – udało się go zatrzymać.

Cel drugi – spacyfikowanie działaczy radykalnych, umocnienie ugodowych – udało się tylko częściowo. Jarosław Sienkiewicz, faworyt władz, stanowczo przesadził, czy też może sterujący nim działacze przesadzili. Jego wiernopoddańcze adresy do władz, pisane językiem jak z materiałów szkoleniowych Wydziału Propagandy i Agitacji, musiały doprowadzić do jego marginalizacji. Andrzej Żabiński, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR i patron Sienkiewicza, najwyraźniej nie dostrzegł różnicy między samoograniczeniem

związku i braniem pod uwagę realiów – a zgodą na podporządkowanie Solidarności komunistom. Dostrzegli ją natomiast związkowcy i choć nimbu współtwórcy porozumień w Jastrzębiu wystarczyło Sienkiewiczowi na jakiś czas, to jednak jego kariera musiała się załamać.

Z drugiej strony – za sukces poczytała sobie SB zepchnięcie na dalszy plan ocenianego jako najgroźniejszy przeciwnik Andrzeja Rozpłochowskiego. Mimo że kierowany przez niego katowicki MKZ był najsilniejszy w regionie, jego przywódca nie tylko nie został szefem zjednoczonych władz regionalnych, ale nawet nie wszedł do zarządu.

Pozostaje oczywiście pytanie, na ile owe sukcesy SB były efektem jej działań, a na ile wynikiem czynników, na które bezpieczeństwa nie miała wpływu. Autorzy powściągliwie komentują, że nie da się tego z pewnością stwierdzić, opowiadając się za tym, że owszem, SB miała wpływ, ale były i inne czynniki: rozmiary regionu, jego zróżnicowanie, osobiste cechy protagonistów, ich ambicje itp. Tyle tylko da się odpowiedzialnie powiedzieć, tym bardziej że działania dezintegracyjne podejmowano zwykle tam, gdzie zarzewie konfliktów już istniało; rzadko usiłowano wywołać konflikt od zera.

Ten sceptycyzm poznawczy jest zarazem świadectwem tego, jak wiele jeszcze pozostaje do zbadania i jak wiele – być może – pozostanie nieznanne. (Prawie) nieskrępowane badania nad tym, co pozostało z akt SB, toczą się przecież dopiero od kilku lat. A przecież są jeszcze inne służby, o których zaangażowaniu w zwalczanie opozycji nie wiemy prawie nic: wywiad i kontrwywiad MSW (badane są głównie akta tej „zwykłej” SB), służby wojskowe, wreszcie bezpieczeństwa krajów ościennych – Związku Sowieckiego czy NRD. To wszystko dopiero czeka na zbadanie.

Od opisywanych wydarzeń minęło zaledwie dwadzieścia, trzydzieści lat, czyli – dla historyka – niewiele. A jednak z powodu opóźnienia w ba-

daniach pewnych faktów nie potrafimy już ustalić. Nie wiadomo, kiedy odbyło się jakieś zebranie, nie wiemy, kto brał udział w jakichś działaniach. To bardzo charakterystyczne dla działań spontanicznych, zwłaszcza w fazie organizacji Solidarności: nikt nie dbał o dokumentowanie dziejącej się historii, a kiedy z jakichś powodów świadkowie są niedostępni albo zawodzi ich pamięć – pozostaje kolejny znak zapytania. W niektórych przypadkach w rolę „protokolantów” wcielili się esbecy, dokumentując dla swoich celów to, czego zaniebdali zanotować uczestnicy wydarzeń.

Forma książki podporządkowana jest założeniom całości. Stąd sztywny podział poświęconych poszczególnym regionom rozdziałów na podrozdziały: *Narodziny związku; Działalność legalna; Stan wojenny i „normalizacja”; Odbudowa*. Rozdzielają je daty: 10 listopada 1980 r., 13 grudnia 1981 r., październik 1986 r. Datą początkową jest lipiec 1980 r., końcową – kwiecień 1990 r. Ta struktura jest oczywista i zrozumiała – jeśli czegoś brak, to podziału w ramach ogromnych podrozdziałów, w których znalezienie konkretnej informacji jest nader utrudnione. Aż by się prosiło o dalszy podział tych podrozdziałów – już może mniej sztywny, bardziej uwzględniający specyfikę opisywanych regionów. Sama natomiast oprawa graficzna, bardzo prosta, jest przyjazna czytelnikowi (przypisy na dole strony, a nie na końcu!). Przydałaby się może tylko żywa pagina, zwłaszcza wobec ogromnych rozmiarów pracy.

Omawiana praca wypełnia (nareszcie!) dotkliwą lukę. Jest podsumowaniem tego, co wiemy o Solidarności w południowej części naszego kraju. Każdy, kto szuka konkretnych na ten temat, powinien wziąć do ręki gruby tom wydany przez Instytut Pamięci Narodowej. Ci, którzy to uczynią, znajdą w nim inspirację do dalszych badań. Ich prowadzenie jest – nie waham się tak stwierdzić – kwestią zasadniczej wagi dla naszej narodowej wspólnoty.

DRUGI OBIEG POD LUPĄ

JAN OLASZEK

MATEUSZ FAŁKOWSKI, *Biznes patriotyczny. Historia wydawnictwa CDN, Europejskie Centrum Solidarności, Warszawa – Gdańsk 2011, ss. 283.*

Biznes patriotyczny? Tytuł książki brzmi nieco prowokacyjnie. Przywołuje on odmienne wizje polskiego ruchu opozycyjnego i podziemia wydawniczego. Jedna skupia się na politycznych motywacjach opozycjonistów, w drugiej niezależny obieg wydawniczy to przede wszystkim zjawisko gospodarcze, którym rządzi gra rynkowa. Mateusz Fałkowski połączył te perspektywy, opisując historię, ludzi i mechanizmy działania jednej z najważniejszych oficyn drugiego obiegu – wydawnictwa CDN kierowanego przez Czesława Bieleckiego.

Sposób wydania książki może być mylący. Duży format, kredowy papier, liczne zdjęcia tworzą wrażenie, że to publikacja albumowa wydana głównie dla uczczenia rocznicy wydawnictwa. Tymczasem książka Fałkowskiego jest dobrze udokumentowaną monografią historyczną. Autor przeprowadził szerokie badania, zebrał kilkadziesiąt relacji uczestników wydarzeń i zestawiał je ze sobą. Współpracownicy wydawnictwa wypełniali ankiety dotyczące ich działalności. Z prawie czterdziestoma osobami najbardziej aktywnymi autor przeprowadził szczegółowe rozmowy.

Uzupełnieniem źródeł wywołanych są archiwalia. W archiwum Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte zachowała się korespondencja Czesława Bieleckiego ze wspierającym niezależny ruch wydawniczy Jerzym Giedroyciem. Autor wykorzy-

stał też dokumentację wytworzoną przez CDN: listy, notatki, plany wydawnicze i finansowe. Wiele z nich niszczone, część jednak zachowała się w prywatnych zbiorach, inne zarekwirowała Służba Bezpieczeństwa i dziś są dostępne w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Tam Fałkowski znalazł też materiały policji politycznej rozpracowującej CDN. Pozwoliły one ustalić pewne szczegóły dotyczące funkcjonowania wydawnictwa, a przede wszystkim pokazać działania SB przeciwko niemu. Ważnym źródłem są też naturalnie książki i pisma wydawane w drugim obiegu.

Monografia ma układ chronologiczno-problemowy. Opisuje w kolejnych rozdziałach okoliczności powstania CDN, rozwój jego sieci organizacyjnej, przeciwdziałanie ze strony SB, kryzys wywołany aresztowaniami członków kierownictwa, funkcjonowanie w okresie zmian zachodzących w ostatnich latach dekady oraz losy ludzi CDN po 1989 r. Narrację uzupełniają graficznie wyodrębnione obszernie fragmenty relacji uczestników wydarzeń oraz ilustracje, zdjęcia, dokumenty. Aneks na końcu książki zawiera słownik pojęć używanych przez konspiratorów, kalendarium wydarzeń, biogramy ludzi tworzących wydawnictwo oraz listę jego publikacji.

Pomysłodawcą CDN i jego organizatorem był Czesław Bielecki, znany w podziemiu jako Maciej

Poleski. Jego opozycyjna droga prowadziła przez niezależne harcerstwo, Marzec '68 i poligrafię tajnego Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Wśród innych osób zaangażowanych w stan wojenny w pracę w CDN są bardziej znane, jak bard opozycji Jan Krzysztof Kelus czy aktorka Katarzyna Łaniewska, większość jednak to ludzie, których nazwiska nie utrwały się w pamięci społecznej. Fałkowski przypomina rolę, jaką odgrywali. Zwraca uwagę na ich różnorodność zawodową, pokoleniową, światopoglądową. CDN nie był inicjatywą jednego środowiska, lecz strukturą sieciową ludzi z różnych grup, powstałą w momencie tworzenia wydawnictwa.

Wydawnictwo współpracowało z innymi inicjatywami opozycyjnymi tworzącymi się w stanie wojennym, m.in. z głównymi warszawskimi pismami podziemnymi – „Wiadomościami” i „Głosem Wolnego Robotnika”. Trwała okazała się współpraca z „Tygodnikiem Mazowsze” (aż do jego ostatniego numeru w 1989 r.) – CDN zajmował się drukiem pisma, dostając z tego tytułu offset. Współpraca dawała korzyści wszystkim. „Dla obu stron była to racjonalna decyzja. Tygodnik zwiększył swój nakład, a jednocześnie redukowało z tym ryzyko (w tym czasie drukowany był przez jedną z drukarni Nowej). CDN zyskiwało z kolei sprzęt, kontakty, a w swoich sieciach kolportażu regularnie ukazujące się i związane z Regionem »Solidarność« pismo, w którym ukazywały się teksty ówczesnych liderów podziemia. Obok spłaty serwitutów wobec »Solidarności« była to więc także inwestycja we własną firmę” – pisze Fałkowski.

Szczegółowo rekonstruuje strukturę wydawnictwa. Pokazuje, że w warunkach stanu wojennego przy rekrutacji do pracy podziemnej decydujące znaczenie miały osobiste kontakty – zawodowe bądź towarzyskie. Imponujące wrażenie robi drobniactwo, z jaką Fałkowski odtwarza lokalizację „skrzynek” kontaktowych, drukarni i mieszkań redakcyjnych. Naniesione na plan Warszawy pokazują, jak skomplikowanym logistycznie przedsięwzięciem było nielegalne drukowanie książek.

Z przywoływanych w książce relacji na temat dyskusji organizacyjnych wyłania się obraz pewnego napięcia między Bieleckim – liderem przekonanym o konieczności tworzenia skomplikowanego systemu konspiracyjnego i rozwijania firmy – a częścią jego współpracowników, dla których zaangażowanie miało bardziej spontaniczny charakter.

W książce o takim tytule nie mogło zabraknąć opisu ekonomii CDN. System rozliczania się ze względów konspiracyjnych musiał mieć ograniczony zakres, jednak istniał. Wpadka dokumentów finansowych CDN mogła być szczególnie niebezpieczna, jednak twórcom oficyny zależało na tym, żeby istniała pewna kontrola. W lutym 1984 r. Jan Józef Lipski jako osoba o ogromnym autorytecie w środowiskach opozycyjnych został poproszony o skontrolowanie bilansów finansowych CDN. Po jego aprobacie podziemnej księgowości rozliczenia zniszczono. Lipski sprawdzał też finanse wydawnictwa w trakcie jego rozwiązywania w 1990 r. Te rozliczenia, które się zachowały, posłużyły Fałkowskiemu jako ważne źródło. Patrzy on na podziemne wydawnictwo jak na przedsiębiorstwo działające na zasadach rynkowych, funkcjonujące zależnie od popytu i podaży. „Z czasem zmieniał się charakter rynku: z rynku producenta, na którym praktycznie wszystko z podziemną etykietą można było sprzedać, na rynek czytelnika, który zaczynał być wybredny” – pisze.

Bielecki duże znaczenia przykładał do odpłacania swoich pracowników za poświęcony czas i energię. Budziło to opory części tych, którzy angażowali się z przyczyn ideowych, inni zaś nie chcieli się pobieraniem pieniędzy zobowiązywać do pełnej dyspozycyjności. Bielecki był zdania, że wynagrodzenie często pozwala ludziom mocniej się zaangażować, a jemu jako szefowi stawiać konkretne wymagania. „W biznesie patriotycznym kluczowa była dyspozycyjność wobec organizacji. Jeżeli kogoś stać było na nią – oferował swą pracę bezpłatnie. To nie był problem ideologiczny, ale praktyczny, życiowy” – mówił po latach. Zastugą Fałkowskiego jest spokojne opisanie tej budzącej

niekiedy silne emocje strony wydawniczego podziemia.

Wydawnictwo CDN to przede wszystkim książki ważne dla myślenia o polityce. Tak jak NOWA skupiała się na literaturze, tak CDN prezentował niezależną publicystykę polityczną. Interesujące były też inne inicjatywy: kasety z nagraniami, pisma podziemne wydawane dla żołnierzy („Reduta”) i milicjantów („Godność”). Gazetki te wywoływały ostre reakcje władz, które obawiały się naruszenia swojego imperium. Fałkowski na podstawie dokumentów Służby Bezpieczeństwa pokazuje historię zwalczania CDN; poszczególne sukcesy na tym polu nie doprowadziły do pełnego rozpracowania lub likwidacji oficyny. Skuteczność konspiracyjnego systemu funkcjonowania oficyny potwierdza fakt, że nie przestała ona działać po aresztowaniu kierownictwa.

Na przykładach konkretnych cytatów Fałkowski pokazuje, w jaki sposób braki w ustaleniach funkcjonariusze SB zastępowali wielokrotnie przepisywanymi z istniejących już dokumentów stereotypowymi opiniami. Taki charakter ma np. podkreślanie przez nich rzekomo kluczowego dla funkcjonowania wydawnictwa znaczenia żydowskiego pochodzenia Bieleckiego. Było to powielanie kliszy charakterystycznej – jak się wydaje – dla klimatu panującego w SB po 1968 r. i sposobu widzenia działań opozycji przez jej pracowników.

W świat solidarnościowej konspiracji wprowadza przywoływany przez Fałkowskiego język używany w podziemiu. CDN to „firma”, ludzie tworzący wydawnictwo to „firmanci”. Gilotynę do cięcia papieru nazywali „dantonem”, a mieszkanie, w którym jej używano, „rzeźnią”. Działalność podziemna to „knucie”. Ujawniający się działacz podziemia „wynurzał się” na powierzchnię. Hasła te wyjaśnia zamieszczony w książce słownik. Język źródeł, czyli relacji, nie zdominował jednak autora, udało mu się zachować należyty dystans.

Fałkowski z ogromnym znanstwem opisuje historię CDN. Trudno polemizować z jego ustaleniami powstałymi w wyniku szczegółowych badań. Pewne wątpliwości zgłosić można do opisu tła wydarzeń w pierwszych rozdziałach książki. Autor powinien wspomnieć o sprawach pozawarszawskich. Wśród pierwszych pism drugiego obiegu wymienić trzeba wrocławski tytuł „Z Dnia na Dzień”, który w stanie wojennym wyprzedził warszawskie „Wiadomości” i „Informację Solidarności”. Szersze uwzględnienie kontekstu innych ośrodków podziemia mogłoby być cennym uzupełnieniem książki (zwłaszcza w przypadku dyskusji o strategii podziemnego działania, która w książce została opisana w sposób chyba zbyt skrótowy). Ciekawe byłoby porównanie innych inicjatyw wydawniczych z CDN – autor mógłby w nieco większym stopniu wykorzystać istniejące już publikacje (np. książkę Wojciecha Polaka o gdańskim wydawnictwie Alternatywy).

Pomiędzy historykiem zbierającym relację a bohaterem wydarzeń często tworzy się pewna więź. Historyk jest wdzięczny świadkowi za pomoc, ten drugi docenia zainteresowanie jego własnymi losami. Rodzi to ryzyko nie dość krytycznego podejścia do podawanych w relacjach informacji czy ocen. W przypadku książki Mateusza Fałkowskiego niebezpieczeństwo to zwiększał fakt, że powstała ona z inicjatywy twórców CDN i przy ich bliskiej współpracy. Wydaje się, że autor poradził sobie z tym zagrożeniem. O swoich bohaterach pisze bez wyraźnego wartościowania i patosu, do relacji podchodzi krytycznie, zestawiając je ze sobą.

Książka Fałkowskiego to spojrzenie na drugi obieg wydawniczy przez szkło powiększające. To jedna z pierwszych prac pokazujących na konkretnym przykładzie mechanizm funkcjonowania podziemnego ruchu wydawniczego. Obserwacje dotyczące znaczenia sieci organizacyjnych wydawnictwa czy kwestii ekonomicznych ułatwią zrozumienie funkcjonowania całej podziemnej Solidarności.

POLSKA TRANSFORMACJA: SUKCES CZY KATASTROFA?

ANNA MARIA MYDLARSKA

GERALD J. BEYER, *Recovering Solidarity. Lessons from Poland's Unfinished Revolution*, University of Notre Dame Press 2010, ss. 324.

Wielki ruch społeczny, jakim była licząca niemal dziesięć milionów członków Solidarność, fascynował wielu intelektualistów Zachodu jako próba nowego sposobu uprawiania polityki i nowa forma uczestniczenia w życiu społecznym. W swej fascynującej książce Gerald J. Beyer starannie udokumentował dokonania polskiego ruchu społecznego jako niezwykle wartościowego modelu „solidarnego społeczeństwa”. Uznał jednak, że w toku polskich przemian model ów został zaprzepaszczony, a dziś wyzwaniem dla współczesnej Polski i świata jest powrót do wzorca.

Już pierwsze zdania wstępu prowokują: „Wraz z narodzinami kapitalizmu w Polsce w 1989 roku solidarność umarła. [...] Wolność i demokracja miały uleczyć choroby komunizmu. A tymczasem to wolność i demokracja są przynajmniej częściowo odpowiedzialne za powstrzymanie wielkiej moralnej rewolucji Solidarności”. Książka ostro i prawdziwie przedstawia fundamentalny konflikt między tymi, dla których wtedy zaczęła się epoka sukcesu, a ludźmi odrzuconymi. Przenikliwie ocenia konflikty w dawnej Solidarności. Staje po stronie tych, którzy przegrali na wprowadzeniu „kapitalizmu w jego neoliberalnej, anglosaskiej formie”. Beyer podkreśla odejście od ideałów „so-

lidarnego społeczeństwa” po 1989 r. i „śmierć Solidarności”. Twierdzi, że nie próbowano realizować społecznej nauki Kościoła zawartej w encyklikach i homiliach Jana Pawła II oraz pismach ks. Józefa Tischnera. Rysuje katastrofalny obraz polskiej biedy i wykluczenia (zwłaszcza największy w Unii Europejskiej odsetek żyjących w biedzie dzieci – 26 proc.) i tragiczny los kobiet, dramatyczne skutki bezrobocia, katastrofę społeczną po likwidacji Państwowych Gospodarstw Rolnych.

W tym bardzo krytycznym obrazie polskich przemian brak jednak odniesienia do innych krajów regionu i do skali biedy odziedziczonej po poprzednim systemie, nie ma opisu warunków życia w okresie PRL. Beyer wspomina wprawdzie o wcześniejszym „ukrytym bezrobociu” i stawia pytanie, czy można było uniknąć negatywnych skutków likwidacji nierentownych zakładów pracy i przekształceń ekonomicznych, zauważa też poprawę po wstąpieniu do Unii Europejskiej. Obawiam się jednak, że zachodni czytelnik na podstawie tej książki wyrobi sobie obraz Polski odległy od rzeczywistości, choć oparty na prawdziwych danych dotyczących skali biedy, bezrobocia i dostępu do edukacji sprzed zaledwie kilku lat. Znamienne, że aktualna diagnoza społeczna (*Warunki*

i jakość życia Polaków 2009) pokazuje poprawę w wielu aspektach, w tym w subiektywnej ocenie jakości życia. Rysowany ostro przez Beyera obraz Polski po transformacji trudno bowiem połączyć z widzianą za oknami rzeczywistością: z nowoczesną architekturą miast, ulicami pełnymi nowych samochodów, lepiej ubranymi, zamożniejszymi ludźmi, z lepszym wyposażeniem nawet najbiedniejszych gospodarstw domowych w nowoczesny sprzęt. Wizja niesolidarnej, zdewastowanej Polski nie pokrywa się z pozytywnie zmieniającym się obrazem kraju widocznym nie tylko w badaniach socjologicznych.

Gerald J. Beyer ubolewa, że nadzieje wielu intelektualistów i przywódców religijnych, łącznie z papieżem Janem Pawłem II, iż Solidarność po swoim zwycięstwie wprowadzi moralne wartości do „realnego” kapitalizmu i demokracji w Polsce i na świecie, zostały zawiedzione. Powołuje się przy tym na Adama Michnika, który „po niespełna roku od demokratycznych wyborów z 1989 ogłosił śmierć idei Solidarności”. Przypomina też ogłoszoną przez Lecha Wałęsę „wojnę na górze” i tezę Aleksandra Smolara, że Polska wyłaniająca się z programu Solidarności była zupełnie inna od tej, którą zbudowaliśmy. Mimo wszystkich niedoskonałości polskich przemian, na które Jan Paweł II zwracał uwagę podczas pielgrzymek do naszego kraju, warto wszakże przypomnieć słowa papieża wygłoszone na placu Zwycięstwa w Warszawie w 1999 r., gdy podkreślił, że obecny kształt Polski jest odpowiedzią na wezwanie sprzed dwudziestu lat wypowiedziane w tym samym miejscu: „niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Trudno o wyraźniejszy sygnał akceptacji ogólnego kierunku przemian i ich owocu – wolnej, demokratycznej Polski. Podobną postawę prezentował Jan Paweł II podczas swojej wizyty w sejmie i senacie. Gdyby wówczas chciał dać wyraz swoim zawiedzionym nadziejom, zapewne by to zrobił.

Autor powołuje się na wiele źródeł, które wydadają się potwierdzać jego najbardziej dyskusyjną

tezę, że Solidarność miała całościową i spójną wizję społeczeństwa, wokół której można było zbudować nowy ład w wolnej Polsce. Jednak ruch był konglomeratem tak zróżnicowanych postaw, że trudno na podstawie jego dokumentów zbudować jednoznaczny, klarowny program społeczny dla niepodległego państwa, o które w latach 1980–1981 Solidarność nie mogła się nawet upominać. Pomijam tu kwestię niepełnej swobody solidarnościowej władzy w początkowym okresie przemian, po – wbrew określeniu Beyera – na poły tylko demokratycznych wyborach 1989 r., w których wybierano swobodnie zaledwie 35 proc. posłów, a obóz postkomunistyczny miał pełną kontrolę nad resortami siłowymi i swojego prezydenta. Nie było wówczas jeszcze pewne, jaką drogą podążą inne kraje regionu, jak ułożą się relacje z istniejącym wciąż Związkiem Radzieckim, a później Rosją. W pierwszych latach transformacji ustrojowej realne możliwości rządów, na których czele stali politycy Solidarności, były zatem ograniczone.

Solidarność jako ruch społeczny skupiała różne nurty myślenia o Polsce. Zawartego w końcowym rozdziale książki wezwania, byśmy „powrócili do aspiracji ludzi takich jak Wałęsa, Pieńkowska i Adam Michnik”, trudno nie rozważać w kontekście poważnych rozbieżności między ich wizjami Polski. Lech Wałęsa (jako jedyny spośród trojga wymienionych przez Beyera osób) reprezentował całą Solidarność – był jej demokratycznie wybranym przewodniczącym, a potem pierwszym wybranym w powszechnych wyborach prezydentem odrodzonej Polski. Alina Pieńkowska reprezentowała nurt związkowy, ale źródła sukcesu Solidarności upatrywała w niezwyklej współpracy wytworzonej przez ruch, w którym „robotnik słuchał inteligenta, inteligent słuchał robotnika”. W wolnej Polsce Pieńkowska nie była postacią marginalną, choć odmówiła udziału w obradach Okrągłego Stołu – pełniła funkcje społeczne, w latach 1991–1993 zasiadała w senacie wybrana z listy NSZZ Solidarność. Mówiła: „Dziś Polacy w sondażach stwierdzają, że dawniej było lepiej, była praca, sanatoria

itp. A przecież byliśmy zaściankiem Europy. Myślę, że to, co Solidarność zrobiła naprawdę dobrego – to że przywróciła nas do Europy”. Adam Michnik stawiał na modernizację Polski, na budowę społeczeństwa nowoczesnego i tolerancyjnego, bliskiego normom Zachodu. Wraz ze swoim środowiskiem stworzył własną trybunę, opiniotwórczą „Gazetę Wyborczą”.

Ani Wałęsa, ani Michnik, ani Pieńkowska nie mogą być postrzegani jako ludzie, których wizja Polski nie była realizowana, nawet jeśli nie mieli kontroli nad znaczną częścią procesu przemian. Ich wspólną aspiracją było wejście kraju do Unii Europejskiej, ale w wielu konkretnych kwestiach ich stanowisko się różniło. Od początku procesu transformacji Wałęsa optował za rozwiązaniem liberalno-rynkowym; zapowiadał to zresztą już wcześniej. O rynku i swobodzie gospodarczej mówił już podczas I zjazdu Solidarność w 1981 r. Nie łączyło się to z odrzuceniem moralnych zobowiązań katolickiej nauki społecznej. W 1989 r. Wałęsa był przekonany o wyższości zachodniego modelu gospodarczego i udzielał wsparcia polityce gospodarczej Leszka Balcerowicza.

Książka Beyera jest tak interesująca dlatego, że polskie doświadczenia lat 1980–1981 postrzegane są w niej jako ważne dla przyszłego kształtu świata, jako punkt odniesienia w budowaniu społeczeństwa przyszłości. Czy polska rewolucja mogła zostać dokończona i jak wyglądałby kraj po jej zakończeniu? Czy przemiany mogły przebiegać inaczej? – pyta autor. Z pewnością mogłyby, ale trudno dowieść, że byłoby to korzystniejsze. Podobny pogląd o trudności oceny wybranej drogi ekonomicznej i jej skutków wyraził niedawno Ryszard Bugaj. Nie ma pewności, że bez szokowej terapii gospodarczej, bez wymiany pieniądza, bez likwidacji pewnych gałęzi przemysłu i PGR-ów Polacy jako społeczeństwo zyskaliby więcej, a stracili mniej. Można spojrzeć na inne kraje postkomunistyczne i przeanalizować inne zastosowane modele – bez gwarancji na to, że w szczególnej sytuacji Polski (największego kraju regionu, o du-

żym i rozdrobnionym sektorze rolniczym) którekolwiek rozwiązanie na pewno by się sprawdziło. Sytuacja na wsi zmieniła się dzisiaj radykalnie dzięki środkom unijnym.

Czy Kościół w Polsce mógł aktywniej stawać w obronie pokrzywdzonych i wspierać ludzi w walce o ich prawa ekonomiczne – przede wszystkim o prawo do sprawiedliwego wynagrodzenia i do udziału robotników w zarządzaniu przedsiębiorstwem? Gerald J. Beyer dowodzi, że było to obowiązkiem Kościoła. Szczególnie istotne wydaje się postrzeganie przez Beyera trzech aspektów solidarności: usłyszenia „krzyku zranionych”, zrozumienia sensu tego krzyku i instytucjonalizacji solidarności, czyli próby wpisania jej w instytucje społeczne. Ten trzeci aspekt łączy Beyer z solidarnością jako promowaniem uczestniczenia, partycypacji. Choć NSZZ Solidarność zwłaszcza w latach 1980–1981 doprowadził do czynnego udziału ogromnej liczby ludzi w życiu społecznym, to był to jednak udział spontaniczny, wywołany przez falę wydarzeń rozpoczętych sierpniowymi strajkami 1980 r. W takim ujęciu Polska nadal pozostaje krajem, w którym ludzie chętniej angażują się w pomaganie innym i wszelkie akcje społeczne w sposób nie do końca zorganizowany. Z najnowszych badań postaw społecznych wynika, że ponad połowa Polaków pomaga innym, najchętniej jednak w sposób niezwiązany z jakąkolwiek organizacją czy instytucją.

Beyer zdecydowanie odrzuca neoliberalną wizję wolności oderwaną od swobód i praw ekonomicznych – podkreśla, że bieda oznacza odebranie ważnych narzędzi realizowania indywidualnej wolności. Powołuje się tu na opinie laureata Nagrody Nobla Amartyi Kumara Sena. Krótko odnosi się do konfliktu w łonie postsolidarnościowych elit, opisuje próby niszczenia wizerunku Lecha Wałęsy i bolesne klótnie. Nie pomija pozytywnych zmian trendów i odrodzenia ruchu związkowego (który dostrzega również David Ost), ale mimo to uważa, że jesteśmy daleko od spełnienia ideałów Solidarności. Na pewno nie można uznać

Polski za modelowy przykład realizacji założeń nauki społecznej Kościoła ani za spełnienie marzeń.

Ale przeczytajmy na nowo 21 sierpniowych postulatów. Czy zostały spełnione? Postulaty polityczne zrealizowano z nawiązką: Polska jest krajem pełnej demokracji, z wolnymi wyborami i swobodą zrzeszania się. Obowiązuje wolność słowa i sumienia. Spośród postulatów społecznych

i ekonomicznych nie zrealizowano trzyletniego płatnego urlopu macierzyńskiego. Dziś wszakże pod pojęciem ideałów Solidarności nie postrzegamy już realizacji konkretnych i dość skromnych (choć wówczas jakże rewolucyjnych) społecznych postulatów z lat 1980–1981, ale wkładamy w to miejsce wyidealizowane wyobrażenia o społeczeństwie i państwie solidarnym.